

Robin Hobb

UCZEŃ SKRYTOBÓJCY

Tytuł oryginału:

Assassin's Apprentice

Copyright © 1995 by Robin Hobb

*Gilesowi
oraz pamięci
Ralph'a Pomarańczowego
i Freddiego Kuguara,
Księcia Zabójców,
a także
Kociej Natury ponad Hańbą*

1

HISTORIA NAJDAWNIEJSZA

Dzieje Królestwa Sześciu Księstw są z konieczności nierozzerwalnie splecione z historią rodziny panującej - rodu Przewornych. Rzetelna opowieść winna sięgać czasów sprzed powstania pierwszego księstwa i traktować o Zawyspiarzach - gdyby tylko ich imiona pozostały zapisane w naszej pamięci - którzy zjawili się od morza, by jako piraci przybić do brzegu spokojniejszego i łagodniejszego niż lodowe plaże Wysp Zewnętrznych. Jednak dziś nie znamy już imion tych najdawniejszych przodków.

Po pierwszym królu naszych ziem zachowało się więcej niżli tylko miano czy garść legend niegodnych wiary. Zwano go po prostu Zdobywcą. Być może, z tamtego właśnie czasu wywodzi się tradycja, by córom i synom szlachetnego rodu nadawać imiona mające kształtować los. Według wierzeń ludu wywierały one magiczny wpływ na życie nowo narodzonych dzieci; owoce królewskiego drzewa musiały uosabiać cnoty swego miana. Poddane próbie ognia, nurzane w słonej wodzie, niesione na skrzydłach wiatru - oto jakie były pieczęcie godności nadawanych tym wybranym potomkom. Tak nam mówiono. Zajmująca to opowiastka i, być może, niegdyś rzeczywiście istniał podobny rytuał, lecz historia daje nam dowody, że nie zawsze wystarczało zobowiązać dziecinę imieniem cnoty...

* * *

Pióro ciągnie za sobą nierówną linię, wreszcie wypada z kurczowego uścisku mojej dłoni, zostawiając nierówny ślad na papierze od Krzewiciela. W trudzie chyba bezowocnym zmarnowałem kolejny cenny arkusz. Zastanawiam się, czy w ogóle potrafię napisać tę historię, czy też na każdą stronę wkradnie się ślad goryczy, którą miałem za dawno wygasłą. Chciałem się z niej uleczyć, lecz gdy dotykam piórem papieru, chłapięcy ból broczy z

atramentu, aż nabieram przekonania, że każdy starannie postawiony czarny znak niczym strup ukrywa pod sobą dawną purpurową ranę.

Zawsze gdy rozważano sporządzenie na piśmie historii Królestwa Sześciu Księstw, zarówno Krzewiciel, jak i księżna Cierpliwa płonęli takim entuzjazmem, że miałem nieodparte uczucie, iż jest to praca warta wysiłku. Przekonałem siebie samego, że ćwiczenie to odwróci moje myśli od bólu, że przy nim szybciej będzie dla mnie upływał czas. Niestety, każde historyczne wydarzenie, jakie rozpatruję, budzi cienie mojej samotności i zagubienia. Obawiam się, że będę musiał zupełnie porzucić tę pracę, gdyż inaczej poddam się ponownym rozważaniom wszystkiego, co ukształtowało mój los. I tak zaczynam, znów i znów, lecz ciągle sobie uświadamiam, że piszę o swoich własnych początkach raczej, niż o początkach tej ziemi. Nie wiem nawet, komu próbuję się wytłumaczyć. Moje życie było pajęczyną utkaną z tajemnic; gmatwaniną sekretów, którymi nawet teraz jeszcze niebezpiecznie się dzielić. Czy powinienem je przelewać na papier, tylko po to by wznieciły ogień i przyniosły zniszczenie? Być może.

Moje wspomnienia sięgają dni, kiedy miałem sześć lat. Przed tym czasem nie ma nic, tylko biała karta, której żadne ćwiczenia umysłu nigdy nie zdołały mi odsłonić. Przed tamtym dniem w Księżycowym Oku nie ma nic. A od tamtej chwili nagle zaczynają się wspomnienia, tak jasne i wyraziste, że aż mnie oślepiają. Niekiedy wydają mi się zbyt kompletne; wówczas nie mam pewności, czy są prawdziwie moje. Czy rzeczywiście przywołuję je z zakamarków pamięci, czy może raczej odtwarzam na podstawie historii dziesiątki razy opowiadanych przez legiony pokojówek, zastępy kuchcików i hordy chłopców stajennych? Może słyszałem tę opowieść tak często i z tak licznych ust, że teraz odbieram ją jako własne wspomnienie. Czy jej wyrazistość to efekt chłonności umysłu sześciolatka zapamiętującego wszystko, co się wokół niego dzieje? Czy raczej kompletność wspomnienia jest skutkiem jasnej strony Mocy oraz wpływu leków, które pozwalają regulować jej działanie; specyfików, które niosą ze sobą inny ból i odmienne uzależnienia? To ostatnie jest najbardziej prawdopodobne. Prawie pewne. Można tylko łudzić się nadzieją, że tak nie jest.

Wspomnienie jest niewiarygodnie wyraziste: zimna szarość odchodzącego dnia, bezlitosny deszcz, który przemoczył mnie do nitki, lodowaty bruk ulicy dziwnego miasta - pamiętam nawet szorstkość ogromnej zgrubiałej dłoni, która obejmowała moją rękę. Czasami rozmyślałam o tym uścisku. Dłoń była chropowata, twarda i więziła moją rękę jak w pułapce. Lecz jednocześnie była ciepła i jej dotyk nie sprawiał mi przykrości. Po prostu mocna. Nie pozwalała mi się poślizgnąć na oblodzonych ulicach, ale broniła też ucieczki przed przeznaczeniem. Nieubłagana jak lodowaty szary deszcz, który szklął ciężki śnieg i lód na zwirowej ścieżce przed ogromnymi drewnianymi podwojami warownej budowli, wznoszącej się nad miastem niczym forteca.

Odrzwia były wysokie nie tylko dla sześciolatniego chłopca; mogły witać olbrzymów. Nawet chudy starzec, który wysoko nade mną górował, zdawał się przy nich niewielki. Mnie wszystko to wydawało się dziwne, choć nie potrafię określić, jakie drzwi lub jaki dom wydawałyby mi się znajome i bliskie. Tyle że te wrota, rzeźbione i ujęte w ramy czarnych żelaznych okuć, udekorowane głową kozła i kołatką z połyskliwego brązu, wykraczały poza moje dotychczasowe doświadczenia. Pamiętam, że chlapa zupełnie mnie przemoczyła; stopy miałem mokre i przemarznięte. A jednak, znowu - nie pamiętam, bym szedł daleko przez ostatnie porywy zimy ani że bym był niesiony. Nie, dla mnie cała historia zaczyna się tam, przed drzwiami ufortyfikowanej budowli, kiedy moją dłoń więzi ręka wysokiego mężczyzny. Wszystko to wyglądało nieomal jak w teatrze marionetek. Tak, właśnie tak to widzę. Kurtyna pęka pośrodku i oto stoimy przed ogromnymi drzwiami. Stary człowiek unosi kołatkę i opuszcza ją na drzwi; jeden raz, drugi, trzeci, echem niesie się stukanie. A potem spoza sceny dobiega głos. Nie zza drzwi, ale zza naszych pleców, stamtąd, skąd przyszliśmy.

- Ojczy, proszę! - błaga jakaś kobieta.

Odwracam się, chcę ją zobaczyć, lecz znowu zaczął padać śnieg. Koronkowy welon przywiera do rzęs, lepi się do rękawów płaszcza. Nie pamiętam, bym kogoś dojrzał. Z pewnością nie walczyłem o uwolnienie z uścisku dłoni starego mężczyzny ani nie wołałem: „Matko, matko!” Stałem tylko niczym widz i słuchałem odgłosu kroków we wnętrzu warownej wieży, a potem zgrzytu odsuwanych rygli.

Zawołała ostatni raz. Ciągłe wyraźnie słyszę słowa, pamiętam rozpacz w głosie, który wciąż na nowo rozbrzmiewa mi w uszach.

- Ojczy, proszę cię, błagam!

Dreszcz wstrząsnął dłonią, która trzymała w uścisku moją, ale czy był to gniew, czy jakieś inne uczucie - nigdy się już nie dowiem. Tak szybko jak czarny kruk dosięga upuszczoną kruszynę chleba, stary człowiek porwał z ziemi kawał brudnego lodu. Bez słowa cisnął nim, z wielką siłą i furią. Skuliłem się, schowałem głowę w ramiona. Nie pamiętam krzyku ani odgłosu uderzenia grudy o ciało. Pamiętam, że drzwi otworzyły się na zewnątrz; stary człowiek musiał spiesznie odstąpić do tyłu, pociągając mnie za sobą.

I oto co się wydarzyło. Mężczyzna, który otworzył drzwi, nie był służącym, jak mógłbym sobie wyobrażać, gdybym tylko słyszał tę historię. Nie, w pamięci mam człowieka pod bronią, lekko siwiejącego żołnierza, z brzuchem nieco wydatnym, ale jednak nie zmanierowanego służącego. Powodowany żołnierską podejrzliwością zrodzoną z praktyki, obejrzał nas obu od stóp do głów i stał w milczeniu, czekając aż wyjaśnimy cel naszego przybycia.

Myślę, że wyprowadziło to z równowagi starego człowieka, lecz wzbudziło w nim nie tyle strach, ile gniew. Raptownie puścił moją dłoń, chwycił mnie za kołnierz i wypchnął naprzód, niczym szczeniaka oferowanego nowemu właścicielowi.

- Przyprowadziłem wam chłopaka - zaskrzeczał. Strażnik patrzył na niego w milczeniu; niczego nie osądzał, nawet nie był ciekawy.

- Sześć lat sadzałem go przy swoim stole - podjął starzec - a jego ojciec nigdy nie przysłał słowa ani monety. Nawet go nie odwiedził, chociaż córka mi powiedziała, że wiedział o bękarcie. Nie będę go dłużej karmił, nie będę się zginał nad pługiem, żeby mu dać koszulę na grzbiet. Niech go ojciec żywi. Ja mam dosyć własnego drobiazgu, co mi moja kobieta narodziła przez te lata, a tu jeszcze ten. I ma tylko matkę, żeby go ubrała i wykarmiła. Żaden chłop nie będzie jej chciał wziąć, póki ten szczeniak ciągle się do niej klei. No to go zabierajcie i oddajcie ojcu.

Puścił mnie raptownie, aż upadłem na kamienne schody u stóp strażnika. Nic mi się nie stało. Usiadłem wolno. Podniosłem wzrok, by nie uronić nic z tego, co się będzie dalej działo.

Strażnik lekko wydał dolną wargę; nic nie orzekł, zaledwie rozważał, co powinien ze mną zrobić.

- Czyj on? - zapytał bez zaciekawienia. Chciał jedynie uzyskać więcej informacji, by właściwie przedstawić rzecz przełożonemu.

- Rycerskiego - rzucił stary. Już się ode mnie odwrócił, już stawiał miarowe kroki na zwirowanej ścieżce. - Księcia Rycerskiego - dodał nie odwracając się i uściślił jeszcze: - Następcy tronu. On go spłodził. Więc niech się nim zajmie i niech się cieszy, że został ojcem przynajmniej tego dzieciaka.

Przez chwilę strażnik patrzył, jak starzec odchodzi. Potem schylił się bez słowa, chwycił mnie za kołnierz i przesunął, by zamknąć drzwi. Puścił mnie, gdy je ryglował, a skończywszy, stanął bez ruchu i przyjrzał mi się ze spokojem, z jakim żołnierz przyjmuje podczas codziennej służby wszelkie osobliwe zdarzenia.

- Wstań, chłopczy, i chodź - rzekł potem.

I poszedłem z nim mrocznym korytarzem, mijając spartańsko umeblowane komnaty z oknami szczelnie zamkniętymi przed zimowym chłodem, aż dotarliśmy do kolejnych zamkniętych drzwi; te były zrobione z rzadko spotykanego miękkiego drewna, zdobione rzeźbieniami.

Tam żołnierz się zatrzymał i wprawnym gestem wygładził na sobie ubranie. Pamiętam zupełnie wyraźnie, że przyklęknął i obciągnął mi koszulę, a potem jednym czy dwoma szorstkimi ruchami przyglądził mi włosy, ale czy to wynikało z pocziwej chęci, bym zrobił dobre wrażenie, czy zaledwie z troski, aby jego powinność została właściwie spełniona, tego nigdy nie będę wiedział. Wstał i raz uderzył dłonią w dwuskrzydło drzwi. Uczyniwszy to, nie czekał na odpowiedź, w każdym razie ja jej nie usłyszałem. Rozwarł podwoje na oścież, wypchnął mnie naprzód i zamknął je za sobą.

Ta komnata była tak ciepła jak korytarz zimny, i tak żywa jak inne pomieszczenia wymarłe. Przypominam sobie, że w środku stało wiele mebli, a prócz nich znajdowały się tam i chodniki, i wieszaki, i półki z tabliczkami, i zwoje pergaminu, a wszystko to tworzyło wrażenie lekkiego nieporządku, jakiego nabiera każde często używane luksusowe pomieszczenie. Na masywnym palenisku płonął ogień, który napełniał wnętrze ciepłem i przyjemnym żywicznym zapachem. Za ogromnym stołem ustawionym prostopadłe do ognia siedział pochylony nad stertą papierów zwalisty mężczyzna o ściągniętych brwiach. Nie od razu podniósł wzrok, toteż przez kilka chwil mogłem się przyglądać jego ciemnym, rozwichrzonym włosom.

Gdy wreszcie uniósł głowę, ogarnął mnie i strażnika jednym krótkim spojrzeniem czarnych oczu.

- Co tam, Podróżniku? - zapytał, i nawet ja, choć dziecko, wyczułem z tonu jego głosu, że z rezygnacją pogodził się z tym, iż mu przeszkadzaliśmy. - O co chodzi?

Strażnik pchnął mnie lekko, przesuwając o metr bliżej tamtego człowieka.

- Książę Szczery, jakiś stary rolnik przyprowadził tego chłopca. Powiedział, że to bękart księcia Rycerskiego, panie.

Przez kilka chwil strapiony mężczyzna za stołem przyglądał mi się z pewnym zmieszaniem. Potem coś na kształt rozbawienia rozjaśniło jego rysy. Wstał, wziął się pod boki i badał mnie uważnie wzrokiem. Nie bałem się tych szczegółowych oględzin; raczej odniosłem wrażenie, jakby coś w moim wyglądzie nawet przesadnie mu się spodobało. Ja jemu także przyglądałem się z ciekawością. Nosił krótką ciemną brodę, równie gęstą i rozczochraną jak włosy, a policzki miał ogorzałe od wiatru. Nad ciemnymi oczyma rysowały się grube brwi. Był barczysty, dłonie miał kwadratowe i zniszczone pracą, a jednak poplamione atramentem. Kiedy tak mnie taksował wzrokiem, uśmiechał się coraz szerzej, aż wreszcie parsknął śmiechem.

- A niech mnie! - wykrzyknął w końcu. - Ten chłopak rzeczywiście jest podobny do Rycerskiego, prawda? Na płodnego Edę! Kto by się tego spodziewał po moim znamienitym i cnotliwym bracie?

Strażnik nic na to nie odpowiedział, ale też nikt nie oczekiwał od niego odpowiedzi. Stał tylko, gotów na każde wezwanie, czekając następnego rozkazu. Prawdziwy żołnierz.

Książę nadal oglądał mnie z zaciekawieniem.

- Ile ma lat? - zapytał strażnika.

- Rolnik mówił, że sześć. - Strażnik potarł dłonią policzek, lecz nagle przypomniał sobie najwyraźniej, że jest na służbie. Opuścił rękę. - Panie - dodał.

Ten drugi zdawał się nie zauważyć żołnierskiego uchybienia dyscyplinie. Czarne oczy błędziły po mnie, z ust nie schodził szeroki uśmiech.

- Zatem dajmy mu siedem, żeby mogła się z tym łatwiej pogodzić. A niech mnie! Tak. To był ten rok, kiedy Chyurdzi pierwszy raz próbowali zablokować przejście przez góry. Rycerski wybrał się tam na trzy, cztery miesiące, miał im pokazać, kto tu rządzi. A niech mnie! Kto by pomyślał, że to jego... - Przerwał. - Kto jest jego matką? - zapytał nagle.

Strażnik niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

- Nie wiem, panie. Na schodach był tylko ten stary i powiedział, że to bękart księcia Rycerskiego i że on już nie ma zamiaru go żywić ani ubierać, i to wszystko. Powiedział, że ten, co go spłodził, niech teraz o niego dba.

Książę wzruszył ramionami, jakby na znak, że sprawa nie ma większego znaczenia.

- Chłopiec wyraźnie był pod dobrą opieką. Nie minie tydzień, najwyżej dwa, jak matka przyjdzie skamleć pod kuchennymi drzwiami, bo będzie tęskniła za szczeniakiem. Dowiem się wtedy, jeśli nie wcześniej. Hej, chłopcze, jak na ciebie wołają?

Kaftan miał zapięty na ozdobną klamrę w kształcie głowy kozła. W migotliwym świetle rzucanym przez płomień zmieniała ona barwę z miedzianej na złotą, a wreszcie czerwoną.

- Chłopcze - odrzekłem.

Nie mam pewności, czy po prostu powtórzyłem słowo, którym zwracali się do mnie on i strażnik, czy rzeczywiście nie miałem imienia. Książę robił wrażenie zdziwionego, a po jego twarzy przemknął grymas, który mógł być wyrazem litości. Ale zniknął on równie szybko, jak się pojawił, i książę wyglądał już jedynie jak człowiek, któremu niespodziewanie przybył jeszcze jeden kłopot. Albo może był cokolwiek rozzłoszczony. Zerknął w stronę mapy czekającej na niego na stole.

- No dobrze - odezwał się w ciszy. - Coś trzeba z nim zrobić, zanim Rycerski wróci do domu. Podróżniku, dopilnujesz, żeby chłopiec miał co do ust włożyć i znajdziesz mu jakieś miejsce do spania, przynajmniej na dzisiejszą noc. Jutro się zastanowię, co z nim zrobić dalej. Nie będą królewskie bękarty błąkały się po kraju.

- Tak, panie - powiedział Podróżnik ani zgadzając się, ani oponując, ale zaledwie przyjmując rozkaz. Położył ciężką dłoń na moim ramieniu i odwrócił mnie w stronę drzwi. Ruszyłem z ociąganiem, bo w komnacie było jasno i ciepło. Zacząłem czuć mrowienie w stopach i wiedziałem, że gdybym mógł zostać tam jeszcze trochę, zdołałbym się rozgrzać. Niestety, dłoń strażnika była nieubłagana i zostałem wyprowadzony z ciepłej komnaty na powrót w przenikliwe zimno i mrok posepnych korytarzy.

Po wyjściu z przytulnej komnaty wydawały się znacznie ciemniejsze i nieskończenie długie. Bezskutecznie usiłowałem zrównać tempo z krokiem żołnierza. Może wyrwał mi się szloch, a może strażnik zdziwił się moim nieporadnym dreptaniem, bo uniósł mnie i usadził sobie na ramieniu tak lekko i od niechcienia, jakbym nic nie ważył.

- Mokry jesteś, mały - zauważył obojętnie i poniósł mnie korytarzami.

Mijał zakręty, szedł schodami w górę i w dół, aż w końcu załało nas żółte światło przestronnej kuchni.

Tam na ławach rozsiadła się grupka żołnierzy; popijali i jedli przy wielkim zniszczonym stole, przed paleniskiem co najmniej dwukrotnie większym niż tamto w komnacie księcia. Pachniało jedzeniem i piwem, czuć było pot, schnącą wełnianą odzież i dym z wilgotnego drewna, a także zapach tłuszczu skapującego w płomień. Pod ścianą stały w rzędach większe i mniejsze beczki z winem, a z krokwi zwieszały się ciemne półcie wędzonych mięs. Stół uginał się od ciężkiej zastawy i jadła. W pewnej chwili strzępek mięsiwa spadł między płomień, skręcił się w ogniu i skwiercząc strzelił tłuszczem na kamienne palenisko, rozsiewając wokół rozkoszną woń. Żołądek skurczył mi się z głodu. Podróżnik pewnym ruchem posadził mnie na rogu stołu, blisko ciepłego ognia, zsuwając z blatu łokieć mężczyzny, który ukrył twarz w dzbanie.

- Masz, Brus - oznajmił rzeczowym tonem. - Szczeniak jest twój.

Odwrócił się ode mnie. Patrzyłem jak zahipnotyzowany, gdy odłamał z ciemnego bochna kawał ogromny niczym własna pięść, a potem wyciągnął zza pasa nóż i odkroił z wielkiego koła sutą rację sera. Wetknął mi w ręce jedno i drugie, po czym podszedł do ognia i począł odrzynać od sztuki mięsa porcję godną dorosłego mężczyzny. Ja zaś, nie tracąc czasu, przystąpiłem do napełniania pustego żołądka. Obok mnie człowiek nazwany Brussem odstawił dzban i popatrzył na Podróżnika.

- O co chodzi? - zapytał podobnie jak mężczyzna w tamtej ciepłej komnacie.

Miał tak samo jak on czarne i potargane włosy oraz brodę jak tamten, ale twarz bardziej kanciastą i nieco węższą. Cera zdradzała człowieka, który wiele czasu spędza poza ścianami domu. Oczy połyskiwały mu raczej brązem niż czernią, dłonie miał zgrabne, o długich palcach. Czuć go było koźmi, psami, skórą i krwią.

- Jest twój, Brus, masz się nim zająć. Tak powiedział książę Szczęry.

- Dlaczego ja?

- Jesteś człowiekiem księcia Rycerskiego, tak? Doglądasz jego koni, psów i sokołów?

- Więc?

- Więc teraz masz pod opieką jeszcze tego małego bękarta, w każdym razie dopóki książę Rycerski nie wróci i nie rozkaże inaczej. - Podróżnik wyciągnął w moją stronę kawał ociekającego tłuszczem mięsa. Wędrowałem wzrokiem od chleba do sera, które ścisnąłem w garściach, i nie miałem ochoty zrezygnować z żadnego z nich, ale także ogromnie pragnąłem gorącego mięsiwa. Podróżnik, widząc moją rozterkę, wzruszył ramionami i rzucił tę delicję na stół, tuż obok mnie. Napchałem usta chlebem i sięgnąłem po mięso.

- Bękart księcia Rycerskiego?

Podróżnik wzruszył ramionami, zajęty odkrawaniem dla siebie chleba, mięsa i sera.

- Tak powiedział stary chłop, który go tutaj przyprowadził. - Ułożył mięso i ser na pajdzie chleba, ugryzł spory kęs i ciągnął z pełnymi ustami: - Powiedział, że książę Rycerski powinien się cieszyć, że w ogóle spłodził jakiegoś dzieciaka, i powinien go sam żywić i ubierać.

Niezwykła cisza zapadła nagle w kuchni. Mężczyźni przestali jeść, odkładali chleb oraz inne jadalne, odstawiali dzbany i zwracali oczy na człowieka o imieniu Brus. On sam ostrożnie postawił swój dzban z dala od krawędzi stołu. Głos miał spokojny i cichy, słów używał związanych.

- Jeśli mój pan nie ma dziedzica, to z woli Edy, a nie z winy swojej męskości. Księżna Cierpliwa zawsze była delikatnego zdrowia i...

- Pewnie że tak, pewnie - zgodził się Podróżnik skwapliwie. - A tam siedzi żywy dowód, że męskości mu nie brakuje, właśnie to powiedziałem, nic innego. - Nerwowo otarł usta rękawem. - Strasznie podobny do księcia Rycerskiego, tak że już bardziej nie można, nawet jego brat dopiero co powiedział to samo. To nie wina księcia pana, że księżna Cierpliwa nie może utrzymać jego nasienia do oznaczonego terminu...

Brus wstał raptownie. Podróżnik odruchowo cofnął się krok lub dwa, nim zdał sobie sprawę, że to ja byłem celem, nie on. Brus chwycił mnie za ramiona i odwrócił do ognia. Ujął mnie silnie pod brodę. Patrzył na mnie tak, że upuściłem i chleb, i ser. On jednak nie zwrócił na to uwagi. Skierował moją twarz ku światłu, studiował ją niczym mapę. Dostrzegłem w jego oczach jakąś dzikość, jak gdybym zadawał mu ból tym, co dostrzegł w moich rysach. Zacząłem się cofać przed tym spojrzeniem, ale Brus wciąż trzymał mnie silnie pod brodę. Spojrzałem więc ponownie, z całą buntowniczością, na jaką zdołałem zebrać siły, i ujrzałem, że jego złość zmieniła się nagle w pewnego rodzaju niechętny szacunek. W końcu przymknął powieki, nie mogąc dłużej znieść widoku mojej twarzy.

- Jak księżna Cierpliwa zniesie tę próbę? - westchnął. - Czy imię doda jej sił?

Puścił mnie, po czym niezgrabnie schylił się po chleb i ser, otarł je i wetknął mi w dłonie. Dojrzałem grubą bandaż, który nie pozwalał mu zgiąć kolana, spowijający prawą nogę od łydki aż do połowy uda. Brus ponownie usadowił się przy stole i sięgnął po piwo. Wypił, przyglądając mi się znad krawędzi dzbana.

- Kim jest matka tego bękarta? - zapytał nieostrożnie żołnierz siedzący przy drugim końcu stołu.

Brus opuścił dzban. Milczał przez chwilę, a ja znowu poczułem ołowiany ciężar ciszy.

- Kim jest matka chłopca, to rzecz księcia Rycerskiego, a nie temat na kuchenne plotki - rzekł wolno.

- Pewnie że tak, pewnie - zgodził się strażnik ochoczo, a Podróżnik, niczym dziobiący ptak, kiwał zgodnie głową.

Choć miałem raptem kilka lat, zastanowiło mnie, jakim człowiekiem musi być ten, który z nogą unieruchomioną bandażami, potrafił jednym spojrzeniem zgromić nieokrzęsanych mężczyzn.

- Chłopak nie ma imienia - przerwał ciszę Podróżnik. - Wołają na niego „chłopcze”.

Stwierdzenie to wyraźnie odebrało mowę wszystkim, nawet Brusowi. W ciszy skończyłem jeść chleb, ser oraz mięso i popiłem jedzenie paroma łykami piwa, które podał mi Brus.

Żołnierze zaczęli wychodzić po dwóch, po trzech, a on ciągle siedział, pijąc i nie spuszczać ze mnie oka.

- No tak - odezwał się w końcu. - Jak znam twój ojca, to uczciwie stawi temu czoło i zrobi, co należy. Ale Eda tylko wie, co uzna za właściwe. Najpewniej nie oszczędzi sobie bólu... Najadłeś się?

Pokiwałem głową, a on podniósł się sztywno, zdjął mnie ze stołu i postawił na podłodze.

- No to chodź, Bastardzie - powiedział.

Szliśmy długim korytarzem. Z powodu usztywnionej nogi Brus kołysał się na boki, a może i piwo także miało z tym coś wspólnego. Z pewnością bez trudu dotrzymywałem mu kroku. W końcu dotarł do jakichś ciężkich drzwi. Strażnik pożegnał go skinieniem głowy, a mnie zmierzył zaintrygowanym spojrzeniem.

Poza murami zawodził wiatr. Śnieg, który roztopił się w ciągu dnia, zamarzył z nadejściem nocy. Ścieżka chrzęściła mi pod stopami, a zimne podmuchy odnajdywały każde pęknięcie i dziurę w moim odzieniu. Koszula i nogawkę, ogrzane przy kuchennym ogniu, nie całkiem wyschły, więc przejął mnie dojmujący ziąb. Pamiętam ciemność i nagłe uczucie wyczerpania, które spadło na mnie znienacka; straszną płacziwą senność, która opanowała mnie bez reszty, gdy tak szedłem przez zimne i ciemne podwórze za tym groźnym człowiekiem z obandażowaną nogą. Otaczały nas wysokie ściany, a na ich szczycie nieprzerwanie krążyli strażnicy - mroczne cienie widoczne jedynie w krótkich chwilach, gdy przesłaniały gwiazdy. Kąsało mnie przenikliwe zimno, potykałem się i ślizgałem na oblodzonej ścieżce. Lecz mimo wszystko coś w postawie mojego opiekuna nie pozwoliło mi zapłakać ani błagać o litość. Podążałem za nim uparcie. Wreszcie dotarliśmy do jakiegoś budynku i Brus szarpnięciem otworzył masywne drzwi.

Wylało się zza nich ciepło, zapach zwierząt i przyćmione złote światło. Zaspany chłopak stajenny usiadł na swoim posłaniu; wyglądał jak pisklę w słomianym gnieździe. Mój przewodnik rzekł coś krótko i chłopak natychmiast położył się z powrotem, zwinął w kłębek, zamknął oczy. Brus zamknął za nami drzwi. Wziął lampę, która rozsiewała łagodne światło, i poprowadził mnie ze sobą.

Wówczas wszedłem w inny świat, w świat nocy naznaczonej oddechami śpiących zwierząt, gdzie psy unosiły łby znad skrzyżowanych przednich łap, by spojrzeć na mnie zielonymi lub żółtymi ślepiami, po których pełzał słaby blask światła. Gdy mijaliśmy konie, powstało wśród nich lekkie poruszenie.

- Sokoły są na drugim końcu - odezwał się Brus, prowadząc mnie wzdłuż boksów.

Najwyraźniej była to ważna informacja.

- Tutaj - odezwał się, stając u wejścia do przestronnego boksu, gdzie spały trzy ogary. - Musi ci to wystarczyć. Przynajmniej na razie. Niech mnie licho, jeśli wiem, co innego miałbym z tobą zrobić. Gdyby to wszystko nie dotyczyło księżnej, uznałbym, że Eda zażartował sobie z mojego pana. No, Gagatek, posuń się trochę, zrób miejsce. Tak, dobrze. Ty się, chłopcze, przytulisz tutaj, obok Wiedźmy. Ona się tobą zajmie i da dobry odpór każdemu, kto by ci chciał zakłócić sen.

Obudzone psy, słysząc Brusa, ucieszone waliły twardymi ogonami o słomę. Niepewnie wszedłem do środka i położyłem się obok suki o pysku posrebrzonym starością i z poszarpanym uchem. Wielki pies przyglądał mi się trochę podejrzliwie. Gagatek, podrośnięty szczeniak, powitał mnie lizaniem po uszach, szczypaniem zębami w nos i zaczepianiem łapą. Objąłem go ramieniem, żeby się przestał wiercić, a potem umościłem się wygodnie między zwierzętami. Brus narzucił na mnie grubą derkę przesiąkniętą zapachem konia. Wielki szary ogier w sąsiednim boksie zatupał gwałtownie, uderzył ciężkim kopytem w ściankę, a potem wystawił łeb nad przepierzeniem, sprawdzając, coż to za nocne niepokoje. Brus pogładził go uspokajająco po chrapach.

- Na takiej rubieży wszyscy mamy dosyć skromne warunki. Dopiero w zamku w Koziej Twierdzy zamieszkaż wygodnie. Ale dzisiejszej nocy będziesz tu bezpieczny i nie zmarzniesz. - Stał jeszcze przyglądając się nam przez chwilę. - Konie, psy, sokoły... Książę mój, od wielu lat doglądam ich dla ciebie i robię to dobrze. Ale twój bękart... no coż, nie do mnie należy decyzja, co z nim począć.

Ostatnie słowa nie były skierowane do mnie. Znad krawędzi derki patrzyłem, jak zdjął z haka latarnię i odszedł wolno, mamrocząc coś pod nosem.

Dobrze pamiętam tę pierwszą noc: ciepłe psy, kłującą słomę, nawet sen, który do mnie przyszedł, gdy szczeniak zwinął się w kłębek tuż obok. Sięgnąłem do jego umysłu i dzieliłem z nim marzenia o długim polowaniu, o pościgu za jakąś nieznaną zwierzyną, której gorąca woń kazała mi biec wśród gąszczy pokrzyw, przez głogi i po górskich stokach pokrytych usuwającymi się spod nóg kamieniami.

Wraz z tym snem ogara moje wspomnienia zaczynają się rozmywać, niczym odchodząca narkotyczna halucynacja, zrazu sugestywna i bajecznie kolorowa, stopniowo coraz mniej wyrazista. Dni, które nadeszły po tej nocy, nie rysują się już w mojej pamięci równie klarownie.

Przypominam sobie wilgotny czas końca zimy, gdy poznawałem drogę z boksu do kuchni. Mogłem tam chodzić, kiedy mi się żywnie podobało. Czasem spotykałem kucharza, który wieszał mięso na hakach nad paleniskiem, miesił ciasto na chleb lub otwierał beczułkę z jakimś napitkiem. Częściej go jednak nie było i wtedy sam brałem sobie coś z resztek na stole, i dzieliłem się szczerze ze szczeniakiem, który wkrótce został moim nieodłącznym towarzyszem. Żołnierze przychodzili i odchodzili, jedli, pili i przyglądali mi się z ciekawością, którą zacząłem traktować jako rzecz naturalną. Wszyscy podobni byli do siebie nawzajem; każdy ubrany był w płaszcz oraz spodnie z szorstkiej wełny, każdy miał twarde ciało i oszczędne ruchy i każdy nosił na sercu emblemat z wizerunkiem skaczącego kozła. Niektórzy z nich nieswojo się czuli w mojej obecności. Przywykłem, że dopiero gdy opuszczałem kuchnię, narastał tam głuchy pomruk głosów.

Brus w tych dniach opiekował się mną stale, poświęcał mi tyle samo uwagi ile zwierzętom księcia Rycerskiego; byłem nakarmiony, napojony, umyty, uczesany i miałem zapewnioną odpowiednią ilość ruchu, który przyjmował zazwyczaj postać dreptania za Brussem, gdy wypełniał on inne swoje obowiązki. Wszystkie te wspomnienia są niewyraźne, a powszednie czynności, takie jak mycie czy zmiana odzienia, wyblakły w mojej pamięci; najpewniej dla sześciolatniego chłopca nie były niczym szczególnym. Doskonale za to pamiętam Gagatka. Rudą sierść miał krótką i najeżoną tak, że kłuła mnie przez ubranie, gdy nocą dzieliliśmy końską derkę. Jego ślepia były zielone niczym ruda miedzi, nos w kolorze pieczonej wątroby, a wewnątrz pyska i język - znaczone różowymi i czarnymi plamkami. Jeżeli akurat nie łasowaliśmy w kuchni, mocowaliśmy się na podwórku albo w stajennym boksie. Taki był mój tamtejszy świat. Nie trwało to długo, jak sądzę, gdyż nie przypominam sobie żadnej odmiany aury. Przez wszystkie moje wspomnienia z tamtego czasu przewijają się surowe chłody, huczący wiatr, a także śnieg i lód, które za dnia częściowo topniały, lecz zawsze umacniały się mroźną nocą.

Mam z tamtego czasu jedno odmienne wspomnienie, choć nie jest ono wyraźne. Raczej tylko podbarwione ciepłym i delikatnym odcieniem, niczym stary, bogato tkany gobelin oglądany w mrocznej komnacie. Pamiętam, obudziło mnie ze snu niespokojne wiercenie się szczeniaka i żółte światło latarni. Pochylało się nade mną dwóch ludzi, ale że Brus stał sztywno pomiędzy nimi, wcale się nie bałem.

- Obudziłeś go - ostrzegł pierwszy, a był to książę Szczery, którego spotkałem pierwszego wieczoru w komnacie rozjaśnionej ciepłym blaskiem.

- Cóż z tego? Zaśnie ponownie, gdy tylko się oddalimy. A to dopiero, ma bez wątpienia oczy swojego ojca. Przysięgam, gdziekolwiek bym ujrzał to dziecko, poznałbym jego pochodzenie. Nikt, kto go zobaczy, nie będzie wątpił. Ale powiedz tylko, czy i ty, i Brus macie kurze rozumy? Bękart czy nie bękart, nie można kłaść człowieka między zwierzętami. Nie było dla niego innego miejsca?

Mężczyzna ten miał oczy identyczne jak książę Szczery i tak samo zarysowaną szczękę, ale tu podobieństwo się kończyło. Był znacznie od niego młodszy. Policzki miał bez zarostu, a wyperfumowane gładkie włosy jaśniejsze i bardziej miękkie. Oblicze pokraśniało mu od ukąszeń nocnego chłodu, lecz była to zupełnie inna barwa niż na ogorzalej od wiatru twarzy księcia Szczerego. Różniło ich także odzienie. Książę Szczery ubierał się podobnie jak jego ludzie - w praktyczne wełniane rzeczy o mocnym splocie i stonowanych kolorach. Tylko emblemat na jego piersi błyszczał jaśniej, przetykany złotą i srebrną nicią. Młodszy mężczyzna lśnił od szkarłatu i złota, a jego płaszcz, opadający w ciężkich fałdach, był dwukrotnie szerszy niż trzeba. Spod wierzchniego okrycia wyłaniała się ciemnokremowa kamizela obszyta koronką. Szal na szyi tego pana spinała brosza w kształcie skaczącego rogacza, wykonana w złocie; jedyne oko kozła mrugało zielono drogocennym klejnotem. Wyszukana mowa szlachetnie urodzonego była jak misternie kuty złoty łańcuch przy prostych wątkach słów księcia Szczerego.

- Władczy, bracie, nie pomyślałem o tym. Co ja wiem o dzieciach? Dałem go pod opiekę Brusowi. On jest człowiekiem Rycerskiego i tak jak zawsze dbał o...

- Nie chciałem uchybić królewskiej krwi, panie - rzekł Brus szczerze zmieszany. - Zawsze całą duszą służyłem księciu Rycerskiemu i chłopcem też się zająłem, jak umiałem najlepiej. Mogłem go zabrać na barłóg u wartowników, ale wydał mi się za mały, żeby miał patrzeć na bójki, pijaństwa i kłótnie - ton jego słów zdradzał naganę dla takiego towarzystwa - i mieszkać z ludźmi, którzy przychodzą i wychodzą o każdej porze. Tutaj ma swój kąt i spokój, a i zaprzyjaźnił się ze szczeniakiem. Nocą pilnuje go Wiedźma; nikt mu nic złego nie zrobi, bo suka ma ostre zęby. Panowie moi, ja także nie wiem o dzieciach wiele, lecz wydawało mi się...

- Już dobrze, Brus, wszystko w porządku - przerwał mu cicho książę Szczery. - Trzeba było o tym pomyśleć, ale to ja uchybiłem swojej powinności. Zostawiłem decyzję tobie i za nic cię nie winię. Eda świadkiem, że chłopak ma tu lepiej niż niejedno dziecko w okolicznych osadach. Dopóki jesteśmy tutaj, nie ma dla niego lepszego miejsca.

- Wszystko będzie musiało się zmienić, gdy powrócimy do Koziej Twierdzy. - Władczy wydawał się nieszczerze zadowolony.

- Więc nasz ojciec życzy sobie, żeby chłopiec pojechał z nami? - zapytał książę Szczery.

- Nasz ojciec sobie tego życzy. Moja matka nie.

- Aha. - Ton głosu księcia Szczerego zdradzał wyraźny brak zainteresowania dalszą dyskusją. Książę Władczy jednak, z marsmem na czole, ciągnął temat.

- Moja matka, królowa, nie uważa za właściwe ani pozostawienie bękartu tutaj, ani sprowadzenie go do zamku w Koziej Twierdzy. Radziła królowi długo, lecz na próżno. Matka i ja wolelibyśmy raczej, by chłopiec został... usunięty. To jedyne odpowiednie rozwiązanie. Nie trzeba nam dodatkowych niejasności w kwestii dziedziczenia.

- Nie widzę żadnych niejasności - odparł gładko Szczery. - Rycerski, ja, a potem ty. Dalej nasz kuzyn Dostojny. Bękart byłby dopiero piąty.

- Doskonale zdaję sobie sprawę, iż mnie poprzedzasz w linii sukcesji; nie ma potrzeby, byś się z tym obnosił przy najbliższej okazji - rzekł książę Władczy chłodno. Przeniósł na mnie spojrzenie. - Moim zdaniem byłoby najlepiej, gdyby kwestia tego dziecka w ogóle nie zaistniała. Co się stanie, jeśli Rycerski nigdy się nie doczeka od księżnej Cierpliwej prawowitego dziedzica? Co wówczas, jeśli zechce... uznać tego chłopca? Taki obrót spraw może posiać niezgodę między szlachtą. Po co kusić los? Tak uważa moja matka, i ja także. Ale nasz ojciec, król, nie jest człowiekiem działającym pochopnie, o czym doskonale wiemy. Nie dopuścił do żadnych ustaleń w tej materii. Król Roztropny działa roztropnie, jak głosi ludowe porzekadło. „Synu mój - obwieścił mi niedawno - nie rób kroku, którego nie możesz cofnąć, dopóki nie rozważysz, czego nie będziesz mógł zrobić, gdy go już uczynisz”. A potem się roześmiał. - Książę Władczy także prychnął krótkim, gorzkim śmiechem. - Jestem ogromnie znużony jego poczuciem humoru.

- Aha - powtórzył książę Szczery, a ja leżałem bez ruchu i dumałem, czy próbował on do głębi pojąć słowa króla, czy też raczej się hamował, by nie odpowiedzieć ostrym słowem pretensjom przyrodniego brata.

- Oczywiście dostrzegasz rzeczywiste powody, dla których król chce mieć przy sobie tego chłopca? - upewnił się książę Władczy.

- To znaczy?

- Wciąż faworyzuje Rycerskiego. Pomimo wszystko. Pomimo jego głupiego małżeństwa i ekscentrycznej żony. Pomimo całej tej awantury. Zdaniem króla najnowsze wieści poruszają lud, przybliżają Rycerskiego pospólstwu. Świadczą przecież niewątpliwie o męskości następcy tronu, dowodzą, że może być ojcem. A jeszcze i tego, że także jest człowiekiem i błądzi jak każdy. - Książę Władczy najwyraźniej nie zgadzał się z żadnym z tych argumentów.

- I dzięki temu lud ma chętniej wesprzeć jego przyszłe panowanie? - Książę Szczery chyba nie był przekonany co do słuszności wyводу. - Dlatego że zanim poślubił swoją panią, spłodził dziecko z jakąś prostą kobietą?

- Król zdaje się tak sądzić. - W głosie księcia Władczego zabrzmiał cierpki ton. - Czyżby hańba nic dla niego nie znaczyła? Podejrzewam jednak, iż Rycerski inaczej się odniesie do idei uznania bękarta. Szczególnie przez wzgląd na naszą drogą księżną Cierpliwą. Tak czy inaczej, król rozkazał, byś wracając sprowadził bękarta do zamku w Koziej Twierdzy. - Książę Władczy opuścił na mnie wzrok, bezsprzecznie niezadowolony.

Książę Szczery wyglądał na lekko zbitego z tropu, lecz skinął głową posłusznie.

Na twarzy Brusa kładł się cień, którego nie mogło rozproszyć żółte światło lampy.

- Czy mój pan nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia? - zaprotestował śmiało. - Myślę, że gdyby zechciał ustalić posag dla matki chłopaka, a jego samego oddalić, to przez wzgląd na dobro mojej pani, księżnej Cierpliwej, z pewnością powinien mieć prawo do podobnej dyskrecji...

Książę Władczy przerwał mu wzgardliwym prychnięciem.

- Na dyskrecję był czas, zanim się Rycerski położył z tą dziewczuchą. Cierpliwa nie jest pierwszą kobietą, która musi się pogodzić z istnieniem mężowskiego bękarta. Tutaj, dzięki niezręczności Szczerego, wiedzą o jego istnieniu już wszyscy. Próba ukrycia chłopaka nie ma żadnego sensu. A gdy chodzi o bękarta z rodu królewskiego, nie sposób sobie pozwolić na luksus wrażliwości. Zostawić takiego chłopca w podobnym miejscu, to jak zignorować miecz zawieszony nad głową króla. Służący od psów także powinien rozumieć rzecz równie oczywistą. A nawet jeśli ty nie potrafisz, twój pan ją pojmie z pewnością.

Stalowe nuty wkradły się w te słowa; dostrzegłem, jak Brus cofnął się przed lodowatym brzmieniem, choć dotąd nie ustępował przed niczym. Przepelniło mnie to strachem, więc naciągnąłem derkę na głowę i zagrzebałem się głębiej w słomie. Obok mnie Wiedźma

warknęła cicho z głębi gardzieli. Myślę, że to dlatego książe Władczy odstąpił do tyłu, ale nie mam całkowitej pewności. Niedługo potem mężczyźni odeszli, a jeśli mówili coś więcej, ja tego nie pamiętam.

Czas mijał i jakieś dwa, może trzy tygodnie później widzę siebie, jak kurczowo trzymając się pasa Brusa próbuję zbyt krótkimi nogami objąć koński grzbiet za jego plecami. Opuszczaliśmy wtedy mroźną osadę i ruszaliśmy do cieplejszych ziem, a podróż ta wydawała mi się bez końca. Przypuszczam, że książe Rycerski któregoś dnia przyjechał i zobaczył mnie, swojego bękarta, po czym wydał na siebie wyrok. Nie pamiętam tego spotkania z ojcem. Jedyne jego obraz, jaki noszę w pamięci, to portret wiszący na ścianie w zamku w Koziej Twierdzy. Wiele lat później dano mi do zrozumienia, że postępowanie księcia Rycerskiego okazało się rzeczywiście właściwe, uratowało zawarte traktaty, umocniło pokój, który trwał później przez całą moją młodość, a także zyskało nam szacunek, a nawet sympatię Chyurdów.

Trzeba podkreślić, że tamtego roku jedyne nieszczęście, jakie spotkało następcę tronu, było spowodowane ujawnieniem mojego istnienia, lecz nieszczęście to okazało się rzeczywiście monumentalne. Książe wrócił do zamku w Koziej Twierdzy, gdzie rzekł się praw do tronu. Zanim my tam dotarliśmy, zdążył już, razem z małżonką, opuścić dwór. Rozpoczął życie jako pan z Białego Gaju. Byłem tam kiedyś. Biały Gaj to równina przecięta przez środek leniwą rzeką. Rozpościera się w ciepłej dolinie, rozłożonej wygodnie pomiędzy niewysokimi łagodnymi wzgórzami, u stóp wysokich szczytów. Wymarzone miejsce do uprawy winogron, siania zboża i rodzenia dzieci. Ziemia spokojna, położona daleko od wszelkich granic, od polityki, od dworu - od wszystkiego, czym wcześniej żył książe Rycerski. Było to zesłanie. Bez niedostatku i niewygód, lecz jednak wygnanie człowieka, który powinien był zostać królem. Królestwo straciło mądrego wojownika i wyjątkowo utalentowanego dyplomatę.

A ja znalazłem się w Koziej Twierdzy; jedyne, ale nieślubne dziecko człowieka, którego nigdy nie poznałem. Wyrastałem bez ojca i bez matki. Dojrzywałem na dworze królewskim, gdzie widziano we mnie sprawcę przemian. Za moją przyczyną książe Szczery został następcą tronu, a książe Władczy wspiął się o szczebel wyżej w linii sukcesji. Nawet gdybym nic w życiu nie zrobił, już samo to, iż przyszedłem na świat, pozostawiłoby trwałe ślad w dziejach naszych ziem.

2

NOWY

Wiele jest legend o Zdobywcy, Zawyspiarzu, który przekształcił Kozią Twierdzę w załazek stolicy pierwszego księstwa i zapoczątkował linię królewską. Jedna z nich głosi, że podróż zakończona podbojem była pierwszym i ostatnim jego wypadem z jakiejś skalistej, smaganej zimnymi wiatrami wyspy, która go zrodziła. Powiadają, iż zobaczywszy drewniane umocnienia warowni oznajmił: „Jeśli znajdę tam ogień i posiłek, zostanę”. I znalazł. I został.

* * *

Plotki rodzinne zaś głoszą, że był biednym żeglarzem cierpiącym na chorobę morską i nie znosił solonych ryb, choć innym Zawyspiarzom szły one na zdrowie. Wieść niesie, jakoby wraz ze swymi ludźmi błędził po wodach tak długo, iż gdyby nie zdołał zająć Koziej Twierdzy, utopiłaby go własna załoga. Nikt dziś już nie wie, jak było w rzeczywistości. Stary

gobelin w sali biesiadnej przedstawia Zdobywcę jako potężnego, krzepkiego mężczyznę z groźnym uśmiechem na ustach, stojącego na dziobie statku, którym wioślarze sterują ku Koziej Twierdzy - wówczas budowli z drewnianych bali i ledwie obciosanego kamienia.

Kozia Twierdza narodziła się jako zamek wzniesiony na brzegu spławnej rzeki, u wejścia do zatoki oferującej doskonałe warunki do kotwiczenia. Zbudował go jeden z pomniejszych władców, który ujrzał w nadzorowaniu handlu rzeczno-ziemnego możliwość ciągnięcia zysków. Imię tego człowieka zaginęło w mrokach historii. Wzniósł twierdzę rzekomo po to, by chronić zatokę przed intruzami z Wysp Zewnętrznych, którzy każdego lata plądrowali ziemie leżące wzdłuż biegu rzeki. Nie przypuszczał, że najeźdźcy pokonają fortyfikacje zdradą, a warowne wieże i mury staną się dla nich domem. Wraz z upływem czasu piraci rozciągali swoje wpływy coraz dalej w górę rzeki, a drewniany fort przebudowali w kamienną warownię, u stóp której rozrastało się miasto, aż w końcu uczynili Kozią Twierdzę sercem pierwszego księstwa, a następnie, po latach, stolicą całego Królestwa Sześciu Księstw.

Ród panujący naszych ziem, Przezorni, wywodził się właśnie z owych Zawyspiarzy. Przez kilka pokoleń dawni piraci utrzymywali więzi z mieszkańcami Wysp Zewnętrznych, składali tam grzecznościowe wizyty, po których wracali do domu z pulchnymi narzeczonymi o ciemnej cerze, pochodzącymi z ich własnego ludu. I tak krew Zawyspiarzy ciągle silnym strumieniem płynęła w żyłach potomków rodu królewskiego oraz rodzin szlacheckich, dając dzieciom czarne włosy, ciemne oczy i muskularną, kręłą postać. Wraz z tymi cechami szedł w parze talent do władania Mocą, a także wszelkie niebezpieczne skłonności oraz słabości płynące w zawyspiarskiej krwi. Ja także otrzymałem swój udział w owej spuściźnie.

Moje pierwsze zetknięcie z Kozią Twierdzą nie miało żadnego związku z historią ani dziedzictwem stolicy. Była ona dla mnie jedynie końcem podróży, kalejdoskopem zgiełku czynionego przez ludzi, powozy i psy, panoramą budynków i krętych ulic, prowadzących w końcu zawsze do potężnej kamiennej fortecy wzniesionej na stromej skalnej ścianie; do warowni, która z góry spoglądała na miasto rozłożone u jej stóp. Przywarłem kurczowo do pasa mojego opiekuna, zbyt obolały i zmęczony, żeby się chociaż poskarżyć. Znużony koń potykał się często na śliskim bruku. Wyciągnąłem szyję raz - żeby spojrzeć na wysokie szare wieże i mury warownego zamku nad nami. Nawet w niezwykle dla mnie ciepłej morskiej bryzy wyglądał na zimny i niedostępny. Oparłem czoło o plecy Brusa. Od słonawej woni jodu napływającej z nad ogromnej wody robiło mi się niedobrze. Tak oto przybyłem do Koziej Twierdzy.

Brus miał kwatery niedaleko zamkowych stajni. Do nich właśnie mnie zabrał, razem z sokołami i ogarami księcia Rycerskiego. Najpierw zajął się ptactwem, gdyż po długiej podróży znajdowało się w opłakanym stanie. Psy, uszczęśliwione powrotem do domu, tryskały energią. Gagatek przewrócił mnie kilka razy, zanim w końcu zdołałem wbić w ten psi łeb, że jestem zmęczony, czuję się chory i nie mam nastroju do zabawy. Natychmiast znalazł sobie towarzystwo wśród rodzeństwa z poprzedniego miotu i od razu wdał się w pozorowaną walkę z jednym ze starszych podrostków. Brus krzyknął raz i awantura ucichła. Dla księcia Rycerskiego był on służącym, to prawda, ale tutaj, w zamkowych stajniach, dla psów, sokołów i koni był panem.

Kiedy skończył już doglądanie zwierząt sprowadzonych do domu, zaczął przechadzkę po stajniach, sprawdzając, co pod jego nieobecność zostało zrobione, a czego zaniedbano. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawili się chłopcy stajenni, parobcy i sokolnicy, by bronić wykonania swoich obowiązków przed jego krytyką. Ja zaś podążałem za nim, dopóki mogłem się utrzymać na nogach. Zwrócił na mnie uwagę dopiero wówczas, gdy wreszcie się poddałem i osunąłem na stertę słomy. Na jego twarzy odmalował się wyraz irytacji, a zaraz potem ogromnego znużenia.

- Gruzeł, zabierz małego Bastarda do kuchni i dopilnuj, żeby się najadł, a potem zaprowadź go do mnie.

Gruzeł był niskim, ciemnym, może dziesięcioletnim psiarczykiem. Właśnie z werwą opowiadał, w jak wspaniałym stanie są szczeniaki, które przysły na świat w czasie nieobecności Brusa. Chwilę wcześniej pławił się w pochwałach mistrza. Teraz uśmiech spelzł mu z twarzy; chłopak obrzucił mnie zrezygnowanym spojrzeniem.

Patrzyliśmy tak jeden na drugiego, aż Brus, w otoczeniu podenerwowanych koniuchów, odszedł wzdłuż rzędu boksów. Wreszcie chłopak wzruszył ramionami i pochylił się nade mną.

- No to co, mały, jesteś głodny? Pójdziemy poszukać czegoś do jedzenia? - spytał zachęcająco, dokładnie takim samym tonem, jakiego używał wobec psów, gdy Brus był w pobliżu.

Odetchnąłem z ulgą, że nie spodziewał się po mnie więcej niż po szczeniaku, kiwnąłem głową i powlokłem się za nim.

Często się oglądał, sprawdzając, czy nadażam. Za drzwiami stajni dołączył do mnie rozhasany Gagatek. Wyraźnie urosłem w oczach Gruzła, kiedy się zorientował, jak wielkim uwielbieniem darzy mnie szczeniak; od tej pory zwracał się do nas obu. Mówił krótkimi zdaniami pełnymi otuchy, opowiadając nam, że jedzenie jest już tylko o dwa kroki, więc chodźmy razem, nie, nie leć teraz za kotem, chodźmy razem, tam znajdziemy ciekawe towarzystwo.

W stajniach panował rozgardiasz i gorączkowa krzątanina: ludzie księcia Szczerego zajmowali się swoimi końmi i ekwipunkiem, a Brus szukał dziury w całym i znajdował błąd we wszystkim, co pod jego nieobecność nie zostało wykonane tak, jak według niego być powinno. Gdy znaleźliśmy się bliżej wewnętrznej części twierdzy, wzrósł ruch pieszy. Utonęliśmy w tłumie ludzi śpieszących do najróżniejszych spraw: jakiś chłopak niósł na ramieniu ogromny polec bekonu, minęliśmy grupkę chichoczących dziewcząt, żołnierzy objuczonych strzałami, jakiegoś starca ze skwaszoną miną, dźwigającego kosz trzepoczących się ryb, i trzy młode kobiety w pstrokatych strojach z dzwonkami; ich włosy unosiły się na wietrze, szybując wraz z dźwięczeniem dzwonek.

Po zapachu poznałem, że jesteśmy już blisko celu, a i ruch wzrósł proporcjonalnie, aż znaleźliśmy się przed kuchennymi drzwiami, zagubieni w ciżbie wchodzących i wychodzących ludzi. Gagatek i ja węszyliśmy z uznaniem, a Gruzeł skrzywił się niezadowolony.

- Straszny tłok. Ludzie się szykują na dzisiejszą ucztę powitalną na cześć obu książąt, Szczerego i Władczego. Każdy, kto tylko coś znaczy, przybył dziś do Koziej Twierdzy. Wszyscy już wiedzą, że księżę Rycerski oddał tron. Panowie się zjechali, żeby o tym radzić. Albo przynajmniej przysłali zastępstwo. Słyszałem, że jest też ktoś od Chyurdów; ma się upewnić, że traktaty zawarte przez księcia Rycerskiego będą przestrzegane, nawet jeśli on sam już nie...

Zamilkł, nagle zakłopotany, ale nie jestem pewien, czy dlatego że mówił przy mnie o moim ojcu i jego rezygnacji z praw do korony, czy że zwracał się do szczeniaka i sześciolatniego chłopca jak do istot rozumnych. Rozejrzał się dookoła, ogarniając sytuację.

- Zaczekajcie tutaj - zdecydował w końcu. - Sam tam wejdę i wyniosę coś dla was. Mniejsza szansa, że mnie zbesztają... albo złapią. Zostańcie. - Podkreślił komendę oszczędnym gestem dłoni.

Przesunąłem się pod ścianę, poza główny nurt ludzkiej rzeki i kucnąłem, a Gagatek usiadł posłusznie obok mnie. Z wielkim podziwem patrzyłem, jak Gruzeł zbliża się do drzwi, zręcznie przemykając pośród tłumu.

Mijali mnie służący i kucharze, rzadziej minstrele, kupiec czy tragarz. Znużony patrzyłem, jak nadchodzą i odchodzą. Tego dnia widziałem już zbyt wiele, by mogli wzbudzić we mnie większe zainteresowanie. Byli tylko odrobinę bardziej zajmujący od jedzenia, na które

czekałem, i wizji cichego miejsca, z dala od tego tumultu. Usiadłem na ziemi pod nagrzaną słońcem ścianą i oparłem czoło na kolanach. Gagatek ułożył się przy mnie.

Obudziło mnie stukanie jego ogona o ziemię. Podniosłem głowę i ujrzałem przed sobą parę wysokich brązowych butów. Mój wzrok powędrował w górę, po skórzanych spodniach i grubo tkanej wełnianej koszuli, ku twarzy okolonej gęstą brodą i strzesze siwych włosów. Człowiek, który mi się przyglądał, trzymał na ramieniu beczułkę wina.

- Ty jesteś bękart, nie?

Słyszałem to słowo wystarczająco często, by wiedzieć, że oznacza mnie, choć nie pojmowałem w pełni jego znaczenia. Wolno skinąłem głową. Twarz mężczyzny pojaśniała.

- Hej! - zawołał już nie do mnie, ale do ludzi, którzy przepływali obok zwartą masą. - Tutaj jest bękart. Nadęty bachor Rycerskiego. Wygląda zupełnie jak on, nie? Kto jest twoją matką, chłopcze?

Większość przechodniów, ku własnej chlubie, nadal podążała swoją drogą, czasem tylko obrzucając zdziwionym spojrzeniem sześciolatka siedzącego pod ścianą. Ale pytanie, jakie mi zadał człowiek z beczułką, wzbudzało najwyraźniej ogromne zainteresowanie, gdyż sporo głów zwróciło się w naszą stronę, a paru kupców, którzy właśnie wyszli z kuchni, zbliżyło się, by usłyszeć odpowiedź.

Nie znałem odpowiedzi. Mama to była mama i wszystko, co o niej wiedziałem, już się zatarło w mojej pamięci. Tak więc nie odezwałem się nawet słowem.

- Hej, no to powiedz przynajmniej, jak masz na imię, chłopcze. - Odwrócił się do publiki. - Słyszałem, że nie ma imienia. Żadnego nadętego królewskiego miana, co by go niosło przez życie. Ani nawet zwykłego imienia, żeby można go było nim łąać. A może to nieprawda, chłopcze? Masz jakieś imię?

Grupa gapiów rosła. Niektórym z oczu wycierało szczere współczucie, ale nikt gburowi nie przerwał. Mój lęk udzielił się Gagatkowi. Pies przewrócił się na bok, odstąpił brzuch w błagalnym geście i walił ogonem w prastarym zwierzęcym sygnale, który zawsze oznaczał: „Jestem tylko szczeniakiem. Nie potrafię się bronić. Miej nade mną litość”. Gdyby wszyscy wokół byli psami, obwąchaliby mnie, a potem zostawili w spokoju. Ludzie jednak nie mają we krwi psiej kurtuazji. Więc kiedy nie odpowiadałem, ten człowiek podszedł o krok bliżej.

- Chłopcze, masz jakieś imię? - zapytał ponownie. Wstałem powoli, a ściana za moimi plecami, jeszcze przed chwilą ciepła, teraz stanowiła przenikliwie zimną barierę uniemożliwiającą ucieczkę. U moich stóp Gagatek, leżąc na grzbiecie, skręcał się w kurzu i skamlał błagalnie.

- Nie - powiedziałem cicho, a kiedy mężczyzna uczynił ruch, jakby chciał się pochylić niżej, by lepiej słyszeć moje słowa, krzyknąłem: - Nie! - I samą myślą odepchnąłem go od siebie.

Nikt w tłumie nie pojął, co się wydarzyło. A już z pewnością nie ja. Rosły mężczyzna skulił się z bólu. Ludzie skwitowali to śmiechem i tak narodziła się opinia pospólstwa o nieślubnym synu księcia Rycerskiego. Jeszcze przed zmrokiem w całym mieście huczało od opowieści o bękartie powstającym przeciwko swemu dręczycielowi.

Ruszyłem wzdłuż ściany. Widziałem, jak mężczyzna zatoczył się do tyłu, jak puścił beczułkę, która spadła i roztrzaskała się na ulicznym bruku. Gagatek zerwał się błyskawicznie z miejsca i uciekł ze mną. Raz mignęła mi w tłumie ściągnięta w wyrazie zmieszania twarz Gruzła, który wyłoniwszy się z kuchni z ciastem w rękach, zobaczył naszą ucieczkę. Gdyby to był Brus, prawdopodobnie bym się zatrzymał i jemu powierzył swoją obronę, a tak biegłem dalej, pozwalając Gagatkowi prowadzić. Uciekaliśmy wśród ludzkiej ciżby - po prostu jeden z wielu mały chłopiec z psem, biegnący przez podwórzec.

Gagatek zawiódł mnie do miejsca, które wyraźnie uważał za najbezpieczniejsze w świecie. Z daleka od kuchni i wewnętrznej twierdzy była w ziemi jama, którą Wiedźma wykopała pod rogiem rozchwierutanej przybudówki, gdzie przechowywano worki z grochem i fasolą. Tutaj

się oszczeniła i tutaj ukrywała swój miot przez prawie trzy dni. Dopiero wtedy Brus ją odnalazł. Jego zapach był pierwszą ludzką wonią, jaką poznał Gagatek.

Pod komórkę trzeba się było wcisnąć przez wąskie przejście, ale w norze było wygodnie, ciepło, sucho i panował miły półmrok. Gagatek przytulił się do mnie, a ja objąłem go ramieniem za szyję. Nasze serca wkrótce zwolniły szaleńczy rytm i obaj, uspokojeni, zapadliśmy w głęboki sen bez marzeń, jaki dany jest tylko szczeniakom w ciepłe wiosenne popołudnie.

Dużo później obudziłem się drżący z zimna. Było już zupełnie ciemno i subtelne ciepło wczesnowiosennego dnia zniknęło bez śladu. Gagatek przecknął się w tym samym czasie i obaj wypełzliśmy z nory.

Na niebie nad Kozią Twierdzą gościła późna noc, gwiazdy błyszczały jasno. Woń zatoki była teraz wyraźniejsza; dzienne zapachy ludzi, koni, gotowania - ulotne i nieważne - każdej nocy musiały ustąpić przed mocą oceanu. Szliśmy opustoszałymi ścieżkami przez dziedzińce ćwiczebne, mijaliśmy spichlerze i prasy do wina. Wszędzie panowała cisza i spokój. Kiedy zbliżyliśmy się do wewnętrznej części twierdzy, ujrzałem ciągle jeszcze płonące pochodnie i usłyszałem głośnie rozmowy. Wszystko wydawało się jednak osnute pajęczyną zmęczenia, ostatnie ślady zabawy miały zniknąć, nim świt rozjaśni niebo. Obchodziliśmy zamek szerokim łukiem, mieliśmy dosyć ludzi.

Zorientowałem się, że wracam za Gagatkiem do stajni. Gdy skierowaliśmy się ku ciężkim drzwiom, zacząłem się zastanawiać, jakim sposobem wejdziemy do środka. Ale Gagatek już szaleńczo machał ogonem, a kiedy podeszliśmy bliżej, nawet ja poczułem w ciemności zapach Brusa. Mężczyzna dźwignął się z drewnianej skrzyni stojącej przy drzwiach.

- Jesteście - odezwał się łagodnie. - No to chodźcie. Chodźcie. - Odetchnął głęboko, otworzył ciężkie drzwi i poprowadził nas do środka.

Weszliśmy za nim w ciemność, pomiędzy rzędy boksów; mijaliśmy przyjezdnych parobków i chłopców stajennych ulokowanych na noc na słomie, potem szliśmy obok naszych koni, psów i koniuchów, którzy spali między zwierzętami, aż wreszcie dotarliśmy do schodów prowadzących na mur oddzielający stajnie od klatek sokołów. Wspięliśmy się za Brussem po skrzypiących drewnianych stopniach. Oślepiło mnie łagodne żółte światło z kapiącej świecy stojącej na stole. Znaleźliśmy się w klitce ze skośnym dachem, w której pachniało Brussem oraz skórą i naftą, maściami i ziołami. Brus dokładnie zamknął drzwi, a kiedy nas mijał, idąc po drugą stronę, poczułem od niego słodkawą woń wina.

Nowa świeca, którą zapalił od tej na stole, już prawie wypalanej, rozjarzyła się chętnym płomieniem. Brus usiadł na drewnianym krześle przy stole. Wyglądał niezwykle, ubrany w strój z delikatnej cienkiej materii w odcieniach brązu i żółci, ze srebrnym łańcuchem przecinającym kaftan. Położył dłoń na kolanie, grzbietem do dołu, a wówczas Gagatek natychmiast do niego podszedł. Brus podrapał psa za uszami, potem serdecznie poklepał po boku, krzywiąc się, kiedy z sierści wzbil się tuman kurzu.

- Dobrana z was para - powiedział bardziej do szczeniaka niż do mnie. - Popatrz no tylko na siebie. Utyłany jak byle włóczęga. Dzisiaj z twojego powodu skłamałem królowi. Zrobiłem to po raz pierwszy w życiu. Powiedziałem królowi, że umyty i nakarmiony śpisz głębokim snem, wyczerpany podróżą. Nie był zadowolony, że musi czekać, by cię zobaczyć, ale na szczęście dla nas, zajęły go ważniejsze sprawy. Decyzja księcia Rycerskiego o usunięciu się w cień wzburzyła szlachetnych panów. Niektórzy upatrują w niej szansy na wyciągnięcie własnych korzyści, inni są niezadowoleni, bo czują się oszukani przez księcia, którego darzyli uwielbieniem. Król Roztropny próbuje wszystkich uspokoić. Pozwala na rozgłaszanie, że książę Szczery będzie teraz negocjował z Chyurdami. A oni mają uwierzyć, że nie powinni pilnować własnych spraw. Ale przecież się zjawili. Przyjechali obejrzeć księcia Szczerego i podumać, jakim będzie królem. Od kiedy książę Rycerski rzucił wszystko i wyjechał do Białego Gaju, w księstwach nastąpiło poruszenie, jakby kij wetknął w mrowisko.

Uniósł twarz znad pyska Gagatka.

- No dobrze, Bastardzie. Wystraszyłeś biednego Gruzła na śmierć swoją ucieczką. Nic ci nie jest? Nikt ci nic nie zrobił? Powinienem być wiedzieć, że znajdują się tacy, którzy ciebie będą winić za całe to zamieszanie. No chodź tutaj. Chodź.

Kiedy się zawahałem, wstał, podszedł do sterty koców ułożonej przy ogniu i poklepał ją zapraszająco.

- Widzisz? Tu jest miejsce dla ciebie, wszystko gotowe. A tam chleb i mięso dla was obu. Jego słowa zwróciły moją uwagę na zakryty półmisek ustawiony na stole.

„Mięso” - potwierdziły wszystkie zmysły Gagatka i nagle zapomniałem o całym świecie.

Brus roześmiał się na widok naszego pędu do stołu, a potem milcząco pochwalił, że najpierw oddzieliłem porcję dla Gagatka, a później dopiero sam zacząłem łapczywie napychać usta jedzeniem. Ucztowaliśmy aż do przesytu, gdyż Brus potrafił przewidzieć, jak głodni będą chłopak i szczeniak po całym dniu kłopotliwych przygód. A potem, mimo wcześniejszej drzemki, koce ułożone tak blisko ognia wydały nam się niezmiernie pociągające. Z pełnymi brzuchami skuliliśmy się wystawiając plecy ku ciepłym płomieniom i zapadliśmy w sen.

Gdy się zbudziliśmy następnego dnia, słońce stało już wysoko na niebie, a Brus dawno wyszedł. Zanim opuściliśmy kwatery królewskiego koniuszego, zjedliśmy piętki, które zostały z bochenka, i ogryźliśmy do czysta kości.

Na dole nikt nas nie zaczepił, nawet chyba nikt nie dostrzegł.

Zaczął się następny dzień chaosu i świętowania. Twierdza była, o ile to możliwe, jeszcze bardziej wypełniona tłumem. W przejściach stał kurz, a zmieszane głosy nakładały się na szum wiatru i bardziej odległy pomruk fal. Gagatek chłonał to wszystko, każdą woń, każdy obraz i dźwięk. Zdwojona siła wrażeń przyprawiała mnie o zawrót głowy. Ze strzępków posłyszanych rozmów zrozumiałem, że nasze przybycie zbiegło się z wiosennym Świętem Radości. Decyzja księcia Rycerskiego o rezygnacji z praw do tronu ciągle była tematem najważniejszym, ale nie przeszkadzała teatrzykom marionetek ani kuglarzom w przekształceniu każdego rogu ulicy w scenę. Co najmniej jeden z teatrzyków włączył do pieprznej komedyjki historię najnowszych wypadków. Stałem anonimowy w tłumie widzów i zdumiewałem się dialogami o obsiewaniu pola sąsiada, które dorosłych przyprawiały o paroksyzmy śmiechu.

Wkrótce tłum i zgiełk przytłoczyły nas obu, więc dałem Gagatkowi znać, że chciałbym gdzieś uciec. Opuściliśmy fortecę, przechodząc przez bramę w grubym murze, mijając strażę pochłonięte flirtowaniem z dziewczętami. Jeszcze jeden chłopiec z psem, wychodzący tuż za rodziną handlarza ryb, nie zwrócił niczyjej uwagi. Nie mając na widoku żadnej szczególnej rozrywki, szliśmy za tą rodziną coraz dalej od zamku i coraz głębiej zapuszczaliśmy się w miasto. Gagatek na każdym rogu podnosił tylną łapę, a w miarę jak pojawiały się ciągle nowe zapachy, które trzeba było sprawdzać, zostawaliśmy z tyłu, aż wreszcie szliśmy zupełnie sami.

Kozia Twierdza, miasto rozłożone u stóp warownego zamczyska, było wówczas wietrzne i surowe. Strome, kręte ulice wybrukowano kamieniami, które chybotały się i podskakiwały pod ciężarem przejeżdżających wozów. Podmuchy wiatru napełniały mój nienawykły nos zapachem morszczyków i rybich wnętrzności, a zawodzenie mew i innych morskich ptaków tworzyło niesamowitą melodię do rytmu szeptu fal. Miasto przylgnęło do czarnego skalistego klifu zupełnie tak, jak skorupiaki przywierają do pali pomostów śmiało wychodzących w zatokę. Biedniejsze domy zbudowano z kamienia i z drewna, bogatsze, całe drewniane, wspinały się wyżej po skale i głębiej w nią wrzynały.

Kozia Twierdza była tego dnia dosyć spokojna, w porównaniu z rozgardiaszem i tłumami na górze, w zamku. Żaden z nas nie miał tyle rozumu ani doświadczenia, by wiedzieć, że nadmorskie miasto nie jest bezpiecznym miejscem na spacer dla sześciolatka i szczeniaka. Badaliśmy wszystko z żywym zainteresowaniem, węszyliśmy idąc ulicą Piekarską i przez

pobliski, nieomal całkiem opustoszały targ, a potem obok magazynów i hangarów na łódzie, które się znajdowały na najniższym poziomie miasta. Tutaj woda była blisko, więc tak samo często jak po piasku czy kamieniach, szliśmy po drewnianych molach. Życie toczyło się jak co dzień, praca wrzała, niewiele uwagi zwracano na świąteczną atmosferę w zamku. Statki muszą zawinąć do portu i wyładować swoje brzemie wówczas, gdy na to pozwalają przyprawy i odpływy, a ci, którzy zarabiają na życie zarzucaniem sieci, muszą przestrzegać zwyczajów ryb, nie ludzi.

Wkrótce spotkaliśmy dzieci; niektóre zajęte były lżejszymi zadaniami należącymi do rzemiosła rodziców, inne próżnowały jak my. Szybko się z nimi poznałem, nie trzeba było żadnego szczególnego przedstawiania ani innych grzecznościowych form, które taką przyjemność sprawiają dorosłym. Większość tych dzieci była starsza ode mnie, ale było też kilkoro w moim wieku, a także kilkoro młodszych. Żadnemu z nich najwyraźniej nie wydawało się dziwne, że jestem bez opieki. Zostałem zaznajomiony ze wszystkimi atrakcjami miasta, wliczając w to wzdęte cielsko krowy, którą zagarnęły fale ostatniego przyprawy. Zwiedziliśmy nową łódź rybacką, budowaną w doku zaśmieconym pozwijanymi strużynami i mocno pachnącymi smolistymi drzazgami. Pozostawiony beztrósko bez dozoru ruszt z wędzonymi rybami zapewnił południowy posiłek sześcioro z nas. Jeżeli dzieci, z którymi przebywałem, były bardziej obdarte i hałaśliwe niż te, które zajmowały się pracą, ja tego nie zauważyłem. A gdyby mi ktokolwiek powiedział, że spędzałem czas ze zgrają małych żebraków, którym ze względu na złodziejskie nawyki broniono wstępu do zamku, doznałbym prawdziwego wstrząsu. Wówczas miałem jedynie świadomość, że bardzo przyjemnie minął mi dzień wypełniony interesującymi zajęciami. Było w tej grupie kilku wyrostków, rośniejszych i bardziej niesfornych niż reszta. Wyraźnie mieli wielką ochotę wykorzystać sposobność i dać obcemu w ucho, lecz przeszkodził temu Gagatek, który niespodziewanie pokazał zęby w swoim pierwszym agresywnym odruchu. Ponieważ nie zdradzałem żadnych oznak, bym zamierzał rzucać wyzwanie prowodyrom, pozwolono mi się przyłączyć do grupy uliczników. Byłem pod wrażeniem wszystkich ujawnianych mi sekretów i mogę zaryzykować stwierdzenie, iż pod koniec tego długiego popołudnia wiedziałem o biedniejszej części miasta więcej niż wielu spośród tych, którzy dorastali w pobliskim zamku.

Nikt mnie nie pytał o imię, wołali na mnie po prostu Nowy. Inni także mieli nieskomplikowane imiona, takie jak Szytylet czy Krowa, albo tak obrazowe, jak Złodziej Sieci czy Krew z Nosa. Ta ostatnia, gdyby nie była tak brudna i zaniedbana, mogłaby wyglądać naprawdę ładnie. Zaledwie rok lub dwa starsza ode mnie, miała wyjątkowo cięty język. Wdała się w sprzeczkę z wyrośniętym dwunastolatkiem i nie okazała strachu przed jego pięściami, a jej ostre odpowiedzi i urągania szybko sprawiły, że to z niego wszyscy się śmiali. Przyjęła zwycięstwo ze stoickim spokojem, a ja pełen byłem podziwu dla jej wyjątkowej zmyślności i odwagi.

Na twarzy i szczupłych ramionach miała sińce w tęczowych barwach - od fioleto i błękitu po żółć, a pod uchem zaschnięta krew, co przeczyło jej imieniu. Mimo to Krew z Nosa była wyjątkowo żwawa, a głos miała bardziej przenikliwy niż wołanie mew, które krążyły nad naszymi głowami.

Późne popołudnie zastało Krowę, Krew z Nosa i mnie na skalistym brzegu za wieszakami na porwane sieci, gdzie Krew z Nosa uczyła mnie, jak znajdować na skałach przyssane do nich małże. Z wprawą podważała je zaostrozonym patykiem. Pokazywała mi właśnie, jak paznokciem otwierać muszelki, gdy zawołała ją jakaś dziewczynka.

Ubrana była w lekki niebieski płaszcz, który wzdymał się wokół niej na wietrze, i skórzane buty. Najwyraźniej nie należała do grona oberwańców, moich towarzyszy. Nie zamierzała się z nami bawić, zbliżyła się tylko na tyle, byśmy usłyszeli jej słowa.

- Sikorka, Sikorka! On cię wszędzie szuka. Obudził się prawie trzeźwy przed jakąś godziną i zaczął cię przeklinać, jak tylko zobaczył, że wyszłaś, a ogień zgasł.

Przez twarz Krwi z Nosa przemknęły mieszane uczucia: bunt i strach.

- Uciekaj, Kotka, dziękuję. Będę o tobie pamiętała, kiedy następnym razem odpływ odsłoni kolonię krabów.

Kotka lekkim skinieniem głowy dała znać, że przyjmuje podziękowanie, natychmiast się odwróciła i pośpieszyła z powrotem tą samą drogą, którą przybyła.

- Masz jakieś kłopoty? - zapytałam Krew z Nosa, bo nie powróciła do szukania małży pod kamieniami.

- Kłopoty? - prychnęła wzgardliwie. - To zależy. Jeśli mój ojciec będzie trzeźwy tak długo, że mnie znajdzie, to mogę mieć trochę kłopotów. Ale raczej niedługo tak się spije, że wieczorem nawet niczym we mnie nie trafi. To więcej niż pewne! - podkreśliła z naciskiem, gdy Krowa otworzył usta, by zaprzeczyć.

Dalej brodziliśmy w wodzie. Pochylaliśmy się właśnie nad jakimś szarym wielonogim stworzeniem, które kręciło się bezradnie w kałuży pozostałej po przyptywie, gdy usłyszeliśmy chrzęst kamieni pod ciężkimi butami i wszyscy unieśliśmy głowy. Krowa natychmiast wziął nogi za pas i nawet się nie obejrzał. Krew z Nosa i ja odskoczyliśmy do tyłu, Gagatek przywarł do mnie, dzielnie obnażając kły, choć ogon bojaźliwie podkulił pod siebie.

Sikorka Krew z Nosa nie zdążyła zareagować odpowiednio szybko, a może z rezygnacją poddała się temu, co miało nastąpić.

Chudy mężczyzna uderzył ją pięścią w głowę. Był słabowity, miał czerwony nos i sterczące żebra, a zaciśnięta dłoń na końcu kościstego ramienia wyglądała na niewiele większą niż węzeł na grubej linie, ale Sikorka upadła. Gdy czołgała się na bok, unikając niezdarnego kopnięcia, pokaleczyła sobie o muszle poczerwieniałe od wiatru kolana. Następne kopniaki obsypały mnie słonym piaskiem.

- Podła suko! Kazałem ci siedzieć w domu i pilnować roboty! Ty się włóczysz po plaży, a w kotle prawie nie ubyłoby wosku! W zamku będą dzisiaj potrzebowali świec, a ja co mam im sprzedać?

- Te trzy tuziny, które zrobiłam dziś rano. Tylko tyle knotów mi zostawiłeś, stary pijaku! - Sikorka podniosła się i stała dzielnie, mimo wzbierających w oczach łez. - Co miałam zrobić? Gdybym zużyła cały opał, żeby wosk nie zastygł, nie byłoby czym ogrzać kociołka, kiedy byś mi w końcu dał knoty!

Mężczyzna zachwiał się lekko, uderzony gwałtownym podmuchem wiatru. Ten powiew przyniósł nam jego woń.

„Pot i piwo” - poinformował mnie Gagatek przemądrzale.

Przez chwilę mężczyzna wyglądał załóżnie, ale zaraz głód trzeźwego żołądka i boląca głowa zmieniły go w mocarza. Pochylił się raptownie i chwycił pobielającą gałąź wyrzuconą na brzeg.

- Nie będziesz się do mnie odzywać w ten sposób, podły bachorze! Włóczysz się z bandą żebraków i wyczyniasz El jeden wie co! Na pewno znowu kradłaś wędzone ryby, mogę się założyć, znów przynosiłaś mi wstyd! A spróbuj tylko uciekać, jak cię dopadnę, dostaniesz dwa razy tyle.

Musiała mu wierzyć, bo kiedy się do niej zbliżał, tylko uniosła szczupłe ramiona, żeby osłonić głowę, a potem, najwyraźniej przemyślawszy rzecz całą, ukryła jedynie twarz w dłoniach. Ja stałem przykuty do miejsca przerażeniem, Gagatek u moich stóp popiskiwał zarażony moim strachem. Usłyszałem świst drewnianej pałki. Serce podskoczyło mi do gardła i samą myślą odepchnąłem tego człowieka z ogromną siłą.

Zgiął się wpół, tak jak poprzedniego dnia mężczyzna z beczułką wina. Chwycił się za klatkę piersiową i upadł na piasek, skurcz targnął jego ciałem. Wypuścił z dłoni konar. Zastygł bez ruchu.

Chwilę później Sikorka rozwarła zaciśnięte powieki. Ciągle jeszcze drżała w oczekiwaniu na cios. Ujrzała ojca leżącego bezwładnie na kamienistej plaży i ze zdumienia szeroko otworzyła oczy. Skoczyła ku niemu.

- Tato, tato, co ci jest?! - zawołała. - Proszę cię, nie umieraj, przepraszani, tato, jestem taka niedobra! Nie umieraj, już będę grzeczna, przyrzekam, już będę grzeczna! - Nie dbając o krwawiące kolana uklękła przy ojcu i odwróciła jego twarz od piasku, na próżno usiłowała go posadzić.

- On by cię zabił - stwierdziłem, próbując nadać całej tej scenie jakiś sens.

- Nie. Tylko by mnie zabił, trochę, bo byłam niedobra, ale nigdy by mnie nie zabił. A kiedy jest trzeźwy i nie czuje się źle, płacze i błaga, bym nie była taka niegrzeczna i go nie złościła. Powinnam się bardziej starać, wtedy nie będzie się na mnie gniewał. Och, Nowy, on chyba nie żyje.

Ja sam też tak podejrzewałem, lecz po chwili mężczyzna wydał z siebie przerażający ochryply jęk i uchylił powieki. Widocznie minął atak choroby, który go tak nagle powalił. Ojciec Sikorki, jeszcze nieco oszołomiony, wysłuchał przeprosin córki i przyjął jej gorliwą pomoc przy wstawaniu, a nawet skorzystał z mojej, pełnej rezerwy propozycji i wsparł się na nas dwojgu. Powlekliśmy się kamienistą plażą. Gagatki ruszył z nami, okrążał nas raz za razem, ujadając wytrwale.

Żadna z osób mijanych po drodze nie zwróciła na nas większej uwagi. Odgadłem z tego, że widok Sikorki prowadzącej ojca do domu nie był niczym nadzwyczajnym. Dziewczynka na każdym kroku przeproszała, bezustannie pociągając nosem. Pomogłem jej doprowadzić ojca do drzwi małego sklepiku ze świecami. Potem razem z Gagatkiem odnalazłem wśród krętych stromych uliczek drogę do zamku i aż do powrotu dumaliśmy o tym, jak dziwni są ludzie.

Wystarczyło, że raz zasmakowałem miasta i towarzystwa uliczników, a od tej pory przyciągały mnie one niczym magnes. Brus był przez całe dni zajęty, a wieczorami pił, jak wszyscy w wiosenne Święto Radości. Niewielką przywiązywał wagę do moich wyjść i powrotów, dopóki każdego wieczoru znajdował mnie na barłogu przed paleniskiem. Najpewniej niewielkie miał pojęcie, co można by jeszcze innego ze mną robić. Pilnował jedynie, bym dobrze jadł i na noc miał dach nad głową.

Nie był to w jego życiu łatwy okres. Jak miały się potoczyć losy zaufanego człowieka księcia Rycerskiego teraz, gdy jego pan odsunął się od władzy? Zapewne to właśnie zagadnienie najczęściej zajmowało myśli Brusa. A przy tym gnębiła go jeszcze sprawa zranionej nogi. Królewski koniuszy doskonale dawał sobie radę z kataplazmami czy bandażowaniem, ale choć pierwszorzędnie leczył zwierzęta, najwyraźniej nie potrafił wyleczyć samego siebie. Raz i drugi widziałem tę ranę bez opatrunku: pulsującą postrzępioną dziurę, która za nic nie chciała się zasklepić. Ciągłe puchła, wiecznie podciekała ropą. Z początku Brus przeklinał ją siarczyście. Zaciskając zęby, z grymasem na twarzy, każdej nocy czyścił ją dokładnie i zmieniał opatrunek. Wraz z upływem czasu patrzył na nią coraz bardziej zrezygnowany. Wreszcie rana się zagoiła, lecz została po niej gruzłowata blizna szpecąca nogę, a królewskiego koniuszego z daleka można było poznać po odrobinę chwiejnym chodzie. Nic dziwnego, że przy tym wszystkim niewiele uwagi poświęcał oddanemu mu pod opiekę bękartowi.

A ja biegałem wolny, jak wolne mogą być tylko małe dzieci. Zazwyczaj nikt mnie nie zauważał. Zanim wiosenne Święto Radości dobiegło końca, straż przy bramach warowni przyzwyczały się do moich codziennych wyjść i powrotów. Brali mnie najpewniej za chłopca na posyłki, gdyż w zamku było takich wielu, nieznacznie tylko starszych niż ja. Szybko się nauczyłem podkradać z kuchni jadło na syte śniadanie dla mnie i dla Gagatka. Znajdowałem też inne pożywienie. Zbieranie przypalonych skórek chleba u piekarzy, szukanie małży i wodorostów na plaży czy podkradanie ryb z pozostawionych bez dozoru wędzarni stanowiły już codzienny rytuał. Sikorka Krew z Nosa była moją najczęstszą towarzyszką. Poza tym jednym razem nie widywałem, żeby ojciec ją bił. Najczęściej zamroczony alkoholem nawet nie potrafił jej znaleźć, albo, jeśli już ją odszukał, nie miał siły wprowadzić swoich pogroźek

w czyn. Niewiele poświęcałem myśli temu, co uczyniłem wtedy w obronie Sikorki, raczej się cieszyłem, że dziewczynka z niczego nie zdawała sobie sprawy.

W mieście spędzałem całe dnie, a do zamku chodziłem spać. Było lato, piękny czas w portowym mieście. Cała Kozia Twierdza żyła w rytmie pływów. Towary z księstw śródlądowych spływały Rzeką Kozią na płaskich barkach, obsadzonych spoconymi wioślarzami. Rozprawiali oni uczenie o mieliznach i zaporach, o punktach orientacyjnych w terenie, o wzbieraniu i opadaniu wód. Ich ładunek niesiono wyżej, do miejskich sklepów albo do magazynów, a potem znowu do doków i do ładowni. Morskie statki były obsadzone przez klnących marynarzy, którzy drwili z załóg rzecznych barek. Oni prawili o pływach, o sztormach i o nocach, gdy nawet gwiazdy nie wychylają z za chmur jasnych twarzy, by prowadzić żeglarzy przez spienione wody. Do doków Koziej Twierdzy zaglądali także rybacy, a jeśli udał im się połów, byli najweselsi ze wszystkich. Krowa oprowadzał mnie po dokach oraz tawernach i uczył, w jaki sposób chłopiec o szybkich nogach może zarobić trzy, a nawet i pięć miedziaków, biegając z wieściami po stromych uliczkach miasta. Mieliśmy siebie za bystrych i śmiałych, skoro tak przelicytowaliśmy starszych chłopców, którzy często żądali dwukrotnie więcej za jedną posyłkę. Chyba nigdy później nie byłem równie dzielny. Gdy zamykam oczy, czuję zapach tamtych dni chwały. Pakuły, smoła i świeże drewniane stróżyny z suchych doków, gdzie budowniczy statków dzierżyli strugi i młotki. Słodka woń prawdziwie świeżej ryby i trujący odór połowu przetrzymanego zbyt długo w upale. Bele wełny na słońcu dodawały własną nutę do zapachu dębu i beczulek dojrzałej okowity z Piaszczystych Kresów. Pachniały snopy siana czekające na rozrzucenie po pokładzie oraz skrzynie pełne twardych melonów. A wszystkie te wonie wiatr zatoki mieszał i doprawiał solą oraz jodem. Gagatek przekazywał mi swoje wrażenia, bo mojemu zmysłowi powonienia daleko było do jego wyostrzonego węchu.

Krowa i ja bywaliśmy wysyłani w najróżniejszych sprawach. To po nawigatora, który poszedł się żegnać z żoną i zabawił zbyt długo, to do sklepikarza z próbkami korzennych przypraw. Kapitan portu mógł kazać nam lecieć biegiem zawiadomić załogę, że jakiś głupiec źle zawiązał liny i teraz odpływ miał lada moment porwać statek. Ale najbardziej lubiłem posyłki, które nas wiodły do tawern. Tam oferowali swój towar bazarze i plotkarze. Pierwsi opowiadali klasyczne baśnie o odkrywczych podróżach i o załogach, które zmagaly się z przerażającymi sztormami, a także o szalonych kapitanach, którzy zatapiali własne okręty wraz z całą załogą. Wielu opowieści nauczyłem się na pamięć, ale tych, które pokochałem najmocniej, nie usłyszałem z ust zawodowych bazarzy, lecz od samych marynarzy. Nie były to baśnie opowiadane wszystkim ciekawskim przy palenisku, ale ostrzeżenia i wieści, przechodzące od załogi do załogi, z ust do ust, gdy mężczyźni dzielili się butelką napitku i bochenkiem chleba.

Mówili o sutych połowach, o sieciach tak ciężkich, że niemal zatapiały łódź, albo o wielkich rybach i potworach, ledwie widocznych jedynie na ścieżce pełni księżyca przecinającej kilwater. Były też historie o miastach napadniętych przez Zawyspiarzy, leżących na wybrzeżu, lub na wyspach naszego królestwa, a także opowieści o piratach i bitwach morskich, i o statkach przejętych zdradą czy podstępem. Najbardziej zajmujące były historie o najeźdźcach ze szkarłatnych okrętów - Zawyspiarzach, piratach napadających nie dość, że nasze statki i miasta, ale również innych Zawyspiarzy. Byli tacy, który sztydził słysząc o okrętach z czerwonymi kadłubami i drwili z opowiadań o korsarzach atakujących nawet podobnych im morskich rozbójników.

Krowa, Gagatek i ja siedzieliśmy na ziemi, oparci plecami o stołowe nogi, skubaliśmy słodkie ciastka po miedziaka za sztukę i z szeroko otwartymi oczyma słuchaliśmy opowieści o czerwonych statkach; o tym jak dwunastu zawisło na rei, lecz nie byli martwi, o nie, objęli się o siebie, podrygiwali i wymachiwali ramionami, gdy stada mew nurkowały, by wydziobać im oczy. Chłonęliśmy cudownie przerażające opowieści tak długo, aż nawet w zatłoczonym,

gorącym wnętrzu tawerny robiło nam się przenikliwie zimno ze strachu, a wtedy bieглиśmy znowu w dół, do doków, by zarobić następnego miedziaka.

Któregoś razu Krowa, Sikorka i ja zbudowaliśmy z drewna wyrzuconego przez morze tratwę i pływaliliśmy na niej, odpychając się drągiem od dna. Zostawiliśmy ją przywiązaną w nieodpowiednim miejscu, tak że kiedy nadszedł przyptyw, zmiażdżyła całą sekcję doku i uszkodziła dwie łodzie. Długo się baliśmy, że ktoś odkryje, iż była to nasza wina. A jednego dnia właściciel tawerny dał Krowie po uszach i oskarżył nas obu o kradzież. W odwecie wcisnęliśmy śniętego śledzia pod podporę blatu stołu. Zgnił, cuchnął i długi czas ściągał stada much, zanim szynkarz go znalazł.

Wyuczyłem się po trochu różnych zajęć; kupowanie ryb, naprawianie sieci, budowanie łodzi i próznowanie nie miało przede mną tajemnic. Więcej jeszcze dowiedziałem się o ludzkiej naturze. Nauczyłem się szybko rozpoznawać, kto rzeczywiście zapłaci przyręczonego miedziaka za dostarczenie wiadomości, a kto mnie zwyczajnie wyśmiej, gdy przyjdę po zapłatę. Wiedziałem, od którego piekarza da się coś wyprosić i w których sklepach najłatwiej coś zwędzić. Gagatek był zawsze u mojego boku, tak przywiązany do mnie, że rzadko całkowicie wycofywałem swoje myśli z jego umysłu. Korzystałem z psiego nosa, oczu i szczęk równie swobodnie jak z własnych i nigdy nie uważałem tego w najmniejszym stopniu za dziwne.

Tak minęła lepsza część lata. Pewnego pięknego dnia, gdy słońce przemierzało niebo bardziej błękitne od morza, nadszedł koniec mojej pomyślności. Sikorka, Krowa i ja właśnie podkradliśmy z wędzarni piękne pęto wątrobianych kiełbasek. Uciekaliśmy przed właścicielem. Gagatek był z nami, jak zawsze. Wszystkie dzieci przyzwyczyły się widzieć w nim mojego nieodłącznego towarzysza. Nie sądzę, by im kiedykolwiek zaświtało, żeby się dziwić naszą wyjątkową zgodnością. Byliśmy zawsze razem: Nowy oraz Gagatek. Moi przyjaciele uważali prawdopodobnie za chytrą sztuczkę fakt, że Gagatek zawsze wiedział, gdzie być, żeby chwycić naszą wspólną zdobycz, jeszcze zanim ją rzuciłem. Tak więc właściwie było nas czworo. Biegliśmy wąską uliczką, przekazując kiełbaski z brudnej ręki do wilgotnych szczęk i z powrotem, podczas gdy właściciel wędzarni, rycząc niczym zraniony bawół, ścigał nas na próżno.

Z jakiegoś sklepu wyszedł Brus.

Biegłem prosto na niego. Rozpoznaliśmy się wzajemnie w tej samej chwili wzajemnego przestraszenia. Gradowa chmura na twarzy Brusa nie pozostawiła mi żadnych wątpliwości co do jego osądu mojego zachowania.

„Uciekać” - zdecydowałem bez tchu i uskokczyłem przed wyciągniętymi ramionami królewskiego koniuszego, tylko po to by odkryć w nagłym zdumieniu, że jakimś sposobem wbiegłem prosto na niego.

Nie lubię się rozwodzić nad tym, co nastąpiło później. Dostałem po razie i od Brusa, i od rozgniewanego właściciela kiełbasek. Moi przyjaciele współwinowajcy zniknęli w zaułkach. Tylko Gagatek został; przewrócił się na grzbiet i odsłonił brzuch, gotów przyjąć razy i łajanie. Patrzyłem udręczony, jak Brus wyciąga z sakiewki monety i płaci należność. Potem chwycił mnie za kołnierz, aż prawie uniósł nad ziemię. Niewielki tłumek, oglądający moją klęskę, w końcu się rozszedł. Zdumiało mnie spojrzenie Brusa, pełne odrazy. Raz jeszcze szturchnął mnie po karku i rozkazał:

- Do domu. Już.

Pobiegliśmy, Gagatek i ja, ile sił w nogach. Przysiedliśmy na barłogu przed paleniskiem i czekaliśmy z drzeniem. Czekaliśmy i czekali. Przez całe długie popołudnie i wczesny wieczór. Obu nam burczało w brzuchach, ale wiedzieliśmy, że lepsze to niż nieposłuszeństwo. W twarzy Brusa było coś... groźniejszego niż gniew taty Sikorki.

Wrócił ciemną nocą. Słyszeliśmy jego kroki na schodach i nie potrzebowałem ostrzejszych zmysłów Gagatka, by wiedzieć, że pił. Zadrżeliśmy obaj. Oddech Brus miał ciężki i dłużej niż

zazwyczaj trwało, nim zapalił kilka świec od tej jedynej, którą zapaliłem ja. Opadł na ławę. Gagatęk zaskamlał i przewrócił się na bok odsłaniając brzuch. Ja bardzo chciałem zrobić to samo, ale tylko podniosłem bojaźliwy wzrok.

- Bastardzie - odezwał się Brus po dłuższej chwili. - Co cię naszło? Co was obu napadło? Masz królewską krew w żyłach, a włóczysz się po ulicach z pospolitymi złodziejaskami. Zachowujesz się jak zwierzę.

Milczałem.

- A ja jestem temu winien tak samo jak ty. Chodź tutaj. Chodź, chłopcze.

Zbliżyłem się do niego o krok, może dwa. Nie chciałem podchodzić zbyt blisko.

Brus zmarszczył brwi, widząc tę moją ostrożność.

- Chodź tutaj.

Zawahałem się, Gagatęk zapiszczał umordowany moim niezdecydowaniem.

Brus popatrzył na niego zdumiony. Widziałem wyraźnie, jak Pokonując zamroczenie winem, zmusza się do myślenia. Popatrzył na szczeniaka, na mnie, znowu na szczeniaka. Wykrzywił twarz w bolesnym grymasie, potrząsnął głową. Podniósł się wolno. W kącie pokoju stała krata, na której wisiały różne zakurzone narzędzia. Brus sięgnął powolnym ruchem i wziął coś do ręki. Przedmiot ten był wykonany z drewna i skóry, dziwacznie sztywny, gdyż długo nie używany. Brus machnął nim i usłyszałem trzask.

- Wiesz, chłopcze, co to jest? - zapytał łagodnie. W milczeniu pokręciłem głową.

- Bat na psy.

Przyglądałem mu się obojętnym wzrokiem. Ani pośród moich, ani Gagatka doświadczeń nic mi nie podpowiadało, jak na to zareagować. Brus najwyraźniej rozumiał moje uczucia. Uśmiechnął się miło. Mówił dalej przyjaznym tonem, choć dziwnie napiętym.

- To jest narzędzie. Służy do nauki, Bastardzie. Jeśli mówisz nieposłusznemu szczeniakowi „chodź tutaj”, a on nie przychodzi, wtedy wystarczy kilka piekących uderzeń bata i już słucha rozkazów. - Teraz mówił zupełnie beznamietnie. - Parę ostrych razów, żeby szczeniak nauczył się posłuszeństwa. - Opuścił rękę i pozwolił krótkiemu biczowi tańczyć lekko po podłodze. Gagatęk i ja nie mogliśmy oderwać oczu od rzemienia. Gdy Brus nagle machnął batem na Gagatka, szczeniak zawył przerażony, odskoczył do tyłu i skrył się za mną.

Brus ciężko przygarbił ramiona, osunął się na ławę przy kominku i zasłonił oczy.

- Och, Eda - westchnął, nie wiadomo: modląc się, czy przeklinając. - Zgadywałem, podejrzewałem, gdy tylko zobaczyłem was tak biegnących razem, ale, na oczy Ela, nie chciałem mieć racji. Nie chciałem. Nigdy w życiu nie uderzyłem szczeniaka batem. Gagatęk nie ma powodu się go bać. Ale się boi, bo od ciebie poznał jego przeznaczenie.

Czułem, że niebezpieczeństwo, choć niezrozumiałe, minęło. Osunąłem się na ziemię obok Gagatka, który wpełznął mi na kolana i zaczął niespokojnie obwąchiwać moją twarz. Uspokoilem go, proponując, byśmy zaczekali i zobaczyli, co się będzie działo dalej. Siedzieliśmy, chłopiec i szczeniak, patrząc na nieruchomego Brusa. Gdy w końcu uniósł głowę, byłem zdumiony i zatrwożony, bo wyglądał, jakby płakał.

Jak moja matka.

Pamiętam, że tak pomyślałem, choć, co dziwne, nie mogę sobie teraz przypomnieć widoku płaczącej matki. Tylko smutnego Brusa.

- Bastard, chłopcze, chodź tutaj - odezwał się cicho. Tym razem nie potrafiłem się sprzeciwić. Podniosłem się i podszedłem do niego, Gagatęk nie odstępował mnie na krok. - Ty zostań - powiedział do szczeniaka i wskazał mu miejsce przy swojej nodze, a mnie podniósł i posadził na ławie koło siebie.

- Bastardzie... - zaczął i przerwał. Wziął głęboki oddech i zaczął raz jeszcze. - Bastardzie, tak nie można. To, co robicie z tym szczeniakiem, jest złe, bardzo złe. Przeciwnie naturze. Gorsze niż kradzież albo kłamstwo. Przez takie zachowanie człowiek przestaje być człowiekiem. Rozumiesz mnie?

Patrzyłem na niego pustym wzrokiem.

Westchnął i spróbował ponownie.

- Chłopcze, w twoich żyłach płynie królewska krew. Chociaż jesteś bękartem, to przecież synem księcia Rycerskiego, pochodzisz z szacownego rodu. A to, co robisz, jest złe. Niegodne ciebie. Rozumiesz?

Milcząco pokręciłem głową.

- No właśnie, sam widzisz. Już nawet przestałeś mówić. Mów do mnie. Kto cię tego nauczył? Spróbowałem.

- Czego? - Mój głos był skrzeczący i chrapliwy. Brusowi zaokrągliły się oczy. Wyczułem, że z wysiłkiem się opanował.

- Wiesz, o co mi chodzi. Kto cię nauczył porozumiewać się w taki sposób z psem, być w jego umyśle, patrzeć jego oczyma i pozwalać mu patrzeć twoimi, rozmawiać z nim w myślach?

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę. Tak, rzeczywiście, tak się działo.

- Nikt - odpowiedziałem w końcu. - To tak samo się stało. My zawsze razem - dodałem, sądząc, że to powinno wszystko wyjaśnić. Brus przyglądał mi się ciężkim wzrokiem.

- Nie mówisz jak dziecko - zauważył nagle. - Słyszałem, że tak właśnie się dzieje z tymi, którzy wykorzystują Rozumienie. Nigdy nie są naprawdę dziećmi. Zawsze wiedzą zbyt wiele, a kiedy dorastają, dowiadują się nawet jeszcze więcej. Dlatego dawnymi czasy, gdy takiego złapano, ginął w płomieniach. Pojmujesz, co do ciebie mówię, Bastardzie?

Pokręciłem głową, a kiedy zmarszczył brwi, zmusiłem się, by dodać:

- Próbuję. Co to jest Rozumienie?

Brusa ogarnęło niedowierzanie, potem stał się podejrzliwy.

- Chłopcze!

Przestraszył mnie tym wybuchem, ale milczałem. Po chwili uwierzył w moją niewiedzę.

- Rozumienie... - rzekł wolno. Twarz mu pociemniała, patrzył w dół, na własne dłonie, jak gdyby sobie przypominał zadawniony grzech. - To siła z krwi bestii, tak jak Moc pochodzi od królów. Zaczyna się niczym błogosławieństwo, otwiera przed tobą świat pojmowany przez zwierzęta. Lecz potem cię przerasta i spycha w dół, czyni cię zwierzęciem. W końcu nie pozostaje w tobie nawet strzęp człowieczeństwa; biegasz z wywalonym jęzorem i kosztujesz krwi; stado jest dla ciebie najważniejsze. Wreszcie nikt, patrząc na ciebie, nie pozna, że byłeś kiedyś ludzką istotą. - Mówił coraz ciszej. Odwrócił się do ognia, utkwiał wzrok w przygasających płomieniach. - Niektórzy twierdzą, że potem człowiek przybiera kształty zwierzęcia, ale morduje z ludzką pasją. Zabija dla samego zabijania... Czy tego chcesz, Bastardzie? Utopić królewską krew, płynącą w twoich żyłach, we krwi ogara? Chcesz być jak zwierzę pomiędzy zwierzętami, jedynie dla wiedzy, jaką to daje? Nie koniec na tym, pomyśl, co jeszcze się wydarzy. Czy zapach świeżej krwi ma wyzwalać twój gniew? Czy widok ofiary przesłoni twoje myśli? - Słyszałem ból w jego głosie, kiedy pytał: - Czy obudzisz się rozgorączkowany i spocony, bo gdzieś w sąsiedztwie będzie się goniła suka i twój towarzysz to wywacha? Czy takie uczucie zabierzesz do łóża swojej pani? Siedziałem obok niego, mały i głupi.

- Nie wiem - odezwałem się niepewnie. Odwrócił ku mnie rozgniewaną twarz.

- Nie wiesz?! - warknął. - Ja ci mówię, dokąd to prowadzi, a ty mówisz: nie wiem?

Język miałem zupełnie wyschnięty. Przerażony Gagatek skulił się u moich stóp.

- Naprawdę nie wiem - zaprotestowałem. - Skąd mam wiedzieć, co zrobię, zanim to zrobię?

- Cóż, nawet jeśli ty nie wiesz, ja wiem! - zagrzemiał i odczułem Wtedy w pełni, jak mocno tłumił żar wściekłości, a także jak dużo wypił tej nocy. - Szczeniak idzie, ty zostajesz. Zostajesz tutaj, pod moją opieką, żebym mógł cię mieć na oku. Nie mogę już służyć księciu Rycerskiemu, lecz przynajmniej to jedno dla niego zrobię. Przypilnuję, żeby jego syn nie wyrósł na psa czy wilka. Uczynię tak, nawet gdybym miał zabić nas obu.

Sięgnął pod ławę, by podnieść Gagatka za skórę na karku. Taki miał zamiar. Szczeniak i ja odskoczyliśmy od niego. Razem rzuciliśmy się do drzwi, ale rygiel był zasunięty, a zanim sobie z nim poradziłem, Brus nas dopadł. Gagatka nogą odsunął na bok, mnie chwycił za ramię, podniósł do góry i odciągnął od drzwi.

- Chodź tu - zwrócił się do szczeniaka, ale Gagatek uciekł do mnie.

Brus stał, dysząc ciężko, a ja wychwyciłem wzbudzony strumień jego myśli, wściekłość, która nakazywała mu zmiażdżyć nas obu. Opanował te chęci, ale ów krótki przeblysłk wystarczył, by mnie przerazić. I kiedy nagle skoczył na nas, ja samą myślą odepchnąłem go z całą siłą mojego strachu.

Upadł ciężko niczym ptak trafiony w locie kamieniem i przez chwilę siedział bez ruchu. Ja się schyliłem i przygarnąłem do siebie Gagatka. Brus ciężko potrząsnął głową, jakby strzepywał z włosów krople deszczu. Podniósł się i stanął nad nami, wysoki jak góra.

- Szczeniak ma to we krwi - mruknął do siebie. - Wziął charakter po suce i nie powinienem się dziwić. Ale chłopiec musi się nauczyć. - Spojrzał mi prosto w twarz i przestrzegł: - Bastardzie, nigdy więcej tego nie rób. Nigdy. Teraz daj mi szczeniaka.

Znow się do nas zbliżał, a ja, poczuwszy strumień jego hamowanego gniewu, nie mogłem się opanować. Znow go odepchnąłem. Tym razem moja obrona napotkała ścianę, która oddała mi cios tak potężnie, że się od niej odbiłem i osunąłem na ziemię, prawie zemdlałem; mój umysł zapadł w ciemność. Brus pochylił się nade mną.

- Ostrzegałem cię - rzekł cicho, głosem podobnym do warkotu wilka.

Potem poczułem, jak palcami chwyta Gagatka za kark. Uniósł szczeniaka przemocą i zabrał go, poniósł, dość delikatnie, do drzwi. Ze skoblem, który dla mnie stanowił taką przeszkodę, poradził sobie łatwo i po chwili usłyszałem jego kroki na schodach.

W jednej chwili przyszedłem do siebie. Zerwałem się na równe nogi, rzuciłem do drzwi, ale były zamknięte na klucz, gdyż bezskutecznie szarpałem skobel. Moja więź z Gagatkiem słabła, w miarę jak Brus unosił go coraz dalej i dalej ode mnie, zostawiając pustkę i beznadziejną samotność. Zaskomlałem, potem zawyłem, drapałem w drzwi. Nagle oślepił mnie błysk czerwonego bólu i Gagatek zniknął. Gdy jego psie zmysły opuściły mnie całkiem, krzyknąłem rozzdzierająco i zapłakałem: samotny sześciolatek. Na próżno waliłem pięściami w grube drewniane deski.

Wydawało mi się, że minęły całe godziny, nim Brus wrócił. Podniosłem głowę ze stopnia, gdzie leżałem, dysząc z wyczerpania. Gdy próbowałem czmychnąć obok niego, chwycił mnie wprawnie za koszulę. Szarpnięciem zawrócił do pokoju, zatrzaskał i zaryglował drzwi. Bez słowa rzuciłem się na nie, w gardle narastał mi skowyt. Brus usiadł ciężko.

- Nawet o tym nie myśl, chłopcze - ostrzegł mnie surowo, zupełnie jakby znalazł desperackie myśli kłębiące się w mojej głowie. - Już go nie ma. Nie ma szczeniaka i to wielka szkoda, bo był z dobrej krwi. Z rodu prawie tak starego jak twój. Ale raczej stracę psa niż człowieka. - Nie odezwałem się słowem. - Spróbuj za nim nie tęsknić - dodał, prawie współczująco. - Wtedy mniej boli.

Nie potrafiłem przestać tęsknić, a w jego głosie słyszałem, że tak naprawdę wcale się tego po mnie nie spodziewał. Westchnął, zgasił lampę i ułożył się do snu. Nie spał jednak wcale, a o świcie wstał, podniósł mnie z barłogu i ułożył na swoich wygrzanych kocach. Wyszedł znowu i nie było go przez kilka godzin.

Na długie dni pograżyłem się w rozpacz, trawiony gorączką. Brus rozgłosił, jak sędzę, że dokuczają mi jakieś dziecięce dolegliwości, więc zostawiono mnie w spokoju. Wiele czasu minęło, nim pozwolono mi znowu wyjść, a i wtedy nie samemu.

Od tamtej pory Brus starannie pilnował, bym nie miał szansy zaprzyjaźnić się z jakimkolwiek zwierzęciem. Na pewno był przekonany, że mu się to udało, i w pewnym stopniu rzeczywiście tak było, ponieważ nie zadzierzgnąłem szczególnej więzi z żadnym psem ani koniem. Wiem, że Brus działał w dobrej wierze, ale ja nie czułem się chroniony, lecz

więziony. Królewski koniuszy został strażnikiem fanatycznie strzegącym mnie przed Rozumieniem. Wówczas to w mojej duszy zakiełkowała i głęboko zapuściła korzenie gorycz samotności.

3

POROZUMIENIE

Pierwotne źródło Mocy pozostanie zapewne na zawsze okryte mgłą tajemnicy. Bezsprzecznie zdolność do jej wykorzystywania najczęściej przejawia się wśród członków rodu królewskiego, jednak nie jest ona przypisana wyłącznie władcom. Warto zauważyć, że Zawyspiarze najwyraźniej nie są obdarzeni talentem do władania Mocą, podobnie jak nie mają go pierwotni mieszkańcy Królestwa Sześciu Księstw. Wydaje się, iż ziarno prawdy tkwi w ludowym przysłowiu: „Gdzie krew morza miesza się z krwią równin, tam kwitnie Moc”.

* * *

Czy taka jest natura świata, że wszystko się dzieje rytmicznie i że w tym rytmie jest specyficzny spokój? Wszystkie wypadki, bez względu na to, jak wstrząsające czy radosne, stonowane są przez rutynę codziennego życia. Mężczyźni przemierzający pole bitwy w poszukiwaniu rannych pomiędzy zabitymi zatrzymują się, by odkaslnąć czy wydmuchać nos. Podniosą oczy na niebo za kluczem gęsi. Widziałem chłopów idących za pługiem czy obsiewających pole, choć za pobliskimi wzgórzami ścierały się armie.

Także i mnie dotyczy ta reguła. Wspominam własne dzieje i nie mogę wyjść z zadziwienia. Zostałem zabrany od matki, wywieziony do obcego miasta, opuszczony przez ojca i oddany pod opiekę jego służącemu, a potem pozbawiony towarzystwa ukochanego szczeniaka, a jednak żyłem jak każdy mały chłopiec. Dla mnie oznaczało to wstawanie z łóżka, gdy obudził mnie Brus, i deptanie mu po piętach w drodze do kuchni, gdzie jadłem tuż obok niego. Potem stale byłem jego cieniem. Rzadko spuszczał mnie z oka. Chodziłem za nim krok w krok, przyglądałem się jego pracy i w końcu po trochu zacząłem mu pomagać. Przy wieczerzy siadałem na ławie u boku Brusa, a on wszystkowiedzącym spojrzeniem doglądał moich manier przy stole. Potem szedłem na górę, do izby, gdzie przez resztę wieczoru, wpatrzony milcząco w płomienie, czekałem na jego powrót lub przyglądałem się, jak pił i pracował: naprawiał uprząże albo je robił, mieszał jakieś maści, przygotowywał lekarstwo dla chorego konia. On pracował, a ja się mimo woli uczyłem, choć - jak pamiętam - niewiele rozmawialiśmy. Dziwi mnie teraz, że w ten sposób minęły mi niemal trzy następne lata.

Nauczyłem się postępować podobnie jak Sikorka: w te dni, gdy Brus był zajęty gdzie indziej - przy polowaniu czy przy żrebieniu się kobyły - wykradałem dla siebie okruchy czasu. Raz ośmieliłem się wymknąć ze stajni, gdy wypił za dużo. W tych chwilach wolności szukałem swoich kompanów i biegałem z nimi miejskimi zaułkami. Brakowało mi Gagatka, brakowało tak dotkliwie, jak gdyby Brus odciął mi prawą rękę. Jednak żaden z nas już nigdy nie wspomniął o szczeniaku.

Kiedy tak pogrążam się we wspomnieniach, rozumiem, iż Brus był równie samotny jak ja. Nie dostał zezwolenia na podążenie za księciem Rycerskim na wygnanie i musiał się opiekować bezimiennym bękartem, w którym odkrył skłonności, równoznaczne dla niego z perwersją. W dodatku, gdy zraniona noga wreszcie się zagoiła, stało się jasne, iż nigdy już nie będzie równie dobrze jak niegdyś jeździł konno, polował, a nawet chodził. Wszystko to

musiało być bardzo trudne dla człowieka takiego jak Brus. Nigdy nie słyszałem, by komukolwiek się żalił. Ale też, gdy tak spoglądam w przeszłość, nie dostrzegam nikogo, komu mógłby się poskarżyć. Obaj byliśmy więźniami samotności, a gdy siadywaliśmy razem wieczorami, każdy z nas patrzył na tego, którego za to winił.

Wszystko z czasem mija, więc wraz z upływem miesięcy, a następnie lat, powoli znajdowałem sobie miejsce w schemacie codziennej rutyny. Usługiwałem Brusowi: przynosiłem mu potrzebne narzędzia i leki, zanim zdążył poprosić, sprzątałem po jego oporządzaniu zwierząt, pilnowałem, żeby sokoły miały czystą wodę, i wyciągałem kleszcze psom wracającym z polowania. Ludzie przywykli i nie wytykali mnie już palcami. Niektórzy zdawali się w ogóle nie dostrzegać mojej obecności. Stopniowo Brus nieco mniej skrupulatnie mnie pilnował, ale ja i tak ciągle dbałem, żeby się nie dowiedział o moich wypadach do miasta.

Były w twierdzy inne dzieci, także moi rówieśnicy, niektórzy nawet ze mną spokrewnieni - kuzyni drugiego lub trzeciego stopnia. Nigdy nie nawiązałem z żadnym prawdziwej przyjaźni. Młodsze pozostawały pod opieką matek albo nianie, starsze miały swoje obowiązki. Większość dzieci traktowała mnie z rozmyślnym okrucieństwem; byłem obcy. W ten sposób, choć bywało, że nie widziałem się ze Sztyletem, Krową czy Sikorką czasem całe miesiące, i tak pozostawali oni moimi najbliższymi przyjaciółmi. Podczas zimowych wieczorów, gdy mieszkańcy twierdzy zbierali się w sali biesiadnej, by słuchać ballad, oglądać występy teatrów marionetek czy zabawiać się różnymi grami, ja badałem zakątki warowni i szybko się nauczyłem, gdzie jestem mile widziany, a gdzie nie.

Trzymałem się z daleka od królowej, bo jeśli mnie zauważyła, zawsze znajdowała w moim zachowaniu jakieś uchybienie i karciała zań Brusa. Książę Władczy także stanowił źródło niebezpieczeństwa. Był mężczyzną w sile wieku, a nie miał żadnych skrupułów, by brutalnie odepchnąć mnie na bok, jeśli przypadkiem znalazłem się na jego drodze, albo rozdeptać drobne przedmioty, które sobie akurat upatrzyłem do zabawy. Był wyjątkowo pedantyczny, a przy tym mściwy; nigdy nie zauważyłem podobnych cech u księcia Szczerego. Nie twierdzę, że książę Szczery poświęcał mi wiele czasu, ale traktował mnie życzliwie. Przy przypadkowym spotkaniu, mierzwił mi włosy albo dawał drobną monetę. Któregoś razu służący przyniósł do pokoju Brusa kilka małych drewnianych zabawek: figurki żołnierzyków, koniki i powozy. Obdrapana farba świadczyła, że Szczery znalazł je gdzieś w zapomnianym kącie skrzyni i zapewne przyszło mu do głowy, że mogłyby sprawić radość dziecku. Nie przypominam sobie, by jakaś inna zabawka miała dla mnie większą wartość.

Gruzeł stanowił dla mnie kolejne zagrożenie. Tylko jeżeli Brus był w pobliżu, odzywał się do mnie miło, traktował dobrze, korzystał z mojej pomocy. Normalnie dawał mi do zrozumienia, że nie chce mnie widzieć i nie życzy sobie, bym mu się plątał pod nogami. Rozumiałem doskonale, że był o mnie zazdrosny, bo od kiedy Brus miał mnie pod opieką, nim się mniej interesował. Nigdy nie był dla mnie jawnie okrutny, nigdy mnie nie bił, nigdy nie wyzywał, ale czułem jego niechęć, więc starałem się schodzić mu z drogi.

Żołnierze wszyscy mieli dla mnie wiele wyrozumiałości. Poza małymi ulicznikami z miasta byli dla mnie chyba najbliższymi przyjaciółmi. Jednak bez względu na to, jak tolerancyjni są dorośli mężczyźni w stosunku do dziesięcioletniego chłopca, niewiele mają z nim wspólnego. Przyglądałem się ich grze w kości i słuchałem opowiadań, ale bywały też dni, gdy nie chodziłem do żołnierzy wcale. A Brus, choć nigdy nie zabraniał mi odwiedzania wartowni, nie krył, że mu się nie podoba, gdy tam spędzam czas.

Tak więc nie byłem członkiem społeczności twierdzy. Jednych unikałem, innych obserwowałem z dala, jeszcze innym byłem posłuszny. Z nikim jednak nie nawiązałem serdecznej znajomości.

Któregoś dnia, w czasach gdy jeszcze byłem odrobinę nieśmiałym dziesięcioletkiem, wczesnym rankiem bawiłem się ze szczeniakami pod stołami w sali biesiadnej. Poprzedniego

dnia wypadła jakaś szczególna okazja i świętowanie przeciągnęło się do późnej nocy. Brus spił się do nieprzytomności. Niemal wszyscy mieszkańcy zaniku - czy to szlacheckiego rodu, czy ze służby - byli jeszcze w łóżkach, a kuchnia nie miała mi zbyt wiele do zaoferowania. Tymczasem stoły w sali biesiadnej stanowiły istną skarbnicę pokruszonego pieczywa i półmisków z resztkami mięsiwa. Stały tam także misy pełne jabłek, leżały kawały sera, krótko mówiąc - co tylko mógł sobie wymarzyć głodny chłopiec. Dorosłe psy wybrały najlepsze kąski i wycofały się w kąty sali, zostawiając młodszemu rozkradanie drobniejszych resztek. Ściągnąłem pod stół spory kawał pasztetu i dzieliłem się nim szczerze z moimi ulubionymi szczeniakami. Od czasów Gagatka dokładałem wszelkich starań, by Brus nie widział mnie w zbyt wielkiej komitywie z żadnym zwierzęciem. Nadal nie rozumiałem, dlaczego się sprzeciwiał mojej zażyłości z ogarem, ale musiałem być posłuszny, bo inaczej ryzykowałbym życie szczeniaka. Tak więc rozdzielałem kęsy pomiędzy trzy młode psy, gdy wtem usłyszałem wolne kroki szeleszczące na posypanej trzcina podłodze. Szło dwóch mężczyzn; rozmawiali o czymś przyciszonymi głosami.

Myślałem, że to służący z kuchni przyszli sprzątać, więc wygramoliłem się spod stołu, by chwycić jeszcze trochę resztek, nim je zabrają.

Lecz to nie służący spojrzeli na mnie odrobinę zaskoczony, lecz mój dziadek, król. A o krok za nim, tuż przy jego łokciu, siedział książę Władczy. Mętny wzrok i wygnieciona kamizela świadczyły nieomyślnie, iż brał udział w hulance minionej nocy. Za nimi dreptał nowy błazen króla, bladymi oczyma niespokojnie omiatając salę biesiadną. Był tak dziwną istotą, że prawie nie śmiałem na niego patrzeć. Król Roztropny przez chwilę milczał zaskoczony.

- Widzisz, synu - odezwał się po chwili do księcia Władczego - oto dowód na prawdziwość moich słów. Okazja nasuwa się sama, i i na pewno ktoś z niej skorzysta. Ktoś młody lub mający energię właściwą młodości. Jeśli w twoich żyłach płynie królewska krew, nie wolno ci takich okazji nie dostrzegać ani ich ignorować, gdyż dla innych mogą stanowić zbyt dużą pokusę.

Król podjął przechadzkę kontynuując temat, książę Władczy natomiast obrzucił mnie złowrogim spojrzeniem przekrwionych oczu. Gestem ręki dał mi znać, że powinienem zniknąć. Skinąłem głową, ale zanim umknąłem, odważnie sięgnąłem na stół. Zebrałem już w kaftan dwa jabłka i dużą część ciasta agrestowego, gdy nagle król odwrócił się i wskazał na mnie dłonią. Błazen powtórzył gest. Skamieniałem w miejscu.

- Popatrz na niego - rzekł król. Nie śmiałem drgnąć.

- Kim będzie?

Książę Władczy zdawał się zmieszany.

- On? To Bastard. Bękart Rycerskiego. Jak zwykle płacze się pod nogami i podkrada resztki.

- Błazen. - Król miał uśmiech na wargach, ale jego oczy pozostały niewzruszone.

Błazen sądząc, że władca zwrócił się do niego, przyoblekł na twarz przesłodzony grymas.

- Czy masz uszy zatkane woskiem? - ciągnął król. - Nie słyszysz, co do ciebie mówię? Nie pytałem cię, kim jest, ale kim będzie. Popatrz na niego: młody, silny i zmyślny. Jest w każdym calu królewskim potomkiem, tak samo jak ty, tyle że narodził się z nieprawego łoża. A więc, kim będzie? Posłusznym narzędziem? Bronią? Towarzyszem? Wrogiem? Czy też zapomnianego, na uboczu, zostawisz go dla kogoś, kto będzie umiał wykorzystać sytuację i użyje go przeciwko tobie?

Książę Władczy popatrzył na mnie spod zmrużonych powiek, potem przeniósł wzrok gdzieś poza moje plecy i nie znajdując nikogo, powrócił zdumionym spojrzeniem do mnie. Szczeniak u moich stóp zaskamlał prosząc o resztkę, którą się dzieliliśmy. Kazałem mu być cicho.

- Ten bękart? Przecież to tylko dziecko. Stary król westchnął.

- Dzisiaj tak. Dzisiejszego ranka, teraz, jest dzieckiem. Gdy go dostrzeżesz następnym razem, będzie już młodzieńcem albo nawet dojrzałym mężczyzną. I wówczas będzie za późno. Ale

ukształtuj go teraz, synu, a za dziesięć lat będziesz w nim miał wiernego sługę. W miejsce zawiedzionego bękart, którego nietrudno przekonać, by pretendował do tronu, zyskasz zwolennika, zjednoczonego z rodziną zarówno więzami krwi, jak i pokrewieństwem ducha. Bękart, synu, to skarb. Załóż mu na palec sygnet i wyślij z poselstwem, a stworzyłeś dyplomatę, którego żaden władca nie śmie lekceważyć. Można go bezpiecznie wyprawić tam, gdzie nie wolno ryzykować życia księcia krwi. Aż trudno sobie wyobrazić bogactwo ról, jakie może odgrywać ktoś, kto jest, a jednak nie jest z królewskiego rodu. Wymiana zakładników. Koligacenie przez małżeństwo. Dyskretne poruczenia. Dyplomacja noża.

Na dźwięk ostatnich słów księciu Władczemu zaokrągliły się oczy. Wszyscy trzej w ciszy przyglądaliśmy się sobie wzajemnie. Gdy księżę odezwał się nareszcie, brzmiało to, jakby mu utkwił w gardle kawałek suchego chleba.

- Mówisz o wszystkim przy chłopcu. O tym, że można go użyć niczym narzędzie, broń. Czy nie sądzisz, że gdy dorośnie, będzie pamiętał twe słowa?

Król Roztropny wybuchnął gromkim śmiechem, dźwięk poniósł się echem wśród kamiennych ścian.

- Czy będzie pamiętał? Ależ oczywiście. Na to liczę. Spójrz mu w oczy, synu. Błyszczą inteligencją, może jest w nich też lśnienie Mocy. Byłbym głupcem, próbując go oszukać. A jeszcze większym głupcem, gdybym zaczął jego ćwiczenia i edukację bez żadnych wyjaśnień. Wówczas jego umysł byłby niczym ziemia leżąca odłogiem, podatna na każde ziarno. Prawda, chłopcze?

Przez cały czas, gdy mówił, patrzyliśmy sobie w oczy. W źrenicach swego dziadka, króla, dostrzegłem szczerość, niewzruszoną jak skała. Nie było w tym spojrzeniu pociechy, ale wiedziałem, że na tego człowieka zawsze mogę liczyć. Wolno skinąłem głową.

- Chodź tutaj - polecił.

Podszedłem do niego bez pośpiechu. Kiedy się zbliżyłem, przykląkł, by znaleźć się ze mną twarzą w twarz. Księżę Władczy patrzył na nas obu z góry. W tamtym czasie zupełnie nie pojąłem ironii tego obrazu - stary król zgiął kolano przed swym wnukiem bękartem. Władca wyjął z moich rąk ciasto i rzucił je szczeniakom, które nie odstępowały mnie na krok. Z fałd jedwabiu pod szyją wyjął broszę i uroczyście ją wpiął w surową wełnę mojej koszuli.

- Teraz należysz do mnie - rzekł w taki sposób, że deklaracja ta stała się dla mnie ważniejsza niż wszelkie więzy krwi. - Już nie musisz jadać resztek. Jesteś pod moją opieką i ja będę o ciebie dbał. A jeśli się zdarzy, że ktoś zechce cię obrócić przeciwko mnie, oferując ci więcej niż daję ja, wtedy przyjdiesz do mnie i opowiesz mi o wszystkim, a ja dam ci więcej. Nigdy nie znajdziesz we mnie skąpca, nigdy w zawiedzionym zaufaniu nie będziesz miał racji dla zdrady. Czy wierzysz mi, chłopcze?

Pokiwałem milcząco głową, jak to ciągle miałem w zwyczaju, ale mocne spojrzenie ciemnych oczu żądało więcej.

- Tak, panie - wykrztusiłem.

- To dobrze. Wydam odpowiednie rozkazy. Chcę, żebyś się do nich zastosował. Jeżeli cokolwiek wyda ci się dziwne, porozmawiaj z Brussem. Albo nawet ze mną. Przyjdź do drzwi moich komnat i pokaż tę broszę. Zostaniesz wpuszczony.

Przeniosłem spojrzenie na czerwony kamień błyszczący w srebrnej oprawie.

- Tak, panie - zdołałem powiedzieć.

- Ach! - westchnął cicho.

Usłyszałem w tym westchnieniu ślad żalu, lecz nie wiedziałem, czego mógł się tyczyć. Król odwrócił ode mnie wzrok i nagle znowu dostrzegłem całe otoczenie: szczeniaki, salę biesiadną, księcia Władczego patrzącego na mnie z nową niechęcią na twarzy i błazna, głupawo kiwającego entuzjastycznie głową. Król wstał. Kiedy odwrócił się ode mnie, ogarnął mnie chłód, jak gdybym nagle zrzucił z ramion ciepły płaszcz. Było to moje pierwsze zetknięcie z Mocą we władaniu mistrza.

- Nie pochwalasz tego, synu? - zapytał król zdawkowym tonem.
- Ojciec mój, król, może robić, co zechce - odparł ksiązę ponuro.

Król Roztropny westchnął.

- Nie o to cię pytałem.

- Moja matka, królowa, z pewnością tego nie pochwali. Faworyzowanie chłopca może jedynie stworzyć błędne wrażenie, że go uznajesz za prawowitego dziedzica. Mogą mu zacząć przychodzić do głowy najróżniejsze myśli.

- A fe! - prychnął król, niby rozbawiony. Księżcia Władczego zalała fala wściekłości.

- Moja matka, królowa, nie zgodzi się z tobą i nie będzie zadowolona. Moja matka...

Król Roztropny w zamyśleniu kiwał głową.

- Twoja matka nie zgadza się ze mną i nie jest ze mnie zadowolona od ładnych kilku lat. Już tego nawet prawie nie zauważam, synu. Będzie zrzędziła i narzekała, i powie mi znowu, że wolałaby wrócić do Księstwa Trzody, być tam księżną i mieć w tobie następcę. A jeśli będzie bardzo rozgniewana, zagrozi, że kiedy już mnie opuści, wówczas księstwa Rolne i Trzody powstaną w rebelii i utworzą oddzielne królestwo, a ona zostanie jego królową.

- A ja po niej królem! - dodał ksiązę Władczy buntowniczo. Utkwił wzrok w podłodze. Wyczułem bijące od niego fale gniewu.

- Tak, domyślam się, że posiała tę jęczącą zdradę w twoim umyśle - pokiwał głową król. - Posłuchaj, chłopcze. Twoja matka może łajać służbę i rzucać naczyniami, ale nigdy nie zrobi nic ponadto, ponieważ wie, że lepiej być królową spokojnego królestwa, niż władczynią księstwa ogarniętego rebelią. A Księstwo Trzody nie ma żadnych powodów, by powstawać przeciwko mnie, poza tymi, które się rodzą w głowie królowej. Jej ambicje zawsze przewyższały możliwości. - Zamilkł i spojrzał synowi prosto w oczy. - U członków rodu królewskiego jest to najbardziej godna pożałowania skaza.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Chodźmy - rzekł król i ksiązę Władczy poszedł za nim, posłuszny niczym wierny pies. Ale spojrzenie, które mi rzucił na odchodnym, było jadowite.

Stary król opuścił salę biesiadną. Ogarnęło mnie poczucie osamotnienia. Dziwny człowiek. Choć byłem bękartem, jednak zdeklarował się jako mój dziadek i powiedział mi wprost, co chce uzyskać w zamian.

Błady błazen przystanął w drzwiach. Chwilę przyglądał mi się z uwagą, po czym uczynił niezrozumiały gest wąskimi dłońmi. Mogła to być obelga lub błogosławieństwo. Albo po prostu machnięcie rękoma. Potem uśmiechnął się, pokazał mi język, odwrócił na pięcie i pośpieszył za królem.

Choć pomny byłem obietnic króla, to jednak naładowałem kaftan słodkimi ciasteczkami, a potem, ukryty pod stołem, dzieliłem się nimi ze szczeniakami. Żaden z nas nie miał w zwyczaju jadać tak obfitego śniadania; mój żołądek jeszcze wiele godzin później mruczał coś nieszczęśliwie. Szczenięta ułożyły się wygodnie i wkrótce posnęły, lecz ja miotałem się rozdarty między lękiem a obawą o własną przyszłość. Prawie miałem nadzieję, że nic się nie zmieni, że król zapomni o swojej obietnicy. Ale on nie zapomniał.

Późnym wieczorem dotarłem w końcu na piętro nad stajniami, do izby Brusa. Cały dzień rozważałem, co mogą oznaczać dla mnie słowa króla. Mogłem sobie oszczędzić zachodu. Brus na mój widok odłożył uprząż, którą właśnie naprawiał. Jakiś czas przyglądał mi się w milczeniu. Coś się zmieniło i lękałem się tego. Od czasu gdy Brus usunął z mojego życia Gagatka, wierzyłem, że ma on władzę także nad moją śmiercią. Że bękarta można się pozbyć równie łatwo jak szczeniaka. Mimo to byłem do niego coraz bardziej przywiązany; nie potrzeba miłości, żeby być od kogoś uzależnionym. To swoiste zaufanie, że zawsze mogę polegać na Brusie, było jedynym prawdziwie stabilnym elementem mojego życia, a teraz czułem, jak grunt usuwa mi się spod stóp.

- No tak - odezwał się w końcu. - Musiałeś mu się pchać przed oczy. Musiałeś ściągać na siebie jego uwagę. No tak. Zdecydował, co z tobą zrobić. - Westchnął i cisza nabrała innego wymiaru. Przez krótką chwilę miałem wrażenie, że prawie się nade mną litował. - Jutro mam ci wybrać konia. Sugerował młode zwierzę, miałbym was przyuczać obu razem. Ale go przekonałem, żebyś zaczął ze starszym, już ułożonym. Jeden uczeń naraz, tak mu powiedziałem. Mam swoje powody dać ci zwierzę... mniej podatne na wpływy. Bacz, żebyś się zachowywał, jak potrzeba. Poznam, jeśli coś będzie nie tak. Rozumiemy się?

Skinąłem głową.

- Odpowiedz, Bastardzie. Będziesz musiał używać języka, jeśli masz się rozumieć ze swoimi mistrzami i nauczycielami.

- Tak, panie.

I tyle Brus. Powierzenie mi konia całkowicie zaprzętnęło jego umysł. Resztę oznajmił mi dość obojętnie.

- Od jutra będziesz, chłopcze, wstawał o świcie. Rano ja będę cię uczył, jak dbać o konia, jak nim kierować. Jak polować z psami i czynić je sobie posłusznymi. Nauczę cię, jak człowiek panuje nad zwierzętami.

Ostatnie zdanie podkreślił z naciskiem. Serce mi zamarło, ale poruszyłem głową, żeby skinąć, potem się poprawiłem i ubrałem to kiwnięcie w słowa:

- Tak, panie.

- Popołudniami należysz do nich. Walka wręcz i inne takie. Prawdopodobnie w końcu także władanie Mocą. Zimą będziesz pobierał nauki w komnatach. Języki i znaki. Pisanie, czytanie, bez wątpienia także liczenie. I jeszcze historia. Co zrobisz z tym wszystkim, nie mam pojęcia, ale pamiętaj, masz się starać dobrze uczyć, musisz zadowolić króla. Jemu nie można się bezkarnie sprzeciwiać, najlepiej go nawet nie urazić. Najmądrzej byś zrobił, gdybyś się postarał, żeby cię w ogóle nie zauważył. Ale nie uprzedziłem cię o tym wcześniej, a teraz już za późno.

Odchrząknął i zaczerpnął głęboko powietrza.

- A, tak, i jeszcze jedna rzecz się zmieni. - Wziął w rękę kawałek skóry, nad którym pracował, i znów się nad nim pochylił. Zdawało się, że mówi nie do mnie, lecz do swych palców. - Teraz będziesz miał własną komnatę w zamku, gdzie mieszkają wszyscy szlachetnie urodzeni. Możesz iść tam spać już teraz, jeśli tylko rano zjawisz się na czas.

- Jak to? Nie rozumiem. Komnata?

- O, więc potrafisz mówić, i to dosyć prędko, jeśli masz ochotę. Dobrze usłyszałeś, chłopcze. Będziesz miał własną komnatę, w zamku, na górze. - Po krótkiej pauzie podjął z zapalem: - Wreszcie odzyskam odrobinę prywatności. Aha, jutro będą ci brać miarę na nowe ubrania. I buty. Chociaż jaki to sens wkładać buty na nogę, która ciągle jeszcze rośnie, to ja naprawdę...

- Nie chcę żadnej komnaty. - Choć życie z Brussem nie było łatwe czułem się tu bezpieczny. Jaki los mnie czekał? Wyobrażałem przestronne, zimne wnętrza o kamiennych ścianach, z groźnymi cieniami kryjącymi się po kątach...

- Musisz tam zamieszkać - oznajmił Brus nieugięcie. - Najwyższy czas. Jesteś potomkiem księcia Rycerskiego, więc nie możesz bez końca mieszkać w stajniach jak zabłąkany szczeniak. To po prostu nie uchodzi.

- Ja się nie zgadzam! - zaprotestowałem płacząco. Brus popatrzył na mnie surowo.

- Mój ty mały. Bardzo dzisiaj gadatliwy, prawda? Spuściłem oczy pod jego spojrzeniem.

- Ty mieszkasz tutaj - zauważyłem posępnie. - Nie jesteś przecież zabłąkanym szczeniakiem.

- Ani książęcym bękartem - odparł zwięźle. - Będziesz teraz mieszkał w twierdzy, Bastardzie, i tyle.

Ośmieliłem się podnieść na niego wzrok. Znowu mówił do swoich palców.

- Wolałbym być zabłąkanym szczeniakiem - ośmieliłem się powiedzieć. A potem lęk załamał mi głos, kiedy dodałem: - Nie postąpiłbyś tak z psem, nie dałbyś zmienić mu wszystkiego od

razu. Kiedy dawali szczeniaka baronowi Bezlitosnemu, wysłałeś z psem swoją starą koszulę, żeby miał coś, co mu będzie pachniało gniazdem, zanim się zadomowi.

- No tak... - mruknął. - Ja nie... chodź, Bastardzie. Chodź tutaj, chłopcze.

I jak szczeniak podszedłem do niego, jedyne go pana, jakiego znałem, a on poklepał mnie lekko po plecach i zmierzwił mi włosy gestem, jakim czochrał psy.

- Już się nie bój. Nie ma się czego bać. A poza tym - w jego głosie usłyszałem kojące tony - powiedzieli nam tylko, że masz mieć swoją komnatę w zamku. Nikt nie mówił, że musisz tam spać każdej nocy. Od czasu do czasu, jeśli będzie ci tam trochę nudno, przecież trafisz tutaj, co? No jak, Bastardzie, jak ci się to podoba?

- Chyba podoba - wyszeptałem.

- W ciągu dwóch tygodni zaszły w moim życiu szybkie i gwałtowne zmiany. Brus obudził mnie o świcie następnego dnia, zostałem wykąpany i wyszorowany, obciął mi włosy nad oczyma, a z tyłu związał w kucyk, taki jakie widywałem u starszych mężczyzn w twierdzy. Powiedział mi, żebym włożył najlepsze ubranie, a potem cmokał, jakie zrobiło się na mnie małe. W końcu ze wzruszeniem ramion zdecydował, że będzie musiało wystarczyć.

Potem w stajniach pokazał mi kobyłę, którą dla mnie wybrał. Maść miała szarą, grzbiet upstrzony ciemniejszymi plamkami, a grzywę, nos, ogon i skarpety przyczernione, jakby powalane sadzą. I tak właśnie brzmiało jej imię. Była spokojnym zwierzęciem, dobrze ułożonym i zadbanym. Nie znałem bardziej zrównoważonego wierzchowca. W drodze do stajni miałem nadzieję przynajmniej na kogoś wałacha z nerwem, ale została mi przeznaczona Sadza. Próbowałem ukryć rozczarowanie, lecz Brus wyczuł je i tak.

- Nie podoba ci się, co? A ile koni miałeś wczoraj, Bastardzie, że kręcisz nosem na takie pracowite, zdrowe zwierzę jak Sadza? Jest żrebna z tym nieznośnym gniadym ogierem barona Powściągliwego, więc pamiętaj, żebyś się z nią delikatnie obchodził. Do tej pory dbał o nią Gruzeł. Zamierzał zrobić z niej konia na polowania, ale ja zdecydowałem, że kobyłka lepiej się nada dla ciebie. Nie bardzo mu się to podobało, więc mu obiecałem, że będzie mógł układać jej żrebaka.

Brus dopasował dla mnie stare siodło, przysięgając, że niezależnie od tego, co o tym powie król, będę musiał okazać się dobrym jeźdźcem, zanim pozwoli zrobić dla mnie nowe. Sadza poruszała się miękko i chętnie reagowała na rozkazy dawane wodzami i kolanami. Gruzeł cudownie ją wyszkolił. Jej temperament i umysł przypominały mi spokojny staw. Jeżeli w ogóle myślała, to nie o tym, co robiliśmy, a Brus przyglądał mi się zbyt uważnie, żebym chciał ryzykować głębsze badanie jej umysłu. Tak więc rozmawiałem z nią tylko kolanami, wodzami i przenoszeniem ciężaru ciała. Fizyczny wysiłek niezbędny przy takiej komunikacji wyczerpał mnie długo przed końcem pierwszej lekcji, i Brus dobrze o tym wiedział. Mimo to nie zwolnił mnie z czyszczenia konia zgrzebłem i szczotką, nakarmienia go, a potem doprowadzenia do porządku siodła i uprzęży. Nie zostało na grzywie ani supelka, a stara skóra siodła błyszczała od tłuszczu, zanim królewski koniuszy pozwolił mi iść do kuchni coś zjeść.

A gdy rzuciłem się ku tylnym drzwiom kuchni, ciężka dłoń Brusa opadła na moje ramię.

- To już nie dla ciebie - stwierdził krótko - To dobre dla żołnierzy, ogrodników i niższej służby. Teraz będziesz jadał w sali biesiadnej, gdzie się pożywiają wysoko urodzeni ze swoją zaufaną służbą.

Tak mówiąc skierował mnie do mrocznej komnaty, w której królował długi stół, zwieńczony u szczytu drugim, nieco wyższym. Oba zastawione były najróżniejszym jadłem, a wokół siedziało wielu ludzi. Jedni zaczęli się posilać, inni już kończyli. Panował gwar i zamieszanie, gdyż jeśli przy wyższym stole nie zasiadał król, królowa ani synowie królewskiego rodu - jak się to zdarzyło właśnie owego dnia - nikt się nie obawiał uchybie etykiety.

Brus trącił mnie łokciem i skierował ku miejscu po lewej stronie stołu, w pobliżu środka. On sam jadał po tej samej stronie, lecz bliżej końca. Byłem głodny i nikt nie patrzył na mnie wystarczająco surowo, by mi odebrać odwagę, więc szybko się uwinąłem z dość obfitym posiłkiem. Jedzenie podkradane bezpośrednio z kuchni było cieplejsze i świeższe. Ale takie rzeczy nie mają większego znaczenia dla dorastającego chłopca, więc podjadłem solidnie, wetując sobie długi postny ranek.

Z pełnym brzuchem pograżyłem się w rozmyślaniach o pewnym piaszczystym nabrzeżu ogrzewanym przez popołudniowe słońce, pełnym króliczych nor, gdzie Gagatek i ja często spędzaliśmy senne popołudnia. Zacząłem się podnosić od stołu, gdy nagle odezwał się za mną jakiś chłopak.

- Panie?

Rozejrzałem się wokół, by dojrzeć, do kogo się zwracał, ale wszyscy oddawali się przyjemnościom stołu. Chłopiec był wyższy ode mnie i o kilka lat starszy, więc patrzyłem na mego w zdumieniu, gdy zajął mi w oczy i spytał.

- Panie? Czy skończyłeś już jeść?

Tylko opuściłem głowę w potakującym skinieciu, zbyt zaskoczony, by mówić.

- Proszę więc, byś poszedł ze mną. Przysyła mnie Czernidło. Jesteś oczekiwany na nauce walki, na dziedzińcu ćwiczebnym. Oczywiście jeśli Brus już cię zwolnił, panie.

Brus nagle pojawił się u mojego boku i zdumiał mnie, przyklękając na jedno kolano. Obciągnął mi kaftan i przygładził włosy, a robiąc to mówił:

- Jest równie wolny, jak i ja najpewniej będę za chwilę. No, no, nie bądź taki wystraszony, Bastardzie. Sądziłeś, że król nie dotrzyma słowa? Wytrzymaj usta i idź. Czernidło jest surowszym nauczycielem niż ja, na dziedzińcu ćwiczebnym nie toleruje się spóźnień. Ruszaj za Gąsiorem, no już.

Usłuchałem go z drżącym sercem. Podążając za chłopcem próbowałem sobie wyobrazić mistrza bardziej srogiego niż Brus. Była to myśl doprawdy zatrważająca.

Po wyjściu z sali biesiadnej chłopak szybko porzucił nienaganne maniery.

- Jak masz na imię? - zapytał prowadząc mnie zwirowaną ścieżką do zbrojowni i dziedzińców ćwiczebnych.

Wzruszyłem ramionami i udałem nagle zainteresowanie krzewami obrastającymi dróżkę.

Gąsior wydał wargi.

- No przecież muszą cię jakoś nazywać, nie? Jak mówi do ciebie Brus kuternoga?

Jawna pogarda chłopca dla Brusa tak mnie zdumiała, że przestałem się boczyć:

- Bastard. Nazywa mnie Bastard.

- Bastard? - Zachichotał. - No tak, pewnie. On nigdy nie owija w bawełnę, stary kulas.

- Dzik poturbował mu nogę - wyjaśniłem. Ten chłopak mówił tak, jakby Brus utykał dla głupiej uciechy gawiedzi. Poczulem się dotknięty jego drwinami.

- Wiem o tym! - prychnął pogardliwie. - Rozorał mu ciało aż do kości. Wielki odyniec z ogromnymi szablami chciał dostać księcia Rycerskiego, ale Brus mu stanął na drodze. No to zwierzę dostało Brusa i jeszcze parę psów, tak słyszałem.

Minęliśmy przejście w murze porośniętym bluszczem i nagle rozpostarły się przed nami dziedzińce ćwiczebne.

- Książę Rycerski myślał sobie, że musi tylko wykończyć świnię, a ona jak nie skoczy i jak go nie pogonił. Złamała książęcą lancę i rzuciła się na niego! Tak słyszałem.

Szedłem tuż za nim i chłonałem każde słowo, gdy nagle odwrócił się do mnie. Tak się przestraszyłem, że nieomal upadłem odskakując do tyłu. Chłopak zaśmiał się ze mnie.

- Ja to sobie myślę, że w tamtym roku Brus wziął na siebie los księcia Rycerskiego, no nie? Tak słyszałem, jak ludzie mówili. Brus wziął śmierć księcia Rycerskiego i zmienił ją na swoją kulawą nogę, i że wziął jego bękarta i zmienił go w swojego pupilka. Ja bym tylko chciał

wiedzieć, jak to jest, że będziesz miał ćwiczenia z bronią, tak nagle? I w dodatku jazdy konne, tak ludzie mówią.

Było w jego głosie coś więcej niż zazdrość. Właśnie wtedy się nauczyłem, że wielu ludzi cudzy uśmiech losu traktuje jako lekceważenie ich samych. Czułem jego narastającą wrogość, jak gdybym wszedł bez uprzedzenia na terytorium psa. Tylko że psich myśli mogłem dosięgnąć, mogłem psa zapewnić o swoich najlepszych intencjach. U Gąsiora była tylko wrogość, niczym nieuchronnie nadciągająca burza. Zastanawiałem się, czy chłopak mnie uderzy i czy się spodziewa, że mu oddam, czy raczej sądzi, że ucieknę. Prawie zdecydowałem się wziąć nogi za pas, gdy niespodziewanie za Gąsiorem ujrzałem wysoką, potężnie zbudowaną kobietę. Mocno chwyciła go za kark.

- Król kazał mu podjąć ćwiczenia. Tak. A także uczyć się jazdy konnej. I to mi zupełnie wystarczy. A dla ciebie, Gąsiorze, tyle powinno być aż nadto. Podobno miałeś go tutaj przyprowadzić, a potem się zgłosić do mistrza Tiulu, który znajdzie dla ciebie zajęcie. Czy to prawda?

- Tak, pani - wojowniczość Gąsiora przemieniła się gwałtownie w zgodne potakiwanie.

- Bezmyślnie powtarzasz plotki, a ja mogę ci tylko przypomnieć, że żaden mądry człowiek nie mówi wszystkiego, co wie. I że ten, kto zajmuje się bujdami, niewiele poza nimi ma w głowie. Rozumiesz mnie, Gąsiorze?

- Chyba tak, pani.

- Chyba? Powiem więc prościej. Przestań być wścibskim plotkarzem i zajmij się obowiązkami. Bądź pilny i chętny, a może ludzie zaczną plotkować, że jesteś moim pupilkiem. Postaram się, żebyś nie miał czasu na strzępienie języka.

- Tak, pani.

- A ty, chłopcze - gdy kobieta zwróciła się do mnie, Gąsior już zniknął za zakrętem ścieżki - chodź za mną.

Nawet nie zaczęła, by sprawdzić, czy jej posłuchałem. Ruszyła żwawo przez dziedziniec ćwiczebny; żeby dotrzymać jej kroku, musiałem truchtać. Udeptana ziemia na dziedzińcu była spieczona słońcem, które prażyło mi ramiona. Niemal natychmiast społem się jak mysz. Kobiecie idącej przede mną najwyraźniej upał nie przeszkadzał w utrzymywaniu szybkiego tempa.

Była ubrana na szaro: miała na sobie długą ciemnoszarą tunikę, jaśniejsze wąskie spodnie, a na tym szary skórzany fartuch, sięgający prawie do kolan. Domyślałem się w niej ogrodnika, choć dziwiły mnie miękkie szare buty.

- Przysłano mnie na lekcje... do Czernidła - udało mi się wysapać.

Bez słowa skinęła głową. Dotarliśmy do cienia zbrojowni i nareszcie szerzej otworzyłem oczy uwolnione od oślepiającego blasku słońca na otwartym dziedzińcu.

- Mam się uczyć walki wręcz i władania bronią - powiedziałem na wypadek, gdyby przewodniczka źle mnie zrozumiała.

Ponownie skinęła głową i pchnęła drzwi konstrukcji podobnej do stodoły, która okazała się zbrojownią. Tutaj, jak wiedziałem trzymano broń ćwiczebną. Cenne żelazo i stal znajdowały się w samej warowni. Zbrojownię rozświetlał delikatny, przyćmiony blask słońca i panował w niej miły chłód; pachniało drewnem, potem, a także świeżo rozrzuconymi na posadzce trzciniami. Moja przewodniczka, nie zwalniając kroku, poprowadziła mnie do kozła, w którym stały poobijane drągi.

- Wybierz jeden - poleciła. Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedziała od czasu, gdy kazała mi pójść za sobą.

- Czy nie powinienem raczej poczekać na Czernidło? - spytałem nieśmiało.

- To ja jestem Czernidło - odparła zniecierpliwiona. - Weź kij, chłopcze. Chcę poznać cię trochę, zanim przyjdą inni. Chcę zobaczyć, z jakiej gliny jesteś ulepiony i co potrafisz.

Nie zajęło jej wiele czasu ustalenie, że nie umiałem prawie nic i łatwo mnie pokonać. Wystarczyło zaledwie kilka uderzeń mosiężnym prętem. Od parowania ciosów dłonie paliły mnie żywym ogniem. Czernidło bez trudu wykonała pchnięcie, po którym kij kołując wyleciał mi z rąk.

- Hm - mruknęła ani cierpko, ani miło. Taki sam dźwięk mógłby ogrodnik wydać nad niszczącą sadzonką. Sięgnąłem do jej umysłu i znalazłem podobny spokój, jaki napotkałem u Sadzy. Nie miała w sobie nic z chłodnej rezerwy Brusa. Chyba wtedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że niektórzy ludzie, podobnie jak niektóre zwierzęta, byli całkowicie nieświadomi mojego sięgania do ich umysłu. Mogłem szperać w jej myślach dalej, ale tego nie zrobiłem. Tak wielką poczułem ulgę, nie napotkawszy tam najmniejszych oznak wrogości, że obawiałem się ją nieumyślnie wzniecić. Stałem więc, bez żadnego zajęcia, zupełnie nieruchomy, poddając się baczemu spojrzeniu.

- Jak cię nazywają, chłopcze? - zapytała nagle. Znowu.

- Bastard.

Zmarszczyła brwi, ja zaś wyprostowałem się i dodałem głośniej:

- Brus nazwał mnie Bastardem. Wzdrygnęła się lekko.

- Jak to on. Brus nazywa sukę suką i bękartą bękartem. No cóż... chyba rozumiem powody. Jesteś bastarden i ja także będę cię tak nazywała. Dobrze. Teraz ci wytłumaczę, dlaczego pręt, który wybrałeś, jest dla ciebie za długi i za gruby. A potem wybierzesz sobie inny.

Po chwili wyjaśnień wybrałem bardziej odpowiednią broń, a potem Czernidło prowadziła mnie wolno przez ćwiczenie, które wydawało się nieskończenie skomplikowane. Pod koniec tygodnia nie miałem z nim więcej kłopotu niż z zaplataniem końskiej grzywy. Tamtego dnia skończyliśmy akurat wówczas, gdy reszta uczniów grupą weszła do środka. Było ich czterech, wszyscy mniej więcej w moim wieku, ale bardziej ode mnie doświadczeni. Nastąpiła niezręczna sytuacja, bo żaden się nie palił do ćwiczeń z nowym partnerem. Jakoś przeżyłem ten dzień. Szczęściem wspomnienie o nim rozmywa się w błogosławionej mgle. Pamiętam, poczułem się dotknięty gdy po skończeniu nauki inni razem pobiegli ścieżką do zamku, a ja ponuro wlokłem się za nimi, wymyślając sobie od ostatnich głupców, że w ogóle zwróciłem na siebie uwagę króla. Długo piałem się drogą do warowni, a tam sala biesiadna powitała mnie tłokiem i gwarem. Byłem zbyt zmęczony, by dużo zjeść. Trochę duszonego mięsa i chleb, chyba nie jadłem nic więcej; wstałem od stołu i pokuśtykałem w stronę drzwi, myśląc jedynie o ciepłe i spokoju stajni, gdy znów zaczął mnie Gąsior.

- Komnata gotowa - powiedział tylko.

Rzuciłem rozpaczliwe spojrzenie na Brusa, ale on zajęty był rozmową z sąsiadem. W ogóle nie zauważył mojego błagalnego wzroku. I tak znowu poszedłem za Gąsiorem, tym razem w górę, po szerokich kamiennych stopniach, do tej części zamku, w której nigdy nie byłem.

Zatrzymaliśmy się na podeście, mój przewodnik wziął ze stołu Świecznik i przypalił knoty.

- W tym skrzydle mieszka rodzina królewska - poinformował mnie od niechcienia. - Król ma sypialnię na końcu tego korytarza. Wielką jak stodoła.

Kiwnąłem głową, ślepo wierząc w każde jego słowo, choć później się zorientowałem, że zwykły chłopiec na posyłki nie miał wstępu do królewskiego skrzydła. Był to przywilej starszych lokajów. Poszliśmy dalej w górę i na następnym podeście znowu przystanęliśmy.

- Tutaj są komnaty gościnne - oznajmił Gąsior, machając lichtarzem tak, że powiew zmienił płomyki w strumyki światła. - Rzecz jasna tylko dla najważniejszych gości.

Poszliśmy jeszcze wyżej, stopniami znacznie węższymi od poprzednich. Na kolejnym podeście zatrzymaliśmy się ponownie, a ja spojrzałem z lękiem w górę, na jeszcze węższe schody. Ale Gąsior nie poprowadził mnie w tamtą stronę. Ruszyliśmy przez obce mi skrzydło, minęliśmy trzy wejścia do komnat, a potem mój przewodnik odsunął rygiel w drzwiach z grubych desek i pchnął je ramieniem. Uchyliły się ciężko, niechętnie.

- Jakiś czas ta komnata była wolna - zauważył wesoło. - A teraz jest twoja. Czuj się jak u siebie. - Z tymi słowy postawił lichtarz na skrzyni, wyjął z niego jedną świecę i wyszedł, zostawiając mnie w półmroku dużego nie znanego pomieszczenia.

Jakoś się powstrzymałem i nie pobiegłem za nim. Podniosłem świecznik, zapaliłem kinkiety. Dodatkowe dwa komplety świec skurczyły cienie i przegnały je na powrót w kąty. Był tam kominek, a na nim ledwie pełgające płomienie. Poruszyłem trochę drwa, bardziej dla światła niż ciepła, i zacząłem oglądać moje nowe mieszkanie. Była to zwykła kwadratowa komnata z jednym oknem. Chłodne ściany, z tego samego kamienia, jaki miałem pod nogami, ocieplał tylko jeden gobelin. Wysoko podniosłem lichtarz, by mu się przyjrzeć, lecz i tak miałem za mało światła. Dostrzegłem tylko skrzydlatą istotę, a przed nią jakiegoś króla w błagalnej pozie. Później powiedziano mi, że był to król Mądry, zawierający przyjaźń z jednym z Najstarszych. Wtedy jednak postaci wydały mi się złowieszcze. Odwróciłem się od groźnego gobelinu.

Ktoś odświeżył komnatę bez większego starania. Na podłodze rozsypano trzciny i zioła, wstrząśnięto gruby materac. Na nim leżały dwa koce z dobrej wełny. Zasłony nad łóżem odciągnięto, a skrzynia i ława, które dopełniały umeblowania, zostały przetarte z kurzu. W porównaniu z moimi dotychczasowymi doświadczeniami było to wyjątkowo bogate wnętrze. Prawdziwe łóżko z pościelą i kotarami, wyściełana ława, skrzynia, w której można ułożyć rzeczy. Nigdy w życiu nie miałem więcej mebli. A że pozostawały do mojej wyłącznej dyspozycji, w jakiś sposób zdawały się jeszcze większe i wspanialsze. I jeszcze kominek, do którego śmiało dorzuciłem kawałek drewna, i dębowe siedzisko pod oknem, teraz zamkniętym przed nocnym chłodem, lecz najprawdopodobniej wychodzącym na morze.

Skrzynia była zupełnie prosta, z okuciami z brązu. Na zewnątrz ciemna, ale kiedy ją otworzyłem, wewnątrz okazało się pomalowane na jasny kolor i przyjemnie pachnące. W środku znalazłem swoją skromną garderobę przyniesioną ze stajni. Do tego dodano dwie nocne koszule, a w kącie leżał zwinięty wełniany koc. To wszystko. Wyciągnąłem bieliznę i opuściłem wieko.

Wdrapałem się na łóżko. Nie nadeszła jeszcze pora, by myśleć o spaniu, lecz ja byłem straszliwie obolały, a na dodatek nie miałem żadnego zajęcia. Tam na dole, w izbie nad stajnią, Brus o tej porze popijał wino i naprawiał uprzężę. Na palenisku płonął ogień, a z dołu dobiegały przytłumione szelesty słomy pod kopytami koni szykujących się do snu w boksach. Izba pachniała skórą, tłuszczem i samym Brussem, a nie wilgotnym kamieniem i kurzem. Wciągnąłem nocną koszulę przez głowę i zepchnąłem ubranie w nogi łóżka. Materac był zimny, dostałem gęsiej skórki. Powoli moje ciało zaczęło go rozgrzewać, napływało do mnie odprężenie. Miałem za sobą pracowity, wyczerpujący dzień. W każdym mięśniu czułem zmęczenie i ból. Wiedziałem, że powinienem jeszcze wstać i zgasić świecę, ale nie mogłem w sobie znaleźć dość energii. Ani siły woli, żeby je zdmuchnąć i pozwolić rozpanoszyć się w komnacie jeszcze głębszym ciemnościom. Drzemałem więc z półprzymkniętymi powiekami, spoglądając na ogień pełzający w palenisku. Tęskniłem za czymś zupełnie innym, za jakimś miejscem, które nie było ani tą pustą komnatą, ani przepełnioną napięciem izbą Brusa Za zaciszem, jakie, być może, gdzieś kiedyś znałem, ale którego nie umiałem już sobie przypomnieć. I tak sen zabrał mnie w zapomnienie.

4

RZEMIOSŁO

Istnieje pewna opowieść o królu Zwycięskim, zdobywcy ziem przekształconych następnie w Księstwo Trzody. Wkrótce po tym, jak przyłączył do swego królestwa Piaszczyste Kresy, posłał po kobietę, która byłaby królową tych ziem, gdyby on ich nie podbił. Podróżowała do niego trawiona wielkim niepokojem, lękając się, co ją czeka, lecz bardziej obawiając się konsekwencji, jakie by poniósł jej lud, gdyby odmówiła i skryta się między poddаныmi. Ku jej zdumieniu król Zwycięski nie uczynił z niej służącej, lecz nauczycielkę swych dzieci, by mogły poznać język i zwyczaje jej ludu. A gdy go zapytała, dlaczego każe im posiadać tę wiedzę, odpowiedział: „Panujący musi znać cały swój lud, gdyż dobrze nim władać można tylko wówczas, gdy się go rozumie” Później została ukochaną żoną najstarszego syna króla Zwycięskiego i przy koronacji na królową przyjęła imię Wdzięczna.

* * *

Obudził mnie blask słońca. Najwyraźniej ktoś był w komnacie i otworzył okiennice. Na skrzyni położono ręcznik, ustawiono misę i dzban z wodą. Byłem za to wdzięczny, ale nawet umycie twarzy mnie nie odświeżyło. Każdy ruch sprawiał mi cierpienie, a w dodatku byłem nieswój, mając świadomość, że ktoś wszedł do komnaty i zachowywał się w niej zupełnie swobodnie, nie budząc mnie przy tym.

Tak jak odgadywałem, okno wychodziło na morze, ale nie dane mi było napawać się pięknym widokiem. Jedno spojrzenie na słońce powiedziało mi, że zasnęłam. Prędko się ubrałem i rezygnując ze śniadania pośpieszyłem na dół, do stajni.

Brus jednak niewiele miał dla mnie czasu tego ranka.

- Wracaj do warowni - poradził mi. - Garderobiana, Chyżość, już tu stała po ciebie Gąsiora. Będzie brała miarę na twoje ubrania. Lepiej nie marudź; mistrzyni Ściegu żyje w zgodzie ze swoim imieniem i nie będzie zadowolona, jeśli zakłócisz jej poranną rutynę.

Wystarczył niemrawy trucht pod górę - z powrotem do warowni - by ożyły wszystkie bóle z poprzedniego dnia. Choć miałem ogromne obawy, co to się będzie działo, gdy już odnajdę mistrzynię Ściegu i poddam się braniu miary na ubrania, których z pewnością nie potrzebowałem, jednocześnie czułem ulgę, że tego ranka nie znalazłem się znowu na końskim grzbiecie.

W kuchni zapytałem o drogę i w końcu odnalazłem mistrzynię Ściegu w komnacie usytuowanej opodal mojej sypialni. Od progu zajrzałem niepewnie do wnętrza. Pomieszczenie miało wysokie okna, przez które napływał słoneczny blask i łagodna słońca bryza. Pod jedną ścianą stały jeden na drugim kosze przędzy i farbowanej wełny, a wysokie półki po drugiej stronie mieniły się tęczą najróżniejszych tkanin. Dwie młode kobiety rozmawiały nad krosnami. W dalszym kącie chłopak niewiele starszy ode mnie delikatnie kołysał nogą wprawiając w ruch wrzeciono. Nie miałem wątpliwości, że kobieta odwrócona do mnie szerokimi plecami to mistrzyni Ściegu.

Dwie młode kobiety dostrzegły mnie i przerwały rozmowę. Mistrzyni Ściegu odwróciła się, by sprawdzić, co je tak zainteresowało, i już w następnej chwili wzięła mnie w obroty. Nie zaprzętała sobie głowy imionami ani objaśnianiem mi własnej roli. W mgnieniu oka znalazłem się na stołku, okręcany, oglądany i obmierzany bez najmniejszego baczenia na moją godność, a nawet na moje człowieczeństwo. Zwracając się wyłącznie do młodych kobiet, mistrzyni Ściegu skrytykowała moje ubranie, zauważyła mimochodem, że z wymiarów i karnacji bardzo jej przypominam młodego księcia Rycerskiego, następnie pytała pomocnicę o opinię, przykładając do mnie coraz to nowe zwoje tkanin.

- Ta będzie dobra - stwierdziła jedna z kobiet nad krosnami. - Błękit doskonale podkreśla jego ciemną cerę. Dobrze wyglądałby na jego ojcu. Co za szczęście, że księżna Cierpliwa nie musiała oglądać tego chłopca. Taki podobny do księcia Rycerskiego, że nie zostałby jej nawet okrucuch dumy.

I właśnie wówczas, gdy tak stałem obwieszony udrapowanymi wełnami, po raz pierwszy usłyszałem historię, którą w Koziej Twierdzy każdy znał na pamięć. Na długo przed tym, nim książę Rycerski mógł sam powiadomić żonę, wieść o moim istnieniu dotarła do zamku, zadając księżnej Cierpliwej ogromny ból. Ona przecież nie mogła mieć dzieci i choć mój ojciec nigdy nie wyrzekł złego słowa, wszyscy odgadywali, jak trudno mu się pogodzić z brakiem potomka, któremu by mógł przekazać dziedzictwo. Księżna Cierpliwa, osłabiona poronieniami i podupała na duchu, zupełnie się załamała. Jej mąż zrzekł się praw do tronu nie tylko czyniąc zadość zwyczajowemu prawu, ale i dla jej dobra. Zabrał schorowaną żonę do krainy o łagodnym klimacie, skąd pochodziła. Podobno żyli tam szczęśliwie, księżna Cierpliwa powoli wracała do zdrowia, a książę Rycerski uczył się zarządzania bogatą w winnice doliną.

Księżna Cierpliwa, niestety, winiła Brusa za uczynek męża w tym samym stopniu co samego księcia Rycerskiego. Nie mogła znieść widoku sługi. Brus, nie dość, że chromy, to jeszcze opuszczony przez swego pana, nie był już tym samym człowiekiem. Swego czasu żadna kobieta nie minęła go obojętnie; pochwycić jego spojrzenie oznaczało zasłużyć sobie na zazdrość każdej innej, dorosłej na tyle, by nosić spódnice. A teraz? Nazywali go starym Brussem, choć był w kwiecie wieku. I jeszcze każdy byle służący plotkował ile włożyło o uczynku jego pana. Powtarzali, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Przecież książę Szczery bardziej pasował na następcę tronu niż książę Rycerski. Starszy syn królewski był tak nieskazitelnego charakteru, że w jego obecności wszyscy czuli się niczym pospolite kocmołuchy; nigdy ani na moment nie zbaczal z właściwej drogi i choć był zbyt szlachetny i wielkoduszny, by drwić z błędzących manowcami, zawsze miało się wrażenie, że jego zachowanie stanowiło niemą wymówkę w stosunku do tych, którzy mieli w sobie mniej dyscypliny. No a potem pojawił się bękart, i dobrze, bo oto książę Rycerski okazał się nie tym, za kogo chciał uchodzić. Natomiast książę Szczery był ludzki, poddani widzieli w nim zwykłego człowieka. Lubił jazdę konną i ramię w ramię ze swoimi ludźmi uprawiał żołnierkę, a jeśli niekiedy wypił za dużo albo czasem nie zachował dyskrecji, cóż, przyznawał się do tego otwarcie - szczery, jak kazało mu imię. Lud go rozumiał i kochał.

Słuchałem tego chciwie. Zaczynałem rozumieć, dlaczego inne dzieci z warowni nie szukały we mnie towarzysza zabaw. Przez ten czas przymierzono do mnie niezliczone tkaniny, ich przydatność omówiono ze znawstwem, po czym kilka wybrano. Jeżeli szwaczki w ogóle pomyślały, że ich rozmowa mogłaby wywrzeć na mnie jakieś wrażenie, nie zdradziły tego nawet najmniejszym gestem. Jedyłą uwagą, jaką garderobiana, mistrzyni Ściegu, wygłosiła do mnie bezpośrednio, było stwierdzenie, że powinienem dokładniej myć szyję. Potem wypędziła mnie z komnaty niczym zbłąkanego kurczaka i w końcu zorientowałem się, że idę do kuchni coś zjeść.

Tego popołudnia znowu byłem na lekcjach u Czernidła i ćwiczyłem dotąd, aż nabrałem całkowitego przekonania, że mój kij tajemniczym sposobem waży dwukrotnie więcej niż na początku. Zjadłem i poszedłem do łóżka, a rano znowu pobudka i zajęcia u Brusa. Nauka wypełniała mi całe dni, każdą wolniejszą chwilę pochłaniały prace z nią związane: czy to czyszczenie uprzęży, czy zmiatanie i porządkowanie zbrojowni. Pewnego popołudnia zastałem na łóżku nie jeden ani nawet nie dwa, lecz trzy komplety odzieży, łącznie ze skarpetami. Dwa były ze zwykłej surowej wełny w znajomym brunatnym kolorze; podobne nosiła większość dzieci w moim wieku. Trzeci uszyto z błękitnej tkaniny, a na piersiach tuniki widniała głowa kozła, wyhaftowana srebrną nicią. Brus i inni i żołnierze nosili godło w kształcie całej sylwetki skaczącego rogacza. Samą głowę widziałem tylko na kaftanie księcia Władczego i u księcia Szczerego. Dziwił mnie więc ten haft, ale jeszcze bardziej dziwił mnie przecinający go ukośnie czerwony ścieg.

- To oznacza, że jesteś bękartem - wyjaśnił Brus bez ogródek, kiedy go o to zapytałem. - Jesteś z królewskiego rodu, ale bękart i tyle. W ten sposób od razu widać, że masz w żyłach

królewską krew, lecz nie masz żadnych praw do tronu. Jeśli ci się ten herb nie podoba, możesz go zmienić. Jestem pewien, że król przyzna ci do tego prawo. Do imienia i godła.

- Imienia?

- Oczywiście. To całkiem zwyczajna prośba. Bękarty to rzadkość w domach szlacheckich, szczególnie w rodzie samego króla, ale też nie są zupełnie nieznanne. - Znajdowaliśmy się w szopie, gdzie Brus zarządził oględziny starych uzd i kantarów pod pozorem uczenia mnie dbałości o uprzęż. Utrzymywanie starej skóry w możliwie najlepszym stanie było jednym z dziwniejszych jego zwyczajów. - Wybierz sobie imię i godło, a potem poproś króla...

- Jakie imię?

- No, jakie sobie chcesz. Patrz, zupełnie zmarnowane siodło. Ktoś odłożył wilgotne i zapleśniało. Zobaczmy, co się da z tym zrobić.

- To nie będzie prawdziwe.

- Co? - Podał mi ciężką cuchnącą skórę.

- Imię, które sobie wymyślę. Nie będzie naprawdę moje.

- No to co chcesz zrobić? Wziąłem oddech.

- Król powinien mnie nazwać. Albo ty. - Zebrałem się na odwagę. - Albo mój ojciec. Prawda? Brus zmarszczył czoło.

- Masz dziwaczne pomysły. Sam się nad tym zastanów przez chwilę. Przecież z łatwością znajdziesz imię, które będzie ci pasowało, Bastardzie.

- Bastardzie - powtórzyłem ironicznie i zobaczyłem, jak Brus zaciska szczęki.

- Chodźmy uporać się z tą skórą - rzekł spokojnie. Zanieśliśmy siodło na ławę i zaczęliśmy czyścić.

- Bękarty nie są wcale takie rzadkie - zauważyłem. - W mieście nadają im imiona rodzice.

- W mieście bękarty nie są takie rzadkie - zgodził się ze mną Brus po chwili. - Żołnierze i żeglarze uganiają się za dziewczkami. To pospolite zachowanie pospolitych ludzi. Ale niewłaściwe dla członków rodu królewskiego. Ani dla żadnego człowieka z odrobiną godności. Co byś o mnie myślał, gdybym ciągle wychodził na noc albo sprowadzał sobie dziewczki? Jak teraz patrzyłbyś na kobiety? A na mężczyzn? Dobrze jest się zakochać, i nikt nie broni młodej kobiecie czy mężczyźnie paru pocałunków. Ale widziałem, jak to bywa w mieście. Przekupnie handlują na targu ładnymi dziewczętami i dobrze zbudowanymi młodzieńcami jak kurczakami. Potomstwo tych młodych dostaje imiona, to prawda, ale poza imionami nie ma wieki więcej. A sami młodzi, nawet jeśli się żenią, nie porzucają swoich... zwyczajów. - W oczach Brusa płonął żarliwy ogień. - Ja, jeśli znajdę tę jedną jedyną, zrobię wszystko, by była pewna, że już nie spojrzę na żadną inną. Ale będę chciał wiedzieć, że wszystkie dzieci są moje.

Popatrzyłem na niego żałośnie.

- To co się stało mojemu ojcu? Brus nagle wydał się bardzo znużony.

- Nie wiem, chłopcze. Nie wiem. Był bardzo młody. Miał może dwadzieścia lat. Daleko od domu próbował się uporać z ciężkim zadaniem. Żadne to powody ani tłumaczenia. Ale nikt nigdy nie będzie wiedział nic więcej.

I tak też było.

Moje życie toczyło się niezmiennym rytmem. Czasem spędzałem wieczory w stajniach, w towarzystwie Brusa, rzadziej - gdy przybywał jakiś podróźny grajek lub teatralna trupa - w sali biesiadnej. Któregoś razu udało mi się wymknąć do miasta, ale nazajutrz zapłaciłem za to wysoką cenę, gdyż cały dzień byłem niewyspany. Wszystkie popołudnia bez wyjątku wypełniały mi zajęcia z różnymi nauczycielami. Zaczynałem zdawać sobie sprawę, że tak wyglądają moje letnie nauki i że zimą będę gromadził inną wiedzę, którą zdobywa się wodząc piórem po papierze. Nigdy wcześniej w moim krótkim życiu nie byłem tak bardzo zajęty. I nie czułem się tak srodze osamotniony.

Samotność.

Odnajdowała mnie każdej nocy, gdy na próżno szukałem przytulnego wgłębienia w swoim wielkim łożu. Kiedy jeszcze spałem u Brusa, nad stajniami, noc przynosiła natchnione sny ukwiecone ciepłem i zmęczonym zadowoleniem dobrze utrzymanych zwierząt, które pode mną w ciszy nocy spały i śniły. Zwierzęta mają senne marzenia; wie o tym każdy, kto widział psa popiskującego i przebierającego łapami w urojonym pościgu. Zwierzęce sny były dla mnie niczym smuga rozkosznej woni pieczonego chleba. A teraz, samotny w kamiennym wnętrzu, miałem wreszcie czas na cierpkie, bolesne rojenia, które są udziałem ludzi. Nie znajdowałem w duszy pokładów ciepła ku obronie przeciw tej goryczy, nie mogłem się pocieszać wspomnieniem rodzeństwa albo krewnych. Leżałem więc nie śpiąc i rozmyślałem o ojcu i o matce, i o tym jak łatwo oboje wykreślili mnie ze swojego życia. W ciągu dnia słuchałem rozmów krzyżujących się beztrudno nad moją głową, a nocą interpretowałem je na własny sposób. Przeżywałem koszmary. Rozwarłem, co ze mną będzie, gdy dorosnę, a zabraknie starego króla Roztropnego. Niekiedy zastanawiałem się, czy Sikorka Krew z Nosa i Krowa tęsknili za mną, czy też pogodzili się z moim nagłym zniknięciem równie łatwo, jak zaakceptowali moje przybycie. Ale przede wszystkim cierpiałem z powodu samotności, bo w całym zamku nie było nikogo, w kim mógłbym znaleźć przyjaciela. Nikogo prócz zwierząt, a Brus zabraniał mi z nimi bliskiej więzi.

Pewnego wieczoru jak zwykle poszedłem zmęczony do łóżka, tylko po to by się zadręczać własnymi obawami, dopóki nie spłynął na mnie niechętny sen. Obudził mnie blask światła sączący się przez powieki, ale miałem nieodparte wrażenie, że dzieje się coś dziwnego. Spałem już dość długo, to prawda, lecz światło było żółte i migotliwe, niepodobne do ostrej bieli słońca, jaka zazwyczaj wlewała się przez okno. Z nagłym lękiem otworzyłem oczy.

Stał w nogach mojego łóżka. W wysoko uniesionej dłoni trzymał lampę. Już samo to było w Koziej Twierdzy rzadkością, ale nie tylko jasne światło lampy przykuło mój wzrok. Ten człowiek także budził zdziwienie. Ubrany był w tunikę z jasnej owczej wełny, sprawiającą wrażenie, że owszem, bywała prana, ale nie nazbyt często i z pewnością nie ostatnio. Włosy i brodę miał mniej więcej w tym samym kolorze co ubranie, a ich stan nasuwał podobne wnioski. Mimo siwizny przetykającej kosmyki nie mogłem zdecydować, ile ma lat. Zdarza się często, że ospa zostawia na twarzy człowieka wyraźne znamiona. Nigdy jednak nie widziałem twarzy naznaczonej jak u niego; obsypanej deszczem drobnych blizn, wściekle różowych i purpurowych niczym świeże oparzenia, a także sinych, nawet w żółtym świetle lampy. Jego ręce to były same kości i ścięgna, obciążone papierowo białą skórą. Patrząc na mnie i nawet w świetle lampy jego tęczęwki mieniły się nieprawdopodobnie jaskrawą zielenią. Przypominały mi oczy polującego kota: ta sama kombinacja radości i rozgorączkowania. Naciągnąłem pled wyżej pod brodę.

- Obudziłeś się - zauważył. - Wstań i chodź za mną.

Odwrócił się gwałtownie od mojego łóżka i ruszył, ale nie do drzwi, lecz w ciemny kąt komnaty, pomiędzy paleniskiem a ścianą. Leżałem bez ruchu. Obejrzał się na mnie i podniósł lampę wyżej.

- Prędzej, chłopcze - rzekł z irytacją i postukał o filar łoża kijem, którym się podpierał.

Zerwałem się z pościeli i wzdrygnąłem, gdy bosymi stopami dotknąłem lodowatej podłogi. Sięgnąłem po tunikę i buty, ale on już się niecierpliwił. Obejrzał się ponownie i to wystarczyło, bym rzucił wszystko i opanował drżenie.

Ubrany w nocną koszulę poszedłem za nim bez słowa, choć nie umiałbym wyjaśnić dlaczego. Chyba tylko dlatego, że mi tak nakazał. Ruszyłem ku drzwiom - wcześniej ich tu nie było! - a potem w górę, wąskimi krętymi schodami, oświetlonymi jedynie lampą, którą trzymał nad głową. Jego cień kładł się za nim i padał na mnie, tak że stawiałem kroki w ruchomych ciemnościach, wyczuwając każdy stopień bosymi stopami. Schody były z zimnego kamienia, wytarte i gładkie. Pięły się wyżej i wyżej, aż nabrałem pewności, że jesteśmy ponad każdą inną zamkową wieżą. W pewnej chwili przeciągnął schodami chłodny powiew, a ja

skurczyłem się nie tylko z zimna. I szliśmy jeszcze wyżej, aż w końcu mężczyzna pchnął na oścież solidne drzwi, które mimo swej wagi poruszały się lekko i cicho. Znaleźliśmy się w komnacie.

Oświetlał ją ciepły blask kilku lamp, zwisających z niewidocznego sufitu na pięknie kutych łańcuchach. Była duża, przynajmniej trzykrotnie większa od mojej sypialni. W jednej części dominowało masywne drewniane łoże zarzucone grubo pierzynami i poduszkami. Na podłodze leżały zachodzące jeden na drugi dywany w różnych odcieniach szkarłatu, soczystej zieleni oraz błękitu. Stał tam stół zrobiony z drzewa w kolorze miodu dzikich Pszczół, a na nim misa owoców tak dojrzałych, że aż przy drzwiach docierała do mnie ich kusząca woń. Wszędzie leżały pergaminowe księgi i zwoje, porozkładane niedbale, jak gdyby ich wyjątkowa wartość nie miała żadnego znaczenia. Całe ściany po tamtej stronie komnaty zasłonięte były gobelinami, przedstawiającymi pagórkowaty pejzaż zamknięty w oddali wyższymi łagodnymi wzgórzami porośniętymi lasem. Ruszyłem w tamtą stronę.

- Tędy - odezwał się mój przewodnik i bezwzględnie poprowadził mnie w inną część komnaty.

Tutaj królowała kamienna bryła stołu z blatem poznaczonym plamami i częściowo popalonym. Na nim znajdowały się najróżniejsze sprzęty: pojemniki, narzędzia, szale, tłuczek z moździerzem oraz mnóstwo innych przedmiotów, których nie potrafiłem nawet nazwać. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu, jak gdyby ktoś przed miesiącami, albo nawet przed laty porzucił jakiś projekt w trakcie realizacji. Za stołem tkwił stojak, na nim dość nieporządnie umieszczono zwoje papieru, niektóre z niebieskimi albo złoconymi brzegami. W powietrzu unosił się dziwny aromat, ni to ostry, ni balsamiczny; na innym stojaku suszyły się pęki ziół. Usłyszałem szelest i w odległym rogu uchwyciłem kątem oka jakiś ruch, lecz nie miałem czasu na głębsze dociekania. Kominek, który powinien ogrzewać tę część komnaty, ział lodowatą czernią. Stare popielisko wyglądało na wilgotne i nieomal skamieniałe. Podniosłem wzrok, by spojrzeć w oblicze mojego przewodnika. Trwoga na mojej twarzy wyraźnie go zaskoczyła. Odwrócił się ode mnie i sam wolno powiódł wzrokiem po komnacie. Rozwahał coś przez chwilę, a potem odezwał się z zakłopotaniem:

- Trochę tu nieporządnie. Tak. Właściwie bałagan. Tak. Minęło trochę czasu... Tak. Trzeba będzie tu posprzątać. Ale najpierw niech się stanie zadość prezentacji. No i pewnie niezbyt przyjemnie ci tak stać w samej koszuli. Tędy, chłopcze.

Podążyłem za nim do mieszkalnej części komnaty. Usiadł na krześle z powycieraną tapicerką, wyłożonym kocami. Moje bose stopy z lubością zatoneły w grubym wełnianym dywanie. Stałem przed tym człowiekiem i czekałem, a on taksował mnie spojrzeniem zielonych oczu. Przez kilka minut trwała cisza. Potem przemówił.

- Po pierwsze, pozwól, że ci opowiem o sobie. Ty masz rodowód wypisany na twarzy. Roztropny zdecydował, że lepiej go uznać, bo żadne zaprzeczenia nikogo nie przekonają. - Zamilkł na chwilę i uśmiechnął się, jakby go coś rozbawiło. - Wstyd, że Konsyliarz nie chciał uczyć cię korzystania z Mocy. Idę o zakład, że gdyby spróbował, znalazłby w tobie utalentowanego ucznia. Ale nie mamy czasu na martwienie się tym, co się nie wydarzy. - Westchnął w zamyśleniu i milczał przez jakiś czas. Niespodziewanie odezwał się znowu. - Brus nauczył cię, jak pracować i jak być posłusznym. Dwóch rzeczy, w których sam celuje. Nie jesteś szczególnie silny, szybki ani też błyskotliwy, ale masz upór, którym pokonasz każdego silniejszego, szybszego czy bardziej błyskotliwego. Jednak nie to jest teraz dla ciebie najważniejsze.

Jesteś człowiekiem króla. I musisz zrozumieć, że jest to dla ciebie kwestia najważniejsza. Król cię żywi, ubiera, dba, żebyś otrzymał wykształcenie. A w zamian chce twojej lojalności. Później będzie żądał, byś mu służył. Takie są warunki, na które musisz przystać, jeśli mam cię uczyć. Musisz być człowiekiem króla, oddanym mu całkowicie. Inaczej kształcenie cię w moim rzemiośle byłoby zbyt niebezpieczne. - Zamilkł i przez długą chwilę po prostu

patrzyliśmy na siebie. - Czy przystajesz na to? - zapytał i nie było to zwykłe pytanie, lecz przypieczętowanie układu.

- Tak - rzekłem, a potem, ponieważ czekał, dodałem: - Daję słowo.

- Dobrze - powiedział z zapałem. - A co do innych spraw... widziałeś mnie kiedyś?

- Nie. - Zdałem sobie nagle sprawę, że to dziwne. W zamku często bywali obcy, lecz ten człowiek z pewnością od dawna był jego stałym lokatorem. A prawie wszystkich, którzy tu mieszkali, znałem przynajmniej z widzenia.

- Wiesz, kim jestem, chłopcze? Albo dlaczego się tu znalazłeś?

W odpowiedzi pokręciłem przecząco głową.

- Tak, i nikt inny tego nie wie. Bacz pilnie, żeby tak zostało. Zapamiętaj to sobie: nikomu nigdy nie powiesz, co będziemy tutaj robili ani czego się nauczysz. Rozumiesz?

Moje kiwnięcie głową musiało go usatysfakcjonować, bo wyraźnie się odprężył. Położył kościste dłonie na kolanach obciążniętych wełnianą tuniką.

- Dobrze. Dobrze. Teraz tak: możesz zwracać się do mnie Cierń. A ja powinienem cię nazywać... - Zamilkł i czekał, ale kiedy nie odpowiedziałem mu imienia, podjął: - chłopcze. Tak. Jestem Cierń i będę po prostu następnym nauczycielem, jakiego Roztropny opłacił dla ciebie. Ha, z twojego powodu przypomniał sobie, że w ogóle tutaj jestem, ale długo się namyślał, nim mnie poprosił o zajęcie się tobą. A ja zastanawiałem się nawet jeszcze dłużej, nim zgodziłem się ciebie uczyć. Ale to już za nami. Jeśli zaś chodzi o to, czego mam cię uczyć... tak.

Wstał, podszedł do kominka. Schylił się po pogrzebacz i szturchnął popiół, budząc nowe płomienie.

- Mam cię uczyć uśmiercania. Zabijania ludzi. Trudnej sztuki skrytobójstwa w służbie dyplomacji. Umiejętności oślepienia lub ogłuszania. Osłabiania nóg albo paraliżowania, przyprawiania o wyczerpujący kaszel lub o impotencję. Sprowadzania wczesnej starości, choroby umysłowej albo... to zresztą nie ma znaczenia. Imiałem się wszystkiego. I ty także będziesz znał tysiące sposobów podstępnego unieszkodliwienia przeciwnika, jeśli przystaniesz na tę naukę. Tylko wiedz, od samego początku, że będę cię uczył, jak zabijać ludzi. Dla twojego króla. Nie tak efektownie, jak uczy cię Czernidło, nie na polu walki, gdzie inni cię widzą i zagrzewają do czynu. Nie. Będę cię uczył zabijać brutalnie albo łagodnie, ale zawsze potajemnie. Może znajdziesz w tym upodobanie, a może nie. Na to ja nie mam żadnego wpływu. Tak czy inaczej, na pewno będziesz wiedział, jak tego dokonać. Tylko musisz być świadom, czego się uczysz, taka była moja umowa z królem Roztropnym. Ja, będąc w twoim wieku, nie wiedziałem. Tak. Mam cię nauczyć, jak być skrytobójcą. Zgadzasz się na to, chłopcze?

Jeszcze raz pokiwałem głową. Nie byłem pewien, czy rzeczywiście chcę, ale nie wiedziałem, co innego mógłbym zrobić.

Zerknął na mnie.

- Przecież potrafisz mówić, prawda? Jesteś bękartem, ale nie jesteś niemy.

Przełknąłem ślinę.

- Nie, panie. Potrafię mówić.

- Dobrze, mów więc, bo na razie tylko kiwasz głową. Powiedz mi, co o tym wszystkim myślisz. Co sądzisz o mnie, a co o kształceniu się w moim rzemiośle.

Mimo zachęty nadal milczałem. Zerknąłem na poznaczoną bliznami twarz, po czym utkwilem spojrzenie w papierowej skórze jego dłoni. Poruszyłem językiem w ustach, ale znalazłem tylko ciszę. Cierń czekał na słowa, lecz bez skutku. Twarz tego człowieka przerażała mnie bardziej niż najgorsze senne koszmary.

- Chłopcze - odezwał się tak łagodnie, że podniosłem wzrok na spotkanie jego zielonych oczu. - Mogę cię uczyć, nawet jeśli będziesz mnie nienawidził albo gardził moimi naukami. Mogę cię uczyć, jeśli będziesz znudzony, leniwy albo głupi. Ale nie mogę cię uczyć, jeśli

będziesz się bał do mnie odezwać. W każdym razie nie będę mógł tego robić tak, jak powinienem. I nie będę cię uczył, jeśli zdecydujesz, że nie chcesz poznać mojego rzemiosła. Ale musisz mi o tym powiedzieć. Tak dobrze umiesz strzec swoich myśli, że prawie boisz się zdradzić je przed sobą samym. Spróbuj ubrać je w słowa, tak, wyjaw mi je. Nie będziesz ukarany.

Ośmieliłem się być szczery.

- Nie podoba mi się myśl o zabijaniu.

- Aha. - Zamilkł. - Ze mną było podobnie. I nadal tak jest. - Odetchnął głęboko. - Za każdym razem będziesz decydował. Pierwszy raz jest najtrudniejszy. Wiedz tylko, że na podjęcie tej decyzji masz jeszcze kilka lat. A w tym czasie musisz się wiele nauczyć. - Zawahał się. - Tak to jest, chłopcze. Sama nauka nigdy nie jest zła. Nawet nauka zabijania. Ani dobra. I powinieneś o tym pamiętać w każdej sytuacji, nie tylko teraz. To po prostu coś, czego można się nauczyć, czego ja mogę nauczyć ciebie. Nic więcej. A teraz powiedz, czy sądzisz, że mógłbyś się uczyć, jak zabijać, a później zdecydować, czy chcesz to robić?

Trudne pytanie. Nawet wówczas, choć byłem jeszcze małym chłopcem, coś budziło moją nieufność w takim postawieniu sprawy, lecz nie potrafiłem sprecyzować swoich obiekcji. A jednocześnie zaczęła we mnie kiełkować ciekawość.

- Mogę się uczyć.

- Dobrze. - Uśmiechnął się, ale na jego twarzy malowało się także znużenie i wcale nie wyglądał na zadowolonego. Rozejrzał się po pokoju. - Świetnie. Właściwie możemy zacząć dzisiejszej nocy. Na początek posprzątam. Gdzieś tam jest szczotka. Ach, ale najpierw przebierz się w coś innego... o, mam jakąś starą tunikę. Na razie musi ci wystarczyć. Nie chcemy przecież, żeby się w pralni dziwili, dlaczego twoje koszule nocne czuć kamforą i lekami przeciwbólowymi, prawda? Tak. Teraz pozamiataj podłogę, a ja zbiorę kilka drobiazgów.

I w ten sposób minęło kilka następnych godzin. Zamiotłem, potem wytarłem na mokro kamienną podłogę. Cierń podpowiadał mi, jak czyścić różne przedmioty z wielkiego stołu. Poodwracałem zioła schnące na stojaku. Nakarmiłem trzy jaszczurki, które trzymał w klatce w kącie, drobiąc im twarde suszone mięso w okruchy, które połykały w całości. Wytarłem do czysta wiele garnków i mis, poustawiałem je w porządku. A on pracował razem ze mną, wyglądał na zadowolonego z towarzystwa i mówił do mnie przez cały czas, zupełnie jakbyśmy obaj byli dorosłymi mężczyznami. Albo młodymi chłopcami.

- Nie znasz jeszcze liter? Ani cyfr? To dopiero! Co ten stary sobie wyobraża? Tak, dopilnuję, żeby temu szybko zaradzić. Masz czoło swego ojca, chłopcze, i tak samo marszczysz brew. Powiedział ci to już ktoś? A, tu jesteś, Cichoszu, ty hultaju! Gdzieś ty się włóczył?

Zza gobelinu wyłoniła się brązowa łasica; zostaliśmy sobie przedstawieni. Cierń pozwolił mi nakarmić Cichosza przepiórczymi jajami i śmiał się, gdy potem zwierzątko chodziło za mną krok w krok, prosząc o więcej. Podarował mi miedzianą bransoletę, którą znalazłem pod stołem, uprzedzając, że może mi zabarwić przegub na zielono, i przestrzegając, iż jeśli ktokolwiek o nią zapyta, mam skłaniać, że znalazłem ją za stajniami.

Od czasu do czasu robiliśmy przerwę na miodowe ciasteczka i gorące korzenne wino. Siadaliśmy razem przy niskim stole, na dywanikach przed kominkiem. Patrzyłem, jak blask płomieni tańczy na jego poznaczonej bliznami skórze, i zastanawiałem się, dlaczego z początku wydawał mi się tak przerażający. Zauważył, że mu się przyglądam.

- Przypominam ci kogoś. Jestem do kogoś znajomego ci podobny, prawda?

Nieprawda. Przyglądałem się groteskowemu cętkom na bladej skórze. Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi. Widocznie zrozumiał.

- Cóż, blizny na twarzy mnie zmieniają nie do poznania. Życie odciska ślady na każdym, wcześniej czy później ty też będziesz miał ich niemało. A teraz... - Wstał, przeciągnął się, aż tunika odsłoniła chude białe piszczele. - Zrobiło się późno. Albo wcześniej, zależy od tego,

który koniec dnia lubisz bardziej. Czas wracać do łóżka. Tak. Pamiętaj, że wszystko to jest wielkim sekretem. Nie tylko ja i ta komnata, ale w ogóle wszystko: wstawanie w nocy, nauka zabijania - wszystko.

- Będę pamiętał - obiecałem, a potem, czując, że powinno to dla niego coś znaczyć, dodałem:
- Daję słowo.

Zaśmiał się krótko, po czym pokiwał głową, prawie smutno. Przebrałem się z powrotem w nocną koszulę, a on sprowadził mnie na dół po schodach. Stał przy łóżku z lampą w dłoni i czekał, aż ułożę się do snu, a potem otulił mnie kocami. Nie robił tego nikt, od czasu gdy wyprowadziłem się od Brusa. Usnąłem, chyba zanim zdążył odejść od mojego łóżka.

Następnego ranka zasnęłam tak, że aż wysłano po mnie Gąsiora. Obudziłem się otumaniony, głowa ciążyła mi boleśnie, ale natychmiast wyskoczyłem z łóżka i pobiegłem w róg pokoju. Pchnąłem ścianę, zacząłem ją badać, lecz moje dłonie napotykały tylko zimny kamień i żadna szczelina w zaprawie czy w kamieniu nie zdradzała sekretnych drzwi, za którymi schody wiodły do komnaty nowego nauczyciela. Ani przez jedną chwilę nie sądziłem, że Cierń był snem. A nawet gdybym tak pomyślał, miałem na nadgarstku prostą miedzianą bransoletę, namacalny dowód, że snem nie był.

Ubrałem się w pośpiechu i w drodze przebiegłem przez kuchnię, chwytając pajdę chleba i kawałek sera. Ciągle jeszcze żulem, gdy dotarłem do stajni. Brus był nie w humorze z powodu mojego spóźnienia, więc ciągle znajdował nowe błędy w mojej sztuce jeździeckiej i spełnianiu obowiązków. Dobrze pamiętam, jak mnie łąjał.

- Nie myśl sobie, że skoro masz własną komnatę w zamku i godło na kaftanie, to możesz się niczym jakiś darmozjad wylegiwać w pościeli nie wiadomo jak długo, a potem wstawać tylko po to, żeby trefić włosy. Na to nie pozwolę. Jesteś bękartem, to prawda, ale jesteś synem księcia Rycerskiego i zrobię z ciebie mężczyznę, z którego ojciec będzie mógł być dumny. Znieruchomiałem ze zgrzeblem w dłoni.

- Masz na myśli księcia Władczego, prawda? Moje pytanie go zaskoczyło.

- Co?

- Kiedy mówisz o darmozjadzie, który cały ranek spędza w łóżku a potem nie robi nic innego, tylko się stroi i fryzuje, masz na myśli księcia Władczego.

Brus otworzył usta, potem je zamknął. Jego zarumienione od wiatru policzki stały się jeszcze czerwieńsze.

- Ani ty, ani ja nie mamy prawa krytykować żadnego z książąt - mruknął w końcu. - Chodziło mi tylko o ogólną zasadę, że nie wypada mężczyźnie, a tym bardziej chłopcu przesyipać całego ranka.

- A już nigdy księciu - powiedziałem i zamilkłem zdziwiony, skąd mi przyszła do głowy taka myśl.

- A już nigdy księciu - powtórzył Brus poważnie. W sąsiednim boksie opatrywał ochwaconego wałacha. Koń drgnął nagle, Brus jęknął z wysiłku, ale go przytrzymał.

- Twój ojciec nigdy nie sypiał do południa, nawet jeśli wypił poprzedniej nocy. Swoją drogą miał mocną głowę, ale też był zdyscyplinowany. Nigdy nie potrzebował pomocy służby, żeby podnieść się z łóżka. A po tych, którzy mu podlegali, spodziewał się, że będą brali z niego przykład. Nie zawsze zyskiwało mu to ludzką życzliwość, ale żołnierze darzyli go szacunkiem. Wojakom się podoba, jeśli dowódca wymaga od siebie tego samego co od nich. I jeszcze coś ci powiem. Twój ojciec nie tracił pieniędzy na stroje, nie puszył się jak paw. Kiedyś, zanim jeszcze poślubił księżnę Cierpliwą, był pewnego razu na proszonym obiedzie w jednej z pomniejszych warowni. Siedziałem niedaleko od niego, wielki to był honor dla mnie, i dzięki temu słyszałem nieco z jego rozmowy z córką gospodarza, którą ufnie posadzono obok następcy tronu. Zapytała go, co sądzi o zdobiących ją szmaragdach, a on w odpowiedzi obdarzył ją komplementem. „Ciekawam, panie, czy ty lubisz klejnoty - spytała zalotnie - gdyż dziś nie masz na sobie ani jednego”. Odpowiedział, zupełnie poważnie, że

jego klejnoty błyszczą równie jasno jak jej, ale o wiele trwalszym blaskiem. „O, a gdzie trzymasz, panie te skarby? Bardzo bym chciała je zobaczyć”. Powiedział, że będzie uszczęśliwiony mogąc je pokazać nieco później wieczorem kiedy już się ściemni. Widziałem, jak spłonęła rumieńcem, spodziewała się schadzki. A on rzeczywiście zaprosił ją na blanki, ale prócz niej także prawie połowę gości przybyłych na ucztę. Wskazał światła nadbrzeżnych wież wartowniczych błyszczące jasno w ciemnościach i powiedział dziewczynie, że uważa je za swoje najpiękniejsze i najdroższe klejnoty, i że pieniądze z podatków płaconych przez jej ojca wydaje na to, by wciąż błyszczały równie jasno. A potem wskazał gościom mrugające światła strażnic w umocnieniach warowni i powiedział im, by patrząc na swojego pana, postrzegali te światła jako klejnoty na jego czole. Był to szczerzy komplement skierowany do książęcej pary i wszyscy obecni tam szlachetnie urodzeni dobrze go zapamiętali. Tamtego lata Zawyspiarze nie dokuczili nam zbyt mocno. Tak właśnie rządził książę Rycerski. Przykładem i łaskawością. I tak powinien czynić każdy prawdziwy władca,

- Nie jestem prawdziwym księciem. Jestem bękartem. - Dziwnie zabrzmiało w moich ustach to słowo, które tak często słyszałem, ale rzadko wymawiałem.

Brus westchnął cicho.

- Bądź sobą, chłopcze, i nie zwracaj uwagi na to, co myślą o tobie inni. Tylko wypełniaj swoje obowiązki.

- Czasami jestem nimi zmęczony.

- Ja też.

Rozważałem to w ciszy, szcztokując bok Sadzy. Brus, nadal przykucnięty przy nodze wałacha, odezwał się nagle:

- Nie wymagam od ciebie więcej niż od siebie samego. Wiesz, że to prawda.

- Wiem - odparłem zdziwiony, że jeszcze do tego wrócił.

- Chcę po prostu wychować cię jak najlepiej. Była to dla mnie zupełnie nowa myśl.

- Czy robisz to dlatego - zapytałem po chwili - że jeśli książę Rycerski będzie ze mnie dumny... to może wróci?

Rytmiczne odgłosy wcierania leczniczego płynu w nogę wałacha zwolniły tempo, wreszcie ucichły. Ale Brus pozostał przykucnięty; odezwał się spokojnie przez ściankę boksu.

- Nie. Tak nie myślę. Nie przypuszczam, by cokolwiek sprawiło, żeby wrócił. A nawet gdyby - mówił wolniej - nawet gdyby, nie byłby już taki jak był przedtem.

- To moja wina, że on odszedł, prawda? - Rozmowa kobiet pracujących przy krosnach powracała echem w mojej głowie. „Przecież ten chłopiec tak czy inaczej będzie dziedzicem królewskiego rodu”.

Brus długo milczał.

- Nie wydaje mi się, by ktokolwiek był winny temu, że się urodził... - Westchnął, a potem podjął wątek z wyraźnym trudem. - I z całą pewnością nie ma sposobu, by dziecko decydowało, czy będzie bękartem. Nie. Książę Rycerski sam odmienił swój los na gorsze, chociaż niełatwo mi to przyznać.

Powrócił do pracy.

- I twój los także - powiedziałem cicho, nie spodziewając się, by mógł mnie usłyszeć.

Ale po chwili doszedł mnie jego szept:

- Zupełnie dobrze daję sobie radę sam, Bastardzie. Zupełnie dobrze.

Skończył opatrywanie wałacha i wszedł do boksu Sadzy.

- Mielesz dzisiaj ozorem jak stara plotkara, Bastardzie. Co w ciebie wstąpiło?

Tym razem na mnie przyszła kolej, by zamilknąć i pomyśleć.

„To przez Ciernia - zdecydowałem w duchu. - Dlatego że chciał, bym rozumiał i miał coś do powiedzenia”.

Spotkanie z Cierniem rozwiązało mi język i spowodowało, że w końcu zacząłem zadawać pytania, które nosiłem w sobie od lat. Ponieważ nie mogłem tego powiedzieć Brusowi, wrzuciłem ramionami i odparłem, częściowo tylko zgodnie z prawdą.

- Pytam o sprawy, nad którymi się od dawna zastanawiałem. Brus mruknął coś z uznaniem.

- No i dobrze. Pytaj, chociaż nie zawsze mogę ci odpowiedzieć. Ciesz się mną, kiedy mówisz jak człowiek. Mniej się martwię, że zmienisz się w zwierzę. - Po ostatnich słowach chrząknął znacząco, a potem odszedł.

Patrząc za Brussem przypomniałem sobie noc, gdy zobaczyłem go po raz pierwszy. Gdy jedno jego spojrzenie wystarczyło, by uciszyć grupę żołnierzy. Teraz nie był już tym samym człowiekiem. Nie tylko z powodu chromej nogi. Zmieniło się jego zachowanie. Inaczej patrzyli na niego ludzie. W stajniach nadal był mistrzem i tutaj nikt nie kwestionował jego autorytetu. Ale nie był już prawą ręką następcy tronu. Poza tym, że sprawował pieczę nade mną, w ogóle nie był już człowiekiem księcia Rycerskiego. Nic dziwnego, że nie mógł na mnie patrzeć bez goryczy. Nie on spłodził bękarta, który odmienił jego los. Po raz pierwszy, od kiedy go poznałem, moja rezerwa w stosunku do niego zabarwiła się litością.

5

LOJALNOŚĆ

W niektórych księstwach i królestwach panuje zwyczaj, że mężczyźni potomkowie mają w kwestiach dziedziczenia pierwszeństwo przed kobietami. W Królestwie Sześciu Księstw nigdy nie stosowano podobnej praktyki. Władza zawsze przejmowana była w porządku starszeństwa.

Po osobie dziedziczącej tytuł szlachecki oczekuje się, iż będzie go pojmowała jako obowiązek gospodarności. Jeżeli któryś władca jest na tyle szalony, by dokonywać niszczylielskiego wyrębu lasów, zaniedbywać winnice lub marnować bydło, jego poddani mogą się odwołać do sprawiedliwości króla. Takie wypadki się zdarzały i każdy szlachetnie urodzony ma świadomość, iż mogą się powtórzyć. Dobrobyt ludu pozostaje w jego rękach i jeśli władca jest złym gospodarzem, lud ma prawo temu przeciwdziałać.

Również zawierając małżeństwo, dziedzic tytułu powinien pamiętać o swoich powinnościach. Mąż lub żona także musi być dobrym gospodarzem. Współmałżonek dziedziczący niższy tytuł przekazuje go młodszemu rodzeństwu. Każdy władca rządzi tylko jedną krainą. Niekiedy prowadziło to do swarów i w efekcie podziałów terytorialnych. Król Roztropny poślubił księżniczkę Skwapliwą, która rządziłaby Księstwem Trzody, gdyby nie przyjęła jego oświadczenia i nie została królową. Podobno żałowała swojej decyzji, gdyż nabrała przekonania, że jako władczyni Księstwa Trzody miałyby większą władzę. Poślubiła Roztropnego, wiedząc doskonale, że będzie drugą jego żoną, a pierwsza urodziła mu już dwóch sukcesorów. Nigdy nie skrywała pogardy dla starszych książąt i często podkreślała, iż skoro ona sama jest znacznie wyższego rodu niż pierwsza królowa, to jej syn, książę Władczy, jest bardziej godny królewskiej korony niż jego dwaj przyrodni bracia. Przez wybór imienia dla chłopca próbowała również innym zaszcześcić to przekonanie. Nieszczęściem dla jej planów, ów gest został odebrany wyłącznie jako przejaw złego smaku. Byli nawet i tacy, którzy drwiąco tytułowali ją królową śródłądzia, gdyż w stanie zamroczenia potrafiła dowodzić, iż miała wystarczająco silne wpływy polityczne, by zjednoczyć Księstwo Trzody oraz Księstwo Rolne w nowe królestwo, które na jej życzenie wyswobodziłoby się spod panowania króla Roztropnego. Zazwyczaj kładziono te pretensje na karb jej skłonności do

odurzania się, zarówno alkoholem, jak i ziołami. Zanim jednak ostatecznie popadła w nałóg, rzeczywiście spowodowała rozdzwięk pomiędzy księstwami śródlądowymi i nadbrzeżnymi.

* * *

Nawyknęłam do oczekiwania nocnych spotkań z Cierniem. Nie następowały regularnie, niekiedy mijało między nimi kilka lub nawet kilkanaście dni, a bywało, że Cierń wzywał mnie co noc przez cały tydzień, aż opuszczałam się w wykonywaniu dziennych obowiązków. Czasami wzywał mnie, gdy tylko twierdza ułożyła się do snu, innym razem przychodził po mnie tuż przed świtem. Dla dziecka był to bardzo wyczerpujący tryb życia, a jednak nigdy nawet nie pomyślałam, by się Cierniowi poskarżyć lub zignorować jego wezwanie. Jemu samemu chyba po prostu nie przyszło do głowy, że nocne godziny lekcji mogły być dla mnie ciężarem. Sam był nocnym markiem i wyraźnie uważał tę porę za doskonały czas na moją edukację. A nauki, które u niego pobierałam, dziwnie pasowały do ciemnych godzin doby.

Nauki te miały bardzo szeroki zakres. Jednego wieczoru mozoliłam się nad ilustracjami w wielkim zielniku, a następnego dnia miałem zebrać kilka próbek poznanych roślin. Cierń nigdy nie uważał za stosowne odpowiedzieć mi, czy powinienem szukać ziół w warzywniku, czy w najciemniejszych zakątkach lasu, ale jakoś je znajdowałam i czyniłam przy tym wiele obserwacji.

Czasami polecał mi zrobić coś zabawnego. Kazał na przykład iść rankiem do kucharki i zapytać, czy tegoroczny boczek jest chudszy niż ten z zeszłego roku. A wieczorem musiałem Cierniowi całą rozmowę powtórzyć jak najwierniej i odpowiedzieć na mnóstwo pytań: jak kucharka stała, czy jest leworęczna, czy nie odniosłem wrażenia, że niedosłyszy, a także co gotowała. Jeśli zdarzyło się, że zawiodłem w wykonaniu zadania, nigdy nie przyjmował jako usprawiedliwienia mojej wstydlivości czy małomówności. Wkrótce okazało się, że znam większość zamkowej służby, a pytania, jakie zadawałem, choć inspirowane przez Ciernia, wzbudzały moje zainteresowanie i żywą chęć poznania odpowiedzi. Całkowicie bezwiednie zacząłem zyskiwać reputację „dobrego chłopaka” i „bystrego młodzieńca”.

Wiele lat później zdałem sobie sprawę, że lekcje te były nie tylko ćwiczeniem pamięci w zabawie, lecz także instruktażem, jak nawiązywać kontakt z pośledniejszym ludem i jak przełamywać nieufność. Niejeden raz zdarzyło się potem, że mój serdeczny uśmiech i podziękowanie za wyśmienitą opiekę nad koniem, a później od niechcenia rzucone pytanie otwierały usta chłopakowi stajennemu i uzyskiwałem informację, której bym z niego nie wyciągnął za żadne skarby.

Inne zabawy hartowały mi nerwy i rozwijały umiejętność obserwacji. Pewnego razu Cierń pokazał mi niewielki motek i powiedział, że muszę - nie pytając mistrzyni Ściegu - dowiedzieć się, gdzie trzyma zapas takiej samej przędzy oraz jakie zioła zostały użyte do jej farbowania. Trzy dni później usłyszałem, że mam podkraść jej najlepsze nożyce i na trzy godziny ukryć w piwnicy, za pewnym stojakiem z winem, po czym odłożyć na miejsce, a wszystko tak by nie zauważyła mnie ani ona, ani nikt inny. Podobne ćwiczenia z początku były zgodne z naturalnym u chłopca zamiłowaniem do Psikusów, więc rzadko ponosiłem porażkę. A jeśli już tak się stało, wszelkie konsekwencje spadały wyłącznie na moją głowę. Cierń od razu uprzedził, że nie będzie mnie chronił przed niczym gniewem, i ciągle mi przypominał, bym zawsze miał na podorędziu wiarygodną historyjkę wyjaśniającą, co robię w miejscu, gdzie nikt mnie nie wzywał, albo dlaczego mam coś najzupełniej mi zbędnego.

Nauczyłem się bardzo dobrze kłamać. Choć posiadałem tę umiejętność mimochodem, to przecież nieprzypadkowo.

Były też lekcje z elementarza zabójcy. I więcej. Zręczność ręki i sztuka poruszania się chyłkiem. Gdzie uderzyć człowieka, by pozbawić go przytomności. Gdzie zadać cios, by

ofiara zakończyła życie bezgłośnie. Gdzie pchnąć człowieka, by umarł bez obfitego wypływu krwi. Uczylem się szybko, rozkwitając w blasku pochwał Ciernia.

Wkrótce zaczął się mną wysługiwać przy niewielkich zadaniach na terenie zamku. Nigdy mi nie zdradzał przy zlecaniu misji, czy i stanowiły sprawdzian moich umiejętności, czy też były rzeczywistymi, ważnymi zadaniami. Dla mnie nie miało to żadnego znaczenia; wykonywałem wszystkie polecenia jednakowo chętnie, dopingowany uwielbieniem dla Ciernia. Wiosną tamtego roku dodałem pewnego specyfiku do dzbanów wina, którym raczyła się przybyła z Miasta Wolnego Handlu reprezentacja kupców, tak że w efekcie zupełnie zamroczyli się alkoholem. W tym samym miesiącu ukryłem jedną marionetkę przyjezdnej trupy komediantów, przez co musieli wystawić „Rzeczy uboczne kojarzenia par”, niefrasobliwą ludową przypowieść, w miejsce przydługiego historycznego dramatu zaplanowanego na ten wieczór. Podczas Święta Pełni Lata dodałem ziół do dzbanka z popołudniową herbatą dla dziewczki służebnej, tak że ona i trzy jej przyjaciółki, dotknięte rozstrojem żołądka, nie mogły tego wieczoru usługiwać do stołu. Jesienią wierzchowcowi pewnego szlachetnie urodzonego pana zawiązałem sznurek tuż nad stawem pęcynowym, przez co koń jakiś czas utykał, a szlachcic musiał zostać w twierdzy dwa dni dłużej, niż zamierzał. Nigdy nie znałem powodów, dla których Cierń dawał mi takie czy inne zadania. Jako wyrostek bardziej skupiałem się na tym, jak mam je wykonać, niż dlaczego. I tego także, jak sądzę, miałem się wyuczyć: posłuszeństwa bez pytania o powody, dla których rozkaz został wydany.

Jedno zadanie mnie absolutnie zachwyciło. Wiedziałem, że jest ono czymś więcej niż kaprysem Ciernia.

Wezwał mnie w ostatnim skrawku ciemności przed świtem.

- Baron Jedwabny i jego pani goszczą u nas od dwóch tygodni. Znasz ich z widzenia: on ma bardzo długie sumiaste wąsy, a ona bez ustanku poprawia fryzurę, nawet przy stole. Wiesz, o kim mówię?

Zmarszczyłem brwi w zamyśleniu. Szlachetnie urodzeni licznie zebrali się w Koziej Twierdzy, by utworzyć radę, która miała przedyskutować coraz częstsze napaści Zawyspiarzy. Odgadywałem, że księżstwa nadbrzeżne chciały zbudować więcej okrętów wojennych, ale księżstwa śródlądowe oponowały przeciwko płaceniu podatków na cele, które uważały za czysto nadbrzeżny problem. Baron Jedwabny i baronowa Dalia mieszkali w jednym z księstw śródlądowych. Jedwabny był najwyraźniej obdarzony dużym temperamentem, bo cały czas zdawał się rozgorączkowany. W przeciwieństwie do niego, baronowa Dalia wydawała się zupełnie nie zainteresowana radą; prawie cały czas spędzała na oglądaniu zamku.

- Nosi zawsze kwiaty we włosach? I ciągle jej wypadają?

- Tak, to ona - rzekł Cierń zadowolony. - Dobrze. Znasz ją. Teraz przedstawię ci zadanie, lecz wiedz, że nie mam czasu planować z tobą jego wykonania. Dzisiaj, gdzieś w ciągu dnia, w jakiejś chwili, baronowa Dalia pośle umyślnego do komnaty księcia Władczego. Posłaniec zanieśli tam liścik, może kwiat - nie wiem co. Zabierzesz owo coś, zanim książe to zobaczy. Zrozumiałeś?

Kiwnąłem głową i otworzyłem usta, by zadać pytanie, ale Cierń wstał raptownie i niemal wygonił mnie z komnaty.

- Nie ma czasu, już prawie świt! - oznajmił. Obmyśliłem sobie, iż ukryty w komnacie księcia Władczego będę czekał na posłańca. W którymś momencie zakradła się tam dziewczyna, a zrobiła to tak zręcznie, że byłem przekonany, iż nie jest to jej pierwsza misja. Położyła na poduszce księcia Władczego cienki zwój papieru oraz kwiat w paku i równie dyskretnie jak weszła, umknęła z komnaty. W następnej chwili oba te przedmioty znalazły się w kieszeni mojego kaftana, a później pod moją poduszką. Najtrudniejszą częścią zadania było powstrzymanie się od otwarcia zwoju. Późno w nocy oddałem papier i kwiat Cierniowi. Kilka dni czekałem, pewien awantury i mając nadzieję zobaczyć księcia pokonanego. Ku mojemu

zaskoczeniu nic się nie wydarzyło. Książę Władczy zachowywał się zupełnie normalnie, poza tym że był może nieco bardziej opryskliwy niż zazwyczaj i jeszcze pilniej flirtował z każdą napotkaną damą. A jeśli chodzi o baronową Dalię, nagle zainteresowała się obradami rady i skonfundowała swego męża, stając się żarliwym zwolennikiem podatków na okręty wojenne. Królowa okazała swoje niezadowolenie z takiej odmiany poprzez wykluczenie baronowej Dalii z degustacji wina w swoich komnatach. Cała historia dała mi wiele do myślenia, ale kiedy w końcu wspomniałem o tym Cierniowi, zostałem zbesztany.

- Pamiętaj, jesteś człowiekiem króla. Dostajesz zadanie i masz mu sprostać. Powinieneś być zadowolony z siebie, że wykonałeś polecenie; więcej ci nie trzeba. Wyłącznie król Roztropny może planować posunięcia i rządzić przebiegiem gry. Ty i ja jesteśmy w niej tylko płonkami, ale najlepszymi, tego możesz być pewien.

W niedługim czasie Cierń zyskał okazję, by się przekonać, że moje posłuszeństwo ma jednak pewne granice. Chodziło o okulawienie konia. Podpowiedział mi, bym podciął zwierzęciu ścięgno. Nigdy w życiu nawet nie przeszło mi przez myśl, że mógłbym coś podobnego uczynić. Poinformowałem nauczyciela, z całą wyższością kogoś, kto wyrastał pomiędzy końmi, że jest wiele sposobów osiągnięcia celu, bez konieczności ranienia zwierzęcia, i by zdał się na mnie, iż wybiorę właściwy. Do dziś dnia nie wiem, jak Cierń przyjął mój sprzeciw. Nie zganił mnie wówczas ani też nie okazał, że pochwała moje zachowanie. Podobnie jak przy wielu innych okazjach zataił swoje odczucia.

Mniej więcej raz na kwartał król Roztropny wzywał mnie do swoich komnat. Zazwyczaj miało to miejsce bardzo wczesnym rankiem, więc nieraz stałem przed nim, gdy był w kąpieli lub kiedy układano mu włosy do złotej korony, lub gdy służący rozkładał przed nim ubranie. Rytuał zawsze był ten sam. Król oglądał mnie uważnie, zwracał uwagę na mój wzrost i uczesanie, zupełnie jakbym był koniem wystawionym na sprzedaż. Zadawał kilka pytań, zazwyczaj na temat postępów w nauce jeździectwa albo władania bronią, i uważnie słuchał moich zwięzłych odpowiedzi. A potem pytał, prawie formalnie:

- Czy masz poczucie, że dotrzymuję naszej umowy?

- Tak, mój panie - odpowiadałem za każdym razem.

- Więc bacz, byś i ty jej dotrzymywał - brzmiała zawsze jego odpowiedź i było to równocześnie przyzwolenie do odejścia.

Żaden ze służących - ani ci, którzy mu usługiwali, ani otwierający mi drzwi przy wejściu lub wyjściu - najwyraźniej nigdy nie zwrócił na mnie baczniejszej uwagi.

Minęła jesień, a w środku zimy otrzymałem najtrudniejsze zadanie. Cierń wezwał mnie do swojej komnaty prawie zaraz po tym, jak zdmuchnąłem świecę. Siedząc przed paleniskiem dzieliliśmy się mięsem i winem zaprawionym korzeniami. Cierń obsypywał pochwałami moją ostatnią eskapadę, która polegała na odwróceniu na lewą stronę wszystkich koszul schnących na sznurkach na podwórzu pralni, ale tak by mnie nikt na tym nie przyłapał. Zadanie było trudne, a najtrudniejszą jego częścią było powstrzymanie się od głośnego śmiechu i tym samym zdradzenia miejsca mojego ukrycia w kadzi do farbowania, gdy dwóch młodszych chłopaków z pralni uznało mój figiel za psotę wodników, więc na ten dzień odmówiło dalszej pracy. Cierń, jak zwykle, wiedział o wszystkim, Jeszcze zanim mu opowiedziałem. Sprawił mi ogromną przyjemność wiadomością, że mistrz Tary wydał rozporządzenie, by w każdym kącie dziedzińca powiesić pęki olszocho morskiego, a także obwiesić girlandami wszystkie studnie, by odstraszyć wodniki i ustrzec się ich psot w czasie jutrzejszej pracy.

- Masz do tego smykałkę, chłopcze. - Cierń zachichotał i zmierzwił mi włosy. - Prawie można by pomyśleć, że nie ma takiego zadania, którego byś nie potrafił wykonać.

Siedział przed ogniem w swoim krześle o prostym oparciu, a ja na podłodze przy nim, opierając plecy o jego nogę. Poklepał mnie, tak jak mógłby Brus poklepać ptaka albo psa, który się dobrze spisał, po czym pochylił się nieco i odezwał cicho:

- Ale ja mam dla ciebie prawdziwe wyzwanie.
- Jakie? - spytałem ochoczo.
- Nie będzie ono łatwe nawet dla kogoś o tak zręcznych dłoniach jak twoje - ostrzegł.
- Wypróbuj mnie - rzekłem wyzywająco.
- Może za jakiś miesiąc albo dwa, kiedy będziesz umiał nieco więcej. Na dzisiaj przygotowałem dla ciebie zabawę, która wyostri ci oko i pamięć. - Sięgnął do sakwy i wyciągnął z niej garść jakichś drobnych przedmiotów. Na krótko otworzył dłoń: kolorowe kamyki. Dłoń się zamknęła. - Były jakieś żółte?
- Tak. Cierń, jakie to zdanie?
- Ile?
- Dwa widziałem. Cierń, załóżę się, że mógłbym to zrobić teraz.
- Mogło być więcej niż dwa?
- Możliwe, jeśli były ukryte pod spodem. Ale raczej nie. Cierń jakie to zadanie?
Otworzył kościstą starą dłoń, zamieszał kamyki długim palcem wskazującym.
- Miałeś rację. Tylko dwa żółte. Gramy dalej?
- Cierń, poradzę sobie.
- Naprawdę tak myślisz? Popatrz jeszcze raz, tutaj są kamyki. Raz, dwa, trzy i nie ma kamyków. Były jakieś czerwone?
- Tak, Cierń, jakie to zadanie?
- Czy było więcej czerwonych niż niebieskich? Chodzi o to, by przynieść mi jakiś przedmiot osobistego użytku z nocnego stolika króla.
- Co?
- Więcej było czerwonych kamyków niż niebieskich?
- Nie, to znaczy... jakie to zadanie?
- Źle, chłopcze! - wykrzyknął radośnie Cierń. Otworzył pięść. - Zobacz, trzy czerwone i trzy niebieskie. Dokładnie tyle samo. Będziesz musiał patrzeć szybciej niż teraz, jeśli masz sprostać moim zadaniom.
- I siedem zielonych. Wiedziałem o tym, Cierń. Ale... chcesz, żebym coś ukradł królowi? - Ciągle nie mogłem uwierzyć własnym uszom.
- Nie ukradł, tylko pożyczył. Tak jak nożyczki mistrzyni Ściegu, Nie ma nic złego w takim figlu, prawda?
- Nic, poza tym że zostanę wychłostany, jeśli mnie złapią. Albo nawet gorzej.
- A! Więc się boisz, że zostaniesz przyłapany. Widzisz, mówiłem ci, że lepiej z tym poczekać jeszcze miesiąc czy dwa, aż będziesz umiał więcej.
- Nie chodzi o karę. Tylko... gdybym został złapany... król i ja... zawarliśmy umowę... - Moje słowa brzmiały coraz ciszej.
Targały mną wątpliwości. Nauka i polecenia Ciernia były wynikiem umowy między mną a królem Roztropnym. Nauczyciel przy każdym spotkaniu, zanim zaczynał mnie instruować, formalnie mi tę umowę przypominał. Dałem słowo Cierniowi, tak samo jak królowi, że będę lojalny. Z pewnością rozumiał, iż jeślibym zadziałał Przeciwno królowi, złamałbym słowo.
- To jest zabawa, chłopcze - rzekł Cierń cierpliwie. - Nic więcej. Tylko psota. Jedyny powód, dla którego wybrałem ci takie zadanie, to fakt, że komnaty króla i jego rzeczy osobiste są wyjątkowo dobrze strzeżone. Z nożyczkami szwaczki może sobie poradzić każdy, ale tu mówimy o prawdziwym wyzwaniu: niełatwo wejść do prywatnych komnat króla i wziąć coś, co do niego należy. Gdybyś zdołał tego dokonać, uwierzyłbym, że nie zmarnowałem czasu, który poświęciłem na twoją naukę. Czułbym, że doceniasz wiedzę, którą ci wpoilem.
- Wiesz, że wysoko cenię sobie twoje nauki - powiedziałem szybko. Zupełnie nie o to chodziło. Cierń najwyraźniej mnie nie rozumiał. - Czułbym się... nielojalny. Jakbym wykorzystywał nabytą od ciebie wiedzę, by oszukiwać króla. To prawie jakbym się z niego naigrawał.

- Ach! - Cierń odchylił się na oparcie krzesła, na ustach miał uśmiech. - Niech cię to nie martwi, chłopcze. Król Roztropny potrafi docenić dobry żart. Obojętne co weźmiesz, ja sam mu to oddam. Będzie to dla niego znak, jak dobrego w tobie mam ucznia. Weź coś zwykłego, jeśli zadanie cię niepokoi. Nie musi to być korona ani królewski pierścień! Wystarczy szcotka do włosów, może arkusz papieru... coś takiego. Choćby rękawiczka albo pasek. Nic wartościowego. Po prostu fant.

Właściwie powinienem był się zastanowić, zanim podjąłem decyzję, że tego zadania nie wykonam; ale przecież byłem pewien swego.

- Nie mogę tego zrobić. To znaczy, nie chcę tego zrobić. Nie królowi. Wymień kogokolwiek innego. Pamiętasz, jak zabrałem zwój księciu Władczemu? Zobaczysz, potrafię się zakraść wszędzie i...

- Chłopcze! - odezwał się Cierń wolno, ogromnie zdumiony - Ty mi nie ufasz? Mówię ci, że to tylko zabawa, nie zdrada. I przyrzekam ci, jeśli tym razem zostaniesz złapany, natychmiast się pojawię i wszystko wyjaśnię. Nie będziesz ukarany.

- Nie o to chodzi - zaprzeczyłem gorączkowo. Czuję, jak rośnie zdumienie Ciernia moją odmową. Zebrałem się w sobie, musiałem znaleźć sposób, by mu wytłumaczyć. - Przyrzekłem lojalność Roztropnemu. A to...

- Nie ma w tym nic nielojalnego! - uciał Cierń. Dostrzegłem gniewne błyski w jego oczach. Odsunąłem się przestraszony. Nigdy nie widziałem u niego takiego spojrzenia.

- O czym ty mówisz, chłopcze? Sugerujesz, że każę ci zdradzić króla? Nie bądź głupi. To tylko zwykły sprawdzian, sposób na zmierzenie twoich umiejętności i pokazanie samemu królowi Roztropnemu, czego się nauczyłeś. A ty się od tego uchylasz. I usiłujesz pokryć tchórzostwo gadaniem o lojalności. Wstydz się, chłopcze. Myślałem, że masz więcej charakteru, inaczej nigdy nie zacząłbym cię uczyć.

- Cierń! - wykrzyknąłem przerażony. Od jego słów zakręciło mi się w głowie. Odsunął się ode mnie i mój mały świat zachwiało się w posadach.

- Lepiej wróć do łóżka, chłopczyku - poradził mi chłodnym tonem. - Przemyśl, jak bardzo obraziłeś mnie tej nocy. Nie pojmuję, jak mogłeś insynuować, że potrafiłbym być nielojalny w stosunku do króla. Idź na dół, ty tchórze, nikkzemniku. A gdy następnym razem cię wezwę... Ha! Jeśli cię jeszcze wezwę, przyjdź, gotów być mi posłusznym. Albo nie przychodź w ogóle. Teraz odejdz.

Nigdy przedtem Cierń tak się do mnie nie odzywał. Nie przypominałem sobie nawet, by podniósł na mnie głos. Bezmyślnie patrzyłem na chude, poznaczone bliznami ramię, które wysunęło się z rękawa tuniki, na długi palec, który tak pogardliwie wskazywał drzwi prowadzące na schody. Kiedy wstałem, czułem się chory. Zatoczyłem się i musiałem uchwycić krzesła, ale posłusznie wyszedłem. Cierń, który był głównym filarem mojego świata, który sprawił, że uwierzyłem, iż jestem coś wart, teraz odebrał mi wszystko. Nie tylko uznanie, jakim mnie darzył, ale też poczucie sensowności pobierania nauk, nadzieję, że będę w życiu kimś.

Potyając się i zataczając zszedłem po schodach. Nigdy nie wydawały mi się tak długie i zimne. Na dole drzwi zamknęły się za mną ze zgrzytem i zostałem w całkowitych ciemnościach. Po omacku znalazłem drogę do łóżka, ale nie mogłem się rozgrzać pod pledami i nie zaznałem snu tej nocy. Miotła mną udręka. Najgorsze, że nie potrafiłem znaleźć w sobie wątpliwości. Z pewnością nie mogłem spełnić żądania Ciernia. Co za tym idzie, musiałem utracić mistrza. Bez jego nauk nie będę miał żadnej wartości dla króla. Ale nie to mnie dręczyło. Dręczyło mnie odepchnięcie przez Ciernia. Nie mogłem sobie przypomnieć, jak dawałem sobie radę w życiu przedtem, gdy byłem zupełnie samotny. Powrót do pustej egzystencji z dnia na dzień, od obowiązku do obowiązku, wydawał się niemożliwy.

Rozpaczliwie usiłowałem podjąć właściwą decyzję. Niestety, zdawało się, że nie ma odpowiedzi. Mogłem pójść do komnat samego króla Roztropnego, pokazać broszę, zostać przyjętym i opowiedzieć mu o swoim dylemacie. Co by uczynił król? Czy potraktowałby mnie jak głupiutkiego malca? Czy powiedziałby, że powinienem być posłuchać Ciernia? Czy, co gorsza, orzekłby, że miałem rację będąc nieposłusznym i rozgniewałby się na Ciernia? Dla chłopca w moim wieku były to bardzo trudne pytania i nie znalazłem na nie odpowiedzi.

Wreszcie nadszedł ranek. Zwlokłem się z łóżka i stawiałem jak zwykle u Brusa. Wypełniałem codzienne obowiązki pogrążony w gorzkiej apatii. Brus najpierw beształ mnie co chwilę, a wreszcie przepytał o stan żołądka. Zbyłem go mówiąc, że po prostu źle spałem, więc w końcu dał mi spokój, nawet nie kazał pić żadnego lekarstwa. Nauka walki zbrojnej nie poszła mi lepiej. Byłem tak nieuważny, że pozwoliłem, by znacznie młodszy ode mnie chłopiec tęgo przyłożył mi po głowie. Czernidło obu nas złażała za lekkomyślność, po czym kazała mi usiąść i odpocząć.

Gdy wróciłem do zamku, w głowie mi huczało, ledwie trzymałem się na nogach. Poszedłem do swojej komnaty, bo nie miałem ochoty na południowy posiłek ani na słuchanie głośnych rozmów przy stole. Położyłem się, zamierzając zamknąć oczy tylko na chwilę, lecz zasnąłem głęboko. Obudziłem się dopiero późnym popołudniem i uświadomiłem sobie, że zostanę skarcony za opuszczenie lekcji. Ale nawet to nie wystarczyło, by mnie do końca rozbudzić: znowu zapadłem w sen, przerwany dopiero przez służącą, która na polecenie Brusa przyszła sprawdzić, co się ze mną dzieje, i przypomnieć o kolacji. Pozbyłem się jej mówiąc, że mam kłopoty z żołądkiem i zamierzam pościć, dopóki nie wyzdrowieję. Po jej wyjściu zdrzemnąłem się jeszcze, ale nie zasnąłem naprawdę. Nie mogłem. Noc pogłębiła ciemność w mojej mrocznej komnacie. Słyszałem, jak cały zamek cichnie, jego mieszkańcy układali się na spoczynek. W ciemności i ciszy leżałem, oczekując wezwania, na które nie śmiałybym odpowiedzieć. Co będzie, jeśli drzwi się otworzą? Nie mogłem pójść do Ciernia, ponieważ nie mogłem być mu posłuszny. Co byłoby gorsze: gdyby mnie nie wezwał, czy gdyby otworzył dla mnie drzwi, a ja nie ośmieliłbym się pójść? Tkwiłem między młotem a kowadłem i w szarości wpełzającego ranka nadal nie znałem rozwiązania. Cierń się nie pofatygował, żeby po mnie zajrzeć.

Nawet teraz nie lubię wracać pamięcią do następnych kilku dni. Brnąłem przez nie chory na duszy; nie mogłem ani jeść, ani spać. Nie potrafiłem się skupić na żadnym obowiązku i z ponurą rezygnacją zbierałem od nauczycieli ciągle nowe nagany. Pogodziłem się z nieustającym bólem głowy, a żołądek miałem tak ściśnięty, że na samą myśl o jedzeniu robiło mi się niedobrze. Brus znosił to przez dwa dni, po czym trzeciego posadził mnie w jakimś kącie i wmusił we mnie jedną dawkę lekarstwa na robaki oraz jedną na wzmocnienie krwi. Dzięki tej wstrząsowej kuracji zwymiotowałem wszystko, co z takim trudem udało mi się wcześniej przełknąć. Brus kazał mi przepłukać usta winem ze śliwek i od tego dnia nie potrafię wypić śliwkowego wina bez przykrego uczucia mdłości. Potem, całkowicie zubożniałego, zaprowadził mnie na swoje poddasze i szorstko rozkazał mi tam odpoczywać aż do końca dnia. Gdy nadszedł wieczór, pogonił mnie do zamku, gdzie, pod jego uważnym spojrzeniem, zostałem zmuszony do zjedzenia miski wodnistej zupy oraz pajdy chleba. Zabrałby mnie z powrotem do siebie, gdybym się nie uparł, że chcę spać we własnym łóżku. W rzeczywistości musiałem po prostu być w swojej komnacie. Musiałem wiedzieć, czy Cierń w końcu mnie wezwie. Kolejną bezsenłą noc wpatrywałem się w czerń ciemniejszego kąta. Cierń mnie nie wezwał. Ranek powłókł okno szarością. Przekręciłem się na drugi bok i zostałem w łóżku. Nie potrafiłem walczyć z bezdeną otchłanią rozpaczy. Wszystkie drogi wiodły donikąd. Nie mogłem sprostać bezsensowi wstania z łóżka. Zapadłem w stan zbliżony do snu, koszmarnie bolała mnie głowa. Każdy dźwięk wydawał się zbyt głośny, było mi równocześnie zimno i gorąco, bez względu na to jak układałem przykrycia. Zamknąłem oczy, ale nawet krótkie sny kłuły mnie pod powiekami irytującym światłem. Słyszałem skłócone

głosy, dobiegały mnie z tak bliska, jakby z samego łóżka, a sprzeczka była daremna, gdyż to chyba jeden człowiek kłócił się sam ze sobą i mówił za obie strony. „Załamałeś go jak tamtego!” - mamrotał gniewnie. „Ty i twoje głupie próby!” A potem: „Nigdy za wiele ostrożności. Nikomu nie można ufać. Jota w jotę taki sam. Wystaw na próbę jego odwagę, to wszystko”. „Ostrze! Chcesz mieć bezmyślne narzędzie, wykuj je sobie. A porządnie!” I spokojnie: „Nie mam, do tego serca, nie będę cię już słuchał. Jeśli chciałeś zbadać granice mojej cierpliwości, to ci się udało”. Potem: „Nie mów mi o więzach krwi i rodzinie. Pamiętaj, kim dla ciebie jestem! To nie o jego lojalność ona się obawia ani o moją”.

Gniewne głosy umilkły, zlały się w jeden, rozpoczęły następną awanturę, tym razem ostrzejszą. Rozwarłem powieki. Moja komnata stała się polem zażartej bitwy. Obudziłem się w środku zacieklej kłótni pomiędzy Brussem a mistrzynią Ściegu, która roztoczyła nade mną opiekę. Miała ze sobą koszyk z łożyny, z którego wystawały szyjki butelek. Woń gorczycznego plastra i rumianku napłynęła do mnie tak mocno, że aż zebrało mi się na mdłości. Brus stał ze stoickim spokojem pomiędzy kobietą a moim łóżkiem. Ręce założył na piersiach, u jego stóp siedziała Wiedźma. Słowa mistrzyni Ściegu turkotały w mojej głowie niczym toczące się kamienie. „W zamku”, „czysta pościel”, „wiedzieć cośkolwiek o chłopcach”, „ten cuchnący pies”. Nie przypominam sobie, żeby Brus odezwał się chociaż jednym słowem. Po prostu stał, tak niewzruszony, że czułem jego obecność przez zamknięte powieki.

Potem wyszedł. Wiedźma została na łóżku. Nie w nogach, lecz przy moim boku; dyszała ciężko, ale nie opuściła mnie i nie zesłała na chłodną podłogę. Ponownie otworzyłem oczy znacznie później, gdy zapadał już wczesny zmierzch. Brus wyciągnął mi spod głowy poduszkę, wstrząsnął ją i niezręcznie upychał z powrotem. Potem ciężko usiadł na łóżku.

- Bastardzie. - Odchrząknął. - Nie wiem, co ci jest, nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem. W każdym razie to ani z żołądka, ani ze złej krwi. Gdybyś był trochę starszy, powiedziałbym, że masz kłopoty z dziewczyną. Zachowujesz się jak żołnierz po trzydniowym pijaństwie, ale przecież nie piłeś wina. Chłopcze, co się z tobą dzieje?

Patrzył na mnie ze szczerym niepokojem. Tak samo spoglądał, gdy się obawiał, że któraś kobyła poroni, albo kiedy po polowaniu przywożono psy pokiereszowane przez dziki. Wyraźnie czułem ten niepokój i, nie myśląc co robię, sięgnąłem do jego umysłu. Mocna bariera była tam, jak zwykle, ale Wiedźma zaskomlała cicho i trąciła mnie nosem w policzek. Spróbowałem ubrać w słowa swoją zgryzotę, nie zdradzając Ciernia.

- Jestem taki samotny - usłyszałem swój głos i nawet dla mnie brzmiało to jak żalosna skarga. - Samotny? - Brus zmarszczył brwi. - Bastardzie, przecież jestem z tobą. Jak możesz mówić, że jesteś samotny?

I tu rozmowa się skończyła, patrzyliśmy jeden na drugiego nie potrafiąc się porozumieć. Później przyniósł mi jedzenie, ale nie nalegał, bym jadł. I zostawił mi Wiedźmę na noc. Zastanowiłem się odruchowo, jak by suka zareagowała, gdyby otworzyły się tamte drzwi, ale zaraz sobie uświadomiłem, że nie mam się czym przejmować. Nie otworzą się nigdy.

Znowu nadszedł ranek. Wiedźma trąciła mnie nosem i zapiszczała, żeby ją wypuścić. Zbyt znękanym, by się przejmować zakazami Brusa, sięgnąłem do jej umysłu. Była głodna i spragniona, pęcherz o mało jej nie pękał. Nagle jej odczucia stały się także moimi. Naciągnąłem na siebie tunikę i wyszedłem z suką na zewnątrz, a potem wróciliśmy do kuchni, po jedzenie. Radość kucharki na mój widok przeszła wszelkie moje wyobrażenia. Wiedźma dostała pełną misę resztek z poprzedniego dnia, a ja zostałem posadzony do sześciu grubych plastrów bekonu na ciepłej kromce chleba z pierwszego w tym dniu wypieku. Ostry wędch Wiedźmy i jej doskonały apetyt pobudziły moje zmysły, więc zanim się zorientowałem, już jadłem, choć kierowany nie prawdziwym apetytem, lecz naturalną potrzebą, właściwą młodym stworzeniom.

Z kuchni Wiedźma zaprowadziła mnie do stajni i chociaż przed wejściem wycofałem się z jej umysłu, czułem się dziwnie odświeżony przez ten krótki kontakt. Brus oderwał się od pracy, zmierzył mnie wzrokiem, zerknął na Wiedźmę, burknął coś do siebie skwaszony, a potem podał mi butelkę z mlekiem i knot.

- Niewiele jest w ludzkiej głowie rzeczy - powiedział mi - których nie da się uleczyć pracą albo dbałością o inne stworzenie. U ratlerów kilka dni temu oszczeniła się suka i jeden szczeniak jest za słaby, żeby dać sobie radę. Dzisiaj spróbuj utrzymać go przy życiu.

Szczeniak był mały i brzydki, różowe ciało prześwitywało przez ciemnobrązową sierść. Oczy miał jeszcze mocno zamknięte, a zbyt duża skóra, która miała mu się przydać, kiedy będzie rósł, marszczyła się nad pyszczkiem. Cienki ogonek wyglądał zupełnie jak szczurzy, aż się zdziwiłem, że matka nie rozszarpała własnych szczeniaków, tak były podobne do szkodników. Psiak rzeczywiście miał niewiele sił i chęci do życia, ale dotąd zajmowałem go ciepłym mlekiem i knotem, aż wreszcie zaczął troszeczkę ssać i doszedł do siebie na tyle, że matka zaczęła go obwąchiwać i wylizywać. Odczepiłem jedną z jego silniejszych sióstr od sutka i wtoczyłem mojego podopiecznego na jej miejsce. Zresztą suczka miała brzuszki okrągły i pełny; ssała tylko z rozpędu. Była biała, z czarną łatką nad okiem. Chwyła mój mały palec, przysssała się do niego i już było czuć przyszlą ogromną siłę jej szczęk. Brus opowiadał mi o psach na szczury, które potrafiły ucześcić się nozdrzy szarżującego byka. Pogardzał ludźmi, którzy uczyli psy podobnych sztuczek, ale też darzył ogromnym respektem psa o odwadze tak wielkiej, że potrafił rzucić się na byka. Nasze ratlery były hodowane w jednym celu, zgodnym z odwieczną tradycją, i przeprowadzały regularne patrole w składach kukurydzy oraz w spichlerzach, polując na szczury. Spędziłem przy szczeniaku całe rano, a w południe odszedłem, nagrodzony widokiem psiaka o brzuchu okrągłym jak kulka i twardym od mleka. Później sprzątałem stajnię. Brus obarczał mnie kolejnym zadaniem od razu, gdy tylko wypełniłem poprzednie, nie zostawiając mi czasu na nic poza pracą. Nie rozmawiał ze mną i nie zadawał pytań, ale cały czas trzymał się o kilka kroków ode mnie. Wyglądało na to, że wziął moją skargę na samotność dosłownie i postanowił być ciągle w zasięgu mojego wzroku. Zakończyłem dzień znowu przy szczeniaku, który był wyraźnie silniejszy niż rankiem. Położyłem go sobie na piersi. Wpełznął mi pod brodę, szeroko rozwartym pyszczkiem szukał mleka. Łachotało. Opuściłem psiaka i przyjrzałem mu się uważniej. Miał różowy nos. Ludzie mówią, że ratlery z różowymi nosami są najbardziej zażarte w walce. Teraz w jego małym rozumku znalazło się miejsce jedynie na mgliste poczucie ciepła i bezpieczeństwa, a także pragnienie mleka i uwielbienie dla mojego zapachu. Wsączyłem do umysłu psiaka poczucie bezpieczeństwa, pochwaliłem za siłę. Wiercił mi się na rękach. Nagle Brus wychylił się nad ścianką boksu i plasnął mnie otwartą dłonią w głowę, wydobywając bliźniaczy skowyt ze szczeniaka i ze mnie.

- Dosyć - upomniął mnie surowo. - To nie dla człowieka. I nic ci to nie pomoże. No już, oddaj szczeniaka matce.

Posłuchałem, choć niechętnie i nie do końca przekonany, czy Brus ma rację, iż więź ze szczeniakiem niczego mi nie da. Łaknąłem jego małego ciepłego świata, którego granice wyznaczała słoma, rodzeństwo, mleko i matka. Wówczas nie potrafiłem sobie wyobrazić lepszego.

Potem Brus i ja poszliśmy zjeść. Zabrał mnie do żołnierskiej kantyny, gdzie maniery każdy miał takie, jakie miał, i nikt nie oczekiwał kurtuazyjnej wymiany zdań. Wygodnie mi było, kiedy tak siedziałem nie myśląc o niczym, samotny w tłumie. Jadło podawano sobie nad moją głowę i nikt się o mnie nie troszczył. Brus jednak dopilnował, bym zjadł, a potem usiedliśmy przed wyjściem obok tylnych drzwi i piliśmy. Piłem już wcześniej piwo i wino, ale nigdy nie piłem w taki sposób, jak mi pokazał Brus. W pewnej chwili kucharka wynurzyła się z kuchni i złażała go, że daje chłopcu mocny trunek, lecz obrzucił ją spokojnym spojrzeniem, które

przywiodło mi na myśl pierwszą noc, gdy go spotkałem, kiedy to w obronie dobrego imienia księcia Rycerskiego stawiał czoło grupie żołnierzy. Kucharka odeszła.

Brus zaprowadził mnie do mojej komnaty, ściągnął mi, stojącemu niepewnie obok łóżka, tunikę przez głowę, niedbale ułożył mnie w pościeli i przykrył pledem.

- Teraz będziesz spał - poinformował mnie grubym głosem. - A jutro zrobimy to samo. I pojutrze znowu. Aż pewnego dnia obudzisz się i będziesz wiedział, że choć doznałeś krzywdy, jednak przeżyłeś.

Zdmuchnął świecę i wyszedł. W głowie mi się kręciło i ciało miałem obolałe po całym dniu pracy. Ale ciągle nie spałem. Zorientowałem się, że płaczę. Trunek rozbroił moje serce i zapłakałem. Nie cicho. Szlochałem, łkałem i zawodziłem, dolna szczęka drżała mi konwulsyjnie. Gardło miałem ściśnięte, z nosa mi ciekło i wylem tak, że nie mogłem złapać tchu. Wypłakałem wszystkie łzy, których nie przelałem od dnia, gdy dziadek zmusił moją matkę, żeby mnie oddała.

- Mamo! - usłyszałem swój głos i nagle jakieś ramiona objęły mnie mocno.

Cierń tulił mnie i kołysał, jakbym był malutkim dzieckiem. Nawet w ciemnościach poznałem te chude ramiona i zapach ziół oraz kurzu. Z niedowierzaniem przywarłem do niego i płakałem, aż ochryplem, aż tak mi wyschło w ustach, że nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

- Miałaś rację - powiedział w moje włosy, cicho, uspokajająco. - Miałaś rację. Kazałem ci zrobić coś złego i miałaś rację, że się nie zgodziłaś. Nie będę już cię sprawdzał w ten sposób. Nigdy.

Kiedy się w końcu uspokoiłem, zostawił mnie na pewien czas samego, a potem wrócił i przyniósł mi jakiś napój; letni i prawie bez smaku, ale nie była to woda. Podsunął mi kubek do ust, a ja wypilem bez pytania. Potem położyłem się, nagle tak śpiący, że nawet nie pamiętam, kiedy Cierń wyszedł z komnaty.

Obudziłem się tuż przed świtem i po solidnym śniadaniu stawilem u Brusa. Praca szła mi sprawnie, raźnie uwinąłem się z obowiązkami i zupełnie nie mogłem pojąć, dlaczego Brus obudził się z koszmarnym bólem głowy i był wyjątkowo opryskliwy. W pewnym momencie mruknął coś o „głowie jego ojca do trunków”, a potem zwolnił mnie wcześniej, mówiąc, bym się wynosił ze swoim gwizdaniem jak najdalej.

Trzy dni później, o świcie, wezwał mnie król Roztropny. Był już ubrany. Na tacy czekało jedzenie dla więcej niż jednej osoby. Zaraz po moim wejściu odesłał służbę, potem kazał mi usiąść. Zająłem krzesło przy małym stoliku, a wówczas nie pytając, czy jestem głodny, własną ręką nałożył mi jedzenie i usiadł naprzeciw, aby samemu się pożywić. Królewski gest zrobił na mnie ogromne wrażenie i ledwo mogłem coś przełknąć. Rozmawialiśmy tylko o posiłku, król nie wspominał nic o umowach, lojalności czy dotrzymywaniu słowa. Zobaczywszy, że skończyłem jedzenie, odsunął swój talerz.

- To był mój pomysł - rzekł nagle, prawie szorstko. - Nie jego. On nigdy tego nie chciał. Nalegałem. Kiedy będziesz starszy, zrozumiesz. Nie mogę ryzykować, nigdy. Ale przyrzekłem mu, że dowiesz się tego właśnie ode mnie. To był mój pomysł, tylko i wyłącznie mój. Nigdy już Ciernia nie poproszę, żeby wystawił cię na podobną próbę. Masz na to moje królewskie słowo.

Odprawił mnie gestem. Wstałem, a czyniąc to zsunąłem z tacy mały srebrny nożyk, cały grawerowany, którego król używał do krojenia owoców. Robiąc to patrzyłem mu w oczy i niezbyt się kryjąc wsunąłem nóż do rękawa. Król nie wyrzekł ani słowa.

Dwie noce później Cierń przyszedł po mnie i lekcje potoczyły się dalej, jak gdyby nigdy nie było tej przerwy. On mówił, ja słuchałem; bawiliśmy się w jego grę kolorowymi kamykami i nigdy nie popełniłem błędu. Zadawał mi lekcje i razem płataliśmy drobne psikusy. Pokazał mi, jak łasica Cichosz tańczy, żeby dostać kiełbaskę. Wszystko było znowu dobrze między nami. Ale zanim opuściłem jego komnatę tamtej nocy, podszedłem do paleniska. Bez słowa

umieściłem nóż na środku półki nad kominkiem. Właściwie wbiłem go w drewno. Potem wyszedłem, bez słowa, nie patrząc mu w oczy. Nigdy o tym nie mówiliśmy. Wierzę, że nóż ciągle jest tam, gdzie go zostawiłem.

6

CIEŃ KSIĘCIA RYCERSKIEGO

Istnieją dwie legendy traktujące o zwyczaju nadawania królewskiemu potomstwu imion sugerujących cnoty lub zdolności. Jedna, powszechnie znana, głosi, że imiona te są w jakimś sensie wiążące; że jeśli imię zostanie nadane potomkowi, który będzie uczony korzystania z Mocy, to Moc jakimś sposobem sprawia, iż dziecko wzrasta praktykując cnotę przypisaną do jego miana. W prawdziwość tej legendy najmocniej wierzą spośród ludu, którzy są też najbardziej skłonni do czapkowania nawet przed drobniejszą szlachcią.

Starsza legenda wiąże owe szczególne imiona z przypadkiem; przynajmniej w początkach tradycji. Głosi ona, że Zdobywca oraz Władca, dwaj pierwsi Zawyspiarze rządzący ziemiami przekształconymi później w Królestwo Sześciu Księstw, w rzeczywistości nazywali się zupełnie inaczej. Można domniemywać, że ich imiona brzmiały w języku Zawyspiarzy podobnie do tych właśnie słów w języku Królestwa Sześciu Księstw i zaczęły funkcjonować raczej jako homonimy niż odpowiedniki ich prawdziwych imion. Lecz dla władzy królewskiej korzystniejszą jest, jeśli lud wierzy, że chłopiec, któremu nadano szlachetne imię, musi wyrosnąć na człowieka o szlachetnej naturze.

* * *

- Chłopcze!

Podniosłem głowę. Co najmniej sześciu chłopców siedziało w swobodnych pozach przed ogniem, a żaden ani drgnął. Dziewczęta zwróciły na zawołanie jeszcze mniej uwagi. Podniosłem się i zająłem miejsce po przeciwnej stronie niskiego stołu, przy którym klęczał Krzewiciel, mistrz Pióra. Do perfekcji opanował specyficzną modulację głosu, która wszystkim jasno dawała do zrozumienia, kiedy słowo „chłopcze” oznaczało bękart, a kiedy któregoś innego chłopca.

Usiadłem na piętach wciskając kolana pod stół i pokazałem Krzewicielowi moją kartę grubego papieru. Kiedy opuścił wzrok na kolumny starannie wykaligrafowanych liter, pozwoliłem sobie na rozluźnienie uwagi.

Zima zagnała nas pod dach i zebrała tutaj, w sali biesiadnej. Sztorm chłostał mury zamku, a bałwany waliły w skalne ściany z taką siłą, że niekiedy drżała kamienna podłoga pod naszymi stopami. Gęste chmury ukradły nawet te kilka godzin wilgotnego dziennego światła, które zostawiła zima. Wydawało mi się, że mrok spowił nas na kształt gęstej mgły, otoczył ze wszystkich stron. Wzrok miałem zmałowany i byłem śpiący, choć nie zmęczony. Przez chwilę pozwoliłem swoim zmysłom na krótkie ćwiczenie i sięgnąłem ku zimowej ospałości ogarów, które drzemały po kątach. Nawet tam nie znalazłem myśli ani obrazu zdolnego mnie zainteresować.

Ogień buzował we wszystkich trzech wielkich paleniskach, a przed każdym z nich zebrała się inna grupa. Przy jednym trudzili się przy pracy ci, co robili strzały, na wszelki wypadek, gdyby jutro dzień był jasny wystarczająco, by pozwolić na polowanie. Pragnąłem być z nimi; Szef opowiadał jakąś historię, często przerywaną pełnym uznania śmiechem słuchaczy; jego

łagodny głos wznosił się i opadał intrygująco. Przy ostatnim palenisku śpiewał piskliwy chórek. Rozpoznałem „Pieśń pasterzy”, melodię, przy której uczono rachunków. Kilka matek dziergających koronki wybijało rytm stopami, a stary Szarpacz suchymi palcami trącał struny harfy i prawie utrzymywał młode głosy we właściwej tonacji.

Przy naszym palenisku starsze dzieci, które potrafiły już usiedzieć spokojnie, uczyły się pisania i czytania. Doglądał ich Krzewiciel. Nic nie umknęło przenikliwemu spojrzeniu jego niebieskich oczu.

- Tutaj - odezwał się do mnie, wskazując odpowiednie miejsce na papierze - zapomniałeś skrzyżować ogonki. Pamiętasz, jak ci pokazywałem? Sprawiedliwy, otwórz oczy i wracaj do pisania. Przyśnij jeszcze raz, a każę ci przynieść nową kłodę do kominka. Miłosierny, będziesz mógł mu pomóc, jeśli znów się głupio uśmiechniesz. Poza tym - ponownie skupił uwagę na mojej pracy - piszesz znacznie lepiej, nie tylko w alfabecie Królestwa Sześciu Księstw, ale runami Zawyspiarzy także. Chociaż trudno je naprawdę dobrze stawiać na tak złym papierze. Powierzchnia jest zbyt porowata i za szybko wchłania atrament. Do runów potrzeba dobrze wygładzonych płatów kory, ot co. - Z uznaniem przeciągnął palcem po płachcie, na której sam pisał. - Pracuj tak dalej, a nim zima dobiegnie końca, pozwolę ci zrobić dla mnie kopię „Leków królowej Życzliwej”. Co ty na to?

To dopiero byłoby wyróżnienie! Wiedziałem, że „Leki” to prosty spis właściwości ziół i ich wykorzystania, ale zazwyczaj nie zlecano kopiowania uczniom; dobry papier był cenny, a przecież jeden nieostrożny ruch pędzelka mógł zniszczyć cały arkusz. Krzewiciel dał mi następną kartę grubego papieru. Kiedy się podniosłem, by wrócić na miejsce, zatrzymał mnie gestem ręki.

- Chłopcze...

Stanąłem.

Krzewiciel był lekko zmieszany.

- Nie wiem, kogo o to pytać, jeśli nie ciebie. Powiniennem się z tym udać do twoich rodziców, ale... - litościwie pozostawił zdanie nie dokończone. W zamyśleniu poskrobał się po brodzie palcami splamionymi atramentem. - Zima niedługo się skończy i znowu ruszę w drogę. Czy wiesz, czym się zajmuję latem, chłopcze? Wędruję po wszystkich sześciu księstwach, zbierając zioła i jagody oraz korzenie do atramentów, zamawiam dostawy papieru. Wiadę spokojne i przyjemne życie: latem swobodna wędrówka po kraju, zimą gościna w zamku. Wiele dobrego można by powiedzieć o tej profesji. - Patrzył na mnie w zamyśleniu.

Milczałem, zastanawiając się, do czego zmierza.

- Co kilka lat biorę ucznia. Niektórzy się w to wciągają i zostają skrybami w pomniejszych twierdzach. Inni nie. Nie mają cierpliwości do szczegółów ani pamięci do składników atramentu. Myślę, że ty byś miał. Chciałbyś zostać skrybą?

Pytanie kompletnie zbiło mnie z pantafelów. Trudno mi było uwierzyć, że Krzewiciel wybrał mnie na swojego ucznia, zamierzał mi przekazać sekrety swego fachu. Minęło już kilka lat, od kiedy zawarłem umowę z królem. Od tamtej pory niektóre noce spędzałem w towarzystwie Ciernia, a czasem wykradałem popołudnia z Sikorką i Krową, ale nigdy nawet nie pomyślałem, że ktoś mógłby pragnąć mojego towarzystwa, a co dopiero widzieć we mnie kandydata na terminatora. Propozycja Krzewiciela odebrała mi mowę. Musiał wyczuć moje zmieszanie, bo uśmiechnął się swoim nieprawdopodobnym, młodo-starym uśmiechem.

- Cóż, pomyśl o tym, chłopcze. Uczony w pismach to dobry kawałek chleba, a jakie masz inne perspektywy? Niech to pozostanie między nami, ale myślę, że jakiś czas z dala od Koziej Twierdzy dobrze by ci zrobił.

- Z dala od Koziej Twierdzy? - powtórzyłem w zdumieniu. Było to jak nagłe zerwanie kotary. Nigdy nie rozważałem podobnej możliwości. Niespodziewanie, w jednej chwili, drogi wiodące z Koziej Twierdzy zarysowały się w moim umyśle nieprawdopodobnie jasno, a

zniszczone mapy, które do tej pory niechętnie studiowałem, zmieniły się w obrazy miejsc, do których mogłem zawitać. Spłynęło na mnie nagłe lśnienie.

- Tak - rzekł cicho Krzewiciel. - Opuścić Kozią Twierdzę. W miarę jak dorastasz, cień księcia Rycerskiego staje się coraz krótszy. Nie będzie cię chronił zawsze. Lepiej bądź sobą, stań na własnych nogach i zacznij żyć po swojemu, zanim ci zabraknie jego protekcji. Nie musisz odpowiadać mi teraz. Przemyśl to. Może porozmawiaj o tym z Brussem.

Podał mi papier i odesłał mnie z powrotem na miejsce.

Myślałem o jego słowach, ale nie z Brussem o nich rozmawiałem. O szarej godzinie nowego dnia Cierń i ja kucaliśmy skuleni, głowa przy głowie. Ja zbierałem czerwone skorupy stłuczonego garnuszka przewróconego przez Cichosza, a Cierń ratował drobne czarne nasiona, rozsypane na wszystkie strony. Łasica przywarła na szczycie gobelinu, który ugiął się pod jej ciężarem, i ćwierkała przepraszająco, ale też z lekkim rozbawieniem.

- Te nasiona przybyły do nas aż z Kalibaru, ty chuderlawy futrzaku! - beszał ją Cierń.

- Kalibar - powtórzyłem i wyrecytowałem jednym tchem: - dzień drogi od granicy Piaszczystych Kresów.

- Dobrze, chłopcze - mruknął Cierń z uznaniem.

- Byłeś tam kiedyś?

- Ja? O nie. Chodziło mi o to, że są z bardzo daleka. Musiałem po nie wysłać aż do Jodłowego Grzbietu. Jest tam wielki targ, na który ściągają handlarze z całego Królestwa Sześciu Księstw, a i wielu naszych sąsiadów.

- Och. Jodłowy Grzbiet. Byłeś tam kiedyś? Cierń namyślał się przez chwilę.

- Raz, a może ze dwa razy, jak byłem młodszy. Pamiętani przede wszystkim hałas. I upał. Krainy śródłądowe są właśnie takie: zbyt suche i zbyt gorące. Cieszyłem się z powrotu do Koziej Twierdzy.

- Czy byłeś w jakimś miejscu, które podobało ci się bardziej niż Kozia Twierdza?

Cierń wyprostował się powoli, dłonie miał pełne drobnych czarnych nasion.

- Może byś mnie po prostu zapytał wprost, zamiast owijać w bawełnę?

I tak opowiedziałem mu o propozycji Krzewiciela i o tym, jak nagle zdałem sobie sprawę, że mapy to coś więcej niż linie i kolory. To były miejsca i możliwości, i mogłem stąd odejść i zostać kimś innym, być skrybą albo...

- Nie. - Cierń odezwał się cicho, lecz gwałtownie. - Nieważne, dokąd pójdziesz, zawsze będziesz bękartem księcia Rycerskiego. Krzewiciel jest bystrzejszy, niż sądziłem, ale nadal nie wszystko rozumie. Nie pojmuje całości. Widzi, że tutaj, na królewskim dworze musisz na zawsze pozostać bękartem, zawsze swego rodzaju pariasem. Ale nie dostrzega, że korzystając ze szczodrości króla, pobierając lekcje pod jego okiem, nie stanowisz dla niego zagrożenia. Oczywiście, kryjesz się w cieniu swojego ojca. Oczywiście, on cię chroni. Ale kiedy stąd odejdziesz, będziesz potrzebował jego protekcji tak samo jak teraz, a równocześnie staniesz się wielkim niebezpieczeństwem dla króla Roztropnego i dla jego dziedziców. Nie jest ci pisany wolny żywot prostego wędrownego skryby. Najpewniej któregoś ranka zostanie cię strzała gdzieś na drogach.

Przeszedł mnie zimny dreszcz.

- Dlaczego? - zapytałem cicho.

Cierń westchnął. Wysypał nasiona na talerz, lekko potrząsnął dłonią, żeby odkleić te, które przywarły do palców.

- Bo jesteś królewskim bękartem i zakładnikiem własnych więzów krwi. Na razie, jak mówiłem, nie stanowisz zagrożenia dla króla. Jesteś na to za młody, a poza tym król ma cię tutaj na oku. Ale on patrzy w przyszłość. Czasy są niespokojne. Zawyspiarze robią coraz śmielsze wypadki na nasze ziemie. Lud nabrzeżny zaczyna utyskiwać. Mówi się, że potrzebujemy więcej łodzi patrolowych i więcej okrętów wojennych, by odpłacać pięknym za

nadobne. Cóż, księstwa śródładowe nie chcą brać udziału w fundowaniu statków, szczególnie okrętów, które mogłyby doprowadzić do wybuchu regularnej wojny. Skarżą się, że król myśli tylko o wybrzeżu, a o ich interesy nie dba. Na dodatek lud gór coraz bardziej niechętnie udostępnia nam górskie przejścia. Opłaty handlowe rosną z miesiąca na miesiąc, więc kupcy także się skarżą. Na południu, w Piaszczystych Kresach i dalej nastąpiła susza; czasy są ciężkie. Ludzie tam wyrzekają, zupełnie jak gdyby król albo księżę Szczery byli odpowiedzialni także i za to. Księżę Szczery jest świetnym kompanem do kielicha, ale nie jest ani takim żołnierzem, ani dyplomata jak jego starszy brat, księżę Rycerski. Woli polować na króliki albo słuchać minstrelki przy kominku, niż podróżować zimowymi drogami w czas surowej pogody tylko po to, by zacieśnić kontakty z innymi państwami. Wcześniej czy później, jeśli nic się nie zmieni, ludzie zaczną się rozglądać i mówić: „Po co robić tyle szumu o bękarta? Księżę Rycerski powinien powrócić do władzy; on by szybko położył kres temu wszystkiemu. Może jest trochę sztywny, jeśli chodzi o manieri, ale w końcu robił swoje i nie pozwalał, by uciskali nas obcy”.

- Więc księżę Rycerski mógłby jednak zostać królem? - spytałem wstrząśnięty. Zacząłem sobie wyobrażać jego triumfalny powrót do Koziej Twierdzy, nasze spotkanie i... i co potem? Cierń najwyraźniej czytał w mojej twarzy niczym w otwartej księdze.

- Nie, chłopcze. To zupełnie nieprawdopodobne. Nawet gdyby cały lud tego żądał, wątpię, by księżę Rycerski otrząsnął się z więzów, które sam na siebie nałożył, lub sprzeciwił się woli króla. Ale coraz częściej słyhać narzekania i utyskiwania, a to zazwyczaj prowadzi do zamieszek i ogólnie rzecz biorąc tworzy klimat fatalny dla bękarta, który by sobie do woli wędrował dokąd oczy poniosą. Została ci wyznaczona rola i musisz ją odegrać. Albo będziesz narzędziem króla, albo trupem.

- Narzędzie króla, rozumiem. - Ogarnęło mnie przygnębienie. Moje marzenia o błękitnych niebiosach wznoszących się nad żółtymi drogami, gdzie podróżowałbym na Sadzy, nigdy się nie ziszczą. Zamiast tego ujrzałem pod powiekami ogary skupione w psiarni i zakapturzone sokoły, podróżujące na królewskim nadgarstku i puszczane wolno tylko na rozkaz króla.

- Nie musi być aż tak źle - rzekł Cierń cicho. - Większość ograniczeń stworzymy sobie sami. Człowiek buduje także własną wolność.

- Nigdy nigdzie nie wyjadę, prawda? - Choć idea podróży jeszcze wczoraj nie powstałaby mi w głowie, nagle nabrała ogromnego znaczenia.

- Tego bym nie powiedział. - Cierń robił dużo zamieszania szukając, czego mógłby użyć jako obciążenia pokrywy na talerzu pełnym nasion. W końcu zdecydował się na spodeczek. - Odwiedzisz wiele miejsc. Dyskretnie i wówczas, gdy będzie tego wymagało dobro rodu. Bardzo podobnie żyje każdy księżę krwi. Czy myślisz, że księżę Rycerski mógł wybierać, dokąd się udawał z misją dyplomatyczną? Czy twoim zdaniem księżę Szczery lubi być wysyłany do miast napadniętych przez Zawyspiarzy, by wysłuchiwać tam skarg mieszkańców, utyskujących, że gdyby tylko mieli lepsze albo lepiej obsadzone fortyfikacje, nic złego by im się nie wydarzyło? Prawdziwy księżę ma bardzo niewielki wybór, dokąd pojedzie albo jak będzie spędzał czas. Twój ojciec prawdopodobnie może teraz podejmować podobne decyzje swobodniej niż kiedykolwiek wcześniej.

- Nie może tylko przyjechać do Koziej Twierdzy? - Przebłysk zrozumienia unieruchomił mnie z rękoma pełnymi skorup.

- Nie może tylko przyjechać do Koziej Twierdzy. Nie ma potrzeby mieszać ludziom w głowach wizytami byłego następcy tronu. Rzuciłem skorupy w ogień.

- Przynajmniej gdzieś może jechać - mruknąłem. - Ja nie mogę nawet iść do miasta.

- Takie to dla ciebie ważne? Chciałbyś chodzić po brudnym porcie?

- Tam są inni... - zaciąłem się. Nawet Cierń nie wiedział o moich przyjaciołach. Postawiłem wszystko na jedną kartę. - Nazywają mnie Nowy. I nie widzą we mnie bękarta za każdym

razem, kiedy na mnie patrzą. - Nigdy wcześniej nie ująłem tego w słowa, ale nagle nieodparty powab miasta stał się dla mnie zupełnie jasny.

- Aha - mruknął Cierń i jego ramiona poruszyły się, zupełnie jakby westchnął, choć do mnie nie dotarł żaden dźwięk. I już w następnej chwili opowiadał mi, jak można wpędzić człowieka w chorobę, podając mu do jedzenia rabarbar ze szpinakiem; przy odpowiednio dużej porcji może to być nawet choroba śmiertelna, a przecież na stole nie znajdziesz ani szczypty trucizny. Zapytałem go, jak innych biesiadników uchronić przed dolegliwościami, i nasza dyskusja odbiegła od poprzedniego tematu.

Po jakimś czasie przekonałem się, że jego słowa dotyczące księcia Rycerskiego były niemal prorocze.

Dwa dni później zaskoczono mnie informacją, że na cały dzień jestem potrzebny Krzewicielowi. Byłem jeszcze bardziej zdziwiony, gdy skryba wręczył mi listę sprawunków do zrobienia w mieście i nie tylko srebro na zapłatę, ale na dodatek dwa miedziaki dla mnie. Wstrzymałem oddech, pewien, że Brus lub inny spośród moich mistrzów zabroni mi tego wyjścia, ale zamiast tego powiedziano mi tylko, bym szybciej ruszał w drogę. Wyszedłem za mury, dzierżąc koszyk na ramieniu, a w głowie kręciło mi się od niespodziewanej wolności. Przeliczyłem miesiące od ostatniego razu, gdy zdołałem się wymknąć z zamku, i doznałem niemałego wstrząsu, stwierdziwszy, że minął już rok lub nawet więcej. Natychmiast postanowiłem odnowić znajomość z miastem. Nikt mi nie powiedział, kiedy mam wrócić, więc byłem przekonany, że jeśli uszczknę dla siebie godzinkę lub dwie, nikt się o tym nie dowie.

Lista zakupów była długa i żeby spełnić wszystkie życzenia Krzewiciela, musiałem przejść całe miasto. Nie miałem pojęcia, jaki pożytek mogły mieć dla skryby suszone włosy morskiej nimfy albo duża miara leśnych orzechów. Może używał ich do barwienia atramentów. Ponieważ ani jednego, ani drugiego nie mogłem znaleźć w zwykłych sklepach, zaszedłem na bazar koło przystani, gdzie każdy, kto miał derkę i coś do sprzedania, mógł się uważać za kupca. Dostyc szybko dostałem glony morskie i dowiedziałem się, że były powszechnym składnikiem zupy rybnej. Znalezienie orzechów zajęło mi więcej czasu, gdyż była to rzecz pochodząca z krain śródlądowych, a nie nadbrzeżnych, i niewielu kupców oferowało podobne towary.

Znalazłem je jednak, obok koszyków z kolcami jeżatki i rzeźbionymi drewnianymi paciorkami, przy orzechowej mączce i arkuszach gładzonej kory. Kobieta siedząca koło tego pledu była stara, a czas pokrył jej włosy srebrem raczej niż bielą lub szarością. Miała wydatny prosty nos i wystające kości policzkowe. Były to cechy rasy bardzo mi obce, lecz jednocześnie dziwnie znajome. Nagle dreszcz przeszedł mi po plecach; zrozumiałem, że pochodziła z gór.

- Keppet - odezwała się kobieta siedząca przy sąsiednim pledzie.

Sądziłem, że mówi do tej, której właśnie płaciłem. Ale ona patrzyła na mnie.

- Keppet - powtórzyła z naciskiem, a ja się zastanowiłem, co mogło to słowo oznaczać w jej języku. Brzmiało jak prośba, lecz staruszka nie reagowała, wzrok utkwiała gdzieś w dali, więc wzruszyłem lekko ramionami, uśmiechnąłem się przepraszająco i z orzechami w koszyku zacząłem się oddalać.

Nie uszedłem dziesięciu kroków, gdy usłyszałem ją znowu.

- Keppet! - krzyknęła przenikliwie.

Obejrzałem się i zobaczyłem, że owe dwie kobiety szamoczą się niezgrabnie. Starsza trzymała za nadgarstki młodszą, która próbowała się wyrwać, szarpała się i kopała. Handlarze dookoła zrywali się na równe nogi i pośpiesznie ratowali swoje towary przed zniszczeniem. Może bym i zawrócił, żeby się przyjrzeć tej niecodziennej scenie, gdybym nie dostrzegł znajomej twarzy.

- Krew z Nosa! - zawołałem.

Odwróciła się do mnie i przez chwilę sądziłem, że się omyliłem. Od naszego ostatniego spotkania minął rok. Jak można przez rok zmienić się tak bardzo? Ciemne włosy, zazwyczaj splecione w grzeczne warkoczki za uszami, teraz swobodnie spływały na ramiona. I ubrana była nie w kaftan i luźne spodnie, ale jak dorosła kobieta, w bluzkę i spódnicę. Na ten widok odebrało mi mowę. Odwróciłbym się i udawał, że wołałem do kogoś innego, gdyby nie to, iż dziewczyna obrzuciła mnie wyzywającym spojrzeniem.

- Krew z Nosa? - usłyszałem chłodne pytanie. Uparłem się przy swoim.

- Ty nie jesteś Sikorka Krew z Nosa? Uniosła dłoń i odsunęła włosy z policzka.

- Nazywam się Sikorka. Handlarka wosku. - Ujrzałem w jej oczach błysk rozpoznania, ale spytała z rezerwą: - Nie jestem pewna, czy się znamy. Jak masz na imię, panie?

Zmieszany, zadziałałem odruchowo - sięgnąłem do jej umysłu. Znalazłem tam ogromne zdenerwowanie oraz zdumiewający lęk. Zaprzagnąłem ją uspokoić myślą i głosem.

- Jestem Nowy - rzekłem bez wahania.

Oczy jej się zaokrągliły ze zdumienia, a potem wybuchnęła śmiechem, biorąc moje słowa za żart. Ściana, która wyrosła między nami, pękła niczym bańka mydlana i nagle wróciło ciepłe poczucie wspólnoty, podobne do więzi łączącej mnie z Gagatkiem. Wszelka sztuczność gdzieś zaginęła. Wokół szamoczących się kobiet rósł tłumek ciekawskich, ale my dwoje zostawiliśmy to wszystko za sobą i poszliśmy pod górę brukowaną uliczką. Pochwaliłem strój Sikorki, a ona dostojnie odparła, że nosi spódnicę już od kilku miesięcy i zdecydowanie woli je od spodni. Ta akurat należała kiedyś do jej matki; nie tak łatwo dziś zdobyć równie gładko tkaną wełnę ani czerwień tak jasną. Z kolei ona zachwyciła się moim ubraniem i nagle zdałem sobie sprawę, że wydałem jej się równie odmieniony jak ona mnie. Ubrany byłem w najlepszą koszulę oraz w spodnie wyprane zaledwie kilka dni wcześniej, a w dodatku na nogach, niczym prawdziwy żołnierz, miałem własne buty, choć Brus nie krył swojej opinii, że szkoda szyć dla mnie buty, skoro szybko z nich wyrosnę. Zapytała, co robię w mieście, więc powiedziałem, że załatwiam sprawunki dla zamkowego skryby. Powiedziałem także, iż potrzebuje on dwóch świec z pszczelego wosku, co było całkowitą nieprawdą, ale pozwoliło mi towarzyszyć dziewczynie krętymi uliczkami w drodze do sklepu. Niekiedy po przyjacielsku trącaliśmy się łokciami, a Sikorka opowiadała o sobie. Ona też niosła koszyk. Znajdowało się w nim kilka paczuszek oraz wiązki ziół - do pachnących świec, jak mi powiedziała. Robiła najlepsze pachnące świece w Koziej Twierdzy; przyznawali to nawet dwaj pozostali handlarze wosku w mieście.

- To lawenda, powąchaj, prawda, że przyjemny zapach? Ulubiony zapach mojej mamy i mój także. To nawłóć, a to pszczele mleczko. To łój z ogona rekina, ja za nim nie przepadam, ale niektórzy mówią, że dobrze jest zapalić taką świecę, by wyleczyć ból głowy i zimową melancholię. Powroźnik Drozd mówi, że moja matka mieszała rekini łój z ziołami i robiła z niego wspaniałe świece, które potrafiły przynieść ulgę nawet dziecku cierpiącemu na kolkę. Chcę spróbować i przekonać się, czy zdołam znaleźć właściwe zioła i na nowo odkryć przepis matki.

Jej spokojna pewność siebie wypływająca z przekonania o własnej wartości i umiejętnościach sprawiła, że zapłonąłem chęcią, by siebie samego jak najlepiej przedstawić w jej oczach.

- Znam łój rekina - rzekłem. - Niektórzy używają go do maści na bolące ramiona i plecy. Ale jeśli zrobić z niego nalewkę i mieszać z winem, w ogóle nie czuć smaku, a potrafi uspić dorosłego człowieka na cały dzień, noc i jeszcze jeden dzień, a dziecko nawet uśmiercić.

Gdy wymówiłem ostatnie słowa, na jej twarzy odmalowało się przerażenie. Zamilkłem i znów wyrosła między nami bariera.

- Skąd wiesz takie rzeczy? - spytała Sikorka bez tchu.

- Ja... Słyszałem, jak wędrowna akuszerka opowiadała naszej akuszerce, w zamku - zaimprovizowałem. - To była... bardzo smutna historia o rannym żołnierzu, któremu lekarstwo przyniosło ulgę w cierpieniach, ale niestety, jego dziecko też się napiło leku. Bar-

dzo smutna historia. - Jej twarz się wypogodziła i czułem znowu znajome ciepło. - Mówię o tym tylko, byś była z rekinim łojeni ostrożna. Nie zostawiaj go gdzieś, gdzie mogłoby się do niego dostać jakieś dziecko.

- Dziękuję ci. Będę o tym pamiętała. Interesujesz się ziołami? Nie wiedziałam, że skrybę obchodzą takie rzeczy.

Nagle zdałem sobie sprawę, że miała mnie za pomocnika skryby. Nie widziałem powodu, by wyprowadzać ją z błędu.

- O, nasz skryba używa do barwników i farb bardzo różnych rzeczy. Niektóre kopie wykonuje się tylko zwykłym atramentem, ale są też inne, bardzo zabawne, całe zdobione ptakami, kotami, żółwiami i rybami. Krzewiciel pokazywał mi zielnik, w którym na marginesie każdej strony narysowano liście i kwiaty opisywanego zioła.

- Chciałabym zobaczyć coś takiego - rzekła lekko, a ja natychmiast zacząłem przemyśliwać nad sposobem ściągnięcia zielnika chociaż na kilka dni.

- Może zdołałbym ci przynieść kopię... nie na zawsze, ale do przeczytania, na kilka dni - zaproponowałem z wahaniem.

- Jakbym umiała czytać! - roześmiała się, ale w jej głosie brzmiała gorzka nuta. - Och, ale wydaje się, że ty, biegając na posyłki dla tego skryby, liznąłeś trochę pisania i czytania.

- Trochę - odparłem i zdumiała mnie zazdrość w jej oczach, gdy pokazałem moją listę zakupów i wyznałem, że potrafię przeczytać wszystkie widoczne na niej siedem stów.

Nagle się zawstydzila. Zwolniła kroku i wkrótce zdałem sobie sprawę, że dochodzimy do sklepiku ze świeczkami. Zastanawiałem się, czy ojciec nadal ją bije, ale nie śmiałem o to spytać. W każdym razie nie miała widocznych siniaków. Podeszliśmy do drzwi sklepiku i tam stanęliśmy. Nagle powzięła jakąś decyzję, bo ujęła mnie pod ramię, nabrała głęboko powietrza i zapytała:

- Czy mógłbyś mi coś przeczytać? Chociaż kawałek?

- Spróbuję - obiecałem.

- Bo widzisz, ja... Ponieważ zaczęłam nosić spódnice, ojciec dał mi rzeczy matki. Kiedy była młodą dziewczyną, usługiwała przy ubieraniu u jednej damy w twierdzy i tam ją nauczono liter. Mam kilka tabliczek, które sama napisała. Chciałabym wiedzieć, o czym mówią.

- Spróbuję - powtórzyłem.

- W sklepie jest ojciec. - Nie powiedziała nic więcej, ale to wystarczyło.

- Mam przynieść Krzewicielowi dwie świece z pszczelego wosku - przypomniałem jej. - Nie śmiem bez nich wrócić do zamku.

- Nie zachowuj się przy ojcu zbyt poufale w stosunku do mnie - uprzedziła i otworzyła drzwi. Ruszyłem za nią, lecz powoli, jakby przypadek zetknął nas przed samymi drzwiami. Zbędna ostrożność. Ojciec Sikorki spał głębokim snem na krześle przy palenisku. Byłem wstrząśnięty widokiem zmian, jakie w nim zaszły. Jego cera przypominała kolorem zakalec, wyglądał jak szkielec. Nauki Ciernia nie poszły w las. Przyjrzałem się paznokciom oraz wargom śpiącego i nawet z odległości kilku kroków mogłem ocenić, że nie będzie żył długo. Prawdopodobnie przestał bić córkę, bo nie miał na to siły.

Sikorka gestem nakazała mi zachować ciszę. Zniknęła za kotarami, które oddzielały dom od sklepu. Zostawiła mnie samego.

Znajdowałem się w przyjemnym wnętrzu; niezbyt dużym, ale z sufitem wzniesionym wyżej niż w większości sklepów i mieszkań w Koziej Twierdzy. Podejrzewałem, że tylko dzięki staraniom Sikorki panowała tu czystość i porządek. Światło było łagodne. Coś przyjemnie pachniało. Najróżniejsze świece, złączone knotami, zwisały parami z długich kołków na stojaku. Grube, mocne, używane na statkach, stały na półce. Sikorka miała do sprzedania nawet trzy oszklone gliniane lampy, przeznaczone dla kogoś, kto mógłby sobie pozwolić na taki zbytek. Oprócz świec zauważyłem także garncę miodu - naturalny produkt uboczny pasieki, zaopatrującej sklep w wosk na najlepsze produkty.

Sikorka ukazała się na powrót i gestem kazała mi się zbliżyć. Przyniosła naręcze świec oraz kilka tabliczek; położyła wszystko na stole. Odsunęła się i zacisnęła wargi, jak gdyby się zastanawiała, czy postąpiła właściwie.

Tabliczki wykonano dawno, widać to było po stylu pisma. Były możliwie najprostsze: drewniane, wygładzone piaskiem. Każdą zapisano w całości. Cztery podawały precyzyjne recepty na uzdrawiające świece ziołowe. Litery wykaligrafowano z wielką starannością, a potem utrwalono żółtawą warstwą żywicy. Kiedy czytałem każdą z nich, Sikorka półgłosem powtarzała moje słowa, by je dokładnie zapamiętać. Zawahałem się przy ostatniej, piątej tabliczce.

- To niezupełnie jest przepis - powiedziałem.

- A co takiego? - spytała szeptem. Zacząłem czytać:

- „Tego dnia przysłała na świat Sikorka Wesoły Nosek, słodka niczym bukiet polnych kwiatków. Kiedy ją rodziłam, zapaliłam dwie świece z drzewa laurowego i dwie filiżanki kadzidła okraszonego zapachem dwóch garści małych fiołków, które rosną niedaleko młyna Dybią, oraz jedną garścią bardzo drobno posiekanego czerwonego korzenia. Może ona postąpi podobnie, gdy przyjdzie na nią czas rodzić dziecko i będzie miała poród tak łatwy jak ja, i wyda owoc równie doskonały. Tak wierzę”.

To było wszystko. Nastąpiła cisza pachnąca słodyczą. Sikorka wzięła tabliczkę z moich rąk i wpatrywała się w nią, jak gdyby odczytywała w literach treści, których ja tam nie dostrzegłem. Odchrząknąłem, by przypomnieć dziewczynie o mojej obecności. W milczeniu zebrała tabliczki i raz jeszcze zniknęła.

Kiedy wróciła, szybko wzięła ze stojaka dwie wysokie świece z wosku pszczelego, a potem podeszła do półki, skąd wzięła jeszcze dwie, grube, różowe.

- Potrzebuję tylko...

- Ciii... Nie płacisz za żadną. Te ze słodkich jagód dadzą ci spokojny sen. Bardzo je lubię i tobie także pewnie się spodobają. - Głos miała przyjazny, ale kiedy włożyła świece do mojego koszyka, wiedziałem, że czeka, aż sobie pójdę. Odprowadziła mnie jednak do drzwi i otworzyła je, cicho, by nie obudzić ojca. - Dowidzenia, NOWY - powiedziała, a potem obdarzyła mnie prawdziwym uśmiechem.

- Wesoły Nosek. Nie wiedziałam, że tak mnie nazywała. W mieście nazywali mnie Krew z Nosa. Pewnie starsi, którzy znali imię, jakie mi nadała matka, uważali to za zabawne. A po jakimś czasie może zapomnieli, że kiedykolwiek nazywałam się inaczej. Cóż, nic mnie to nie obchodzi. Teraz je mam. Imię od mojej matki.

- Pasuje do ciebie - rzekłem w nagłym przypływie szczerości, a potem, czując gorący rumieniec na policzkach, pośpiesznie odszedłem.

Ze zdziwieniem zorientowałem się, że zrobiło się już późno. Pobiegłem załatwić resztę sprawunków. Ostatnią rzecz, skórę łasicy, musiałem wybłagać przez zamknięte okiennice. Kupiec niechętnie otworzył mi drzwi gderając, bo stygła mu wieczera, ale ja dziękowałem tak wylewnie, że w końcu musiał mnie chyba wziąć za pomyłonego.

Właśnie podążałem najbardziej stromą częścią drogi prowadzącej do zamku, gdy usłyszałem za sobą tętent kopyt. Konie szły od strony doków, pod górę, i to szybko. Dziwne. Nikt w mieście nie trzymał koni, bo na stromych kamienistych uliczkach niewielki byłby z nich pożytek. Poza tym miasto stłoczyło się na tak małej powierzchni, że jazda konna była raczej przejawem próżności niż wygody lub konieczności. A więc musiały to być konie z zamkowej stajni. Zszedłem z drogi i czekałem, ciekawy, kto ryzykował parę gorzkich słów prawdy od Brusa, każąc koniom iść z tą szybkością po śliskim i nierównym bruku, przy niepewnym świetle.

Wstrząśnięty i zaskoczony ujrzałem książąt Władczego oraz Szczerego na identycznych karych rumakach, które stanowiły prawdziwą dumę Brusa. Książę Szczery dzierżył w dłoni zdobną piórami buławę, symbol posłańców, niosących wieści najwyższej wagi. Dostrzegłszy

mnie stojącego spokojnie na poboczu drogi, obaj gwałtownie ściągnęli wodze. Wierzchowiec księcia Władczego skręcił łeb na bok i prawie opadł na kolana.

- Brus się wścieknie, jeśli koń połamie nogi! - krzyknąłem w przestrachu i skoczyłem w jego stronę.

Książę Władczy wydal nieartykułowany okrzyk, a w następnej sekundzie książę Szczery zatrzęsł się od śmiechu.

- Zobaczyłeś ducha? To tak samo jak ja. Hola, chłopcze, nieźle nas wystraszyłeś! Stoisz sobie spokojnie i wyglądasz dokładnie jak on. Tak samo, co, Władczy?

- Szczery, jesteś głupcem. Uważaj, co mówisz. - Książę Władczy mściwie szarpnął wodze, po czym wygładził kaftan. - Co robisz o tej porze na drodze, bękarcie? Co ty sobie wyobrazasz, jakim prawem włóczysz się po mieście o tak późnej godzinie?

Dawno przywykłem do niezmiennej pogardy księcia Władczego, ta ostra nagana była jednak zaskakująca. Zazwyczaj po prostu mnie unikał albo okrążał z daleka, jak gdybym był świeżym łajnem.

- Nie idę do miasta, lecz wracam, panie - odparłem szybko. - Załatwiałem sprawunki dla Krzewiciela. - I jako dowód wyciągnąłem przed siebie koszyk.

- Oczywiście - parsknął krótko. - Zgrabna wymówka. Tylko że to odrobinę zbyt duży zbieg okoliczności, bękarcie. - Znowu cisnął we mnie tym słowem.

Musiałem wyglądać na urażonego i zmieszanego, gdyż książę Szczery wtrącił się na swój bezceremonialny sposób:

- Nie zwracaj na niego uwagi, chłopcze. Obu nas trochę wystraszyłeś. Właśnie przybył do miasta rzeką statek, sygnalizujący flagami wyjątkowe wieści. Pojechaliśmy we dwóch odebrać ten specjalny przekaz, i okazało się, że Cierpliwa zawiadamia nas o śmierci Rycerskiego. A tu nagle w drodze powrotnej napotykamy żywego Rycerskiego, tyle że młodego, stojącego spokojnie przed nami! Byliśmy w takim nastroju...

- Ależ z ciebie głupiec, Szczery - przerwał mu książę Władczy. - Roztrąb o tym na całe miasto, zanim wiadomość dotrze do króla. Nie przewracaj bękartowi w głowie opowiadaniem, że wygląda jak Rycerski. Jak słyszałem, ma już dość wysokie mniemanie o sobie, za co możemy podziękować naszemu drogiemu ojcu. Ruszajmy. Musimy przekazać nowiny.

Wbił ostrogi w boki wierzchowca, mocno szarpnął wodze. W tamtej chwili, przysięgam, nie myślałem o niczym poza tym, że po powrocie do zamku powinienem zajrzeć do stajni i sprawdzić, jak bardzo poranił pysk biednemu zwierzęciu. Nie wiedzieć czemu, podniosłem wzrok na księcia Szczerego i powiedziałem:

- Mój ojciec nie żyje.

Siedział na koniu zupełnie bez ruchu. Wyższy i potężniej zbudowany niż książę Władczy, a jednak lepiej trzymał się w siodle. Moim zdaniem miał duszę żołnierza. Dłuższą chwilę patrzył na mnie w milczeniu.

- Tak - odezwał się w końcu. - Mój brat nie żyje. - Tymi słowami stryj ofiarował mi deklarację pokrewieństwa, która chyba na zawsze odmieniła moje spojrzenie na niego. - Wskakuj na siodło, chłopcze, zabiorę cię do zamku - rzucił.

- Nie, dziękuję. Brus dałby mi w skórę za jazdę we dwóch po takiej drodze.

- Z pewnością - zgodził się książę Szczery. - Przykro mi, że dowiedziałeś się o tym w taki sposób - dodał. - Nie pomyślałem. Po prostu nie mogę uwierzyć w śmierć brata.

Uchwyciłem nutę szczerego żalu w jego głosie. Schylił się, szepnął coś do konia i wyprysnął naprzód. W jednej chwili zostałem na drodze znowu sam.

Zaczęła padać drobna mżawka i zagasło światło dnia, a ja ciągle stałem w miejscu. Patrzyłem w górę, na zarys twierdzy, czarny na de gwiazd, gdzieniegdzie rozjaśniony nikłym światełkiem. Przez chwilę kusiło mnie, by zostawić koszyk na ziemi i zwyczajnie uciec.

Uciec w ciemność i nigdy nie wrócić. Byłem ciekaw, czy ktoś by mnie szukał. Ale zamiast uciekać, założyłem koszyk na drugie ramię i zacząłem powoli wspinać się na wzgórze.

7

ZADANIE

Po śmierci królowej Skwapliwej przebąkiwano o otruciu. Postanowiłem przelewać na papier wyłącznie to, czego jestem absolutnie pewien. Królowa Skwapliwa w rzeczy samej zmarła otruta, lecz doprowadziła do tego sama, czyniąc starania przez długi czas. Nie było w tym żadnego udziału króla, który przecież próbował odwozić małżonkę od lekkomyślnego zażywania środków odurzających. Udzielali jej pomocy medycy oraz zielarze, ona jednak nie rezygnowała z zażywania kolejnego środka, dopóki nie odkryła następnego.

Pod koniec ostatniego roku życia zachowywała się jeszcze bardziej beztrosko, zażywając po kilka różnych środków odurzających równocześnie, i nie podejmowała już żadnych prób porzucenia nałogu. Jej zachowanie wystawiło cierpliwość króla Roztropnego na wielką próbę, gdyż jego żona, pijana winem lub rozochociona dymem, rzuciła niczym nie poparte oskarżenia, a także knuła intrygi, nie bacząc na towarzystwo czy okoliczności. Można by się spodziewać, że podobne ekscesy, zdarzające się pod koniec życia królowej coraz częściej, powinny były pozbawić iluzji jej zwolenników. Oni jednak przeciwnie - orzekli, iż albo król Roztropny doprowadził żonę do samounicestwienia, albo też sam ją otrul. Ja jednak mogę zaświadczyć z pełną odpowiedzialnością, iż śmierć królowej Skwapliwej nie była wynikiem czynu króla.

* * *

Brus na znak żałoby ściął mi włosy na długość palca. Sam ogolił głowę na łyso, zgolił także zarost i brwi. Białe ślady na twarzy i jasna łysina kontrastowały ostro z czerstwą cerą. Wyglądał bardzo dziwnie, dziwniej nawet niż ludzie z lasu, którzy przychodzili do miasta z włosami wysmarowanymi żywicą i zębami zabarwionymi na czerwono i czarno. Dzieci przyglądały się dzikim z ogromnym zdumieniem, po czym za ich plecami szeptały do siebie, zasłaniając twarze dłońmi. W obecności Brusa tylko kuliły się oniemiałe. Myślę, że to przez jego oczy. Widziałem oczodoły w czaszce, mające więcej życia niż oczy Brusa w tamtych dniach.

Księżę Władczy wysłał człowieka, który miał zganić Brusa za to, że zgolił głowę, a mnie obciął włosy. Takie oznaki żałoby należały się władającemu królowi, nie człowiekowi, który rzekł się praw do tronu. Brus tylko patrzył na posłańca bez słowa, dopóki tamten nie wyszedł.

Księżę Szczery na znak żałoby po bracie obciął włosy i brodę na długość dwóch palców. Niektórzy wartownicy w twierdzy skrócili warkocze, jak to robią żołnierze po stracie towarzysza broni. Ale to, co Brus zrobił ze sobą i ze mną, było zupełnie wyjątkowe. Ludzie przyglądali mi się z nie skrywaną ciekawością. Chciałem Brusa zapytać, dlaczego mam nosić żałobę po ojcu, którego nie widziałem na oczy, który nigdy się nie pofatygował, żeby zobaczyć mnie - ale widok jego martwego spojrzenia i skamieniałych ust odbierał mi odwagę. Nikt nie napomknął księciu Władczemu o tym, że Brus na znak żałoby obciął pukiel z grzywy każdego konia, ani o cuchnącym ogniu, który strawił ofiarne włosy. Miałem mgliste pojęcie,

że Brus wysłał część naszych duchów razem z księciem Rycerskim; zgodnie ze zwyczajem, który przejął od ludu swojej babki.

Brus jakby umarł. Milcząco wypełniał wszelkie obowiązki - bez zarzutu, ale też bez serca. Chłopcy stajenni, którzy dawniej rywalizowali o najmniejszy choćby gest pochwały, teraz uciekali przed jego wzrokiem. Jedynie Wiedźma nie opuściła Brusa. Stara suka przemyciała się ukradkiem wszędzie, gdzie szedł on, nie nagrodzona jednym spojrzeniem ani dotknięciem, a mimo to zawsze przy nim. Raz przytuiliłem ją i nawet ośmieliłem się sięgnąć do jej umysłu, ale napotkałem jedynie straszliwe odrętwienie. Cierpiała wraz ze swoim panem.

Zimowe sztormy nacierały i huczały wokół klifów. Dni skute mrozem przeczyły jakiegokolwiek możliwości wiosny. Książę Rycerski został pochowany w Białym Gaju. W twierdzy odbyła się uczta żałobna, ale była krótka i niewyszukana. Pomyślana raczej jako wyraz przestrzegania właściwych form niż prawdziwa stypa. Ci, którzy szczerze oplakiwali zmarłego, wstydliwie kryli swój smutek. Publiczne życie najstarszego królewskiego syna powinno się było skończyć w chwili złożenia rezygnacji z praw do tronu; ogromnie nietaktowne z jego strony było ściągnięcie na siebie uwagi przedwczesnym zgonem.

Minał tydzień od śmierci mojego ojca, gdy nocą obudziło mnie znajome szuranie kroków i żółte światło, które zawsze mnie przywoływało. Wstałem i pośpieszyłem po schodach na górę, do jedyne miejsce, gdzie czułem się bezpiecznie. Pragnąłem znowu razem z Cierniem mieszać zioła i tworzyć gęste dymy. Dość już miałem tej dziwnej niepewności, jaka mnie obezwładniała, od kiedy usłyszałem o śmierci księcia Rycerskiego.

Lecz stół do pracy był pusty, świece zgaszone. Cierń siedział przed paleniskiem. Zaprosił mnie gestem, bym usiadł obok. Poznaczoną bliznami dłoń położył na moich rozwichrzonych włosach. Przez jakiś czas po prostu siedzieliśmy, patrząc razem w ogień.

- No tak, mój chłopcze - odezwał się wreszcie i znowu zamilkł, jak gdyby skończył myśl.

- Brus obciął mi włosy - powiedziałem nagle.

- Widzę właśnie.

- To strasznie niewygodne. Zaczepiają mi się o poduszkę i nie mogę spać. Kaptur mi nie stoi. I wyglądam głupio.

- Wyglądasz jak chłopiec pogrążony w żałobie po śmierci ojca.

Zapadła cisza. Do tej pory sądziłem, że moje krótkie włosy, podobnie jak łysina Brusa, symbolizowały smutek po śmierci ukochanego władcy. Nie. Cierń miał rację. To była długość włosów chłopca pogrążonego w żałobie po ojcu, a nie poddanego w żałobie po królu. Jeszcze bardziej mnie to rozzłościło.

- Dlaczego mam nosić po nim żałobę? - zapytałem Ciernia o to, o co nie śmiałem spytać Brusa. - Nawet go nie znałem.

- Był twoim ojcem.

- Spłodził mnie z jakąś kobietą. Kiedy się o mnie dowiedział, wyjechał. Nie dbał o mnie ani trochę. Czy tak postępują ojcowie?! - Powiedziawszy to w końcu na głos, stwierdziłem, że rośnie we mnie bunt. Nie chciałem uczestniczyć ani w rozpaczliwej, głębokiej żałobie Brusa, ani w cichym smutku Ciernia.

- Co ty tam wiesz... Nasłuchałeś się plotek. Jesteś jeszcze za młody, by zrozumieć. Nigdy nie widziałeś, jak dziki ptak odciąga drapieżniki od swych piskląt udając, że jest ranny.

- Nieprawda! On nie chciał nic o mnie wiedzieć! - wykrzyknąłem. - Nigdy nie dał mi znać, że go w ogóle obchodzę.

Cierń odwrócił się do mnie. Oczy miał stare, zapadnięte i zaczerwienione.

- Gdybyś wiedział, że go obchodzisz, wiedzieliby o tym inni. Kiedy będziesz już mężczyzną, może zrozumiesz chociaż, ile go kosztowała ta obojętność, dzięki której mógł ci zapewnić minimum bezpieczeństwa. Sprawić, by jego wrogowie cię zlekceważyli.

- Teraz już nigdy go nie poznam - rzekłem ponuro. Cierń westchnął.

- Za to życie będziesz miał o wiele dłuższe niż wówczas, gdyby cię uznał za swego dziedzica.
- Przez chwilę milczał, po czym zapytał ostrożnie: - Co chciałbyś o nim wiedzieć, mój chłopcze?

- Wszystko. Ale skąd ty miałbyś wiedzieć? - Im więcej moich impertynencji tolerował Cierń, tym bardziej byłem niegrzeczny.

- Znałem go całe życie... pracowałem z nim. Wiele razy. Byliśmy, jak to się mówi, tak sobie bliscy jak dłoń i rękawiczka.

- Byłeś dłonią czy rękawiczką?

Chociaż stałem się już zuchwały, Cierń nie chciał się gniewać.

- Dłonią - odparł po krótkim namyśle. - Dłonią, która działa niewidocznie, przesłonięta aksamitną rękawiczką dyplomacji.

- Co masz na myśli? - Wbrew woli byłem zaintrygowany.

- Różnie się w życiu dzieje. - Cierń odchrząknął. - Czasem niespodziewany wypadek może ułatwić negocjacje. Druga strona nabiera chęci do rozmów. Mogą się zdarzyć...

Mój świat stanął na głowie. Rzeczywistość zalała mnie nagłą falą i zdławiła oddech; ujrzałem bez obłonek, jaką rolę odgrywał Cierń i co było mi pisane.

- W razie śmierci negocjatora jego następca może być bardziej uступliwy przy rokowaniach, tak? Bardziej powolny naszym celom, ze strachu albo...

- ... z wdzięczności. Tak.

Lodowaty dreszcz przeszedł mi po grzbiecie; kawałki łamigłówek znalazły się nagle na właściwych miejscach. Więc do tego prowadziły nocne nauki! Zacząłem się podnosić, ale Cierń nagle ścisnął mnie za ramię.

- Bywa, że człowiek żyje dłużej, niżby się ktokolwiek spodziewał - dłużej o kilka lat, a nawet więcej - by wnieść do negocjacji mądrość i wyrozumiałość właściwe swemu wiekowi. Bywa, że wyleczymy dziecko z duszącego kaszlu, a wdzięczna matka dostrzega, iż potrafimy działać z korzyścią dla wszystkich. Taka dłoń nie zawsze niesie ze sobą śmierć, mój chłopcze. Nie zawsze.

- Ale często.

- Nigdy cię nie okłamywałem. - Usłyszałem w głosie Ciernia dwie nuty, których nie słyszałem nigdy wcześniej: bronił się i był zraniony. Cóż, młodość nie zna litości.

- Nie chcę się więcej uczyć od ciebie. Pójdę do króla Roztropnego i powiem mu, żeby znalazł kogoś innego, kto będzie dla niego zabijał.

- Masz prawo do takiej decyzji, lecz odradzam ci ją teraz. Jego spokój pozbawił mnie pewności siebie.

- Dlaczego?

- Bo zmarnujesz wszystkie wysiłki ojca. Ściągniesz na siebie uwagę, a teraz akurat nie jest ku temu najszcześniejsza chwila. Poraziły mnie wnioski płynące z tych słów.

- Dlaczego? - zdałem sobie sprawę, że szepczę.

- Ponieważ są tacy, którzy mogliby zechcieć napisać finis pod historią żywota księcia Rycerskiego. A najlepiej byłoby to zrobić eliminując ciebie. Ci ludzie będą obserwowali, jak zareagowałeś na śmierć ojca. Czy zrodziła ona jakieś ambitne myśli w twojej głowie i pozbawiła cię spokoju? Czy będziesz komuś zawadą, solą w oku, dziś ty, podobnie jak niegdyś on?

- Co?

- Mój chłopcze - rzekł, przyciągając mnie bliżej do siebie. Po raz pierwszy słyszałem w jego słowach władcze tony. - Nastał czas, by zachowywać się dyskretnie i działać bardzo ostrożnie. Rozumiem, dlaczego Brus obciął ci włosy, ale szczerze mówiąc, żałuję, że to zrobił. Po co ludziom przypominać, kto był twoim ojcem? Jesteś jeszcze taki młody... posłuchaj mnie. Na razie niczego nie zmieniaj. Odczekaj pół roku, może rok. Potem zdecyduj. Na razie jednak...

- Jak umarł mój ojciec?

Cierń spojrzał mi prosto w oczy.

- Nie słyszałeś, że spadł z konia?

- Tak. I słyszałem, jak Brus przeklinał człowieka, który to powiedział, i jak orzekł, że ani książę Rycerski by nie spadł z konia, ani koń by go nie zrzucił.

- Brus powinien lepiej pilnować języka.

- Więc jak umarł mój ojciec?

- Nie wiem. Jednak podobnie jak Brus nie wierzę, by spadł z konia. - Cierń umilkł.

Osunąłem się na ziemię, znowu usiadłem przy jego kościstych bosych stopach i zapatrzyłem się w ogień.

- Czy mnie także zabiją? Milczał przez długi czas.

- Tego też nie wiem. Będę się starał temu przeszkodzić. Myślę, iż musieliby najpierw przekonać króla Roztropnego, że to konieczne. A wtedy wiedziałbym o tym.

- Więc sądzisz, że to ktoś z zamku.

- Tak sądzę. - Cierń czekał długo, ale ja milczałem, nie chciałem zapytać. Tak czy inaczej, odpowiedział. - Nie wiedziałem o niczym, dopóki się nie stało. W żaden sposób nie przyłożyłem do tego ręki. Nikt mi o tym nawet nie wspomniał. Najpewniej wiedzieli, iż nie poprzestałbym na odmowie, tylko przypilnował, by to się nigdy nie wydarzyło.

- Aha - uspokoiłem się nieco, ale już zbyt dobrze wyuczył mnie rozumienia dworskich intryg.

- Więc najprawdopodobniej nie przyjdą do ciebie, kiedy zdecydują skończyć ze mną. Będą się bali, że możesz mnie ostrzec.

Wziął mnie pod brodę i odwrócił moją twarz ku sobie.

- Śmierć twojego ojca powinna być dla ciebie wystarczającym ostrzeżeniem, na teraz i na zawsze. Jesteś bękartem, chłopcze. My zawsze tworzymy pewne zagrożenie, a nie jesteśmy niezastąpieni. Poza tym jedynym wypadkiem, kiedy stanowimy konieczną gwarancję bezpieczeństwa władcy. Uczę cię już kilka lat i niemało się nauczyłeś. Strzeż tej wiedzy jak żrenicy oka i nikomu jej nie wydaj, gdyż jeśli przestaniesz być potrzebny, zginiesz.

Strach dławił mi gardło.

- Nie potrzebują mnie teraz.

- Czy aby na pewno? Ja się starzeję. Ty jesteś młody i zdolny, pochodzisz z rodziny królewskiej, w twoich żyłach płynie błękitna krew. Dopóki nie będziesz przejawiał nadmiernych ambicji, nic ci nie grozi. - Przerwał na chwilę, po czym dodał z naciskiem: - Jesteśmy własnością króla, chłopcze. Należymy do niego całkowicie. Nikt nie zna mojego zajęcia, a większość zapomniała, kim jestem. Albo byłem. Jeśli ktokolwiek o nas wie, to tylko od króla. Próbowałem zebrać myśli.

- A więc... jak mówisz, intryga narodziła się w zamku. Jeśli ty nic nie wiedziałeś, król także nie... Królowa! - rzekłem z nagłą pewnością.

W twarzy Ciernia nie drgnął żaden mięsień.

- To niebezpieczne przypuszczenie. Jeszcze bardziej niebezpieczne, jeśli uważasz, że coś musisz w związku z tym przedsięwziąć.

- Dlaczego? Cierń westchnął.

- Jeśli wpadniesz na jakiś pomysł i nie mając dowodu uznasz, że poznałeś prawdę, zamykasz oczy na inne możliwości. Rozważ je wszystkie, chłopcze. Może to był wypadek. Może książę Rycerski został zabity przez kogoś, komu zawinił w Białym Gaju. Może jego śmierć nie miała nic wspólnego z faktem, że był z królewskiego rodu. Albo może król ma innego skrytobójcę, o czym nic mi nie wiadomo, i była to decyzja króla, który się zwrócił przeciw własnemu synowi.

- Nie wierzysz w żadną z tych możliwości - stwierdziłem z całkowitą pewnością.

- Nie. Nie wierzę. Ponieważ nie mam dowodów, by którąkolwiek uznać za prawdziwą. Tak samo jak nie mam dowodu na to, że śmierć twojego ojca była wynikiem ciosu zadanego ręką królowej.

Tyle pamiętam z tamtej rozmowy. Ale jestem pewien, że Cierń rozmyślnie doprowadził mnie do rozważań, kto mógł się zwrócić przeciwko mojemu ojcu, że celowo zaszczerpił mi największą nieufność do królowej. Zapamiętałem to sobie dobrze i wcielałem tę zasadę w życie nie tylko w dniach, które nadeszły zaraz potem.

Zająłem się codziennymi obowiązkami, włosy z wolna mi odrastały i z początkiem lata wszystko zdawało się toczyć dawnym torem. Co kilka tygodni wysyłano mnie do miasta po sprawunki. Szybko się zorientowałem, że zawsze jeden czy dwa przedmioty z listy trafiały w końcu do Ciernia, tak więc odgadłem, komu zawdzięczałem cenne okrucieństwo wolności. Nie mogłem się spotykać z Sikorką za każdym razem, gdy szedłem do miasta, ale wystarczyło mi, że stawałem pod oknem jej sklepu i czekałem, aż mnie dostrzeże i skinie głową. Kiedyś na targu usłyszałem, jak ktoś ją chwali i opowiada, że nikt nie robił takich przyjemnie pachnących i zdrowych świec od czasu śmierci jej matki. Wtedy byłem szczęśliwy.

Wraz z latem i cieplejszą pogodą pojawili się na naszym wybrzeżu Zawyspiarze. Niektórzy przybywali w uczciwych zamiarach - handlowali dobrami z zimnego łądu; przywozili na wymianę futra, bursztyń, kość i beczułki oliwy, i dzielili się z nami okrutnymi baśniami, które mi jeżyły włos na karku tak samo jak wówczas, gdy byłem jeszcze mały. Nasi żeglarze nie dawali przybyszom wiary; nazywali ich szpiclami, używali też znacznie gorszych słów. Ale towary tych Zawyspiarzy były przedniej jakości, a złoto, którym płacili za wino i ziarno - błyszczące i ciężkie, więc kupcy chętnie z nimi handlowali.

Odwiedzali nasze brzegi także inni Zawyspiarze, choć ci nim pojawiali się blisko Koziej Twierdzy. Przybywali ze stalą i ogniem, z łukami i taranami; przyplądowali, by plądrować i łupić. Niekiedy walka z nimi przybierała postać krwawych podchodów; oni szukali miast źle strzeżonych i niedostatecznie uzbrojonych, a my nęciliśmy ich pozornie bezbronnym celem, by piratów schwytać w pułapkę, wyróżnić i ograbić. Niestety, wynik tych podstępnych walk był dla nas bardzo niekorzystny. Podczas każdej wizyty w mieście wysłuchiwałem wieści o nowych zniszczeniach i rzeziach.

W zamku między żołnierzami dominowało powszechne osłupienie. Zawyspiarze z łatwością wymykali się naszym łodziom patrolowym i nigdy nie wpadali w zastawione sidła. Uderzali tam, gdzie się ich najmniej spodziewano. W największych kłopotach był książę Szczery, gdyż on to właśnie miał dbać o obronę królestwa. Słyszałem w tawernach pogłoski, że od kiedy zabrakło mu dobrych rad starszego brata, nie może podjąć obowiązków. Nikt jeszcze nie szemrał przeciwko następcy tronu, ale też nikt się za nim specjalnie nie ujmował.

Ja, młody chłopak, uważałem, że najazdy mnie nie dotyczą. Oczywiście, były złem. Współczułem biedakom, których domy zostały spalone lub splądrowane, ale, bezpieczny w Koziej Twierdzy, niewiele wiedziałem o ciągłym strachu i czujności, w jakiej trwały inne morskie porty, czy o udręce ludzi, którzy każdego roku odbudowywali swoje domy tylko po to, by widzieć, jak w następnym owoce ich pracy znowu trawi ogień. Nie miałem długo trwać w tym stanie błogiej nieświadomości.

Pewnego ranka szedłem do Brusa na „lekcje” - poświęcałem równie wiele czasu leczeniu zwierząt oraz układaniu młodych koni co własnej nauce. W dużym stopniu zająłem w stajniach miejsce Gruzła, który został parobkiem księcia Władczego i jego pierwszym psiarczykiem. Tego jednak dnia, ku memu zdziwieniu, Brus zabrał mnie do swojej izby. Przeraziłem się nie na żarty, że cały ranek spędzę na nudnym reperowaniu uprzęży.

- Nauczę cię dzisiaj dobrych manier - oznajmił zniecierpliwiony Brus. W jego głosie wyczułem powątpiewanie, jakby sceptycznie oceniał moje możliwości pojęcia takiej nauki.

- Przy koniach? - zapytałem z niedowierzaniem.

- Nie, to już potrafisz. Musisz się nauczyć poprawnie zachowywać przy ludziach. Podczas jedzenia i potem, kiedy siedzą przy stole i rozmawiają.

- Po co?

Brus zmarszczył czoło.

- Ponieważ z powodów dla mnie niepojętych masz towarzyszyć następcy tronu w podróży do Księstwa Cypla. Pan tamtej ziemi nie może się porozumieć ze swoim sąsiadem co do obsady nadbrzeżnej wieży strażniczej. Książę Dorzeczny, władca Księstwa Dębów, obwinia księcia Rozumnego o pozostawianie jej bez żadnej warty, przez co Zawyspiarze mogą tam bezkarnie podpływać, a nawet kotwiczyć za Wyspą Wartowniczą i stamtąd robić wypadki na Księstwo Dębów. Następca tronu będzie rozmawiał o tych zarzutach z księciem Rozumnym.

Doskonale znałem tę sprawę. Była na ustach wszystkich mieszkańców miasta. Książę Rozumny, władca Księstwa Cypla, miał w swojej pieczy trzy wieże strażnicze. Dwie umieszczone na wysuniętych ramionach Zatoki Sieci były zawsze dobrze obsadzone, ponieważ chroniły najlepszą przystań w jego włościach. Natomiast wieża na Wyspie Wartowniczej niewielkie miała pod tym względem znaczenie. Wystarczającą ochronę zapewniała wysoka i skalista linia wybrzeża; niedoszłym najeźdźcom trudno by się było nie rozbić o brzeg. Piraci rzadko niepokoiili południowe wybrzeża księstwa.

Sama Wyspa Wartownicza była głównie siedzibą dudków, kozłów oraz imponującej populacji mięczaków. Ale jednocześnie stanowiła krytyczny punkt obrony Zatoki Południowej, leżącej już na obszarze Księstwa Dębów. Roztaczał się z niej widok na okoliczne szlaki lądowe i morskie, a że usytuowana była na naturalnym wzniesieniu, nadawane z niej sygnały świetlne doskonale widziano na lądzie. Książę Dorzeczny miał wieżę strażniczą na Wyspie Lęgowej, ale ten spłachetek piachu, ledwie wystający z fal podczas wysokiego przyływu, nie zapewniał dobrego widoku na morze, a i stale trzeba było naprawiać skutki oddziaływania sztormów i podnoszących się piasków. Jednak właśnie stamtąd widać było ostrzegawcze światło z Wyspy Wartowniczej. Jak długo rozpalano tam ogień.

Tereny połowowe wokół Wyspy Wartowniczej oraz pobliskie plaże obfitujące w małże były częścią terytorium Księstwa Cypla i obsadzenie tamtejszej wieży strażniczej także należało do obowiązków księcia Rozumnego. Jednak aby utrzymać garnizon, trzeba było ludziom dać zakwaterowanie i zapewnić wyżywienie, a także dostarczyć drewno i oliwę do utrzymania ognia oraz podołać obowiązkowi naprawiania samej wieży po oceanicznych sztormach, które przewalały się nad nagą wysepką. Pełnienie tam służby uważano ogólnie za subtelny formę kary dla niesubordynowanych. Niejeden raz książę Rozumny, będąc pod dobrą datą, deklarował, że jeśli obsadzenie wieży jest dla Księstwa Dębów tak ważne, książę Dorzeczny powinien się tym zająć sam. Lecz równocześnie Księstwo Cypla nie zamierzało rezygnować z obszarów rybackich wokół wyspy ani z bogatych kolonii mięczaków.

I tak osady Księstwa Dębów gęsto padały ofiarą najazdów. Wczesną wiosną, gdy natura z radością budziła się do życia, płonęły obsiane pola, a kotne owce były zarzynane, kradzione lub rozpędzane. Książę Dorzeczny wniósł do króla skargę, twierdząc, że książę Rozumny dopuszcza się zaniedbań w obsadzaniu wież. Ten z kolei wszystkiemu zaprzeczył, utrzymując, iż niewielka siła, jaką zainstalował na Wyspie Wartowniczej, całkowicie wystarczała w tym miejscu, które ogromnie rzadko potrzebowało obrony.

- Obserwatorów, a nie wojowników potrzeba do wieży na Wyspie Wartowniczej - przekonywał.

Zrekrutował kobiety i starców. Niektórzy byli swego czasu żołnierzami, ale w przeważającej części załoga składała się z uchodźców ze stolicy księstwa, Strażnicy Zatoki. Byli tacy, którzy twierdzili stanowczo, że to niewypłacalni dłużnicy, kieszonkowcy i podstarzałe kokoty, podczas gdy poplecznicy księcia Rozumnego zapewniali, iż są to po prostu leciwi mieszczanie, szukający bezpiecznego zajęcia.

Wszystko to były sprawy dobrze mi znane - wszak słuchałem plotek w tawernie, a także nauk Ciernia. Ale trzymałem język za zębami i siedziałem spokojnie w izbie nad stacją przez cały czas szczegółowych wyjaśnień. Któryś już raz zdałem sobie sprawę, że Brus uważał mnie za nieco powolnego w myśleniu. Moje milczenie brał omyłkowo za brak polotu raczej niż niechęć do mówienia.

Tak więc zaczął pracowicie instruować mnie na temat manier, które, jak powiedział, inni chłopcy nabyli po prostu dzięki przebywaniu w towarzystwie dorosłych. Miałem pozdrawiać ludzi, kiedy spotykałem ich po raz pierwszy w ciągu dnia albo jeśli wszedłem do pomieszczenia, gdzie ktoś był; w takiej sytuacji ciche wycofanie się byłoby zachowaniem niegrzecznym. Powinienem zwracając się do ludzi wymieniać ich imię, a jeśli to ktoś starszy ode mnie albo dostojniejszy - czyli właściwie każdy, z kim będę miał do czynienia podczas tej podróży - powinienem go także tytułować. Następnie Brus zapoznał mnie z protokołem: kto oraz w jakich okolicznościach będzie przede mną wychodził z komnaty. Prawie wszyscy i niemal w każdych okolicznościach okazali się ważniejsi ode mnie. Potem opowiedział mi o zachowaniu przy stole. Nakazał pamiętać, gdzie zostałem posadzony, i być wyjątkowo uprzejmym dla wszystkich, którzy zajmą wyższe miejsca. Miałem też spożywać posiłek w tym samym tempie co oni. Dalej nauczył mnie, jak wypijać toast albo serię toastów, żeby się nie upić. I jak mówić zajmująco, a raczej słuchać uważnie każdego, kto zostanie posadzony przy posiłku obok mnie. I tak dalej. Aż zacząłem z rozrzewnieniem marzyć o czyszczeniu uprzęży.

Brus szarpnął mnie ostro za ramię.

- Tego także nie będziesz robił. Wyglądasz jak głupek, kiedy tak siedzisz i myślisz o niebieskich migdałach. Niech ci się nie wydaje, że nikt tego nie zauważy. I nie patrz tak, kiedy ktoś ci zwraca uwagę. Siedz prosto i postaraj się mieć na twarzy wyraz uprzejmego zainteresowania. Nie taki tępy uśmiech, tumanie. Ach, Bastardzie, co ja mam z tobą zrobić? Jak mam cię chronić, kiedy sam pakujesz się w kłopoty? A w ogóle, dlaczego chcą cię tam zabrać?

Ostatnie dwa pytania, które postawił samemu sobie, zdradzały jego prawdziwą troskę. Może jednak byłem głupi, że tego wcześniej nie dostrzegłem. Wyjeżdżałem, a on zostawał tutaj. Nie potrafił zrozumieć przyczyny. Brus żył na dworze wystarczająco długo, by nauczyć się ostrożności. Od kiedy powierzono mu opiekę nade mną, po raz pierwszy miał mnie stracić z oczu. I miało się to zdarzyć niedługo po pogrzebie mojego ojca. Tak więc zastanawiał się, choć nie śmiał tego powiedzieć głośno, czy miałem w ogóle powrócić, czy też ktoś stwarzał sposobność, by mnie po cichu usunąć. Zrozumiałem też, jakim ciosem dla jego dumy i reputacji byłoby moje „zniknięcie”.

Westchnąłem i ostrożnie wysunąłem przypuszczenie, że może potrzebny jest jeszcze jeden pomocnik do koni i psów. Książę Szczery nigdzie nie ruszał się bez swojego wilczarza, Lwa. Zaledwie dwa dni wcześniej pochwalił mnie za troskliwą opiekę nad psem. Powtórzyłem to Brusowi i w nagrodę ujrzałem natychmiastowy skutek tego małego wybiegu. Na twarzy koniuszego pojawił się wyraz ulgi, a potem dumy, że tak mnie dobrze wyuczył. Rozmowa od razu przeszła na temat dbania o wilczarza. Jeśli nauka manier mnie nużyła, to powtarzanie wiedzy o psach było tak straszliwie nudne, że aż prawie bolało. Gdy wreszcie Brus zwolnił mnie na inne lekcje, dostałem skrzydeł u nóg.

Przez resztę dnia zachowywałem się jak pijany, i w rezultacie Czernidło zagroziła mi porządną chłostą, jeśli nie zacznę uważać, co robię. Potem pokręciła nade mną głową, westchnęła i powiedziała, bym uciekał i wrócił, gdy znowu będę miał głowę do nauki. Posłuchałem jej rady, absolutnie szczęśliwy. W głowie miałem wyłącznie wyjazd z Koziej Twierdzy i podróż do Strażnicy Zatoki. Wiedziałem, że powinienem się dziwić, dlaczego jadę, ale byłem pewien, iż Cierń mnie niebawem oświeci. Będziemy podróżować łądem czy morzem? Żałowałem, że nie zapytałem Brusa. Drogi wiodące ku Strażnicy Zatoki nie

należały, zdaje się, do najlepszych, ale mi to nie przeszkadzało. Sadza i ja nigdy nie byliśmy razem w długiej podróży. Z drugiej strony wyprawa morska, na prawdziwym statku...

Wracałem do twierdzy ścieżką prowadzącą przez porośnięte rzadkim lasem skaliste zbocze. Gdzieś tam połyskiwały białe brzozy i wylaniało się kilka wyższych olch, ale poza tym rosły tu głównie krzaki. Słoneczny blask i lekka bryza igrały wśród gałęzi, i ubierając w tajemniczość dzień upstrzony plamkami światła. Podniosłem wzrok ku oślepijącemu słońcu nad brzozowymi liśćmi, a kiedy znowu spojrzałem przed siebie, zobaczyłem karła, królewskiego błazna.

Stałem zdumiony. Rozejrzałem się za królem, choć był to śmieszny odruch. Niemożliwe, by król znalazł się tutaj. Błazen był sam. I to na świeżym powietrzu, w pełni dnia! Na tę myśl zjeżyły mi się włosy na karku i ścierpła skóra. Wiadomo było powszechnie, że królewski błazen nie może przebywać w dziennym świetle. Wiadomo było powszechnie. A jednak, wbrew temu zastrzeżeniu, o którym każdy chłopiec na posyłki i każda dziewczyna kuchenna rozprawiali z takim obeznaniem, oto stał tutaj błazen, a jego bezbarwne włosy falowały w lekkim podmuchu wiatru. Niebieski i czerwony jedwab pstrokatego kaftana oraz spodni kontrastowały z bladą cerą. Ale oczu wcale nie miał zupełnie wypranych z koloru, jak wydawało się w mrocznych przejściach twierdzy. Kiedy w nie spojrzałem z odległości zaledwie kilku kroków, dostrzegłem błękit, bardzo jasny, jakby jedna kropla bladoniebieskiego wosku padła na porcelanowy talerz. Biel jego skóry także była iluzją, bo tutaj, na zewnątrz, w oślepiającym słońcu widziałem prześwitującą przez nią delikatną różowość.

Uświadomiłem sobie z nagłym drżeniem, że przez warstwy skóry prześwituje czerwona krew. Błazen podniósł wysoko palec wskazujący, jak gdyby chciał zaabsorbować nie tylko moje myśli, ale cały świat. Lecz ja i tak już nie mogłem być bardziej skupiony. Gdy się o tym przekonał, pokazał w uśmiechu białe, dziecinne ząbki poprzedzielane szparami.

- Bastard! - zaintonował piskliwym głosem. - Bastardawa pusedany. U śmiechasu. - Przerwał, po czym ponownie obdarzył mnie uśmiechem. Przyglądałem mu się niepewnie, bez słowa, bez ruchu.

Raz jeszcze wznosił palec, tym razem mi pogroził.

- Bastard! Bastardawia pysektadny. U śmiechosu. - Przechylił głowę, a przy tym ruchu jego włosy niczym puch dmuchawca poszybowały w przeciwną stronę.

Zaczynał mnie wreszcie opuszczać strach.

- Bastard - powtórzyłem wyraźnie i stuknąłem się w pierś. - Bastard to ja. Tak. Na imię mam Bastard. Zgubiłeś się? - Próbowałem przemawiać tonem łagodnym i pokrzepiającym, by nie przestraszyć biedaka. Byłem przekonany, że przypadkiem zabłądził poza mury zamku i dlatego właśnie wydawał się tak uszczęśliwiony widokiem znajomej twarzy.

Gwałtownie potrząsnął głową, aż włosy zatrzepotały mu wokół czaszki podobne do płomienia świecy targanego wiatrem.

- Bastard! - oznajmił z emfazą, lekko zachrypniętym głosem. - Bastard z pawia pasek datny. Uśmiechosu.

- Już dobrze - rzekłem uspokajająco. Pochyliłem się trochę, choć w rzeczywistości nie byłem dużo wyższy od niego. Uczyniłem łagodny, zapraszający ruch otwartą dłonią. - Chodźmy razem. Chodźmy. Zaprowadzę cię z powrotem do domu. Dobrze? No już, nie bój się.

Błazen gwałtownie opuścił ręce wzdłuż boków. Potem uniósł twarz do góry i wyrzucił oczyma. Następnie wpił we mnie spojrzenie i wydał usta, jakby miał prychnąć.

- No, chodźmy - zaproponowałem znów.

- Nie - powiedział zupełnie wyraźnie. - Słuchaj mnie, ty bęcwale. Bastard sprawia pasek zdatny. Uśmiechosu.

- Co? - wykrztusiłem zdumiony.

- Powiedziałem: Bastard sprawia piasek zdatny. Uśmiech losu. - Schylił głowę, odwrócił się i ruszył ścieżką pod górę.

- Zaczekaj! - poprosiłem. Z zakłopotania uszy paliły mnie żywym ogniem. Jak grzecznie zagadnąć kogoś, kogo przez lata uważało się za kompletnego głupca? Nie potrafiłem. Więc tylko: - Co znaczą te zdatne piaski? Naigrawaszy się ze mnie?

- Bynajmniej. - Zatrzymał się. - Bastard sprawia piasek zdatny. Uśmiech losu. Sądzę, że to przesłanie. Wołanie o doniosły czyn. Ponieważ jesteś jedynym, którego bez przerwy nazywają Bastardem, sądzą, że jest przeznaczone dla ciebie. A jeśli pytasz, co ono oznacza, skądże ja miałbym wiedzieć? Jestem głupcem, królewskim błaznem, a nie interpretatorem snów. Miłego dnia. - Ponownie odwrócił się ode mnie, ale tym razem, zamiast iść w górę ścieżką, zszedł z niej w gęstwinę krzewów. Pobiegłem za nim, lecz kiedy dotarłem do miejsca, gdzie zniknął mi z oczu, nie było po nim śladu. Stałem bez ruchu, spoglądając na rzadki, zalany słońcem las, pewien, że powinienem dostrzec jakiś listek drżący jeszcze po jego przejściu albo zauważyć mignięcie pstrokatego kubraka. Nic nie zobaczyłem.

I nie znalazłem żadnego sensu w jego głupim przesłaniu. Rozmyślałem nad nim przez całą drogę powrotną do twierdzy, lecz niczego nie odkryłem i w końcu przestałem roztrząsać to dziwne, pozbawione znaczenia zdarzenie.

Nie tej nocy, ale następnej wezwał mnie Cierń. Płonąc z ciekawości pobiegłem po schodach na górę, lecz kiedy nareszcie dotarłem na szczyt, zmusiłem się do milczenia, rozumiejąc, że moje pytania będą musiały poczekać. Cierń siedział skupiony przy kamiennym stole, Cichosz przysiadł mu na ramionach, na blacie zaś leżał nowy, do połowy rozpostarty zwój. Jeden koniec przyciśnięty był kielichem wina, a zakrzywiony palec Ciernia wędrował wolno w dół jakiejś listy. Był to spis miejscowości i dat. Pod każdą nazwą znajdowało się szczegółowe zestawienie: tylu wojowników, tylu kupców, tyle owiec, beczulek piwa, miar zboża i tak dalej. Usiadłem po przeciwnej stronie stołu i czekałem. Nauczyłem się nie przeszkadzać Cierniowi.

- Chłopcze - odezwał się cicho, nie podnosząc wzroku znad zwoju. - Co byś zrobił, gdyby jakiś brutal cię atakował i walił po głowie, lecz tylko wtedy, gdy jesteś odwrócony do niego plecami? Jak byś sobie dał z tym radę? Nie myślałem długo.

- Udawałbym, że patrzę na coś innego, ale miałbym w rękach długi gruby kij. W odpowiedniej chwili odwróciłbym się szybko i rozwalił mu łeb.

- No właśnie. Próbowaliśmy tak robić. Jednak Zawyspiarze najwyraźniej wiedzą, kiedy za naszą pozorną bez troską kryje się gotowość bojowa i wówczas nie atakują. Cóż, szczerze mówiąc, zdołaliśmy w ten sposób wyprowadzić ich w pole zaledwie raz, najwyżej dwa. I nie byli to najeźdźcy ze szkarłatnych okrętów. A właśnie tych chcemy dostać.

- Dlaczego?

- Ponieważ to właśnie oni zadają nam najboleśniej ciosy. Widzisz, chłopcze, przyzwyczailiśmy się do napaści Zawyspiarzy. Można chyba nawet powiedzieć, że się do nich dostosowaliśmy. Zasiać jedno pole więcej, utkać sukno i uprząć nici na jeden dodatkowy komplet ubrania, wyhodować jeszcze jednego byczka. Nasi rolnicy i mieszkańcy miast zawsze próbują nieco odłożyć, a gdy w czasie napadu spłonie czyjaś stodoła lub magazyn, wszyscy razem na nowo wznoszą ściany. Tyle że najeźdźcy ze szkarłatnych okrętów nie są zwykłymi złodziejami. Oni napadają po to, by pustoszyć, a tylko przy okazji kraść to i owo. Cierń przerwał i zapatrzył się w mur, jakby widział, co znajduje się za nim.

- Nie ma to najmniejszego sensu - ciągnął nieobecny duchem, bardziej do siebie niż do mnie.

- A w każdym razie ja tego nie pojmuję. To jak zarzynanie krowy, która co roku daje zdrowego cielaka. Najeźdźcy ze szkarłatnych okrętów palą zboża na polach. Wyrzynają bydło, którego nie mogą uprowadzić. Trzy tygodnie temu w Sadybie Wichrów podłożyli ogień pod młynem i pocięli worki z ziarnem i z mąką. Gdzie w tym ich zysk? Dlaczego ryzykują życie tylko po to, by niszczyć? Nie czynili starań, by osiąść we władanie ziemię, nie mają do nas

żadnych pretensji terytorialnych, co zawsze podkreślali. Przed złodziejem można się ustrzec, ale to... to są niszczyciele i mordercy. Sadyba Wichrów nie zostanie odbudowana; mieszkańcy, którzy przeżyli, nie mają na to ani chęci, ani środków. Wszyscy się stamtąd wynieśli, niektórzy do rodzin w dalszych osadach, inni zostaną żebrakami w miastach. Podobna sytuacja powtarza się stanowczo zbyt często.

Westchnął i potrząsnął głową. Kiedy podniósł wzrok, skupił się wyłącznie na mnie. Miał wyjątkowo rzadki talent. Potrafił odłożyć jakiś problem na bok tak całkowicie, że można by przysiąc, iż o nim zapomniał.

- Masz jechać z księciem Szczerym, kiedy wybierze się do Strażnicy Zatoki rozprawiać z księciem Rozumnym - oznajmił, jakby nic więcej go nie zajmowało.

- Tak mi powiedział Brus. Ale nie rozumiał, dlaczego ja. Dlaczego?

Cierń wyglądał na zakłopotanego.

- Czy nie skarżyłeś się kilka miesięcy temu, że jesteś zmęczony Kozią Twierdzą i chciałbyś zwiedzić kawałek Królestwa Sześciu Księstw?

- Rzeczywiście. Ale wątpię, żeby to był powód, dla którego książe Szczery zabiera mnie ze sobą. Cierń zachnął się.

- Zupełnie jakby książe Szczery przywiązywał wagę do tego, kto wchodzi w skład jego świty. Nie ma cierpliwości do szczegółów i brak mu talentu księcia Rycerskiego do przewodzenia ludziom. Z drugiej strony jest dobrym żołnierzem, a w końcu może się okazać, że tego właśnie będziemy potrzebowali najbardziej. Nie, masz rację. Książe Szczery nie domyśla się, dlaczego jedziesz... na razie. Król Roztropny powie mu, że masz się szkolić na szpiega. I to wszystko... na razie. Król i ja rozważyliśmy to dokładnie. Czy jesteś gotów zacząć płacić za wszystko, co dla ciebie zrobił twój pan? Czy jesteś gotów zacząć pracować w służbie swego rodu?

Powiedział to tak spokojnie i patrzył na mnie tak otwarcie, że nawet nietrudno było mi zachować spokój, gdy spytałem:

- Czy będę musiał kogoś zabić?

- Możliwe. - Poprawił się w krześle. - Sam będziesz musiał podjąć decyzję, a potem ją wprowadzić w życie. To zupełnie co innego, niż po prostu wykonać polecenie: „oto jest człowiek i czyn ma zostać dokonany”. Otrzymujesz znacznie trudniejsze zadanie i nie mam całkowitej pewności, czy jesteś na nie gotowy.

- Czy kiedykolwiek będę gotów? - spróbowałem się uśmiechnąć, ale niemiłosiernie wykrzywiłem twarz. Chciałem się pozbyć tego grymasu, lecz nie mogłem. Przeszedł mnie dziwny dreszcz.

- Prawdopodobnie nie. - Cierń milczał, aż w końcu zdecydował, że przyjąłem misję. - Pojedziesz jako służący pewnej starszej, szlachetnie urodzonej damy, która wybiera się wraz z orszakiem, by odwiedzić krewnych w Strażnicy Zatoki. Nie będzie to ciężka praca. Wielmożna pani Tymianek jest bardzo stara, ma kłopoty ze zdrowiem. Podróżuje w zamkniętej lektyce. Będziesz jechał obok na koniu i pilnował, czy nie za bardzo lektyka trzęsie. Będziesz przynosił damie wodę, jeśli cię o to poprosi, i spełniał inne drobne polecenia.

- Zajęcie dość podobne do dbania o wilczarza księcia Szczerego. Cierń milczał przez chwilę, potem się uśmiechnął.

- To także będzie należało do twoich obowiązków. Postaraj się podczas tej podróży być każdemu niezbędny. Wówczas znajdziesz powody, by wszędzie wejść i wszystko usłyszeć, i nikt nie będzie się dziwił twojej obecności.

- A moje prawdziwe zadanie?

- Słuchać i uczyć się. Zarówno król Roztropny, jak i ja uważamy, że najeźdźcy ze szkarłatnych okrętów są stanowczo zbyt dobrze zorientowani w naszej sile i strategii. Książe Rozumny skąpił ostatnio wydatków na właściwe obsadzenie wieży na Wyspie Wartowniczej.

Dwukrotnie uchybił swoim powinnościom i dwukrotnie nadbrzeżne osady Księstwa Dębów zapłaciły za jego zaniedbanie. Czy posunął się aż do zdrady? Czy zbratał się z wrogiem dla osobistych korzyści? Chcemy, byś spróbował się w tym rozeznać, może dasz radę coś odkryć. Jeśli zyskasz przekonanie, że książę jest niewinny, albo nie będziesz miał nic poza podejrzeniami, choćby i mocnymi, przywieź nam wszelkie wieści. Lecz jeśli odkryjesz zdradę i będziesz jej pewien, wówczas trzeba się pozbyć winnego jak najszybciej.

- W jaki sposób? - Nie byłem pewien, czy to był mój głos. Tak lekki ton, opanowane słowa rzucone od niechcenia.

- Przygotowałem proszek. Nie dodaje smaku jedzeniu, nie barwi trunku. W kwestii podania specyfiku ufamy twojej pomysłowości i zręczności. - Podniósł przykrywą glinianego naczynia stojącego na stole i wziął do ręki paczuszkę z bardzo delikatnego papieru, cieńszego i gładszego niż wszystko, co kiedykolwiek pokazywał mi Krzewiciel. Dziwne, lecz moja pierwsza myśl dotyczyła tego, jak bardzo skryba pragnąłby pracować na podobnym papierze. W środku znajdował się delikatny biały proszek. Przywarł do papieru i przy otwieraniu paczuszki wbił się w powietrze. Cierń zasłonił szmatką usta i nos, po czym ostrożnie stukając palcem wysypał odrobinę jasnego pyłu do zwitka satynowanego papieru. Podał mi go, a ja przyjąłem śmierć na otwartą dłoń.

- Jak działa?

- Niezbyt szybko. Otruty nie padnie martwy przy stole, jeśli o to pytasz. Ale jeśli zamarudzi nad dzbanem, poczuje się chory. Znając księcia Rozumnego, podejrzewam, że zabierze swój wzdęty brzuch do łóżka i rano już się nie obudzi.

Wsunąłem papierek do kieszeni.

- Czy książę Szczery cokolwiek wie? Cierń długo rozważał moje pytanie.

- Książę Szczery jest taki jak jego imię. Nie mógłby siedzieć przy stole z człowiekiem, którego otrul, i niczym się nie zdradzić. Nie, nie. W tym wypadku dyskrecja lepiej nam posłuży niż jawność. - Spojrzał mi prosto w oczy. - Będziesz pracował zupełnie sam, zdany wyłącznie na siebie.

- Rozumiem. - Wyprostowałem się na wysokim drewnianym stołku. - Cierń...

- Tak?

- Czy z tobą było tak samo? Jak wyglądał twój pierwszy raz?

Opuścił wzrok na swoje ręce i przez chwilę dotykał palcami wściekle czerwonych blizn, znaczących grzbiet lewej dłoni. Cisza się przedłużała, ale ja czekałem.

- Byłem starszy niż ty teraz - rzekł w końcu. - I było to tylko wykonanie polecenia, nie do mnie należała decyzja. Tyle ci wystarczy?

Nagle, nie wiedzieć czemu, poczułem się zakłopotany.

- Chyba tak - wymamrotałem.

- To dobrze. Wiem, że nie chciałeś mnie urazić, chłopcze. Widzisz, mężczyźni nie rozmawiają o chwilach spędzonych z damą w pościeli. A skrytobójcy nie rozmawiają o... pracy.

- Nawet mistrz z uczniem? Cierń odwrócił wzrok.

- Nawet.

Po dłuższej chwili dodał:

- Za dwa tygodnie zrozumiesz, być może, dlaczego tak jest. I to było wszystko, co kiedykolwiek powiedzieliśmy sobie na ten temat.

Wedle mojego rozeznania, miałem wtedy trzynaście lat.

WIELMOŻNA PANI TYMIANEK

Historia Sześciu Księstw to studium ich geografii. Nadworny skryba króla Roztropnego, Krzewiciel, bardzo lubił to twierdzenie. Nigdy nie miałem powodu, by w nie wątpić. Możliwe, że wszelkie dzieje mają swoje źródło w ustalaniu innych niż naturalne linii granicznych. Morza i lodowce, które stały pomiędzy nami a Zawyspiarzami, czyniły z nas odrębne ludy. Płodne równiny i urodzajne taki Królestwa Sześciu Księstw stanowiły bogactwo, które przysparzało nam wrogów; może od tego powinno się zacząć spisywanie dziejów narodu? Rzeki Niedźwiedzia i Winna stworzyły przecież bogate winnice i sady Księstwa Rolnego. a Malownicze Szczyty wznoszące się nad Piaszczystymi Kresami chroniły, lecz także izolowały tamtejszy lud, skazując go na podbój przez naszą armię.

* * *

Obudziłem się od razu zupełnie przytomny, choć księżyc jeszcze nie oddał panowania na niebie. Dziwiłem się, że w ogóle zasnąłem. Poprzedniego wieczora Brus dopiłnował moich przygotowań do podróży tak dokładnie, że gdyby to zależało ode mnie, byłbym w drodze chwilę po przekłnięciu porannej owsianki.

Nie w ten sposób się to odbywa, gdy rusza w drogę większa grupa ludzi. Zanim wszyscy zebraliśmy się gotowi do wyjazdu, słońce stało już wysoko nad horyzontem.

- Majestat królewski nigdy nie podróżuje szybko - uprzedził mnie Cierń. - Książę Szczery udaje się w podróż wspierany powagą królewskiego miecza. Każdy, kto ujrzy tę karawanę, będzie o tym od razu wiedział. Wieści o wizycie muszą dotrzeć do księcia Rozumnego i jego sąsiada na długo przed przybyciem następcy tronu. Królewska dłoń ma zażegnać spór i pozostawić obu władców w głębokim żalu, iż w ogóle zaistniała między nimi jakaś różnica zdań. W tym właśnie tkwi sedno królewskiej siły. Ludzie powinni żyć w taki sposób, by nie była potrzebna jego interwencja.

Tak więc książę Szczery podróżował z pompą, która w oczywisty sposób irytowała jego żołnierską duszę. Doborowy oddział wystrojony w barwy książęce oraz znaki rodu Przezornych poprzedzał resztę orszaku. Na mnie, młodym chłopcu, robiło to imponujące wrażenie. By złagodzić nieco swój żołnierski wizerunek, książę Szczery zabrał ze sobą szlachtę do kompanii przy wieczornych pogwarkach i rozrywkach. Sokoły i psy wraz z opiekunami, muzycy i bardowie, jeden teatrzyk marionetek, zwierzęta juczne, służba szlachetnie urodzonych, a także ci, którzy dbali o ich odzienie, fryzury oraz przyrządzanie ulubionych potraw, wreszcie sokolnicy z ptakami i psiarzczycy ze sforą - wszyscy posuwali się w ślad za właściwym poczem na kształt długiego ogona, kończącego się taborem jucznych mułów.

Moje miejsce znajdowało się mniej więcej w środku orszaku. Na grzbiecie niespokojnej Sadzy jechałem obok zdobnej lektyki niesionej przez dwa szare wałachy. Jednemu z lotniejszych chłopców stajennych, Pomocnikowi, przydzielono kucyka i poruczono opiekę nad tymi końmi. Ja miałem się zajmować mułem, który niósł nasze bagaże, oraz pasażerką lektyki. Była nią bardzo wiekowa wielmożna pani Tymianek, której nigdy przedtem nie spotkałem. Gdy zajmowała miejsce w lektyce, była omotana zwojami tkaniny, welonami i szarfami. Mogłem się jedynie domyślać, iż jest leciwa, wydała mi się chuda raczej niż gruba, a od jej pachnideł Sadza dostała napadu kichania. Dama usadowiła się w lektyce pośród poduszek, pledów, koców i innych okryć, po czym natychmiast rozkazała zasnurować zasłony - mimo ślicznego poranka. Dwie młodziutki pokojówki, które jej usługiwały, zniknęły uszczęśliwione; zostałem przy niej sam. Opuściła mnie odwaga. Spodziewałem się, że przynajmniej jedna z dziewcząt będzie razem ze swoją panią podróżowała w lektyce. Kto

w tej sytuacji będzie w namiocie doglądał osobistych potrzeb damy? Nie miałem pojęcia o usługiwaniu kobiecie, a co dopiero takiej starej. Postanowiłem przestrzegać rad Brusa: „Bądź uważający, grzeczny i pogodny, staraj się wyglądać porządnie. Młodemu człowiekowi o miłej powierzchowności łatwo podbić serce starszej pani”. Tak powiedział Brus. Zbliżyłem się do lektyki.

- Wielmożna pani Tymianek, czy jest pani wygodnie? - zapytałem. Długi czas nie otrzymałem odpowiedzi. Może była przygłucha. - Czy jest pani wygodnie? - zapytałem głośnie.

- Przestań mi się naprzykrzać, młody człowieku! - zabrzmiała niespodziewanie gwałtowna odpowiedź. - Jeśli będę czegoś od ciebie chciała, to ci powiem.

- Proszę o wybaczenie - znalazłem się szybko.

- Przestań mi się naprzykrzać, powiedziała! - burknęła chrapliwie i dodała pod nosem: - Durny kmiotek!

Miałem tyle rozumu, by zmilczeć, choć moje obawy wzrosły dziesięciokrotnie. Przestałem liczyć na miłe towarzystwo w podróży.

Nareszcie usłyszałem granie rogów i zobaczyłem daleko na przedzie chorągwie księcia Szczerego. Wznoszący się kurz powiedział mi, że straż przednia rozpoczęła podróż, lecz upłynęło jeszcze dużo czasu, nim ruszyły konie przed nami. Pomocnik popędził wałachy niosące lektykę, ja cmoknąłem na Sadzę. Niecierpliwie wyrwała do przodu, a muł zrezygnowany podążył za nią.

Dobrze pamiętam tamten dzień. Pamiętam kurz wzbijany przez tych, którzy nas poprzedzali, wiszący grubą chmurą w powietrzu, pamiętam, że Pomocnik i ja rozmawialiśmy przyciszonymi głosami, bo kiedy pierwszy raz wybuchnęliśmy głośnym śmiechem, usłyszeliśmy rozwścieczony głos wielmożnej pani Tymianek:

- Dość tego hałasu!

Pamiętam także jasnoblękitną kopułę nieba wspartą na szczytach wzgórz, wznoszącą się nad nami, gdy jechaliśmy delikatnie falującą nadbrzeżną drogą. Z wyżyn rozpościerały się widoki zapierające dech w piersiach, a w dolinach senne powietrze ciążyło słodką wonią kwiatów. Puszyste owieczki znaczyły białymi plamkami soczystą zieleń traw. Spotkaliśmy raz pasterki; wszystkie stanęły rzędem na szczycie skalnej ściany, chichotały, pokazywały nas sobie palcami i płonęły rumieńcem. Pomocnik i ja nie mogliśmy powstrzymać cichego okrzyku widząc podwiązane z boku jasne spódniczki i gołe nogi wystawione na słońce i na wiatr.

Sadza była krnąbrna - wyraźnie znudzona wolnym tempem podróży, a stary kucyk, na którym jechał Pomocnik, choć ciągle szturchany piętami, ledwie nadażał.

Dwukrotnie zatrzymaliśmy się w ciągu dnia, by rozprostować kości i napić konie. Wielmożna pani Tymianek nie opuściła lektyki, ale raz cierpko mi przypomniała, że powinienem jej przynieść wody. Potulnie i bez słowa spełniłem jej życzenie. To była cała nasza rozmowa.

Gdy zatrzymaliśmy się na noc, słońce ciągle jeszcze stało nad horyzontem. Wielmożna pani Tymianek w lektyce jadła z wiklinowego koszyka zimne mięso, ser i popijała wino, w które przemyślnie się zaopatrzyła, a w tym czasie Pomocnik i ja ustawiliśmy jej niewielki namiot. My pożywiliśmy się znacznie skromniej - zjedliśmy żołnierskie racje czerstwego chleba, jeszcze twardszego sera oraz suszonego mięsa. Byłem właśnie w środku posiłku, gdy wielmożna pani Tymianek zażądała, bym ją przeprowadził z lektyki do namiotu. Ukazała się osłonięta udrapowanymi welonami niczym przed śnieżną zamięcią. Ubrana była w szaty o najrozmaitszych barwach, nowsze i starsze, dobrane jakby przypadkowo, lecz wszystkie z całą pewnością kosztowne i dobrze uszyte. Kiedy ciężko wsparła się na moim ramieniu i razem ruszyliśmy w stronę namiotu, poczułem od niej mdłą mieszaninę woni: kurzu, pleśni i pachnidła, wszystko z podkładem zapachu uryny. Przy wejściu odprawiła mnie cierpko i uprzedziła, że ma nóż i nie zawaha się go użyć, jeśli odważę się ją niepokoić.

- Dobrze wiem, jak się nim posługiwać, młody człowieku! - ostrzegła mnie.

Warunki do spania mieliśmy także takie same jak żołnierze: ziemia i własne płaszcze. Ale noc była ciepła i jeszcze rozpaliliśmy małe ognisko. Pomocnik drażnił się ze mną i żartował na temat mojej niewczesnej chuci, wielmożnej pani Tymianek i noża, który mnie oczekiwał, gdybym spróbował zaspokoić swe żądze. Od słowa do słowa zaczęliśmy się szamotać i uspokoiły nas dopiero groźby pani Tymianek, która zgromiła nas za to, że ciągle ją budzimy. Potem rozmawialiśmy już cicho. Pomocnik powiedział, że nikt mi nie zazdrości niewdzięcznej roli służącego pani Tymianek, że każdy, kto kiedykolwiek z nią podróżował, unikał jej potem jak ognia. Ostrzegł mnie także, iż najgorsze jest jeszcze przede mną, ale za nic w świecie nie chciał zdradzić co to takiego, choć nieomal popłakał się ze śmiechu. Usnąłem szybko, ponieważ, z beztronską właściwą młodości, postanowiłem nie martwić się na zapas i wyrzuciłem z głowy wszystkie myśli o moim sekretnym zadaniu.

O świcie zbudził mnie świergot ptaków oraz dojmujący smród z przepelnionego nocnika stojącego przed namiotem wielmożnej pani Tymianek. Chociaż zahartowało mnie sprzątanie stajni i psiarni, musiałem się naprawdę zmusić, żeby urynał opróżnić, wyczyścić, a potem jej oddać. Zanim się z tym uporałem, już przez ścianki namiotu słyszałem pretensje, że jeszcze nie przyniosłem jej wody, zimnej ani ciepłej, a także nie ugotowałem kleiku, którego i składniki sama wybrała. Pomocnik gdzieś zniknął, by razem z żołnierzami usiąść przy ogniu i zjeść, pozostawiając mnie na łasce i niełasce upiornej baby. Zanim podałem jej śniadanie na tacy, która, jak mnie natychmiast powiadomiono, została bardzo niechlujnie zastawiona, zanim umyłem naczynia i wszystko jej oddałem, reszta pochodu była już prawie gotowa do drogi. Wielmożna pani Tymianek nie pozwoliła złożyć namiotu, nim znalazła się bezpiecznie w lektyce. Razem z Pomocnikiem w szalonym pośpiechu dokończyliśmy pakowania i nareszcie znalazłem się w siodle - z pustym żołądkiem.

Po tylu porannych zajęciach byłem naprawdę głodny. Pomocnik popatrzył na moją skwaszoną minę ze współczuciem i kiwnął głową, bym podjechał bliżej. Pochylił się do mnie. - Wszyscy ją znają. - Wzrokiem wskazał lektykę wielmożnej pani Tymianek. - Ten jej poranny smród to już legenda. Biały Pukiel mówi, że podróżowała dużo z księciem Rycerskim... Ma krewnych we wszystkich sześciu księstwach i wyraźnie się nudzi. Żołnierze dawno już się nauczyli trzymać od niej z daleka, bo inaczej od razu ma dla nich jakieś bzdurne polecenia. Aha, i Biały Pukiel przesyła ci to. Powiedział, że spróbuje codziennie rano coś dla ciebie odkładać, bo dopóki jej usługujesz, nie znajdziesz czasu na spokojny posiłek..

Podał mi dwie pajdy żołnierskiego chleba przełożone trzema plastrami zimnego tłustego bekonu. Smakowało wyśmienicie. Kilka pierwszych kęsów przełknąłem łakomie.

- Wracaj no tu! - zaskrzeczała nagle wielmożna pani Tymianek z wnętrza lektyki. - Co ty tam robisz? Na pewno paplesz o lepszych od siebie, już ja was znam, hultaje. Wracaj na swoje miejsce! Jak masz mi usługiwać, skoro się wałasasz nie wiadomo gdzie?

Pośpiesznie ściągnąłem wodze Sadzy i wróciłem na miejsce przy lektyce. Przełknąłem spory kawałek chleba z bekonem.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić, pani? - zdołałem spytać.

- Nie odzywaj się z pełnymi ustami - burknęła. - I przestań mi przeszkadzać. Co za gamoń!

I tak się to ciągnęło. Droga wiodła wzdłuż wybrzeża. Jechaliśmy powoli; dotarcie do Zatoki Sieci zajęło nam pełne pięć dni. Minęliśmy dwa małe miasteczka, poza tym podziwialiśmy omiatane wiatrem klify, mewy i łąki, a od czasu do czasu grupki poskręcanych skarłowaciałych drzew. Dla mnie jednak były to obrazy piękne i pełne cudów, gdyż każdy zakręt drogi odsłaniał przede mną krajobraz, którego nigdy wcześniej nie widziałem.

Im dłużej trwała nasza podróż, tym bardziej wielmożna pani Tymianek mnie tyranizowała. Czwartego dnia wylewał się z niej nieustający strumień skarg, na które nic nie mogłem poradzić. Lektyka za mocno kołysała i przez to było jej niedobrze. Woda, którą przyniosłem ze strumienia, była zbyt chłodna, a ta z moich bukłaków - za ciepła. Jeźdźcy przed nami podnosili za dużo kurzu i robili to celowo, tego była pewna. I miałem im powiedzieć, by

przestali śpiewać nieobyczajne piosenki. Spełniając wciąż rozkazy, nie miałem czasu na myślenie o tym, czy zabijać, czy nie zabijać księcia Rozumnego, nawet gdybym chciał się nad tym zastanawiać.

Rankiem piątego dnia ujrzeliśmy dymy Strażnicy Zatoki. Około południa mogliśmy dostrzec większe budynki i wieżę strażniczą usytuowaną na skałach nad miastem. Leżało ono na zupełnie innym terenie niż Kozia Twierdza. Prowadząca do niego droga wiała się szeroką doliną. Niebieskie wody zatoki otwierały przed nami horyzont. Plaże były piaszkowe, łodzie rybackie płytkie, a statki miały płaskie dna. Po raz pierwszy też ujrzałem śmiałe czółna, które unosiły się na fali niczym mewy. Strażnica Zatoki nie miała głębokiej przystani, jak ta w Koziej Twierdzy, więc nie była ważnym portem ani centrum handlowym, a jednak wydała mi się ogromnie sympatyczna.

Księżę Rozumny wysłał na nasze spotkanie gwardię honorową, więc kiedy doszło do wymiany formalnych grzeczności ze strażą przednią księcia Szczerego, powstało kolejne opóźnienie.

- Jak dwa psy, co się obwąchują pod ogonami - zauważył Pomocnik cierpko.

Stając w strzemiączkach mogłem widzieć dosyć daleko i obserwować oficjalne spotkanie. Niechętnie pokiwałem głową.

W końcu znowu ruszyliśmy w drogę i wkrótce jechaliśmy ulicami Strażnicy Zatoki.

Wszyscy skierowali się prosto do zamku księcia Rozumnego, tylko Pomocnik i ja byliśmy zobligowani do eskortowania lektyki wielmożnej pani Tymianek bocznymi uliczkami ku pewnej gospodzie, w której starsza dama koniecznie chciała się zatrzymać. Sądząc z miny pokojówki, gościła tu już uprzednio. Pomocnik zabrał konie i lektykę do stajni, a ja musiałem jeszcze odprowadzić wielmożną panią, ciężko uwieszoną na moim ramieniu, do pokoju. Zastanawiałem się, co też ona jadła tak obficie przyprawionego, że każdy jej oddech był dla mnie ciężką próbą. W drzwiach zwolniła mnie nareszcie, grożąc miliardem kar, gdybym nie wrócił dokładnie za siedem dni. Współczułem pokojówce, gdyż jeszcze dobrze nie wyszedłem z gospody, a już dobiegał mnie podniesiony głos wielmożnej pani Tymianek, która perorowała o złodziejskich ciągotach pokojówek, z jakimi miała do czynienia w przeszłości, oraz instruowała dziewczynę dokładnie, jak sobie życzy mieć pościelone łóżko.

Z lekkim sercem wskoczyłem na Sadzę i zawołałem do Pomocnika, żeby się pośpieszył. Po krótkim galopie ulicami miasta zdołaliśmy jeszcze u wrót zamku dołączyć do końcówki orszaku. Strażnica Zatoki wznosiła się na płaskim terenie, nie dającym naturalnej osłony, więc została otoczona łańcuchem umocnień i fos, które musiałby pokonać wróg, zanimby dotarł do grubych kamiennych murów twierdzy. Pomocnik powiedział mi, że najeźdźcy nigdy nie przedostali się poza drugą fosę, i ja mu uwierzyłem.

Robotnicy, którzy dokonywali napraw fortyfikacji, spoglądali w zachwycie na przybywającego do Strażnicy Zatoki następcę tronu.

Wraz z zamknięciem bram rozpoczęła się kolejna długotrwała ceremonia powitalna. Ludzie, konie i wszelkie inne stworzenia, wszyscy utknęli w południowym słońcu, podczas gdy księżę Rozumny i Strażnica Zatoki witali wysłannika króla. W końcu jednak zagrały rogi i szmer oficjalnych formułek zastąpiło poruszenie wśród ludzi i zwierząt, gdy szeregi przed nami poszły w rozsypkę.

Jeźdźcy zsiadali z koni, a ludzie księcia Rozumnego, którzy nagle znaleźli się między nami, pokazywali nam, gdzie napoić zwierzęta, gdzie możemy się rozłożyć na noc oraz - co najważniejsze dla każdego żołnierza - gdzie się umyć i zjeść. Razem z Pomocnikiem poprowadziliśmy do stajni Sadzę i kucyka. Wtem usłyszałem swoje imię i odwróciwszy się ujrzałem, jak Znak z Koziej Twierdzy wskazywał mnie komuś w barwach księcia Rozumnego.

- To tamten. To on jest Bastard. Hej, Bastard! Dostatek mówi, że masz się stawić u księcia Szczerego. Lew jest chory. Pomocnik, ty zabierzesz Sadzę.

Poczułem się, jakby mi ktoś wrywał jedzenie spomiędzy zaciśniętych szczęk. Pomny dobrych rad Brusa, wziąłem głęboki oddech i zaprezentowałem Dostatkowi miły wyraz twarzy. Wątpię, by ten odstręczający człowiek cokolwiek zauważył. Dla niego byłem jeszcze jednym chłopakiem płaczącym się pod nogami w tym dniu pełnym gorączkowej krzątaniny. Zaprowadził mnie do komnaty księcia Szczerego, zostawił przed drzwiami i z widocznym pośpiechem wrócił do stajni.

Zapukałem cicho. Służący księcia Szczerego natychmiast otworzył mi drzwi.

- Ach! Dzięki Edowi, to nareszcie ty! - wykrzyknął na mój widok. - Wchodź, wchodź, widzisz, zwierzę nie chce jeść, a ksiązę Szczery jest pewien, że to coś poważnego. Coś tak zwlekał, Bastardzie?!

Mężczyzna miał godło księcia Szczerego, ale nie przypominałem sobie, bym go kiedykolwiek spotkał. Niekiedy czułem się zbity z tropu, gdyż tak wielu ludzi wiedziało, kim jestem, podczas gdy ja w ogóle ich nie znałem.

Ksiązę Szczery brał kąpiel w sąsiedniej komnacie i głośno wydawał komuś polecenia na temat garderoby, jakiej życzył sobie na wieczór. Ale nie on mnie interesował, tylko Lew.

Sięgnąłem do jego umysłu - kiedy Brusa nie było w pobliżu, nie miałem żadnych skrupułów. Pies podniósł łeb i popatrzył na mnie udręczonym wzrokiem. Leżał na przepoconej koszuli księcia Szczerego, w rogu komnaty, obok pustego paleniska. Było mu gorąco, nudził się i jeśli nie mieliśmy tutaj na nic polować, chciał wrócić do domu.

Urządziłem widowisko dla postronnych obserwatorów: obmacałem psa, podniosłem mu wargi, by obejrzeć dziąsła, a potem mocno uciskałem brzuch. Na koniec podrapałem Lwa za uszami.

- Nic złego się z nim nie dzieje, po prostu nie jest głodny - powiedziałem służącemu księcia Szczerego. - Trzeba postawić w pobliżu miskę zimnej wody i zostawić psa w spokoju. Kiedy będzie chciał jeść, da znać. I trzeba zabrać to wszystko, zanim się zepsuje w tym upale, bo jeśli potem to zje, rozchoruje się naprawdę. - Wskazałem miskę pełną kawałków i okruchów różnych ciast, które przyniesiono następcy tronu. Nic z tego nie nadawało się dla psa, za to ja byłem tak głodny, że nie pogardziłbym tymi resztkami; na ich widok zaburczało mi w brzuchu. - Może w kuchni mieliby jakieś świeże kości wołowe? Coś do zabawy raczej niż do jedzenia, bo teraz tego potrzebuje najbardziej...

- Bastard? To ty? Chodź tutaj, chłopcze! Co dolega Lwu?

- Przyniosę mu kość - zapewnił mnie człowiek księcia Szczerego, więc podniosłem się i ruszyłem ku wejściu do sąsiedniej komnaty.

Następca tronu podniósł się z kąpeli ociekający wodą i wziął ręcznik podany przez służącego. Krótkimi energicznymi ruchami wytarł włosy, a potem zaczął osuszać ciało.

- Co się dzieje z Lwem?

Taki właśnie był ksiązę Szczery. Promieniowała z niego ciepła serdeczność, którą tak uwielbiałem; przekonanie, iż wszystko jest dobrze, dopóki ktoś nie da mu znać, że jest inaczej. Tygodnie minęły od czasu, gdy rozmawialiśmy ostatnio, ale on nie tracił czasu na powitanie i żadne pytania. Uważał, że gdyby działo się ze mną coś ważnego, ktoś by mu o tym powiedział. Cierń uznawał to za poważną wadę. Jego zdaniem następca tronu nie dawał odczuć swoim ludziom, ile dla niego znaczą.

- Nic złego się z nim nie dzieje, ksiązę panie. Trochę jest nie w humorze, gorąco mu i podróż go znużyła. Jeśli nocą wypocznie w chłodzie, to go postawi na nogi, ale lepiej nie dawać mu do jedzenia ciasta ani tłuszczu, w każdym razie nie w taki upał.

- Hm... - Ksiązę Szczery wytarł sobie nogi. - Czy mi się to podoba, czy nie, posłucham cię, chłopcze. Brus mówi, że umiesz się obchodzić z psami, więc nie będę lekceważył twoich rad. Po prostu Lew był nieswój. Zazwyczaj ma świetny apetyt, szczególnie na resztki z mojego talerza - wydawał się zawstydzony, jakbym go przyłapał na dziecinadzie.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Czy to wszystko, książę? Powinienem chyba wrócić do stajni.

Obrzucił mnie przez ramię zdziwionym spojrzeniem.

- To strata czasu. Pomocnik zajmie się twoim koniem, prawda? Powinieneś się umyć i ubrać, jeśli masz zdążyć na obiad. Powab! Masz dla niego wodę?

- Tak, panie - odezwał się starszy służący, który układał odzież księcia Szczerego na łóżku. - I przygotowuję mu ubrania.

W ciągu następnej godziny mój świat stanął na głowie. Wiedziałem, że nadchodzi dla mnie czas poważnych zmian. Zarówno Brus, jak i Cierń próbowali mnie do nich przygotować. Jednak zbyt nagły przeskok od roli dzieciaka do pozycji formalnego członka świty księcia Szczerego był nieco denerwujący. W dodatku każdy, kogo spotykałem, najwyraźniej zakładał, że jestem doskonale zorientowany w sytuacji.

Książę Szczęry ubrał się i wyszedł z komnaty, zanim znalazłem się w wannie.

Powab z własnej woli poinformował mnie ochoczo, że następca tronu konferuje teraz z kapitanem straży. Wdzięczny byłem losowi za towarzystwo tego niepospolitego plotkarza. Moja nowa ranga nie robiła na nim aż takiego wrażenia, by miał sobie odmówić przyjemności paplania i narzekania w mojej obecności.

- Przygotuję ci tu posłanie na dzisiejszą noc. Na pewno nie zmarzniesz. Książę Szczęry chce cię mieć w pobliżu, i to nie tylko do opieki nad psem. Ma dla ciebie jakieś inne zadania.

Przerwał z nadzieją. Skryłem milczenie, zanurzając głowę w letniej wodzie i zmywając z włosów cały kurz oraz pot. Wynurzyłem się dopiero, gdy zaczęło mi brakować powietrza.

Kamerdynier westchnął zrezygnowany.

- Zajmę się twoim ubraniem. Zostaw brudne rzeczy, dopilnuję, by je odesłano do prania.

Bardzo to było niezwykle, że ktoś mi pomagał przy myciu, a jeszcze potem przy ubieraniu. Powab nalegał, by mu pozwolić rozprasować szwy mojego kaftana i podszyć za długie rękawy najlepszej koszuli. Włosy odrosły mi już na tyle, że zaczynały się plątać, więc Powab je rozczesał - szybko i boleśnie. Dla mnie, przyzwyczajonego, że sam dbałem o siebie, podobne strojenie zdawało się nie mieć końca.

- Jota w jotę taki sam! - odezwał się zdumiony głos od wejścia. Książę Szczęry przyglądał mi się z mieszaniną bólu i rozbawienia na twarzy.

- Zupełnie skóra zdjęta z księcia Rycerskiego, kiedy był w jego wieku, prawda, książę panie?

- Powab był najwyraźniej wyjątkowo zadowolony z siebie.

- Prawda. - Książę Szczęry odchrząknął. - Nikt nie może wątpić, kto był twoim ojcem, Bastardzie. Ciekaw jestem, co król miał na myśli, kiedy mi przykazał, bym cię dobrze zaprezentował. Mojemu ojcu dano na imię Roztropny i taki właśnie jest. Co spodziewa się osiągnąć? Cóż... - Westchnął. - On wie, co robi, i mnie nic do tego. Ja mam zapytać podstarzałego dandysa, dlaczego nie obsadza wieży strażniczej, jak powinien. Chodź, chłopcze. Czas zejść na dół.

Odwrócił się i wyszedł, nie czekając na mnie. Pośpieszyłem za nim, lecz Powab chwycił mnie jeszcze za ramię.

- Trzy stopnie za księciem i po lewej. Pamiętaj.

Niepotrzebnie mi przypominał, pamiętałem dobrze nauki Brusa.

Kiedy następca tronu szedł korytarzem, inni z naszego orszaku wychodzili ze swoich komnat i podążali za nim. Wszyscy byli wystrojeni z najwyższą elegancją; chcieli zostać zauważeni i wzbudzić zazdrość. Sutość moich rękawów wyglądała niemal ascetycznie w porównaniu z tym, co mieli na sobie niektórzy. Moje buty także prezentowały się wyjątkowo skromnie: nie były obwieszane ani dzwoneczkami, ani delikatnie postukującymi bryłkami bursztynu.

Książę Szczęry przystanął, a przez tłum zgromadzony u podnóża schodów przeszedł szmer. Rozejrzałem się po twarzach wzniesionych ku górze i dostrzegłem na nich wszelkie emocje znane rodzajowi ludzkiemu. Jedne kobiety uśmiechały się afektownie, podczas gdy inne wykrzywiały usta w szyderym grymasie. Niektórzy młodzi mężczyźni przybierali pozy,

które najlepiej eksponowały ich stroje, inni, ubrani prościej, prężyli się jak na warcie. Widziałem miłość i zazdrość, pogardę i strach, a na kilku twarzach nienawiść. Następca tronu wszystkich obdarzył jednakim przelotnym spojrzeniem i zszedł na dół. Tłum rozstał się przed nami, odsłoniwszy księcia Rozumnego we własnej osobie, oczekującego, by nas poprowadzić do sali biesiadnej.

Inaczej sobie wyobrażałem naszego gospodarza. Książę Szczery nazwał go dandysem, a zobaczyłem zwykłego starzejącego się mężczyznę, szczupłego i wyraźnie strapionego, który nosił ekstrawaganckie szaty niczym zbroję przeciwko upływowi czasu. Siwiejące włosy zebrane miał na żołnierską modłę w cienki kucyk na plecach i poruszał się zwinnym, posuwistym krokiem bardzo dobrego szermierza.

Obejrzałem go w taki sposób, jak uczył mnie Cierń, i zrozumiałem go dosyć dobrze, nim jeszcze usiedliśmy do posiłku. Lecz dopiero kiedy zajęliśmy miejsce przy stole - a moje, ku memu zdumieniu, znajdowało się nie tak daleko od wysoko urodzonych - wtedy mogłem głębiej zajrzeć w duszę tego człowieka. I to nie dzięki jego zachowaniu, ale dzięki wizerunkowi jego pani, która wraz z nami zasiadła do posiłku.

Wątpię, by księżna Gracja, żona księcia Rozumnego, była ode mnie starsza więcej niż o dwa lata. Miała na sobie tyle błyskotek co w sroczym gnieździe. Nigdy dotąd nie widziałem biżuterii tak jaskrawie świadczącej o bogactwie, a tak fatalnie o guście. Księżna zajęła swoje miejsce czyniąc mnóstwo zamieszania i gestów, które przywiodły mi na myśl ptaka w godowych płaszach. Utonąłem w woni jej pachnidła, lecz i te bardziej czuć było pieniędzmi niż kwiatami. Miała ze sobą małego pieska, ruchliwe stworzonko, które składało się głównie z jedwabistej sierści i pary wielkich oczu. Przez cały czas gruchała do niego czule. Psiak ułożył się jej na kolanach zwinięty w kłębek, bródkę oparł na krawędzi stołu. Księżna nie spuszczała wzroku z następcy tronu, upewniając się, czy ją zauważył i czy był pod wrażeniem. Ja zaś obserwowałem księcia Rozumnego, który oglądał to przedstawienie z bardzo kwaśną miną i myślałem sobie: „Oto mamy źródło znacznej części problemów z obsadzeniem wieży”.

Obiad był dla mnie ciężką próbą. Byłem głodny jak wilk, ale maniery wzbraniały mi tego okazywać. Jadłem tak, jak mnie nauczono, podnosząc łyżkę wówczas, gdy robił to książę Szczery, i odsuwając danie natychmiast, kiedy on wykazał nim brak zainteresowania. Tęskniłem za solidną porcją gorącego mięsiwa i chlebem, który można by maczać w sosie, ale częstowano nas małutkimi kawałkami dziwnie przyprawionego mięsa, kompotami z egzotycznych owoców, białym pieczywem oraz warzywami ugotowanymi do bładości, a następnie przyprawionymi. Był to imponujący pokaz marnowania dobrego jadła w imię wykwintnej sztuki kucharskiej. Widziałem, że książę Szczery również je bez apetytu, i zastanawiałem się, czy wszyscy widzą, iż następca tronu nie jest specjalnie zachwycony poczęstunkiem.

Cierń dobrze mnie wyuczył. Potrafiłem uprzejmie przytakiwać mojej towarzyszce przy stole - piegowatej młodej kobiecie - i śledzić jej opowiadanie, jak trudno było w tych dniach kupić dobrą lnianą tkaninę w Księstwie Cypla, a jednocześnie wytężać słuch, by pochwycić strzępki innych rozmów. Żadna nie dotyczyła sprawy, która nas tu przywiodła. Następca tronu i książę Rozumni mieli następnego dnia odbyć dysputę na ten temat w cztery oczy. Ale większość z tego, co posłyszałem, pośrednio wiązała się z obsadzaniem wieży na Wyspie Wartowniczej i rzucała na tę sprawę interesujące światło.

Narzekano na drogi, które nie były utrzymane tak dobrze jak niegdyś. Ktoś wspomniał, że był szczęśliwy widząc, iż zostały wznowione naprawy miejskich fortyfikacji. Inny mężczyzna uskarżał się na rozboje na szlakach lądowych, a ponoć napaści stały się tak powszechne, iż można było liczyć zaledwie na dwie trzecie towaru sprowadzanego z Księstwa Trzody. Te same rozboje stanowiły przyczynę skarg mojej towarzyszki. Patrzyłem na księcia

Rozumnego; obserwowałem, jak pożera wzrokiem każdy gest młodej żony. Usłyszałem w myślach osąd Ciernia, tak wyraźnie, jakby mi go wyszeptał w ucho.

„Oto pan zaprzątnięty czym innym niż dobro jego ziem”.

Podejrzywałem, iż księżna Gracja ubrana była za pieniądze na niezbędne naprawy dróg oraz wypłaty dla żołnierzy, którzy powinni patrolować szlaki handlowe i bronić przed rozbójnikami. Może klejnoty, które zdobiły jej uszy, powinny opłacić obsadę wieży na Wyspie Wartowniczej.

Nareszcie obiad dobiegł końca. Miałem pełny żołądek, ale nadal czułem głód, tak niewiele treści było w tym posiłku. Następnie zabawiało nas dwóch minstreli i poeta, lecz ja nastawiałem uszu raczej na przypadkowe rozmowy, niż na wyszukane strofy czy ballady. Książę Rozumny siedział po prawej ręce następcy tronu, a jego małżonka po lewej, dzieląc krzesło z pieskiem.

Księżna Gracja pławała się w blasku świetności własnego stanowiska. Jej dłonie często trącały to kolczyk, to znowu bransoletę. Nie była przyzwyczajona do noszenia takiej ilości biżuterii. Przypuszczałem, że pochodziła z podrzędniejszego rodu i zdumiewała ją własna pozycja. Jeden z minstreli, ze wzrokiem utkwionymi w jej oczach, zaśpiewał: „Przecudna róża pośród koniczyny” i został nagrodzony gorącym rumieńcem na policzkach księżnej. Ale w miarę jak mijał czas i wszyscy zaczęli odczuwać znużenie, żona księcia Rozumnego blakła. Raz nawet ziewnęła, zbyt późno zasłaniając usta. Psiak zasnął jej na kolanach; od czasu do czasu przebierał łapkami i pojękiwał, rojąc jakieś sny w swoim małym rozumku. Księżna Gracja, im bardziej śpiąca, tym bardziej przypominała mi dziecko: tuliła do siebie psa niby lalkę i opierała głowę w rogu zagłówek tronu. Dwa razy zaczęła przysypiać. Widziałem, jak próbując się rozbudzić, ukradkowo przyszczypywała skórę na nadgarstku. Gdy na koniec książę Rozumny kazał wynagrodzić śpiewaków i poetę za ich trud, ożywiła się z wyraźną ulgą. Podążyła za małżonkiem do sypialni, ale ani na chwilę nie wypuściła z ramion psa.

I ja z ulgą poszedłem na górę, do przedsiönka komnaty księcia Szczerego. Powab znalazł mi piernat i kilka koców. Legowisko było równie wygodne jak moje własne łóżko. Bardzo chciałem spać, lecz Powab gestem wezwał mnie do sypialni swego pana. Książę Szczery, niczym prawdziwy żołnierz, nie miał specjalnych lokajów do rozbierania i ściągania butów, więc tylko Powab i ja mu usługiwaliśmy. Powab utyskiwał pod nosem, chodząc po komnacie krok w krok za następcą tronu, podnosząc i układając ubrania, które książę rozrzucał od niechcenia. Buty natychmiast zabrał do kąta i zaczął nacierać woskiem. Książę Szczery przełożył przez głowę nocną koszulę i wreszcie odwrócił się do mnie.

- I cóż? Co masz mi do powiedzenia?

Wówczas opowiedziałem mu wszystko dokładnie, podobnie jak czyniłem to z Cierniem, najlepiej jak umiałem zdając sprawę ze wszystkiego, co usłyszałem, w tych samych słowach oraz zaznaczając, kto mówił i do kogo. Na koniec dodałem własne domysły.

- Książę Rozumny wziął sobie młodą żonę, którą łatwo olśnić bogactwem i podarkami - podsumowałem. - Ona nie ma pojęcia o odpowiedzialności osoby na swoim stanowisku, a co dopiero o jego obowiązkach. Książę Rozumny poświęca pieniądze, czas i myśli nie swoim powinnościom, lecz małżonce. Powiedziałbym, gdyby takie słowa nie oznaczały braku respektu, że księcia Rozumnego zawodzi potencja, więc próbuje zadowolić żonę cennymi podarunkami.

Książę Szczery westchnął ciężko. Rzucił się na łóżko i ubijał zbyt miękką poduszkę, by mieć wyższe podparcie pod głową.

- To sprawa dla Rycerskiego, nie dla mnie - powiedział do siebie. - Bastardzie, wysławiasz się zupełnie jak twój ojciec. Gdyby on tutaj był, znalazłby jakiś subtelny sposób na załatwienie sprawy. Miałby już problem z głowy. Wystarczyłby mu jeden uśmiech, jedno spojrzenie. Ja tego nie potrafię. - Poruszył się na łożu niespokojnie, jakby się spodziewał ode mnie usłyszeć krytykę swoich słów. - Rozumny jest mężczyzną i panem tych ziem. Ma swoje powinności.

Musi obsadzić tę wieżę należycie. To zupełnie proste zadanie i zamierzam mu to wyraźnie powiedzieć. Ma tam umieścić dobrych żołnierzy i płacić im tyle, żeby porządnie wypełniali obowiązki. Mnie się to wydaje zupełnie proste. I nie zamierzam niczego owijać w bawełnę. Obrócił się do mnie plecami.

- Powab, zgaś światło.

Zostałem w kompletnych ciemnościach. Po omacku wyszedłem z komnaty i trafiłem do swojego legowiska. Rozwahałem dłuższą chwilę, jak niewiele dostrzegał następca tronu. Mógł zmusić księcia Rozumnego do obsadzenia wieży, to prawda. Ale nie mógł go zmusić, by zrobił to dobrze, z troską o poddanych. To była kwestia dyplomatyczna. Książę Rozumny nie interesował się stanem dróg, nie obchodziły go naprawy fortyfikacji ani problem rozbójników. Wszystkie te sprawy pilnie wymagały załatwienia. Na dodatek w taki sposób, by nie ucierpiała duma pana tych ziem, a także by jego stosunki z księciem Dorzecznym poprawiły się i umocniły. I ktoś powinien uświadomić księżnę Grację w sprawach jej obowiązków. Tyle problemów. Jednak ledwie złożyłem głowę na poduszce, już spałem.

9

UŚMIECH LOSU

Błazen pojawił się w Koziej Twierdzy w siedemnastym roku panowania króla Roztropnego. Jest to jeden z nielicznych niepodważalnych faktów dotyczących jego osoby. Mówi się, iż był podarunkiem od Miasta Wolnego Handlu, natomiast jego pochodzenia można się tylko domyślać. Krążą na ten temat najróżniejsze historie. Jedna z nich powiada, iż błazen został pojmany przez najeźdźców ze szkarłatnych okrętów, a dopiero od nich przejęty przez kupców z Miasta Wolnego Handlu. Inna wieść niesie, że jako niemowlę znaleziono go w dryfującej łódce, złożonego na postaniu z siana i lawendy, osłoniętego przed słońcem parasolem ze skóry rekina. Tę opowieść można włożyć między bajki. W rzeczywistości o życiu błazna przed jego przybyciem na dwór królewski nie wiemy nic pewnego.

Błazen był bezsprzecznie istotą gatunku ludzkiego, choć niezupełnie ludzkiego pochodzenia. Teorie twierdzące, iż został zrodzony z Innego Ludu, są niemal na pewno fałszywe, ponieważ palce u nóg i rąk miał całkowicie pozbawione błony, a także nigdy nie okazał najmniejszego lęku przed kotami. Niezwykłe cechy wyglądu błazna (jak na przykład znikomy koloryt) zdają się charakterystyczne raczej dla jego odmiennego pochodzenia niż osobowymi znakami szczególnymi, choć równie dobrze mogą się w tym mylić.

W wypadku błazna to, czego nie wiemy, ma w zasadzie większe znaczenie niż to, co nam wiadomo. Wiek błazna w chwili jego przybycia do Koziej Twierdzy pozostawał kwestią domysłów. Z osobistego doświadczenia mogę ręczyć, iż błazen wyglądał wówczas o wiele młodziej niż teraz. Ale ponieważ wykazuje on tak niewiele objawów starzenia, możliwe, iż nie był dorosły - jak się wydawało - ale raczej w końcowej fazie długiego dzieciństwa. Pleć błazna także stanowiła przedmiot dyskusji. Gdy byłem młodszy i znacznie bardziej bezpośredni niż teraz, zapytałem go o to wprost. Odpowiedział, że to jego osobista sprawa. Trudno odmówić mu racji.

Jeśli chodzi o jego zdolność przewidywania przyszłych zdarzeń oraz irytująco niekonkretne formy, jakie ona przyjmuje, nie ma zgody, czy jest to umiejętność właściwa całemu gatunkowi, czy też indywidualny talent. Niektórzy wierzą, iż błazen zna przyszłość, a nawet, że zawsze wie, gdy ktokolwiek o nim choćby wspomina. Inni twierdzą, że wszystkie jego przepowiednie to wyłącznie efekt ogromnego zamilowania do powtarzania: „A nie mówiłem!” oraz

umiejętności obracania najbardziej mętnych stwierdzeń w proroctwa. Być może, zdarzało się tak niekiedy, ale bywało często, że przy świadkach przepowiadał - choć niejasno - wypadki, które rzeczywiście potem nastąpiły.

* * *

Obudziłem się wkrótce po północy. Leżałem słuchając, jak burczy mi w brzuchu. Zamknąłem oczy, ale z głodu odczuwałem mdłości. Wstałem i po omacku odnalazłem drogę do stołu, na którym stała taca z ciastami dla księcia Szczerego; niestety, przekonałem się, że została sprzątnięta. Biłem się z myślami, lecz w końcu żołądek wygrał z rozumem.

Wyszedłem na korytarz oświetlony przyćmionym światłem. Dwóch ludzi, których książe Szczery zostawił na warcie przed drzwiami, spojrzęło na mnie pytająco.

- Jestem głodny - powiedziałem. - Nie wiecie, jak trafić do kuchni?

W życiu nie widziałem żołnierza, który by nie znalazł drogi do kuchni. Podziękowałem im i obiecałem przynieść coś także dla nich. Przemknąłem przez mroczny korytarz. Na schodach zdziwiłem się, że pod stopami mam drewno, a nie kamień, jak w Koziej Twierdzy. Idąc, przestrzegałem nauk Ciernia: kroki stawiałem cicho, starałem się poruszać po najbardziej zacienionych częściach korytarzy, a także bokami, gdzie było najmniej prawdopodobne, że podłoga zaskrzypi pod moim ciężarem.

Cała warownia była najwyraźniej głęboko uszpięta. Minałem kilku strażników - podrzemywali, żaden mnie nie zatrzymał. Tamtej nocy przypisałem to swoim zdolnościom do bezszelestnego poruszania się, dziś byłbym skłonny twierdzić raczej, że ich zdaniem chudy, rozczochrany chłopak nie stanowił żadnego niebezpieczeństwa, więc nie warto było zawracać sobie nim głowy.

Kuchnię odnalazłem bez trudu. Było to przestronne pomieszczenie, o podłodze i ścianach z kamienia, który miał zabezpieczać przed pożarem. Znajdowały się tam trzy ogromne, wygaszone na noc paleniska. Mimo późnej godziny wewnątrz było dobrze oświetlone. Kuchnie w warowniach nigdy nie zasypiają naprawdę.

Ujrzałem przykryte dzieże i poczułem zapach rosnącego chleba. W cieple na krawędzi jednego z palenisk stał wielki garniec gulaszu. Kiedy zajrzałem pod pokrywę, nabrałem przekonania, że nikomu nie ubędzie, jeśli zjem miskę lub dwie. Zakrzętałem się i nałożyłem sobie jedzenia. Na półce znalazłem zawinięty w liście lekko podeschły chleb, a w kącie stał cebryk z masłem, chłodzony w większej beczulce z wodą. Nic wymyślnego - na szczęście; zwykłe proste jado, za jakim tęskniłem cały dzień.

Byłem w połowie drugiej miski gulaszu, gdy usłyszałem lekkie kroki na schodach. Podniosłem głowę przyoblekając na twarz rozbrajający uśmiech i mając nadzieję, że ten kucharz okaże się człowiekiem o równie miękkim sercu jak kucharka w Koziej Twierdzy. Ale to była jakaś dziewczka służebna w nocnej koszuli; na ramiona miała zarzucony koc, a do piersi tuliła swoje maleństwo. Szlochała.

Mnie chyba nie zauważyła. Położyła omotane w powijaki niemowlę na blacie stołu, wzięła miskę i cały czas szepcząc słowa otuchy napełniła ją zimną wodą. Pochyliła się nad dzieckiem.

- Masz, moja słodczy, moje najdroższe maleństwo. Wypij, kochanie, to ci pomoże. Chociaż troszeczkę. Och, słodkości, nie możesz nawet pić?

Niezgrabnie próbowała przystawić miskę do ust dziecka. Drugą ręką usiłowała otworzyć maleństwu buzię i używała do tego znacznie więcej siły, niż kiedykolwiek widziałem, by matka używała w stosunku do swojego dziecka. Przechyliła miskę. Polała się woda. Usłyszałem zduszone bulgotanie, a potem odgłos wymiotów. Właśnie się podniosłem, żeby zaprotestować, kiedy z powijaków ukazał się psi łebek.

- Och, znowu się krztusi! On umiera! Mój malutki kona i nikogo poza mną w ogóle to nie obchodzi. Nie wiem, co robić, a moje kochanie umiera.

Przytuliła do siebie psiaka, który bez przerwy dusił się i charczał z otwartym pyszczkiem. Potrząsnął dziko łebkiem, po czym nieco się uspokoił. Gdybym nie słyszał, jak oddycha z trudem, byłbym przysiągł, że wyzionął ducha w ramionach dziewczyny. Spojrzenie wybałuszonych ciemnych ślepek napotkało mój wzrok i poczułem całą siłę przerażenia i bólu małego zwierzątka.

„Spokojnie” - wysłałem do niego myśl i odezwałem się do dziewczki:

- Posłuchaj mnie. W niczym mu nie pomożesz, jeśli będziesz go tak mocno ścisnęła. Ledwie oddycha. Odłóż go. I rozwiń. Pozwól psu zdecydować, jak mu jest najwygodniej. W tych powijakach ma za gorąco, więc próbuje jednocześnie i dyszeć, i wymiotować. Odłóż go.

Była o głowę wyższa ode mnie i przez chwilę miałem wrażenie, że będę musiał się z nią bić. Ale pozwoliła mi wziąć ze swoich ramion omotanego psa i odwinąć. Postawiłem go na stole. Zwierzątko wyglądało żałośnie. Stało z łebkiem spuszczone między przednimi łapami. Pysk i pierś miało mokre od śliny, brzuch wzdęty i twardy. Znow zaczęło się krztusić i wymiotować. Małe szczęki rozwarły się szeroko, wargi odsłoniły drobne ząbki. Poczzerwieniały język świadczył o ogromnym wysiłku. Dziewczyna pisnęła i chciała na powrót pochwycić psa, ale odepchnąłem ją szorstko.

- Nie ruszaj go - powiedziałem zniecierpliwiony. - Próbuje się czegoś pozbyć i nie może, jeśli go ściskasz. O dziwo, posłuchała mnie.

- Próbuje się czegoś pozbyć?

- Wygląda i zachowuje się, jakby mu coś utknęło w przetyku. Mógł się najęść kości albo piór? Stała jak rażona gromem.

- W rybie było trochę ości. Ale tylko małe.

- W rybie? Co za głupiec karmi go rybą? Świeżą czy zepsutą? - Widziałem już, jak pochorował się pies, który zjadł zgniętego łososia na brzegu rzeki. Jeśli czegoś podobnego najadła się ta psina, nie miała żadnej szansy.

- To była świeża ryba, smacznie ugotowana. Ten sam pstrąg, którego ja miałam na obiad.

- Dobrze, przynajmniej nie był trujący. Czyli to sprawa ości. Ale jeśli ją przełknie, nadal może zdechnąć. Dziewczyna zatchnęła się przerażona.

- Nie, to niemożliwe! On nie może umrzeć. Wszystko będzie dobrze. On ma po prostu wrażliwy żołądek. Dałam mu za dużo do jedzenia. Wszystko będzie dobrze! Co taki kucharz jak ty może wiedzieć?

Małym ciałkiem psiaka wstrząsały konwulsje. Wymiotował żółcią.

- Jestem psiarczykiem. I to samego księcia Szczerego, jeśli chcesz wiedzieć. Mówię ci, jeśli nie pomożemy temu psiakowi, on umrze. Bardzo niedługo.

Z podziwem i przerażeniem patrzyła, jak złapałem jej małego ulubieńca w pewny chwyt.

„Próbuję ci pomóc” - przekonywałem.

Nie uwierzył mi. Siłą rozwarłem mu szczęki i wsadziłem w gardło dwa palce. Zwierzątko ponownie zwymiotowało, jeszcze gwałtowniej niż poprzednio, drapało mnie przednimi łapami. Pazury miał zaniedbane, trzeba mu było je przyciąć. Czubkami palców wyczułem ość. Przesunąłem po niej opuszkami i poczułem, że się poruszyła. Była zaklinowana w poprzek gardła. Pies zawył przeraźliwie i zadygotał w moich ramionach. Puściłem go.

- No tak. Nie pozbędzie się tego własnymi siłami - westchnąłem.

Pozwoliłem jej zawodzić i biadać. Przynajmniej go nie brała na ręce i nie ścisnęła. Zaczerpnąłem z cebrzyka pełną garść masła i włożyłem do miski po gulaszu. Teraz potrzebowałem jakiegoś haczyka. Pomyszkowałem między skrzyniami i w końcu znalazłem zakrzywiony metalowy hak z uchwytem. Prawdopodobnie służył do zestawiania gorących garnków z ognia.

- Usiądź - nakazałem służącej.

Przez chwilę gapiła się na mnie, wreszcie posłusznie usiadła na ławie, którą jej wskazałem.

- Teraz przytrzymasz go mocno między kolanami. Nie pozwól mu uciec, choćby drapał, wrywał się czy skowyczał. I trzymaj go za przednie łapy, żeby mi nie rozorał skóry na dłoniach. Zrozumiałaś?

Wzięła głęboki oddech, przełknęła ślinę i pokiwała głową. Łzy ciurkiem płynęły jej po twarzy. Posadziłem psa na kolanach dziewczyny i ułożyłem na nim jej dłoń.

- Trzymaj mocno - powtórzyłem. Zaczepiłem masła. - Teraz wszystko natłuszczę. Potem będę musiał rozewrzeć mu szeroko szczęki, zaczepić ość i ją wyrwać. Jesteś gotowa?

Skinęła głową. Zacisnęła usta, łzy przestały płynąć. Pocięło mnie, że potrafiła być silna.

Wetknięcie psiakowi masła do pyska było jeszcze najłatwiejsze. Ale kiedy gomółka stanęła mu w gardle, opanował go paniczny strach, który szturmował moje opanowanie falami przerażenia. Nie miałem czasu na delikatność; siłą rozwarłem psu zęby. Miałem nadzieję, że nie wywichnę mu szczęki. Ale nawet gdyby... cóż, i tak miał przecież umrzeć. Obróciłem hak w gardle, a pies wił się, skowyczał i siusiał swojej pani na kolana. Natrafiłem na ość. Pociągnąłem, mocno, pewnie.

Pojawiła się na zewnątrz, unurzana w spienionej ślinie, żółci i krwi. Paskudna mała kostka; wcale nie rybia ość, lecz kostka z piersi ptaka. Rzuciłem ją na stół.

- Kości z drobiu też nie powinien dostawać - pouczyłem dziewczynę surowo.

Chyba w ogóle mnie nie usłyszała. Psiak sapał głośno na jej kolanach. Podsunąłem mu miskę z wodą. Powąchał, wychłptał trochę, po czym zwinął się w kłębek, kompletnie wyczerpany. Dziewczyna przycisnęła go do piersi, przytuliła twarz do kudłatego łebka.

- Chciałbym cię o coś prosić - zacząłem.

- Zrobię wszystko - dobiegł mnie głos stłumiony przez sierść. - Cokolwiek zechcesz.

- Przestań go karmić swoim jedzeniem. Teraz przez jakiś czas dawaj mu tylko czerwone mięso i gotowane ziarno. Dla psa tej wielkości - dziennie nie więcej niż się zmieści w twojej dłoni. I nie noś go wszędzie ze sobą. Niech biega, niech wzmocni trochę mięśnie i zetrze sobie pazury. Cuchnie mu sierść i ma przykry oddech, bo za dużo je. Jeśli nie posłuchasz moich rad, pożyje jeszcze rok, najwyżej dwa.

Poderwała się jak rażona gromem. Drobną dłoń uniosła bezwiednie do ust. Ten ruch, tak podobny do gestu, którym dotykała biżuterii przy obiedzie, nagle sprawił, że zdałem sobie sprawę, kogo besztam. Księżną Grację. I przeze mnie pies obsikał jej nocną koszulę.

Coś w wyrazie mojej twarzy musiało mnie zdradzić. Dziewczyna uśmiechnęła się rozpromieniona i mocniej przytuliła psiaka.

- Posłucham twoich rad, psiarczyku. A czego chcesz dla siebie? Czy nie poprosisz o nagrodę? Sądziła, że będę chciał pieniądze lub pierścień, może nawet miejsce wśród jej służby. Ja natomiast, z całą pewnością siebie, na jaką było mnie stać, utkwilem spojrzenie w jej źrenicach i rzekłem:

- Tak, o pani, mam prośbę. Zechciej ubłagać swojego małżonka, by obsadził wieżę na Wyspie Wartowniczej najlepszymi ludźmi i położył kres sporowi pomiędzy Księstwem Cypla i Księstwem Dębów.

- Co?

Jedno słowo powiedziało mi o niej więcej niż lata studiów. Takiej modulacji głosu nie nabyła jako księżna Gracja.

- Poproś swego małżonka, by właściwie obsadził wieżę. O to cię proszę.

- Dlaczego takie rzeczy obchodzą psiarczyka?

Jej pytanie było zbyt bezceremonialne. Gdzie książę Rozumny znalazł tę dziewczynę? Nie była wysoko urodzona ani bogata. Promienna radość, która rozjaśniła jej twarz, gdy rozpoznałem ją jako żonę władcy, oraz fakt, że przyniosła psa zawiniętego w koc tutaj, do kuchni, w której się czuła bezpiecznie, zdradzał poślednią dziewczynę wyniesioną zbyt szybko i zbyt wysoko nad poprzedni stan. Była samotna i brakło jej siły charakteru, nie miała

wiedzy, jakiej się po niej spodziewano. Co gorsza, zdawała sobie sprawę z własnej ignorancji i ta świadomość ją zżerała, zatruwała jej przyjemności życia jadem strachu. Jeśli się nie nauczy, jak być księżną, nim jej młodość przeminie, a uroda zblednie, będą ją czekały tylko lata samotności i ośmieszenia. Potrzebowała sekretnego mentora, kogoś takiego jak Cierń. Potrzebowała rady i pomocy, a ja mogłem jej pomóc, właśnie teraz. Ale musiałem działać ostrożnie, bo nie przyjęłaby rady od chłopca opiekującego się psami. Tylko pospolita dziewczyna mogłaby to zrobić, a jedyne, co na pewno wiedziała teraz o sobie, to że nie była już pospolitą dziewczyną, lecz księżną.

- Miałem sen - rzekłem nagle olśniony. - Bardzo wyraźny. Niczym widzenie. Lub może ostrzeżenie. Obudził mnie ten sen i poczułem, że muszę zejść do kuchni. - Popatrzyłem w dal natchnionym wzrokiem. Księżnej Gracji rozbłyły oczy. Miałem ją! - Śniłem o kobiecie, przemawiała mądrymi słowami i przemieniła trzech silnych mężczyzn w lity mur, którego nie mogli sforsować najeźdźcy ze szkarłatnych okrętów. Stała przed nimi, a w dłoniach miała klejnoty i rzekła: „Niech wieże strażnicze błyszczą jaśniej niż drogie kamienie w tych pierścieniach. Niech czujni żołnierze, którzy będą pełnić tam straż, opasają nasze wybrzeże, jak te perły okalały moją szyję. Niech warownie będą na nowo silne przeciw tym, którzy trapią nasz lud. Bowiem z radością będę się bez żadnych błyskotek ukazywała przed królem i przed swym ludem, jeśli tylko fortyfikacje, strzegące naszych poddanych, staną się klejnotami naszej ziemi”. I król, i jego książęta byli zdumieni mądrością jej serca i szlachetnym postępowaniem. A największą miłością obdarzył ją lud, gdyż wiedział, że władczyni kocha go bardziej niż srebro czy złoto.

Było to niezgrabne wystąpienie, nie tak mądrze powiedziane, jak być powinno. Wystarczyło jednak, by rozbudzić wyobraźnię księżnej. Już się domyślałem, jak widzi siebie stojącą dumnie przed następcą tronu i zadziwiająco go swoim poświęceniem. Wyczuwałem w niej gorące pragnienie, by się stać osobą znamienitą, żeby lud, z którego wyszła, mówił o niej z uwielbieniem. Może była kiedyś mleczarką albo dziewczką kuchenną i ci, którzy ją znali, nadal ją za taką uważali. A oto miała im pokazać, że była teraz księżną nie, tylko z tytułu. Książę Dorzecznym i jego świta zaniósł wieść o jej czynie do Księstwa Dębów. Minstrele będą w pieśniach wysławiali jej słowa. A zdumiony mąż niech ją postrzeże raczej jako kobietę dbającą o lud i kraj niż urokliwą osobkę, którą obdarzył tytułem. Prawie widziałem paradę myśli przepływających przez jej umysł. Księżna Gracja patrzyła gdzieś w dal, uśmiechnięta, rozmarzona.

- Dobrej nocy, chłopcze - rzekła cicho i wyszła z psem przyciśniętym do piersi. Koc na ramionach niosła, jak gdyby to był płaszcz z gronostajów. Doskonale odegra jutro swoją rolę. Uśmiechnąłem się nagle, gdyż przyszło mi do głowy, iż może właśnie wypełniłem swoją misję, nie używając trucizny. W zasadzie nie wyjaśniłem, czy książę Rozumny był winny zdrady, ale za to miałem uczucie, że zlikwidowałem źródło problemu. Mógłbym iść o zakład, że przed upływem tygodnia wszystkie wieże będą wyśmienicie obsadzone.

Podkradłem z kuchni bochen świeżego chleba i zaniósłem go strażnikom, którzy wpuścili mnie do sypialni księcia Szczerego. W jakiejś odległej części Strażnicy Zatoki wydzwoniło godzinę. Nie zwróciłem na to specjalnej uwagi. Z pełnym żołądkiem, rozmyślając o spektaklu, który księżna Gracja zaprezentuje nazajutrz, zagrzebałem się w pośłaniu. Zapadając w sen założyłem się jeszcze z samym sobą, że będzie ubrana w jakąś prostą białą suknię bez ozdób i że rozpuści włosy.

Nie dane mi było się o tym przekonać. Ledwie zasnąłem, a już obudziło mnie potrząsanie za ramię. Otworzyłem oczy i ujrzałem Powaba. Łagodny blask świecy rzucał na ściany komnaty długie cienie.

- Obudź się, Bastardzie - szeptał Powab ochryple. - Jest w warowni posłaniec od wielmożnej pani Tymianek. Już ci siodłają konia. Dama chce cię widzieć niezwłocznie.

- Mnie? - zapytałem głupio.

- Oczywiście. Naszykowałem ci ubranie. Odziej się jak najciszej. Książę Szczęry śpi.
- Do czego jestem jej potrzebny?
- Nie wiem. Może poczuła się niezdrowa. Goniec powiedział tylko, że dama chce cię widzieć natychmiast.

Byłem nieprzytomny z niewyspania, ale przecież nie miałem wyjścia. Nie wiedziałem, kim jest wielmożna pani Tymianek dla króla, jednak z pewnością była o wiele ważniejsza ode mnie. Nie ośmieliłbym się zlekceważyć jej rozkazu. Ubrałem się szybko przy blasku świecy i po raz drugi tamtej nocy opuściłem komnatę. Pomocnik czekał z Sadzą osiodlaną i gotową do drogi, a także paroma sprośnymi żartami na temat mojego wezwania. Burknąłem mu obraźliwie, jak ma się sam zabawiać przez resztę nocy, i odjechałem. Strażnicy w warowni i przy bramach fortyfikacji, uprzedzeni o rozkazie, odprawiali mnie machnięciem dłoni.

W mieście dwukrotnie skręciłem w niewłaściwą stronę. Nocą wszystko wyglądało inaczej, na dodatek wcześniej nie zwracałem szczególnej uwagi, dokąd jadę. W końcu jednak znalazłem się przed właściwymi drzwiami. Zaniepokojona gospodyni nie spała, w jej oknie błyszczało światło.

- Jęczy i woła po ciebie już dłużej niż godzinę, panie - odezwała się przestraszona. - Boję się, że to coś poważnego, ale nikogo innego nie chce wpuścić.

Pobiegłem korytarzem do pokoju wielmożnej pani Tymianek. Zapukałem delikatnie, podświadomie oczekując, że znajomy ostry głos każe mi się wynosić i przestać przeszkadzać. Zamiast tego usłyszałem drżące słowa:

- Och, Bastardzie, czy to nareszcie ty? Wchodź, chłopcze, wchodź, jesteś mi potrzebny.

Wzięłem głęboki oddech i wszedłem do pogrążonego w półmroku dusznego pokoju, wstrzymując oddech od mieszaniny zapachów, która zaatakowała moje nozdrza.

Odór śmierci jest chyba niewiele gorszy od tego - pomyślałem.

Ciężkie kotary zasłaniały łożo. Jedyne światło dochodziło od pojedynczej świecy skapującej do lichtarza. Wzięłem go w rękę i zbliżyłem się do łoża.

- Wielmożna pani Tymianek? Co się stało? - spytałem łagodnie.

- Podejdz, chłopcze. - Cichy głos dobiegł z ciemnego kąta. Nagle poczułem się kompletnym głupcem.

- Cierń!?

- Nie ma czasu na wyjaśnienia. Nie bądź zły, chłopcze. Wielmożna pani Tymianek zmyliła w swoim czasie wielu ludzi i robi to jeszcze niejednym razem. Przynajmniej taką mam nadzieję. Zaufaj mi i nie stawiaj pytań. Po prostu rób, co ci powiem. Przede wszystkim idź do gospodyni. Powiedz jej, że wielmożna pani Tymianek znowu miała atak choroby i musi odpocząć w ciszy przez kilka dni. Powiedz też, by jej pod żadnym pozorem nie przeszkadzano. Prawnuczka damy zjawi się tutaj, by się nią zająć.

- Kto...

- Wszystko zostało już ułożone. Prawnuczka będzie przynosiła jedzenie i co tam trzeba. Podkreśl tylko, że wielmożna pani Tymianek potrzebuje spokoju i żąda, by pozostawiono ją zupełnie samą. Idź już.

Poszedłem, a byłem tak wstrząśnięty, że wyglądałem bardzo przekonująco. Gospodyni przysięgła mi, iż nie pozwoli nikomu nawet zastukać do drzwi łaskawej pani, gdyż bardzo by nie chciała stracić dobrej opinii w jej oczach. Z czego wysnułem wniosek, że wielmożna pani Tymianek płaciła jej rzeczywiście szczerze.

Po moim powrocie Cierń zasunął skobel i zapalił nową świecę od mrugającego ogarka. Na stole rozpostarł niedużą mapę. Zauważyłem, że ma na sobie strój podróźny: płaszcz, długie buty, kaftan i spodnie - wszystko czarne. Wyglądał na zupełnie innego człowieka, nagle zupełnie zdrowszy i pełen energii. Ciekaw byłem, czy stary mężczyzna w znoszonej tunice to także była poza. Podniósł na mnie wzrok i przez chwilę mogłem przysiąc, że miałem przed oczyma księcia Szczęrego, żołnierza. Nie dał mi czasu na zadumę.

- Pomiedzy następcą tronu a księciem Rozumnym stanie się to, co ma się stać. Ty i ja mamy zajęcie gdzie indziej. Otrzymałem dziś w nocy wiadomość. Najeźdźcy ze szkarłatnych okrętów uderzyli tutaj, w osadę zwaną Kuźnia. Tak blisko Koziej Twierdzy, że to już gorzej niż zniewaga, to prawdziwe zagrożenie. Napad został przeprowadzony w czasie, gdy księżę Szczery przebywa w Strażnicy Zatoki. Nie uwierzę, że nie wiedzieli, iż on jest tutaj, daleko od stolicy. Ale to nie wszystko. Wzięli zakładników, zabrali ich ze sobą na statki. I wysłali ultimatum do samego króla Roztropnego. Żądają złota, chcą go bardzo wiele, a jeśli go nie dostaną, oddadzą zakładników.

- Chciałeś chyba powiedzieć, że ich nie oddadzą?

- Nie. - Cierń gniewnie potrząsnął głową. Wyglądał jak niedźwiedź rozjuszony przez osy. - Nie, przesłanie było zupełnie jasne. Jeśli zapłacimy złotem, wówczas ich zabiją. Jeśli nie, uwolnią. Posłańcem był mieszkaniec Kuźni, człowiek, którego żona i syn zostali pojmani. Podkreślał, że ultimatum to właściwie groźba.

- Nie widzę w tym żadnego problemu - prychnąłem.

- Na pierwszy rzut oka, ja także nie. Ale człowiek, który przywiózł wieści królowi Roztropnemu, mimo długiej podróży ciągle trzął się ze strachu. I nie potrafił owego żądania wytłumaczyć, nie umiał nawet ocenić, czy wolałby, żeby zapłacono okup, czy nie. Potrafił jedynie w kółko opowiadać, jak się uśmiechał kapitan statku, kiedy przedstawiał ultimatum, i jak inni najeźdźcy śmiali się z jego słów. Dlatego musimy się tam rozejrzeć, ty i ja. Teraz. Zanim król podejmie jakiegokolwiek oficjalne kroki, zanim księżę Szczery w ogóle o czymkolwiek się dowie. Teraz uważaj. To jest droga, którą przybyliśmy. Widzisz, jak wiernie powtarza zygzakowaną linię wybrzeża? A to jest szlak, którym pojedziemy teraz. Mniej kręty, ale o wiele bardziej stromy i miejscami bagnisty, dlatego niedostępny dla powozów. Ale znacznie szybszy dla jeźdźca w siodle. Tutaj czeka łódź; przecinając zatokę oszczędzimy wiele czasu. Ładujemy tutaj, na plaży, i ruszamy dalej do Kuźni.

Przyjrzałem się mapie. Kuźnia leżała na północ od Koziej Twierdzy; zastanowiłem się, ile czasu zajęło posłańcowi dotarcie do nas z niepokojącą wieścią i czy do chwili, gdy my się tam znajdziemy, groźba najeźdźców ze szkarłatnych okrętów nie zostanie już spełniona. Ale nie było sensu tracić cennych chwil na takie rozważania.

- Co z koniem dla ciebie?

- Wszystko gotowe. Zadbał o to ten, który przywiózł wieści. Przed gospodą stoi gniadosz z trzema białymi pęcunami. To dla mnie. Posłaniec przyprowadzi prawnuczkę wielmożnej pani Tymianek. Łódź czeka. Chodźmy.

- Jeszcze jedno - powiedziałem i zignorowałem jego kwaśną minę. - Muszę o to zapytać. Cierń, czy jesteś tutaj dlatego, że nie masz do mnie zaufania?

- Szczere pytanie. Nie. Przybyłem, żeby się zorientować, co ludzie gadają, przysłuchać się plotkom w mieście, podczas kiedy ty łowiłeś je w zamku. Modystki i sprzedawcy guzików mogą wiedzieć więcej niż królewski doradca, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. No dobrze, jedziemy?

Wymknęliśmy się bocznym wejściem. Gniadosz czekał uwiązany na postronku. Sadza nie zwracała na niego specjalnej uwagi, ale ona w ogóle była dobrze ułożona. Wyczuwałem zniecierpliwienie Ciernia, lecz dopóki nie zostawiliśmy za sobą brukowanych ulic miasta, prowadził konie wolnym krokiem. Gdy wreszcie światła zniknęły za nami, ruszyliśmy galopem. Cierń prowadził, a ja nie mogłem się nadziwić, jak świetnie jechał konno i jak bez trudu odnajdywał drogę w ciemności. Sadzy nie podobała się ta pośpieszna nocna podróż. Gdyby nie księżyc bliski pełni, pewnie bym nie zdołał jej przekonać, by dotrzymała kroku gniadoszowi.

Nigdy nie zapomnę tej nocnej jazdy. Nie dlatego że był to dziki cwał na ratunek, bo nie był. Cierń prowadził nas rozważnie i wykorzystywał siłę koni, jakby były one pionami na planszy. Nie grał szybko, lecz po to, by wygrać. Zdarzało się więc, że pozwalaliśmy wierzchowcom

iść wolno, dając im wytchnienie, a były w naszej podróży nawet i takie momenty, gdy zsiadaliśmy z koni, by przeprowadzić je bezpiecznie przez zdradzieckie miejsca.

Kiedy ranek pociągnął niebo szarością, stanęliśmy na popas, by się pokrzepić jadłem z juków przy siodle gniadosza. Byliśmy na szczycie wzgórza w lesie tak gęstym, że niebo nad nami ledwie prześwitywało przez gałęzie. Nie mogłem dojrzeć oceanu, lecz czułem jego zapach i słyszałem szum fal. Wokół nas pulsowało życie. Między gałęziami nawoływały się ptaki, krzątały gryzonie i małe drapieżniki w poszyciu. Cierń przeciągnął się, po czym usiadł na gęstym mchu, oparty plecami o drzewo. Pociągnął solidny łyk ze skórzanej sakwy na wodę, a potem krótszy z flaszki okowity. Wyglądał na zmęczonego, światło dnia bezlitośnie obnażyło jego starość. Zastanawiałem się, czy wytrzyma dalszą forsowną jazdę.

- Nic mi nie będzie - rzekł pochwycawszy moje spojrzenie. - Miewałem już do spełnienia bardziej męczące obowiązki i mniej czasu na sen. Będziemy mieli pięć czy sześć godzin odpoczynku na łodzi, jeśli przeprawa przez zatokę odbędzie się bez przeszkód. Nie ma więc potrzeby teraz tęsknić za snem. Ruszajmy, chłopcze.

Jakieś dwie godziny później dróżka się rozwidliła i wjechaliśmy w mroczniejszy las. Niezadługo leżałem na szyi Sadzy, żeby uniknąć chłostania przez niższe gałęzie. Pod drzewami ziemia była błotnista. Niezliczone muchy cięły konie i wpełzały nam pod ubranie, by ucztować na gołym ciele. Tak wiele ich było, że kiedy w końcu zebrałem się na odwagę, by zapytać Ciernia, czy nie zgubiliśmy drogi, mało się nie zadławiłem tymi, które wtargnęły mi do ust.

Około południa dotarliśmy na bardziej odsłonięte zbocze, wystawione na wiatr. Teraz ujrzałem ocean. Bryza schłodziła spocone konie i przepędziła insekty. Ogromną przyjemność sprawiło mi zwykłe siedzenie prosto w siodle. Szlak był na tyle szeroki, że mogłem jechać obok Ciernia.

Sine blizny wystąpiły ostro na jego bladej skórze; wyglądał na bardziej bezkrwistego niż błazen. Pod oczyma miał ciemne półkola. Dostrzegł, że mu się przyglądam, i zmarszczył brwi.

- Opowiadaj, zamiast gapić się na mnie jak głupiec - rozkazał zwięźle.

Słuchał ze szczerym zdumieniem. Kiedy skończyłem zdawać raport, z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Szczęściarz. Taki sam z ciebie szczęściarz, jak i z twojego ojca. Twoja kuchenna dyplomacja może w zupełności wystarczyć, by całkowicie zmienić sytuację, jeśli nie chodziło w tej sprawie o nic innego poza tym, co odkryłeś. Plotki, które zasłyszałem, raczej to potwierdzają. Dobrze. Książę Rozumny był dotąd dobrym władcą i najwyraźniej zmieniła go żona; ta młódka przesłoniła mu cały świat. - Westchnął nagle. - Szczerzy niepotrzebnie go zbeszta za złe obsadzenie wież. I jeszcze będzie musiał długo wracać do domu. A niech to! Tylu rzeczy nie wiemy. Jakim sposobem najeźdźcy mijają nasze posterunki nie zauważeni? Skąd wiedzieli, że następcą tronu opuścił stolicę i wybrał się do Strażnicy Zatoki? A może nie wiedzieli? Może tylko los się do nich uśmiechnął? I cóż oznacza to dziwne ultimatum? Czy to groźba, czy kpina?

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu.

- Chciałbym znać zamierzenia króla - podjął Cierń. - Kiedy wysyłał do mnie umyślnego, jeszcze nie podjął decyzji. Może być i tak, że dotrzemy do Kuźni, by się dowiedzieć, że wszystko zostało już ustalone. I jeszcze chciałbym wiedzieć, jakie dokładnie wieści król przesłał Mocą do księcia Szczerego. Powiadają, że w dawnych czasach, kiedy więcej ludzi ćwiczyło się w korzystaniu z Mocy, żołnierz mógł poznać myśli swojego wodza po prostu będąc cicho i słuchając rozkazu. Choć może to tylko legenda. Teraz już niewiele ćwiczy się we władaniu tym talentem. Chyba król Szczodry podjął decyzję, by uczynić z Mocy talent bardziej tajemny, elitarny, a więc cenniejszy. Nigdy nie potrafiłem tego pojąć. Co by o tym powiedzieli dobrzy łucznicy albo nawigatorzy? Domyślam się, że aura tajemniczości miała

zapewnić wodzom większy szacunek wśród pospólstwa... Albo człowiek taki jak król Roztropny; jemu by się podobało, że poddani nie mieliby pewności, czy rzeczywiście może on wiedzieć, co myślą, choć nie mówią ani słowa. Tak, to by przemówiło do Roztropnego, to tak.

Z początku zdawało mi się, iż Cierń jest mocno zaniepokojony, a nawet zły. Nigdy nie słyszałem, żeby tyle i tak chaotycznie mówił na jeden temat. Gdy w pewnym momencie jego koń spłoszył się na widok jaszczurki, która przebiegła mu drogę, Cierń o mało nie wypadł z siodła. Chwyciłem jego wodze.

- Co ci jest? Co się dzieje? Wolno pokręcił głową.

- Nic. Kiedy dotrzemy do łodzi, nic mi nie będzie. Musimy po prostu jechać. Już niedaleko.

Jego błada skóra poszarzała, niepewnie kołysał się w siodle przy każdym kroku konia.

- Odpocznijmy trochę - zaproponowałem.

- Pływy nie będą czekać. A odpoczynek nic mi nie pomoże, nie taki, którego mógłbym zażyć zamartwiając się, czy nasza łódź nie wpadnie na skały. Nie. Musimy po prostu jechać. - Po chwili dodał jeszcze: - Zaufaj mi, chłopcze. Wiem, na ile mnie stać, i nie jestem na tyle szalony, by się porywać na więcej.

Jechaliśmy więc dalej, ale trzymałem się tuż przy łbie jego konia, żeby móc w razie potrzeby chwycić wodze. Pomruk oceanu stawał się coraz głośniejszy, a trakt coraz bardziej stromy. Wkrótce tak czy inaczej zacząłem prowadzić.

Wyjechaliśmy z zarośli prosto na brzeg przepaści. Szeroka, nieomal prostopadła ściana opadała ku piaszczystej plaży.

- Co za ulga, są tam - mruknął za mną Cierń i wtedy ujrzałem zwykłą płaskodenną drewnianą łódź, zakotwiczoną tuż koło przylądka. Człowiek na wachcie zawołał do nas i zamachał czapką w powietrzu. W odpowiedzi uniosłem rękę na powitanie.

Dotarliśmy na dół, bardziej ześlizgując się niż jadąc, a wówczas Cierń natychmiast wszedł na pokład. Zostałem sam z końmi. Żaden nie zamierzał z własnej woli wchodzić między fale, a co dopiero przekroczyć niską burtę i wejść na pokład. Próbowałem sięgnąć do ich umysłów, dać im znać, czego od nich oczekuję. Po raz pierwszy w życiu byłem na to po prostu zbyt zmęczony. Nie mogłem się z nimi porozumieć. Dlatego też trzeba było trzech marynarzy, klnących na czym świat stoi, zanim w końcu wierzchowce znalazły się na pokładzie, a i tak jeszcze dwa razy wylądowałem pod wodą. Każdy skrawek skórzanych uprzęży i każda sprzączka były zmoczone słoną wodą.

„Jak ja to wytłumaczyć Brusowi?” - Tylko o tym byłem w stanie myśleć, gdy marynarze zgięli grzbiety nad wiosłami, by wyprowadzić łódź na głębszą wodę.

10

ROZWIĄZANIE

Czas i pływy nie czekają na nikogo. Tak twierdzi dawne przysłowie. Żeglarze i rybacy rozumieją je dosłownie: od oceanu, a nie od ludzkiej wygody zależy, kiedy łódź może wypłynąć na wodę. Czasem jednak, gdy leżę, czując iż napar ukoił najgorszy ból, głęboko się nad tym zastanawiam. Pływy nie czekają na nikogo, to z całą pewnością prawda. Ale czas? Czy czasy, w których przyszedłem na świat, czekały na moje narodziny? Czy wypadki zazębiają się niczym wielkie drewniane tryby zegara Proroczego, czy zrosnięte są z moim poczuciem i sterują moim życiem? Nie mam pretensji do wielkości. A jednak, gdybym się nie narodził, gdyby moi rodzice nie ulegli przyptywowi pożądania, tak wiele zdarzeń potoczyłoby

się inaczej. Tak wiele. Czy lepiej? Nie sędzę. Po chwili zadaje sobie pytanie, czy te myśli są moje własne, czy też rodzi je napar płynący w moich żyłach. Byłoby miło uzyskać poradę od Ciernia, ten jeden ostatni raz.

* * *

Słońce przetoczyło się już po niebie ku późnemu popołudniu, kiedy obudziło mnie szturchnięcie w bok.

- Twój pan chce cię zobaczyć.

Krażące nad głową mewy, świeże morskie powietrze oraz dostojne kołysanie łodzi przypomniały mi, gdzie się znajdowałem. Zerwałem się na równe nogi. Wstyd mi było, że usnąłem, nie zatroszczywszy się o wygodę Ciernia. Pośpieszyłem na tył, do sterówki.

Tam ujrzałem Ciernia, który objął w posiadanie mały stolik. Zamyślony wpatrywał się w mapę, ale moją uwagę przyciągnęła wielka waza zupy rybnej. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, jaki jestem głodny. Cierń gestem zaprosił mnie do jedzenia, nie odrywając uwagi od mapy, a ja skorzystałem z radością. Do zupy był suchy chleb i kwaśne czerwone wino. Najadłem się do syta, wytarłem miskę kawałkiem chleba.

- Lepiej się czujesz? - spytał mnie Cierń.

- Dużo lepiej - odparłem. - A ty?

- Lepiej. - Znów patrzył na mnie tym znajomym spojrzeniem sokoła. Ku mojej uldze najwyraźniej całkowicie odzyskał siły, Odstawił na bok moją miskę i podsunął mi mapę. - Wieczorem znajdziemy się tutaj. Zejście z łodzi będzie znacznie gorsze niż wejście na pokład. Jeśli dopisze nam szczęście, trafi się sprzyjający wiatr. Jeśli nie, stracimy najlepszy pływ i prąd będzie za silny, by dało się dopłynąć blisko brzegu. Może się skończyć tym, że z łodzi na brzeg trzeba będzie płynąć czołnem, a konie prowadzić wplaw. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale na wszelki wypadek bądź gotów. Kiedy znajdziemy się na lądzie...

- Czuć od ciebie nasiona kopytnika - powiedziałem z niebotycznym zdumieniem.

Wyraźnie czułem w jego oddechu znajomą słodką woń oliwy z tych nasion. W czasie obchodów wiosennego Święta Radości jadałem posypane nimi ciasto i znałem oszałamiającą energię, którą wyzwalały w człowieku. Wszyscy je jedli. Wszyscy świętowali w ten sposób nadejście wiosny. Raz do roku, cóż to może zaszkodzić? Ale Brus ostrzegwał mnie, by nigdy, pod żadnym pozorem nie kupować konia, od którego czuć nasiona kopytnika. I ostrzegwał mnie także, iż jeśli kiedykolwiek złapie kogoś na dodawaniu oliwy z tych nasion do obroku, osobiście tego człowieka zabije. Gołymi rękoma.

- Doprawdy? No proszę, proszę... Hm, jeśli będziesz musiał płynąć z końmi, zapakujesz swoją koszulę i płaszcz w skórzany worek i dasz mi na czołno. Przynajmniej to będziesz miał suche, kiedy dotrzemy na plażę. Dalej nasza droga będzie...

- Brus mówi, że jeśli raz dasz te nasiona zwierzęciu, nigdy już nie będzie takie samo. Wyczyniają z końmi różne rzeczy. Mówi, że możesz ich użyć, żeby wygrać wyścig albo w pościgu za rogaczem, ale potem zwierzę nigdy już nie będzie takie jak wcześniej. Mówi, że nieuczciwi handlarze dają je zwierzęciu, żeby się dobrze prezentowało na targu; żeby tańczyło w miejscu i miało ogień w oczach, ale to szybko mija. Koń zapomina o zmęczeniu i może iść dalej, ale potem zdechnie z wyczerpania. Brus powiedział mi, że czasami, kiedy działanie oliwy z nasion kopytnika się skończy, koń po prostu pada w miejscu w pół kroku - słowa płynęły z moich ust jak zimna woda po kamieniach.

Cierń podniósł wzrok znad mapy.

- Zadziwiające, ile to Brus wie na temat nasion kopytnika. Cieszę się, że go uważnie słuchałeś. A teraz może zechcesz być tak uprzejmy i poświęcić mi równie dużo uwagi, byśmy mogli zaplanować następny etap podróży.

- Cierń, ale...

Nie dał mi dokończyć.

- Brus jest doskonałym znawcą koni. Już jako chłopiec był bardzo obiecujący. Rzadko się myli... mówiąc o koniach. A teraz uważaj na moje słowa. Żeby wydostać się z plaży na klif, będzie nam potrzebna latarnia. Ścieżka jest bardzo wąska i stroma, może będziemy musieli prowadzić konie pojedynczo. Ale powiedziano mi, że to wykonalne. Stamtąd jedziemy na przełaj do Kuźni. Nie ma drogi, która by nas zawiodła do miasta odpowiednio szybko. To górzysta kraina, ale nie zalesiona. I będziemy podróżowali nocą, więc gwiazdy wskażą nam drogę. Mam nadzieję dotrzeć do Kuźni przed południem. Zjawimy się tam jako zwykli podróżni. Tyle zdecydowałem do tej pory; resztę będziemy musieli planować z godziny na godzinę...

I tak oto moment, gdy mogłem go zapytać, jak to się dzieje, że używa tych nasion i nie umiera, minął zepchnięty na bok przez pedantyczne plany i precyzyjne ustalenia. Cierń pouczył mnie co do szczegółów, a potem odesłał mówiąc, że musi poczynić jeszcze inne przygotowania, a ja mógłbym w tym czasie zajrzeć do koni i - jeśli zdołam - jeszcze trochę odpocząć.

Konie umieszczono w przedniej części łodzi i zagrodzono liną. Słoma spod ich kopyt i łajno zaśmiecały pokład. Marynarz o skwaszonej minie naprawiał fragment relingu, który Sadza uszkodziła przy wprowadzaniu. Nie wydawał się usposobiony do rozmowy, a konie stały spokojne. Przez chwilę wałęsałem się po łodzi. Była nieduża i schludna, podobna do małego statku handlowego kursującego między wyspami. Płaskie dno zapewne pozwalało jej bez trudu wpływać w koryta rzek albo na plaże, lecz na głębszej wodzie kołysała się na boki, tu nabrała wody, tam dygnęła - niczym obciążona pakunkami chłopka przepychająca się przez tłum na zatłoczonym targu. Najwyraźniej byliśmy jedynym ładunkiem. Któryś marynarz dał mi dwa jabłka dla koni. Ten także nie był rozmowny, więc kiedy już rozdzieliłem owoce, usadziłem się w pobliżu na słomie i postanowiłem - korzystając z rady Ciernia - jeszcze odpocząć.

Wiatry były nam przychylne i kapitan doprowadził łódź jak najbliżej mrocznego klifu, lecz wyładowanie koni nadal pozostało niewdzięcznym zadaniem. Wszystkie nauki i ostrzeżenia Ciernia nie przygotowały mnie na smolistą czerń nocy na wodzie. Latarnie pokładowe dawały żaloszny efekt, bardziej mając wzrok cieniami, niż pomagając słabym światłem. Cierń wraz z jednym z marynarzy popłynął do nabrzeża w czółnie, a ja znalazłem się razem z opornymi końmi za burta, bo wiedziałem, że Sadza będzie szarpała linę i może zatopić czółno, gdybym postanowił w nim płynąć. Przywarłem do niej całym ciałem i dodawałem odwagi, wierząc, że zdrowy rozsądek zaprowadzi ją ku nikłemu blaskowi latarni na brzegu. Gniadosza Ciernia trzymałem na długiej linie, bo nie chciałem, by walczył z falami zbyt blisko nas. Morze było zimne, noc ciemna i gdybym miał trochę rozumu, życzyłbym sobie być gdziekolwiek indziej. Jednak jak każdy młody chłopiec w trudnościach i niewygodach widziałem osobiste wyzwanie i przygodę.

Wyszedłem na brzeg ociekający wodą, zziębnięty i radosny. Trzymałem wodze Sadzy i starałem się udobruchać konia Ciernia. Zanim opanowałem oba wierzchowce, Cierń znalazł się obok mnie, z latarnią w dłoni, triumfująco roześmiany. Marynarz w czółnie był już daleko, wracał do łodzi. Włożyłem suche ubranie, ale i tak szczękałem zębami z zimna.

- Gdzie jest ścieżka? - zapytałem przytupując dla rozgrzewki.

- Ścieżka? - prychnął Cierń kpiąco. - Rozejrzałem się trochę, kiedy wyciągałeś konie z wody. To nie ścieżka, tylko uskok, którym woda spływa z klifu. Ale będzie nam musiał wystarczyć. Podejście było wąskie, strome i wysypane luźnym żwirem. Cierń z latarnią ruszył przodem. Ja za nim prowadziłem oba konie. W pewnym miejscu gniadosz spłoszył się i pociągnął do tyłu. Wytrącił mnie z równowagi. Niewiele brakowało, a byłby przewrócił Sadzę, gdyż ciągnęła w przeciwną stronę. Dopóki nie znaleźliśmy się na szczycie klifu, miałem serce w gardle.

Potem rozpostarła się przed nami noc i faliste wzgórze, a nad naszymi głowami księżyc żeglował po niebie gęsto usianym gwiazdami. Znowu opanowała mnie żądza przygody. Cierń oczy miał wielkie i błyszczące nawet w świetle latarni, a jego energia, choć nienaturalna, była zaraźliwa. Nawet konie zdawały się podniecone; parskały i rzucały łbami. Obaj śmialiśmy się jak obłąkani. Cierń, zakładając uprząże, spojrzął w gwiazdy, potem na zbocze wzgórza, które chyliło się przed nami. Z bez troską pogardą odrzucił latarnię.

- W drogę! - obwieścił nocy i spał gniadosza piętami. Koń wyprysnął naprzód. Sadza nie była gorsza i w ten sposób dokonałem tego, na co nigdy wcześniej się nie ważyłem; cwałowałem nocą po nieznanym terenie. Cud prawdziwy, że żaden z nas nie skręcił karku. Ale tak to już jest; niekiedy szczęście sprzyja dzieciom i szaleńcom.

Cierń prowadził. Tej nocy odnalazłem jeszcze jeden kawałek łamigłówni, jaką zawsze był dla mnie Brus. Poznałem dziwny spokój oddania swego losu w czyjeś ręce, powiedzenia komuś: „Ty prowadź, a ja pójdę za tobą i będę całkowicie ufał, że nie powiesz mi ku śmierci ani krzywdzie”. Gdy ostro popędzaliśmy konie, a Cierń odnajdywał drogę według mapy nocnego nieba, nie myślałem o tym, co się z nami stanie, jeśli zjemy z obranego kierunku lub jeśli koń się poślizgnie. Nie czułem odpowiedzialności za własne czyny. Nagle wszystko było łatwe i proste. Robiłem, co kazał mi Cierń, i ufałem mu bezgranicznie. Mój duch unosił się wysoko na grzbiecie fali tej wiary i nagle zrozumiałem: oto co Brus otrzymywał od księcia Rycerskiego i czego mu teraz tak przeraźliwie brakowało.

Jechaliśmy całą noc. Niekiedy Cierń dawał wytchnąć koniom, ale nie tak często, jak robiłby to Brus. Kilka razy zatrzymał się, by zmierzyć wzrokiem nocne niebo, a potem horyzont.

- Widzisz tamto wzniesienie na tle gwiazd? Niezbyt wyraźne, ale ja je znam. Przy świetle dziennym wygląda jak czapka handlarza masłem. Nazywają je Wzgórzem Odurzenia. Będziemy się trzymać na wschód od niego. Jedziemy.

Innym razem przystanął na szczycie pagórka. Zatrzymałem Sadzę tuż za gniadoszem. Cierń siedział nieruchomo jak kamienny posąg. Po dłuższej chwili wyciągnął ramię i wskazał coś drżącą lekko dłonią.

- Widzisz ten parów? Zboczyliśmy trochę za bardzo na wschód.

Parów był dla mnie praktycznie niewidoczny, stanowił jedynie ciemniejszą szramę w czarnym krajobrazie pod gwiazdami. Dziwiłem się, skąd Cierń tak dobrze zna teren. Jakies pół godziny później wskazał na lewo, na wyniesienie, gdzie błyszczało pojedyncze światło.

- Ktoś już nie śpi w Wełnianym Schronieniu. Pewnie piekarz, szykuje bułki na rano. - Obrócił się do mnie w siodle, wyczułem, że się uśmiecha. - Urodziłem się niedaleko stąd. Ruszajmy w drogę, chłopcze. Nie w smak mi myśl o najeźdźcach ze szkarłatnych okrętów tak blisko Wełnianego Schronienia.

Pojechaliśmy dalej, w dół zbocza tak stromego, że Sadza bardziej zjeżdżała na kopytach, niż schodziła.

Nim ponownie wyczułem zapach morza, świt powlókł niebo szarością. Ciągle jeszcze było bardzo wcześnie, gdy wspieliśmy się na kolejne wzniesienie i spojrzeliśmy w dół, a przed naszymi oczyma rozpostarła się niewielka miejscowość, zwana Kuźnią. Kotwiczyć można tu było tylko podczas wysokiego przyływu. Zazwyczaj statki cumowały dalej, a komunikację z brzegiem utrzymywały czółna i szalupy. Nie była to szczególnie zamożna osada. Całe bogactwo, dzięki któremu w ogóle umieszczano ją na mapach, stanowiła ruda żelaza. Nie oczekiwałem widoku gwarne miasta. Ale nie byłem też przygotowany na kolumny dymu wznoszące się z poczeriałych, spalonych domów. Skądś dobiegał ryk nie wydojonej krowy. Przy brzegu stało kilka podziurawionych łódek; ich maszty sterczały niczym martwe drzewa. Ranek spoglądał na puste ulice.

- Gdzie są ludzie? - zastanowiłem się głośno.

- Zabici, wzięci do niewoli albo ukryci w lesie. - W głosie Ciernia słychać było napięcie, byłem zdumiony ogromem bólu, jaki ujrzałem na jego twarzy.

Dostrzegł, że mu się przyglądam, wzruszył ramionami.

- Uczucie, że ci ludzie są twymi ziomkami, że ich nieszczęście jest twoją klęską... Przyjdzie to i do ciebie, z wiekiem. To się ma we krwi. - Pozwolił mi się nad tym zastanowić, po czym łagodnie popędził znużonego wierzchowca. Ruszyliśmy w dół zbocza, do miasteczka.

Wolniejsze tempo wydawało się jedynym środkiem ostrożności, jaki podjął Cierń. Byliśmy we dwóch, bez broni, i na zmęczonych koniach wjeżdżaliśmy do miasta, gdzie...

- Statek już odpłynął, chłopcze. Szkarłatny okręt nie ruszy się bez kompletu członów. Nie przy takich prądach jak na tym kawałku wybrzeża. Co odsłania nam jeszcze jedną niewiadomą. Skąd piraci znają nasze pływy i prądy wystarczająco dobrze, by tutaj dokonać napadu? Dlaczego w ogóle zaatakowali to miasteczko? Żeby zdobyć rudę żelaza? Łatwiej było ją ukraść ze statku handlowego. To nie ma sensu, chłopcze. To w ogóle nie ma sensu.

Nocą opadła ciężka rosa. W mieście podniósł się swąd spalenizny. Tu i ówdzie jakiś dom jeszcze się tlił. Na ulicy poniewierały się różne przedmioty, ale nie potrafiłem odgadnąć, czy wyciągnęli je z domów mieszkańcy, próbując ratować dobytek, czy też najeźdźcy zaczęli wynosić zdobycz, a potem zmienili zdanie. Pozbawione wieka pudełko na sól, kilka łokci zielonej tkaniny, but, połamane krzesło - rzeczy te niemo, lecz wyraziście opowiadały o wszystkim, co było znajome i bezpieczne, a zostało na zawsze zniszczone i wdeptane w błoto. Przeszedł mnie dreszcz zgrozy.

- Spóźniliśmy się - rzekł Cierń cicho. Zatrzymał konia, Sadza także stanęła.

- Co? - zapytałem głupio, wyrwany z zamyślenia.

- Oddali zakładników.

- Gdzie są?

Cierń spojrzał na mnie z niedowierzaniem, jak gdybym był niezdrów albo niespełna rozumu.

- Tam. W ruinach.

Trudno wytłumaczyć, co się ze mną w tamtej chwili stało. Wydarzyło się tak wiele, a wszystko naraz. Podniosłem wzrok i ujrzałem grupę ludzi, skupionych w wypalanej skorupie jakiegoś składu. Pomrukiwali coś, przeszukując zgliszcza. Byli obszarpani, prawie nadzy. Na moich oczach dwie kobiety równocześnie chwyciły spory kociołek i zaczęły go sobie wrywać. Przypominały mi dwa kruki walczące nad kawałem sera. Wyły, okładały się pięściami i obrzucały najgorszymi obelgami. Pozostali, zajęci własnymi łupami, nie zwracali na nie najmniejszej uwagi.

Było to bardzo dziwne zachowanie. Zawsze słyszałem, że po napaści najeźdźców ze szkarłatnych okrętów mieszkańcy działali wspólnie; razem oczyszczali i doprowadzali do użytku ocalałe budynki, a potem ratowali dobytek, dzieląc się nim i pomagając sobie jak bracia, aż zdołali odbudować domy i składy. Ci ludzie natomiast wydawali się kompletnie zobojętniali na to, że stracili nieomal wszystko, że ich rodziny i przyjaciele zginęli w czasie napadu. Walczyli o nędzne resztki.

Już ta świadomość była dla mnie przerażająca. W dodatku ich nie wyczułem.

Nie widziałem tych ludzi ani nie słyszałem, dopóki Cierń mi ich nie wskazał. Przejechałbym obok nich. W tamtej chwili zdałem sobie sprawę, że różnię się od innych ludzi. Dość sobie wyobrazić zwykłe zdrowe dziecko dorastające w mieście ślepców, gdzie nikt poza nim nawet nie podejrzewa możliwości istnienia zmysłu wzroku. Takie dziecko nie znałoby słów na określenie kolorów czy stopnia natężenia światła. A inni nie mieliby pojęcia, w jaki sposób odbiera ono świat. I tak właśnie odmienny się czułem, gdy z końskiego grzbietu patrzyłem na tamtych ludzi.

- Co się z nimi dzieje? Co im się stało? - zdumiewał się Cierń kompletnie przybity.

Ja wiedziałem.

Wszystkie ciepłe uczucia: miłość między matką i dzieckiem, mężczyzną i kobietą, przyjaźń, którą obdarza się rodzinę i sąsiadów, sympatia dla szczeniaków i innych zwierząt, którymi się

opiekujemy, a nawet dla ryb morskich czy ptaków na niebie - wszystkie ludzkie uczucia zniknęły.

Przez całe życie byłem, nawet o tym nie wiedząc, zależny od tych emocjonalnych więzi; one dawały mi znać, że w pobliżu pojawiała się inna istota. Psy, konie, nawet kurczaki emanowały uczucia. A także wszyscy ludzie. To dlatego podnosiłem wzrok na drzwi, zanim Brus się w nich pojawił, albo wiedziałem, że jest w nowym miocie jeszcze jeden szczeniak, zupełnie zagrzebany w słomie. Dlatego się budziłem, gdy Cierń otwierał drzwi prowadzące na schody. Wyczuwałem obecność innych żywych istot. I był to zmysł najpierwotniejszy, czulszy od wzroku, słuchu i węchu.

A mieszkańcy Kuźni nie emanowali żadnych uczuć. Byli dla mnie jak sucha woda bez ciężaru. Obdarci z tego, co czyniło ich nie tylko ludźmi, ale nawet żywymi istotami. Patrzyłem na nich jak na ruchome kamienie walczące, kłócące się i urągające jeden drugiemu. Mała dziewczynka, znalazłszy słoje, wsadziła dłoń do środka, wyciągnęła pełną garść konfitur i zaczęła zajadać. Spozregł to rosły mężczyzna, odwrócił się od nadpalonej beli tkaniny i zabrał dziecku słoik, nie bacząc na gniewne krzyki. Nikt mu nie przeszkodził.

Pochyliłem się i chwyciłem wodze gniadosza, w chwili gdy Cierń zamierzał z niego zsiąść. Bezgłośnie krzyknąłem do Sadzy, mój strach dodał jej skrzydeł. Choć taka zmęczona, skoczyła do przodu; gniadosz, szarpnięty wodzami, ruszył z kopyta. Cierń omal nie wypadł z siodła, ale w ostatnim momencie uchwycił się końskiej grzywy. Pełnym galopem wywiodłem nas z martwego miasta. Słyszałem za nami krzyki, zimniejsze niż wycie wilków, lodowate niczym sztormowy wiatr w kominie, lecz my byliśmy na koniach i gnało nas moje przerażenie. Nie zwolniłem ani nie oddałem Cierniowi wodzy, póki domy nie zostały daleko za nami. Za zakrętem drogi, przy małym lasku, wreszcie stanęliśmy. Do tamtej chwili chyba nawet nie słyszałem gniewnych krzyków i pytań Ciernia.

Nie otrzymałem spójnych wyjaśnień. Przytuliłem się do Sadzy i objąłem ją za szyję. Czułem zmęczenie klaczy i drżenie własnego ciała. Niejasno rozumiałem, że zwierzę podziela mój niepokój. Pomyślałem o pustych ludziach, którzy zostali w Kuźni, i ścisnąłem Sadzę kolanami. Postąpiła naprzód, a za nią gniadosz. W ustach miałem sucho, głos mi drżał. Nie patrząc na Ciernia, urywanymi zdaniem próbowałem wyjaśnić, co czułem.

Kiedy ucichłem, konie nadal wolno szły gruntową drogą. Zebrałem się na odwagę i spojrzałem na Ciernia. Patrzył ze zdumieniem, jakby mi nagle wyrosły rogi. Czułem jego sceptycyzm. I czułem także, iż odsunął się ode mnie trochę, tylko odrobinę, w odruchowej rezerwie w stosunku do kogoś, kto niespodziewanie stał się obcy. Zabolalo mnie to tym mocniej, że nie przejawiał podobnych uczuć w stosunku do ludzi w Kuźni. Choć byli sto razy bardziej obcy niż ja.

- Oni są jak marionetki - odezwałem się do Ciernia. - Jak kawałki drewna poruszane cudzą wolą. Gdyby nas zobaczyli, zabiliby bez chwili wahania: dla koni, płaszczy albo kawałka chleba. Oni... - Szukałem słów. - Oni już nawet nie są zwierzętami. Nic z nich nie emanuje. Nic. Są jak przedmioty, jak rząd ksiąg albo skały, albo...

- Chłopcze, musisz się wziąć w garść. - Cierń był delikatny, ale i strapiony. - Mamy za sobą długą i trudną noc, jesteś zmęczony. Za mało spałeś, umysł płata ci figle, zacznasz śnić na jawie i...

- Nie. - Byłem zdecydowany go przekonać. - To nie tak. To nie brak snu.

- Wrócimy tam. - Próbował mnie nakłonić do racjonalnego zachowania. Poranna bryza zawirowała jego ciemnym płaszczem. Jakim cudem mogą w jednym świecie istnieć stworzenia podobne tym w miasteczku oraz zwykła poranna bryza? I Cierń mówiący tak spokojnie i takim pewnym tonem? - To zwyczajni ludzie, chłopcze, tylko mają za sobą straszne przeżycia i dlatego dziwnie się zachowują. Znałem dziewczynę, która widziała, jak niedźwiedź zabił jej ojca. Była taka jak oni. Patrzyła tępo w dal i coś mamrotała, prawie się

nie ruszała, nawet nie dbała o siebie. Trwało to ponad miesiąc. Ci ludzie także wydobrzeją, gdy wrócą do normalnego życia.

- Ktoś jest przed nami! - ostrzegłem. Nic nie słyszałem ani nie widziałem, poczułem jedynie owo drgnięcie pajęczyny mojego dopiero co odkrytego zmysłu. Zorientowaliśmy się, że dojeżdżamy do ogona procesji obszarpanych ludzi. Jedni prowadzili juczne zwierzęta, inni pchali lub ciągnęli wozy obładowane dobytkiem. Zerkali nad ramieniem na nas i nasze konie, jakbyśmy byli demonami powstałymi z ziemi, by rzucić się za nimi w pogoń.

- Ospiarz! - wrzasnął mężczyzna idący na samym końcu i wskazał nas wyciągniętą ręką. Jego wykrzywiona zmęczeniem twarz pobieleła ze strachu. Głos mu się załamywał. - Legenda żyje! - krzyknął ostrzegawczo do innych, którzy zatrzymywali się i zerkali na nas bojaźliwie.

- Bezlitosne duchy przyobleczone w ciało wędrują po ruinach naszego miasta, a Ospiarz w czarnym płaszczu niesie nam zagładę. Żyliśmy zbyt wygodnie i dawni bogowie nas za to ukarzą. Dostatnie życie sprowadzi na nas straszną śmierć.

- A niech to! Tego nie przewidziałem - syknął Cierń. Bładymi rękoma ściągnął wodze i zawrócił gniasosza. - Jedź za mną, chłopcze.

Nawet nie spojrział w stronę mężczyzny, który ciągle celował w nas drżącym palcem. Ruchy miał wolne, niemal ospałe. Sprowadził konia z drogi i w górę po trawiastym zboczku. W ten sam sposób poruszał się Brus, gdy miał do czynienia z nieufnym koniem lub psem. Zmęczony wierzchowiec niechętnie zszedł z gładkiego traktu. Cierń kierował go w stronę kępy brzoź na szczycie wzgórza. Patrzyłem nic nie rozumiejąc.

- Jedź za mną, chłopcze - powtórzył Cierń przez ramię. - Nie chcesz chyba zostać ukamienowany? To nie jest przyjemne doświadczenie.

Równie wolno i ostrożnie jak on sprowadziłem Sadzę z drogi, niby kompletnie nieświadom przerażonych ludzi. Stali rozdarci pomiędzy gniewem a strachem. W moim umyśle ich uczucia tworzyły czerwono-czarną brudną plamę na świeżej jasności dnia. Jakaś kobieta się schyliła, któryś mężczyzna odwrócił się od wózka.

- Idą! - ostrzegłem Ciernia dokładnie w chwili, gdy ruszyli w naszą stronę.

Jedni mieli w dłoniach kamienie, inni zielone kije dopiero co wycięte w lesie. Obszarpani, zagubieni w nowej rzeczywistości ludzie miasta. Ocaleli mieszkańcy Kuźni, którzy nie zostali zakładnikami. Wbiłem pięty w boki Sadzy, a ona ciężko wyrwała do przodu. Konie były zmęczone; przyśpieszały z ogromnym wysiłkiem i powoli, mimo gradu kamieni, który w ślad za nami zadudnił o ziemię. Gdyby mieszkańcy miasta byli mniej zmęczeni lub mniej przerażeni, z łatwością by nas dopadli. Widząc, jak uciekamy, odczuli chyba ulgę. Bardziej obchodzili ich ci, co przemierzali ulice miasta, niż uciekający obcy, nieważne jak bardzo złowieszczy.

Stali na drodze, krzyczeli i wymachiwali kijami dotąd, aż znaleźliśmy się między drzewami. Cierń poprowadził dalej i nie pytałem go o nic, gdy wybrał inną ścieżkę, równoległą do poprzedniej, na której nie byliśmy widoczni dla ludzi opuszczających Kuźnię. Konie wlokły się ociężale. Cieszyły mnie wzgórza i rzadko rosnące drzewa, które skrywały nas przed ewentualnym pościgiem. Kiedy ujrzałem połyskującą stróżkę wody, wskazałem ją bez słowa. W ciszy napoiłszy konie i nakarmiliśmy je ziarnem z zapasów Ciernia. Poluzowałem uprzęże i wytarłem zszarganą sierść wiechciami trawy. Nam wystarczyła zimna woda ze źródła i suchy chleb. Cierń zdawał się pogrążony we własnych myślach i przez długi czas uszanowałem jego milczenie, lecz w końcu nie mogłem już dłużej powstrzymać ciekawości.

- Czy naprawdę jesteś Ospiarzem?

Cierń drgnął, podniósł na mnie wzrok. Był w równym stopniu zdumiony co rozżalony.

- Ospiarzem? Legendarnym zwiastunem choroby i nieszczęścia? Daj spokój, chłopcze, nie jesteś przecież głupi. Ta legenda ma kilkaset lat. Chyba nie sądzisz, że jestem aż taki stary.

Wzruszyłem ramionami. Chciałem powiedzieć: „Jesteś poznaczony bliznami i przynosisz śmierć”, ale się nie ośmieliłem. Czasami Cierń rzeczywiście wydawał mi się bardzo stary, a znowu kiedy indziej pełen energii, zupełnie jak młody człowiek zamknięty w ciele starca.

- Nie, nie jestem Ospiarzem - rzekł bardziej do siebie niż do mnie. - Ale po dzisiejszym dniu plotki o jego przybyciu rozejdą się po Królestwie Sześciu Księstw jak niesione wiatrem. Będzie się mówiło o chorobie, zarazie i boskiej karze za wymaginowane złe uczynki. Żałuję, że zobaczyli we mnie zwiastuna nieszczęść. I tak lud dosyć już ma powodów do strachu. A my mamy większe zmartwienia niż pospolite gusła. Miałeś rację. Przemyślałem wszystko, co widziałem w Kuźni. I pojąłem słowa tych mieszkańców miasta, którzy próbowali nas ukamienować. Znałem tych ludzi w dawniejszych czasach. Byli dzielni; nie uciekali gnani zabobonnym strachem. A ci na drodze opuszczali Kuźnię na zawsze. Wzięli ze sobą wszystko, co zdołali zabrać. Opuścili domy, gdzie rodzili się ich dziadowie. I zostawili krewnych, którzy przeczesywali ruiny i babrali się w zgliszczach jak niespełna rozumu. Myślę o tych ludziach i drzę. Coś złego się dzieje, chłopcze, i obawiam się, co przyniesie przyszłość. Ultimatum najeźdźców ze szkarłatnego okrętu nie było cczą groźbą. A przy tym... kolejny raz uderzyli, gdy byliśmy najmniej na to przygotowani. - Odwrócił się do mnie, jakby miał coś jeszcze powiedzieć, gdy wtem się zachwiał. Usiadł gwałtownie, poszarzała twarz ukrył w dłoniach.

Krzyknąłem przerażony. W mgnieniu oka znalazłem się u jego boku.

- Kopytnik - powiedział głosem stłumionym przez dłonie. - Najgorsze, że to mija tak nagle. Brus miał rację, ostrzegając cię przed nim, chłopcze. Ale niekiedy można wybierać tylko między mniejszym a większym złem. Niekiedy, w trudnych czasach, takich jak teraz.

Podniósł głowę. Wzrok miał zmatowiały, wargi mu obwisły.

- Muszę teraz odpocząć - odezwał się załośnie, niczym chore dziecko.

Delikatnie ułożyłem Ciernia na ziemi. Pod głowę podłożyłem mu torby podróżne, przykryłem go płaszczami. Puls miał zwolniony, oddech chrapliwy. Leżał bez ruchu aż do następnego popołudnia. Tej nocy spałem przytulony do jego pleców, chcąc choć trochę go ogrzać, a następnego dnia nakarmiłem go resztką zapasów.

Do wieczora odzyskał siły na tyle, że mogliśmy ruszyć w drogę. Rozpoczęliśmy posępną podróż. Jechaliśmy wolno. Cierń wybierał drogę, ale to ja prowadziłem. Dwie doby zajęło nam pokonanie dystansu, który przebyliśmy tamtej szalonej nocy. Jedliśmy nieczęsto, a rozmawialiśmy jeszcze rzadziej. Cierń był wyczerpany, nie miał siły mówić ani chyba nawet myśleć.

Wskazał mi, gdzie powinienem zapalić sygnałny ogień, który sprowadził nam łódź. Wysłali czólnie, a on wsiadł bez słowa. To mi uświadomiło, jak bardzo jest wycieńczony. Bez namysłu przyjął, że będę zdolny załadować nasze znużone konie na pokład statku. Duma zmusiła mnie do wykonania tego zadania, a znalazłszy się na pokładzie, natychmiast zasnęłam i spałam jak zabity. Potem czekała nas męcząca podróż z powrotem do Strażnicy Zatoki. Dotarliśmy tam bladym świtem i wielmożna pani Tymianek ponownie zamieszkała w gospodzie.

Po południu następnego dnia mogłem przekazać gospodyni, że szlachetna dama czuje się dużo lepiej i chętnie zje coś z tutejszej kuchni, jeśli zechcą przysłać posiłek na górę. Cierń rzeczywiście czuł się lepiej, chociaż czasami jeszcze oblewał się potem i w takich razach czuć go było zjełczałą słodyczą nasion kopytnika. Jadł z apetytem i pił dużo wody. A po dwóch dniach kazał mi oznajmić gospodyni, że wielmożna pani Tymianek nazajutrz wyjeżdża.

Ja szybciej odzyskałem siły i kilka popołudni spędziłem włócząc się po Strażnicy Zatoki, oglądając wystawy sklepowe i sprzedawców oraz strzygąc uszami na plotki, które tak cenił sobie Cierń. W ten sposób uzyskałem wiele informacji na interesujące nas tematy. Poczynania dyplomatyczne księcia Szczerego odniosły pożądany skutek i księżna Gracja była teraz ulubienicą miasta. Już dostrzegałem postęp w pracach na drogach i przy umocnieniach. Wieża

na Wyspie Wartowniczej została obsadzona najlepszymi żołnierzami, a ludzie nazywali ją teraz Wieżą Gracji. Ale plotkowali też o tym, jak najeźdźcy ze szkarłatnych okrętów prześlizgnęli się obok wież księcia Szczerego i o dziwnych wypadkach w Kuźni. Niejeden raz słyszałem o spotkaniach z Ospiarzem. A opowieści o dzisiejszych mieszkańcach Kuźni, jakie snuto przy ogniu w gospodzie, przyprawiały mnie o koszmarne sny.

Uciekinierzy z Kuźni opowiadali przejmujące historie o krewnych, którzy przeistoczyli się w istoty o duszach i sercach skutych lodem. Żyli tam teraz, jak gdyby nadal byli ludźmi, ale robili za dnia rzeczy, jakie w Koziej Twierdzy nie zdarzały się nawet najczarniejszą nocą. Zło, o którym szeptał lud, przechodziło moje wyobrażenie. Statki nie zawijały już do Kuźni. Rudy żelaza trzeba było szukać gdzie indziej. Nikt też nie chciał przyjmować pod swój dach uciekinierów, bo któż mógł przewidzieć, jaką byli skażeni zarazą; przecież ukazał im się Ospiarz we własnej osobie. Jakoś ciężko było mi słuchać, gdy ludzie powtarzali z nadzieją, że wszystko to niedługo się skończy, bo potwory z Kuźni wkrótce wymordują się nawzajem. Dobrzy ludzie ze Strażnicy Zatoki życzyli śmierci tym, którzy niegdyś byli dobrymi ludźmi z Kuźni, życzyli im skonania jak wybawienia.

W noc poprzedzającą dzień, gdy wielmożna pani Tymianek i ja mieliśmy się przyłączyć do świty księcia Szczerego powracającego do Koziej Twierdzy, obudziłem się i zobaczyłem Ciernia siedzącego przy blasku jednej świecy, zapatrzonego w ścianę. Choć nie odezwałem się słowem, odwrócił się do mnie.

- Trzeba cię ćwiczyć we władaniu Mocą, chłopcze - powiedział, jakby to była bolesna decyzja. - Jeszcze raz pójde do króla Roztropnego i stanowczo tego zażadam. Nadeszły ciężkie czasy i będą trwały długo. Trzeba szykować każdą dostępną broń. Ciężkie mamy czasy, chłopcze. Czy w ogóle kiedykolwiek miną?

Wraz z upływem lat i ja miałem sobie często zadawać to pytanie.

11

KUŹNICA

Ospiarz jest postacią często pojawiającą się w folklorze oraz dramacie ludów Sześciu Księstw. Jedyne najbiedniejsze teatrzyki nie mają marionetki Ospiarza, która powszechnie służy nie tylko do odgrywania tradycyjnych ról, lecz także jako niezastąpiony symbol nieszczęścia pojawiający się w przedstawieniach współczesnych. Niekiedy lalka Ospiarza ukazuje się tylko w tle, by wprowadzić złowieszczą nutę w atmosferę na scenie. Postać ta jest uniwersalnym symbolem na całym obszarze Królestwa Sześciu Księstw.

Podania głoszą, że korzenie tej legendy sięgają czasów pierwszych mieszkańców królestwa; nie tych, którzy zostali podbici przez Zawyspiarzy z rodu Przezornych, ale najstarszych osadników, najwcześniejszych przybyszy na ów ląd. Nawet Zawyspiarze mają swoją wersję tej dawnej opowieści. Jest to złowieszczą historia gniewu Ela, zapomnianego boga morza.

W czasach gdy morze było jeszcze młode, El, pierwszy Najstarszy, zawierzył ludowi z wysp. Oddał mu we władanie całe morze wraz ze wszystkim, co w nim pływało, a także wszelkie lądy, które się z nim stykały. Przez wiele lat ludzie okazywali mu wdzięczność. Łowili w morzu ryby, żyli na brzegach i przepędzali każdego obcego, który się poważył zamieszkać tam, gdzie El im oddał panowanie. Jeśli obcy ośmielał się pływać po morzu, także stawał się ich łupem. Ludowi temu dobrze się wiodło, był twardy i silny, bo słabych zabierało morze Ela. Prowadzili życie surowe i pełne niebezpieczeństw, ale dzięki temu ich synowie wyrastali na silnych mężczyzn, a córki na kobiety zawsze nieustraszone, czy to przy domowym ognisku, czy

na pokładzie. Lud ten szanował Ela, do niego jednego spośród Najstarszych kierował swoje modlitwy i jego tylko imieniem przeklinał. A El był dumny ze swojego ludu.

Lecz El w swojej hojności pobłogosławił lud zbyt szczerze. Nieliczni umierali w czasie ostrych zim, a zsyłane przez niego sztormy były zbyt łagodne, by pokonać ich statki. I tak lud Ela stawał się coraz bardziej liczny. Coraz bardziej liczne stawały się też ich stada. W tych tłustych latach słabe dzieci nie umierały, ale dorastały, zostawały w domu i orały ziemię, by wyżywić trudne do zliczenia stada, a także innych słabeuszy, podobnych im samym. Ci, którzy karczowali ziemię, nie sławili Ela za porywiste wichry ani za wartkie prądy. Zamiast tego modlili się do Eda, który jest Najstarszym dla tych, którzy orzą, sieją i hodują zwierzęta. Ełowi się to nie podobało, ale ich zignorował, gdyż nadal miał swój śmiały lud na statkach, żeglujący po falach. Oni go błogosławili i jego imieniem przeklinali, a on, by powiększyć ich odwagę, zsyłał im sztormy i surowe zimy.

Wraz z upływem czasu coraz mniej było ludzi oddanych Ełowi. Delikatne kobiety rolniczego ludu kusily żeglarzy i rodziły im dzieci zdolne jedynie pracować w brudnej ziemi. I tak ludzie porzucili wietrzne wybrzeża oraz pokryte lodem pastwiska; ruszyli na południe, ku spokojnej ziemi, dającej obfite plony. Każdego roku coraz mniej ludzi zjawiało się, by zbierać żniwo pośród fal i łowić ryby, które El im przeznaczył. Coraz rzadziej słyszał El swoje imię w modlitwie lub przekleństwie. Aż nadszedł dzień, gdy pozostał tylko jeden człowiek, który się modlił i przeklinał imieniem Ela. Był to kościsty dziad, za stary na żeglarza, nieomal bezzębny, o spuchniętych, sztywnych stawach. Jego błogosławieństwa i przekleństwa bardziej obrażały Ela, niż mu schlebiali. Niewiele miał Najstarszy pożytku ze słabego starca.

W końcu przyszedł sztorm, który miał pokonać starego człowieka i jego łódkę. Lecz kiedy zimne fale zamknęły się nad nieszczęsnym, ten przywarł do szczątków łodzi i ośmielił się wołać do Ela o litość, choć każdy wiedział, że w Najstarszym nie ma litości. Więc rozgniewał się El tym bluźnierstwem i nie przyjął starca w odmęty morza, lecz wyrzucił go na brzeg i obłożył klątwą, by ten nie mógł nigdy więcej żeglować, ale też by nie znalazł wybawienia w śmierci. I kiedy przeklęty wypełznął ze słonych odmętów, jego twarz oraz ciało poznaczone były bliznami podobnymi do znaków, jakie zostawiają pijawki. Z trudem stanął na nogach i powędrował przed siebie, w stronę żyznych pól i płodnych winnic. Gdziekolwiek szedł, widział tylko ludzi pracujących na roli. I mówił im o ich szaleństwie i ostrzegał, że El stworzy nowy, bardziej śmiały lud i odda mu ich spuściznę. Ale ludzie go nie słuchali, tacy już byli mizerni i przywiązani do ziemi. A gdzie szedł starzec, szło jego śladem morowe powietrze. Rozsiewał wszędzie ospę - zarazę, która nie dba o to, czy człowiek jest słaby czy silny, hardy czy lękliwy, ale zabiera każdego, kogo dotknie. A przyczyna wszystkiego leżała w brudnym pyłe, gdyż ospa rozprzestrzeniała się przy odwracaniu ziemi.

Tak głosi legenda. I w taki sposób Ospiarz stał się zwiastunem choroby i śmierci, i karą dla tych, którzy żyli zbyt łatwo i wygodnie, bo ziemia rodziła im zbyt bogato.

* * *

Powrót księcia Szczerego do Koziej Twierdzy przesłonięty został żalobnym kirem wydarzeń w Kuźni. Następca tronu, pragmatyczny do przesady, opuścił Strażnicę Zatoki, gdy tylko skłóceni książęta Rozumny i Dorzeczny osiągnęli zgodę w kwestii Wyspy Wartowniczej, a więc wyjechał wraz ze strażą przyboczną, zanim jeszcze Cierń i ja wróciliśmy do gospody.

Całymi dniami, a potem przy nocnych ogniskach ludzie mówili o Kuźni. Nawet w książęcym orszaku historii mnożyły się i rozrastały w przerażającym tempie.

Ja miałem podróż do domu zepsutą ponowną przemianą Ciernia w przykrą podstarzałą damę. Musiałem być jej służącym i chłopcem na posyłki aż do czasu, gdy pojawiła się służba z Koziej Twierdzy i odeskortowała wielmożną panią Tymianek do prywatnych komnat. „Dama” mieszkała w kobiecym skrzydle, a choć nieraz nadstawiałem ucha, nie usłyszałem o

niej niczego poza tym, że była samotniczką i osobą, z którą trudno wytrzymać. Nigdy nie odkryłem, w jaki sposób Cierń stworzył tę postać i jak podtrzymywał jej fikcyjne istnienie.

Kozią Twierdzą pod naszą nieobecność wstrząsnęła burza nowych wypadków, więc miałem wrażenie, jakby nas w stolicy nie było dziesięć lat, a nie kilka tygodni. Mimo wszystko nawet Kuźnia nie mogła całkowicie zaćmić występu księżnej Gracji. Historię tę podawano sobie z ust do ust, minstrele rywalizowali, która ballada stanie się wersją obowiązującą. Słyszałem, że księżę Rozumny ukląkł przed swoją damą i ucałował czubki jej palców, po tym jak wyraziła - bardzo elokwentnie - swoje życzenie, by wieże stały się najcenniejszymi klejnotami jej ziemi. Jedno źródło podawało nawet, iż księżę Dorzeczny osobiście podziękował księżnej Gracji i często pragnął z nią tańczyć tego wieczoru, co omal nie zrodziło nowego, zupełnie innej natury konfliktu pomiędzy sąsiadującymi księstwami.

Cieszyłem się z sukcesu księżnej. Słyszałem nawet opinie, że sam następca tronu powinien sobie znaleźć damę serca o podobnych zaletach. Ponieważ tak często wyjeżdżał w sprawach krajowych czy w pościgu za najeźdźcami, ludzie zaczęli odczuwać potrzebę obecności silnego władcy w domu. Stary król Roztropny nominalnie ciągle był naszym władcą. Ale, jak zauważył Brus, lud patrzył w przyszłość.

- W dodatku - mawiał Brus - ludzie lubią wiedzieć, że na następcę tronu czeka ciepłe łóżko. Mają wtedy o czym pomarzyć. Niewielu z nich może sobie pozwolić na romantyczność w życiu, więc chętnie sobie wyobrażają jedwabne życie króla. Albo księcia.

Jednak sam księżę Szczery, o czym dobrze wiedziałem, nie miał czasu myśleć o ciepłym łóżku, a właściwie w ogóle o jakimkolwiek łóżku. Kuźnia była zarówno przykładem, jak i groźbą. Wkrótce nadeszły wieści o trzech innych napadach. Niewielka osada Rola, położona na Wyspach Pobliskich, została najwyraźniej napadnięta i zarażona kuźnicą - jak zaczęto nazywać zarazę - kilka tygodni wcześniej niż Kuźnia. Wieści z lodowych wybrzeży szły wolno, ale gdy wreszcie dotarły, okazały się wyjątkowo ponure. Mieszkańcy Roli także zostali zakładnikami. Rada osady, podobnie jak Roztropny, dała się zmylić ultimatum najeźdźców ze szkarłatnych okrętów. Nie zapłacili. Więc identycznie jak w Kuźni, zakładnicy zostali oddani, w większości zdrowi na ciele, lecz pozbawieni jakichkolwiek ludzkich uczuć. Plotka niosła, że mieszkańcy Roli zastosowali bardziej radykalne rozwiązanie. Ostry klimat Wysp Pobliskich rodził twardych ludzi. A przecież nawet oni uznali za akt łaski podniesienie mieczy na własnych, teraz bezdusznych krewnych.

Dwie inne miejscowości zostały napadnięte już po ataku na Kuźnię. Mieszkańcy Skalnej Bramy zapłacili okup. Następnego dnia fale wyrzuciły na brzeg kawałki ciał. Zebrano je i pogrzebano. Wieści te przybyły do Koziej Twierdzy bez szczególnego komentarza, jedynie z niemym podtekstem, że gdyby król wykazał większą czujność, osada zostałaby przynajmniej ostrzeżona przed napadem.

Owczę Błota pogodziły się z losem. Mieszkańcy odmówili zapłaty okupu, a że pogłoski o Kuźni biegły lotem błyskawicy, zdołali się przygotować na nieuniknione. Wyszli na spotkanie pojmanych krewnych z rzemieniami i kajdanami. Skrępowali ich, choć zanim tego dokonali i odstawili zakładników do rodzinnych domów, musieli użyć pałek. Miasteczko zjednoczyło się w próbie uleczenia swych bliskich zakażonych kuźnicą. Historie z Owczych Błot należały do opowiadanych najczęściej: o matce, która zębami chciała rozerwać na strzępy własne dziecko przyniesione jej do karmienia, wyrzaskującej między obelgami, że nie ma żadnego pożytku z tego skamlącego szczeniaka. O małym chłopcu, który płakał i przeklinał więzy, a uwolniony rzucił się na własnego ojca z siekierą. Jedni wyrzekali, wrywali się i bili swoich krewnych. Inni zostali w więzach i prowadzili życie próżniacze, jedząc posiłki i pijąc postawione przed nimi piwo, lecz bez słowa podziękowania czy choćby uśmiechu. Uwolnieni z więzów nie atakowali członków własnej rodziny, ale też nie pracowali ani nie brali udziału w rozrywkach. Kradli bez najmniejszych skrępułów, trwonili pieniądze, żarłocznie pochłaniali strawę. Nikomu nie sprawiali radości, nie znali uprzejmego słowa.

Wieści z Owczych Błot niosły, że tamtejsi mieszkańcy zamierzali wytrwać, aż „choroba ze szkarłatnych okrętów” minie. Taka postawa dała szlachcie w Koziej Twierdzy odrobinę nadziei. Wysoko urodzeni prawili o odwadze mieszkańców miasta z uwielbieniem i przysięgali, że oni także zrobiliby to samo, gdyby ich krewni zostali skażeni kuźnicą.

Król Roztropny nałożył dodatkowe podatki, z których dochody przeznaczył dla dzielnych mieszkańców Owczych Błot. Poddani samorzutnie ofiarowywali ziarno oraz inwentarz, prosząc, by je rozdzielić pomiędzy najbardziej potrzebujących. Budowali statki i opłacali najemników do patrolowania wybrzeża.

Na początku mieszkańcy Królestwa Sześciu Księstw z dumą spełniali szlachetne uczynki. Wypiarze podejmowali ochotnicze warty. Posłańcy, gołębie pocztowe i ognie sygnałne trwały zawsze w pełnej gotowości. Niektóre miasta wysyłały do Owczych Błot owce oraz żywność, gdyż tamtejsi mieszkańcy, opiekując się chorymi krewnymi, nie mieli czasu dbać o swoje przetrzebione trzody ani obsiewać spalonych pól.

Ale kiedy mijały tygodnie, a nie było żadnej oznaki ustępowania kuźnicy, bladła nadzieja i poświęcenie zdawało się patetyczne raczej niż szlachetne. Ci, którzy jeszcze niedawno chętnie nieśli pomoc, deklarowali teraz, że gdyby to oni zostali pojmani, woleliby zostać poćwiartowani i wrzuceni do morza, niż wrócić do domu i być dla swojej rodziny takim ciężarem i zgryzotą.

Najgorsze jednak, że w tym ciężkim czasie sam król Roztropny nie podjął żadnej decyzji. Gdyby się ukazał królewski edykt stanowiący, czy lud ma płacić okup za zakładników, czy nie, byłoby znacznie lepiej. Nie ma znaczenia, co nakazywałby taki zapis, gdyż zawsze miałyby zagorzałych przeciwników. Ale przynajmniej lud miałby prawo sądzić, że król stawiał czoło zagrożeniu. Zamiast tego wzmocnione patrole i warty przeczesujące wybrzeże tworzyły jedynie wrażenie, że Kozia Twierdza sama jest w strachu przed nowym niebezpieczeństwem, ale nie opracowała przeciw niemu żadnej strategii obronnej. W braku królewskiego edyktu nadbrzeżne miasta i osady wzięły sprawy w swoje ręce. Zebrały się rady, by zdecydować, co zrobić, jeśli zostaną skażeni kuźnicą. Jedni decydowali tak, drudzy inaczej.

- Ale w każdym wypadku - rzekł mi Cierń znużony - nie ma znaczenia, co zdecydują; zawsze osłabia to ich lojalność dla władzy królewskiej. Czy zapłacą okup, czy nie, najeźdźcy mogą się z nas śmiać do rozpuku. Mieszkańcy naszych miast, podejmując decyzję, nie myślą: „jeśli zostaniemy skażeni kuźnicą”, ale: „gdy zostaniemy skażeni kuźnicą”. I w ten sposób już zostały pogwałcone ich umysły, jeśli jeszcze nie ciała. Patrzą na swoich krewnych, matka na dziecko, mężczyzna na rodziców i już ich skazują na śmierć lub chorobę. A królestwo chwieje się w posadach, bo jeśli każde miasto musi decydować samo, oddziela się od państwa. W końcu się rozpadniemy na tysiące małych miasteczek, z których każde będzie dbało tylko o to, jak samo da sobie radę, gdy padnie ofiarą napadu. Jeśli król Roztropny i książę Szczery nie zaczną działać szybko, Królestwo Sześciu Księstw będzie niedługo istniało tylko z nazwy i w umysłach jego byłych władców.

- Ale co mogą zrobić? - spytałem. - Bez względu na to, jaki edykt zostałyby wydany, i tak byłby zły. - Podniosłem kleszcze i wepchnąłem tygiel nieco głębiej w płomienie.

- Czasami lepiej jest się bardzo pomylić, niż nie zrobić nic - mruknął Cierń. - Widzisz, chłopcze, choć jesteś jeszcze taki młody, już zdajesz sobie sprawę, że każda decyzja będzie zła. Lud także to zauważa. Królewski rozkaz dałby mu przynajmniej poczucie jedności. A tak każde miasto musi lizać własne rany. Król Roztropny i książę Szczery powinni, w ślad za wydaniem rozkazu, podjąć także inne działania. - Pochylił się, by spojrzeć na bąbelkujący płyn. - Więcej ciepła - odpowiedział.

Ująłem nieduże miechy, dmuchnąłem nimi ostrożnie.

- Jakie?

- Powinni w odwecie zorganizować najazd na Zawyspiarzy. Zapewnić statki i dostarczyć żywność każdemu chętnemu do takiego wypadu. Zabronić wypasania bydła na pastwiskach

nad samym brzegiem, by nie kusić wroga. Przyrzec miastom więcej broni, skoro nie możemy wszystkim dać zbrojnej obstawy. Na żniwo Eda, dać ludziom kulki z nasion kopytnika i psianki, niech je noszą w woreczkach uwiązanych do nadgarstka, żeby w razie schwywania mogli być panami własnego życia. Cokolwiek, chłopcze. Cokolwiek król zrobiłby w tej chwili, byłoby lepsze niż to fatalne niezdecydowanie.

Nigdy dotąd nie słyszałem, by Cierń mówił z taką mocą ani by krytykował króla Roztropnego równie otwarcie. Byłem wstrząśnięty. Wstrzymałem oddech, mając nadzieję, że powie więcej, choć bałem się, co mógłbym usłyszeć. Zdawał się nieświadomy mojego spojrzenia.

- Wepchnij go trochę głębiej. Ale ostrożnie. Jeśli wybuchnie, król Roztropny będzie miał dwóch Ospiarzy. - Spojrzał na mnie. - Tak, właśnie w ten sposób zyskałem te blizny. Ale równie dobrze mogłaby to naprawdę być ospa, sądząc z tego, jak Roztropny słucha mnie ostatnimi czasy. „Pełen jesteś złych przeczuć i przestróg - powiedział mi. - Moim zdaniem chcesz, by chłopca ćwiczone w korzystaniu z Mocy, po prostu dlatego że ty sam nie masz talentu. To źle ulokowana ambicja, Cierń. Lepiej się jej pozbać”. Przemawia przez niego duch królowej.

Gorycz Ciernia przepelniła mnie chłodem.

- Rycerski. Jego nam teraz trzeba - podjął po chwili. - Roztropny ciągle się waha, a Szczery jest dobrym żołnierzem, lecz zbyt posłusznym synem. Wyrastał wychowywany na drugiego, nie pierwszego. Nie przejmie inicjatywy. Potrzebujemy księcia Rycerskiego. On pojechałby do zrujnowanych miast, przemówił do ludzi, którzy stracili najbliższych. Tam do licha, on by rozmawiał z samymi zakażonymi...

- Sądysz, że to by coś dało? - zapytałem cicho. Ledwie śmiałem się poruszyć. Czuję, że Cierń mówi bardziej do siebie niż do mnie.

- Oczywiście nie rozwiązałyby problemu. Ale nasz lud chce czuć zaangażowanie władcy. Czasami więcej nie trzeba, chłopcze. Niestety, Szczery potrafi tylko bawić się żołnierzami. A Roztropny patrzy, co się dzieje, i myśli nie o swoich poddanych, lecz jak się upewnić, że Władczy będzie bezpieczny i silny, na wypadek gdyby księżę Szczery pozwolił dać się zabić.

- Księżę Władczy? - zdumiałem się.

Ten trefniś, zawsze pięknie ubrany i wymyślnie upozowany? Od dawna był cieniem króla, ale nigdy nie myślałem o nim jako o prawdziwym pretendencie do tronu. Wstrząsnęło mną, że usłyszałem jego imię w takim kontekście.

- Stał się bezsprzecznym faworytem ojca - mruknął Cierń. - Od śmierci królowej Roztropny strasnie go rozpuszcza. Teraz, gdy Władczemu zabrakło matki, która potrafiła wymóc na nim posłuszeństwo, król próbuje podarkami kupić serce najmłodszego syna. A księżę Władczy korzysta bez skrupułów. Przemawia wyłącznie słowami miłymi uszom starego króla. Roztropny oddaje mu zbyt wiele władzy. Pozwala mu się włóczyć i trwonić pieniądze na niepotrzebne wizyty w Księstwie Rolnym i w Księstwie Trzody, gdzie chłopak od ludu swojej matki nieustannie słyszy, jaki to jest ważny. Powinien siedzieć w domu i zdawać ojcu sprawę ze swoich poczynań. I na co wydaje pieniądze z królewskiego skarbcza. Fortuny, jakie wydaje na podróże, wystarczyłyby na budowę okrętu wojennego. Za gorąco! - wykrzyknął nagle, rozdrażniony. - Szybko! Wyciągaj, bo przepadnie!

Za późno. Tygiel pękł z hukiem, jaki wydaje łamiący się lód, a komnatę Ciernia wypełnił gryzący dym. Tak się zakończyły rozmowy i lekcje w tę noc.

Nieprędko zostałem wezwany ponownie. Inne zajęcia nadal odbywały się regularnie, więc nie dręczyła mnie nuda, ale tęskniłem za Cierniem - coraz bardziej, w miarę jak tygodnie mijały, a on po mnie nie przychodził. Wiedziałem, że nie jest ze mnie niezadowolony, tylko bardzo zajęty. Któregoś dnia, nie mając zajęcia, sięgnąłem do jego umysłu, lecz wyczułem jedynie tajemniczość i wewnętrzne rozdarcie. I uderzenie w głowę, gdy Brus mnie na tym przyłapał.

- Przestań! - syknął i zignorował moje wystudiowane spojrzenie zranionej niewinności. Rozejrzał się po stajni, którą uprzątałem z gnoju, jak gdyby się spodziewał znaleźć zaczajonego kota albo psa.

- Nic tu nie ma! - wykrzyknął.

- Tylko nawóz i słoma - zgodziłem się, rozcierając ciemię.

- Więc co robiłeś?

- Marzyłem - mruknąłem. - To wszystko.

- Nie oszukasz mnie, Bastardzie. I pamiętaj, że sobie takich praktyk nie życzę. Nie w moich stajniach. Nie będziesz mi psuł zwierząt. Ani ubliżał krwi księcia Rycerskiego. Pamiętaj, co ci powiedziałem.

Zacisnąłem zęby i wróciłem do pracy. Po jakimś czasie usłyszałem, jak Brus wzdycha i odchodzi. Grabiłem dalej, kipiąc wewnątrz i przysięgając sobie, że nigdy już nie zdoła mnie podejść nie zauważony.

Tyle się działo tamtego lata, że aż trudno mi sobie uświadomić kolejność wydarzeń. W mieście wszystkie rozmowy dotyczyły fortyfikacji i gotowości bojowej. Przed nadejściem jesieni jeszcze tylko dwie miejscowości zostały skażone kuźnicą, ale zdawało się, że były ich setki, gdyż historie o nich, przekazywane z ust do ust, narastały niczym lawina.

- Można by pomyśleć, że ludzie nie żyją już niczym innym - skarżyła mi się Sikorka.

Spacerowaliśmy po plaży o zachodzie słońca. Wiatr znad wody niósł przyjazny chłód po upalnym dniu. Brus został wezwany do miejscowości o wdzięcznej nazwie Przedsionek Wiosny, gdyż tamtejsze bydło dziesiątkowała dziwna zaraza. Tak więc nie miałem porannych lekcji, ale za to wiele innych zajęć przy koniach i psach, szczególnie że Gruzeł wyjechał nad Jezioro Smolne z księciem Władczym, przygotować jego konie i psy do letnich łowów.

Wieczorami miałem więcej czasu na odwiedziny w mieście.

Przechadzki z Sikorką powoli stawały się tradycją. Jej ojciec czuł się coraz gorzej i prawie już nie musiał pić, by pod koniec dnia zapaść we wczesny, głęboki sen. Sikorka pakowała dla nas trochę sera i kielbasy, czasem wędzoną rybę albo mały bochenek chleba. Z koszykiem i butelką taniego wina szliśmy plażą do kamiennego falochronu. Tam siadaliśmy na skałach, które oddawały ostatnie ciepło dnia. Sikorka opowiadała mi o swojej pracy i powtarzała miejskie plotki, a ja słuchałem.

- Córka rzeźnika powiedziała mi, że już tęskni za zimą. Wiatry i lód zagnają piratów ze szkarłatnych okrętów z powrotem na ich wybrzeża i pozwolą nam odpocząć od strachu, tak mówiła. A wtedy wtrąciła się Stępka i powiedziała, że może przestaniemy się bać, że przybędzie zarażonych kuźnicą, ale nadal będziemy musieli się obawiać chorych mieszkańców Kuźni, którzy żyją gdzieś zagubieni na naszej ziemi. Ludzie mówią, że niektórzy z nich opuścili teraz swoje miasto, bo nic tam już nie pozostało, i krążą po całym kraju, napadając podróżnych.

- Wątpię w to. Prawie na pewno rabują inni, ale próbują przedstawić siebie jako zakażonych kuźnicą, żeby w inną stronę skierować zemstę. Ludzie dotknięci tą chorobą nie mają w sobie nawet tyle człowieczeństwa, by zostać choćby bandytami - sprzeciwiłem się leniwie.

Patrzyłem na zatokę, oczy miałem przymknięte, bo raził mnie odbłask słońca na wodzie. Czulem obok siebie obecność Sikorki. Było to interesujące wrażenie, choć nie w pełni je pojmowałem.

Sikorka miała szesnaście lat, a ja czternaście i te dwa lata wznosiły się między nami na kształt niebotycznego muru. A przecież zawsze znajdowała dla mnie czas i najwyraźniej lubiła moje towarzystwo. Ale jeśli wyciągnąłem do niej rękę, umykała przed dotykiem: zatrzymywała się, by wytrząsnąć kamyk z buta, albo nagle zaczynała mówić o ojcu i o tym, jak bardzo jest mu potrzebna w chorobie. Kiedy się wycofywałem, stawała się niepewna i płochliwa; gubiła słowa, próbowała patrzeć mi w twarz, zawieszala wzrok na ustach, zaglądała w oczy. Nie rozumiałem tego. Odbierałem to tak, jakbyśmy trzymali między sobą napiętą strunę.

Tym razem usłyszałem w jej głosie ślad urazy.

- Aha. Tak. A skąd ty tak dużo wiesz o skażonych kuźnicą? Więcej nawet niż ci, którzy zostali przez nich obrabowani?

Cierpka uwaga mnie ubodła i upłynęła dobra chwila, zanim się znów odezwałem. Sikorka nic nie wiedziała o Cierniu, a co dopiero o moim wypadzie do Kuźni. Dla niej byłem chłopcem na posyłki pracującym dla koniuszego, jeśli nie usługiwałem skrybie. Nie mogłem się zdradzić.

- Słyszę rozmowy wartowników przy stajniach albo nocą w kuchni. Żołnierze niejedno widzieli i to oni twierdzą, że zakażeni kuźnicą nie mają przyjaciół ani rodziny. Nikogo nie kochają, z nikim się nie wiążą. Nie mogliby utworzyć prawdziwej bandy, ale... jeśli któryś ze skażonych obrabował podróżnych, a inni zaczęli go naśladować, wyglądałoby to na działanie szajki.

- Być może. - Sikorka dała się ułagodzić. - Chodźmy zjeść na górę.

„Na górę” oznaczało półkę na krańcu klifu. Wdrapaliśmy się tam razem z koszykiem. Wymagało to mozolnej wspinaczki. Przyłapałem się na gapieniu, jak Sikorka zawija spódnicę, i na tym że szukam okazji, by chwycić ją za ramię i pomóc w złapaniu równowagi albo podać rękę, by z koszykiem w dłoni łatwiej mogła wspiąć się wyżej. W przeblysku intuicji pojąłem, że Sikorka właśnie dlatego zaproponowała tę drogę. W końcu dotarliśmy do występu, usiedliśmy i zapatrzyliśmy się daleko przed siebie. Koszyk stał między nami, a ja smakowałem świadomość, że Sikorka odczuwa moją obecność równie mocno jak ja jej. Przypominało mi to maczugi kuglarzy popisujących się w czasie wiosennego Święta Radości; podrzucali je i łapali, rzucali i łapali, więcej i więcej, szybciej i szybciej. Cisza legła między nami, aż ktoś z nas musiało się odezwać. Spojrzałem na dziewczynę, lecz odwróciła wzrok. Zajrzała do koszyka.

- O, wino z mniszka. Myślałam, że aż do połowy zimy nie ma z niego pożytku.

- To zeszloroczne. Takie wino rzeczywiście musi nabierać mocy przynajmniej kilka miesięcy - wyjaśniłem i wzięłem od niej flaszkę, żeby wyjąć nożem korek. Przez chwilę obserwowała moje daremne wysiłki, potem odebrała mi butelkę, wyjęła z pochwy własny smukły nóż, wbiła go w korek i wyciągnęła z wprawą godną pozazdroszczenia.

Pochwyciwszy moje spojrzenie, wzruszyła ramionami.

- Otwieram ojcu butelki od lat. Dawniej musiałam to robić, gdy był zbyt pijany, żeby sobie sam poradzić. Teraz już nie ma siły w rękach, nawet kiedy jest trzeźwy. - Ból i gorycz wmieszały się w jej słowa.

- Aha. - Postanowiłem zmienić temat na przyjemniejszy. - Popatrz, „Deszczowa Panna”. - Wskazałem na wodę, na statek o smukłym kadłubie wpływający na wiosłach do portu. - Zawsze uważałem, że to najpiękniejszy statek w tej przystani.

- Była na patrolu. Kupcy tekstylni zebrali pieniądze. Prawie każdy handlarz w mieście miał w tym swój udział. Nawet ja, chociaż mogłam podarować tylko świece do latarni. Teraz jest obsadzona żołnierzami i eskortuje statki pływające między nami a Wysokimi Dołami. Tam przejmuje je „Zielonka” i prowadzi dalej wzdłuż wybrzeża.

- Nie wiedziałem o tym. - Zdumiało mnie, że nie słyszałem takich wieści w zamku. Opuściła mnie odwaga; nawet Kozia Twierdza podejmowała kroki niezależne od zgody czy rady króla. Powiedziałem to Sikorce.

- Cóż, jeśli król potrafi tylko milczeć i marszczyć brwi, ludzie muszą działać sami. Królowi Roztropnemu wystarczy, że kazał nam być silnymi. A sam siedzi bezpiecznie w zamku. Pewnie inaczej by się zachowywał, gdyby miał brata, syna albo córkę zakażoną kuźnicą.

Zawstydziło mnie, że nie znalazłem nic na obronę swego króla. I ten wstyd kazał mi powiedzieć:

- Tutaj, w Koziej Twierdzy, jesteś prawie tak bezpieczna jak król w zamku.

Sikorka popatrzyła na mnie obojętnie.

- Miałam kuzyna, terminował w Kuźni. - Zamilkła na chwilę, po czym podjęła ostrożnie: - Czy uznasz mnie za istotę o sercu z kamienia, jeśli ci powiem, że odczuliśmy ulgę na wieść o jego śmierci? Przez kilka dni nie była to pewna wiadomość, ale w końcu udało nam się porozmawiać z kimś, kto go widział martwego. I mój ojciec, i ja odetchnęliśmy z ulgą. Możemy się pograć w żałobie wiedząc, że życie kuzyna po prostu się skończyło. Będzie nam go brakowało, ale nie musimy już dłużej się głowić, czy może zachowuje się jak zwierzę, sprowadzając żalobę na innych i wstyd na siebie. Przez jakiś czas milczałem.

- Przykro mi - odezwał się wreszcie. Wydawało się to zbyt mało, więc wyciągnąłem rękę, żeby pogłodzić jej nieruchomą dłoń. Przez sekundę w ogóle nie czułem w myślach obecności Sikorki, jak gdyby ból wtrącił ją w uczuciowe odrętwienie, podobne do kuźnicy. Potem westchnęła i znowu poczułem ją przy sobie. - Wiesz - zaryzykowałem na chybił trafił. - Może król sam także nie wie, co robić? Może tak samo jak my nie potrafi znaleźć rozwiązania?

- Jest królem! - zaprotestowała Sikorka. - I dano mu na imię Roztropny. Ludzie gadają, że zwleka, by nie otwierać królewskiej kiesy. Po co miałby uszczuplać swoje bogactwa, skoro zdesperowani kupcy sami opłacą najemników? Ale dosyć o tym... - uniosła dłoń, powstrzymując moje słowa. - Nie po to tu przyszliśmy, żeby rozmawiać o polityce i strachu. Tak tu przyjemnie, chłodno i spokojnie... Powiedz mi raczej, co się dzieje u ciebie. Czy ta łaciata suka już się oszczeniła?

I tak rozmawialiśmy o różnych innych sprawach: o szczeniakach Pstrokatej i o tym, że jedna z klaczy została pokryta niewłaściwym ogierem. Potem Sikorka opowiedziała mi o zbieraniu zielonej kukurydzy do pachnących świec i o zrywaniu jeżyn, i o tym jak zajęta będzie w przyszłym tygodniu, przy gotowaniu konfitur na zimę, pracy w sklepie i robieniu świec.

Rozmawialiśmy, jedli i pili, i patrzyliśmy na słońce późnego lata, aż zsunęło się nisko nad horyzont i zaczęło szykować do snu. Zagościło między nami dziwne, miłe napięcie, niby oczekiwanie na cud. Uznałem to za przejaw jakiejś dodatkowej cechy mojego specyficznego zmysłu, lecz nagle zdumiałem się, równocześnie olśniony, gdyż Sikorka także najwyraźniej czuła to samo. Pragnąłem ją zapytać, czy postrzega obecność ludzi w podobny sposób jak ja. Obawiałem się jednak, że może się ode mnie odsunąć jak Cierń, toteż tylko się uśmiechnąłem i gwarzyliśmy dalej o sprawach codziennych.

Odprowadziłem ją do domu cichymi ulicami i w drzwiach sklepiku życzyłem dobrej nocy. Zatrzymała się jeszcze, jak gdyby chciała coś powiedzieć, lecz obdarzyła mnie tylko zagadkowym spojrzeniem i rzekła cicho:

- Dobrej nocy, Nowy.

Pod granatowym niebem usianym błyszczącymi gwiazdami wracałem do domu, minąłem wartowników zajętych grą w kości i ruszyłem do stajni. Szybko obszedłem boksy. Wszędzie panował spokój, nawet u szczeniaków. Na samym końcu stajni stały trzy obce wspaniałe konie, obok jednego z nich wisiało damskie siodło. Domyśliłem się, że przybyła z wizytą jakaś szlachetnie urodzona dama. Ciekaw byłem, co ją tutaj sprowadziło w końcu lata. Dłuższą chwilę podziwiałem rumaki, potem opuściłem stajnie i poszedłem do twierdzy.

Nogi same zaprowadziły mnie do kuchni. Kucharka była przyzwyczajona do wilczego apetytu chłopców stajennych i żołnierzy. Wiedziała, że regularne posiłki nie zawsze wystarczą, by napelnić żołądek. Ja też, szczególnie ostatnio, bywałem głodny o najróżniejszych porach. Rosłem jak na drożdżach, mistrzyni Ściegu twierdziła, że lada dzień będę musiał się ubierać w garbowaną skórę niczym jakiś dzikus, bo ona nie nadaża z szyciem. Wchodząc w kuchenne drzwi już myślałem o wielkiej glinianej misie, w której kucharka trzymała sucharki przykryte czystym kawałkiem płótna, o pewnym kręgu ostrego sera oraz sporym garncu piwa.

Przy stole siedziała nie znana mi kobieta. Jadła jabłko i ser. Na mój widok zerwała się na równe nogi i przycisnęła dłoń do serca, jak gdybym był samym Ospiarzem.

Stałem w progu.

- Nie chciałem cię przestraszyć, pani. Jestem głodny i przyszedłem wziąć coś do jedzenia. Czy będę ci przeszkadzał, pani, jeśli zostanę?

Usiadła powoli. Dziwiłem się, co taka dama robi nocą w kuchni. Była wysokiego rodu - poznałem to na pierwszy rzut oka, mimo że nosiła prostą suknię i nie potrafiła ukryć znużenia. Niewątpliwie przybyła do Koziej Twierdzy dzisiaj, jej konia widziałem w stajni. Jeśli obudziła się głodna w nocy, dlaczego nie nakazała służbie przynieść posiłku do komnaty? Dama odjęła dłoń od piersi i uniosła do ust, jak gdyby chciała uspokoić nierówny oddech.

- Nie będę ci przeszkadzała w jedzeniu - odezwała się melodyjnym, prawie śpiewnym głosem. - Po prostu trochę się wystraszyłam. Zjawileś się tak nagle...

- Dziękuję, pani.

Przeszedłem wokół wielkiej kuchni, od beczułki z piwem do sera, potem do chleba, a gdziekolwiek szedłem, podążały za mną jej oczy. Jedzenie leżało przed nią na stole zapomniane. Nalewając sobie piwa odwróciłem się i zobaczyłem, że natychmiast spuściła wzrok. Poruszyła ustami, ale nic nie powiedziała.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić, pani? - zapytałem grzecznie. - Czy mogę, pani, coś ci podać? Może piwa?

- Jeśli byłbyś tak uprzejmy - rzekła cicho.

Postawiłem przed nią na stole kubek, który właśnie napełniłem. Kiedy podszedłem, odsunęła się, jakbym był nosicielem zarazy. Zastanowiłem się, czy przypadkiem nie cuchnąłem po pracy w stajni, ale przecież Sikorka na pewno by mi o tym wspomniała. Była zawsze wobec mnie szczerą w takich sprawach.

Nalałem drugi kubek piwa dla siebie, a potem zdecydowałem, że lepiej będzie zanieść posiłek na górę, do mojej komnaty. Cała postawa damy świadczyła, że nie na rękę jest jej moje towarzystwo. Ale kiedy zacząłem układać jedno na drugim: kubek z piwem, chleb i ser, wskazała mi ławę naprzeciw siebie.

- Usiądź - powiedziała, jakby czytała w moich myślach. - Nie chcę ci przeszkadzać w posiłku. Ni to rozkaz, ni zaproszenie. Stawiając kubek rozlałem trochę piwa. Cały czas czułem na sobie jej wzrok. Pochyliłem głowę, by uniknąć tego spojrzenia, i jadłem szybko, ukradkiem, jak szczur w kącie, gdy podejrzewa, że za drzwiami czeka kot. Ona zaś patrzyła zupełnie otwarcie. Ręce miałem coraz bardziej niezdarne i świadom tego tak się zapomniałem, iż bezmyślnie otarłem usta rękawem. Nie wiedziałem, co powiedzieć, a cisza mnie przytłaczała. Wiórowaty nagle chleb rósł mi w ustach, a kiedy spróbowałem popić go piwem, zachłysnąłem się głośno.

Kobieta zmarszczyła brwi, zacisnęła usta. Nawet ze wzrokiem wbitym we własny talerz czułem jej spojrzenie. Jadłem jak najszybciej, marząc jedynie o ucieczce sprzed tych orzechowych oczu i milczących, zaciśniętych warg. Wepchnąłem do ust ostatnie kęsy chleba i sera, wstałem szybko, niezgrabnie, waląc biodrem w stół i prawie wywracając ławę. Skierowałem się do drzwi, po czym przypomniałem sobie nauki Brusa na temat wychodzenia z komnaty w obecności damy. Przełknąłem na w pół przeżuty kęs.

- Życzę ci dobrej nocy, pani - mruknąłem. Nie były to najważniejsze słowa, ale nie potrafiłem znaleźć bardziej odpowiednich. Zacząłem się wycofywać.

- Czekaj - rozkazała, a kiedy stanąłem, spytała: - Sypiasz w zamku czy w stajniach?

- Tak... nie... czasem. To znaczy i tu, i tu. Eee... dobrej nocy, pani. - Odwróciłem się i uciekłem. Byłem w połowie schodów, gdy zastanowiła mnie osobliwość tego pytania. A dopiero kiedy zacząłem się rozbierać, zdałem sobie sprawę, że w dalszym ciągu ściskam w garści pusty kubek po piwie. Poszedłem spać, czując się jak ostatni głupiec i nie rozumiejąc dlaczego.

12

CIERPLIWA

Najeźdźcy ze szkarłatnych okrętów dręczyli swój własny lud na długo przed tym, nim zaczęli niepokoić wybrzeże Królestwa Sześciu Księstw. Stosując bezlitosne metody, urosli z nielicznej grupy wyznawców mało znanego kultu w znaczną siłę religijną i polityczną. Władcy oraz wodzowie, odmawiający przyłączenia się do nich, często orientowali się wkrótce, że ich żony i dzieci padły ofiarami fatalnej przemiany, nazwanej przez nas na pamiątkę Kuźni - miejsca o złej sławie - kuźnicą. Zawyspiarze, ludzie w naszym mniemaniu okrutni i bez serca, przywiązywali ogromną wagę do kwestii honoru i wymierzali potworne kary za sprzeniewierzenie się więzom krwi. Można sobie wyobrazić dramat Zawyspiarza, gdy jego pierworodny został dotknięty kuźnicą. Człowiek taki musiał ukrywać zbrodnie odmienionego syna, który kłamał, okradał go i zniewalał kobiety w rodzinie, albo patrzeć, jak chłopaka za popełnione zbrodnie żywcem obdzierają ze skóry. Potem cierpiał jeszcze z powodu utraty dziedzica i respektu u członków innych rodów. Groźba kuźnicy była doprawdy potężnym czynnikiem zapobiegającym sprzeciwom wobec coraz większych politycznych wpływów korsarzy ze szkarłatnych okrętów.

Zanim najeźdźcy zaczęli gnębić nasze wybrzeża, podporządkowali sobie większość opozycji na Wyspach Zewnętrznych. Śmiałkowie otwarcie występujący przeciwko nim musieli salwować się ucieczką. W przeciwnym wypadku spotykała ich śmierć. Inni płacili haracz i z zaciśniętymi zębami cierpieli krzywdy od wyznawców kultu. Jednak nie brakowało też popleczników, ochoczo wstępujących w szeregi ciemnych. Ci malowali kadłuby statków na czerwono i bez zbędnych pytań wykonywali rozkazy. Owi odmieńcy rekrutowali się najczęściej z pomniejszych rodów; była to dla nich jedyna sposobność zyskania szerszych wpływów. A ten, który stał ponad najeźdźcami ze szkarłatnych okrętów, nie dbał, z kogo się wywodzili jego ludzie, tak długo, jak długo byli mu całkowicie oddani.

* * *

Dwukrotnie jeszcze spotkałem tę damę, zanim odkryłem, kim jest. Za drugim razem natknąłem się na nią następnego wieczoru, mniej więcej o tej samej godzinie. Sikorka była zajęta smażeniem konfitury, więc z Krową i Sztyletem poszedłem do tawerny posłuchać muzyki. Wypiłem może jeden, a co najwyżej dwa kubki piwa za dużo. Nie byłem zamroczony ani chory, ale ostrożnie stawiałem stopy, bo już raz się zwałem na wyboju na ciemnej drodze.

Tuż przy zakurzonem dziedzińcu kuchennym wybrukowanym kocimi łbami, obok miejsca gdzie stawały ciężkie wozy, kamienne ogrodzenie otaczało kipiący zielenią ogród, nazywany Kobięcym Ogrodem - nie dlatego że tylko niewiasty miały tam wstęp; po prostu one o niego dbały. Był to piękny park, ze sporym stawem pośrodku, ścieżkami wyłożonymi omszałym kamieniem i licznymi kępami niskich ziół rozmieszczonych pomiędzy kwitnącymi krzewami i altanami porośniętymi winoroślą. Wiedziałem, że kiedy jestem w takim stanie, lepiej iść tam niż od razu do łóżka. Gdybym spróbował teraz zasnąć, świat by mi zaczął wirować przed oczyma i zbierałoby mi się na wymioty. Wieczór był piękny i takie zakończenie dnia nie wydawało się właściwe, więc zamiast do swojej komnaty poszedłem do Kobięcego Ogrodu.

W jednym z kątów, pomiędzy rozgrzanym słońcem murem a mniejszym stawem, rosło siedem gatunków tymianku. W gorący dzień ich woń mogła przyprawić o zawrót głowy, ale

teraz, gdy wieczór przemieniał się w noc, bogate wonie dobrze mi zrobiły. Obmyłem twarz w wodzie, a potem oparłem się plecami o kamienną ścianę, która ciągle jeszcze oddawała nocy słoneczne ciepło. Rechotały żaby. Obserwowałem spokojną powierzchnię wody, próbując powstrzymać mdłości. Kroki. I cięty żeński głos.

- Jesteś pijany?

- Niezupełnie - odrzekłem sądząc, że mówię do Glinki, dziewczyny z sadu. - Za mało czasu i pieniędzy - dorzuciłem żartobliwie.

- Pewnie się tego nauczyłeś od Brusa. Sam jest zatwardziałym pijakiem i wszetecznikiem, więc i w tobie zasiał podobne zamiłowania. Zawsze ściąga do swojego poziomu tych, z którymi przestaje.

Zmrużyłem oczy, próbując w mroku rozpoznać, z kim rozmawiam. To była dama, którą pierwszy raz widziałem poprzedniego wieczoru. Stała na ścieżce, ubrana w prostą tunikę; na pierwszy rzut oka można ją było wziąć za nieledwie dziewczynkę. Była szczuplejsza i niższa ode mnie, choć nie miałem imponującego wzrostu na swoje czternaście lat. Zaciśnęła usta w grymasie potępienia, brwi ściągnęła w jedną linię. Włosy miała ciemne, lekko wijące się i upięte starannie, lecz kilka niesfornych loczków spływało na czoło i szyję.

Nie czułem się zmuszony bronić Brusa, po prostu mój stan nie miał nic wspólnego z jego zachowaniem. Powiedziałem więc coś o tym, że skoro jest daleko, w innym mieście, nie może być odpowiedzialny za to, co ja tutaj piję i w jakiej ilości.

Dama zbliżyła się o dwa kroki.

- Ale też nie nauczył cię lepszego zachowania, prawda? Nigdy ci nie odradzał pijaństwa, tak? W południowych stronach ludzie mówią, że w winie kryje się prawda. Musi jej być odrobina także w piwie. Wyjawiłem ją tamtej nocy.

- Szczerze mówiąc, pani, byłby teraz ze mnie bardzo niezadowolony. Przed wszystkim zganiłby mnie za to, że nie wstaję, gdy przemawia do mnie dama. - Podniosłem się niezbyt pewnie. - Potem wyłożyłby mi długo i surowo na temat zachowania, jakiego się można spodziewać po osobie królewskiej krwi, nawet bez tytułu. - Udało mi się skłonić, ale prostując się, musiałem zamachać ramionami, by nie stracić równowagi. - Tak więc dobry wieczór, pani, piękna damo ogrodu. Życzę pani dobrej nocy i usuwam swoją niegodną osobę sprzed twych oczu.

Byłem już w drodze do przejścia w murze.

- Czeka! - zawołała.

W żołądku coś mi zabulgotało ostrzegawczo, więc udałem, że nie słyszę. Nie poszła za mną, lecz byłem pewien, że mnie obserwuje. Trzymałem głowę wysoko i starałem się iść prosto, dopóki nie opuściłem kuchennego dziedzińca. Poszedłem do stajni, gdzie zwymiotowałem na stertę gnoju, a w końcu zwałem się w czystym pustym boksie, bo schody do pokoju Brusa wydawały mi się zdecydowanie zbyt strome.

Młody człowiek potrafi przejawiać zadziwiającą odporność, szczególnie gdy czuje się zagrożony. Następnego dnia wstałem o świcie, ponieważ Brus miał wrócić około południa. Umyłem się i zdecydowałem, że powinienem zmienić tunikę, którą nosiłem od trzech dni. Na korytarzu przed moją komnatą zaczepiła mnie ta dama. Obejrzała mnie od stóp do głów i zanim zdążyłem powiedzieć słowo, ona odezwała się do mnie.

- Zmień koszulę - nakazała. - W tych spodniach wyglądasz jak bocian. Powiedz mistrzyni Ściegu, że potrzebne ci nowe.

- Dzień dobry, pani - powiedziałem. Nie była to odpowiedź, lecz jedyne słowa, jakie mi przysły do głowy. Owa dama wydała mi się bardzo ekscentryczna, bardziej nawet niż wielmożna pani Tymianek. Oczekiwałem, że teraz odwróci się i odejdzie, lecz ona dalej szacowała mnie wzrokiem.

- Grasz na jakimś instrumencie? - spytała. Bez słowa potrząsnąłem głową.

- Może śpiewasz?

- Nie, pani.

Wyglądała na zakłopotaną.

- Może więc nauczono cię recytować eposy i wiersze, znasz się na ziołach i leczeniu, na żeglownianiu, czy masz inne umiejętności?

- Znam się tylko na tym, co pozostaje w związku z dbaniem o konie, sokoły i psy - odpowiedziałem jej, niemal szczerze. Brus dopilnował, bym się tego solidnie wyuczył. Cierni z kolei wpoił mi znajomość formułek o truciznach i odtrutkach, ale ostrzegał, że nie są one powszechnie znane i tą wiedzą nie powinienem się chwalić.

- Tańczyć, oczywiście, potrafisz? I pobierałeś nauki tworzenia rymów?

Byłem zupełnie skołowany.

- Pani, sądzę, że pomyliłaś mnie z kimś innym. Może masz na myśli Dostojnego, kuzyna króla. Jest tylko rok czy dwa młodszy ode mnie i...

- Z nikim cię nie pomyliłam. Odpowiedz na pytanie! - zażądała ostrym tonem.

- Nie, pani. Nauki, o których mówisz, przeznaczone są dla... szlachetnie urodzonych. Ja ich nie pobierałem.

Z każdym moim zaprzeczeniem zdawała się bardziej zakłopotana. Mocniej zacisnęła usta, orzechowe oczy spochmurniały.

- Nie sposób tego tolerować - stwierdziła, odwróciła się z furkotem spódnicy i pośpieszyła korytarzem.

Wszedłem do swojej komnaty, zmieniłem koszulę i włożyłem najdłuższe spodnie, jakie miałem. Usunąłem damę ze swoich myśli i rzuciłem się w wir codziennych obowiązków i nauk.

Po południu, gdy wrócił Brus, padało. Wszedłem przed stajnię i wziąłem od niego konia..

- Urosłeś, Bastardzie - zmierzył mnie krytycznym spojrzeniem, jak gdybym był koniem albo ogarem, który niespodziewanie przejawiał jakiś szczególny talent. Otworzył usta, jakby miał powiedzieć coś jeszcze, po czym potrząsnął głową i zachnął się lekko. - Co się tu działo od mojego wyjazdu? - zapytał, a ja zacząłem składać mu raport.

Nie było go zaledwie nieco ponad miesiąc, ale lubił wiedzieć wszystko, po najmniej ciekawe szczegóły. Szedł obok mnie, słuchając, a ja zaprowadziłem jego konia do boksu i zacząłem go oporządzać.

Czasami zdumiewało mnie, jak bardzo Brus był w swych żądaniach podobny do Ciernia. Obaj tak samo oczekiwali najdrobniejszych szczegółów i relacjonowania poczyną z ostatniego tygodnia albo miesiąca we właściwej kolejności. Nauka opowiadania Cierniowi nie była trudna; on zaledwie ujął w bardziej zdecydowaną formę wymagania, jakie Brus miał wobec mnie od dawna. Wiele lat później miałem sobie zdać sprawę, jak bardzo moje sprawozdania przypominały żołnierski raport przełożonemu.

Kto inny na miejscu Brusa, usłyszawszy moje streszczenie wydarzeń, jakie miały miejsce pod jego nieobecność, ruszyłby do kuchni albo wziął kąpiel. Ale Brus jeszcze przeszedł się po stajniach, przystając raz tu, by zamienić parę słów z parobkiem, raz tam, by przemówić łagodnie do któregoś zwierzęcia. Dotarłszy do konia owej damy, stanął jak wryty. Przez kilka minut przyglądał się rumakowi w milczeniu.

- Sam układałem go pod siodło - rzekł nagle, a koń na dźwięk jego głosu obrócił łeb i zarżał cicho. - Jedwab - szepnął pieszczotliwie i poklepał go po miękkich nozdrzach. Nagle westchnął. - Więc księżna Cierpliwa jest w twierdzy. Widziała cię już?

Niełatwo było odpowiedzieć na to pytanie. Tysiąc myśli skłębiło mi się w głowie. Księżna Cierpliwa, żona mojego ojca, wedle wszelkich znaków odpowiedzialna za jego rezygnację z praw do tronu i wyrzeczenie się mnie. To z nią gawędziłem sobie w kuchni i ją pozdrawiałem po pijanemu. To ona wypytywała mnie na temat mojej edukacji.

- Nieoficjalnie. Spotkaliśmy się kilka razy.

Ku memu zdumieniu Brus wybuchnął śmiechem.

- Twoja twarz jest jak otwarta księga, Bastardzie. Widzę, że księżna Cierpliwa niewiele się zmieniła. Poznałem ją w sadzie, gdy jeszcze mieszkała u ojca. Siedziała na drzewie. Poprosiła, żebym jej wyjął drzazgę z nogi. Nie czekając zdjęła bucik i pończochę. Na moich oczach. A nie miała najmniejszego pojęcia, kim jestem. Ani ja nie wiedziałem nic o niej. Wziąłem ją za jakąś pokojówkę. To było, rzecz jasna, dawno temu, kilka lat przed tym, nim ją spotkał mój książę. Byłem wtedy chyba niewiele starszy niż ty teraz. - Zamilkł, twarz mu złagodniała. - I miała nędznego psiaka, którego wszędzie nosiła ze sobą w koszyku. A on bez przerwy sapał i wymiotował kłębkiem własnej sierści. Nazywał się Skurzawka. - Przerwał na moment, uśmiechnął się, nieomal czule. - Co za wspomnienie, po tylu latach.

- Czy polubiła cię wtedy? - spytałem nietaktownie.

Brus popatrzył na mnie zamyślonym wzrokiem, żrenice mu zmatowiały.

- Lubiła mnie bardziej niż teraz. To nie ma znaczenia. Ciekaw jestem czego innego, Bastardzie. Co ona sądzi o tobie?

Niełatwo mi było odpowiedzieć. Pograżyłem się w relacjonowaniu naszych spotkań, pomijając szczegóły na tyle, na ile śmiałem. Byłem w połowie opowiadania o spotkaniu w ogrodzie, gdy Brus uniósł dłoń.

- Dość - rzekł spokojnie. Zamilkłem.

- Jeśli mówisz niecałą prawdę, żeby nie wyjść na głupca, bełkoczesz, aż trudno zrozumieć. Zaczynaj jeszcze raz.

Tak też zrobiłem i nie zataiłem niczego ani z mojego zachowania, ani z komentarzy damy. Skończyłem. Czekałem na osąd. Brus wyciągnął rękę i delikatnie pogładził chrapy wierzchowca.

- Pewne rzeczy zmieniły się z czasem - odezwał się w końcu. - A inne nie. - Westchnął. - Cóż, Bastardzie, masz zwyczaj pchać się i przed oczy ludziom, których powinieś jak najgorliwiej unikać.

Jestem pewien, że skutki nie dadzą na siebie długo czekać, ale przewidzieć ich nie potrafię. Tak więc nie martwmy się na zapas. Chodźmy zajrzeć do ratlerki. Mówisz, że urodziła szóstkę?

- I wszystkie przeżyły - zaznaczyłem dumnie, bo nieraz już były kłopoty z utrzymaniem przy życiu jej miotu.

- Miejmy nadzieję, że i nam uda się przeżyć - mruknął Brus, ale kiedy zdziwiony podniosłem na niego wzrok, robił wrażenie, jakby się wcale nie odzywał.

* * *

- Myślałem, że będziesz miał dość rozsądku, żeby jej unikać - utyskiwał Cierń.

Nie takiego powitania wyglądałem po prawie trzech miesiącach, jakie minęły od ostatniej mojej wizyty.

- Nie wiedziałem, że to księżna Cierpliwa. Nikt nic nie wspominał o jej przyjeździe.

- Ona nie znosi plotek - wyjaśnił krótko Cierń.

Siedział przed paleniskiem, na którym płonął mały ogień. W komnacie panował chłód, a Cierń był bardzo wrażliwy na zimno. Tej nocy wyglądał na zmęczonego. Szczególnie jego dłonie wyglądały staro; kościste i pomarszczone. Pociągnął łyk wina.

- I ma swoje dziwaczne sposoby - podjął Cierń - rozprawiania się z intrygantami. Zawsze bardzo ceniła własną prywatność. Między innymi dlatego byłaby bardzo nieodpowiednią królową. Ale Rycerskiemu to nie przeszkadzało. Poślubił ją z miłości, a nie z przyczyn politycznych. Myślę, że to było pierwsze większe rozczarowanie, jakie przyniósł swojemu ojcu. Od tego czasu już żadne jego działania nigdy się tak naprawdę Roztropnemu nie podobały.

Siedziałem cichutko jak myszka. Cichosz pojawił się znikąd i wspiał mi się na kolana. Cierń niezmiernie rzadko bywał tak rozmowny, zwłaszcza na tematy dotyczące rodziny królewskiej. Prawie przestałem oddychać, obawiając się, by mu nie przeszkodzić.

- Czasem wydaje mi się, że Rycerski odnalazł w Cierpliwej cechy, których jemu samemu brakowało. Był człowiekiem mądrym, o nienagannym zachowaniu i wzorowych manierach, zawsze umiał się znaleźć. Rycerski w najlepszym znaczeniu tego słowa. Nie ulegał pospolitym zachciankom, a tym bardziej niskim żądom. Niekiedy ludzie w jego towarzystwie czuli się nieswojo. Jeśli nie znali go dobrze, mogli uważać za wyniosłego lub wręcz nonszalanckiego. A potem spotkał tę dziewczynę... jeszcze prawie dziecko. Niespokojną jak fale, ulotną niczym morska piana. Jej myśli i słowa zawsze śmigały to tu, to tam, bez chwili wytchnienia, bez żadnego związku. Czasami wyczerpywało mnie samo słuchanie. A Rycerski uśmiechał się i zdumiewał. Może dlatego, że nie miała dla niego za grosz respektu. Może dlatego, że nie wydawała się szczególnie zainteresowana podbojem. A on, choć mógł przebierać w szlachetnych damach, lepiej urodzonych lub dowcipniejszych, wybrał Cierpliwą. W dodatku nie był to najlepszy czas na ożenek. Czyniąc z niej swoją panią, zamknął drzwi przed dobrodziejstwami korzystniejszego mariażu. Nie było żadnego powodu, by się miał żenić akurat wtedy. Ani jednego.

- Poza tym jednym, że chciał - wyrwało mi się. O mało nie odgryzłem sobie języka, gdyż Cierń pokiwał głową i otrząsnął się z zamyślenia. Odwrócił wzrok od ognia, spojrzał na mnie.

- Tak... No, dosyć tego. Nie będę cię pytał, jakim sposobem zrobiłeś na niej takie wrażenie ani co odmieniło jej serce dla ciebie. W zeszłym tygodniu zażądała od Roztropnego, byś został uznany dziedzicem Rycerskiego i pobierał nauki stosowne dla księcia.

Zakręciło mi się w głowie. Czy gobeliny przed moimi oczyma nagle się poruszyły, czy wzrok płatał mi figle?

- Rzecz jasna, Roztropny odmówił - ciągnął Cierń bezlitośnie. - Próbował jej wytłumaczyć, że jest to absolutnie niemożliwe. A ona ciągle powtarzała: „Ty jesteś królem. Jak coś może być dla ciebie niemożliwe?” „Szlachta nigdy go nie zaakceptuje - odparł Roztropny. - Mogłaby wybuchnąć wojna domowa. I pomyśl jeszcze, co by dla chłopca oznaczało takie rzucenie na głęboką wodę”. Tak jej tłumaczył.

Nie przypominam sobie, co czułem w tamtej chwili. Podniecenie? Gniew? Strach? Cokolwiek to było, szybko minęło i została we mnie tylko dziwna pustka.

- Cierpliwa, oczywiście, nie dawała się przekonać. „Przygotuj chłopca - powiedziała królowi - a kiedy będzie gotów, osądź sam”. Tylko ona mogłaby o coś takiego prosić, na dodatek w obecności Szczerego i Władczego. Następca tronu słuchał spokojnie, wiedząc jak to się musi skończyć, ale Władczy był siny z wściekłości. Stanowczo zbyt łatwo wyprowadzić go z równowagi. Nawet kompletny głupiec powinien rozumieć, że Roztropny nie mógł przystać na żądania Cierpliwej. Potrafił jednak osiągnąć kompromis. We wszystkim innym ustąpił, głównie po to, jak sądzę, by powstrzymać potok jej słów.

- We wszystkim innym? - powtórzyłem głupio.

- Niektóre zmiany przyniosą nam korzyść, inne trochę zaszkodzą. A w każdym razie narażą nas na niewygody. - Cierń zdawał się jednocześnie rozdrażniony i podniecony. - Musisz znaleźć więcej czasu w dzień, chłopcze, bo ja nie mam najmniejszej ochoty podporządkowywać swoich planów jej zamierzeniom. Cierpliwa zażądała, żebyś otrzymał wykształcenie należne twojemu pochodzeniu. I przysięgła ręczyć za tę edukację osobiście. Muzyka, poezja, taniec, śpiew, maniery... Może masz do tego lepszą głowę niż ja. Rycerskiemu zdawało się to nie sprawiać najmniejszych trudności. Czasami nawet potrafił te umiejętności dobrze spożytkować. Będiesz także paziem Cierpliwej. Jesteś już na to za duży, ale ona nalegała. Osobiście sądzę, że Cierpliwą ogarnął żal, stąd próbuje nadrobić stracony czas, co, jak wiadomo, nigdy nikomu się nie udało. Będziesz musiał zrezygnować z lekcji władania bronią. Brus znajdzie sobie innego chłopca stajennego.

Niewiele mnie obchodziły ćwiczenia z bronią. Zgodnie z tym, co Cierń często mi powtarzał, naprawdę dobry skrytobójca działa zupełnie niewidocznie. Jeślibym się dobrze wyuczył tego zawodu, nigdy na nikogo nie podniosę miecza. Tylko Brus... znowu doświadczyłem tego przedziwnego wrażenia, że nie wiem, co czuję. Nienawidziłem Brusa. Czasami. Był despotyczny i pozbawiony skrupułów. Wymagał ode mnie doskonałości, a jednocześnie bez obłonek mówił mi, że nigdy nie będę za nią nagrodzony. Ale był także otwarty i szczery, i wierzył, że potrafię dokonać wszystkiego, czego ode mnie wymagał...

- Zastanawiasz się pewnie, jakie korzyści dla nas uzyskała - ciągnął Cierń nieświadomy moich rozterek. Słyszałem w jego głosie zdumiewające podekscytowanie. - Dwukrotnie próbowałem wywalczyć to dla ciebie i dwukrotnie mi odmówiono. Ale Cierpliwa tak długo naciskała na Roztropnego, aż się poddał. Chodzi o Moc, chłopcze. Będiesz się uczył korzystania z Mocy.

- Moc - powtórzyłem bezmyślnie. Wszystko działa się dla mnie za szybko.

- Tak.

Próbowałem zebrać myśli.

- Brus mówił mi o niej kiedyś. Dawno temu.

Nagle przypomniałem sobie kontekst tamtej rozmowy. To było wówczas, gdy Gagatek przypadkiem nas zdradził. Brus przeciwstawił talent do korzystania z Mocy zdolności, dzięki której sięgałem ku myślom zwierząt i odkryłem zmianę w mieszkańcach Kuźni. Uznał ją za skazę, odsunął się ode mnie ze wstrętem. Czy rozwinięcie jednej umiejętności pozbawi mnie drugiej? Czy będzie to dla mnie strata? Myślałem o więzi, jaką mogłem nawiązywać z końmi i psami, gdy Brusa nie było w pobliżu. Pamiętałem Gagatka, wspominałem go ciepło i ze smutkiem. Nigdy wcześniej ani później nie byłem tak blisko związany z żadnym żywym stworzeniem. Czy ćwiczenie w posługiwaniu się Mocą nie odbierze mi Rozumienia?

- O co chodzi, chłopcze? - głos Ciernia był miły, lecz zatroskany.

- Sam nie wiem - odrzekłem drżąc. Nawet przed nim nie śmiałem odsłonić swego niepokoju. Ani skazy. - Chyba nic.

- Pewnie słuchałeś starych podań o tej nauce - domyślił się całkowicie mylnie. - Posłuchaj, chłopcze, to nie może być aż takie złe. Rycerski przez to przeszedł. Księżę Szczery także. W obliczu zagrożenia ze strony najeźdźców ze szkarłatnych okrętów Roztropny podjął decyzję, by wrócić do dawnych obyczajów i rozpowszechnić naukę korzystania z Mocy wśród wszystkich, którzy przejawiają jakiegokolwiek predyspozycje. Chce mieć przynajmniej jeden krąg Mocy, wspierający wysiłki Szczerego i jego samego. Konsyliarz nie jest zachwycony, ale według mnie to wyśmienity pomysł, choć nie mam dokładnego wyobrażenia, jak można używać Mocy do obrony królestwa. Mnie, jako bastardowi, nigdy nie pozwolono rozwijać tej umiejętności.

- Ty jesteś bękartem? - wyrwało mi się. Wszystkie inne pomieszane myśli usunęły się gdzieś, nagle nieważne, w obliczu takiej rewelacji.

Cierń wpatrywał się we mnie, równie wstrząśnięty jak ja.

- Ależ oczywiście. Myślałem, że wiesz o tym od dawna. Chłopcze, jak na kogoś tak spostrzegawczego, miewasz chwile przedziwnego zaćmienia umysłu.

Patrzyłem na Ciernia, jakbym go ujrzał po raz pierwszy w życiu. Może to bliźny skryty przed moimi oczyma owo podobieństwo. A było. Niezaprzeczalne. Ta brew, osadzenie uszu, linia dolnej wargi...

- Jesteś synem Roztropnego - zgadłem na chybił trafił, zasugerowany tylko podobieństwem. Nim zdążył się odezwać, zdałem sobie sprawę, jak głupie były moje słowa.

- Synem? - Cierń roześmiał się ponuro. - Dopiero by miał kwaśną minę, gdyby to usłyszał! Cóż, prawda przyprawia go o jeszcze gorsze grymasy. Jest moim młodszym bratem, chłopcze, tyle że on został poczęty w łóżu małżeńskim, a ja w wojskowym obozie niedaleko Piaszczystych Kresów. - Dodał cicho: - Moja matka była żołnierzem. Wróciła do domu, żeby

wydać mnie na świat, a potem poślubiła garncarza. Kiedy umarła, ojczym wsadził mnie na osła, dał matki naszyjnik i kazał go oddać królowi w Koziej Twierdzy. Miałem dziesięć lat. W tamtych czasach droga z Wełnianego Schronienia do stolicy była długa i ciężka. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

- No, dosyć tego. - Cierń wyprostował się sztywno. - Konsyliarz nie mógł się sprzeciwić rozkazowi króla, więc będzie cię szkolił, ale postawił warunek: nikt i nic nie będzie przeszkadzać w jego naukach. Gdy rozpocznie się trening, odłożysz wszelkie inne zajęcia. Choć mi to nie odpowiada, nic nie poradzę. Musisz się mieć na baczności. Znasz Konsyliarza, prawda?

- Tylko z widzenia. I słyszałem, co ludzie o nim gadają.

- A co o nim wiesz? - zapytał Cierń.

Wzięłem głębszy oddech i zastanowiłem się chwilę.

- Jada w samotności. Nigdy nie siada przy wspólnym stole ani z żołnierzami, ani w sali biesiadnej. Nigdy nie widziałem, żeby po prostu stał i rozmawiał z ludźmi na dziedzińcu ćwiczebnym czy kuchennym albo gdzieś w ogrodzie. Zawsze gdy go widzę, dokaś idzie, zawsze się śpieszy. Źle się obchodzi ze zwierzętami. Psy go nie lubią, a kiedy dosiada jakiegoś konia, rani mu pysk i paczy charakter. Wydaje mi się, że jest mniej więcej w wieku Brusa. Ubiera się dobrze, prawie tak wymyślnie jak księżę Władczy. Słyszałem, jak nazwano go człowiekiem królowej.

- Przy jakiej okazji? - spytał Cierń szybko.

- Hm... Już dosyć dawno... Brus to powiedział, kiedy Wzorzec - jeden z żołnierzy - przyszedł któreś nocy podпиты i lekko ranny. Miał jakieś nieporozumienie z Konsyliarzem i dostał od niego po twarzy, zdaje się pejczem. Prosił Brusa, żeby go opatrzył, bo nie powinien był pić tej nocy. Zbliżała się chyba jego warta. Usłyszał przypadkiem, jak Konsyliarz twierdził, że księżę Władczy jest dwa razy bardziej godzien królewskiego tronu niż obaj jego starsi bracia, i że to głupi zwyczaj, który nie pozwala mu objąć panowania. Mówił też, że matka księcia Władczego jest lepiej urodzona niż pierwsza małżonka króla Roztropnego. Każdy o tym wie. Wzorzec zaczął bójkę, dopiero gdy Konsyliarz powiedział, że królowa Skwapliwa jest szlachetniej urodzona niż sam król Roztropny, bo w jej żyłach płynie krew Przezornych dana od obojga rodziców, a nasz król odziedziczył błękitną krew tylko po ojcu. Wzorzec rzucił się na Konsyliarza, ale on odstąpił na bok i uderzył go w twarz. Zamilkłem.

- Więc?

- Więc Konsyliarz przedkłada księcia Władczego nad starszych książąt, a nawet nad króla. A księżę Władczy traktuje Konsyliarza z większym szacunkiem niż służbę czy żołnierzy. Kilka razy widziałem ich razem, odniosłem wrażenie, że nawet się go radził. Co jeszcze? Patrząc na to, jak Konsyliarz się ubiera, jak kroczy, można by pomyśleć, że papuguje księcia Władczego. Czasami wyglądają prawie jednakowo.

- Naprawdę? - Cierń wyczekująco pochylił się ku mnie. - Co jeszcze zauważyłeś?

Poszperałem w pamięci w poszukiwaniu dalszych spostrzeżeń.

- To chyba wszystko.

- Czy kiedykolwiek z tobą rozmawiał?

- Konsyliarz? Nie.

- Rozumiem. - Cierń w zamyśleniu pokiwał głową. - A co jeszcze wiesz o nim ze słyszenia? Czego się domyślasz? - Próbował mnie naprowadzić na jakiś ślad, ale nie potrafiłem odgadnąć, ku czemu zmierza.

- Pochodzi z księstwa Trzody, z głębi kraju. Jego rodzina przybyła do Koziej Twierdzy wraz z drugą żoną króla. Słyszałem pogłoski, że boi się wody; nie żegluje i nie pływa. Brus czuje przed nim respekt - mówi, że to człowiek, który zna swoją robotę i dobrze sobie z nią radzi - ale go nie lubi. Brus w ogóle nie znosi ludzi, którzy źle traktują zwierzęta, nawet jeśli robią to nieumyślnie. Służba kuchenna też go nie lubi. Młodszych zawsze doprowadza do łez. Oskarża

dziewczęta, że zostawiają włosy w posiłkach albo mają brudne ręce, a chłopców - że są zbyt głośni i nie umieją ładnie podać jedzenia. Dlatego kucharka też go nie lubi, bo kiedy jej pomocnicy są nie w humorze, nie wykonują dobrze swojej pracy.

Ciern w dalszym ciągu patrzył na mnie wyczekująco, jak gdyby się spodziewał czegoś bardzo ważnego. Poszukałem w myślach innych szczegółów.

- Nosi gruby łańcuch, a na nim medalion z wprawionymi weń trzema klejnotami. Dała mu go królowa Skwapliwa za jakąś specjalną usługę... Błazen go nienawidzi. Powiedział mi raz, że kiedy nikogo nie ma w pobliżu, Konsyliarz nazywa go odmieńcem i rzuca w niego czym popadnie.

Brwi Ciernia powędrowały w górę.

- Błazen z tobą rozmawia?

Był bardziej niż zdumiony. Poprawił się w krześle tak gwałtownie, że wino chlusnęło mu z kielicha na kolana. Wylał je nieuważnie rękawem.

- Czasami - przyznałem ostrożnie. - Niezbyt często. Tylko kiedy sam ma na to ochotę. Pojawia się i coś mi obwieszcza.

- Coś? Na przykład co?

Nagle zdałem sobie sprawę, że nigdy nie opowiedziałem Cierniowi o tamtej historii z zagadkowymi zdatnymi piaskami. Postanowiłem i teraz nie poruszać tego tematu. Nadal wydawało mi się to wszystko zbyt niejasne.

- Po prostu mówi różne dziwne rzeczy. Jakies dwa miesiące temu zatrzymał mnie i oznajmił, że następny dzień nie będzie dobry na polowanie. A nazajutrz było ciepło i bezchmurnie. Brus upolował dużego kozła. Pamiętasz? To było tego samego dnia, kiedy rosomak poharatał dwa psy.

- O ile dobrze sobie przypominam, omal nie dostał także ciebie. - Ciern pochylił się w krześle z dziwnie zadowolonym wyrazem twarzy.

Wzruszyłem ramionami.

- W końcu przecież Brus go stratował. A potem skłął mnie na czym świat stoi, jakby to była moja wina, że się na mnie rzucił. I jeszcze powiedział, że byłby mi porządnie przyłożył, gdyby zwierzę raniło Sadzę. Zupełnie jakbym mógł to wszystko przewidzieć. - Umilkłem na chwilę. - Chociaż błazen jest obcy, lubię z nim porozmawiać. Przemawia zagadkami, obraża mnie, naśmiewa się i mówi o sprawach, które jego zdaniem powinienem znać; jak myć włosy, czy żebym nie nosił żółtego...

- Tak? - Ciern spijał słowa z moich warg, jakby to, co miałem do powiedzenia, było bardzo ważne.

- Lubię go - niechętnie wyznałem. - Kpi sobie ze mnie, ale w jego ustach brzmi to jak uprzejmość. Przy nim czuję się... kimś ważnym. Bo chce ze mną rozmawiać.

Ciern oparł się wygodnie. Dyskretnie zasłonił dłonią uśmiech, ale ja i tak nie zrozumiałem, co go rozbawiło.

- Zaufaj swojej intuicji - poradził mi zwięźle. - I zapamiętaj każdą radę, jakiej ci udzieli. A poza tym, tak jak do tej pory, zachowaj dla siebie to, że w ogóle z tobą rozmawia. Ktoś mógłby to niewłaściwie zrozumieć.

- Kto? - zapytałem.

- Na przykład król Roztropny. W końcu błazen należy do niego. Kupiony i zapłacony.

Dziesiątki pytań cisnęły mi się na usta. Ciern musiał to dostrzec w mojej twarzy, bo zatrzymał je gestem uniesionej dłoni.

- Nie teraz. Na razie nie musisz wiedzieć więcej. Właściwie wiesz już i tak zbyt wiele. Zaskakująco wiele. Nie leży w moim zwyczaju dzielenie się cudzymi sekretami. Jeśli błazen będzie chciał, żebyś wiedział więcej, sam ci powie... Rozmawialiśmy, zdaje się, o Konsyliarzu?

Z westchnieniem podjąłem temat.

- Konsyliarz. Więc tak: traktuje z wyższością ludzi niskiego stanu, dobrze się ubiera i jada w samotności. Co jeszcze powinienem o nim wiedzieć? Miałem surowych nauczycieli, miałem też przykrych w obejściu. Chyba się nauczyłem radzić sobie z takimi ludźmi.

- Miejmy nadzieję. - Cierń był śmiertelnie poważny. - Ponieważ on cię nienawidzi. Nienawidzi cię bardziej, niż kochał twojego ojca. Drażniła mnie głębia tej miłości. Żaden człowiek, nawet książę z rodu królewskiego nie zasługuje na takie ślepe poświęcenie. A jego nienawiść do ciebie jest jeszcze mocniejsza. To mnie przeraża.

Coś w głosie Ciernia sprawiło, że zimna gula podeszła mi ze ściśniętego żołądka do gardła. Ogarnął mnie paraliżujący strach.

- Skąd wiesz?

- Sam to powiedział, kiedy Roztropny nakazał mu przyłączyć cię do grupy uczniów. „Czy bękart nie powinien znać swojego miejsca? Czy nie powinien być zadowolony z tego, co już mu dałeś, panie?” A potem odmówił uczenia cię posługiwania się Mocą.

- Odmówił?

- Słyszysz przecież. Na szczęście Roztropny był nieugięty. Jest przecież królem, Konsyliarz musi go słuchać, choć niegdyś służył królowej. Będiesz się u niego uczył codziennie. Zaczynasz za miesiąc od dzisiaj. Przedtem należysz do Cierpliwej.

- Gdzie będę się uczył?

- Na wierzchołku jednej z wież jest Ogród Królowej. Tam będą się odbywały nauki. - Cierń przerwał, jak gdyby zamierzał mnie przestrzec, a nie chciał przestraszyć. - Bądź ostrożny - rzekł w końcu - gdyż w tamtym ogrodzie nie mam żadnych wpływów. Tam jestem ślepy.

Było to przedziwne ostrzeżenie; wziąłem je sobie głęboko do serca.

13

KOWAL

Księżna Cierpliwa dowiodła swojej ekscentryczności już w bardzo młodym wieku. Jeszcze jako mała dziewczynka zapracowała sobie u opiekunek na opinię niezależnej, a jednocześnie pozbawionej podstawowej potrzeby dbania o siebie. Ktoś kiedyś zauważył: „Ona będzie cały dzień chodziła z rozpuszczonymi włosami, bo nie potrafi sama zapleść warkoczy, a cierpiałaby, gdyby ktoś zrobił to za nią”. Nim skończyła dziesięć lat, zdecydowała, że nie będzie pobierała tradycyjnych nauk stosownych dla dziewczynki jej urodzenia; interesowała się natomiast umiejętnościami, które miały bardzo nikłą szansę okazać się dla niej użyteczne: garncarstwem, sztuką tatuażu, tworzeniem perfum oraz hodowlą i rozmnażaniem roślin, szczególnie egzotycznych.

Bez żadnych skrupułów wymykała się spod opieki nianiek i nauczycieli na długie godziny. Nad dworskie ogrody przedkładała lasy i sady. Można by pomyśleć, że taki sposób życia powinien uczynić z niej dziecko zaradne i praktyczne. Nic bardziej mylnego. Była bezustannie podrapana, pokłuta i pokąsana, często się gubiła i nigdy nie wykształciła w sobie rozsądnej rezerwy w stosunku do ludzi ani zwierząt.

Uczyła się głównie sama. Wcześniej posiadała sztukę czytania i liczenia; treść każdego zwoju, książki lub tabliczki, która znalazła się w zasięgu jej rąk, pochłaniała z nieposkromioną ciekawością. Nauczycieli gniewał jej brak umiejętności skupienia myśli, a także częste nieobecności, które jednak w najmniejszym stopniu nie przeszkadzały jej uczyć się niemal wszystkiego szybko i dobrze. Jednak wykorzystanie tak nabytej wiedzy nie interesowało jej wcale. Głowę miała pełną marzeń i planów, przedkładała poezję i muzykę nad logikę oraz

dworskie maniere, nie wyrażała żadnego zainteresowania wejściem w świat towarzyski ani sztuką kokietowania.

A jednak poślubiła księcia, który zalecał się do niej z najszczerzym entuzjazmem, co wywołało skandal i stało się pierwszym krokiem na jego drodze do upadku.

* * *

- Stań prosto! Zesztywniałem.

- Nie tak! Wyglądasz jak indyk rozciągnięty na pieńku pod siekierą. Rozluźnij się. Nie, ale ramiona ściągnij do tyłu, nie garb się. Czy ty zawsze tak szeroko rozstawiasz nogi?

- Pani, to jeszcze chłopiec. Oni wszyscy tak wyglądają, sama skóra i kości. Pozwól mu wejść i poczuć się swobodnie.

- Dobrze już, dobrze. Wejź.

Skinieniem głowy wyraziłem swą wdzięczność pызatej służącej, która odpowiedziała mi uśmiechem rzeźbiącym dołeczki w policzkach. Wskazała mi ławę tak zarzuconą poduszkami i szalami, że ledwie zostało miejsca, by usiąść. Przycupnąłem na krawędzi i rozejrzałem się po komnacie księżnej Cierpliwej.

Było tu gorzej niż u Ciernia. Gdybym nie wiedział, że księżna Cierpliwa przybyła całkiem niedawno, powiedziałbym, iż panował wieloletni bałagan. Nawet szczegółowe wyliczenie sprzętów i drobiazgów nie oddałoby pełnego obrazu, gdyż dopiero ich zestawienie stwarzało ten stan. W jednym mocno zużytym bucie tkwiły jak w wazonie: wachlarz z piór, żołnierska rękawica i pęk bazi. Mała czarna terierka z dwoma tłustymi szczeniakami spała w koszyku wyłożonym futrzanym kapturem i paroma wełnianymi pończochami. Rzeźbiona w kości rodzina morsów stała na glinianej tabliczce obok końskiej podkowy. Lecz elementem dominującym były rośliny. Obfite fontanny zieleni kipiały z glinianych garnków, filiżanek i kielichów, a bukiety ciętych kwiatów i winorośli wychylały się z pozbawionych uszu kubków i innych wyszczerbionych naczyń. Zaniedbania uwidaczniały się w nagich patykach sterczących z garnczków napełnionych ziemią. Rośliny wyrastały w górę lub zwieszały splecione pędy z każdego miejsca, gdzie docierało przez okna poranne lub popołudniowe słońce. W efekcie wyglądało to, jakby ogród wlewał się tu z zewnątrz i w straszliwym nieładzie rozrastał po całej komnacie.

- Prawdopodobnie jest także głodny, nieprawdaż, Lamówko? Słyszałam, że chłopcy wiecznie mają wilczy apetyt. Zostało chyba trochę sera i chleba na stoliku przy moim łóżku. Przynieś mu je, dobrze, kochana?

Księżna Cierpliwa stała przy mnie niewiele dalej niż na wyciągnięcie ręki i ponad moją głowę rozmawiała ze służącą.

- Nie jestem głodny, naprawdę, dziękuję - wtrąciłem, zanim Lamówka zdążyła się dźwignąć z miejsca. - Przyszedłem tu, gdyż polecono mi rankami stawiać się na twoje usługi, pani, tak długo, jak długo będziesz sobie tego życzyła.

Było to bardzo delikatne przedłożenie tego, co rzeczywiście powiedział mi król Roztropny: „Masz iść co rano do jej komnat i robić wszystko, co jej zdaniem czynić powinieneś, byle tylko zostawiła mnie w spokoju. I rób to dotąd, aż będzie tobą tak zmęczona, jak ja nią”. Zdumiała mnie jego bezceremonialna szorstkość.

Nigdy nie widziałem go równie znużonego jak tamtego właśnie dnia. W chwili gdy szybkim krokiem opuszczałem komnatę, w progu stanął książę Szczery. On także był zmęczony i nie wyglądał najlepiej. Obaj mężczyźni rozmawiali i poruszali się, jakby cierpieli od nadmiaru wina wypitego poprzedniej nocy, a przecież widziałem ich wówczas przy stole; dał się tam wyraźnie zauważyć brak zarówno wesołości, jak i trunku. Książę Szczery, mijając mnie, rozwichrzył mi włosy.

- Z każdym dniem bardziej podobny do ojca - zauważył głośno.

Książę Władczy, który z marsem na twarzy pojawił się właśnie tuż za nim, zmierzył mnie wrogim spojrzeniem i głośno zamknął za sobą drzwi.

I oto znalazłem się tutaj, w komnatach księżnej, a ona rozmawiała o mnie ponad moją głową i omijała mnie, zupełnie jakbym był dzikim zwierzęciem, które mogłoby skoczyć na nią raptownie albo pobrudzić jej dywany. Odniosłem wrażenie, że Lamówka miała z tego niemalą uciechę.

- Wiem o tym, bo to ja prosiłam króla, żeby cię tu przysłano - wyjaśniła mi dokładnie księżna Cierpliwa. - Będiesz moim paziem.

- Tak, pani. - Poprawiłem się lekko na krawędzi ławy i próbowałem wyglądać na inteligentnego młodzieńca o dwornych manierach. Przywołując na pamięć poprzednie nasze spotkania, nie mogłem jej winić, że traktowała mnie jak głupca.

Zapadła cisza. Rozejrzałem się dookoła. Księżna Cierpliwa patrzyła w okno. Lamówka dziergała koronkę i uśmiechała się pod nosem.

- Aha, no tak. - Błyskawicznie, niczym nurkujący sokół księżna Cierpliwa schyliła się i podniosła za skórę na karku czarnego szczeniaka. Zaskomlał przestraszony, a jego matka podniosła zaniepokojone spojrzenie. Księżna wepchnęła go w moje ramiona. - To dla ciebie. Jest twój. Każdy chłopiec powinien mieć jakiegoś zwierzaka.

Chwyciłem popiskujące szczenię i zdołałem podeprzeć, zanim je puściła.

- A może wolisz jakiegoś ptaka? Mam w sypialni szczygły. Możesz sobie któregoś wybrać, jeśli chcesz.

- Nie, nie. Wolę psa.

W odpowiedzi na piskliwe pomiaukiwanie instynktownie sięgnąłem do umysłu szczeniaka uczuciem spokoju.

„Śliczny, dobry piesek. Cicho, cicho”...

Suka wyczuła i zaaprobowała ten kontakt. Wraz z białym szczeniakiem na powrót ułożyła się w koszyku, okazując beztroski brak zainteresowania. Czarny szczeniak podniósł wzrok i popatrzył mi prosto w oczy. Było to, o ile wiedziałem, ogromnie rzadkie zjawisko. Większość psów unika dłuższego bezpośredniego kontaktu wzrokowego. Równie niezwykła była świadomość tego zwierzęcia. Wiedziałem, dzięki swoim sekretnym eksperymentom przeprowadzanym w stajniach, że większość szczeniaków w tym wieku ma jedynie mgliste pojęcie o własnej odrębności i nakierowana jest wyłącznie na matkę, mleko oraz bieżące potrzeby. Natomiast ten malec miał już solidnie ugruntowane pojęcie własnej indywidualności i był żywo zainteresowany wszystkim, co działo się wokół niego. Lubił Lamówkę, która dokarmiała go kawałkami mięsa, i był ostrożny w stosunku do Cierpliwej, bo zbyt gwałtownie się poruszała, a poza tym wsadzała go z powrotem do koszyka za każdym razem, gdy wielkim nakładem wysiłku udało mu się stamtąd wydostać. Uważał, że pachnę bardzo zajmująco, a wonie koni, ptaków i innych psów podobne były w jego mózgu do kolorów; tworzyły obrazy, które nie miały jeszcze dla niego konkretnego znaczenia, lecz mimo to były fascynujące. Wywołałem dla niego różne zapachy, więc wspiał mi się na piersi, wachał mnie i lizał podniecony. „Zabierz mnie, pokaż mi, zabierz mnie”.

- ... nawet słuchać?!

Podskoczyłem ze strachu, spodziewając się razu od Brusa, i po chwili uświadomiłem sobie, gdzie jestem. Księżna przyglądała mi się z uwagą i zdziwieniem.

- Coś z nim chyba jest nie tak - odezwała się do Lamówki. - Może on chory na umyśle? Widzisz, jak się gapi na tego szczeniaka? Już myślałam, że będzie miał jakiś atak.

Lamówka uśmiechnęła się łagodnie.

- Bardzo mi przypomina ciebie, pani - rzekła nie przerywając dziergania - kiedy zaczynasz sadzić listki i kawałki łydżek, a w końcu stoisz i tylko patrzysz w sypką ziemię.

- Cóż... - Księżna Cierpliwa była wyraźnie niezadowolona. - U osoby dorosłej to zupełnie co innego - stwierdziła autorytatywnie. - Do czego to podobne, żeby młody chłopiec tak tkwił bez ruchu i wyglądał jak niespełna rozumu. „Później” - obiecałem szczeniakowi.

- Przepraszam - spróbowałem wyglądać na skruszonego. - Zajął mnie ten szczeniak. - Psiak zwinął się w zgięciu mojego łokcia i od niechcienia zaczął przeżuwać brzeg kaftana. Trudno wytłumaczyć, co czułem. Miałem skupić uwagę na księżnej Cierpliwej, a tutaj ta mała przytulona do mnie istota napępiała mnie bezgraniczną radością i absolutnym szczęściem. Niełatwo tak nagle stać się pępkiem czyjś światła, nawet jeśli ten ktoś to ośmiotygodniowy szczeniak. Równocześnie uświadomiłem sobie, jak bardzo samotny się czułem i od jak dawna. - Dziękuję, pani - powiedziałem i sam byłem zdziwiony wdzięcznością brzmiącą w moim głosie. - Ogromnie ci, pani, dziękuję.

- To tylko szczeniak - rzekła księżna Cierpliwa. Ku memu zdumieniu wyglądała niemal na zawstydzoną. Odwróciła się ode mnie i zapatrzyła w okno.

Szczeniak obliznął sobie nos i zamknął oczy.

„Ciepło. Spać”.

- Opowiedz mi o sobie - zażądała nagle. Zaskoczyła mnie.

- Co chciałabyś wiedzieć, pani? Wykonała krótki, bezradny gest.

- Co robisz każdego dnia? Czego cię nauczono?

W najlepszej wierze podjąłem próbę, by jej o tym opowiedzieć, ale dostrzegalem, że nie jest zadowolona. Mocno zaciskała usta za każdym razem, gdy wspominałem o Brusie. Nie zrobiło na niej wrażenia żadne z moich osiągnięć we władaniu bronią. O Cierniu nie mogłem, rzecz jasna, powiedzieć ani słowa. Pokiwała głową z niechętną aprobatą, kiedy wspominałem o nauce języków, pisania i liczenia.

- No tak - przerwała mi nagle - przynajmniej nie jesteś kompletnym nieukiem. Jeśli potrafisz czytać, możesz się kształcić. O ile będziesz chciał. Chcesz się uczyć?

- Chyba tak - odparłem bez entuzjazmu. Zdołała przygasić moją radość.

- Chyba w takim razie będziesz się uczył. Gdyż ja chcę, byś chciał, nawet jeśli jeszcze nie chcesz. - Raptownie stała się surowa i wymagająca, wyniosła, czym ogromnie mnie zdumiała.

- A jak cię nazywają, chłopcze?

Znowu to pytanie.

- Wystarczy „chłopcze” - mruknąłem. Śpiący szczeniak zaskamlał i poruszył się gwałtownie. Ze względu na niego zmusiłem się do zachowania spokoju.

Dana mi była ta satysfakcja i zobaczyłem, jak po twarzy księżnej Cierpliwej przemknął wyraz udręki.

- Nazwę cię... och, niech będzie Miły. Odpowiada ci to?

- Chyba tak - zgodziłem się bez entuzjazmu. Brus więcej uwagi poświęcał wyborowi imienia dla psa. Nazywał każdą istotę prawie tak, jakby pochodziła z rodu królewskiego, nadawał imiona, które określały usposobienie zwierzęcia, cechy charakterystyczne jego wyglądu albo cnotę, jakiej się po nim spodziewał. Nawet imię Sadzy kryło w sobie iskrę, którą nauczyłem się respektować. A ta kobieta nazwała mnie Miłym w chwili krótszej, niż trzeba na nabranie oddechu. Spuściłem wzrok, by nie dojrzała moich oczu.

- W takim razie - rzuciła szybko - przyjdź jutro o tej samej porze. Przygotuję coś dla ciebie. Uprzedzam cię, będę po tobie oczekiwała chęci do nauki. Życzę ci dobrego dnia.

- Dobrego dnia, pani.

Lamówka wymownie patrzyła na swoją panią. Wyczuwałem jej rozczarowanie, ale nie wiedziałem, czego ono dotyczyło. Odwróciłem się i wyszedłem.

Było jeszcze bardzo wcześnie. Pierwsza audyencja u księżnej zajęła niecałą godzinę. Nigdzie na mnie nie czekano, miałem czas dla siebie. Poszedłem do kuchni, wyprosić trochę resztek dla swojego szczeniaka. Najłatwiej byłoby go zanieść do stajni, ale wtedy Brus by się o nim dowiedział. Nie miałem złudzeń, co by się dalej działo. Szczeniak zostałby w stajniach.

Nominalnie byłby mój, ale Brus już by dopilnował, żeby ta nowa więź została zerwana. Nie miałem zamiaru do tego dopuścić.

Powzięłem pewien plan. Wyprosiłem w pralni stary koszyk, wymościłem go słomą, przykryłem znoszoną koszulą. Królewskie posłanie. Uznałem, że psiak nie będzie dużo brudził, a kiedy podrośnie, dzięki łączącej nas więzi nie sprawi mi wiele trudu przyuczenie go do porządku. Na razie musiał codziennie zostawać na jakiś czas sam, ale później będzie mógł wychodzić ze mną. Ostatecznie Brus i tak kiedyś się o nim dowie. Zdecydowałem, że z tym kłopotem poradzę sobie później. Teraz trzeba było dać szczeniakowi imię. Przyjrzałem mu się z uwagą. Terier, ale nie z tych szczekliwych z kręconym włosiem. Miał sierść krótką, szyję mocną, pysk jak wiaderko na węgiel. Dorosły będzie mi sięgał najwyżej do kolan, więc nie można mu nadać imienia zbyt ciężkiego. Nie chciałem, żeby był bojowy. Dlatego ani Rozpruwacz, ani Oficer. Będzie wytrwały i czujny. Może Chwył. Albo Strażnik.

- Albo Młot. Albo Kowadło. Albo Miech. Podniosłem wzrok. Błazen wyłonił się z którejs alkowy i poszedł za mną przez salę biesiadną.

- Młot, Kowadło, Miech... co to za dziwne imiona? - spytałem. Już się nie zastanawiałem, skąd błazen wie, o czym myślę.

- Młot albo Kowadło, bo skruszy twoje serce, a Miech - bo roznieci żar uczuć, czym zahartuje twoją siłę.

- Nie podobają mi się twoje pomysły. Zresztą to teraz złe słowa. Za bardzo kojarzą się z kuźnicą. Nie chcę takim imieniem naznaczać losu szczeniaka. Zaledwie wczoraj słyszałem w mieście, jak jeden pijany kłął na złodziejaszka: „Oby twoją kobietę dotknęła kuźnica”. Wszyscy na ulicy zamarli ze zgrozy. Błazen wzruszył ramionami.

- No to co. - Doszedł ze mną do mojej komnaty. - Wobec tego może Kowal. Mogę go obejrzeć?

Z ociąganiem podałem mu szczeniaka. Psiak przecknął się, drgnął i zaczął niezdarnie gramolić w dłoniach błazna.

„Nie pachnie, nie pachnie”.

Zdziwiony musiałem się z nim zgodzić. Nawet przez jego czarny nosek nie wyczułem od błazna żadnego zapachu.

- Ostrożnie. Nie upuść go.

- Jestem błaznem, nie głupcem - przypomniał mi błazen, ale usiadł na moim łóżku i położył szczeniaka obok siebie. Kowal natychmiast zaczął kotłować pościel, węsząc pod kocami. Usiadłem po drugiej stronie, pilnując, by nie zawędrował zbyt blisko krawędzi.

- No i jak? - zapytał błazen od niechcienia. - Pozwolisz jej się przekupić podarunkami?

- Dlaczego nie? - próbowałem być cyniczny.

- Byłby to błąd szkodzący wam obojgu. - Błazen schwycił Kowala za cienki ogonek i obrócił warczącego szczeniaka dookoła. - Będzie chciała dawać ci różne rzeczy. Musisz je przyjmować, bo nie ma grzecznego sposobu, by odmówić. Tylko czy zbudujesz z nich most czy mur między wami?

- Czy wy się znacie, ty i Cierń? - zapytałem znienacka. Ogromnie byli podobni w sposobie mówienia. Nigdy nie wspominałem o Cierniu nikomu poza królem ani od nikogo o nim nie słyszałem.

- Cień czy blask słońca, wiem, kiedy trzymać język za zębami. Tobie także przydałoby się tego nauczyć. - Błazen podniósł się nagle i ruszył do drzwi. W progu zatrzymał się na moment. - Nienawidziła cię tylko przez kilka pierwszych miesięcy. Właściwie nie była to prawdziwa nienawiść; raczej ślepa zazdrość. Zazdrościła twojej matce, że urodziła Rycerskiemu dziecko. Potem serce jej zmiękło. Chciała posłać po ciebie, wychowywać cię jak własnego syna. Można by sądzić, że po prostu chciała mieć blisko siebie wszystko, co się łączyło z Rycerskim. Moim zdaniem to nieprawda. Gapiłem się na błazna. Skąd tyle wiedział? I dlaczego mi o tym opowiadał?

- Z takimi otwartymi ustami wyglądasz jak wyrzucona na brzeg ryba - zauważył. - Twój ojciec oczywiście odmówił. Stwierdził, że mogłoby to mylnie sugerować formalne uznanie bękarta. Jednak, moim zdaniem, zupełnie nie o to chodziło. Taki obrót spraw byłby dla ciebie niebezpieczny. - Błazen zakręcił dłonią w powietrzu i nagle trzymał w palcach pasek suszonego mięsa. Na pewno przedtem miał go w rękawie, ale nie dostrzegłem, żeby tam sięgał. Zawsze mnie zaskakiwał podobnymi sztuczkami. Mięso wylądowało na łóżku, szczeniak natychmiast rzucił się na nie chciwie.

- Możesz ją zranić, jeśli zechcesz - ciągnął błazen. - Czuje się winna twojej samotności. W dodatku tak bardzo przypominasz Rycerskiego; cokolwiek powiesz - jakby wychodziło z jego ust. Ona jest podobna do klejnotu ze skazą. Jedno twoje precyzyjne uderzenie i rozpadnie się na części. Jest na wpół szalona, wiesz przecież. Nie udałoby im się tak łatwo zabić Rycerskiego, gdyby pozostał następcą tronu. A w każdym razie nie tak całkowicie bezkarnie. Cierpliwa o tym wie.

- Kto to jest „oni”?

- Kto to są „oni” - poprawił mnie błazen i zniknął mi z oczu. Zanim dopadłem drzwi, już go nie było. Sięgnąłem do jego umysłu, ale nic nie znalazłem. Prawie tak jak gdyby był dotknięty kuźnicą. Zadrzałem na tę myśl i wróciłem do Kowala. Poszarpał mięso na drobne kawałki i rozwłóczył je po całym łóżku.

- Błazen poszedł sobie - powiedziałem psu. Obojętnie zamachał ogonem i ponownie zajął się mięsem. Był mój, dostałem go. Nie pies z królewskiej psiarni, którym się opiekowałem, ale mój, i w dodatku poza wiedzą i władzą Brusa. Niewiele miałem na własność. Tylko ubrania oraz miedzianą bransoletę, znalezioną u Ciernia. A teraz Kowala. Nie potrzebowałem już niczego więcej.

Połknął ostatni kawałek mięsa i oblizał się z uznaniem. Zdrowy i silny szczeniak, pokryty jeszcze szczenięcym puchem. Czarny, podpalany. Odkryłem jedną białą łatę na brodzie i drugą na lewej tylnej łapie. Zacisnął ostre zęby na rękawie mojej koszuli i szarpał, warcząc zapamiętale. Szamotaliśmy się, aż ze zmęczenia zapadł w głęboki sen. Wtedy przenieśliśmy go na słomiane posłanie i niechętnie wyszedłem na popołudniowe lekcje i do innych obowiązków.

Pierwszy tydzień był czasem próby. Uczyłem się częściowo skupiać uwagę zawsze na Kowalu, by nigdy nie czuł się pod moją nieobecność samotny i nie wył. Wymagało to praktyki, więc bywałem nieco rozkojarzony. Brus marszczył podejrzliwie czoło, ale go przekonałem, że powodem mojego roztargnienia były spotkania z księżną Cierpliwą.

- Nie mam pojęcia, czego ta kobieta ode mnie chce - powiedziałem mu trzeciego dnia. - Wczoraj była muzyka. W ciągu dwóch godzin próbowała mnie nauczyć gry na harfie, na fletni Pana i na flecie. Kiedy już prawie udawało mi się zagrać kilka nut na którymś z instrumentów, wrywała mi go z ręki i kazała próbować na innym. Skończyła tę naukę mówiąc, że nie mam uzdolnień muzycznych. Dzisiaj rano była poezja. Zaczęła mnie uczyć wiersza o królowej Kwitnącej i jej ogrodzie. Jest tam taki długi fragment o wszystkich ziołach, jakie hodowała, i które z nich do czego służy. Ciągle się w tym myliła. Kiedy powtórzyłem wszystko dosłownie, rozgniewała się na mnie. Krzyczała, że przecież kocimiętka nie jest na kataplazmy i że sobie z niej drwią. Poczułem prawdziwą ulgę, gdy tak ją rozboleła głowa, że musieliśmy przerwać naukę. A kiedy chciałem przynieść na ból głowy pączki rukwi, usiadła sztywno wyprostowana i powiedziała: „Proszę bardzo! Wiedziałam, że kpisz ze mnie!” Brus, zupełnie nie wiem, jak się jej przypodobać.

- Niby po co? - mruknął, a ja nie podjąłem tematu. Tego wieczoru przyszła do mojej komnaty Lamówka. Zapukała, weszła i zmarszczyła nos.

- Lepiej przynieść trochę pachnących ziół, jeśli masz zamiar tutaj trzymać szczeniaka. I dodaj do wody octu, kiedy po nim sprzątasz. Czuć tu jak w stajni.

Patrzyłem na nią z ciekawioną i czekałem.

- Przyniosłam ci to. Chyba ci się spodobało. - W wyciągniętej ręce trzymała fletnię Pana. Patrzyłem na krótkie grube rurki powiązane na kształt tratwy paskami skóry. Rzeczywiście, spośród trzech instrumentów ten najbardziej przypadł mi do gustu. Harfa miała o wiele za dużo strun, a flet wydawał mi się piskliwy.

- Księżna Cierpliwa mi ją przysyła? - zapytałem zdumiony.

- Nie. Ona nawet nie wie, że to wzięłam. Pomyśli pewnie, że gdzieś się zawieruszyło, jak zwykle.

- Po co mi to przyniosłaś?

- Żebyś uczył się grać. Kiedy nabierzesz już trochę wprawy, przyjdź i zagraj dla niej.

- Dlaczego? Lamówka westchnęła.

- Bo dzięki temu ona poczuje się lepiej. A wraz z tym moje życie będzie dużo łatwiejsze. Nie ma nic gorszego, niż służyć u zrozpaczonej pani. Desperacko pragnie, żebyś w czymkolwiek okazał się wyjątkowo biegły. Ciągłe każe ci czegoś próbować i ma nadzieję, że nagle błysniesz niespodziewanym talentem, tak by mogła pokazać cię szydercom i powiedzieć im: „Proszę, mówiłam wam, że jest wyjątkowo uzdolniony”. Widzisz, mam synów i wiem, jacy są chłopcy. Nie uczą się, nie rosną, nie nabierają ogłady, kiedy się na nich patrzy. Ale wystarczy tylko odwrócić wzrok, a potem spojrzeć ponownie i oto są mądrzejsi, wyżsi i czarujący - dla każdego poza własną matką.

Czułem się odrobinę zagubiony.

- Mam się nauczyć na tym grać, żeby uszczęśliwić księżnę Cierpliwą?

- Żeby czuła, że coś ci dała.

- Dała mi Kowala. Nie może mi dać nic wspanialszego. Lamówka była zdziwiona moją niespodziewaną szczerością. Ja także.

- No tak. Możesz jej to powiedzieć. Możesz też spróbować nauczyć się grać na fletni Pana albo recytować jakąś balladę, albo śpiewać dawne modlitwy. Wtedy pewnie lepiej zrozumie twoją wdzięczność.

Po wyjściu Lamówki siadłem zamyślony, rozdarty pomiędzy złością a rozmarzeniem. Księżna Cierpliwa chciała odkryć we mnie jakiś talent. Zupełnie jakbym dotąd nigdy niczego nie zrobił, nie osiągnął. Przemyślałem dokładnie, czego dokonałem i co ona o mnie wiedziała, a wówczas zdałem sobie sprawę, że w jej oczach musiałem rzeczywiście wyglądać niezbyt ciekawie. Potrafiłem pisać i czytać, zajmować się końmi oraz psami. Potrafiłem także gotować trujące wywary, sporządzać napary usypiające, kłamać i kraść, ale żadna z tych umiejętności by jej nie zachwyciła, nawet gdybym mógł o nich opowiedzieć. Czy więc mogłem być kimś jeszcze, nie tylko szpiegiem lub skrytobójcą?

Następnego ranka wstałem wcześniej i poszedłem do Krzewiciela. Ucieszył się, kiedy go poprosiłem o pożyczenie farb i pędzli. Dał mi papier w lepszym gatunku niż bruliony do ćwiczeń. Wymógł na mnie przyrzeczenie, że mu pokażę efekt swoich starań. Idąc schodami na górę zastanawiałem się, czy chciałbym być jego czeladnikiem. Z pewnością miałbym życie łatwiejsze niż teraz.

Zadanie, jakie sobie wyznaczyłem, okazało się nadszpiegowanie trudne. Przyglądałem się Kowalowi śpiącemu na legowisku. Czym krzywizna jego grzbietu różniła się od zawilosci znaków runicznych? Cienie uszu tak inne były od cieni na ilustracjach ziół, które gorliwie kopiowałem z dzieł Krzewiciela. Ale były, istniały. Niszczyłem arkusz za arkuszem, aż nagle dostrzegłem, że nie linie, lecz różnorodność cieni wokół szczeniaka tworzy okrągłość brzucha i linię łapy. Musiałem malować mniej, a nie więcej, i oddawać raczej to, co widziałem, niż to, o czym wiedziałem.

Ranek przemienił się w dzień, gdy wreszcie umyłem pędzle i odłożyłem je na bok. Miałem dwa obrazki, które mi się podobały, i trzeci, który polubiłem, ponieważ był trochę niewyraźny i jakby zamglony, przedstawiał kształt bardziej podobny do snu o szczeniaku niż do prawdziwego szczeniaka.

Bardziej jak to, co czuję, niż to, co widzę - pomyślałem.

Gdy stanąłem przed drzwiami komnaty księżnej Cierpliwej z arkuszami papieru w dłoniach, nagle ujrzałem siebie jako pędra, który prezentuje matce zmiętoszony listek mniszka. Cóż to było za zajęcie dla nastolatka, takie malowanie? Gdybym naprawdę był czeladnikiem Krzewiciela, wówczas ćwiczenia tego rodzaju miałyby sens i cel, gdyż dobry skryba musi potrafić ilustrować i kopiować obrazy, równie dobrze jak pisać.

Nie zdążyłem zapukać. Drzwi się otworzyły i oto stałem w progu, z palcami ciągle jeszcze umazanymi farbą i z wilgotnymi arkuszami w dłoni.

W milczeniu przyjąłem zirytowane zaproszenie księżnej Cierpliwej podparte stwierdzeniem, że już się dostatecznie spóźniłem. Przysiadłem na brzeжку fotela, na którym leżał zgnieciony płaszcz i jakieś zaczęte szycie. Odłożyłem obrazki na bok, na wierzch stosu tabliczek.

- Myślę, że jeśli zechcesz, mógłbyś się nauczyć recytować wiersze - zauważyła Cierpliwa dosyć szorstko. - Mógłbyś także się nauczyć tworzyć wiersze, jeśli zechcesz. Rytm i metrum to tylko... to tamten szczeniak?

- Miał być on - wymruczałem. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek wcześniej czuł się bardziej zakłopotany.

Ostrożnie podniosła arkusze i obejrzała każdy po kolei, najpierw z bliska, potem na odległość ramienia. Najdłużej patrzyła na ten zamglony.

- Kto ci to namalował? Oczywiście to nie usprawiedliwia twojego spóźnienia, ale mogłabym znaleźć dobre zajęcie człowiekowi, który potrafi przenieść rzeczywistość na papier zachowując równie prawdziwe kolory. W tym właśnie cała trudność ze wszystkimi zielnikami: każde zioło jest malowane tą samą zielenią, bez względu na to czy w naturze jest szarawe, czy podbarwione różem. Takie tablice są zupełnie bezużyteczne, jeśli człowiek próbuje się z nich czegoś nauczyć...

- Podejrzewam, że sam namalował tego szczeniaka, pani - przerwała jej Lamówka łagodnie.

- I papier jest lepszy niż ten, na którym ja musiałam... - Cierpliwa raptownie zamilkła. - Ty, Miły?

Po raz pierwszy nazwała mnie imieniem, które mi sama nadała.

- Ty tak malujesz?

Przyszpilony jej niedowierzającym spojrzeniem zdołałem tylko kiwnąć głową. Ponownie uniosła arkusze.

- Twój ojciec nie potrafił narysować nawet jednej linii, jeśli nie miała się znaleźć na mapie. Czy twoja matka potrafiła malować?

- Nie pamiętam jej, pani - odpowiedziałem sztywno. Dotąd nikt się nie odważył wypytywać mnie o matkę.

- Jak to, w ogóle? Przecież miałeś sześć lat! Musisz coś pamiętać... kolor jej włosów, dotyk rąk, jak cię nazywała...

Czy usłyszałem w jej głosie bolesną ciekawość, głód, którego nie mogła zaspokoić?

Przez jeden krótki moment pamiętałem. Zapach mięty, a może raczej... zniknęło.

- Nic, pani. Sądzę, że gdyby chciała, żebym ją pamiętał, toby mnie zatrzymała. - Zamknąłem swoje serce. Z pewnością nie byłem winien pamięci matce, która mnie oddała i od tamtej pory nawet za mną nie zatęskniła.

- Cóż... - Zapewne księżna Cierpliwa zdała sobie sprawę, że sprowadziła naszą rozmowę na grząski grunt. Zapatrzyła się na szary dzień za oknem. - Tak czy inaczej, ktoś dobrze cię wyuczył - zauważyła nagle, zbyt swobodnie.

- Krzewiciel. - Ponieważ milczała, dodałem: - Nadworny skryba, znasz go, pani. Chciał ze mnie uczynić swojego czeladnika. Podobają mu się moje litery i teraz pracuje ze mną nad kopiowaniem wizerunków. To znaczy, kiedy mamy czas. Jestem często zajęty, a on próbuje wyprodukować papier z trzciny.

- Papier z trzciny?

- Niewiele go już zostało. Miał kilka miar, ale po trochu go zużył. Dostał ten szczególny papier od handlarza, który kupił go od innego, a tamten od jeszcze innego, tak że w końcu nie wiadomo, skąd właściwie pochodził. Podobno robi się go z prasowanej trzciny. Jest znacznie lepszej jakości niż przez nas wytwarzany. Cienki i mocny. Gdy się starzeje, nie rozpada się tak łatwo, a przy tym atrament w niego nie wsiąka, więc krawędzie runów pozostają wyraźne. Krzewiciel mówi, że gdybyśmy potrafili go wytworzyć, wiele by się zmieniło. Na dobrym, mocnym papierze każdy mógłby mieć kopię przechowywanych w zamku tabliczek, na których zapisano wszelką wiedzę. Gdyby papier był tańszy, więcej dzieci mogłoby się uczyć pisać, czytać i tak dalej. Krzewiciel to dziwak, jest aż tak...

- Nie wiedziałam, że ktoś tutaj podziela moje zainteresowania. - Nagłe ożywienie rozjaśniło twarz księżnej Cierpliwej. - Próbował robić papier z prasowanych łądyg lili? Miałam w tym pewne osiągnięcia. Można go też robić z włókien kory cedrowej. Najpierw się je splata, potem mokre arkusze trzeba włożyć pod prasę. Jest mocny i elastyczny, ale powierzchnia pozostawia wiele do życzenia. Zupełnie inaczej niż ten papier...

Znowu spojrzała na arkusze trzymane w dłoni i zamilkła.

- Aż tak bardzo lubisz tego szczeniaka? - zapytała z wahaniem.

- Tak - odrzekłem po prostu i nasze oczy nagle się spotkały. Patrzyła na mnie z takim samym roztargnieniem, jak często spoglądała przez okno. Nagle jej oczy wypełniły się łzami.

- Czasami jesteś tak podobny do niego... - załkała. - Powinieneś być mój! To nie w porządku, ty powinieneś być mój! - krzyknęła.

Rzuciła się do mnie. Myślałem, że mnie uderzy, ale nie. Uścisnęła mnie przelotnie, jednocześnie przydeptała psa i wyrzuciła wazę z jakąś rośliną. Pies ze skowytaniem wyprysnął jej spod nóg, waza rozbiła się o podłogę, rozbryzgując wodę i rozsiewając okruchy na wszystkie strony świata, a moja pani trafiła mnie czołem prosto w brodę, aż przez jakiś czas widziałem tylko gwiazdy. Zanim zdążyłem zareagować, uciekła do sypialni, zawodząc wniebogłosy. Zatrzasnęła za sobą drzwi.

Przez cały ten czas Lamówka nie przerwała dziergania.

- Czasem tak się z nią dzieje - zauważyła łagodnie i pokazała mi gestem, że mogę już iść. - Przyjdź jutro - przypomniała mi i dodała: - Wiesz, księżna Cierpliwa bardzo cię polubiła.

14

KONSYLIARZ

Konsyliarz, syn tkacza, przybył do Koziej Twierdzy jako mały chłopiec. Jego ojciec był jednym z osobistych służących królowej Skwapliwej, który podążył za nią z Księstwa Trzody. Mistrzynią Mocy w Koziej Twierdzy była wówczas Troskliwa. Kształciła w posługiwaniu się Mocą króla Szczodrego oraz jego syna Roztropnego. Gdy przyszli na świat synowie Roztropnego, była już stara. Pokornie prosiła króla Szczodrego, by pozwolił jej przyjąć ucznia do terminu, a on wyraził zgodę. Młody Konsyliarz cieszył się wielkimi łaskami przyszłej królowej, więc na usilne nalegania Skwapliwej, Troskliwa wzięła go na swojego ucznia. W tamtym czasie, podobnie jak teraz, korzystanie z Mocy wzbraniane było bękartom domu Przezornych, lecz jeśli niespodziewanie rozkwitał gdzieś wielki talent, rozwijano go i nagradzano. Bez wątplenia Konsyliarz był właśnie takim chłopcem, przejawiającym dziwne i nieoczekiwane zdolności, które nie uszły uwagi mistrzyni.

Nim książęta Rycerski i Szczery podrośli na tyle, by pobierać nauki korzystania z Mocy. Konsyliarz był już tak zaawansowany, że - choć zaledwie rok od nich starszy - pomagał w nauczaniu.

* * *

Raz jeszcze zatęskniłem za stabilizacją w życiu i na krótko ją znalazłem. Niezręczne stosunki z księżną Cierpliwą stopniowo przerodziły się w spokojne przekonanie, iż nigdy nie połączy nas zażyła przyjaźń. Żadne z nas nie czuło potrzeby dzielenia się uczuciami; krążyliśmy wokół siebie, utrzymując bezpieczny dystans. A jednak zdołaliśmy osiągnąć porozumienie. Zdarzały nam się czasem chwile szczerej uciechy, niekiedy nawet odkrywaliśmy w sobie podobne zainteresowania.

Kiedy już odstępiała od utopijnego zamiaru uczenia mnie wszystkiego, co powinien umieć książę z rodu Przezornych, mogła mi rzeczywiście przekazać dużą wiedzę. Bardzo skromna część mojej edukacji dotyczyła tego, czego księżna zamierzała mnie uczyć początkowo. Posiadałem praktyczną znajomość muzyki, lecz tylko dzięki pożyczaniu od niej instrumentów i wielu godzinom samotnych eksperymentów. Stałem się jej gońcem raczej niż paziem, a robiąc dla niej sprawunki, niemało się nauczyłem o sztuce perfumeryjnej i znacząco rozszerzyłem swoją wiedzę o roślinach. Nawet Cierń zapalał entuzjazmem, kiedy odkrył mój talent do hodowli roślin; za tym poszło jego zainteresowanie eksperymentami, jakie przeprowadzałem wraz z księżną, polegającymi na szczepieniu pędów jednego drzewa na innym. Nieczęsto odnosiliśmy sukcesy. Księżna Cierpliwa słyszała pogłoski, że zamierzone efekty dawało jedynie zastosowanie odpowiedniej magii, lecz mimo to podjęła próby. Do dzisiejszego dnia w Kobiecy Ogródzie rośnie jabłoń z jedną gałęzią rodzącą grusze. Kiedy wyraziłem zainteresowanie sztuką tatuażu, nie pozwoliła mi jej wypróbować na własnym ciele; stwierdziła, że jestem jeszcze za młody na podjęcie podobnej decyzji. Jednocześnie bez najmniejszego wahania pozwoliła mi patrzeć, a w końcu pomagać w powolnym nakłuwaniu i farbowaniu skóry wokół jej kostki, a potem łydki, które pokryła girlanda kwiatów.

W ciągu kilku pierwszych dni nauczyliśmy się wzajemnej szorstkiej uprzejmości. Reszta zmieniła się przez miesiące i lata. Księżna Cierpliwa widziała się z Krzewicielem i przedstawiła mu swój projekt dotyczący papieru z łądyg lilii. Szczeniak rósł dobrze i z każdym dniem sprawiał mi większą radość. Wypadki do miasta dawały mi częste okazje do spotkań z przyjaciółmi, w szczególności z Sikorką. Była mi niezastąpionym przewodnikiem po straganach z pachnidłami, gdzie kupowałem dla księżnej Cierpliwej składniki do perfum. Kuźnica i najeźdźcy ze szkarłatnych okrętów nadal stanowili niebagatelne zagrożenie, ale wtedy zdawali mi się odlegli niczym chmura gradowa na horyzoncie, niczym wspomnienie chłodu zimy w upalny dzień lata. Przez bardzo krótki czas byłem szczęśliwy i, co ważniejsze, zdawałem sobie z tego sprawę.

A potem zaczęły się lekcje z Konsyliarzem.

W noc poprzedzającą te spotkania przysłał po mnie Brus. Martwiłem się, jakie to znów zadanie wykonałem niewłaściwie i za co zostanę skarcony. Znalazłem Brusa czekającego na mnie przed stajniami, przestępującego z nogi na nogę niczym spętany ogier. Natychmiast skinieniem przykazał mi iść za sobą i poprowadził na górę, do swojej izby.

- Herbaty? - zaproponował, a kiedy skinąłem głową, nalał mi kubek z czajnika umieszczonego nad paleniskiem.

- Dlaczego chciałeś mnie widzieć? Stało się coś złego? - zapytałem biorąc z jego rąk naczynie. Nigdy jeszcze nie widziałem Brusa tak spiętego. Było to tak do niego niepodobne, że obawiałem się jakichś przerażających wieści - że Sadza jest chora albo nawet padła, albo że się dowiedział o istnieniu Kowala.

- Nie, nic złego - skłamał tak niezręcznie, że sam natychmiast to zauważył. - Chodzi o to, chłopcze, że przyszedł do mnie dzisiaj Konsyliarz. Powiedział, że będziesz uczony umiejętności korzystania z Mocy. I powiedział, że dopóki on będzie ciebie uczył, ja mam się nie wtrącać: nie dawać ci żadnych porad, żadnych zadań, nawet mam z tobą nie jadać. Wyraził się... bardziej bezpośrednio. - Brus zamilkł, a ja się zastanawiałem, jakie właściwsze określenie odrzucił. Nie patrzył na mnie. - Był czas, kiedy chciałem, by dano ci taką szansę, ale ponieważ nikt o tobie nie wspominał, uznałem, że może to i lepiej. Konsyliarz jest srogim nauczycielem. Bardzo srogim. Słyszałem już coś o tym. Jest dla swoich uczniów bezlitosny, lecz twierdzi, że nie wymaga od nich więcej niż od siebie samego. Widzisz, chłopcze, wiem, że ludzie gadają to samo o mnie. Trudno w to uwierzyć. Pozwoliłem sobie na lekki uśmiech, który wywołał grymas zdziwienia na twarzy Brusa.

- Słuchaj, co do ciebie mówię. Konsyliarz nie ukrywa, że cię nie lubi. Oczywiście w ogóle cię nie zna, więc nie ma w tym twojej winy. Wszystko bierze się wyłącznie z tego... kim jesteś, ale jeśli nie ciebie, Konsyliarz musiałby obarczyć odpowiedzialnością księcia Rycerskiego, a nigdy nie słyszałem, by przyznał, że Rycerski miał jakiegokolwiek skazy... choć przecież można kogoś kochać mimo jego wad. - Brus nerwowo okrążył pokój, wrócił przed palenisko.

- Po prostu mi powiedz, co masz do powiedzenia - zaproponowałem.

- Próbuję - burknął. - Niełatwo mi zdecydować, co mam ci powiedzieć. Nie jestem nawet pewien, czy powinienem z tobą rozmawiać. Czy to wtrącanie się, czy rada? Nie rozpoczęłeś jeszcze nauki, więc powiem ci tak: staraj się przy nim, jak możesz. Nie odpyskuj mu. Traktuj go z respektem, grzecznie i uprzejmie. Słuchaj uważnie wszystkiego, co mówi, i ucz się jak najpilniej. - Znowu przerwał.

- Nie zamierzałem inaczej - oznajmiłem odrobinę cierpko, bo byłem pewien, że jeszcze nie powiedział najważniejszego.

- Wiem o tym, Bastardzie! - Westchnął ciężko i usiadł przy stole naprzeciwko mnie. Ścisnął pięściami skronie, jak gdyby bolała go głowa. Nigdy nie widziałem Brusa tak wzburzonego. - Dawno temu mówiłem ci o... tej innej magii. O Rozumieniu. O więzi ze zwierzętami, o tym jak człowiek staje się prawie jednym z nich. - Przerwał i rozejrzał się po pokoju. Czyżby się obawiał, że ktoś mógłby go usłyszeć? Pochylił się ku mnie i mówił cicho, lecz dobitnie. - Trzymaj się od tego z daleka. Robiłem co w mojej mocy, byś wiedział, że to haniebne i złe. Niestety, nigdy nie odniosłem wrażenia, że się ze mną zgadzasz. Tak, wiem, że przestrzegałeś moich reguł, w każdym razie zazwyczaj. Ale niekiedy czułem, a czasem podejrzewałem, że nie zachowujesz się jak człowiek przyzwoity. Mówię ci, Bastardzie, prędzej bym wołał... prędzej bym wołał zobaczyć cię zarażonego kuźnicą. Tak, nie patrz na mnie taki wstrząśnięty, właśnie tak czuję. A jeśli chodzi o Konsyliarza... Słuchaj, Bastardzie, nigdy mu nie mów o Rozumieniu. Nie wspominaj ani jednym słowem, nawet przy nim o tym nie myśl. Niewiele wiem o samej Mocy ani o tym, jak ona działa. Jednak czasem... ech, czasem kiedy twój ojciec mnie nią dotykał, wydawało się, że zna moje uczucia, jeszcze zanim ja je pojąłem, i widzi myśli, które ukrywałem nawet przed samym sobą.

Nagły głęboki rumieniec oblał policzki Brusa i niewiele brakowało, a chyba dostrzegłbym łzy wzbierające w jego ciemnych oczach. Odwrócił twarz ode mnie, popatrzył w ogień, a ja wyczułem, że zbliżamy się do sedna tego, co musiał mi powiedzieć. Musiał, a nie chciał. Był w nim głęboki strach, którego nie chciał okazać. Człowiek słabszy, mniej wymagający od siebie, byłby teraz drżał.

- ... obawiam się o ciebie, chłopcze. - Mówił do kamieni nad paleniskiem, głosem tak głębokim i dudniącym, że z ledwością go rozumiałem.

- Dlaczego? - Najlepsze są pytania najprostsze, tak nauczył mnie Cierni.

- Nie wiem, czy on to w tobie dostrzeże. Albo co zrobi, jeśli tak się stanie. Słyszałem plotki... Nie, wiem, że to prawda. Była pewna kobieta... właściwie jeszcze dziewczyna. Rozumiała ptaki. Żyła na wzgórzach, na zachód stąd. Ludzie mówili, że potrafiła przywołać dzikiego

sokoła krążącego po nieboskłonie. Uwielbiali ją i mówili, że otrzymała dar. Przynosili do niej chory drób albo ją wzywali, jeśli kwoki nie chciały się nieść. Jak słyszałem, czyniła tylko dobro. Konsyliarz jednak mówił o niej źle. Twierdził, że jest odrażająca i że najgorsze przyjdzie wówczas, gdy wyda na świat potomstwo. I któregoś ranka znaleziono ją zakatowaną na śmierć.

- Konsyliarz to zrobił?

Brus wzruszył ramionami - tak bardzo nie jego gest.

- Jego konia nie było tej nocy w stajni. Tyle wiem. Ręce miał brudne, a na szyi i twarzy zadrapania, ale to nie były ślady po paznokciach, chłopcze, lecz po szponach, jak gdyby Konsyliarz walczył z jastrzębiem.

- I nic nikomu nie powiedziałeś? - spytałem z niedowierzaniem. Zaśmiał się gorzko.

- Kto inny przemówił wcześniej. Konsyliarz został oskarżony przez kuzyna dziewczyny. Chłopak pracował tutaj, w stajniach. Konsyliarz niczemu nie zaprzeczył. Poszli obaj do Kamieni Świadców i walczyli o sprawiedliwość Ela, która zawsze się tam objawia. Odpowiedź na pytanie tam ustanowiona wyższa jest nad królewski osąd i nikt nie może podawać jej w wątpliwość. Chłopak nie wrócił żywy. Wszyscy uznali wyrok Ela, widać młodzieniec oskarżał fałszywie. Ktoś powtórzył tę opinię Konsyliarzowi, a on odparł, że tak jak z woli Ela dziewczyna skołała, i to zanim zrodziła potomstwo, tak jej skażony kuzyn również musiał stracić życie.

Brus umilkł. Jego słowa zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Zimny strach zakradł mi się do serca. Kwestia raz rozstrzygnięta pod Kamieniami Świadców nie mogła być stawiana ponownie. To więcej niż prawo, to wola bogów. A więc miał mnie uczyć morderca, człowiek, który będzie próbował mnie zabić, jeśli nabierze podejrzeń, że mam talent Rozumienia.

- Tak - powiedział Brus, jakbym mówił na głos. - Och, Bastardzie, synu, bądź ostrożny, bądź mądry. - Zdziwiłem się, gdyż zabrzmiało to, jakby się o mnie bał. Zaraz jednak dodał: - Nie przynieś mi wstydu, chłopcze. Ani swojemu ojcu. Nie pozwól, by Konsyliarz mówił, że pozwoliłem synowi mojego księcia wyrosnąć na półzwierzę. Pokaż mu, że krew księcia Rycerskiego naprawdę płynie w twoich żyłach.

- Spróbuję - szepnąłem.

Tej nocy poszedłem do łóżka nieszczęśliwy i przestraszony.

* * *

Ogród Królowej w niczym nie przypominał Kobiecego Ogrodu ani ogrodów kuchennych, ani żadnego innego ogrodu w Koziej Twierdzy. Znajdował się na szczycie okrągłej wieży. Ściany, wysokie od strony morza, na zachód i południe otwierały się szeroko, obstawione ławami. Kamienne mury chwyciły słoneczne ciepło i broniły przed słonym morskim wiatrem. Powietrze stało nieruchome, było tu zacisznie jak w uchu osłoniętym skuloną dłonią. A przecież wionęło też przedziwną dzikością z tego ogrodu założonego na kamieniu. Były tu kamienne baseny dla ptaków, niegdyś zapewne pełne wody. Tu i ówdzie stały kamienne rzeźby. Różne cebrzyki, donice, niecki i rynny musiały swego czasu kipieć zielenią i kwiatami. Teraz pozostało jedynie kilka łądyżek i ziemia porośnięta mchem. Szkielet winorośli piął się po murze jak na wpół zbutwiałe kraty. Widok ten obudził we mnie jakiś pradawny smutek, zimniejszy niż pierwszy przymrozek, zapowiedź nadchodzącej właśnie zimy.

Księżna Cierpliwa powinna objąć to miejsce w posiadanie - pomyślałem. - Ona by potrafiła tchnąć w nie życie.

Przyszedłem jako pierwszy. Wkrótce zjawił się mój kuzyn Dostojny. Miał silną budowę księcia Szczerego, podobnie jak ja miałem wzrost mego ojca, księcia Rycerskiego, i ciemną

karnację Przechornych. Jak zwykle zachowywał się z dystansem, ale był uprzejmy. Skinął mi głową, a potem przechadzał się, oglądając rzeźby.

Niedługo po nim zaczęli się pojawiać inni. Zdziwiony byłem, ilu nas było - razem szesnaścioro. Poza Dostojnym, synem siostry króla, nikt tutaj nie miał w żyłach tak wiele krwi Przechornych jak ja. Byli tu kuzyni pierwszego i drugiego stopnia obojga płci, zarówno starsi, jak i młodsi ode mnie. Dostojny, urodzony dwa lata po mnie, był chyba najmłodszy, a Pogodna, kobieta około dwudziestu pięciu lat, prawdopodobnie najstarsza. Była to dziwnie wyciszona grupa. Niektórzy rozmawiali zniżonymi głosami, ale większość tylko się przechadzała, oglądając pusty ogród i zerkając na rzeźby.

Potem wszedł Konsyliarz.

Pozwolił, by drzwi na schody zamknęły się za nim z hukiem. Kilkoro uczniów podskoczyło. Stał, patrząc na nas, a my w milczeniu patrzyliśmy na niego.

Poczyłem pewne spostrzeżenie dotyczące ludzi chudych. Niektórzy z nich, jak na przykład Cierń, wydają się tak zajęci życiem, że często zapominają o jedzeniu, albo też spalają każdy okruszek żywności w ogniu pasji i fascynacji światem. Istnieje także inny typ, który idzie przez świat trupio blade, z zapadniętymi policzkami i sterczącymi zębami. Ma się uczucie, że taki człowiek na tyle mocno potępia wszystko i wszystkich, że nie ma ochoty nic przyjmować do swojego wnętrza. W tamtym momencie mogłem się założyć, iż Konsyliarz nigdy w życiu nie znalazł przyjemności w żadnym kęsie pożywienia, jaki kiedykolwiek przełknął.

Zdumiał mnie jego ubiór. Ostentacyjnie bogaty, z futrem na sztywnym kołnierzu sterczącym pod brodą, z bryłkami bursztynu na kamizeli tak wielkimi, że mogłyby stępić ostrze miecza, a równocześnie bardzo obcisły, aż można się było zastanawiać, czy krawcowi nie zabrakło kosztownych materii na dokończenie dzieła. W czasach gdy oznaką zasobności były rękawy obfite i upstrzone kolorami, Konsyliarz nosił koszulę bladą i przylegającą do ciała niczym druga skóra. Buty miał długie, wąskie, a w rękę trzymał krótki pejecz, zupełnie jakby przyszedł prosto z jazdy konnej. Kościsty mistrz Mocy w ubraniu, które wyglądało na niewygodne, robił odpychające wrażenie.

Obojętnym spojrzeniem wypłowyjących oczu omiół Ogród Królowej. Obejrzał także nas i natychmiast o nas zapomniał, byliśmy zupełnie nieważni. Głośno wypuścił powietrze przez sokoli nos - człowiek postawiony przed nieprzyjemnym zadaniem.

- Posprzątać tutaj - rozkazał. - Zebrać te wszystkie śmieci na jedną stronę. Zwalić pod ścianą. Szybko, już. Nie mam cierpliwości do leni.

I tak zniknęło ostatnie wspomnienie ogrodu. Zmiecione zostały ślady na ziemi znaczące miejsca basenów, cienie dawnych ścieżek i altanek. Donice stały pod jedną ścianą, śliczne statuetki leżały na nich w nieładzie. Konsyliarz odezwał się tylko raz, do mnie.

- Szybciej, bękarcie - rozkazał, gdy trzymałem się z ciężką donicą pełną ziemi, i uderzył mnie biczem po ramionach.

Było to niewiele więcej niż klepięcie, ale tak mnie zdumiało, że ustałem w wysiłkach i gapiłem się na Konsyliarza bez słowa.

- Nie słyszałeś?

Kiwnąłem głową i wróciłem do przesuwania donicy. Kątem oka zobaczyłem satysfakcję na jego obliczu. To uderzenie było jakimś sprawdzianem, wiedziałem o tym, nie byłem tylko pewien, czy go pomyślnie przeszedłem.

Na szczycie wieży pozostały gołe kamienie; gdzieś tam jedynie widoczne w spoinach zielone linie mchu lub zacieki wilgoci wskazywały, że niegdyś był tu ogród.

Konsyliarz kazał nam stanąć w dwóch rzędach, według wieku i wzrostu, a także według płci, dziewczęta ustawił za chłopcami i bardziej na prawo.

- Nie będę tolerował najmniejszego rozkojarzenia ani zachowania powodującego rozproszenie uwagi - uprzedził. - Jesteście tu po to, żeby się uczyć, a nie dla zabawy.

Potem kazał nam rozłożyć ręce na boki, rozstawić się szerzej i okręcić we wszystkie strony, by sprawdzić, że nie możemy się dotykać, nawet czubkami palców. Oczekiwałem wobec tego, że rozpoczniemy jakieś ćwiczenia fizyczne, ale on nakazał nam stać nieruchomo, z rękoma opuszczonymi wzdłuż boków i skupić uwagę na nim. I tak staliśmy na zimnym szczyście wieży, a on do nas przemawiał.

- Przez siedemnaście lat byłem mistrzem Mocy w tej twierdzy. Do tej pory uczyłem małe grupki, dyskretnie. Jeśli ktoś zawodził pokładane w nim nadzieje, był po cichu oddalany. Jak dotąd Królestwu Sześciu Księstw wystarczała garstka przyuczonych. Przekazywałem wiedzę tylko najbardziej obiecującym, nie tracąc czasu na tych, którzy nie mieli talentu albo nie potrafili zachować dyscypliny. Od piętnastu lat nie uczyłem korzystania z Mocy nikogo. Teraz jednak nastały złe czasy. Zawyspiarze pustoszą nasze wybrzeża i zakazają lud kuźnicą. Król Roztropny i książę Szczery obrócili swoją Moc ku naszej obronie. Wielki jest ich wysiłek i liczne sukcesy, choć prosty lud nawet się nie domyśla ich czynów. Zapewniam was: przeciwko umysłom, które wyćwiczyłem, Zawyspiarze nie mają najmniejszych szans. Mogą odnieść kilka nędznych zwycięstw, napadając na nas zniecka, ale Moc ich pokona!

Jego wyblakłe oczy zapłonęły, ręce wznosił do nieba, spojrział w chmury. Na długą chwilę zamarł bez ruchu, jak gdyby sprowadzał moc z samego nieba. Potem wolno opuścił ręce.

- Wiem to - rzekł spokojniejszym tonem. - Wiem to na pewno. Siły, jakie stworzyłem, wezmą górę. Niestety, nasz król, oby bogowie obdarzyli go wszelkimi błogosławieństwami, wątpi w moje słowa. A ponieważ jest moim królem, muszę być posłuszny jego woli. Żąda ode mnie, abym pomiędzy wami, owocami bocznych gałęzi rodu, szukał przeblasków talentu i woli, czystości zamiarów i hartu ducha, bym was uczył w sztuce korzystania z Mocy. Tak też uczynię, gdyż mój król tak rozkazał. Legendy prawią, że w dawnych dniach było wielu biegłych w korzystaniu z Mocy i pracowali oni wraz ze swoim królem, by odwrócić niebezpieczeństwo od kraju. Może rzeczywiście tak było, a może stare podania prawią fałszywie. Tak czy inaczej, mój król nakazał mi spróbować utworzyć większą grupę kształconych w Mocy i ja, zgodnie z jego wolą, spróbuję to uczynić.

Całkowicie ignorował piątkę dziewcząt. Nawet nie spojrział w ich stronę. Lekceważył je tak wyraźnie, że zacząłem się zastanawiać, czym też mogły aż tak go obrazić. Znałem trochę Pogodną, była uczennicą Krzewiciela. Prawie czułem fale jej gniewu.

W drugim rzędzie, tuż za mną, poruszył się któryś z chłopców. W mgnieniu oka Konsyliarz znalazł się przed nim.

- Nudzimy się? Męczy nas gadanie starego człowieka?

- Tylko kurcz złapał mnie w łydkę, panie - odparł chłopak głupio.

Konsyliarz zdzielił go wierzchem dłoni w twarz, aż chłopakowi odskoczyła głowa.

- Bądź cicho i stój spokojnie. Albo wyjdź. Mnie to obojętne. Jest zupełnie jasne, że brak ci wytrzymałości, by osiągnąć biegłość we władaniu Mocą. Król jednak uznał, że jesteś wart, by się tutaj znaleźć, więc będę próbował cię uczyć.

Zadrzałem wewnętrznie. Bo Konsyliarz, mówiąc do winowajcy, patrzył na mnie. Jak gdybym to ja, przedziwnym sposobem, ponosił odpowiedzialność za czyny tamtego chłopca. Narodziła się we mnie ogromna niechęć do Konsyliarza. Dostawałem już razy od Czernidla w czasie nauki walki na kije i na miecze, cierpiałem nieraz nawet z powodu Ciernia, kiedy demonstrował mi techniki duszenia i sposoby uśmiercania człowieka bez zadawania mu ran. Zebrałem swoją część razów, szturchańców i kopniaków od Brusa, bardziej i mniej zasłużonych. Nigdy jednak nie widziałem, by mężczyzna uderzył chłopca z tak widoczną rozkoszą, jak to uczynił Konsyliarz. Usiłowałem nic po sobie nie pokazać i spokojnie patrzyłem na nauczyciela. Wiedziałem, że gdybym odwrócił wzrok, zostałbym oskarżony o nieuwagę.

Konsyliarz pokiwał głową i wrócił do swojej przemowy. By nas nauczyć panowania nad Mocą, najpierw musi w nas wyrobić umiejętność całkowitej kontroli nad własnym umysłem.

Kluczem do niej było fizyczne umartwienie ciała. Następnego dnia mieliśmy się zjawić, zanim słońce wzejdzie nad horyzont. Nie wolno nam było mieć butów, skarpet, płaszczy ani żadnej wełnianej odzieży. Także nakrycia na głowę. Mieliśmy być dokładnie umyć. W sposobie jedzenia i zwyczajach nakazał nam naśladować siebie. Mieliśmy wyrzec się mięsa, słodkich owoców, przyprawianych potraw, mleka i wszelkiego „frywolnego jada”. Poleciał nam owsiankę i zimną wodę, zwykły chleb oraz gotowane warzywa. Powinniśmy unikać wszelkiej niekoniecznej rozmowy, szczególnie z odmienną płcią. Odradzał nam długo wszelkie „zmysłowe” pragnienia, do których zaliczył łaknienie, pragnienie snu albo ciepła. Oznajmił nam także, iż od tej pory będziemy jadał przy oddzielnym stole, byśmy mogli spożywać odpowiednią strawę nie rozpraszeni przez płóche rozmowy. Albo pytania. Ostatnie zdanie zabrzmiało prawie jak groźba.

Następnie poddał nas serii ćwiczeń. Zamknąć oczy i przewrócić gałkami do góry, jak najdalej. Próbować je odwrócić, żeby zajrzeć do wnętrza własnej czaszki. Poczuć nacisk, jaki to powoduje. Wyobrazić sobie, co można by zobaczyć, gdyby się udało wywrócić oczyma tak daleko. Czy było to warte obejrzenia? Oczy nadal zamknięte, stanąć na jednej nodze. Próbować się tak utrzymać całkiem nieruchomo. Złapać równowagę, nie tylko ciała, ale i umysłu, wyrzucić z głowy wszelkie niepotrzebne myśli, a wówczas będzie można pozostać w tej pozycji w nieskończoność.

Kiedy tak staliśmy, z oczyma stale zamkniętymi, wykonując te ćwiczenia, on przechadzał się między nami. Mogłem śledzić jego kroki, orientując się po trzaskach bicia.

- Skoncentrować się! - nakazywał. - Spróbuj, przynajmniej spróbuj!

Ja tamtego dnia poczułem na sobie bicz przynajmniej cztery razy. Były to lekkie uderzenia, ale irytowały mnie, nawet jeśli nie sprawiały bólu. Ostatni raz, który spadł na mnie, trafił wysoko w ramię, rzemień owinał mi się wokół gołej szyi, a koniuszek smagnał po brodzie. Drgnąłem, ale udało mi się nie otworzyć oczu i utrzymać chwiejną równowagę na obolałej nodze. Gdy Konsyliarz się oddalił, poczułem, jak na mojej brodzie wolno zbiera się kropla ciepłej krwi.

Przetrzymał nas cały dzień, zwolnił dopiero, gdy słońce w połowie zaszło już za horyzont i budziły się nocne wiatry. Nie dał nam czasu na jedzenie, picie czy zaspokojenie innych potrzeb. Z ponurym uśmiechem patrzył, jak uciekamy od niego, a my już za drzwiami poczuliśmy się wreszcie na tyle swobodni, by chwiejnym krokiem zbiec ze schodów.

Byłem głodny, ręce miałem zaczerwienione od chłodu, w ustach mi zaschło. Nie mogłbym nic powiedzieć, nawet gdybym chciał. Inni wyglądali podobnie, choć niektórzy cierpieli bardziej niż ja. W końcu byłem przecież przyzwyczajony do zajęć trwających długie godziny, często na świeżym powietrzu. Radosna, dziewczyna pomagająca mistrzyni Ściegu przy tkaniu, rok mniej więcej starsza ode mnie, okrągłą twarz miała siną od zimna. Usłyszałem, jak szepcze coś do Pogodnej, która ujęła ją za rękę.

A potem ujrzałem, że obie oglądają się z trwogą, czy aby Konsyliarz nie dosłyszał ich ukradkowej wymiany zdań.

Kolacja tego wieczoru była najbardziej ponurym posiłkiem, jaki kiedykolwiek spożywałem w Koziej Twierdzy. Jedliśmy zimną owsiankę, chleb i rozgotowaną na papkę rzepę. Popijaliśmy wodą. Konsyliarz nie jadł, lecz siedział z nami przy stole. Nie rozmawialiśmy wcale. Chyba nawet na siebie nie patrzyliśmy. Zjadłem swoją porcję i wstałem od stołu równie głodny, jak usiadłem.

W połowie drogi na górę przypomniałem sobie o Kowalu. Wróciłem do kuchni po kości i resztki, które kucharka odkładała dla niego, oraz dzbanek z wodą do jego miski. Zdawały mi się ogromnie ciężkie. Uderzyło mnie spostrzeżenie, że po długich godzinach spędzonych na zimnie, w czasie których właściwie nic nie robiłem, byłem zmęczony jak po dniu ciężkiej pracy.

Kowal powitał mnie ciepło, miał wspaniały apetyt. Jego obecność podziałała na mnie niczym leczniczy balsam. Gdy tylko skończył jeść, wsunęliśmy się do łóżka. Chciał mnie podgryzać i domagał się zabawy, ale szybko zrezygnował. Pozwoliłem, by ukołysał mnie sen.

Obudziłem się nagle, w ciemnościach, przerażony, że zasnęłam. Wystarczyło jedno spojrzenie na niebo. Z ledwością mogłem zdążyć na szczyt wieży przed słońcem. Nie miałem czasu się umyć ani zjeść, czy posprzątać po Kowalu. Na szczęście Konsyliarz zabronił nam wkładać buty i skarpety - i tak nie miałem na to czasu. Byłem zbyt zmęczony, nawet by czuć się jak głupiec, pędząc na bosaka przez twierdzę i w górę po schodach wieży. Widziałem w migotliwym świetle pochodni, jak inni śpieszą przede mną, a kiedy dotarłem do drzwi ogrodu, na moje plecy spadł bicz Konsyliarza. Choć uderzenie, które dosięgło moje ciało chronione tylko przez cienką koszulę, było niespodziewanie bolesne, krzyknąłem bardziej z zaskoczenia niż z bólu.

- Znieś to jak mężczyzna, bękarcie - odezwał się Konsyliarz chrapliwie i bicz ponownie uderzył.

Inni zajęli swoje miejsca wyznaczone poprzedniego dnia. Wszyscy wyglądali na tak samo jak ja zmęczonych, a większość zdawała się również wstrząśnięta tym, jak Konsyliarz mnie potraktował. Do dziś dnia nie wiem dlaczego, ale poszedłem cicho na swoje miejsce.

- Zawsze ten, kto przyjdzie ostatni, zostanie tak potraktowany - oznajmił Konsyliarz.

Uderzyło mnie okrucieństwo tej reguły, bo jedynym sposobem uniknięcia bicia było przyjść na tyle wcześniej, by zobaczyć, jak kara spada na kogoś innego.

Zaczął się następny dzień niewygód i razów zadawanych skórzonym rzemieniem. Tak to widzę teraz. Sądzę, że tak to odbierałem wtedy w głębi serca. Konsyliarz cały czas mówił o udowodnieniu, że jesteśmy coś warci, uczynieniu nas zahartowanymi i silnymi. Uczynił sprawę honoru ze stania na zimnie na bosych stopach cierpiących od lodowatego kamienia. Obudził w nas wolę rywalizacji, nie między sobą, ale z nędznymi wizerunkami nas samych, kreślonymi przez niego.

- Udowodnijcie mi, że się mylę - powtarzał ciągle. - Błagam was, udowodnijcie mi, że mogę pokazać królowi przynajmniej jednego ucznia wartego mojego czasu.

Próbowaliśmy. Jak dziwnie jest teraz oglądać dawne chwile we wspomnieniach i zastanawiać się nad minionymi wypadkami. Tamtego dnia udało mu się nas pogrążyć w innej rzeczywistości, w której nie obowiązywały normalne reguły ani zdrowy rozsądek. Tkwieliśmy w milczeniu na zimnie, ustawieni w różnych niewygodnych pozycjach, z zamkniętymi oczyma, ubrani nieledwie tylko w bieliznę. A on przechadzał się pomiędzy nami, rozdzielając razy bacikiem i obrażając nas nieprzerwanie. Niekiedy uderzał pięścią albo gwałtownie popychał, co boli znacznie bardziej, kiedy się jest przemarzniętym do szpiku kości.

Ci, którzy się zachwiali lub zadrżeli, obwiniani byli o słabość charakteru. W miarę jak upływał dzień, Konsyliarz wymyślał nam, że nie jesteśmy nic warci, i bez końca powtarzał, iż zgodził się nas uczyć jedynie na żądanie króla. Dziewczeta ignorował kompletnie i nawet kiedy mówił o dawnych władcach, którzy dzierżyli władzę Mocy w obronie królestwa, wymieniał królów i książąt, ani razu natomiast nie wspominał o królowych i księżniczkach. Nie tłumaczył też, czego próbuje nas nauczyć. Zналиśmy tylko zimno, niewygodę ćwiczeń i niepewność, kiedy na plecy spadnie kolejne uderzenie. Dlaczego staraliśmy się temu sprostać? Nie wiem. Szybko staliśmy się wszyscy współtwórcami własnego poniżenia.

Nareszcie słońce po raz drugi skryło się za horyzontem. Konsyliarz zachował dla nas na koniec tego dnia jeszcze kilka niespodzianek. Kazał nam stanąć prosto, rozluźnić się i otworzyć oczy. Urażył nas końcową przemową. Ostrzegwał, byśmy się wystrzegali tych spomiędzy nas, którzy niweczą skutki wspólnej nauki poprzez nieroztropne dogadzanie sobie. Mówiąc przechadzał się wolno między nami. Widziałem, że niektórzy odwracają wzrok i wstrzymują oddech. Pierwszy raz tego dnia zawędrował w kąt dziedzińca, gdzie stały dziewczeta.

- Niektórzy sądzą, że nie obowiązują ich reguły - ciągnął ostrym tonem, przechadzając się wolno. - Wydaje im się, że zasługują na specjalne traktowanie i wyjątkowe ulgi. Takie przekonanie o własnej wyższości musi zostać z was wypłenione natychmiast, nim będziecie mogli się czegokolwiek nauczyć. Nie są warcami mojego czasu lenie i głupcy, którzy szukają szczególnych przywilejów. Hańba, że w ogóle się znaleźli w naszej grupie. Są jednak między nami, a ja będę posłuszny woli mojego króla i spróbuję ich uczyć. Nawet jeśli istnieje tylko jedna droga, by obudzić ich leniwe umysły.

Radosna otrzymała dwa szybkie uderzenia batem, a Pogodna musiała przykłęknąć i dostała cztery. Wstydzilem się, że stałem spokojnie i odpoczywałem, gdy kolejne razy spadały na jej plecy, i miałem tylko nadzieję, że dziewczyna nie rozplacze się, czym ściągnęłaby na siebie jeszcze gorszą karę.

Pogodna podniosła się, zachwiała, a potem znowu stanęła sztywno, nieruchoma, ze wzrokiem wbitym w dal. Odetchnąłem z ulgą. Konsyliarz już wrócił, krążył między nami jak rekin wokół rybackiej łodzi. Teraz mówił o tych, którzy sobie wyobrażają, że dyscyplina grupy ich nie obowiązuje, oraz o tych, którzy dogadzają sobie mięsiwem, podczas gdy reszta uczniów ogranicza się do zdrowego ziarna i czystej wody. Zastanawiałem się niespokojnie, kto był na tyle szalony, by odwiedzić kuchnię poza godzinami posiłków.

W następnej chwili poczułem gorące liźnięcie bata na ramionach. Jeżeli mi się wydawało, że wcześniej Konsyliarz używał tego narzędzia z całej siły, właśnie mi udowodnił, jak się myliłem.

- Sądziłeś, że mnie przechytrzysz? Myślałeś, że nigdy się nie dowiem, iż kucharka odkłada dla swojego pupilka talerz soczystych smakołyków, tak? Ale ja wiem o wszystkim, co się dzieje w Koziej Twierdzy. Nie miej złudzeń.

Olśniło mnie. Konsyliarz mówił o skrawkach mięsa, które zaniósłem na górę dla Kowala.

- To nie dla mnie - zaprotestowałem, a potem ugryzłem się w język.

Jego oczy błysnęły lodowatym chłodem.

- Nie wahasz się kłamać, by sobie oszczędzić odrobiny bólu. Nigdy nie nauczysz się korzystania z Mocy. Nigdy nie będziesz tego wart. Lecz ja muszę być posłuszny rozkazom króla. Postaram się wpoić ci nauki, mimo twojego niskiego urodzenia.

W pokorze odebrałem bity. Konsyliarz wymyślał mi przy każdym uderzeniu; mówił innym, że stare reguły zabraniające bękartom nauki Mocy zostały ustalone właśnie po to, by nie dopuścić do podobnych ekscesów.

Po wszystkim stałem cichy i zawstydzony, a on chodził wzdłuż rzędów, rozdzielając niedbale razy biczem i wyjaśniając przy tym, że wszyscy musimy płacić za potknięcia każdego z nas. Nie było ważne, że to stwierdzenie nie miało najmniejszego sensu ani że uderzenia bata niewiele miały wspólnego z biczowaniem, jakim właśnie potraktował mnie. Ważna była idea, że wszyscy płacili za moje wykroczenie. Nigdy w życiu nie czułem się bardziej upokorzony.

W końcu pozwolił nam zejść na dół na następny ponury posiłek, bardzo podobny do poprzedniego. Tym razem nikt się nie odezwał ani na schodach, ani przy jedzeniu. A potem poszedłem prosto do swojego pokoju.

„Mięso wkrótce” - przyrzekłem głodnemu szczeniakowi, który na mnie czekał.

Mimo bolących kości i naciągniętych mięśni zmusiłem się do posprzątania pokoju, wyszorowania brudów po Kowalu, a potem wypuściłem się po świeże zioła do posypania podłogi. Kowal był trochę zły, że zostawiłem go na cały dzień samego, a ja zmartwiłem się, kiedy sobie uświadomiłem, że nie mam najmniejszego pojęcia, jak długo będą trwały te żalosne ćwiczenia.

Zaczekałem do późna w nocy, gdy zwykli mieszkańcy zamku byli już w łóżkach, i powędrowałem na dół, po jedzenie dla Kowala. Bałem się, że Konsyliarz się o tym dowie, ale co miałem zrobić? Byłem w połowie wielkich schodów, gdy zobaczyłem migotliwy płomyk pojedynczej świeczki. Ktoś zbliżał się do mnie. Przywarłem do ściany, nagle zupełnie

pewien, że to musi być Konsyliarz. Ale był to błazen, sam jasny jak woskowa świeca, którą oświetlał sobie drogę. Niósł wiaderko z jedzeniem, a na wiaderku kolebał się lekko dzbanek z wodą. Bez słowa skinął głową w kierunku mojej komnaty.

Kiedy znaleźliśmy się w środku, za zamkniętymi drzwiami, odwrócił się do mnie.

- Mogę się zająć twoim szczeniakiem - rzekł oschle - ale nie mogę się zająć tobą. Zaczynij myśleć, chłopcze. Czego możesz się nauczyć w taki sposób?

Wzruszyłem ramionami, skrzywiłem się z bólu.

- Chce w nas wyrobić odporność. Nie sądzę, żeby to jeszcze długo trwało, potem zacznie nas rzeczywiście uczyć posługiwania się Mocą. Można to wytrzymać. - Zamilkłem. - Czekaj - zorientowałem się nagle. - Skąd wiesz, co tam robimy?

Błazen karmił szczeniaka skrawkami mięsa z wiaderka.

- Ach, długo by opowiadać - rzucił beztroskim tonem. - Nie mogę nic powiedzieć. - Opróżnił wiaderko przed Kowalem, dolał wody do miski i wstał. - Będę karmił szczeniaka, spróbuję go nawet zabierać na spacer codziennie, chociaż na kilka chwil. Ale nie będę po nim sprzątał. - Zatrzymał się przy drzwiach. - Tutaj ustanawiam granicę. Lepiej zdecyduj, gdzie ty ustanawiasz granicę. I to szybko. Bardzo szybko. Niebezpieczeństwo jest większe, niż ci się wydaje.

A potem odszedł, zabierając ze sobą świecę. Położyłem się i zasnąłem przy dźwiękach, jakie wydawał borykający się z kością Kowal, Powarkujący po szczenięcemu.

15

KAMIENIE ŚWIADKÓW

Moc jest, mówiąc najprościej, zdolnością do bezpośredniego przekazywania myśli. Może być wykorzystywana na wiele sposobów. W czasie bitwy, na przykład, dowódca może przekazywać proste informacje i rozkazy bezpośrednio do podległych mu oficerów, jeśli byli nauczeni ich przyjmowania. Człowiek wyjątkowo utalentowany może użyć Mocy, by wpłynąć na umysły osób nie kształconych w posługiwaniu się tym darem, a nawet w umysłach wrogów posiać strach, zmieszanie lub zwątpienie. Tak wielkie talenty są rzadkością. Niekiedy rodzą się jeszcze ludzie niewiarygodnie szczerze obdarowani Mocą, którzy mogą próbować rozmawiać bezpośrednio z Najstarszymi, nad którymi są już tylko sami bogowie. Niewielu się na to ośmieliło, a spośród nich niewielu otrzymało, o co prosiło. Gdyż powiedziane jest, że można zadać Najstarszym pytanie, ale odpowiedź może dotyczyć nie tego pytania, które się zadało, lecz tego, które zadać trzeba było. A odpowiedź na to pytanie może być wieścią, z którą człowiek nie może żyć dalej.

Gdyż kiedy przemawia się do Najstarszych, wówczas słodycz korzystania z Mocy jest najsilniejsza i najbardziej niebezpieczna. I to jest zagrożenie, którego każdy, kto używa Mocy - słaby czy silny - musi się wystrzegać. Gdyż używając Mocy, człowiek dociera do samego jądra życia, upojenia istnieniem, które może go odwieść od zaczerpnięcia następnego oddechu. Jest to uczucie obezwładniające nawet przy bardziej pospolitym używaniu Mocy, a dla każdego nie przygotowanego na takie skutki może się szybko przerodzić w uzależnienie. Intensywności owego upojenia nie sposób do niczego przyrównać. Tego, kto używa Mocy, by rozmawiać z Najstarszymi, mogą na zawsze opuścić i zmysły, i rozum. Człowiek taki umiera z krzykiem na ustach, ale jest też prawdą, że to krzyk rozkoszy.

* * *

Błazen miał rację. Nie podejrzewałem nawet, jak ogromne niebezpieczeństwo mi zagraża. Rzuciłem się ku niemu na oślep. Nie mam ochoty szczegółowo wspominać następnych tygodni. Dość powiedzieć, że z każdym dniem byliśmy coraz bardziej ulegli Konsyliarzowi, a on stawał się coraz bardziej okrutny i władczy. Kilku uczniów zniknęło zaraz na początku. Radosna przestała przychodzić po czwartym dniu. Widziałem ją potem jeszcze raz, jak się przemykała po twierdzy z twarzą naznaczoną piętnem żalości i wstydu. Dowiedziałem się później, że Pogodna i pozostałe kobiety zaczęły jej unikać, gdy porzuciła treningi, a kiedy później mówiły o niej, miało to wydźwięk nie taki, jakby poniosła porażkę w specyficznej edukacji, ale raczej popełniła jakąś potworną zbrodnię, która nie miała jej być nigdy wybaczona. Nie wiem, dokąd się udała, wiem tylko, że opuściła Kozią Twierdzę i nigdy nie wróciła.

Tak jak ocean wydobywa kamienie z piasku na plaży i piętrzy warstwami znacząc zasięg przypliwów, tak samo czyniły ciosy i pochwały Konsyliarza, który odizolował swoich uczniów od świata. Z początku każdy z nas starał się zostać jego pupilem. Czemu? Przecież nie lubiliśmy go ani podziwiali. Nie wiem, co czuli inni, lecz w moim sercu nie było dla niego nic prócz nienawiści. Dlatego postanowiłem nie dać się złamać. Po dniach wypełnionych obelgami uzyskanie jednego mrukliwego słowa uznania od Konsyliarza było niczym usłyszenie wylewnych pochwał innego nauczyciela. Powinienem był zobojętnieć na drwiny, lecz ja odwrotnie - zacząłem dawać wiarę wyzwiskom i ze wszystkich sił starałem się odmienić.

Nieustannie rywalizowaliśmy pomiędzy sobą, by przyciągnąć uwagę mistrza. Niektórzy stali się jego faworytami. Jednym z nich był Dostojny, którego Konsyliarz często stawiał nam za wzór. Ja bardzo szybko zostałem tym najbardziej godnym pogardy. Nawet to jednak nie przygasiło mojego zapału w dążeniu, by się wyróżniać. Po tamtym pierwszym razie nigdy już nie zjawilem się na szczycie wieży jako ostatni. Nigdy się nie chwiałem pod uderzeniami. Tak samo postępowała Pogodna, która spotykała się ze znacznie wyraźniejszą wzdargą niż inne kobiety. Po tamtej pierwszej chłoście nigdy już nie szepnęła słowa krytyki na temat mistrza. Stała się najpilniejszą uczennicą. On jednak stale znajdował w niej winę, wyzywał ją najgorszymi słowami i bił o wiele częściej niż inne dziewczęta. A wszystko to sprawiało, że była tylko bardziej zdecydowana udowodnić, iż wytrzyma jego srogie traktowanie, i to ona, zaraz po Konsyliarzu, była najmniej tolerancyjna w stosunku do tych, którzy się wahali lub wątpili w naszą naukę.

Nadeszła prawdziwa zima. Na szczycie wieży było zimno i ciemno, jedyna poświata dochodziła z wejścia na schody. Było to najbardziej odizolowane miejsce na świecie, a Konsyliarz był tutaj bogiem. Połączył nas niczym ogniwa kutego łańcucha ze szczerego złota. Uważaliśmy siebie za elitę, za lepszych, uprzywilejowanych i wybranych do nauki Mocy. Wierzyłem w to nawet ja, który cierpiałem drwiny i razy. Pogardzaliśmy tymi, których zламаł. Widzieliśmy wtedy tylko siebie wzajemnie, słuchaliśmy tylko Konsyliarza. Z początku brakowało mi Ciernia. Rozmyślałem też o tym, co robili Brus i księżna Cierpliwa. Z biegiem czasu, gdy dni zmieniały się w miesiące, przestały mnie interesować różne bardziej pospolite zajęcia. Nawet błazen i Kowal stali się dla mnie niemal nudni. Z jednym tylko celem przed oczyma marzyłem o aprobacie Konsyliarza. W tamtych dniach błazen przychodził do mojej komnaty i wychodził w milczeniu. Zdarzały się też chwile, gdy byłem nieludzko zmęczony i bliski załamania, a wtedy dotyk zimnego nosa Kowala na moim policzku stanowił dla mnie jedyne pocieszenie; niekiedy czułem się zawstydzony, że tak mało czasu poświęcałem dorastającemu szczeniakowi.

Po trzech miesiącach zimna i okrucieństwa pozostało tylko ośmiu uczniów. Wówczas Konsyliarz rozpoczął prawdziwy trening, a jednocześnie pozwolił nam na drobne przyjemności i na odzyskanie okruchów godności. Wtedy wydawały się nam one już nie tylko

cudownymi luksusami, ale także drogocennymi podarunkami od mistrza, za które winni mu byliśmy głęboką wdzięczność. Kęs suszonych owoców przy posiłku, zezwolenie na noszenie butów, krótka rozmowa przy stole... nic więcej, a przecież dla nas tak wiele. Te zmiany to był dopiero początek.

Wraca do mnie wszystko niczym kryształowe błyski. Pamiętam pierwszy raz, kiedy dotknął mnie Mocą. Znajdowaliśmy się na szczycie wieży, rozstawieni nawet luźniej niż na początku, jako że było nas mniej. A on szedł od jednego z nas do drugiego, stając na moment przed każdym, podczas gdy inni czekali w ciszy pełnej czci.

- Przygotujcie umysły na kontakt. Bądźcie otwarci, ale nie nurzajcie się w przyjemności, jaką on daje. Celem Mocy nie jest odczuwanie rozkoszy.

Kroczył pomiędzy nami, bez określonego porządku. W tym ustawieniu nie mogliśmy dostrzec twarzy innych, a Konsyliarz nie lubił, gdy śledziliśmy każdy jego ruch. Dlatego słuchaliśmy jedynie jego krótkich surowych słów, potem docierało do nas, jak każdy dotknięty wciąga raptownie powietrze.

- Otwórz się na dotknięcie - rzekł do Pogodnej. - Nie kul się jak zbity pies.

Na końcu podszedł do mnie. Słuchałem jego słów i tak jak poradził nam wcześniej, próbowałem odsunąć od siebie wszelkie zmysłowe doznania, skupić się wyłącznie na nim. Czułem jego umysł napływający do mnie, a przypominało mi to delikatne swędzenie czoła. Stałem nieporuszony. Owo dziwne uczucie przybrało na sile, pojawiło się ciepło i światło, ale ja nie dałem się wciągnąć. Czułem, że Konsyliarz wszedł do mojego umysłu, surowo mi się przygląda i korzysta z technik ułatwiających skupienie, których nas nauczył (wyobraź sobie wiadro z najczystszej białego drewna i zanurz się w nim). Potrafiłem stać przed nim niewzruszony i czekać, doświadczając rozkoszy Mocy, ale się jej nie poddawać. Trzykrotnie ciepło przepływało przeze mnie, trzykrotnie mu się oparłem. A potem on się wycofał. Ponuro skinął głową. W jego oczach nie dostrzegłem aprobaty, lecz ślad strachu.

Tamto pierwsze dotknięcie było jak iskra, która wreszcie rozpala hubkę. Pojąłem sedno idei. Nie potrafiłem jeszcze sam tego dokonać, nie mogłem wysłać myśli, ale miałem wiedzę, której nie sposób przekazać słowami. Miałem też pewność, że będę umiał korzystać z Mocy. A wraz z tą wiedzą utrwaliło się we mnie niezłomne przekonanie i Konsyliarz nie mógł już zrobić nic, by mnie powstrzymać od nauki.

Myślę, że on o tym wiedział i z jakiegoś powodu go to przerażało, gdyż w następnych dniach traktował mnie z okrucieństwem, które teraz wydaje mi się niewiarygodne. Odbierałem bez umiaru ciężkie słowa i razy, ale już nic nie mogło mnie zniechęcić. Któregoś razu uderzył mnie batem po twarzy. Została mi widoczna pręga i tak się złożyło, iż kiedy wchodziłem do sali biesiadnej, Brus także tam był. Na mój widok podniósł się z miejsca. Szczęki miał zaciśnięte w sposób, który znałem aż nazbyt dobrze. Odwróciłem od niego wzrok i spuściłem powieki. Przez jakiś czas stał, wpatrując się w Konsyliarza, który odpowiedział mu wyniosłym spojrzeniem. Wreszcie Brus, z zaciśniętymi pięściami, odwrócił się i opuścił salę. Ulżyło mi, że nie dojdzie do konfrontacji. A potem Konsyliarz spojrzął na mnie i triumf malujący się na jego twarzy przepelnił moje serce chłodem. Należałem teraz wyłącznie do niego i on o tym wiedział.

Następny tydzień przyniósł ból i zwycięstwo. Konsyliarz nigdy nie przegapił okazji, by mnie znieważać, lecz mimo wszystko wiedziałem, że jestem najlepszy w każdym ćwiczeniu, które nam zadawał. Czułem, jak inni po jego dotknięciu Mocą błądzą po omacku, podczas gdy dla mnie było to równie łatwe jak otwarcie oczu.

Raz przeżyłem moment prawdziwego strachu. Konsyliarz wszedł wówczas Mocą do mojego umysłu i kazał powtórzyć na głos zdanie, jakie mi przekazał.

- Jestem bękartem i przynoszę wstyd imieniu mojego ojca - powiedziałem głośno, spokojnie. A wówczas on ponownie odezwał się w moich myślach.

„Wiem, że ciągniesz skądś siłę, bękarcie. To nie jest twoja Moc, Wydaje ci się, że nie znajduję źródła?”

Zadrzałem i cofnąłem się przed jego dotknięciem, chowając Kowala w głębi umysłu. Konsyliarz pokazał mi w szerokim uśmiechu wszystkie zęby.

Przez następne dni toczyła się między nami niebezpieczna zabawa w chowanego. Musiałem go wpuszczać do swojego umysłu, żeby uczyć się Mocy. Stapałem więc po kruchym lodzie, próbując ukryć przed nim swoje sekrety. Nie tylko Kowala, także Ciernia, błazna, Sikorkę, Krowę, Sztyleta, a także inne, starsze sekrety, których nie odkrywałem nawet przed sobą. On chciał wszystkie poznać, a ja usuwałem je desperacko poza jego zasięg. Jednak mimo to, a może dzięki temu czułem, że Moc we mnie stale narasta.

- Myślisz, że pozwolę ci na drwiny?! - warknął po jednej z sesji, a potem rozjuszył się jeszcze bardziej, gdy pozostali uczniowie wymieniali zdumione spojrzenia. - Róbcie swoje! - zgromił ich.

Wolno odszedł kilka kroków, po czym odwrócił się raptownie i skoczył na mnie. Okładał mnie pięściami i kopał, a ja, podobnie jak niegdyś Sikorka, myślałem tylko o tym, by osłonić twarz i brzuch. Ciosy spadające na mnie niczym grad przywodziły mi na myśl atak rozłłoszczonego dziecka. Czułem ich nieefektywność i potem z nieprzyjemnym zimnym dreszczem zdałem sobie sprawę, że odruchowo - samą myślą - odpychałem go od siebie. Nie aż tak bardzo, żeby mógł to odczuć, ale wystarczająco, by żaden z jego ciosów nie wyrządził mi krzywdy. Co więcej, wiedziałem, iż on nie miał o tym pojęcia. Gdy w końcu opuścił pięści, a ja ośmieliłem się podnieść wzrok, momentalnie odczułem, że wygrałem. Pozostali uczniowie patrzyli na Konsyliarza z mieszaniną wstrętu i przestachu. Posunął się zbyt daleko, nawet jak dla Pogodnej. Z pobladłą twarzą odwrócił się ode mnie. Czułem, że w tamtym momencie podjął jakąś decyzję.

Tego wieczoru wróciłem do komnaty przerażająco zmęczony, ale także zbyt zdenerwowany, by zasnąć. Błazen już przyniósł jedzenie dla Kowala, zostawił mu także wielką wołową kość. Zacząłem się bawić ze szczeniakiem. Kowal chwycił mnie zębami za rękaw i szarpał, a ja trzymałem kość tuż poza zasięgiem jego szczęk. Uwielbiał takie zabawy; powarkiwał z udawaną wściekłością i tarosił mnie za ramię. Był już prawie wielkości dorosłego psa. Z zadowoleniem wyczuwałem na jego szyi zawiązki silnych mięśni. Wolną ręką uszczyptałem go w ogon i szczeniak z warkotem rzucił się do nowego ataku. Przerzucałem kość z ręki do ręki, oczy Kowala czujnie przeskakiwały za smakołykiem, lecz choć atakował raz po raz, nie mógł sięgnąć celu.

„Brak ci mózgu - drażniłem się z nim. - Potrafisz myśleć tylko o tym, czego chcesz, a nie jak to zdobyć. Brak mózgu, brak mózgu”.

- Całkiem jak u jego pana.

Drgnąłem i w tej samej sekundzie Kowal dosięgnął kości. Wraz ze zdobyczą zeskoczył ciężko na ziemię, witając błazna ledwie grzecznościowym machnięciem ogona. Ja aż się zatchnąłem.

- Nie słyszałem wcale otwierania drzwi. Ani zamykania. Zignorował moje słowa i przeszedł prosto do sedna sprawy.

- Myślisz, że Konsyliarz pozwoli, by ci się udało? Zadowolony z siebie uśmiechnąłem się szeroko.

- A mógłby mi przeszkodzić?

Błazen usiadł obok mnie z westchnieniem.

- Wiem, że może. On też wie. Nie potrafię tylko zdecydować, czy jest wystarczająco pozbawiony skrupułów. Podejrzewam, że tak.

- Więc niech spróbuje - rzekłem butnie.

- Nie potrafię mu zabronić. - Błazen był śmiertelnie poważny. - Miałem nadzieję ciebie odwieść od dalszych prób.

- Namawiałbyś mnie, żebym wszystko porzucił? Teraz? - Nie mogłem w to uwierzyć.
- Tak.
- Dlaczego? - zapytałem.
- Dlatego... - zaczął, po czym umilkł zawiedziony. - Nie wiem. Zbyt wiele rzeczy nakłada się na siebie. Może gdybym wyrwał jedną nitkę, spłot by się nie ułożył.
- Nagle poczułem się bardzo zmęczony i wcześniejsze podniecenie zwycięstwem opadło ze mnie, podcięte gorzkimi przestroгами. Irytacja wygrała.
- Jeśli nie możesz mówić jasno - burknąłem - po co się w ogóle odzywasz?
- Siedział w kompletnej ciszy, jakbym go uderzył.
- To jeszcze jedna rzecz, której nie wiem - rzekł w końcu. Wstał i ruszył do wyjścia.
- Błaźnie... - zacząłem.
- Tak, zbłądziłem się - powiedział i wyszedł.

* * *

Trwałem w stanie łaski, coraz silniejszy. Niecierpliwiła mnie powolność dalszej nauki. Codziennie powtarzaliśmy te same ćwiczenia i stopniowo inni osiągalni biegłość w tym, co mnie wydawało się całkowicie naturalne. Jak mogli być tak zamknięci? Dziwiło mnie to. Jak to możliwe, że tak trudno im było otworzyć umysły dla Mocy Konsyliarza? Moje zadanie polegało nie na tym, by otworzyć umysł, raczej by ukrywać to, czym nie chciałem się dzielić. Często gdy od niechcienia dotykał mnie Mocą, czułem wścibską wic wślizgującą się do mojego umysłu. Zawsze jej umykałem.

- Jesteście gotowi - oznajmił pewnego chłodnego dnia.

Było popołudnie, ale najjaśniejsze gwiazdy już się pokazywały na ciemniejącym niebie. Tęskniłem za chmurami, które wczoraj sypały na nas śniegiem, lecz przynajmniej zatrzymały ostrzejszy mróz nad zatoką. Poruszałem palcami w butach, próbując odrobinę się rozgrzać.

- Poprzednio dotykałem was Mocą, byście mogli się z nią oswoić. Dzisiaj spróbujemy pełnego połączenia. Każde z was sięgnie do mnie, a ja do niego. Ale strzeżcie się! Wszyscy lepiej lub gorzej wytrzymaliście rozkosz dotknięcia Mocą, lecz siła tego, co czuliście do tej pory, była podobna do najłżejszego powiewu. Dzisiaj będzie to mocniejsze uczucie. Macie mu się oprzeć, ale pozostać otwartymi na Moc.

Ponownie rozpoczął powolne krążenie między nami. Czekałem, podenerwowany, ale bez strachu. Oczekiwałem tej próby od dawna. Byłem gotów.

Niektórzy po prostu nie dali rady, inni brali nagany za lenistwo lub głupotę. Dostojny otrzymał pochwałę. Pogodna dostała biczem za to, że sięgała zbyt pośpiesznie. Wreszcie Konsyliarz podszedł do mnie.

Zebrałem wszystkie siły, jak przed pojedyńkiem w zapasach. Poczułem muśnięcie jego umysłu w swoim i wyszedłem naprzeciw z ostrożną myślą.

„Czy w ten sposób?” „Tak, bękarcie, w ten sposób”.

Przez moment zapanowała równowaga, zawisnęliśmy jak dzieci na huśtawce. Czułem, że Konsyliarz wyważa nasz kontakt. Wtem raptownie natarł. Odczułem to jak potężny cios, uszło mi powietrze z płuc, choć wszystko działo się przecież na płaszczyźnie umysłu, a nie w fizycznym kontakcie. Normalnie nie mógłbym nabrać oddechu, tak nie potrafiłem zebrać myśli. Konsyliarz wdarł się do mojego umysłu, a ja byłem zupełnie bezsilny. Wygrał i wiedział o tym. W chwili jego triumfu, gdy porzucił ostrożność, znalazłem szczelinę. Rzuciłem się ku niej, próbując pojąć jego umysł, tak jak on zawładnął moim. Chwyciłem go i trzymałem, i przez jedną zawrotną chwilę wiedziałem, że jestem silniejszy od niego, że mógłbym przymusić go do przyjęcia każdej myśli, jaką chciałyby tam umieścić.

„Nie!” - wrzasnął, a ja mglście pojąłem, że kiedyś, dawno temu siłował się tak samo z kimś, kim pogardzał. Z kimś, kto wygrał, tak samo jak zamierzałem wygrać ja.

„Tak!” - naciskałem.

„Umieraj!” - rozkazał mi, ale wiedziałem, że nie umrę. Wiedziałem, że wygram, i skupiłem swoją wolę na wzmocnieniu chwytu.

Moc nie dba, kto wygra. Nie pozwala człowiekowi zwrócić się ku żadnej ubocznej myśli, nawet na moment. A ja to zrobiłem. Kiedy to uczyniłem, zapomniałem o obronie przed ekstazą, która jest i miodem, i goryczą Mocy. Ogarnęła mnie euforia, zalała rozkosz, a Konsyliarz także ugiął się pod jej ogromem, nie plądrował już mojego umysłu, pragnął jedynie powrócić do swojego.

Nigdy nie czułem się tak jak w tamtej chwili.

Konsyliarz nazywał to rozkoszą i dlatego spodziewałem się przyjemnego doznania, takiego jak ciepło zimą, jak zapach róży lub jak słodki smak w ustach. Nic podobnego. Słowo „rozkosz” zbyt się kojarzy z fizycznymi doznaniem, by można nim opisać, co czułem. Nie miało to nic wspólnego ze skórą ani w ogóle z ciałem. Oblało mnie, obmyło falą, której nie mogłem się oprzeć, wypełniło. Zapomniałem o całym świecie i o Konsyliarzu. Czułem, jak uciekał, i wiedziałem, że to ważne, ale o to nie dbałem. Zapomniałem o wszystkim poza tym nieopisanym uczuciem.

- Bękart! - krzyknął Konsyliarz i uderzył mnie pięścią w skroń.

Upadłem i leżałem bezradny, gdyż ból nie wystarczył, by mnie wytrącić z transu Mocy. Poczulem kopnięcie, rozpoznałem chłód kamieni drapiących, orzących moje ciało, a mimo to trwałem w Mocy, otumaniony euforią, która nie pozwoliła mi dostrzec, że jestem katowany. Mózg zapewniał mnie, pomimo bólu, że wszystko jest dobrze, że nie ma potrzeby walczyć ani uciekać.

Gdzieś tam zaczynał się odpływ, pozostawiając mnie dyszącego na brzegu. Konsyliarz stał nade mną, spocony, z rozwichrzonymi włosami. Jego oddech zamieniał się na zimnie w białawą mgiełkę. Pochylił się nade mną i chwycił za gardło.

- Umieraj! - rozkazał, ale ja nie słyszałem słów. Ja je czułem. Rozluźnił chwyt. Znowu osunąłem się na ziemię.

W ślad za wszechogarniającą rozkoszą Mocy przyszła teraz czarna rozpacz upadku i winy, przy której ból fizyczny był niczym. Z nosa leciała mi krew, każdy oddech sprawiał ból. Kopniaki Konsyliarza i ostre kamienie na ziemi zdarły ze mnie prawie całą skórę. Leżałem w śliskiej kałuży własnej krwi. Różne rodzaje bólu - każdy gorszy i ostrzejszy - tak się wzajemnie nakładały na siebie, że nie potrafiłbym określić, co mi dolega najmocniej. Nie mogłem nawet wstać. Wszystko to jednak przyćmiewała świadomość, że zawiodłem. Byłem pobity i nic niewart. Konsyliarz tego dowiedział.

Niczym z bardzo daleka dobiegał mnie jego podniesiony głos. Mistrz ostrzegał innych, by się mieli na baczności, bo właśnie tak będzie się rozprawał z każdym niezdyscyplinowanym, który nie zdoła uzbroić umysłu przeciw rozkoszy, jaką niesie ze sobą Moc. Mówił, co się przydarza człowiekowi, który za wszelką cenę chce używać Mocy i poddaje się jej czarowi. Taki człowiek niepomny jest niczego, to wielkie dziecko, niemota, ślepiec brukający siebie własnymi odchodami, taki człowiek zapomina myśleć, zapomina nawet jeść i pić, aż w końcu umiera. Taki człowiek jest bardziej niż odrażający.

Taki byłem ja. Utonąłem we własnym wstydzie. Kompletnie bezradny zacząłem szlochać. Zasłużyłem sobie na traktowanie, jakiego doznałem od Konsyliarza. Zasłużyłem na gorsze. Jedynie źle pojęta litość powstrzymała go od zadania ostatecznego ciosu. Zmarnowałem jego czas; pobierałem bolesne nauki, by potem obrócić wszystko w samolubne dogadzanie sobie.

Uciekałem, pograżałem się coraz głębiej we własnym umyśle, ale znajdowałem tylko pogardę i nienawiść do samego siebie. Lepiej by było, gdybym umarł. Powiniennem się rzucić ze szczytu wieży. To i tak by nie zmasało wstydu, ale przynajmniej nie musiałbym być go świadom. Leżałem bez ruchu i płakałem.

Pozostali ruszyli do wyjścia. Ktoś rzucił mi gorzkie słowo, inny na mnie splunął, następny mnie kopnął, ktoś uderzył. Nikt nie przeszedł obojętnie. Prawie tego wszystkiego nie zauważyłem. Potępiłem siebie samego bardziej bezlitośnie, niż mogli to uczynić oni. Wyszli, a Konsyliarz stał nade mną. Trącił mnie stopą, lecz nie zareagowałem. Nagle był on wszędzie, nad i pode mną, dookoła i we mnie, a ja nie mogłem się temu przeciwstawić.

- Widzisz, bękarcie - odezwał się cicho, nienawistnie. - Mówiłem im, że jesteś nic niewart. Próbowałem wytłumaczyć, że ta nauka cię zabije. Nie chcieli słuchać. Uzurpowałeś sobie prawo do zaszczytów danych innym. Znowu miałem rację. No dobrze. Może nie zmarnowałem czasu, jeśli w ten sposób udało się z tobą skończyć.

Nie wiem, kiedy odszedł. Zdałem sobie w pewnej chwili sprawę, że patrzy na mnie księżyc, nie on. Przetoczyłem się na brzuch. Nie mogłem wstać, ale mogłem się czołgać. Niezbyt szybko, nawet nie zdołałem oderwać brzucha od ziemi, ale pełzałem przed siebie. Z jedną tylko myślą zacząłem się przesuwac w stronę niższej ściany. Sądziłem, że zdołam wciągnąć się na ławę, a stamtąd na szczyt muru. I dalej. Na dół. Skończyć z sobą.

Długa to była podróż przez chłód i ciemności. Gdzieś usłyszałem skowyt i wzgardziłem nim także. Pełzałem naprzód, lecz on narastał, podobnie jak widoczna z oddali iskierka w oczach patrzącego z bliska przemienia się w huczący ogień. Cienki głosik sprzeciwu krzyczący, że nie powinienem umierać, przeczący mojej porażce, brzmiał w moim umyśle coraz głośniejszy, wył przeciwko mojej zgubie. Było w nim także ciepło i światło, i wszystko to narastało, gdy próbowałem dociec jego źródła.

Zatrzymałem się. Leżałem bez ruchu.

To znajdowało się we mnie. Im chętniej szukałem, tym było silniejsze. Kochało mnie, nawet jeśli ja nie mogłem, nie chciałem kochać siebie. Kochało mnie, nawet jeśli ja tego nienawidziłem. Wbiło drobne zęby w moją duszę i uwięziło mnie, trzymało tak mocno, że nie mogłem już pełzać dalej. A kiedy spróbowałem, wybuchnęło wyciem pełnym desperacji, przypalając mnie rozżarzonym żelazem rozpacz, zabraniając złamać tak świętą wiarę.

To był Kowal.

Płakał moją męką, fizyczną i psychiczną. A kiedy przestałem się czołgać w stronę ściany, wpadł w paroksyzm radości, świętował triumf nas obu. Ja, żeby go wynagrodzić, leżałem bez ruchu i nie próbowałem już zniszczyć samego siebie. Zapewnił mnie, że to wystarczy, to wspaniale, to wielka radość. Zamknąłem oczy.

Księżyc był już wysoko, gdy Brus delikatnie przekręcił mnie na plecy. Błazen trzymał wysoko pochodnię, a Kowal wywijał kozły i tańczył u jego nóg. Brus wziął mnie na ręce bez wysiłku, zupełnie jak gdybym nadal był dzieckiem, dopiero co oddanym pod jego opiekę. Mignęła mi w mroku jego ciemna twarz, ale nic z niej nie wyczytałem. Zniósł mnie po długich kamiennych schodach, a błazen pochodnią oświetlał drogę. Brus wyniósł mnie z twierdzy do stajni, na górę, do swojej izby. Błazen zniknął. Nie pamiętam, by padło choć jedno słowo. Brus ułożył mnie na własnym łóżku, potem przyciągnął je bliżej do ognia. Razem z ciepłem przyszedł ogromny ból. Zawierzyłem swoje ciało Brusowi, a duszę Kowalowi i straciłem przytomność na długo.

Otworzyłem oczy nocą. Nie wiedziałem, która to była noc. Brus siedział przy mnie wyprostowany i czujny. Na żebrach miałem zwoje bandaży. Podniosłem rękę, żeby ich dotknąć, ale nic nie poczułem, bo dwa palce usztywniały mi łupki. Brus powiódł spojrzeniem za moim ruchem.

- Były spuchnięte nie tylko od zimna. Za bardzo obrzmiały, żebym mógł sprawdzić, czy są złamane, czy tylko wybite. Na wszelki wypadek je usztywniłem. Podejrzewam, że są tylko wybite. Myślę, że gdyby były połamane, ból nastawiania obudziłby nawet ciebie.

Mówił zupełnie spokojnie, takim tonem, jakim mógłby opowiadać, że dał nowemu psu lekarstwo na robaki, by nie zarażał innych. I tak samo jak jego zrównoważony głos i opanowanie wywierały odpowiednie wrażenie na chorym zwierzęciu, tak zadziałały na mnie.

Odrpężyłem się, tłumacząc sobie, że jeśli on jest spokojny, nie może być aż tak źle. Wsunął palec pod bandażę, sprawdzając, czy nie za ciasno mnie nimi owinął.

- Co się stało? - zapytał, a mówiąc to odwrócił się ode mnie i sięgnął po kubek z herbatą, jak gdyby zarówno pytanie, jak i odpowiedź nie miały wielkiego znaczenia.

Pchnąłem swą pamięć wstecz, przez kilka minionych tygodni, próbowałem znaleźć wytłumaczenie. Wydarzenia zawirowały mi w głowie, odsunęły się ode mnie. Pamiętałem tylko porażkę.

- Konsyliarz mnie sprawdzał - powiedziałem wolno. - Zawiodłem. Ukarał mnie.

Ogarnęło mnie poczucie winy i wstyd, niwecząc krótki moment ulgi, jakiej doznałem w znajomym otoczeniu. Kowal śpiący przy palenisku obudził się raptownie i usiadł. Uspokoilem go szybko, zanim zdążył zaskamleć.

„Leż spokojnie. Wszystko dobrze”.

Posłuchał. Na szczęście Brus był zupełnie nieświadom, co właśnie zaszło między mną a psem. Podał mi kubek.

- Wypij. Potrzebujesz płynów, a zioła uśmierzą ból i sprowadzą sen. Wypij do dna.

- Cuchnie - stwierdziłem, na co on pokiwał głową i podtrzymał kubek, bo dłonie miałem niezdarne. Wypiłem i znów się położyłem.

- To wszystko? - zapytał; wiedziałem, o czym mówi. - Sprawdzał twoje umiejętności w dziedzinie, w której cię szkolił, a ty nie okazałeś się odpowiednio biegły. I za to cię tak potraktował?

- Nie dałem rady. Zabrakło mi... samodyscypliny. Więc mnie ukarał. - Szczegóły nie miały znaczenia. Czułem coraz większy wstyd, pograżyłem się w żalości.

- Nikogo jeszcze nie udało się nauczyć dyscypliny przez zakatowanie na śmierć. - Brus mówił dobitnie, jak gdyby tłumaczył rzecz oczywistą idiotcie. Odstawił kubek na stół bardzo precyzyjnym ruchem.

- To nie była nauka... On chyba nie wierzył, że mogę się nauczyć. Chciał pokazać innym, co się stanie, jeśli zawiodą.

- Bardzo niewiele jest warta nauka przez strach - powtórzył Brus uparcie. A potem dodał cieplejszym tonem: - Nic nie jest wart nauczyciel, który próbuje uczyć za pomocą ciosów i gróźb. Wyobraź sobie kielznanie konia takimi sposobami. Albo tresowanie psa. Nawet najgłupszego psa łatwiej wyuczyć pochwałą niż kijem.

- Bywało, że od ciebie też dostawałem.

- Tak. Rzeczywiście. Czasami cię szturchnąłem, żebyś się obudził z rozmarzenia. Nigdy nie chciałem zrobić ci krzywdy. Oślepić cię, połamać ci kości albo urwać rękę. Nigdy. Nie możesz powiedzieć, że kiedykolwiek uderzyłem w ten sposób ciebie czy jakiegokolwiek inne stworzenie dane mi pod opiekę, bo to nie jest prawda. - Był coraz bardziej rozżłoszczony.

- Nie. Masz rację. - Próbowałem mu jakoś wytłumaczyć, dlaczego zostałem ukarany. - Ale to jest co innego, Brus. Inna dziedzina i inna nauka. - Czułem się zobowiązany bronić sprawiedliwości Konsyliarza. - Zasłużyłem na to. Wina nie leżała w jego sposobie uczenia. Ja zawiodłem w nauce. Staralem się. Naprawdę. Teraz wierzę, podobnie jak Konsyliarz, że jest jakaś racja w tym, iż Mocy nie należy uczyć bękartów. Jest we mnie jakaś skaza, jakaś fatalna słabość.

- Bzdura!

- Nie, pomyśl o tym. Jeśli pokryjesz marną klacz pełnokrwistym ogierem, nie wiadomo, czy źrebak, który przyjdzie na świat, będzie słaby jak matka czy wspaniały jak ojciec.

Cisza trwała długo.

- Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, by twój ojciec położył się z „marną” kobietą. Gdyby nie była wyjątkowa, nie zrobiłby tego. Nie mógłby.

- Słyszałem, że został opętany przez górską wiedźmę. - Po raz pierwszy powtórzyłem na głos popularną plotkę przekazywaną szeptem.

- Książę Rycerski nie był człowiekiem podatnym na gusła. A jego syn nie jest biadolącym słabowitym głupcem, który może leżeć i skarżyć się, że zasłużył na lanie. - Pochylił się, lekko musnął mnie palcem koło skroni. We wnętrzu czaszki wybuchnął mi palący snop iskier. - Niewiele brakowało, żebyś stracił oko od tego „uczenia”.

Jego gniew narastał, więc trzymałem buzię zamkniętą na kłódkę. Szybkim krokiem obszedł izbę dookoła, potem raptownie zatrzymał się przede mną.

- Ten szczeniak. Jest po suce księżnej Cierpliwej, tak?

- Tak.

- Ty nie... Bastardzie, proszę, szczerze, czy dlatego ściągnąłeś na siebie karę, że używałeś Rozumienia? Gdyby za to Konsyliarz tak cię potraktował, nie mógłbym powiedzieć słowa, nie mógłbym spojrzeć prosto w oczy nikomu ani tu w zamku, ani w całym królestwie.

- Nie, Brus. Przysięgam ci, że to nie miało nic wspólnego ze szczeniakiem. To była moja klęska w nauce. Moja słabość. Tylko moja...

- Cicho bądź - nakazał mi niecierpliwie. - Twoje słowo mi wystarczy. Znam cię na tyle, by wiedzieć, że twoim przysięgom należy wierzyć. Ale jeśli chodzi o całą resztę, to zupełnie nie wiesz, co mówisz. Spij teraz. Wychodzę, ale niedługo wrócę. Odpocznij. Sen to najlepsze lekarstwo.

Brus powziął jakąś decyzję. Moje słowa najwyraźniej ugruntowały w nim jakieś postanowienie. Szybko się ubrał, włożył buty, zmienił koszulę na luźniejszą, a na wierzch narzucił jedynie skórzaną kamizelę. Kował podniósł się i zaskamlał ale nie mógł mnie zarazić swoim niepokojem. Wdrapał się więc na łóżko i zakopał w przykryciach, by wesprzeć mnie wiarą. Wśród smolistej ciemności czarnej rozpacz był jedynym światłem. Zamknąłem oczy i wypite zioła zabrały mnie w sen bez marzeń.

Obudziłem się po południu. Powiew chłodnego powietrza poprzedził wejście Brusa. Królewski koniuszy sprawdził, jak się czuję, od niechcienia odciągnął mi powieki i zajrzał w źrenice, przesunął wprawnymi dłońmi po moich żebrach, obejrzał stłuczenia. Mruknął coś pod nosem, wyraźnie zadowolony, a potem zmienił podartą i powalaną błotem koszulę na świeżą. Znowu zamruczał coś do siebie; najwyraźniej był w świetnym humorze, co wydawało się dziwne, skoro przejmował się moimi obrażeniami i przygnębieniem. Kiedy wyszedł, prawie odczułem ulgę. Szedł pogwizdując, gromkim głosem wydawał rozkazy chłopcom stajennym. Brzmiało to tak zwyczajnie. Tęskniłem za tym wszystkim z intensywnością, która mnie zdziwiła. Chciałem do tego wrócić. Do ciepłego zapachu koni i psów na słomie, do prostych zadań wykonywanych dobrze i do końca, i do głębokiego snu na koniec wyczerpującego dnia. Tęskniłem za tym, ale poczucie marności, które teraz mną owładnęło, podpowiadało mi, że zawiódłbym nawet w najprostszych obowiązkach. Konsyliarz często się wyśmiewał z ludzi wykonujących proste prace w twierdzy. Dla pomocy kuchennych i kucharzy miał jedynie pogardę, dla chłopców stajennych szyderstwo, a żołnierze, którzy bronili nas mieczem i łukiem, to byli - wedle jego słów - brutale i głupcy, skazani na wymachiwanie ramionami i rozwiązywanie mieczem problemów, jakich nie potrafili pokonać umysłem. Dlatego też byłem teraz przedziwnie rozdarty. Tęskniłem za powrotem do bytu, który - przez pryzmat nauk Konsyliarza - widziałem jako godny pogardy, a jednocześnie przepełniały mnie zwątpienie i rozpacz, że nawet z tym nie mógłbym dać sobie rady.

Leżałem w łóżku przez dwa dni. Jowialny Brus częstował mnie żartami i tryskał humorem. Poruszał się zwawo i emanowała z niego taka pewność siebie, że młodniał w oczach. Moje rany najwyraźniej wprawiły go we wspaniałą nastrój. Po dwóch dniach poinformował, że dalszy bezruch byłby dla mnie szkodliwy; nadszedł czas, bym wstał i zaczął się ruszać, jeśli mam zamiar wyzdrowieć. Wynajdywał mi różne drobne zajęcia; żadne nie było na tyle ciężkie, by pozbawić mnie sił, ale z nawiązką wystarczały, żebym cały czas był zajęty, gdyż musiałem często odpoczywać. Jestem przekonany, iż chodziło mu raczej właśnie o to, by mi dać zajęcie, niż żebym ćwiczył ciało, gdyż mając wolne ręce i umysł leżałem w łóżku,

wpatrywałem się w ścianę i tonąłem w pogardzie dla samego siebie. W obliczu mojej nie słabnącej depresji nawet Kowal zaczął tracić apetyt. A jednak to on właśnie pozostał moim jedynym prawdziwym źródłem ukojenia. Chodził za mną po stajniach krok w krok i było to dla niego największą radością. Każdy zapach przekazywał mi tak intensywny, że - pomimo mojego ośpienia - rozbudzał we mnie na nowo zachwyty, jaki poczułem, gdy po raz pierwszy wstąpiłem w świat Brusa. Kowal był równocześnie wściekły o mnie zazdrosny; nawet Sadzy odmawiał prawa do obwąchania mnie, a od Wiedźmy dostał w końcu w skórę; wtedy z jazgotem schronił się u moich stóp.

Wybłągałem sobie następnego dnia wolne i poszedłem do miasta. Droga zajęła mi dużo więcej czasu niż zwykle, ale Kowal był zachwycony moim wolnym krokiem, gdyż dawało mu to okazję do obwąchania wszystkiego dookoła, każdej kępki trawy i każdego drzewa przy drodze. Sądziłem, że spotkanie z Sikorką powinno poprawić mi humor i znowu nadać mojemu życiu odrobinę sensu.

Niestety, gdy dotarłem do sklepiku, była bardzo zajęta, miała trzy duże zamówienia ze statków wypływających z portu. Usiadłem przy palenisku w sklepie. Jej ojciec siedział naprzeciwko, pijąc i gapiąc się na mnie. Chociaż choroba go osłabiła, jeśli tylko miał dość siły, by podnieść się z posłania, zaczynał pić. Po jakimś czasie zaniechałem prób nawiązania rozmowy i tylko patrzyłem, jak pije i ubliża córce, która uwijała się gorączkowo, usiłując być jednocześnie sprawną sprzedawczynią i gościnną panią domu. Ponurość tego, obrazu napełniła mnie smutkiem.

W południe Sikorka powiedziała ojcu, że zamyka sklep i idzie dostarczyć zamówienie do odbiorcy. Dała mi pakę świec do niesienia, sama też wzięła towar na ramiona i wyszliśmy, ryglując za sobą drzwi. Ścigały nas pijackie złorzeczenia. Gdy tylko znaleźliśmy się w podmuchach ożywczego zimowego wiatru, zaprowadziła mnie na tyły sklepu i otworzyła drzwi składziku, gdzie zostawiliśmy wszystkie świece.

Jakiś czas po prostu przechadzaliśmy się po mieście, rozmawiając o tym i o owym. Spytała o moją poobijaną twarz; wymyśliłem na poczekaniu historyjkę o upadku na ciemnych schodach. Wiatr był zimny i bezlitosny, więc targ świecił pustkami - ani kupujących, ani handlarzy. Sikorka wiele uwagi poświęcała Kowalowi, a jemu się to ogromnie podobało. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się w gospodzie, gdzie podjęła mnie grzanym winem. Kowalem zajmowała się tak serdecznie, że w końcu przewrócił się na grzbiet i pławił w jej czułości. Uderzyło mnie nagle, że choć Kowal swobodnie odbierał emanujące z niej uczucia, to ona pojmowała go tylko na najniższym poziomie. Delikatnie sięgnąłem do jej umysłu, ale tego dnia była nieuchwytna i ulotna, niczym woń perfum, która nadpływa silną falą, lecz niknie z tym samym westchnieniem wiatru. Wiedziałem, że mógłbym wejść do jej umysłu nieco głębiej, ale jakoś wydawało mi się to bezcelowe. Ogarnęło mnie straszliwe uczucie osamotnienia, melancholia obudzona przez świadomość, że Sikorka nigdy nie będzie świadoma moich uczuć bardziej niż uczuć Kowala. Dlatego też zbierałem jej rzadkie słowa skierowane do mnie, jak ptak zbiera suche kruszyny chleba, i pozwoliłem ciszy opaść między nami kurtyną. Wkrótce Sikorka uznała, że nie może już dłużej zwlekać, bo ojciec, choć nie miał już siły jej bić, to jednak ciągle potrafił okazać swoje niezadowolenie, tłukąc o podłogę dzban od piwa albo ciskając różnymi przedmiotami w stojaki ze świecami. Uśmiechnęła się dziwnie i smutno, jak gdyby jej życie miało się okazać mniej przerażające, jeśliśmy przyjęli, że zachowanie ojca jest śmieszne. Nie potrafiłem się uśmiechnąć i Sikorka odwróciła Wzrok.

Pomogłem jej włożyć płaszcz i wyszliśmy; ruszyliśmy pod górę i pod wiatr. I to właśnie nagle wydało mi się metaforą całego mojego życia.

W progu domu zaskoczyła mnie uściskiem i pocałunkiem w kącik ust; uścisk był krótki, prawie jakbym wpadł na kogoś na zatłoczonym targu.

- Dziękuję ci, Nowy... - powiedziała. - Dziękuję, że rozumiesz.

A potem czmychnęła do sklepu, zostawiając mnie zmarzniętego i zdumionego. Podziękowała mi za zrozumienie akurat w chwili, gdy czułem się wyjątkowo odizolowany od niej i od każdego innego człowieka.

Całą drogę powrotną do zamku Kowal bez przerwy paplał do siebie na temat zapachów, które poczuł na Sikorce, i o tym jak drapała go pomiędzy uszami, dokładnie tam gdzie nigdy nie mógł sam dosięgnąć, i o słodkim biszkopcie, który mu dała w gospodzie.

Wczesnym popołudniem dotarliśmy z powrotem do stajni. Szybko uporałem się z nielicznymi obowiązkami i poszedłem do izby Brusa, gdzie razem z Kowalem poszliśmy spać. Kiedy się obudziłem, stał nade mną Brus, z lekko zmarszczonymi brwiami.

- Wstań, niech no na ciebie popatrzę - zarządził, więc podniosłem się znużony i stałem bez słowa, podczas gdy on badał moje obrażenia wprawnymi dłońmi. Był zadowolony ze stanu ręki i postanowił już zdjąć z niej bandaż, ale na żebrach miały jeszcze zostać. Należało codziennie wieczorem poprawiać opatrunek. - A jeśli chodzi o resztę, to wszystkie skaleczenia muszą być czyste i suche. I nie zdrapuj strupów. Gdyby któraś z ran zaczęła ropieć, przyjdź mi się pokazać. - Napełnił niewielki garnczek maścią łagodzącą ból mięśni i podał mi go, z czego wywnioskowałem, że mam wyjść.

Stałem, trzymając w dłoniach garnuszek z lekarstwem. Ogarnął mnie ogromny smutek i nie wiedziałem, co powiedzieć. Brus spojrzął na mnie, skrzywił się i odwrócił wzrok.

- Przestań - rzucił rozdrażniony.

- Co?

- Czasami patrzysz na mnie oczyma mojego pana - rzekł cicho, a potem dodał ostrzejszym tonem, jak poprzednio: - Co zamierzasz robić? Ukrywać się w stajniach do końca życia? Nic z tego. Musisz wrócić. Musisz wrócić, trzymać głowę wysoko, jeść razem z innymi mieszkańcami twierdzy, spać we własnej komnacie i mieć własne życie. Tak, i wziąć się do tej nieszczęsnej nauki Mocy.

Pierwsze polecenia wydawały się trudne do wykonania. Ostatnie było niemożliwe.

- Nie mogę - powiedziałem, nie rozumiejąc, jak można być tak głupim. - Konsyliarz nie pozwoli mi dołączyć do grupy. A nawet gdyby pozwolił, nigdy nie nadrobię tego, co straciłem. Ja już poniosłem porażkę, Brus. Zawiodłem i wszystko skończone, muszę sobie znaleźć jakieś inne zajęcie. Chciałbym się nauczyć dbania o sokoły, dobrze? - Ostatnie zdanie zdumiało mnie samego, gdyż szczerze mówiąc, taka myśl nigdy wcześniej nie powstała mi w głowie.

Odpowiedź Brusa była co najmniej dziwna.

- Nie możesz, bo sokoły cię nie lubią. Jesteś zbyt ciepły i za mało zajęty własnymi sprawami. Posłuchaj mnie. Nie zawiodłeś, ty głupcze. Konsyliarz próbował się ciebie pozbyć. Jeśli nie wrócisz, pozwolisz mu wygrać. Musisz wrócić i musisz dalej się uczyć. Tylko... - gniew w jego oczach skierowany był teraz wprost na mnie - nie wolno ci stać jak muł, kiedy cię bije. Urodzenie daje ci prawo do korzystania z jego czasu i wiedzy. Weź od niego to, co ci się słusznie należy. Nie uciekaj. Nikt nigdy niczego nie zyskał uciekając. - Zamilkł, zaczął coś mówić, ale się powstrzymał.

- Straciłem zbyt wiele lekcji. Nigdy nie...

- Niczego nie straciłeś - powtórzył z uporem. Odwrócił się ode mnie i z jego tonu nie dało się nic wyczytać, kiedy dodał: - Nie było lekcji w czasie, gdy nie chodziłeś na wieżę. Będziesz mógł zacząć dokładnie tam, gdzie skończyłeś.

- Nie chcę tam wracać.

- Nie będę tracił czasu na czcze dyskusje - oznajmił stanowczo. - Nie przeciągaj struny. Powiedziałem ci, co masz zrobić. Zrób to.

Znowu miałem sześć lat i mężczyzna w kuchni uciszył tłum jednym spojrzeniem. Zadrzałem. Nagle łatwiej było stanąć twarzą w twarz z Konsyliarzem, niż sprzeciwić się Brusowi. Nawet wówczas, gdy dodał:

- A ten szczeniak zostanie ze mną, dopóki nie skończysz nauki. To nie życie dla psa siedzieć całe dni w zamkniętym pomieszczeniu. Będzie miał słabą sierść i mięśnie mu się nie rozwiną. Tylko pamiętaj, żebyś schodził tu co wieczór doglądać jego i Sadzy, inaczej będziesz miał ze mną do czynienia. I niech mnie szlag, jeśli dbam o to, co na to powie Konsyliarz.

Tak więc zostałem odprawiony. Przekazałem Kowalowi, że zostanie z Brusem, a on zaakceptował to ze spokojem, który w równym stopniu mnie zaskoczył, jak zranił. Przygnębiony, niosąc garnuszek z maścią, powlokłem się do zamku. Wziąłem sobie z kuchni jedzenie i poszedłem do siebie, bo nie miałem ochoty na towarzystwo przy stole. W mojej komnacie panował chłód i ciemności, na kominku nie płonął ogień, nie było świec w świeczniku, a brudne zioła pod nogami cuchnęły. Przyniosłem świece i drewno, rozpałem ogień, a zanim wypłoszył trochę zimna z kamiennych ścian, zająłem się sprzątaniem. Tak jak radziła Lamówka, wyszorowałem podłogę gorącą wodą z octem. Przypadkowo użyłem octu z dragankiem, więc kiedy skończyłem, cała komnata pachniała tym ziołem. Wycieńczony rzuciłem się na łóżko i zasnąłem zastanawiając się, dlaczego nigdy nie odkryłem, jak otworzyć ukryte drzwi prowadzące do Ciernia. Nie miałem jednak wątpliwości, że on by mnie po prostu przepędził, gdyż był niewątpliwie człowiekiem honoru i trzymałby się ode mnie z daleka, dopóki Konsyliarz ze mną nie skończy. Albo dopóki by nie odkrył, że ja skończyłem z Konsyliarzem.

Obudził mnie blask świecy w ręku błazna. Nie miałem pojęcia, która godzina ani gdzie jestem, dopóki się nie odezwał.

- Masz akurat czas, żeby się umyć, zjeść i jeszcze będziesz pierwszy na szczycie wieży.

Przyniósł ze sobą ciepłą wodę w dzbanie i gorące bułki, prosto z pieca.

- Nie idę.

Po raz pierwszy w życiu widziałem błazna zdziwionego.

- Dlaczego?

- To nie ma sensu. Nie dam rady. Po prostu nie mam do tego zdolności i jestem już zmęczony waleniem głową w mur. Oczy błazna były okrągłe jak spodki.

- Myślałem, że dobrze ci szło, dopóki... Tym razem na mnie przyszła kolej się zdziwić.

- Tak? A jak sądzisz, dlaczego zbierałem drwiny i razy? W nagrodę za osiągnięcia? Nie. Nie potrafiłem nawet zrozumieć, o co chodzi. Wszyscy pozostali już mnie przegonili. Po co miałbym wracać? Żeby Konsyliarz mógł jeszcze dobitniej udowodnić swoją rację?

- Coś się tutaj nie zgadza - rzekł błazen ostrożnie. Rozważał rzecz przez chwilę. - Przedtem prosiłem cię, żebyś zarzucił lekcje. Nie zrobiłeś tego. Pamiętasz?

Rzeczywiście, pamiętałem.

- Czasami jestem uparty - przyznałem.

- A gdybym cię teraz poprosił, żebyś je kontynuował? Żebyś poszedł na szczyt wieży i próbował dalej?

- Dlaczego zmieniłeś zdanie?

- Ponieważ to, czemu chciałem zapobiec, już się zdarzyło. I przeżyłeś. I teraz pragnąłbym... - ucichł. - Masz rację. Po co w ogóle się odzywać, skoro nie potrafię mówić jasno?

- Jeśli tak powiedziałem, żałuję. Takich rzeczy nie powinno się mówić przyjacielowi. Nie pamiętam tego. Uśmiechnął się lekko.

- Jeśli naprawdę nie pamiętasz, to ja także nie będę pamiętał. - Ujął w ręce obie moje dłonie. Uścisk miał dziwnie chłodny. Przeszedł mnie dreszcz. - Czy będziesz się dalej uczył, jeśli cię o to poproszę? Jako... przyjaciel?

Tak dziwnie brzmiało to w jego ustach. Mówił bez kpiny, ostrożnie, jak gdyby głośne wypowiedzenie tego słowa mogło je pozbawić znaczenia. Blade tęczy patrzyły mi prosto w oczy. Zdałem sobie sprawę, że nie potrafię powiedzieć: nie. Skinąłem głową.

Wstałem, jednak bardzo niechętnie. Poprawiłem pościel, obmyłem twarz, a potem oderwałem kawałek bułki.

- Nie chcę iść - powiedziałem, skończywszy pierwszą i biorąc do ręki drugą. - Nie rozumiem, co to może dać.

- Rzeczywiście, nie wiem, dlaczego on sobie tobą w ogóle zawraca głowę - zgodził się błazen. Znowu był po dawnemu cyniczny.

- Konsyliarz? Musi, przecież król...

- Brus.

- Po prostu lubi mną dyrygować - poskarżyłem się i zabrzmiało to ogromnie dziecinnie, nawet dla mnie. Błazen pokręcił głową.

- Nic o tym nie wiesz, prawda?

- O czym?

- O tym jak koniuszy wyciągnął Konsyliarza z łóżka, a następnie zawłókł do Kamieni Świadców. Mnie tam, oczywiście, nie było, bo inaczej mógłbym ci powiedzieć, jak Konsyliarz przeklinał i tłukł go pięściami, i jak koniuszy zupełnie nic sobie z tego nie robił. Tylko przygarbił ramiona pod ciosami, ale nie odezwał się słowem. Chwytał mistrza Mocy za kołnierz, tak że omal go nie zadusił, i włókł ze sobą. A dum żołnierzy, strażników i chłopców stajennych ciągnął się za nimi niczym strumień, który wkrótce rozlał się w rwącą ludzką rzekę. Gdybym tam był, mógłbym ci opowiedzieć, jak to nikt nie śmiał się w to mieszać, gdyż królewski koniuszy na powrót stał się tym człowiekiem, jakim był niegdyś: mężczyzną o stalowych mięśniach, niebezpiecznym jak szalowiec, kiedy ktoś mu się narazi. Tak więc nikt się nie ośmielił wejść mu w drogę, i tego dnia Brus znów był taki jak dawniej. Jeśli nadal utykał, nikt tego nie zauważył. Mistrz Mocy przeklinał i wyrwał się, aż w końcu znieruchomiał i wszyscy podejrzewali, że obrócił swoją tajemną wiedzę przeciwko temu, który go pojmał. Ale jeśli tak było, nie przyniosło to żadnych rezultatów poza tym, że królewski koniuszy wzmocnił uścisk na jego szyi. I jeśli nawet Konsyliarz usiłował zawładnąć innymi i uczynić z nich swoich sprzymierzeńców, to nikt nie zareagował. Być może, taki zduszony i wleczone bez żadnego respektu nie mógł się skoncentrować. Albo może jego Moc nie jest tak silna, jak się powszechnie uważa. Albo może wielu pamięta jego złe traktowanie zbyt dobrze, by stać się powolnymi jego woli. Albo może...

- Błaznie! Daj już spokój! Co się działo dalej? - Lekki pot zrosił moje ciało. Drżałem, sam nie wiedząc na co mam nadzieję.

- Oczywiście, nie jestem niczego pewien - podjął błazen głosem pełnym słodyczy. - Ale słyszałem, jak ludzie mówili, że ogorzały mężczyzna zaciągnął kościstego aż do Kamieni Świadców. A tam, nadal trzymając mistrza Mocy za gardło, rzucił mu wyzwanie. Mieli walczyć. Bez broni, gołymi rękoma, tak samo jak mistrz Mocy napadł na pewnego chłopca poprzedniego dnia. I Kamienie miały poświadczyć, jeśli Brus wygra, że Konsyliarz nie miał potrzeby bić chłopca ani nie miał prawa odmówić mu swej wiedzy. Konsyliarz odrzuciłby wyzwanie i poszedł po sprawiedliwość do samego króla, gdyby nie to, że ogorzały mężczyzna już wezwał Kamienie na świadków. I tak doszło do walki, bardzo podobnej do tej, jaką byk toczy ze stogiem siana. A kiedy się skończyło, królewski koniuszy pochylił się i wyszeptał coś do mistrza Mocy, po czym wszyscy odwrócili się i rozeszli zostawiając krwawiący i skamlący strzęp człowieka pod Kamieniami Świadców.

- Co Brus mu powiedział? - zapytałem.

- Mnie tam nie było. Ja nic nie widziałem ani nie słyszałem. - Błazen wstał i rozprostował kości. - Spóźnisz się, jeśli będziesz nadal zwlekał - zauważył i wyszedł.

Opuściłem komnatę zamyślony. Powoli wdrapałem się na wysoką wieżę, do ogołoczonego Ogrodu Królowej i jeszcze byłem pierwszy.

16

NAUKI

Wedle dawnych kronik ludzie używający Mocy byli skupiani po sześciu w grupach zwanych kregami Mocy. Zazwyczaj nie było w nich nikogo czystej krwi królewskiej; ograniczały się one do kuzynów i dalszych krewnych głównej linii rodu, a także ostatnich obywateli Królestwa Sześciu Księstw, którzy wykazywali odpowiednie predyspozycje i zostali ocenieni jako warci pobierania nauk. Jedną z najslawniejszych takich grup, dowodzoną przez baronową Ognistą, stanowi wspaniały przykład funkcjonowania kregów Mocy. Baronową Ognistą, podporządkowaną królowej Proroczej, oraz pozostałych pięciu z jej kregu Mocy szkolili mistrzyni Mocy, Taktyka. Członkowie tego kregu Mocy wybierali siebie wzajemnie, a potem odebrali od Taktyki specjalny trening, który połączył ich w jedno. Czy byli rozsiani po całym Królestwie Sześciu Księstw, by odbierać lub przekazywać wiadomości, czy też zebrani w jednym miejscu, by siać zamieszanie i obniżyć morale wroga, ich czyny przechodziły do legendy. Ostatni heroiczny akt, szczegółowo opiewany w balladzie „Poświęcenie kregu Mocy baronowej Ognistej”, zaowocował skupieniem energii, którą członkowie grupy przekazali królowej Proroczej podczas bitwy pod Sromotą. Bez wiedzy wyczerpanej władczyni ofiarowali jej więcej, niż mogli dać. W pełni świętowania zwycięstwa odnaleziono sześciu dzielnych ludzi w wieży, z której podczas bitwy wspierali energią swoją królową. Umierali, wyrzuci z sił życiowych. Szczególny szacunek prostego ludu dla członków kregu Mocy baronowej Ognistej ma zapewne swoje źródło częściowo w tym, że choć każde z tych sześciorga było w jakiś sposób ułomne: ślepe, kulawe, z zajęczą wargą albo z bliźniami od ognia, to jednak w Mocy siłę mieli większą niż potężny okręt wojenny - i dla obrony królowej ważniejszą.

Podczas spokojnych lat panowania króla Szczodrego zarzucono tworzenie kregów Mocy. Istniejące rozpadły się z czasem; ludzie się starzeli, umierali albo po prostu zajmowali się czymś innym. Nauka korzystania z Mocy była coraz bardziej ograniczana, udostępniana tylko książętom krwi, aż w końcu zaczęto ją uważać za sztukę cokolwiek archaiczną. W czasie gdy rozpoczęły się napaści Zawyspiarzy ze szkarłatnych okrętów, jedynie król Roztropny oraz jego syn, książę Szczery, praktykowali posługiwanie się Mocą. Król Roztropny uczynił niemąły wysiłek, by odnaleźć i ponownie zaciągnąć do służby członków dawnych kregów Mocy, ale większość z nich była w podeszłym wieku lub utraciła biegłość w sztuce.

Konsyliarz, wówczas mistrz Mocy u króla Roztropnego, został obarczony zadaniem utworzenia nowych kregów dla obrony królestwa. Postanowił zerwać z tradycją. Członkowie kregu zostali wyznaczeni, a nie wybrani przez siebie wzajemnie. Surowe metody nauki zmierzały do tego, by każdy z nich był niekwestionowaną częścią całości, narzędziem, którego król mógłby używać zupełnie dowolnie. Ten szczególny aspekt został określony osobiście przez Konsyliarza. Pierwszy stworzony przez siebie krag Mocy przedstawił on królowi Roztropnemu, jakby ofiarowywał bezcenny podarunek. Co najmniej jeden członek rodziny królewskiej wyraził swój brak poparcia dla takiej idei. Jednak czasy były ciężkie i król Roztropny musiał korzystać z takiej broni, jaką miał.

* * *

Tyle nienawiści. Och, jakże oni mnie nienawidzili. Każdy uczeń wyłaniający się ze schodów prowadzących na szczyt wieży obrzucał mnie pogardliwym spojrzeniem. Czuję ich wzgardę

równie wyraźnie, jakby każdy wylał na mnie wiadro zimnej wody. Do czasu gdy pojawił się siódmy i ostatni, parzący lód ich nienawiści otoczył mnie zwartym murem. Stałem, milczący i zamknięty w sobie, na swoim zwykłym miejscu i odpowiadałem każdemu skierowanemu na mnie spojrzeniu.

Byli zmuszeni zająć swoje miejsca, tak jak ja. Nie odzywali się do mnie, nie rozmawiali także między sobą.

Czekaliśmy.

Słońce weszło i nawet wspięło się ponad mur wieży, a Konsyliarza nie było. Wszyscy stali na swoich miejscach i czekali. Ja też.

Wreszcie usłyszałem kroki na schodach. Po chwili Konsyliarz zamrugał w bladym świetle zimowego słońca i spojrzał na mnie. Wyraźnie miał ochotę mnie uderzyć. Stałem bez ruchu. Skrzyżowaliśmy spojrzenia. Czuł brzemień nienawiści, którą obdarzali mnie inni, i to mu się spodobało, podobnie jak bandaże na mojej głowie. Nawet nie mrugnąłem. Nie śmiałem.

Zdałem sobie sprawę z trwogi, jaką odczuwali inni. Nie sposób było nie zauważyć, jak strasznie został pobity. Kamienie Świadców oceniły, że popełnił błąd, i każdy, kto go ujrzał, miał o tym wiedzieć. Ponura twarz Konsyliarza mieniła się wszystkimi odcieniami fioleto i zieleni podbarwionych przez żółć. Dolną wargę miał rozciętą w dwóch miejscach. Ubrany był w luźną tunikę z długimi rękawami zakrywającymi ramiona, a że zwykle nosił mocno dopasowane koszule i kurty, wyglądał niczym w koszuli nocnej. Ręce także miał fioletowe i poobijane, a nie przypominam sobie, bym na ciele Brusa widział jakiegokolwiek stłuczenia. Wywnioskowałem z tego, że Konsyliarz używał rąk w próżnej próbie osłonięcia twarzy. Mistrz Mocy potrząsał biczem, ale wątpiłem, by miał siłę użyć go skutecznie.

I tak przyglądaliśmy się uważnie jeden drugiemu. Nie dały mi satysfakcji jego stłuczenia ani upokorzenie. W pewnym sensie czułem się w obowiązku wstydzić za nie. Tak mocno wierzyłem w jego nietykalność i wyższość. Teraz, mając przed oczyma dowody, iż był zaledwie człowiekiem, czułem się ogłupiały.

Mój pozorny spokój zachwiało jego opanowaniem. Dwukrotnie otwierał usta, by mi coś powiedzieć. Za trzecim razem odwrócił się do nas plecami.

- Rozpocznijcie ćwiczenia fizyczne. Będę obserwował, czy właściwie się poruszacie - wymamrotał przez obolałe usta. Koniec zdania wybrzmiał ciszej.

Posłusznie zaczęliśmy w jednym wspólnym rytmie ćwiczenia rozciągające, wymachy i skłony, a on niezgrabnie chodził po dawnym ogrodzie. Próbował nie opierać się o ściany i nie odpoczywać zbyt często. Zniknęło gdzieś stukanie biczem o wysokie buty, które poprzednio dyrgoowało naszymi wysiłkami. Dzisiaj trzymał bat, jakby się bał, że mógłby go upuścić. Byłem wdzięczny Brusowi, że kazał mi wstać z łóżka i zażywać ruchu. Bandaże na żebrach nie pozwalały mi na pełną płynność ruchów, jakiej Konsyliarz poprzednio od nas wymagał, ale mogłem podejmować wysiłki, żeby ją osiągnąć.

Tamtego dnia nie nauczył nas niczego nowego, powtórzyliśmy tylko wcześniej zdobyte umiejętności. Lekcje skończyły się wcześniej, zanim jeszcze słońce zaczęło schodzić ku horyzontowi.

- Dobrze się spisaliście - oznajmił Konsyliarz słabo. - Zasłużyliście na wolny czas, z przyjemnością stwierdzam, że kontynuowaliście naukę pod moją nieobecność.

Zanim nas odprawił, każdego po kolei wołał przed siebie na krótkie dotknięcie Mocą. Wszyscy odchodzili ociągając się, rzucając za siebie zaintrygowane spojrzenia, ciekawi, jak obejdzie się ze mną. Uzbroiłem się na tę samotniczą konfrontację.

Nawet tu spotkało mnie rozczarowanie. Zostałem wezwany, więc podszedłem, równie cichy i pozornie pełen szacunku jak inni. Stałem przed mistrzem tak samo jak oni, a on uczynił kilka krótkich ruchów dłońmi przed moją twarzą i nad głową. Potem rzekł chłodno:

- Zbyt mocno się osłaniasz. Jeśli masz wysyłać myśli albo je odbierać od innych, nie możesz się przed nimi bronić. Odejdź.

Odszedłem więc, podobnie jak inni, lecz pełen wdzięczności. Ciekaw byłem, czy rzeczywiście spróbował mnie poddać działaniu Mocy. Nie czułem najlżejszego muśnięcia. Zszedłem z wieży obolały i zgorzkniały, zadając sobie pytanie, dlaczego w ogóle próbuję się uczyć.

Poszedłem do swojej komnaty, a potem do stajni. Pobieźnie wyszcotkowałem Sadzę, Kowal kręcił się u moich stóp. Ciągle byłem wyczerpany. Wiedziałem, że powinienem odpocząć, że będę żałował, jeśli tego nie zrobię.

„Kamienny spacer?” - zaproponował Kowal. Zgodziłem się zabrać go do miasta. Przez całą drogę biegł dookoła mnie z nosem przy ziemi. Po spokojnym ranku nadeszło popołudnie wstrząsane podmuchami wiatru; zbliżał się sztorm. Jednak wiatr był niepojęcie ciepły i czułem, że świeże powietrze oczyszcza mi głowę, a równy rytm kroków rozciąga i rozluźnia obolałe mięśnie, spięte po ćwiczeniach Konsyliarza. Pełne zachwyty poszczekiwanie Kowala raz po raz sprowadzało mnie na ziemię, więc nie mogłem pogрузić się w zniechęceniu.

Kowal zaprowadził nas prosto do sklepu Sikorki. Szczeniak - jak to szczeniak, poszedł tam, gdzie poprzednio był dobrze przyjęty. Ojciec Sikorki został tego dnia w łóżku, a w sklepie panował względny spokój. Jedyne klient ociągał się, zagadując Sikorkę, więc w końcu mi go przedstawiła. Nefryt był marynarzem z jakiegoś handlowego statku z Zatoki Pieczęci, nie skończył jeszcze dwudziestu lat, a do mnie odzywał się, jakbym miał dziesięć. Przez cały czas uśmiechał się do Sikorki. Jak z rękawa sypał opowieściami o najeźdźcach ze szkarłatnych okrętów i morskich sztormach. Od niedawna zapuszczana broda zaczynała mu się wic wokół dolnej szczęki, w uchu miał kolczyk z czerwonym kamieniem. Zwlekał o wiele za długo z wyborem świec i miedzianej lampy, ale w końcu wyszedł.

- Zamknij sklep - namawiałem Sikorkę. - Chodźmy na plażę. Wspaniały wiatr dzisiaj.

Z zalem pokręciła głową.

- Nie nadażam z robotą. Powinam dzisiaj całe popołudnie zatapiać knoty, jeśli tylko nie będzie klientów. A jeśli będą, muszę być tutaj.

Czułem się nedorzecznie rozczarowany. Sięgnąłem do jej umysłu i zorientowałem się, jak bardzo rzeczywiście chciała wyjść.

- Już niewiele zostało światła dziennego - przekonywałem. - Możesz przecież popracować wieczorem. A twoi klienci przyjdą jutro, jeśli dziś sklep będzie zamknięty.

Przechyliła głowę w zamyśleniu i nagle raptownie odłożyła na bok knoty, które trzymała w ręku.

- Wiesz, masz rację. Świeże powietrze dobrze mi robi. - Sięgnęła po płaszcz ze skwapliwością, która zachwyciła Kowala i zdumiała mnie. Zamknęliśmy sklep i wyszliśmy.

Sikorka ruszyła zwykłym żwawym krokiem. Kowal uszczęśliwiony śmigał dookoła niej. Od czasu do czasu zamienialiśmy kilka słów. Jej policzki zarumieniły się od wiatru, oczy błyszczały. Pomyślałem, że spogląda na mnie częściej i bardziej zamyślona niż zazwyczaj.

Miasto było ciche, targ prawie wyludniony. Poszliśmy na plażę i spacerowaliśmy dostojnie tam, gdzie zaledwie kilka lat temu biegaliśmy z dzikim wrzaskiem. Zapytała mnie, czy nauczyłem się zapalać lampę, zanim zacznę nocą schodzić po schodach, i szalenie mnie tym zdumiała, póki sobie nie przypomniałem, iż wytłumaczyłem swoje obrażenia upadkiem na ciemnych schodach. Zapytała mnie też, czy mentor i koniuszy byli ciągle poróżnieni, i z tego bystrze wywnioskowałem, że starcie Brusa z Konsyliarzem pod Kamieniami Świadków stało się miejscową legendą. Zapewniłem, że pokój już pomiędzy nich powrócił. Spędziliśmy jakiś czas na zbieraniu pewnych morskich wodorostów, które były jej potrzebne do doprawienia zupy rybnej na wieczór. Potem, ponieważ się zadyszałem, usiedliśmy pod osłoną skał i patrzyliśmy, jak Kowal bez wytchnienia próbuje przepędzić mewy z plaży.

- No tak. Więc księżę Szczery się żeni - napomknęła niezobowiązująco.

- Co takiego? - zdumiałem się. Roześmiała się z całego serca.

- Nowy, nigdy nie spotkałam nikogo tak głuchego na plotki jak ty. Czy to możliwe, że mieszkasz w zamku, a nic nie wiesz o tym, co jest powszechnie wiadome w mieście? Książę Szczery zgodził się ożenić, żeby zapewnić ciągłość rodu. Ale w mieście się mówi, że jest zbyt zajęty, by się samemu zalecać, więc książę Władczy ma znaleźć dla niego odpowiednią damę.

- O nie! - przestraszyłem się nie na żarty,

Już sobie wyobrażałem wielkiego i obcesowego następcę tronu zeswanego z jedną z tych cukierkowo słodkich kobiet otaczających księcia Władczego zawsze podczas uczt i zabaw z okazji obchodów jakiegokolwiek święta, Żniw, Przesilenia Wiosny czy Środka Zimy. Przybywały do stolicy - z Krainy Miedzi, Księstwa Trzody czy Niedźwiedziego; zjeżdżały w powozach, na koniach o bogato zdobionych czaprakach albo niesione w lektykach. Ubierały się w suknie podobne do motyli skrzydeł i jadły niczym wróbelki, a w pobliżu księcia Władczego zdawały się zawsze drzące i trzepotały niczym spłoszone ptaszki. On zaś siadał pomiędzy nimi, spowity w jedwabie i aksamity, i kontent z siebie słuchał melodyjnych głosów podzwaniających wokół, gdy wachlarze i robótki ręczne drżały w delikatnych dłoniach. Słyszałem, że nazywano je „łowczyniami książąt”, te szlachetnie urodzone damy, które wystrojone i upozowane wyglądały jak towary na sklepowej wystawie, a robiły to w nadziei poślubienia kogoś z kawalerów królewskiego rodu. Ich zachowanie nie było niewłaściwe. Nie wprost. Lecz mnie ich wysiłki zdawały się rozpaczliwe, a książę Władczy okrutny, gdyż obdarzał uśmiechami jedną z nich, tańczył cały wieczór z inną, by jeszcze inną obudzić na późne śniadanie, a z kolejną przechadzać się po ogrodach. Wszystkie były wielbicielkami księcia Władczego. Próbowałem sobie wyobrazić jedną z nich u boku następcy tronu, kiedy on stoi patrząc na tancerzy bawiących się na balu, albo tkającą w jego gabinecie, podczas gdy on rozmyśla i szkicuje mapy, które tak kochał. Żadnych przechadzek po ogrodzie; książę Szczery spacerował po dokach i wśród snopów, zatrzymując się często, by porozmawiać z ludźmi morza czy z chłopem za pługiem. Delikatne pantofelki i haftowane spódnice z pewnością nie podążyłyby tam jego śladem.

Sikorka wsunęła mi w dłoń drobną monetę.

- Za co?

- Chcę się dowiedzieć, o czym myślisz tak głęboko, że siedzisz na mojej spódnicy, chociaż już dwa razy cię prosiłam, żebyś się podniósł. Coś mi się zdaje, że nie słyszałeś ani słowa.

Westchnąłem.

- Obaj królewscy synowie są tak różni. Nie mogę sobie wyobrazić, by jeden wybrał żonę dla drugiego. Sikorka wyglądała na zdziwioną.

- Książę Władczy wybierze narzeczoną piękną, bogatą i dobrze urodzoną - wyjaśniałem. - Będzie umiała tańczyć, śpiewać i układać rymy. Będzie się wytwornie ubierała, nigdy nie zapomni wpiąć klejnotów we włosy schodząc na śniadanie i zawsze będzie pachniała kwiatami rosnącymi w Deszczowych Ostępach.

- Książę Szczery nie będzie się cieszył z takiej żony? - Sikorka była tak skonfundowana, jak gdybym nagle zaczął ją przekonywać, że morze to zupa.

- Następca tronu zasługuje na prawdziwą towarzyszkę życia, a nie ozdobę uwieszoną u rękawa - stwierdziłem pogardliwie. - Ja na miejscu księcia Szczerego chciałbym poślubić kobietę, która coś potrafi. Nie tylko wybrać biżuterię czy zapleść włosy. Powinna potrafić uszyć spódnice albo założyć własny ogród i jeszcze umieć coś szczególnego, może pisać na zwojach albo rysować zielniki.

- Nowy, takie zajęcia nie są dla delikatnych dam - strofowała mnie Sikorka. - Damy mają być piękne. I są bogate. Nie muszą nic robić.

- Powinny. Choćby księżna Cierpliwa i Lamówka. One ciągle coś robią. Ich komnaty to istnia dzungla. Bywa, że mankiety u rękawiczek mają ubrudzone po próbach wyrobu papieru, a księżna po pracy przy ziołach miewa liście we włosach, ale przecież ciągle jest piękna. Uroda to nie wszystko. Patrzyłem Lamówce na ręce, jak robiła któremuś dziecku sieć rybacką z

kawałków jutowego sznurka. Jej palce poruszały się prędko i zmyślnie; to jest piękno, które nie ma nic wspólnego z urodą jej twarzy. A Czernidło, która uczy mnie władania bronią? Kocha dłubanie w srebrze i grawerowanie. Swojemu ojcu na urodziny zrobiła sztylet z uchwytem w kształcie skaczącego rogowca, a tak przemyślnie, że wygodnie go trzymać w dłoni - nie ma żadnych ostrych krawędzi, które by o coś zahaczały. To jest to piękno, które będzie trwało jeszcze długo po tym, jak jej włosy posiwieją, a twarz pokryje się zmarszczkami. Któregoś dnia jej wnuki spojrzą na ten przedmiot i pomyślą, jaką była mądrą kobietą.

- Naprawdę tak uważasz?

- Oczywiście. - Przesunąłem się, nagle zdając sobie sprawę, jak blisko mnie siedzi Sikorka. Tak naprawdę nie odsunąłem się zbyt daleko. Kowal czaił się do następnego wypadu na stado mew. Język wywiesił prawie do ziemi, ale galopował bez tchu.

- Gdyby szlachetnie urodzone damy robiły takie rzeczy, zniszczyłyby sobie ręce, przesuszyły włosy i opaliły twarze. Na pewno księżę Szczery nie chciałby żony wyglądającej jak marynarz.

- Na pewno nie. O wiele bardziej zasłużył na kobietę wyglądającą jak pękaty złoty karaś trzymany w misie z wodą. Sikorka zachichotała.

- Zasłużył na kogoś - podjąłem poważniej - kto będzie u jego boku, gdy rankiem puści konia w galop, albo będzie mógł spojrzeć na tę część mapy, którą właśnie skończył rysować, i rzeczywiście zrozumieć, jaką wspaniałą pracę wykonał. Na taką żonę zasługuje księżę Szczery.

- Nigdy nie jeździłam konno - zauważyła Sikorka. - I znam tylko kilka liter.

Spojrzałem na nią ciekawie, zastanawiając się, dlaczego nagle posmutniała.

- A jakie to ma znaczenie? Jesteś mądra i możesz się wyuczyć, czego zechcesz. Sama zobacz, ile wiesz o świecach i ziołach. Nie mów mi, że ojciec cię tego nauczył. Czasami, kiedy przychodziłem do sklepu, twoje włosy i sukienkę czuć było świeżymi ziołami i od razu wiedziałem, że próbowałaś znaleźć nowe zapachy do świec. Gdybyś chciała więcej czytać albo pisać, mogłabyś się uczyć. A jazdę konną masz we krwi. Trzymasz równowagę i jesteś silna... wystarczy popatrzeć, jak się wspinasz na skały. I zwierzęta cię lubią. Odbiłaś mi serce Kowala...

- Oho ho! - trąciła mnie łokciem. - Mówisz tak, jakby jakiś szlachetnie urodzony pan miał tu lada chwila zstąpić z zamku i zabrać mnie ze sobą.

Pomyślałem o Dostojnym z jego nieskazitelnymi sztywnymi manierami, potem o księciu Władczym uśmiechającym się do niej afektownie.

- Niech Eda broni! Zmarnowałabyś się przy nich. Żaden nie ma dość mądrości, żeby cię zrozumieć, ani serca, by docenić. Sikorka opuściła wzrok na swoje zniszczone pracą dłonie.

- A więc kto? - zapytała cicho.

Młodzi chłopcy są głupcami. Słowa przychodziły mi naturalnie jak oddech. Nie miałem zamiaru łudzić jej nadzieją ani się do niej subtelnie zalecać. Siedzieliśmy tak blisko siebie, słońce zaczęło tonać w wodzie, plaża przed nami rozciągała się jak cały świat rzucony nam do stóp. Gdybym w tamtym momencie powiedział: „ja”, jej serce wpadłoby w moje niezdarne dłonie niczym dojrzały owoc. Myślę, że mogłaby wtedy mnie pocałować i z własnej nieprzymuszonej woli uczynić panem swojego losu. Lecz nie umiałem pojąć ogromu uczucia, które nagle w sobie odkryłem. Zdjęło to najprostszą prawdę z moich ust i siedziałem niemy, a chwilę później pojawił się Kowal, mokry i zapiaszczony, wpadł na nas tak gwałtownie, że Sikorka zerwała się na nogi, by ratować spódnicę, i chwila przepadła na zawsze, uniesiona podmuchem wiatru.

Wstałem i ja, rozprostowaliśmy kości, Sikorka wykrzyknęła, że już bardzo późno, a ja nagle poczułem na nowo ból w całym moim zdrowiejącym ciele. Głupio zrobiłem tkwiąc bez ruchu na chłodnym piasku, na pewno nie pozwoliłbym na to żadnemu zwierzęciu. Odprowadziłem

Sikorke do domu i tam nastąpił jeden niezręczny moment ciszy i bezruchu przed drzwiami, zanim się pochyliła i uściśnęła Kowala na do widzenia. A potem zostałem sam, pomijając ciekawskiego szczeniaka, który chciał się dowiedzieć, dlaczego szedłem tak wolno, skarżył się, że umiera z głodu, i biegał jak szalony przez całą drogę do zamku.

Wlokłem się na wzgórze, zziębnięty w duszy i na ciele. Odprowadziłem Kowala do stajni, życzyłem dobrej nocy Sadzy, a potem poszedłem do warowni. Konsyliarz i jego uczniowie skończyli już swój skromny posiłek i wyszli. Większość mieszkańców twierdzy także była po posiłku. Wróciłem do starych nawyków. W kuchni zawsze czekało jedzenie, a obok, w strażnicy, towarzystwo. Żołnierze przychodzili tam i wychodzili o każdej porze dnia i nocy, więc kucharka trzymała na haku gorący kociołek, dodając - w miarę jak zupy ubywało - wody, mięsa i warzyw. Było tam także wino, piwo i ser oraz niewyszukane towarzystwo tych, którzy strzegli twierdzy. Uznali mnie za swojego od pierwszego dnia, gdy zostałem oddany pod opiekę Brusa. Tak więc zjadłem tam prosty posiłek, nawet w części nie tak skromny jak to, co by mi zapewnił Konsyliarz, ale też nie tak dostatni i bogaty jak bym pragnął. Tak nauczył mnie Brus, tak nakarmiłbym ranne zwierzę.

Przysłuchiwałem się rozmowom, zwracając uwagę na życie zamku po raz pierwszy od miesięcy. Zdumiony byłem, o ilu ważnych wydarzeniach nie miałem pojęcia, od kiedy skupiłem się wyłącznie na naukach Konsyliarza. Tematem większości rozmów była narzeczona księcia Szczerego. Słyszałem zwykle pieprzne żołnierskie dowcipy, których łatwo można się było spodziewać, ale też wiele współczujących słów na temat pecha, że to właśnie księżę Władczy miał mu wybierać przyszłą żonę. Fakt, że małżeństwo zostanie zaaranżowane dla celów politycznych, nie podlegał w ogóle dyskusji. Byłoby szaleństwem pozwolić członkowi rodziny królewskiej żenić się z miłości. Taki właśnie wybór leżał u źródła skandalu wywołanego przez uparte zaloty księcia Rycerskiego do hrabianki Cierpliwej. Narzeczona pochodziła przecież z tego samego królestwa, była córką szlachcica, w dodatku bardzo zaprzyjaźnionego z rodziną królewską. Tamto małżeństwo nie przyniosło żadnych korzyści politycznych.

W wypadku księcia Szczerego nie można było absolutnie dopuścić do podobnego marnotrawstwa. Szczególnie wobec zagrożenia, jakie nieśli naszemu długiemu wybrzeżu najeźdźcy ze szkarłatnych okrętów. Stąd zaczęły się mnożyć spekulacje. Kim będzie wybranka? Czy mieszkanką Wysp Pobliskich położonych na Morzu Białym na północ od naszego królestwa? Same wyspy to tylko skaliste skrawki ziemi wystające z morza, ale rozciągnięty na nich łańcuch wież strażniczych dawałby nam możliwość wcześniejszego ostrzeżenia przed najeźdźcami, wdzierającymi się na nasze wody terytorialne. Na południowy zachód od granic Królestwa Sześciu Księstw, za Deszczowymi Ostępami, gdzie panowało bezkrólewie, znajdowały się Wybrzeża Korzenne. Księżniczka pochodząca stamtąd nie zapewniałaby znaczących korzyści w dziedzinie obrony królestwa, ale byli tacy, którzy przypominali o bogatych kontraktach handlowych, jakie wiązałyby się z tą partią. Daleko na południe i wschód, na morzu, znajdowały się liczne wysepki, porośnięte drzewami ogromnie cennymi dla budowniczych łodzi. Może tam znalazłby się jakiś król, który by swojej córce zamienił ciepłe wiatry i owoce o łagodnym smaku na mieszkanie w zamku na skalistej ziemi skutej lodem? Czego by żądano w zamian za delikatną kobietę z południa i za wysokie drzewa? Jedni twierdzili, że futer, inni - że ziarna. A były jeszcze państwa górskie, zazdrośnie strzegące przejść prowadzących do królestwa tundry. Księżniczka z tamtego kraju mogłaby rozkazywać wojownikom swojego narodu, a także decydowałaby o powiązaniach kupieckich z handlarzami kością czy pasterzami reniferów, odgradzonymi od nas jej ziemiami. Za południową granicą było przejście prowadzące do górskich dopływów wielkiej Rzeki Deszczowej, która meandrami płynęła wzdłuż całych Deszczowych Ostępów. Każdy żołnierz słyszał stare baśnie o rozrzuconych na brzegach tej rzeki opuszczonych świątyniach pełnych

skarbów, o gigantycznych rzeźbionych bóstwach rządzących świętymi źródłami, i o płatkach złota iskrzących się w najmniejszych strumykach. Więc może księżniczka z gór?

Każdą możliwość rozważano i omawiano dokładnie, z większym politycznym zdrowym rozsądkiem niż Konsyliarz mógłby się spodziewać u tych prostych żołnierzy. Wstałem i usunąłem się z ich towarzystwa, gdyż czułem palący wstyd. W tak krótkim czasie Konsyliarz nauczył mnie myśleć o nich jak o kompletnych głupcach uzbrojonych w miecze. Jak o ludziach krzepkich, lecz pozbawionych rozumu. Spędziłem między nimi całe życie. Powinienem był wiedzieć lepiej. Nie, ja wiedziałem lepiej. Lecz chciałem postawić siebie wyżej, dowieść ponad wszelką wątpliwość własnego prawa do królewskiej magii. Uczyniło mnie to podatnym na zaakceptowanie każdego nonsensu, jaki Konsyliarz zechciał zasiać w mojej głowie. Coś we mnie pękło, znalazłem rozwiązanie łamigłówek i wszystkie fragmenty nagle wsunęły się na miejsce. Zostałem przekupiony ofertą wiedzy, podobnie jak innego człowieka przekupią się złotem.

Nie miałem o sobie najlepszego zdania, kiedy wspinałem się po schodach do swojej komnaty. Położyłem się spać z postanowieniem, że nie pozwolę się dłużej oszukiwać Konsyliarzowi i nie będę oszukiwał się sam. Podjąłem także niezłomne postanowienie, iż będę się uczył Mocy, bez względu na to jak bolesna ani jak trudna będzie ta nauka.

I tak w ciemnościach następnego ranka powróciłem do poprzedniej rutyny. Uważałem na każde słowo Konsyliarza, starałem się jak najlepiej wypełniać każde ćwiczenie, fizyczne czy umysłowe. Minał trudny tydzień, potem miesiąc, a ja czułem się jak pies, któremu ktoś odsuwa miskę tuż poza zasięg pyska. Z innymi coś się najwyraźniej działo. Powstawała między nimi siatka myśli, komunikaty docierały do nich, zanim przemówili, dzięki czemu mogli wykonywać ćwiczenia fizyczne jak jeden mąż. Flegmatycznie, niechętnie partnerowali mi po kolei, lecz ja nie wyczuwałem od nich nic, a oni wzdrygali się i odsuwali, skarżąc się Konsyliarzowi, że siła mojego dotknięcia raz była słaba niczym najcichszy szept, a raz znowu podobna do nacierającego tarana.

Obserwowałem, nieledwie zrozpaczony, jak tańczyli w parach, ale na odległość, wykonując te same ruchy w tym samym niesłyszalnym rytmie, albo jak jedno spacerowało z zasłoniętymi oczyma przez kamienny labirynt, prowadzone myślami partnera. Czasami wiedziałem, że mam Moc. Czułem, jak we mnie narasta, jak się rozwija niczym kiełkujące ziarno; niestety nie potrafiłem nad tym zjawiskiem zapanować ani z niego skorzystać. W jednej chwili było ono we mnie, atakując niczym wzburzone fale przyływu na skalisty brzeg, a w następnej zniknęło i zostawał tylko suchy pustynny piach. Kiedy było, mogłem nakazać Dostojnemu usiąść, schylić się, chodzić. W następnej chwili stał bez ruchu, patrzył na mnie i wzywał, bym w ogóle nawiązał z nim kontakt.

A przy tym nikt nie mógł osiągnąć mnie.

- Odsłoń się, zburz te mury - rozkazywał mi Konsyliarz gniewnie, na próżno próbując przekazać mi najprostszy rozkaz lub sugestię. Czułem tylko leciutkie muśnięcie jego Mocy. Nie potrafiłem go już wpuścić do swojego umysłu, tak jak nie mógłbym stać spokojnie, podczas gdy ktoś wbijałby mi miecz pod żebra. Z całych sił próbowałem się przymusić, a jednak odruchowo chroniłem się przed jego dotykiem, a kontaktu z moimi towarzyszami nauki nie czułem w ogóle.

Oni robili systematyczne postępy, podczas gdy ja walczyłem, by opanować chociaż podstawy. Przyszedł dzień, gdy Dostojny patrzył na stronicę, a jego partner, stojący na drugim końcu dawnego ogrodu, czytał ją na głos, podczas gdy dwie inne pary grały w szachy, przy czym ci, którzy decydowali o ruchach, nie widzieli szachownicy. Konsyliarz zadowolony był z postępów wszystkich uczniów, prócz mnie. Każdego dnia odprawiał nas po dotknięciu Mocą, dotknięciu, którego prawie nie czułem. I każdego dnia odchodziłem jako ostatni, a on zimno przypominał mi, że traci czas na bękarta tylko dlatego, iż musi być posłuszny rozkazom króla.

Zbliżała się wiosna. Kowal wyrósł na pięknego psa. Sadza się ożrebiła. Raz spotkałem się z Sikorką, spacerowaliśmy po targu. Prawie nie rozmawialiśmy. Pojawił się nowy stragan, stał za nim czerstwy mężczyzna i sprzedawał ptaki oraz zwierzęta, które sam schwycił do klatek. Miał kruki i wróble, jedną jaskółkę oraz młodego lisa tak zarobaczonego, że ledwie stał. Śmierć uwolniłaby go od cierpienia szybciej niż jakikolwiek kupujący. Nawet gdybym miał pieniądze, to i tak zwierzę osiągnęło już stan, w którym lekarstwo przeciw robakom zatrułoby je równie skutecznie jak pasożyty. Przyprawiło mnie to o mdłości i stałem tak, wsączając w mózgi ptaków informację, że dziobnięcie pewnego błyszczącego kawałka metalu może otworzyć drzwi klatki. Sikorka sądziła widocznie, że przyglądam się z zadowoleniem męce biednych stworzeń, bo poczułem, jak ogarnia ją chłód i jak się ode mnie odsuwa. Kiedy odprowadziliśmy ją do domu, Kowal zaskamlał, by przyciągnąć jej uwagę, i zanim odeszliśmy, został przytulony i obdarzony pieśczętą. Zazdrościłem mu, że potrafił tak ładnie skamleć. Moje skamlenie przeszło nie usłyszane.

Wraz z powiewem wiosny wszystko w porcie zaczęło się zbroić, gdyż wkrótce miała nastać pogoda sprzyjająca napaściom. Jadłem teraz co wieczór z żołnierzami i uważnie słuchałem wszystkich pogłosek. Nieszczęśnicy dotknięci kuźnicą napadali i rabowali na drogach, a historie o ich grabieżach były teraz głównym tematem rozmów w tawernach. Niczym drapieżniki, pozbawieni byli litości. Łatwo przychodziło zapomnieć, że kiedyś byli ludźmi, i nienawidzić ich z ogromną gwałtownością.

Proporcjonalnie wzrastał strach przed zakażeniem kuźnicą. Na targu oferowano matkom cukierki zaprawione trucizną, które można było dać dziecku w przypadku, gdyby rodzina została schwytana przez najeźdźców. Plotka niosła, że mieszkańcy niektórych nadbrzeżnych miast spakowali cały dobytek na powozy i wyruszyli w głąb lądu, porzucając tradycyjne zajęcia na morzu i w handlu, by przedzierzgnąć się w rolników i myśliwych, daleko od zagrożenia, jakie niesło ze sobą wybrzeże. W miastach przybyło żebraków. Jeden dotknięty kuźnicą pojawił się nawet w stolicy i chodził po ulicach równie nietykalny jak człowiek szalony, ze straganów na targu brał sobie, co chciał. Zniknął gdzieś, nim minął drugi dzień, a ponure szepty głośiły, że jego ciała należało szukać na plaży.

Inne wieści głośiły o wybraniu żony dla księcia Szczerego pośród ludu z gór. Wedle jednych po to, by zapewnić nam swobodne przejścia przez góry, zdaniem innych dlatego, że lepiej zawczasu obłaskawić potencjalnego wroga za plecami, gdy na całym wybrzeżu trzeba się obawiać najeźdźców ze szkarłatnych okrętów. A były jeszcze i inne plotki, właściwie najcichsze szepty, zbyt ulotne i fragmentaryczne, by je uznać za plotki, że z księciem Szczerym nie wszystko było tak, jak być powinno. Jedni mówili, że jest zmęczony i chory, inni chichotali nieprzyzwoicie, że jest bardzo nerwowym i znużonym narzeczonym. Niektórzy szydzili, że zaczął pić, a widywany jest tylko w dzień, kiedy najbardziej boli go głowa.

Byłem głęboko zatroskany ostatnimi plotkami. Nikt z rodu królewskiego nigdy nie zwracał na mnie szczególnej uwagi. Król Roztropny dopilnował mojej edukacji i wygody, i dawno temu kupił sobie moją lojalność, więc teraz należałem do niego. Książę Władczy mną gardził i dawno już nauczyłem się unikać spojrzenia jego zmrużonych oczu, przypadkowych potrażeń i gwałtownych popchnięć, które kiedyś, gdy byłem mniejszy, wystarczały, by mnie przewrócić. A książę Szczery, choć dostrzegał mnie jakby mimochodem, zawsze był dla mnie miły. Poza tym darzył swoje psy, sokoły i konia miłością, którą rozumiałem. Chciałem go widzieć dumnego w dniu ślubu i miałem nadzieję któregoś dnia stanąć za jego tronem, podobnie jak Cierń stał za tronem króla Roztropnego. Bardzo chciałem, by nic złego się z nim nie działo, a jednocześnie dręczyła mnie świadomość, że nie mogłem nic zrobić, gdyby się stało inaczej. Nawet nie spotykałem go często; każdy z nas chodził zupełnie innymi drogami.

Wiosna nie nadeszła jeszcze w pełni, gdy Konsyliarz obwieścił nam ważną nowinę. W zamku rozpoczęły się przygotowania do wiosennego Święta Radości. Kramy na targu wyczyszczono

piaskiem i odmalowano na jaskrawe kolory, wyznaczano gałęzie drzew, które miały przystroić wnętrza, by kwiecie i świeże listki opadały na stół biesiadny. Lecz nie o delikatne odcienie świeżej zieleni ani o ciasto z nasionami kopytnika na wierzchu chodziło Konsyliarzowi, ani też o występ teatryku lalek, ani o tańce myśliwskie. Z nadejściem nowej pory roku mieliśmy zostać poddani próbie, by udowodnić, czy jesteśmy cokolwiek warci.

- Cokolwiek warci - powtórzył takim tonem, jakby tych, którzy zawiodą, skazywał na śmierć. Uwaga jego uczniów nie mogła być już bardziej napięta. A ja, milcząc, próbowałem sobie uświadomić w pełni, co będzie oznaczało dla mnie, jeśli nie przejdę przez próbę. Nie wierzyłem, że Konsyliarz będzie sprawdzał moje umiejętności honorowo ani że mógłbym przejść przez test, nawet gdyby tak uczynił.

- Ci z was, którzy się sprawdzą, utworzą krąg Mocy. Będzie to krąg, jakiego dotąd nie było. W punkcie kulminacyjnym wiosennego Święta Radości sam przedstawię was królowi i zobaczy on wówczas cud, który stworzyłem. Skoro zaszłście razem ze mną tak daleko, wiecie doskonale, że nie zamierzam się przed nim wstydić. Dlatego też sam poddam was próbie, by zyskać pewność, że broń, którą oddaję w ręce mojego króla, ma ostrze warte swego pana. Jutro rozproszę was, niczym nasiona na wietrze, po całym królestwie. Ułożyłem już, że każde z was zostanie stąd szybkimi końmi zabrane do miejsca przeznaczenia, a tam pozostawione samo. Żadne nie będzie wiedziało, gdzie są pozostali.

Przerwał, chyba po to by pozwolić nam odczuć narastające napięcie. Wiedziałem, że wszyscy pozostali wibrują unisono, podzielają te same uczucia, niemal jak jeden umysł odbierający jego instrukcje. Podejrzewałem, że słyszą o wiele więcej, nie tylko proste słowa padające z ust Konsyliarza. Czułem się między nimi jak obcy, słuchający słów w języku, którego idiomów nie potrafi pojąć. Byłem pewien, że poniosę klęskę.

- W ciągu następnych dwóch dni zostaniecie wezwani. Przeze mnie. Zostaniecie poinstruowani, z kim i gdzie macie się skontaktować. Każde z was otrzyma informacje niezbędne, by wrócić tutaj. Jeśli się uczyliście i robiliście to dobrze, mój krąg Mocy będzie tutaj na Święto Radości, gotowy do zaprezentowania królowi. - Znowu przerwał. - Nie wyobrażajcie sobie, że wystarczy tylko wrócić do Koziej Twierdzy w odpowiednim czasie. Macie być kręgiem Mocy, a nie gołębiami pocztowymi. To, jak wrócicie i w jakim towarzystwie, udowodni mi, że posiadliście umiejętność władania Mocą. Do jutrzejszego ranka macie czas na przygotowania do drogi.

Pozwolił nam odejść, kolejno, znowu z dotknięciem Mocy i słowem pochwały dla każdego oprócz mnie. Ja stałem przed nim tak otwarty, jak tylko potrafiłem, mimo strachu przed jego atakiem, a mimo to muśnięcie Mocy w moim umyśle było lżejsze niż nieśmiały powiew wiatru. Konsyliarz spojrział na mnie z góry, ja podniosłem na niego wzrok i nie potrzebowałem Mocy, by wyczuć, że się mną brzydzi. Prychnął pogardliwie, odwrócił wzrok i zwolnił mnie. Ruszyłem ku schodom.

- O wiele lepiej by się stało - odezwał się głucho - gdybyś pokonał mur tamtej nocy, bękarcie. O wiele lepiej. Brus sądził, że cię skrzywdziłem. Ja tylko pokazałem ci drogę wyjścia, najbliższą honorowego rozwiązania. Odejdź już i zgiń, chłopcze, a przynajmniej odejdź. Samym istnieniem hańbisz imię swego ojca. Na Eda, nie wiem, jak to się stało, że w ogóle żyjesz. Że twój ojciec upadł tak nisko, by się położyć z... i pozwolić ci się począć... to przekracza moją wyobraźnię.

W jego głosie brzmiała nuta fanatyzmu, jak zwykle gdy mówił o księciu Rycerskim, oczy miał prawie puste od ślepego uwielbienia. Niemał automatycznie ruszył do wyjścia. Dotarł do szczytu schodów, tam przystanął i odwrócił się do mnie, bardzo wolno.

- Muszę zapytać - odezwał się, a nienawiść w jego głosie ociekała jadem. - Czy jesteś jego kochasiem, że pozwala ci tak wysysać energię? Czy dlatego jest taki zazdrosny o ciebie?

- Kochasiem? - powtórzyłem słowo, którego nie zrozumiałem. Uśmiechnął się, przez co jego wymizerowana, trupio blada twarz jeszcze bardziej upodobniła się do czaszki.

- Myślałeś, że go nie odkryję? Sądziłeś, że będziesz ciągnąć z niego siły w czasie próby? Nie. Możesz być pewny, bękarcie. Nie będziesz.

Odwrócił się i zaczął schodzić, zostawiając mnie samego na szczycie wieży. Nie miałem pojęcia, co oznaczały jego ostatnie słowa, ale bijąca z nich nienawiść sprawiła, że czułem się chory i słaby, jak gdyby do mojej krwi dostała się trucizna. Przypomniał mi się ostatni raz, gdy wszyscy zostawili mnie na szczycie wieży. Poczulem przymus, by podejść do krawędzi muru i spojrzeć w dół. Ten róg wieży był od strony łądu, lecz u stóp ściany wystawały ostre skały. Nikt by nie przeżył takiego upadku. Gdybym zdołał podjąć decyzję, niezłomną choć przez jedną sekundę, uwolniłbym się od brzemienia życia. A wtedy już by mnie nie mogło kłopotać, co by o tym powiedział Brus albo Cierń, albo ktokolwiek inny.

Odległe echo skamlenia.

„Już idę” - szepnąłem i odwróciłem się od krawędzi.

17

PRÓBA

Ceremonia wkroczenia w wiek męski powinna się odbyć w miesiącu, w którym chłopiec obchodzi czternaste urodziny. Nie wszyscy zostają nią uhonorowani. Wymaga ona obecności Wtajemniczonego, który będzie patronem chłopca oraz nada mu imię. Musi on także przedstawić dwunastu innych Wtajemniczonych, którzy zaświadczą, że chłopiec zasłużył na tę ceremonię i jest gotów być mężczyzną. Ponieważ żyłem pomiędzy żołnierzami, znałem tę tradycję, a także wiedziałem o jej doniosłości i ważności dostatecznie dużo, by nigdy się nie spodziewać, że wezmę w niej udział. Z jednej strony nikt nie potrafił dokładnie określić daty mojego urodzenia, z drugiej - nie znałem żadnego Wtajemniczonego, nie mówiąc już o tym, czy w ogóle istniało dwunastu, skłonnych uznać mnie za wartościowego człowieka.

Pewnej nocy, wiele miesięcy po próbie Konsyliarza obudziłem się otoczony przez zakapturzone postacie. W ciemnościach wychwyciłem błyski masek Szupów.

Nie wolno mówić ani pisać o szczegółach ceremonii. Lecz mogę, jak sądzę, uchylić rąbka tajemnicy. Trzeba wspomnieć, że mając w swoich rękach żywą istotę - rybę, ptaka czy inne zwierzę, nigdy nie zabijałem, zawsze zwracałem wolność. A więc, w czasie mojej ceremonii wkroczenia w wiek męski, żadne stworzenie nie straciło życia, a co za tym idzie, nie było zwyczajowej uczty. Nawet w tamtej chwili czułem, że na całe życie dosyć już krwi dookoła mnie, i odmówiłem zabicia tak rękoma, jak zębami. Mój Wtajemniczony mimo to wybrał dla mnie imię, więc nie mógł być całkowicie zawiedziony. Jest ono w starej mowie, która nie zna liter i nie może być zapisana. Nigdy nie znalazłem nikogo, komu mógłbym wyjawić brzmienie mojego męskiego imienia. Ale jego starożytne znaczenie wolno mi, jak sądzę, przedstawić tutaj. Imię to oznacza katalizator. Czynniki przyspieszający zmiany.

* * *

Poszedłem prosto do stajni, do Kowala, a potem do Sadzy. Dręczyła mnie myśl o jutrzejszym dniu, czułem się chory. Stałem w boksie Sadzy, z głową opartą o jej kłęb i próbowałem opanować mdłości. Tak znalazł mnie Brus. Najpierw poczułem jego obecność, potem usłyszałem równy rytm kroków, gdy szedł przez stajnie, wreszcie raptownie zatrzymał się przed boksem Sadzy.

- No? O co chodzi? - zapytał szorstko i usłyszałem w jego głosie, jak bardzo jest zmęczony i mną, i moimi problemami.

Gdybym był w odrobinę chociaż lepszym stanie, duma nakazałaby mi wziąć się w garść i oznajmić, że nic się nie stało. Przytuliłem się do Sadzy.

- Jutro Konsyliarz będzie nas sprawdzał - wymamrotałem.

- Wiem. Zażądał koni na tę idiotyczną wyprawę. Byłbym mu odmówił, ale miał dokument z woskowym odciskiem królewskiego sygnetu, dający mu prawo do takiego rozkazu. I nie wiem nic poza tym, więc nie pytaj - dodał cierpko, kiedy nagle podniosłem na niego wzrok.

- Nie miałem zamiaru - odparłem ponuro. Poprzysiągłem sobie, że poddam się próbie zgodnie z regułami wyznaczonymi przez Konsyliarza

- Nie masz żadnej szansy? - zagadnął Brus niezobowiązującym tonem, ale ja i tak słyszałem, że przygotował się na rozczarowanie.

- Najmniejszej - odparłem głosem bez wyrazu i obaj milczeliśmy przez chwilę, słuchając ostateczności brzmiącej w tym słowie.

- Tak. - Odchrząknął i poprawił pas. - No to już miej za sobą tę próbę i jak najszybciej wracaj. W innych zajęciach masz więcej szczęścia. Trudno się spodziewać, żeby człowiekowi dobrze szło wszystko, czego się tknie. - Próbował odebrać ważność mojej klęsce w nauce Mocy.

- Chyba tak. Zaopiekuj się Kowalem, kiedy mnie nie będzie, dobrze?

- Zgoda. - Ruszył dalej, lecz jeszcze się odwrócił, jak gdyby niechętnie. - Bardzo będzie za tobą tęsknił?

Usłyszałem także to drugie pytanie, ale próbowałem je zignorować.

- Nie wiem. Tak często musiałem go zostawiać samego, że chyba nie będzie tęsknił wcale.

- W to wątpię - oznajmił Brus bez ogródek. Odwrócił się. - Bardzo w to wątpię - powiedział odchodząc pomiędzy boksami.

Wiedział o wszystkim i był zdegustowany, bo nie dość, że Kowala i mnie łączyła więź Rozumienia, to jeszcze nie chciałem się do tego przyznać.

- Zupełnie jak gdyby takie przyznanie się cokolwiek w jego oczach zmieniało - szepnąłem do Sadzy.

Pożegnałem się ze zwierzętami, próbując przekazać Kowalowi, że minie kilka posiłków i kilka nocy, zanim znowu mnie zobaczy. Zakręcił się, zaczął łasić i protestować, prosić, bym go zabrał ze sobą, przekonywać, że będę go potrzebował. Był już za duży, żeby go wziąć na rękę, więc usiadłem, a on ułożył się na moich kolanach i tak go przytuliłem. Był ciepły, bliski i prawdziwy. Przez moment czułem, jak bardzo miał rację twierdząc, że będę go potrzebował, by znieść gorycz klęski. Na szczęście uświadomiłem sobie, że przecież będzie tutaj czekał na mój powrót. Obiecałem mu kilka wspólnych dni po powrocie. Chciałem go zabrać na długie polowanie, na jakie nigdy do tej pory nie mieliśmy czasu.

„Teraz” - zaproponował.

„Wkrótce” - przyrzekłem.

Potem wróciłem do twierdzy i spakowałem trochę ubrań oraz jedzenia na drogę.

Wydarzenia następnego ranka ubrane zostały w pompę i dramatyzm, a także, moim zdaniem, w większości pozbawione były sensu. Inni uczniowie mistrza Mocy wydawali się podekscytowani. Z ośmiorga przygotowywanych do próby byłem jedynym, na którym nie robiły wrażenia podenerwowane konie i zakryte lektyki. Konsyliarz kazał nam stanąć w rzędzie przed publicznością liczącą przynajmniej pół setki osób i zawiązał nam opaski na oczach. Większość stanowili krewni lub przyjaciele uczniów, byli także okoliczni plotkarze. Konsyliarz przemówił krótko, niby do nas, ale mówił o sprawach, które już znaliśmy: że będziemy zabrani w różne miejsca i tam zostawieni, że musimy współpracować przy użyciu Mocy, aby dotrzeć z powrotem do zamku, że jeśli wykonamy zadanie, będziemy mogli utworzyć krąg Mocy, chlubnie służyć naszemu królowi i poważnie się przyczynić do pobicia

najeźdźców ze szkarłatnych okrętów. Ostatni fragment wywarł na widzach duże wrażenie; gdy wprowadzano mnie do lektyki, słyszałem ożywione szepty i pomruki.

W lektyce spędziłem półtorej doby. Kołysała się nieprzerwanie, a mojej twarzy nie chłodził najmniejszy powiew świeżego powietrza. Nie mogłem się rozerwać oglądaniem krajobrazu. Szybko zacząłem odczuwać mdłości. Woźnica, zaprzysiężony, że będzie milczał, dotrzymał słowa. Nocą zatrzymaliśmy się na krótko. Dostałem marny posiłek: chleb z serem i wodę, a potem znów wsiadłem do lektyki. Kołysząc się i podskakując ruszyła w dalszą drogę.

Około południa następnego dnia lektyka się zatrzymała. Raz jeszcze ktoś pomógł mi wysiąść. Nie padło ani jedno słowo. Stałem na silnym wietrze, Zesztywniały, z bolącą głową i z zawiązanymi oczyma. Gdy usłyszałem oddalające się konie, zdecydowałem, że widocznie dotarłem już do celu, i sięgnąłem do opaski. Konsyliarz zawiązał ją mocno, więc minęła dłuższa chwila, nim ją zdjąłem.

Stałem na trawiastym zboczu. Moja eskorta była już daleko na drodze, która wiała się u podnóża wzniesienia - i oddalała się szybko. Trawa była wysoka, sięgała mi kolan, na górze żdźbeł wysuszona zimą, ale przy ziemi zielona. Widziałem inne wzgórza ze skałkami rozrzuconymi na zboczach i pasy lasów rozpościerające się u ich stóp. Znajdowałem się na terenie górzystym, ale gdzieś od wschodu wyczuwałem morze.

Schyliłem się po mój skromny bagaż. Miałem nieodparte wrażenie, że krajobraz jest mi znajomy; nie byłem nigdy w tym konkretnym punkcie, ale ułożenie terenu wydawało mi się nieobce. Odwróciłem się i na zachodzie ujrzałem Posterunek. Nie można było z niczym pomylić podwójnego garbu jego szczytu. Niecały rok wcześniej kopiowałem dla Krzewiciela mapę, której twórca wybrał tę górę na motyw dekoracyjny brzegów zwoju. Tak. Morze z tamtej strony, Posterunek tutaj... nagle zorientowałem się, gdzie byłem. Niedaleko Kuźni.

W panice rozejrzałem się dookoła. Trawa, lasy, droga. Ani śladu człowieka. Szaleńczo wysłałem myśl na poszukiwanie innego umysłu, lecz znalazłem tylko ptaki, małe dzikie zwierzątka i jednego kozła, który uniósł głowę i węszył, zastanawiając się, co go zalarmowało. Przez chwilę odczułem ulgę, dopóki sobie nie przypomniałem, że zakażeni kuźnicą, których poprzednio spotkałem, byli dla tego zmysłu niewidoczni.

Zszedłem ku grupie głązów wystających ze zbocza i usiadłem ukryty pomiędzy nimi. Nie chodziło o to, że wiatr był zimny, bo dzień niósł ze sobą obietnicę rychłej wiosny. Chciałem mieć coś solidnego za plecami, musiałem czuć, że nie jestem wystawiony na cel jak wówczas, gdy stałem na szczycie. Próbowałem na chłodno rozważyć, co powinienem robić dalej. Konsyliarz radził nam, byśmy trwali spokojnie tam, gdzie zostaniemy wysadzeni, medytowali i pozostawali otwarci na dotknięcie Mocą. W ciągu dwóch dni miał próbować się ze mną skontaktować.

Nic tak nie pozbawia hartu ducha jak oczekiwanie klęski. Nie wierzyłem, że Konsyliarz rzeczywiście spróbuje się ze mną porozumieć, a tym bardziej że odbiorę jakikolwiek przekaz, nawet gdyby spróbował. Nie wierzyłem także, że miejsce, które dla mnie wybrał, było bezpieczne. Dużo o tym myślałem. Podniosłem się, raz jeszcze rozejrzałem po okolicy, czy ktoś mnie nie obserwuje, a potem ruszyłem za wonią morza. Jeżeli dobrze się domyślałem, gdzie jestem, z wybrzeża powinienem dostrzec Wyspę Rogową, a w pogodny dzień także Wyspę Osnowy. Nawet jedna z nich by wystarczyła, żebym się zorientował, jak daleko jestem od Kuźni.

Wędrując tłumaczyłem sobie, że chciałem jedynie sprawdzić, ile czasu zajmie mi droga powrotna do Koziej Twierdzy. Tylko szalenieć mógłby sobie wyobrazić, że dawni mieszkańcy osady dotknięci kuźnicą nadal stanowią tutaj jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Z całą pewnością zginęli w czasie mrozów albo byli po zimie zbyt wygłodniali i osłabieni, żeby komukolwiek zagrazać. Nie dawałem wiary bajdom, jakoby się zbierali w grupy rozbójników. Nie bałem się. Chciałem się tylko dowiedzieć, gdzie jestem. Gdyby Konsyliarz rzeczywiście miał zamiar nawiązać ze mną kontakt, moja wycieczka nie stanowiła żadnej przeszkody.

Powtarzał nam do znudzenia, że sięga ku osobie, a nie do konkretnego miejsca. Równie dobrze jak na szczycie wzgórza, mógł mnie odnaleźć na plaży.

Późnym popołudniem stanąłem na skalistym klifie sięgającym morza. Ujrzałem Wyspę Rogową, a za nią niewyraźny kontur Wyspy Osnowy. Znajdowałem się na północ od Kuźni. Jedyna droga do domu prowadziła prosto przez ruiny osady. Nie była to pocieszająca świadomość.

I co teraz?

Przed wieczorem znalazłem się znowu na szczycie mojego wzgórza, skulony między dwoma głazami. Zdecydowałem, że jest to równie dobre miejsce na czekanie jak każde inne. Pomimo wszelkich wątpliwości postanowiłem zostać tutaj, aż minie czas wyznaczony na kontakt. Zjadłem trochę chleba i solonej ryby, popiłem oszczędnie słodką wodą. W zapasowych ubraniach miałem dodatkowy płaszcz. Owinąłem się w niego i zaniechałem myśli o rozpaleniu ognia. Dla kogoś na piaszczystej drodze opasującej wzgórze najmniejszy płomyk byłby niczym jasna pochodnia.

Nie wydaje mi się, by istniało cokolwiek bardziej okrutnie nudnego niż stałe nerwowe napięcie. Próbowałem medytować, by otworzyć się na Moc wysyłaną przez Konsyliarza, a jednocześnie drżałem z zimna i nie chciałem się przyznać do własnego strachu. Drzemiące we mnie dziecko bez przerwy podsuwało obrazy ciemnych obdartych postaci podkradających się bezszelestnie z boczem wzgórza, zbliżali się zakażeni kuźnicą, którzy mnie pobiją i zamordują za płaszcz, który mam na grzbiecie, i za jedzenie w bagażu. W drodze powrotnej na wzgórze wyciąłem sobie kij i teraz trzymałem go mocno w obu dłoniach, ale żałosna to była broń. Od czasu do czasu przysypiałem - mimo strachu - lecz we śnie ciągle widziałem Konsyliarza napawającego się moją porażką, moją śmiercią pod zbitą masą napastników; co chwila budziłem się przerażony i rozglądałem bojaźliwie dokoła, by sprawdzić, czy nocne koszmary nie stały się rzeczywistością.

Później obserwowałem wschód słońca i drzemałem niespokojnie. Popołudnie przyniosło ze sobą spokój znużenia. Zabawiałem się sięganiem myślą do różnych zwierząt na wzgórzu. Myszy i ptaki były ledwie iskierkami dla mojego spragnionego umysłu, króliki wysyłały nieco silniejsze impulsy, lis zapragnął odnaleźć pokrewną duszę, a gdzieś dalej kozioł bił aksamitnym porożem z podobnym zapałem, jak kowal w kowadło. Wieczór bardzo mi się dłużył. Zdumiewające, jak trudno mi było zaakceptować, że nie czułem nic, najłżejszego muśnięcia Mocy. Może Konsyliarz mnie nie wołał, może ja go nie słyszałem. Powiedziałem sobie, że nie ma to najmniejszego znaczenia. Wraz z nadejściem nocy zjadłem trochę chleba i ryby. Próbowałem pokrzepić się gniewem, ale rozpacz była tak wielka i czarna, że nie zdołałem jej rozjaśnić płomieniem furii. Czułem absolutną pewność, że Konsyliarz mnie oszukał, ale przecież nie miałem możliwości tego udowodnić, nawet samemu sobie. Wiedziałem, że do końca życia będę się zastanawiał, czy zasłużyłem na jego pogardę. W całkowitych ciemnościach oparłem się plecami o kamień i, z kijem położonym przez kolana, zdołałem usnąć.

Sny miałem niejasne i dręczące. Książę Władczy stał nade mną, a ja byłem znowu dzieckiem śpiącym na słomie. Roześmiał się i podniósł nóż. Książę Szczery wzruszył ramionami i posłał mi przepaszający uśmiech. Cierń odwrócił się ode mnie rozczarowany. Sikorka nad moim ramieniem uśmiechała się do Nefryta, młodego marynarza, zapomniawszy w ogóle o mojej obecności. Brus trzymał mnie za koszulę tuż pod gardłem, potrząsał mną i mówił, żebym się zachowywał jak człowiek, a nie jak zwierzę. Leżałem na słomie przykrytej starą koszulą i obgryzałem kość. Mięso było bardzo smaczne, nie myślałem o niczym więcej.

Było mi bardzo wygodnie, dopóki ktoś nie otworzył drzwi stajni. Zostawił je otwarte na oścież. Niemily przeciąg wkradł się do wnętrza, przemknął po podłodze i przykro mnie schłodził; uniosłem głowę z cichym warknięciem. Poczulem zapach Brusa i piwa. Brus szedł wolno w ciemnościach.

- Wszystko w porządku, Kowal - powiedział, mijając mój bok.

Kiedy zaczął się wdrapywać na schody, opuściłem głowę.

Nagle rozległ się krzyk. Rozgorzała walka. Zerwałem się na równe nogi, warcząc i ujadając. Dwaj mężczyźni stoczyli się na dół. Wylądowali tuż obok mnie. Ktoś mnie kopnął, złapałem w zęby ludzką nogę, zacisnąłem szczęki. Uchwyciłem więcej buta i spodni niż ciała, ale człowiek zasyczał z wściekłości, z bólu. Rzucił się na mnie.

Dostałem nożem w bok.

Zacisnąłem zęby mocniej. Warczałem cały czas. Inne psy obudziły się i ujadają, konie kręciły się niespokojnie w boksach.

„Chłopiec, chłopiec!” - zawołałem o pomoc. Czulem go przy sobie, ale nie przyszedł.

Intruz mnie kopnął, ale go nie puściłem. Brus leżał w słomie, węszyłem jego krew. Nie ruszał się. Warczałem. Słyszałem, jak stara Wiedźma atakuje drzwi izby na górze, na próżno usiłując wydostać się do swojego pana. Znowu i znowu zanurzył się we mnie nóż. Zawołałem chłopca ostatni raz i już nie mogłem dłużej zaciskać zębów. Wystarczył jeden kopniak. Poleciałem daleko, uderzyłem o ściankę boksu. Dławiłem się od własnej krwi. Biegające stopy. Ból w ciemności. Podpełznałem bliżej Brusa. Wsunąłem nos w jego dłoń. Nie poruszył się. Głosy i światło coraz bliżej, bliżej, bliżej...

Obudziłem się na ciemnym zboczcu wzgórza, z kijem w dłoniach zaciśniętych tak mocno, że aż zdrętwiały. Nawet przez chwilę nie sądziłem, że to był sen. Nie mogłem się pozbyć ostrego bólu po ciosie nożem między żebra i smaku krwi w ustach. Jak refren upiornej piosenki wspomnienie wracało znów i znów; ciąg chłodnego powietrza, nóż, but, smak krwi wroga, smak mojej własnej krwi. Usiłowałem nadać sens temu, co wiedział Kowal. Ktoś czekał na Brusa na szczycie schodów do jego izby. Ktoś z nożem. Brus upadł, a Kowal czuł krew...

Wstałem i zebrałem swoje rzeczy. Błada i niewyraźna była obecność Kowala w moim umyśle. Słaba, ale była. Sięgnąłem ku niemu ostrożnie, lecz zaraz się wycofałem, gdy poczułem, ile kosztuje go odpowiedź.

„Leż. Spokojnie. Już idę”.

Nogi mi drżały, byłem przemarznięty, ale po plecach spływał mi lepki pot. Nie wahałem się, co mam uczynić. Długimi krokami ruszyłem w dół zbocza ku zakurzonej drodze. Był to niewielki szlak handlowy, trasa domokrażców; wiedziałem, że doprowadzi mnie na brzeg morza. Będę szedł tym szlakiem, znajdę nadbrzeżny trakt, wrócę do domu. I jeśli Eda pozwoli, będę na czas, by pomóc Kowalowi. I Brusowi.

Szedłem długimi krokami, powstrzymując się od biegu. Równy marsz zaprowadzi mnie dalej i szybciej niż szalony bieg w ciemności. Noc była jasna, szlak prosty. Raz jeden zastanowiłem się, że właśnie kładę koniec jakimkolwiek szansom udowodnienia, że dysponuję Mocą. Wszystko, co w to włożyłem: czas, wysiłek, ból - wszystko na stracenie. Ale nie było sposobu, bym siedział i czekał przez cały następny dzień, aż Konsyliarz spróbuje ku mnie sięgnąć. By otworzyć umysł na ewentualny dotyk Mocy Konsyliarza, musiałbym oczyścić myśli z subtelnej więzi z Kowalem. Nie chciałem tego zrobić. Moc okazała się o wiele mniej ważna niż Kowal. I Brus.

Dlaczego Brus? Dziwiło mnie to. Kto mógł go nienawidzić tak mocno, by urządzić na niego zasadzkę? I to tuż przed jego własną kwaterą. Zacząłem zbierać fakty, jakbym je relacjonował Cierniowi. Ten ktoś znał Brusa na tyle dobrze, że wiedział, gdzie on mieszka co wykluczało przypadkową napaść związaną z jakimś nieporozumieniem w tawernie w mieście. Ten ktoś wziął ze sobą nóż, co wykluczało możliwość, że chciał tylko obić Brusa. Nóż był ostry i ten ktoś potrafił się nim posługiwać. Znowu się skrzywiłem na bolesne wspomnienie.

Takie były fakty. Ostrożnie przystąpiłem do budowania na ich podstawie przypuszczeń. Ten ktoś znał nawyki Brusa i żywił do mego tak wielką nienawiść, że gotów był zamordować. Nagle zwolniłem kroku. Dlaczego Kowal nie wyczuł człowieka czekającego na schodach? Dlaczego Wiedźma nie ujadła zza drzwi? Musiał to być ktoś, kto miał ogromną wprawę w

poruszaniu się ukradkiem, gdyż przemknął się nie zauważony obok psów - na ich własnym terytorium.

Konsyliarz.

Nie. To tylko ja chciałem, żeby to był Konsyliarz. Nie wolno mi było się dać omamić tej hipotezie. Konsyliarz nie był - fizycznie - żadnym przeciwnikiem dla Brusa i doskonale o tym wiedział. Nawet w ciemnościach, z nożem w rękę i kiedy Brus był pijany. Nawet z zaskoczenia. Nie. Konsyliarz mógł tego chcieć, ale by tego nie zrobił.

Czy posłałby kogoś innego? Rozwahałem to przez jakiś czas i zdecydowałem, że nie wiem. Pomyślałem jeszcze trochę. Brus nie odznaczał się szczególną cierpliwością. Konsyliarz był jego najnowszym wrogiem, ale nie jedynym. Jeszcze raz i jeszcze zbierałem fakty, próbując wysnuć sensowny wniosek. Nadaremnie. Wiedziałem zbyt mało.

Dotarłem do jakiegoś strumienia i ugasiłem pragnienie. Potem ruszyłem dalej. Drzewa wzdłuż drogi rosły gęściej, księżyc chował się za gałęzie. Nie zawróciłem. Szedłem naprzód, aż mój szlak dołączył do nadbrzeżnego traktu jak strumień zasilający rzekę. Poszedłem na południe, a szeroka droga błyszczała w świetle księżycy niczym srebro.

Całą noc szedłem i rozmyślałem. Kiedy pierwsze nieśmiałe promienie świtu znów zabarwiły krajobraz kolorami, poczułem się nieprawdopodobnie wyczerpany, ale ani przez chwilę nie pomyślałem, że mógłbym odpocząć. Mój niepokój był ciężarem, którego nie mogłem odłożyć. Uczępiłem się nikłego śladu ciepła, który mi mówił, że Kowal ciągle jeszcze żyje, i zastanowiłem się nad Brusem. Nie miałem sposobu, by się dowiedzieć, jak ciężko został ranny. Kowal czuł jego krew, więc nóż trafił w cel przynajmniej raz. A upadek ze schodów? Próbowałem odsunąć od siebie lęk. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że Brus może zostać raniony w ten sposób, a cóż dopiero rozważać, co bym wtedy czuł. Nie potrafiłem nazwać tego uczucia. Po prostu miałem pustkę w głowie, tak sobie pomyślałem. Pustkę. I byłem zmęczony.

Posiliłem się w drodze nieco i napełniłem bukłak wodą ze strumienia. Przed południem niebo się zachmurzyło i skropiło mnie deszczem, ale zaraz znów zaświeciło słońce. Szedłem. Spodziewałem się, że napotkam jakiś pojazd na drodze, ale nie było nic. Późnym popołudniem nadbrzeżny trakt skręcił ku klifowi. Mogłem spojrzeć przez małą zatoczkę na ruiny Kuźni. Martwy spokój tej osady przeszywał lodowatym chłodem. Z żadnego komina nie unosił się dym, ani jedna łódź nie stała w przystani. Wiedziałem, że droga prowadzi przez osadę. Bałem się, ale ciepły ślad życia Kowala dodawał mi siłę i odwagi.

Zaalarmował mnie szelest stopy na kamieniu. Tylko świetny refleks wykształcony podczas długich treningów Czernidła uratował mi życie. Obróciłem się błyskawicznie, zakręciłem przed sobą kijem i jakiś człowiek padł na ziemię. Strzaskalem mu szczękę. Trzech innych cofnęło się o krok. Wszyscy zakażeni kuźnicą, pozbawieni uczuć jak głazy. Ten, którego uderzyłem, wyjął skręcał się na ziemi. Nikt prócz mnie nie zwracał na niego uwagi. Poprawiłem mu jeszcze jednym szybkim ciosem w plecy. Zawył głośnie i znieruchomiał. Nawet w tej sytuacji zaskoczyło mnie własne zachowanie. Wiedziałem, że należy się upewnić, iż pokonany wróg nie będzie już sprawiał kłopotów, ale tak jak uderzyłem tego człowieka, nigdy nie potraktowałem nawet psa. Lecz walka z ludźmi dotkniętymi kuźnicą była podobna walce z duchami. Nie czułem ich obecności, nie odbierałem bólu, jaki musiałem sprawić rannemu, żadnego echa jego wściekłości czy strachu. Gdy uderzyłem go ponownie, by się upewnić, że na mnie nie skoczy, to jakbym trzasnął drzwiami - bezkarna gwałtowność.

Kręciłem kijem przed sobą, trzymając pozostałych na dystans. Choć obdarci i głodni, mogli mnie pokonać, gdybym wybrał ucieczkę. Byłem już zmęczony, a oni, jak wygłodzone wilki, ścigaliby mnie dopóki bym nie padł. Jeden z nich podszedł zbyt blisko i szybkim skośnym ciosem trafiłem go w nadgarstek. Upuścił wielki nóż do rybu, wrzasnął z bólu i przycisnął rękę do piersi. I znów pozostali dwaj nie zwrócili uwagi na rannego. Odskokczyłem do tyłu.

- Czego chcecie?

- Co masz? - spytał jeden. Jego głos brzmiał zgrzytliwie i niepewnie; dawno nie używany. Słowa pozbawione były jakiegokolwiek modulacji. Wolno okrążał mnie szerokim łukiem, musiałem się obracać za nim.

Głos umarłego - pomyślałem i nie mogłem się już uwolnić od tej myśli.

- Nic - wydyszałem i machnąłem kijem, żeby ten drugi nie podchodził za blisko. - Nic dla was nie mam. Ani pieniędzy, ani jedzenia, nic. Wszystko zgubiłem tam, na drodze.

- Nic - powtórzył drugi i wówczas zdałem sobie sprawę, że to była kobieta. Niegdyś to była kobieta. Teraz została złośliwa marionetka, której puste oczy rozbłyły chciwie na widok mojego płaszcza. - Płaszcz - powiedziała. - Chcę twój płaszcz.

Wydawała się uszczęśliwiona, że udało się jej sformułować myśl. Zapomniała o ostrożności. Trafiłem ją w gołeń. Opuściła wzrok na ranę, jak gdyby zdziwiona, po czym nadal kuśtykała za mną.

- Płaszcz - powtórzył mężczyzna. Przez chwilę gapili się na siebie, każde z nich dostrzegło w drugim rywala. - Mnie. Mój - dodał.

- Nie. Zabić ciebie - zaproponowała spokojnie kobieta. - Ciebie też - przypomniała sobie o mnie i znowu zaczęła się zbliżać.

Zamachnąłem się na nią, ale odskoczyła, a następnie rzuciła się naprzód i schwyciła za kij. Wyrwałem go. Obejrzałem się, akurat w porę, by zdzielić tego, któremu uszkodziłem nadgarstek. Przemknąłem obok i rzuciłem się do ucieczki. Biegłem niezadarnie; z kijem w jednym ręku, drugą szarpałem troki płaszcza. W końcu udało mi się je rozwiązać. Nie zwalniając kroku, zrzuciłem okrycie z ramion. Miałem miękkie kolana, wiedziałem, że nie na wiele więcej będzie mnie jeszcze stać. Dopadli płaszcza, bo usłyszałem rozwścieczone krzyki i wrzaski, kiedy się nad nim kłócili. Modliłem się, żeby to wystarczyło, by ich zatrzymać, i biegłem dalej, a gdy już nie miałem siły biec, szedłem prędkim krokiem. Ośmieliłem się obejrzeć. Szlak za moimi plecami był pusty. Ruszyłem dalej, a kiedy dostrzegłem gęstwiny ciernistych krzaków, zszedłem z drogi.

Wdarłem się w gąszcz. Roztrzęsiony i wyczerpany przykucnąłem na piętach wśród kłujących gałęzi. Wyteżyłem słuch. Pociągnąłem kilka łyków wody. Spróbowałem uspokoić oddech. Nie miałem czasu na to opóźnienie; musiałem wracać do Koziej Twierdzy, a jednak nie śmiałem wychylić nosa z kryjówki.

Po dziś dzień nie potrafię uwierzyć, że tam zasnąłem, lecz tak właśnie się stało.

Budziłem się powoli. Byłem oszołomiony, jakbym wracał do zdrowia po ciężkiej ranie albo długiej chorobie. Powieki miałem zlepione ropą, w opuchniętych ustach sucho. Zmusiłem się do otwarcia oczu i z niedowierzaniem rozejrzałem dookoła. Światło dnia przygasało, księżyc przysłaśniał chmury.

Byłem tak wyczerpany, że leżałem na kolczastych krzewach i spałem pomimo dokuczliwie kąsających owadów. Z ogromnym trudem wyostałem się z gęstwiny, zostawiając na kolcach strzępy ubrania i skóry. Wszedłem z miejsca mego ukrycia chyłkiem, niczym osaczone zwierzę, nie tylko sięgając umysłem jak najdalej, ale też węsząc w powietrzu i rozglądając się dookoła. Wiedziałem, że moje myśli nie odkryją żadnego ze skażonych kuźnicą, ale miałem nadzieję, iż jeśli któryś jest w pobliżu, leśne zwierzęta wyczują go i zareagują. Wszędzie panował spokój.

Ostrożnie wyszedłem na drogę. Była pusta. Spojrzałem w niebo i ruszyłem do Kuźni. Trzymałem się cienistej strony szlaku. Próbowaliśmy iść szybko i cicho, i ani jedno, ani drugie mi nie wychodziło. Myślałem tylko o tym, że muszę być czujny i muszę wrócić do Koziej Twierdzy. Ciepła iskierka życia Kowala znaczyła mój umysł ledwo wyczuwalnym śladem. Sądzę, że jedynym uczuciem ciągle żywym we mnie był strach, który kazał mi przez całą drogę nieustannie oglądać się w tył i na boki.

Ściemniło się już zupełnie, gdy ze szczytu wzgórze zobaczyłem Kuźnię. Przez kilka chwil spoglądałem w dół na tę wymarłą osadę, szukając jakichkolwiek oznak życia, po czym

zmusiłem się, by ruszyć w dół. Pojawił się wiatr i od czasu do czasu odsłaniał dla mnie światło księżyca. Był to niebezpieczny podarunek; w równej mierze poprawiał widok, co mamił wzrok. Ożywały cienie w kątach opuszczonych domów, w ulicznych kałużach zapalały się nagle refleksy jak błysk ostrza noża. Ale nikt nie szedł ulicami. W przystani nie było ani jednego statku, z żadnego komina nie unosił się dym. Większość mieszkańców opuściła Kuźnię niedługo po tragicznym najeździe, a zakażeni kuźnicą najwyraźniej uczynili to samo, gdy nie pozostało już nic do jedzenia. Domów nigdy nie odbudowano, a długi czas zimowych sztormów i gwałtownych przyptywów nieomal dokończył dzieła, które rozpoczęli najeźdźcy ze szkarłatnych okrętów. Jedyne przystań wyglądała prawie normalnie, pomijając puste pochylnie. Falochrony nadal obejmowały zatokę jak opiekuńcze dłonie. Tyle że nie było już czego chronić.

Szedłem wolno przez wymarłą osadę. Ciarki przebiegały mi po plecach, gdy mijałem otwarte, skrzypiące na wietrze drzwi. Z ogromną ulgą oddaliłem się od kwaśnego zapachu pleśni pustych domostw i stanąłem nad przystanią. Droga prowadziła w dół, prosto do doków i biegła brzegiem zatoki. Mur z grubo ciosanego kamienia bronił jej kiedyś przed zachłannością morza, ale zimowe sztormy nie wstrzymywane zapobiegliwością człowieka już sobie z nim poradziły. Kamienie się obluźowały, a kafary dryfującego na morskich falach drewna, porzucone teraz przez odpływ, zaśmiecały plażę w dole. Niegdyś tą drogą toczyły się ku statkom wozy z żelaznymi sztabami. Szedłem wzdłuż muru i widziałem, że umocnienia przetrwają bez naprawy jeszcze jedną, najwyżej dwie zimy, zanim padną ofiarą morza.

Nad moją głową gwiazdy przeświecały przez skłębione chmury. Niespokojny księżyc raz się chował, raz wychodził, ofiarowując mi od czasu do czasu jaśniejszy obraz przystani. Szum fal podobny był do oddechu zatrutego olbrzyma. Noc jak z sennego koszmaru, a kiedy spojrzałem dalej na wodę, ujrzałem widmo szkarłatnego okrętu przecinające ścieżkę księżycowego blasku w drodze do przystani. Było długie i gładkie, maszty miało bez żagli. Czerwień kadłuba i dziobu błyszczała niczym świeża krew, jak gdyby statek płynął krwawym potokiem, a nie po słonej wodzie. W martwej osadzie za moimi plecami nikt nie wszczynał alarmu.

Stałem kompletnie oglupiały, doskonale widoczny na obwałowaniu drogi, drżący od tego objawienia, dopóki skrzypienie wiosel i srebrny błysk spadającej z pióra wody nie przemieniły widma szkarłatnego okrętu w zjawisko rzeczywiste.

Rzuciłem się płasko na groblę, potem zsunąłem z odsłoniętej drogi między głazy i kawały drewna zwalone wzdłuż muru. Z przerażenia nie mogłem oddychać. Krew uderzała mi do głowy i dudniła ogłuszająco, w płucach nie miałem ani odrobiny powietrza. Musiałem ukryć twarz w dłoniach i zamknąć oczy, żeby odzyskać panowanie nad sobą. Do tego czasu ciche dźwięki, które nawet wolno płynący statek musi wydawać, zaczęły wyraźnie napływać ku mnie przez wodę. Ktoś odchrząknął, któreś wiosło skrzypnęło w dulce, coś ciężkiego zadudniło o pokład. Czekałem na krzyk lub rozkaz, który zdradzi, że zostałem odkryty. Nic. Powoli, ostrożnie podniosłem głowę i spojrzałem między pobielalymi korzeniami drzew wyrzuconych przez wodę. Wiosła podnosiły się i opadały w niemal bezgłośnej harmonii.

Wkrótce mogłem posłyszeć rozmowy w języku podobnym do naszego, ale tak szorstko artykułowanym, że ledwie chwytałem znaczenie słów. Jakiś człowiek przeskoczył lekko przez burtę i brodząc w wodzie dotarł do brzegu. Zarzucił linę nie dalej niż o dwie długości kadłuba od mojej kryjówki. Dwaj inni z nożami w dłoniach zeskoczyli ze statku i wspięli się na obwałowanie. Pobiegli drogą w przeciwnych kierunkach, stanęli na straży. Jeden znalazł się prawie dokładnie nade mną. Skuliłem się i skamieniałem. W myślach przylgnąłem do Kowala, tak jak dziecko tuli ukochaną zabawkę, przerażone nocnymi koszmarami. Musiałem wrócić do niego, więc nie mogłem zostać odkryty. Świadomość, że musiałem osiągnąć to pierwsze, przedziwnym sposobem sprawiała, że i drugie wydawało się bardziej prawdopodobne.

Ze statku pośpiesznie zaczęli schodzić ludzie. Każdy ich ruch zdradzał doskonałą znajomość terenu. Nie potrafiłem się domyślić, dlaczego tutaj przyплыли, dopóki nie zobaczyłem, jak wyładowują puste beczki na wodę. Zadudniły na pochylni, a ja przypomniałem sobie studnię, którą niedawno mijałem. Odruchowo zanotowałem w myślach, że doskonale znali Kuźnię, skoro podплыli niemal dokładnie naprzeciw tej studni. Nie był to pierwszy raz, kiedy statek zatrzymywał się tutaj po wodę.

„Nim odejdziesz, zatrzymaj studnię” - poradziłby mi Cierń.

Nie miałem ani odwagi, ani środków, by to zrobić. Mogłem tylko pozostać w ukryciu.

Następni piraci schodzili ze statku. Posłyszałem sprzeczkę między kobietą a mężczyzną. On chciał rozpalic ogień z wyrzuconego przez wodę drewna i upiec trochę mięsa. Ona twierdziła, że ogień będzie zbyt widoczny. A więc wracali z jakiegoś napadu, podczas którego zdobyli świeże mięso. I to niedaleko stąd. Klóćący się doszli do porozumienia, co zrozumiałem, gdy wyładowali dwie pełne beczki. Któryś z marynarzy zszedł na brzeg niosąc na ramieniu całą szynkę i rzucił ją z miękkim plaśnięciem na wieko jednej z beczek. Zaczął odkrajać słusne porcje, podczas gdy inny mężczyzna wybił szpunt z drugiej beczki. Nie zamierzali odpływać prędko. Gdyby jednak rozpalili ogień albo zostali do świtu, cienie przestałyby mnie skrywać. Musiałem się stąd wydostać.

Przez gniazda mustyków i splątane sterty wodorostów, pod drewnianymi kłodami i między kamieniami czołgałem się przez piasek i żwir. Czepiał się mnie każdy korzeń i każdy sterczący kamień zagrażał mi drogę. Zaczął się przyplyw. Fale łamały się hałaśliwie na skałach i spryskiwały mnie słoną wodą niesioną wiatrem. Wkrótce byłem przemoczony do nitki. Próbowałem zgrać swoje ruchy w czasie z sykiem fal, by zagłuszyć najmniejszy szelest. Skały najeżone były skorupiakami, a twardy piasek odciskał się zrobionymi przez nie rowkami na moich dłoniach i kolanach. Kij stał się nieprawdopodobnym obciążeniem, ale nie chciałem porzucić swojej jedynej broni. Jeszcze długo po tym, jak przestałem widzieć i słyszeć piratów ze szkarłatnego okrętu, nie ośmieliłem się podnieść; dalej pełzałem. W końcu wydostałem się na drogę i przeczołgałem na jej drugą stronę. W cieniu ruiny jakiegoś magazynu wstałem i rozejrzałem się dookoła.

Wszędzie panował spokój. Odważyłem się wyjść dwa kroki na drogę i stamtąd także nie dojrzałem ani statku, ani straży. Być może, oznaczało to, że mnie również nikt nie widział. Odetchnąłem głęboko. Sięgnąłem myślą do Kowala, jak niektórzy ludzie poklepują sakiewkę, by się upewnić, że ich pieniądze są bezpiecznie. Znalazłem go, ale słabiutkiego i cichego, jego umysł był niczym spokojna powierzchnia stawu.

„Idę” - tchnąłem, pełen obaw, by nie sprowokować go do żadnego wysiłku. I znowu ruszyłem naprzód.

Wiatr wiał bez ustanku; przemoczone słoną wodą ubranie przywarło do mnie i zeszywniało. Byłem głodny, przemarznięty i zmęczony. Mokre buty przysparzały mi prawdziwych cierpień. Mimo wszystko nawet nie pomyślałem, żeby się zatrzymać. Biegłem wilczym truchtem, ze spojrzeniem utkwionym przed siebie, uszami łowiąc każdy dźwięk za plecami.

W jednej chwili droga była pusta i czarna. W następnej z ciemności wyłonili się ludzie. Dwóch przede mną. Z boku dostrzegłem jeszcze jednego. Rozbryzgujące się fale zagłuszyły ich kroki, a w migotliwym blasku nurkującego w chmurach księżyca nawet teraz nie widziałem napastników wyraźnie. Oparłem się plecami o ścianę jakiegoś budynku, przygotowałem kij i czekałem.

Podchodzili, cisi i ponurzy. Zastanowiło mnie, dlaczego nie krzyczą, dlaczego nie cała załoga przyszła patrzeć, jak mnie pojmagają? Ci ludzie nie polowali grupą - każdy z nich miał nadzieję, że pozostali zginą i jemu pozostawią zdobycz. To byli zakażeni kuźnicą, a nie marynarze ze szkarłatnego okrętu.

Ogarnął mnie przerażający chłód. Najcichszy odgłos potyczki sprowadziłby piratów, byłem tego pewien. Tak więc, jeśli nie wykończą mnie opętani kuźnicą, zrobią to najeźdźcy. Gdy

jednak wszystkie drogi prowadzą ku śmierci, nie ma sensu rzucać się w żadną z nich. Przyjąłem swój los.

Było ich trzech. Jeden miał nóż. Za to ja miałem kij i wiedziałem, jak go używać. Oni byli wychudzeni i obdarci, co najmniej tak głodni jak ja i tak samo zmarznięci. Jednym z rozbójników była kobieta z poprzedniej nocy. Kiedy zbliżali się ku mnie, tak bardzo cicho, odgadłem, iż wiedzieli o obecności piratów i bali się ich równie mocno jak ja. Niedobrze było uświadomić sobie desperację, która mimo to pchnęła ich do ataku na mnie. Zaraz jednak naszała mnie refleksja, czy aby zakażeni kuźnicą w ogóle czuli desperację. Może byli zbyt otepiali, żeby zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

Wszystkie arkana tajemnej wiedzy, jaką ofiarował mi Cierń, wszystkie brutalne i przemysłne sposoby walki z dwoma lub więcej przeciwnikami, których nauczyła mnie Czernidło, nie zdały się na nic, bo gdy dwóch pierwszych znalazło się w zasięgu kija, poczułem, jak słabe ciepło, które było Kowalem, wypływa z mojego umysłu.

- Kowal! - szepnąłem.

Rozpaczliwe błaganie, by mnie nie opuszczał.

Ujrzałem jeszcze tylko, jak koniuszek ogona poruszył się po raz ostatni. Potem nic pękła i iskierka zgasła. Byłem sam.

Czarny strumień siły zalał mnie jak szaleństwo. Postąpiłem krok do przodu, wbiłem koniec kija głęboko w twarz mężczyzny, wyrwałem go błyskawicznie i tym samym ruchem trafiłem kobietę w dolną szczękę. Pozbawiłem ją dolnej połowy twarzy - tak mocny był cios. Grzmotnąłem jeszcze raz, gdy upadła, a było to jak uderzenie rekina złapanego w sieć. Trzeci napastnik rzucił się na mnie ciężko, zamierzając, jak sądzę, znaleźć się na tyle blisko, bym nie mógł użyć kija. Cisnąłem na ziemię swój oręż i zwarliśmy się w uścisku. Był kościsty i cuchnął. Przewróciłem go na plecy i poczułem na twarzy oddech śmierdzący ściervem. Szarpałem napastnika zębami i drapałem, równie odczłowieczony jak on. To oni odciągnęli mnie od Kowala w godzinie jego śmierci. Nie obchodziło mnie, co robię z tym człowiekiem, dopóki sprawiało mu to ból. Bronił się, jak mógł. Przeciągnąłem jego twarzą po kamieniach i wepchnąłem mu kciuk w oko. On zatopił zęby w moim nadgarstku, paznokciami zdarł mi skórę z policzka. A kiedy wreszcie przestał walczyć i zwiotczał w moim żelaznym uchwycie, zaciągnąłem jego ciało na obwałowanie i rzuciłem na skały.

Stałem przestępując z nogi na nogę, pięści wciąż miałem zaciśnięte. Spojrzałem w kierunku najeźdźców, wzywając ich, by się pojawili, ale noc była spokojna, słyszałem tylko szum fal, wiatr i cichy charkot umierającej kobiety. Albo najeźdźcy niczego nie słyszeli, albo też nie chcieli zdradzić swojej obecności, dociekając przyczyny nocnych niepokojów. Czekałem na wietrze na kogoś, kto by się pofatygował, żeby przyjść i mnie zabić. Nic się nie poruszyło. Ogarnęło mnie uczucie pustki, pokonało moje szaleństwo. Tyle śmierci jednej nocy i tak niewielkie miało to znaczenie dla kogokolwiek poza mną.

Zostawiłem ciała na żer falom i mewom. Odszedłem. Nic od tych ludzi nie czułem, kiedy ich zabijałem. Ani strachu, ani wściekłości, ani bólu, nawet rozpacz. Byli przedmiotami. I kiedy ruszyłem w długą drogę do Koziej Twierdzy, wreszcie i ja przestałem czuć cokolwiek. Pomyślałem, że może kuźnica jest zaraźliwa i właśnie zachorowałem. To również zupełnie mnie nie obchodziło.

Niewiele z tej podróży zostało mi w pamięci. Szedłem całą drogę, przemarznięty, zmęczony i głodny. Nie napotkałem więcej skażonych kuźnicą, a kilku innych podróżnych, jakich widziałem, nie miało więcej niż ja ochoty odzywać się do obcego. Myślałem tylko o tym, żeby wrócić do Koziej Twierdzy. I do Brusa.

Dotarłem tam w drugim dniu celebrowania Święta Radości. Warta przy bramie próbowała mnie w pierwszej chwili zatrzymać. Spojrzałem na nich.

- Bastard - wyszeptał jeden. To był Wzorzec, znany mi od dawna. Dodał szybko: - Brus został raniony. Jest na górze, chłopcze, w izbie chorych.

Skinąłem głową i minąłem strażę.

Znałem drogę, choć przez wszystkie lata spędzone w Koziej Twierdzy nigdy nie byłem w izbie chorych - z moich chorób dziecięcych i obrażeń leczył mnie Brus. Nie zauważony przez nikogo, mijalem grupy świętujących. Nagle poczułem się, jakbym miał znowu sześć lat i przybył do Koziej Twierdzy po raz pierwszy, uwieszony u pasa Brusa przez całą długą drogę z Księżycowego Oka, którą pokonał ze zranioną i obandażowaną nogą. A mimo to ani razu nie przesadził mnie na innego konia ani nie powierzył nikomu innemu opieki nade mną. Przepchnąłem się między ludźmi obwieszonymi dzwonekami i kwiatami, ze słodkimi ciastkami w dłoniach, brnąłem do wewnętrznego dziedzińca zamkowego. Za barakami znajdował się osobny budynek z białego kamienia. Nie było tam żywej duszy, więc przez nikogo nie zaczepiony minąłem się i wszedłem do izby.

Na podłodze rozrzucono czyste zioła, szeroko otwarte okna wpuszczały powiew wiosennego powietrza i światło, a mimo to izba robiła wrażenie więzienia i promieniowała aurą choroby. Złe miejsce dla Brusa. Wszystkie łóżka były puste poza jednym. Żaden żołnierz nie zostałby w pościeli w dni Święta Radości, jeśli nie musiał. Brus leżał z zamkniętymi oczyma, na wąskiej pryczy zalanej słońcem. Ściągnął koce, więc dostrzegłem jego pierś opasaną bandażami. Podeszedłem cicho i usiadłem na podłodze przy łóżku. Brus był zupełnie nieruchomy, ale czułem jego umysł, a bandaże unosiły się poruszane wolnym oddechem. Wziąłem go za rękę.

- Bastard - powiedział, nie otwierając oczu. Mocno ścisnął moją dłoń.

- Tak.

- Jesteś.

- Tak. Przyszedłem prosto tutaj, najszybciej jak mogłem. Och, Brus, bałem się, że nie żyjesz.

- Myślałem, że ty zginąłeś. Pozostali wrócili już dawno. - Wziął urywany oddech. - Ten bękart wszystkim innym zostawił konie.

- Nie mów tak - upomniałem go, nie puszczając jego ręki. - Ja jestem bękartem, pamiętasz?

- Przepraszam. - Otworzył oczy. W lewym oku miał krwawy wylew. Spróbował się do mnie uśmiechnąć. Opuchlizna na lewej stronie twarzy powoli zaczynała schodzić. - No tak. Dobrana z nas para. Powinieneś zrobić sobie okład na policzek. Zaczyna ropieć. Pamiętka po jakimś zwierzęciu?

- Kuźnica - zacząłem i nie potrafiłem wyjaśnić nic więcej, więc tylko powiedziałem cicho: - Zostawił mnie na północ od Kuźni, Brus. Wściekłość wykrzywiła mu twarz.

- Nie chciał mi powiedzieć. Ani nikomu innemu. Wysłałem nawet człowieka do księcia Szczerego, prosiłem mojego pana, by kazał mu powiedzieć, co z tobą zrobił. Nie dostałem odpowiedzi. Powiniennem był go zabić.

- Daj już spokój - powiedziałem i naprawdę tak myślałem. - Wróciłem i żyję. Nie przeszedłem próby, ale ją przetrwałem. Tak jak mówiłeś, mogę robić w życiu coś innego.

Brus poruszył się lekko. Wiedziałem, że wcale go to nie uspokoiło.

- No tak. Będzie rozczarowany. - Odetchnął nierówno. - Ktoś na mnie napadł. Z nożem. Nie wiem kto.

- Czy bardzo źle z tobą?

- Nie najlepiej. W moim wieku... Taki młody kozioł jak ty pewnie by się tylko otrząsnął i po wszystkim. Tak czy inaczej, trafił mnie tylko raz. Ale upadłem i uderzyłem się w głowę. Byłem nieprzytomny przez dwa dni. I, Bastardzie, twój pies... To głupie i bez sensu, ale napastnik zabił twojego psa.

- Wiem.

- Umarł szybko - powiedział Brus, jakby to było jakieś pocieszenie.

Zesztywniałem, słysząc to kłamstwo.

- Umarł w dobrej sprawie - rzekłem. - Gdyby nie on, ty dostałbyś nożem więcej niż raz. Brus zamarł w bezruchu.

- Byłeś tam - odezwał się w końcu i nie było to pytanie.

- Tak - odpowiedziałem po prostu.

- Byłeś tam, tamtej nocy, z psem, zamiast próbować swoich sił w Mocy? - W jego głosie wezbrał gniew.

- Brus, to nie tak...

Wyswobodził rękę z mojej dłoni, z wysiłkiem odwrócił się ode mnie.

- Odejdź.

- Brus, to nie przez Kowala. Ja po prostu nie mam Mocy. Pozwól mi władać talentem, którym zostałem obdarowany, pozwól mi być sobą. Nie używam Rozumienia w niewłaściwy sposób. Nawet bez niego dobrze sobie radzę ze zwierzętami. Sam mnie wyuczyłeś. Jeśli używam tego daru, mogę...

- Trzymaj się z daleka od stajni. I ode mnie. - Spojrzał mi w twarz i ku swemu zdumieniu ujrzałem, jak samotna łąka znaczy ciemny policzek. - Poniosłeś klęskę? Nie, Bastardzie. To ja poniosłem klęskę. Miałem zbyt miękkie serce i nie obiliem cię przy pierwszej oznace, że posługujesz się Rozumieniem. „Wychowaj go dobrze” - powiedział mi książę Rycerski. To był jego ostatni rozkaz. A ja go zawiodłem. I ciebie. Gdybyś nie mieszał w swoje życie Rozumienia, dałbyś radę nauczyć się władania Mocą. Nic dziwnego, że Konsyliarz wysłał cię do Kuźni. Bękart czy nie, mogłeś być godnym synem swego ojca. Wszystko odrzuciłeś. Po co? Dla psa. Wiem, czym pies może być dla człowieka, ale nie odrzuca się własnego życia dla...

- Nie tylko dla psa - wpadłem mu w słowo. - Dla Kowala. Mojego przyjaciela. I nie chodziło tylko o niego. Zrezygnowałem i wróciłem dla ciebie. Bo myślałem, że możesz mnie potrzebować. Kowal umarł już wiele dni temu. Wiedziałem o tym. Wracałem do ciebie, bo sądziłem, że możesz mnie potrzebować.

Milczał tak długo, że nabrałem przekonania, iż nie zamierza się już do mnie odezwać.

- Nie powinieneś być - powiedział cicho. - Potrafię dać sobie radę. - A potem ostrzej: - Zawsze umiałem zadbać o siebie.

- I o mnie. Zawsze się mną opiekowałeś.

- Cholernie mało dało to nam obu. Spójrz tylko, czym pozwoliłem ci zostać. Teraz jesteś zwykłym... Odejdź. Po prostu odejdź. - Znowu odwrócił się ode mnie i poczułem, że coś się w nim zamknęło.

Wstałem wolno.

- Przygotuję ci wywar do przemywania oka. Przyniosę po południu.

- Nic mi nie przynoś. Nic dla mnie nie rób. Idź swoją drogą i bądź, kim zechcesz. Ja z tobą skończyłem. - Mówił do ściany. W jego głosie nie było śladu litości dla żadnego z nas.

Wychodząc z izby chorych obejrzałem się za siebie. Brus się nie poruszył. Tylko jakby się zestarzał i zmalał.

Tak wyglądał mój powrót do Koziej Twierdzy. Stałem się zupełnie innym człowiekiem niż ta naiwna istota, która stąd wyruszała. Nikt mnie nie witał z radością. Nie dałem do tego okazji. Od łóżka Brusa poszedłem prosto do swojej komnaty. Umyłem się i zmieniłem ubranie. Potem spałem, ale niezbyt dobrze. Przez resztę wiosennego Święta Radości jadałem samotnie w kuchni, nocą. Ułożyłem do króla Roztropnego notę, w której zdałem raport, że najeźdźcy korzystają ze studni w Kuźni. Nie otrzymałem odpowiedzi i byłem z tego zadowolony. Nie szukałem żadnego towarzystwa.

Z wielką pompą i ceremonią Konsyliarz zaprezentował królowi swoje ukończone dzieło, krąg Mocy. Jeden uczeń nie zdołał wrócić. Zawstydzona mnie teraz, że nie potrafię sobie przypomnieć jego imienia, i jeśli kiedykolwiek wiedziałem, co się z nim stało, także zapomniałem. Zapewne, podobnie jak Konsyliarz, uznałem go za nic nie znaczącego.

Mistrz Mocy odezwał się do mnie tylko raz przez całe tamto lato, a i wtedy nie bezpośrednio. Spotkaliśmy się na zamkowym dziedzińcu, niedługo po Święcie Wiosny. Szedł zajęty rozmową z księciem Władczym. Na mój widok rzekł do księcia z szyderym uśmiechem:

- Bardziej żywotny niż kot.

Zatrzymałem się, długo mierzyłem z nim wzrokiem, po czym uśmiechnąłem się i skinąłem głową. Nigdy nie uczyniłem nic, co by się odnosiło do jego próby wysłania mnie na śmierć. A on nigdy później nie dał po sobie poznać, że mnie w ogóle dostrzega; najczęściej wychodził z komnaty, kiedy ja do niej wchodziłem.

Wydaje mi się, że kiedy straciłem Kowala, utraciłem wszystko. Może zgorzkniały starałem się zniszczyć tę odrobinę, która mi pozostała. Przez następne tygodnie ponuro włóczyłem się po twierdzy, rozmyślnie obrażając każdego, kto był wystarczająco szalony, by się do mnie odezwać. Błazen mnie unikał. Cierń mnie nie wzywał. Trzykrotnie widziałem księżną Cierpliwą. Za pierwszym i drugim razem, gdy stawiałem się na jej wezwanie, nie uczyniłem wiele, by uchościć za człowieka kulturalnego. Za trzecim razem, znudzony jej paplaniną o przycinaniu róż, zwyczajnie wstałem i wyszedłem. Nie wezwała mnie więcej.

Nastał jednak czas, gdy samotność zaczęła mi doskwierać. Kowal zostawił po sobie ogromną pustkę w moim życiu. I nie przypuszczałem, że wygnanie ze stajni będzie tak ciężkie do zniesienia. Przypadkowe spotkania z Brussem były niewiarygodnie niezręczne, gdyż obaj boleśnie nauczyliśmy się udawać, że się wzajemnie nie dostrzegamy.

Ponad wszystko na świecie pragnąłem pójść do Sikorki, opowiedzieć jej, co się na mnie zważyło, co mi się przydarzyło od czasu, gdy po raz pierwszy zjawiłem się w Koziej Twierdzy. Wyobrażałem to sobie szczegółowo - siedzimy na plaży, ja opowiadam, a gdy już kończę, ona mnie nie sądzi ani nie oferuje mi rady, ale po prostu bierze mnie za rękę i milczy przyjaźnie. W końcu ktoś powinien wiedzieć wszystko i nie miałem zamiaru już nigdy niczego przed nią ukrywać. Ona się ode mnie nie odwróci. O niczym więcej nie śmiałem marzyć. Tęskniłem rozpaczliwie i bałem się strachem znanym tylko chłopcu, którego ukochana jest o dwa lata starsza od niego. Jeżeli zwierzę się jej ze wszystkich moich dramatów, czy potraktuje mnie jak nieszczęśliwe dziecko i będzie się nade mną litowała? Czy będzie mnie nienawidziła, że nigdy przedtem nic jej nie powiedziałem? Przynajmniej dziesięć razy myśl ta zawracała moje stopy z drogi do miasta.

Poszedłem dwa miesiące później. Zdradzieckie kroki zawiadły mnie prosto do jej sklepiku. Przypadkiem miałem ze sobą koszyk, a w nim butelkę wiśniowego wina i kilka złotych ciernistych różyczek, okupionych pościeraną skórą, zdobytych w Kobiecym Ogrodzie, gdzie ich woń zdominowała nawet zapach tymianku. Powiedziałem sobie, że nie mam żadnego planu. Nie musiałem jej mówić wszystkiego o sobie. Nie musiałem się nawet z nią widzieć. Mogłem zdecydować po drodze. Ale w końcu wszystkie decyzje zostały już powzięte i ja nie miałem na to żadnego wpływu.

Zjawiłem się akurat na czas, by zobaczyć, jak Sikorka wychodzi u boku Nefryta. Opierała głowę na jego ramieniu, rozmawiali przyciszonymi głosami. Przed drzwiami sklepiku zatrzymał się, by zajrzeć jej w twarz. Podniosła ku niemu oczy. Kiedy młody marynarz uniósł niepewną dłoń, by delikatnie dotknąć jej policzka, Sikorka nagle stała się osobą, której nie znałem. Dorosłą kobietą. Dwa lata różnicy między nami stanowiły ogromną przepaść, nad którą nigdy nie miałem nadziei przerzucić mostu. Zanim mnie zobaczyła, odwróciłem się i wbiłem wzrok w czubki własnych butów. Minęli mnie, jakbym był drzewem albo kamieniem. Szli przytuleni, bardzo wolno. Całą wieczność trwało, nim zniknęli mi z oczu.

Tej nocy upiłem się tak jak nigdy przedtem i następnego dnia obudziłem się w jakichś krzakach w połowie drogi do zamku.

ZABÓJSTWA

Cierń Spadająca Gwiazda, osobisty doradca króla Roztropnego, przeprowadził w okresie poprzedzającym wojnę z najeźdźcami ze szkarłatnych okrętów dogłębne badania kuźnicy. Z zapisanych przez niego tabliczek dowiadujemy się, co następuje:

„Siateczka, córka rybaka Skrzeli i chłopki Oziminy, została uprowadzona ze swej osady, Dobrej Wody, siedemnastego dnia po wiosennym Świącie Radości. Najeźdźcy ze szkarłatnego okrętu zarazili ją kuźnicą i oddali w trzy dni później. Jej ojca zabito w czasie tego samego najazdu, a matka, obarczona pięciorgiem młodszego potomstwa, nie mogła opiekować się chorą Siateczką. Dziewczyna w chwili skażenia miała czternaście lat. Znalazła się pod moją opieką w pół roku po zakażeniu kuźnicą.

Kiedy do mnie trafiła, była brudna, obdarta i mocno osłabiona. Zgodnie z moimi wskazówkami została umyta, ubrana i zakwaterowana w komnacie podobnej do mojej własnej. Obchodziłem się z chorą podobnie, jak poczynalbym sobie z dzikim zwierzęciem. Każdego dnia sam przynosiłem jej pożywienie i zostawałem przy niej, gdy się posilała. Pilnowałem, by w jej komnacie było ciepło, by miała czyste miejsce do spania oraz wodę do mycia. Dopilnowałem także, by oddano jej do dyspozycji wszelkie kobiece drobiazgi oraz akcesoria potrzebne do robótek ręcznych, gdyż dowiedziałem się, iż przed skażeniem miała ogromne zdolności i upodobanie do podobnych zajęć. Intencją moją było sprawdzenie, czy w sprzyjających warunkach osoba dotknięta kuźnicą mogłaby powrócić do zdrowia.

Nawet dzikie zwierzę stałoby się nieco bardziej potulne w warunkach, jakie jej zapewniłem. Siateczka, mimo wszystkich moich starań, zareagowała inaczej. Utraciła nie tylko przyzwyczajenia właściwe kobiecie, lecz nawet zdrowy rozsądek zwierzęcia. Gdy jej pozwalałem, jadła do przesytu, a potem upuszczała resztki na podłogę, gdzie wreszcie je rozdeptywała. Nie myła się ani nie dbała o siebie w żaden inny sposób. Większość zwierząt brudzi w jednym miejscu, ale Siateczka była podobna do myszy, która pozostawia swoje odchody wszędzie, nawet na miejscu do spania.

Potrafiła mówić rozumnie - jeśli miała taką ochotę lub jeśli bardzo mocno pragnęła coś dostać. Gdy odzywała się z własnego wyboru, to zazwyczaj w tym celu, by obwinić mnie o jakąś kradzież lub grozić mi, jeśli nie dałem jej natychmiast czegoś, czego akurat zapragnęła. Zazwyczaj zachowywała się w stosunku do mnie podejrzliwie i manifestowała nienawiść. Ignorowała próby nawiązania rozmowy, ale skąpiąc jej pożywienia mogłem w zamian za jedło uzyskać odpowiedzi na pytania. Miała zupełnie wyraźne wspomnienia dotyczące rodziny, lecz wykazywała całkowity brak zainteresowania losem krewnych. Zagadywana o najbliższych, odpowiadała jak na pytania o wczorajszą pogodę. O czasie skażenia kuźnicą powiedziała tylko, iż wszyscy pojmani byli przetrzymywani w brzuchu statku i mieli mało pożywienia, a wody prawie wcale. Nie przypominała sobie, by podano jej do jedzenia lub picia coś niezwykłego, ani nie pamiętała żadnego dziwnego wydarzenia. Nie potrafiła więc dostarczyć mi klucza do mechanizmu samego skażenia. Było to dla mnie ogromnym rozczarowaniem, gdyż miałem nadzieję, iż przez poznanie, jak do niego dochodzi, będzie można poznać sposób na odwrócenie skutku.

Usiłowałem ponownie nauczyć ją ludzkich zachowań wykładając jej wszelkie racje ku temu, jednak bezskutecznie. Wydawała się rozumieć moje słowa, lecz nie chciała zgodnie z nimi postępować. Nawet gdy pewnego razu dałem jej dwa bochenki chleba i uprzedziłem, że musi zostawić jeden na dzień następny, gdyż w przeciwnym razie będzie głodna, upuściła drugi bochenek na podłogę i chodziła po nim, a następnego dnia zjadała resztki z podłogi, nie dbając o to, czym były powalane. Nie wykazywała najmniejszego zainteresowania robótkami ręcznymi ani żadną inną rozrywką, nawet wspianiałymi zabawkarni dla dzieci. Jeśli nie jadła i

nie spała, wystarczało jej, że siedzi lub leży. Jej umysł był równie beczynny jak ciało. Jeśli dawałem jej słodycze, napychała się nimi dotąd, aż wymiotowała, a następnie jadła dalej. Leczyłem ją różnymi eliksirami i herbatami ziołowymi. Stosowałem posty, parówki, środki na przeczyszczenie. Ciepłe i zimne kąpiele nie przyniosły żadnych efektów, poza tym że ją rozzłościły. Po środkach nasennych przespala całą dobę, ale i to nie przyniosło odmiany. Podąłem jej tak dużą dawkę kozłka lekarskiego, że nie mogła zasnąć przez dwie noce, co ją jedynie rozdrażniło. Jakiś czas rozpieszczałem ją wszelkimi uprzejmościami, lecz gdy zmieniłem traktowanie na bardziej szorstkie, nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia, nie zmieniło jej stosunku do mnie. Jeśli była głodna, przymilała się i uśmiechała na rozkaz, ale natychmiast po otrzymaniu jadła stawiała się głucha na wszelkie nakazy.

Była zazdrosna o swoje terytorium i stan posiadania. Kilkakrotnie usiłowała mnie zaatakować tylko dlatego, że zanadto się zbliżyłem do jej pożywienia, a raz, ponieważ nagle zdecydowała, iż chce mieć mój pierścień. Regularnie zabijała myszy, zwabione reszkami jedzenia, chwytając je z zadziwiającą szybkością i rzucając nimi o ścianę. Kota, który pewnego razu zawędrował do jej komnaty, spotkał podobny los.

Wydawało się, że ma niewielkie rozeznanie w upływie czasu, jaki minął od jej skażenia. Potrafiła szczegółowo opowiedzieć o swoim wcześniejszym życiu, jeśli wydano jej takie polecenie, gdy była głodna, ale dni od momentu skażenia stanowiły dla niej jedno długie „wczoraj”.

Nie zdołałem się od Siateczki dowiedzieć, czy coś jej dano lub coś odebrano, by zarazić ją kuźnicą. Naprawdę nie wiem, czy było to coś, co zjadła, powąchała, zobaczyła lub usłyszała. Nie wiem nawet, czy jest to wynik pracy i sztuki rąk ludzkich, czy sprawka morskiego demona. Ponoć niektórzy Odlegli twierdzą, że mają nad nim władzę. Z tego długiego i trudnego eksperymentu nie dowiedziałem się niczego.

Któregoś wieczoru podąłem Siateczce potrójną dawkę wywaru nasennego. Kazałem umyć jej ciało, uczesać włosy i odesłałem do rodzimej osady, żeby ją przystojnie pochowano. Przynajmniej jedna rodzina z tych stron pozbyła się kuźnicy. Inne muszą zachodzić w głowę - przez miesiące, a nawet lata - co się stało z tymi, których kiedyś kochali. Dla większości lepiej byłoby się nie dowiedzieć”.

W tamtym czasie wiedziano na pewno o ponad tysiącu istnień skażonych kuźnicą.

* * *

Brus był stanowczy. Zerwał ze mną wszelkie stosunki. Nie mogłem wejść do stajni ani psiarni. Gruzeł znajdował w moim ostracyzmie szczególną przyjemność. Choć często wyjeżdżał z księciem Władczym, jeśli tylko był w pobliżu stajni, blokował mi wejście.

- Pozwól, że przyprowadzę twojego konia, panie - odzywał się służalczo. - Królewski koniuszy woli, by w stajniach konie prowadzali parobcy.

I musiałem stać niczym jakieś paniątko o białych dłoniach, podczas gdy Sadza była dla mnie siodłana. Gruzeł sam uprzętał boks, przynosił obrok i szczotkował klacz, a mnie zżerała zawiść, że tak szybko go polubiła.

„To tylko koń - tłumaczyłem sobie - nie ma za co winić zwierzęcia”.

Ale po raz kolejny poczułem się porzucony.

Nagle zacząłem mieć za dużo czasu. Do tej pory ranki upływały mi na pracy dla Brusa. Teraz należały do mnie. Czernidło była zajęta ćwiczeniem w obronie nowych żółtodziobów. Zawsze byłem u niej mile widziany, zawsze przydatny do pomocy, ale wszystko to dotyczyło lekcji, których wyuczyłem się już dawno temu. Krzewiciel, jak co roku, wyjechał na całe lato. Nie wiedziałem, w jaki sposób mógłbym przeprosić Cierpliwą, a o Sikorce nawet nie myślałem. Także w tawernach bywałem samotnie. Sztylet został czeladnikiem u lalkarza, a Krowa

marynarzem. Nie miałem co ze sobą zrobić i szwendałem się tu i tam, zawsze samotny, zgorzkniały.

Było to marne lato, nie tylko dla mnie. Wyrastałem ze wszystkich ubrań, warczałem i burczałem na każdego na tyle szalonego, by się do mnie odezwać, i upijałem się do nieprzytomności niemal co dzień. A na dodatek obserwowałem, jak Królestwo Sześciu Księstw powoli ulega zagładzie. Najeźdźcy ze szkarłatnych okrętów śmieiej niż dotychczas pustoszyli nasze wybrzeża. Tego lata zaczęli też wysuwać żądania. Chcieli zboża, bydła, prawa do brania z naszych portów morskich czego tylko zapragną, prawa do kotwiczenia przy naszym brzegu, do życia latem na naszych ziemiach, i to na utrzymaniu naszego ludu, prawa do brania w niewolę... Każde żądanie było bardziej nie do przyjęcia niż poprzednie. Na dodatek po każdej odmowie króla pojawiała się coraz więcej zakażonych kuźnica.

Ludzie porzucali miasta portowe i osady leżące nad brzegiem morza. Nikt nie mógł ich obarczać winą za takie postępowanie, lecz przez to nasze wybrzeże stało się jeszcze bardziej bezbronne. Musieliśmy najmować coraz więcej żołnierzy, co prowadziło do podwyższenia podatków, by było z czego im płacić, a wtedy lud utyskiwał na wielkość obciążeń. Bojaźń w obliczu najeźdźców ze szkarłatnych okrętów ciągle rosła. Dziwniejsze jeszcze było to, że na nasz brzeg przybywali całymi rodzinami Zawyspiarze, którzy zostawiwszy za sobą wraz z okrętami, błagali o schronienie między naszym ludem i opowiadali niestworzone historie o tyranii i chaosie na Wyspach Zewnętrznych, gdzie niepodzielnie panowali piraci na szkarłatnych okrętach. Przybysze stanowili może swoiste błogosławieństwo, gdyż mogliśmy ich tanio nająć jako zbrojnych, choć mało kto im ufał. Lecz ich opowieści, do czego prowadziło panowanie na Wyspach Zewnętrznych najeźdźców ze szkarłatnych okrętów, wystarczały, by powstrzymać każdego z nas od myśli o ustąpieniu przed bezczelnymi żądaniami.

Około miesiąca po moim powrocie do Koziej Twierdzy Cierń otworzył mi drzwi. Byłem w ponurym nastroju, bo zapomniał o mnie na tak długo, i szedłem po schodach jak najwolniej. A gdy dotarłem na górę, ujrzałem go zajętego miazdzeniem nasion w mózdzierzu.

- Cieszę się, że cię widzę - rzekł bez śladu wesołości w głosie.

- To pewnie dlatego tak się śpieszyłeś, żeby mnie tu zaprosić - zauważyłem kwaśno.

Znieruchomiał na chwilę.

- Przepraszam. Chciałem, żebyś miał czas dojść do siebie. - Opuścił wzrok na mózdzierz. - Dla mnie to także nie był łatwy okres. Spróbujmy o tym zapomnieć.

Była to rozsądna propozycja. Mądra.

- A mam jakiś wybór? - spytałem ironicznie. Cierń uporał się z nasionami. Przełożył je na gęsto tkaną szmatkę i umieścił na kubku, żeby obciekły.

- Nie - odezwał się w końcu, jak gdyby po głębokim namyśle. - Nie masz wyboru i ja także go nie mam. W wielu sprawach nie mamy wyboru. - Otaksował mnie wzrokiem od stóp do głów, po czym znowu zajął się nasionami. - Do końca lata nie będziesz pił nic poza wodą oraz herbatą. Twój pot cuchnie winem. I jak na kogoś tak młodego masz zdecydowanie zbyt sflaczałe mięśnie. Zima spędzona na medytacjach u Konsyliarza nie wyszła twojemu ciału na zdrowie. Musisz je wzmocnić. Od dzisiaj cztery razy dziennie będziesz chodził na wieżę do Szczerego. Będziesz mu zanosił jedzenie i napary, które przygotujesz według moich wskazówek. Nie wolno ci się u niego pokazać z ponurą twarzą, masz być zawsze uśmiechnięty i pogodny. Może usługując następcy tronu pojmiesz, że miałem powody, by nie traktować cię jak pępek świata. Takie będą twoje codzienne obowiązki w czasie pobytu w Koziej Twierdzy. Niekiedy będziesz wykonywał dla mnie inne zadania.

Nie trzeba było wielu słów Ciernia, by obudził się we mnie wstyd. Raptownie odniosłem wrażenie, iż przybrałem w szaty ogromnej tragedii młodzieńcze troski wypływające z błahych powodów.

- Byłem leniwym próżniakiem - przyznałem.

- Byłeś głupi - zgodził się Cierń. - Miałeś miesiąc, żeby się zająć własnym życiem. Zachowywałeś się jak... rozpuszczony smarkacz. Wcale się nie dziwię, że Brus jest tobą rozczarowany.

Już dawno przestałem się dziwić temu, co wiedział Cierń. Lecz tym razem byłem pewien, iż nie znał prawdziwego powodu, i nie miałem życzenia dzielić się z nim tą wiedzą.

- Czy odkryłeś, kto próbował go zabić? - zapytał.

- Nie próbowałem... tak naprawdę.

Cierń najpierw miał minę zdegustowaną, potem zdziwioną.

- Chłopcze, ja ciebie nie poznaję. Pół roku temu rozniósłbyś stajnie na strzepy, byle się tego dowiedzieć. Pół roku temu, gdyby ci się trafił miesiąc wakacji, miałbyś zajęty każdy dzień. Co cię trapi?

Wbiłem wzrok w podłogę, świadom prawdy zawartej w jego słowach. Chciałem opowiedzieć mu wszystko, co mi się przydarzyło, chciałem tego równie mocno, jak nie chciałem powiedzieć o tym słowa nikomu innemu.

Opowiedziałem mu, co wiedziałem o ataku na Brusa.

- Kto to wszystko widział? - zapytał, gdy skończyłem. - Czy on zna człowieka, który zaatakował Brusa?

- Nie widział go wyraźnie - uchyliłem się od odpowiedzi. Nie było sensu mówić Cierniowi, że znam zapach napastnika, ale mam bardzo mgliste pojęcie o jego wyglądzie.

Cierń milczał przez jakiś czas.

- No tak - odezwał się wreszcie. - Miej oczy i uszy otwarte. Chciałbym wiedzieć, kto jest tak butny, że zamierzał zabić królewskiego koniuszego w stajniach.

- Więc sądzisz, że to nie była sprawa osobistych porachunków Brusa? - zapytałem ostrożnie.

- Nie będziemy przechodzić od razu do wniosków. Dla mnie wygląda to na grę o wysoką stawkę. Ktoś ma szersze plany, lecz stracił pierwszy ruch. Mam nadzieję, że na naszą korzyść.

- Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego tak uważasz?

- Mógłbym, ale tego nie zrobię. Chcę, byś miał wolny umysł i doszedł do własnych wniosków, niezależnych od moich. Teraz chodź. Pokażę ci, jakie robić napary.

Ubodło mnie, że nie zapytał o czas spędzony z Konsyliarzem ani o próbę. Zdawał się pogodzony z moją porażką niczym z rzeczą oczywistą. Wystarczyło jednak, że mi pokazał składniki, jakie wybrał na napary dla księcia Szczerego, a przestałem myśleć o sobie: byłem przerażony mocą tych ziół.

Nieczęsto widywałem następcę tronu, choć jego brat, książę Władczy, był aż nadto widoczny. Ostatni miesiąc spędził w rozjazdach. Ciągłe albo właśnie wracał, albo akurat wyjeżdżał i każda kawalkada robiła wrażenie bogatszej niż poprzednia. Wydawało mi się, że używa zalotów brata jako pretekstu, by samego siebie przybrać w piórka jeszcze jaskrawsze. Panowała powszechna opinia, iż należy za wszelką cenę olśnić drugą stronę. Jeśli chodzi o mnie, widziałem w tym jedynie stratę pieniędzy, które można było przeznaczyć na obronę kraju. Gdy królewski syn wyjeżdżał, czułem ulgę, bo jego antypatia do mnie osiągnęła dawne wyżyny i książę wynajdywał najróżniejsze sposoby, by ją dobitnie wyrazić.

W tych krótkich chwilach, gdy widywałem księcia Szczerego albo króla, obaj wyglądali na strapionych i wyczerpanych. Zwłaszcza książę wydawał się prawie nieprzytomny. Pasywny i roztargniony, zauważył mnie tylko raz - uśmiechnął się do mnie znużony i powiedział, że urosłem. To była cała nasza rozmowa. Zwróciłem uwagę, że jadł niczym człowiek chory, zupełnie bez apetytu. Unikał chleba i mięsa, jakby żucie i przełykanie wymagało od niego zbyt wielkiego wysiłku; wybierał owsianki i inne zupy.

- Używa zbyt dużo Mocy - wyjaśnił mi Cierń. - Tyle wiem od Roztropnego. Dlaczego tak go to wycieńcza, dlaczego spala go na Popiół, nie potrafił mi wyjaśnić. Daję mu różne toniki, eliksiry i próbuję namówić do odpoczynku. Ale on nie może odpocząć. Mówi, że nie śmie. Mówi, że jedynie gdy wkłada w swoją pracę wszystkie siły, potrafi zmylić nawigatorów na

szkarłatnych okrętach i posłać wrogie jednostki na skały albo pozbawić kapitanów odwagi. Więc podnosi się z łóżka, siada na krześle przy oknie i tkwi tam cały dzień.

- A krąg Mocy Konsyliarza? Nie ma z niego pożytku? - spytałem zazdrośnie, niemal z nadzieją, że usłyszę, iż byli bez znaczenia. Cierń westchnął.

- Myślę, że korzysta z niego podobnie, jakby korzystał z gołębi pocztowych. Rozlokował ich na wieżach i używa do ostrzegania żołnierzy. Zdaje się też, że otrzymuje od nich obraz okrętów. Nikomu nie chce powierzyć zadania obrony wybrzeża. „Inni - powiedział mi - są zbyt niedoświadczeni. Mogą się zdradzić przed tymi, których dotyczą Mocą”. Ja wiem tylko, że nie może się to ciągnąć dużo dłużej. Modłę się o koniec lata, o zimowe sztormy, które zagnają szkarłatne okręty do portu. Gdyby ktoś mógł Szczerego zastąpić przy tej pracy, ofiarować chwilę wytchnienia... Obawiam się, że wysiłek go zabije.

Odebrałem to jako przyganę za moją porażkę i zatonałem w ponurej ciszy. Krążyłem po komnacie, znajdując ją po tych miesiącach nieobecności zarówno znajomą, jak i obcą. W miejscu gdzie Cierń pracował przy ziołach, panował jak zwykle bałagan. Cichosz z pewnością czaił się gdzieś w pobliżu, co można było poznać po tracących lekkim smrodkiem kawałkach kości rozrzuconych po kątach. Jak zwykle wszędzie walały się różne tabliczki i zwoje. Ten akurat stos, nad którym stanąłem, zdawał się traktować głównie o Najstarszych. Pochyliłem się, zaintrygowany kolorowymi ilustracjami. Jedna z tabliczek, starsza i bardziej starannie wykonana niż pozostałe, przedstawiała Najstarszego w postaci złoconego ptaka z ludzką głową, zwieńczoną pierzastymi włosami. Zacząłem sylabizować słowa. Tekst był w piche, dawnym języku Krainy Miedzi, ziem położonych daleko na południu. Wiele malowanych symboli wyblakło lub zostało startych ze starego drewna, a przy tym nigdy nie byłem biegły w piche. Cierń stanął za moim ramieniem.

- Widzisz - zaczął cicho - nie było to dla mnie łatwe, ale dotrzymałem słowa. Konsyliarz żądał całkowitej izolacji swoich uczniów. Wyraźnie zastrzegł sobie, że nikt nie może się z tobą kontaktować ani mieszać w sprawy twojej dyscypliny i nauki. Poza tym, jak już ci mówiłem, w Ogrodzie Królowej jestem ślepy i nie mam żadnych wpływów.

- Wiedziałem o tym - mruknąłem.

- Mimo wszystko nie potępiam tego, co zrobił Brus. Jedynie słowo dane królowi powstrzymywało mnie od skontaktowania się z tobą. - Zawahał się. - To był trudny czas, wiem o tym. Żałuję, że nie mogłem ci pomóc. I nie powinieneś czuć się tak źle z powodu...

- Klęski? - rzekłem, gdy on szukał łagodniejszego słowa. Westchnąłem i nagle przyznałem się do swojego bólu. - Zostawmy to, Cierń. Nic już nie można zmienić.

- Wiem. - A potem ciągnął z jeszcze większym wahaniem: - Może zdołalibyśmy wykorzystać to, czego się nauczyłeś o Mocy. Jeśli pomożesz mi ją zrozumieć, chyba zdołam mądrzej wspomóc księcia Szczerego. Tak wiele lat ta wiedza pozostawała okryta tajemnicą... znalazłem ledwie wzmiankę w starych zwojach, tylko tyle, że taka a taka bitwa została wygrana dzięki Mocy króla w jego żołnierzach, taki to a taki wróg został wprowadzony w błąd Mocą króla. Nie ma jednak ani słowa, jak tego dokonano, ani...

Znów ogarnęła mnie czarna rozpacz.

- Daj spokój. To nie jest wiedza dla bękartów. Jestem żywym przykładem.

Zapadła cisza. W końcu Cierń westchnął ciężko.

- Cóż, widocznie tak musi być. W ciągu ostatnich kilku miesięcy badałem także samą kuźnicę. Niestety, dowiedziałem się tylko, czym nie jest i co nie może odmienić tego stanu. Jedyne lekarstwo na tę chorobę, jakie znalazłem, to owo najstarsze, które działa na wszystko. Zwinąłem i zawiązałem zwój, który oglądałem, czując, że wiem, co nadchodzi. Nie myliłem się.

- Król nakazał mi obarczyć ciebie pewnym zadaniem.

* * *

Tego lata, przez ponad trzy miesiące, siedemnaście razy zabijałem dla króla. Gdybym nie zabił wcześniej, z własnej woli, dla własnej obrony, byłoby mi trudniej.

Zadanie mogło wydawać się łatwe. Tylko ja, koń i kosze zatrutego chleba. Jeździłem drogami, na których atakowano podróżnych, i kiedy zakażeni kuźnicą napadali na mnie, uciekałem, zostawiając za sobą szlak zgubionych bochnów. Gdybym był zwykłym żołnierzem, byłbym chyba mniej przerażony. Przez całe życie polegałem na Rozumieniu, zmyśle, który uprzedzał mnie o obecności innych żywych istot w pobliżu. Gdy nie mogłem z niego korzystać, czułem się tak, jakbym pracował z zamkniętymi oczyma. Szybko się nauczyłem, że nie wszyscy chorzy na kuźnicę byli uprzednio szewcami lub tkaczami. W drugiej grupie, jaką otrułem, rozpoznałem kilku dawnych żołnierzy. Miałem szczęście, że większość z nich sprzeczała się nad bochnami chleba, kiedy zostałem ściągnięty z konia. Dostało mi się głębokie cięcie nożem i do dzisiejszego dnia noszę bliznę na lewym ramieniu. Byli silni i znali się na rzeczy, a przy tym odniosłem wrażenie, iż walczą jak drużyna - może tak właśnie ich wyszkolono, gdy jeszcze byli w pełni ludźmi. Zginałbym wówczas, gdybym nie krzyknął do nich, że głupio walczyć ze mną, podczas gdy inni zjedzą cały chleb. Porzucili mnie, wdrapałem się na konia i uciekłem.

Działanie trucizny nie było bardziej bolesne, niż być musiało, ale by skutkowało nawet w najmniejszej dawce, musieliśmy użyć silnych środków. Bezduszni mordercy nie umierali lekko, ale była to śmierć najszybsza, jaką potrafił spreparować Cierń. Chciwie rabowali mnie z własnego przeznaczenia. Nie musiałem być świadkiem konwulsji i piany występującej im na usta ani nawet widzieć ciał ścielących się na drodze. Zanim wieści o zgonach skażonych kuźnicą sięgnęły Koziej Twierdzy, już krążyła rozpuszczona przez Ciernia pogłoska, jakoby się potruili zepsutymi rybami. Krewni zmarłych zebrali ciała i zapewnili im godny pochówek. Ja przekonałem siebie, iż prawdopodobnie odczuli wielką ulgę, i że chorzy mieli lepszą śmierć, niż gdyby mieli zimą umrzeć z głodu. Tak przyzwyczajałem się do zabijania i wielu już zabiłem, nim uśmierciłem człowieka, któremu przedtem głęboko zajrzałem w oczy.

To także nie było aż tak trudne, jak mogłoby się wydawać. Był on pomniejszym baronetem, władającym ziemiami za Jeziolem Smolnym. Do Koziej Twierdzy dotarła wiadomość, że człowiek ten w napadzie wściekłości zniewolił służącą, po czym wyrzucił ją ze swego dworu. Wystarczyło tyle, by rozgniewać króla Roztropnego, ale ponieważ baronet sownie opłacił swoje czyny, służąca zrezygnowała z królewskiej sprawiedliwości. Lecz kilka miesięcy później na dworze zjawiała się krewna dziewczyny i upraszała o prywatną audiencję.

Zostałem wysłany, by się przekonać, ile prawdy jest w jej historii. Na miejscu zobaczyłem służącą uwiązaną u tronu niczym pies, a co więcej, jej brzuch wzdęty był brzemiem. Nie było mi trudno - gdy baronet poczęstował mnie winem we wspaniałym kryształach i błagał o najnowsze wieści z królewskiego dworu - znaleźć okazję, by podniósłszy kielich ku światłu, chwalić jakość i naczynia, i trunku. Odjechałem kilka dni później, wypełniwszy misję. Zabrałem ze sobą próbki papieru dla Krzewiciela i przekazane przez umyślnego życzenia dobrej podróży, jakie składał mi gospodarz, tego dnia niedysponowany. Mniej więcej miesiąc później umarł we krwi, szaleństwie i z pianą na ustach. Kuzynka służącej zabrała do siebie i ją, i dziecko. Do dziś dnia nie żałuję ani czynu, ani tego, że skazałem człowieka na powolne konanie.

Jeśli nie rozdzielałem śmierci pomiędzy zarażonych kuźnicą, usługiwałem mojemu księciu, Szczeremu. Pamiętam pierwszy raz, gdy balansując tacą, wspinałem się po nieskończonych schodach prowadzących na jego wieżę. Spodziewałem się warty albo strażników na szczycie. Nie było nikogo. Zapukałem do drzwi i nie otrzymałem odpowiedzi; wszedłem cicho. Następca tronu siedział na krześle przy oknie. Letnia morska bryza wpływała do komnaty. Mogłoby tu być przyjemnie, bo dużo było światła i świeżego powietrza w ten duszny letni dzień. A jednak zdawało mi się, że jestem w więziennej celi. W kątach i pod ścianami

podłoga była brudna i zaśmiecona resztkami starych trzcina. A ksiązę Szczery, z brodą opartą na piersi, jakby drzemał, choć czułem, że powietrze aż drga od wibracji Mocy. Ubranie na księciu wisiało, włosy miał potargane, na twarzy kilkudniowy zarost.

Nogą zamknąłem za sobą drzwi i zaniósłem tacę na stół przy krześle. Czekałem w milczeniu. Po paru chwilach następca tronu jakby odzyskał przytomność. Spojrzał na mnie z cieniem dawnego uśmiechu na ustach, następnie przeniósł wzrok na tacę.

- Co to jest?

- Śniadanie, ksiązę. Wszyscy dawno już jedli, tylko ty nie, panie.

- Jadłem już, chłopcze. Wcześniej, dzisiaj rano. Jakaś okropną zupę rybą. Kucharkę powinno się za nią powiesić. Nie wolno zaczynać dnia od ryby. - Wydał mi się niepewny, niczym słabowity starzec próbujący przywołać wspomnienie dni młodości.

- To było wczoraj, ksiązę. - Odkryłem talerze. Ciepły chleb na miodzie i z rodzynkami, zimne mięso, talerzyk truskawek, a do nich dzbanuszek śmietany. Wszystko to w małych porcjach, prawie jak dla dziecka. Nalałem parującej herbaty do kubka. Była obficie doprawiona cynamonem i miętą pieprzową, by ukryć smak kozłka lekarskiego.

Książę Szczery popatrzył na jedzenie, a potem podniósł wzrok na mnie.

- Widzę, że Cierń nie zasypia gruszek w popiele - rzucił od niechcienia, jakby imię Ciernia było w twierdzy spotykane na co dzień.

- Musisz jeść, panie, jeśli chcesz mieć siłę posługiwać się Mocą - odparłem wykrętnie.

- Chyba masz rację - przyznał znużony i odwrócił się do tacy, jak gdyby pięknie podane jedzenie było jeszcze jednym obowiązkiem, któremu należy podołać. Jadł bez apetytu, a herbatę wypił, jak mężczyzna przyjmuje lekarstwo, nie zmylony cynamonem ani miętą. W połowie posiłku przerwał z westchnieniem i wyjrzał przez okno. Następnie zmusił się do zjedzenia wszystkiego do końca. Odsunął tacę na bok, wyraźnie wyczerpany. Ja czekałem. Sam przygotowałem tę herbatę. Sadza po podobnej porcji kozłka tak tryskałaby energią, że rozwaliliby boks.

- Panie? - odezwałem się i lekko dotknąłem jego ramienia. - Książę Szczery? Dobrze się czujesz?

- Książę Szczery - powtórzył zdziwionym tonem. - Tak. Wolę to niż „panie”. Ojciec sobie umyślił, żeby ciebie tu przysłać. Dobrze. Jeszcze go mogę zaskoczyć. Ale tak, zwracaj się do mnie: ksiązę Szczery. I powiedz im, że zjadłem. Posłuszny jak zwykle. A teraz już idź, chłopcze. Muszę wracać do pracy.

Wyprostował się z wysiłkiem i jego wzrok ponownie powędrował w dal. W ciszy pobierałem naczynia, ustawiłem je na tacy i ruszyłem do drzwi. Kiedy nacisnąłem klamkę, odezwał się jeszcze:

- Chłopcze...

- Tak, panie? Zachnął się.

- ... Książę Szczery - poprawiłem się szybko.

- W moich komnatach jest Lew, chłopcze. Zajmij się nim, bo mi się zmarnuje. Nie ma sensu, żebyśmy się marnowali obaj.

- Tak, panie... ksiązę Szczery.

I w ten sposób stary pies, który najlepsze lata miał już za sobą, został oddany pod moją opiekę. Zabierałem go codziennie z komnaty księcia, szliśmy na wzgórza, na klif, na plażę i polowaliśmy na wilki, które pojawiły się tego roku wyjątkowo licznie. Tak jak mówił Cierń, byłem w fatalnej kondycji i z początku ledwo dotrzymywałem staremu psu kroku. Z upływem czasu zgraliśmy się lepiej i Lew nawet złapał dla mnie kilka królików. Teraz, pozbawiony dominacji Brusa, nie miałem żadnych skrupułów i używałem Rozumienia, kiedy tylko chciałem. Zgodnie z tym, co odkryłem już dawno, mogłem się porozumiewać z Lwem, ale nie było między nami prawdziwej więzi. Nie zawsze mnie słuchał, a nawet nie zawsze mi

wierzył. Gdyby był szczeniakiem, z pewnością moglibyśmy stworzyć taką więź. On był już stary, a jego serce na zawsze należało do księcia Szczerego.

Trzy razy dziennie wspinałem się po stromych kręconych schodach, by przekonać następcę tronu do zjedzenia czegoś i namówić go na chwilę odpoczynku. Niekiedy była to rozmowa jak z małym dzieckiem lub zgrzybiałym starcem. Kiedy indziej interesował się Lwem wypytywał mnie o sprawy w mieście. Czasem, gdy wyjeżdżałem z innymi zadaniami, nie widziałem go przez kilka dni. Raz, po wypadzie, w czasie którego zostałem raniony sztyletem, przyglądał mi się uważnie, gdy niezdarnie składałem puste talerze na tacy.

- Ależ by się śmiali w kułak, gdyby wiedzieli, że zabijamy własny lud.

Zastygłem w bezruchu, zastanawiając się nad odpowiedzią, bo o ile było mi wiadomo, o moich wyprawach wiedzieli jedynie król Roztropny i Cierń. Wzrok następcy tronu znów odpłynął w dal, więc w końcu się nie odezwałem.

Choć wcale nie zamierzałem, zacząłem wprowadzać w otoczeniu księcia Szczerego pewne zmiany. Jednego dnia, w czasie gdy jadł, zamiotłem komnatę, a jeszcze później, wieczorem, przyszedłem specjalnie po to, by przynieść świeże trzciny i zioła do posypania podłogi. Obawiałem się, że mógłbym przeszkodzić, ale przecież Cierń nauczył mnie poruszać się bezszelestnie. Pracowałem bez jednego słowa, a księżę Szczery chyba mnie nie zauważył. Komnata jednak została odświeżona, a werbena zmieszana z trzcina i ziołami rozsiewała orzeźwiający woń. Innym razem zastałem księcia Szczerego drzemiącego w krześle. Przyniosłem na górę poduszki, które on przez kilka dni ignorował, lecz wreszcie podłożył je sobie pod plecy. Komnata pozostała naga, ale czułem, że jest mu to potrzebne. Dlatego też przynosiłem tylko najprostsze przedmioty ułatwiające życie; nie gobeliny ani kotary, nie wazy pełne kwiatów, nie dzwonki grające na wietrze, ale pachnący tymianek w doniczkach, by ulżyć w bólach głowy, które prześladowały księcia, a w sztormowy dzień derkę chroniącą go przed wiatrem i deszczem siekącym przez otwarte okno.

Pewnego dnia znowu zastałem go śpiącego w krześle. Osunął się jak martwy. Otuliłem go kocem niczym ciężko chorego i postawiłem przed nim tacę, ale jej nie odkryłem, żeby jedzenie nie wystygło. Usiadłem na podłodze, oparłem się o jedną ze wzgardzonych poduszek i słuchałem ciszy. Owego dnia w komnacie panował niezwykle spokojny, mimo zacinającego za otwartym oknem letniego deszczu i wichury, która od czasu do czasu atakowała gwałtownym podmuchem. Pewnie się zdrzemnąłem, bo obudził mnie dotyk dłoni na włosach.

- Kazali ci mnie tak pilnować, chłopcze? Nawet kiedy śpię? Czego więc się obawiają?

- Niczego, w każdym razie ja o niczym nie wiem. Kazali mi tylko przynosić ci posiłki, panie, i dopatrzeć, żebyś je zjadał. Nic więcej.

- A koce, poduszki, doniczki z kwiatami?

- Robiłem to z własnej woli. Księżę Szczery, żaden człowiek nie powinien żyć w takiej pustce. - W tej właśnie chwili zorientowałem się, że nie rozmawiamy na głos. Usiadłem prosto i spojrzałem mu w oczy.

Księżę Szczery także najwyraźniej właśnie zdał sobie z tego sprawę. Poprawił się na swoim niewygodnym siedzisku.

- Błogosławię ten sztorm, bo pozwolił mi odpocząć. Ukryłem go przed trzema statkami, przekonując marynarzy, którzy patrzyli w niebo, że nadciąga tylko letni szkwał. Teraz płyną w deszczu na wiosłach i wyteżają wzrok, próbując utrzymać się na kursie. A ja zyskałem kilka chwil spokojnego snu. - Przerwał. - Wybacz mi, chłopcze. Teraz czasami używanie Mocy wydaje mi się bardziej naturalne niż normalne mówienie. Nie chciałem ci się narzucać.

- Nic się nie stało, panie. Tylko się wystraszyłem. Ja sam nie mam Mocy, czasem tylko wyczuwam jej słabe drgnienie. Nie wiem, jak to się stało, że się dla ciebie otworzyłem.

- Nie mów „panie”, ale „księżę Szczery”, chłopcze. Nie można być panem, jeśli się siedzi w przepoconej koszuli i z parodniowym zarostem na twarzy. Ale co ty za bzdury opowiadasz?

Przecież chyba uczyłeś się korzystania z Mocy? Pamiętam dobrze, jak Cierpliwa zwalczyła opór mojego ojca. - Pozwolił sobie na znużony uśmiech.

- Konsyliarz próbował mnie uczyć, lecz nie mam talentu. Powiedziano mi, że z bękartami często tak...

- Czekaj - mruknął i w jednej chwili znalazł się w moim umyśle. - Tak będzie szybciej - zaproponował usprawiedliwiającym tonem, a potem szepnął do siebie: - Co to jest, co cię tak tłumy? A! - I wyszedł z mojego umysłu, a wszystko to uczynił z równą łatwością, z jaką Brus wyjmował kleszcza z psiego ucha. Długo siedział milcząc, pogrążony w zamyśleniu. Ja także się nie odzywałem.

- Jestem tak samo silny jak twój ojciec - rzekł w końcu. - Konsyliarz nie ma podobnej siły.

- Jakim więc sposobem został mistrzem Mocy? - spytałem cicho. Zastanawiałem się, czy książę Szczęry mówił mi o tym jedynie po to, by zbagatelizować moją klęskę.

- Konsyliarz był... ulubieńcem królowej Skwapliwej - zaczął z wahaniem, jakby poruszył bardzo delikatny temat. - Jej... faworytem. Królowa bardzo stanowczo poleciła go Troskliwej na ucznia. Myślę, że nasza stara mistrzyni często czuła się zdesperowana. Wiedziała, że umiera. Sądzę, że działała w pośpiechu, a im bliżej końca, tym bardziej żałowała swojej decyzji. I nie wydaje mi się, by Konsyliarz opanował choć połowę umiejętności, które powinien sobie przyswoić, zanim został mistrzem. Ale jest nim, innego nie mamy.

Książę Szczęry wyglądał, jakby się źle poczuł.

- Będę z tobą mówił szczerze, chłopcze, bo widzę, że potrafisz utrzymać język za zębami. Konsyliarz dostał to stanowisko jako tłusty kasek, a nie dlatego, że na nie zasługiwał. Chyba nigdy nie pojął do końca, co oznacza być mistrzem Mocy. O tak, oczywiście wie, że ta pozycja daje władzę. Nie waha się z niej korzystać. Tyle że nie na tym polega funkcja mistrza Mocy. Troskliwa była doradcą króla Szczęrego i utrzymywała więź pomiędzy nim a wszystkimi, którzy dla niego używali Mocy. Uważała za swój obowiązek wyszukiwanie i uczenie ludzi zdradzających prawdziwy talent i rozum do właściwego jego wykorzystania. Nasz najnowszy krąg Mocy to pierwsza grupa, jaką Konsyliarz trenował, od czasu gdy Rycerski i ja byliśmy chłopcami. I moim zdaniem jej członkowie nie są dobrze wyszkoleni. Nie. Są wytresowani. Podobnie małpy albo papugi uczy się naśladowania ludzi, choć nie rozumieją, co robią. Niestety, nie mam nic innego. - Książę Szczęry wyjrzał przez okno. - Konsyliarz nie ma za grosz finezji. Jest równie prymitywny, jak była jego matka, i równie jak ona zarozumiała. - Przerwał nagle. Policzki mu poczerwieniały, wyraźnie powiedział coś nieprzemyślanego. Po chwili podjął spokojniejszym tonem. - Moc jest niczym mowa, chłopcze. Nie muszę krzyczeć, by ci dać do zrozumienia, czego od ciebie chcę. Mogę grzecznie poprosić albo dać ci znać o moim życzeniu skinieniem głowy i uśmiechem. Mogę wejść do umysłu człowieka i wzbudzić w nim przeświadczenie, że z własnej woli bardzo chciał coś dla mnie zrobić. Wszystko to umyka Konsyliarzowi, zarówno we władaniu Mocą, jak i w nauczaniu. On toruje sobie drogę siłą. Poniżenie i ból to jedna z dróg obniżenia obronności człowieka; to jedyny sposób, jakiemu ufa Konsyliarz. Troskliwa używała podstępów. Kazała mi patrzeć na latawiec albo drobinę kurzu płynącą w promieniu słońca, skupić się na niej, jakby na całym świecie nie było niczego innego. Nauczyła mnie, że być otwartym, to po prostu nie być zamkniętym. A wchodzenie do czyjś umysłu to po prostu umiejętność wyjścia ze swojego. Rozumiesz mnie, chłopcze?

- Trochę - odparłem ostrożnie.

- Trochę - westchnął. - Gdybym miał czas, mógłbym cię nauczyć korzystania z Mocy. Powiedz mi, czy przed próbą twoja nauka przebiegała dobrze?

- Nie. Nigdy nie miałem talentu... Zaraz! To nieprawda! Co ja mówię, co ja myślę!?! - Choć siedziałem, zachwiałem się nagle, uderzyłem głową o poręcz krzesła. Książę wyciągnął rękę i mnie podtrzymał.

- Chyba za szybko poszło. Spokojnie, chłopcze. Ktoś cię wprowadził w błąd. Omamił cię, tak samo jak ja to robię z nawigatorami i sternikami szkarłatnych okrętów. Przekonuję ich, że już dokonali pomiarów i płyną właściwym kursem, podczas gdy sterują prosto w przeciwną prądę. Przekonuję ich, że minęli już punkt, którego jeszcze nie widzieli. Ktoś przekonał cię, że nie masz talentu do korzystania z Mocy.

- Konsyliarz - rzekłem z absolutną pewnością. Prawie wiedziałem, w którym momencie to zrobił. Uderzył we mnie tamtego popołudnia, kiedy mnie pobił, i od tego czasu nic już nie było takie jak wcześniej. Żyłem we mgle, przez tyle miesięcy...

- Prawdopodobnie. Jeśli w ogóle dotykałeś go Mocą, musiałeś zobaczyć, co mu zrobił Rycerski. Konsyliarz nienawidził twojego ojca z całego serca, jeszcze zanim Rycerski przemienił go w pieska pokojowego. Potem żalowaliśmy niewczesnego żartu. Cofnęlibyśmy sugestię, gdybyśmy tylko wiedzieli, jak tego dokonać. Nie chcieliśmy, by Troskliwa dowiedziała się o wszystkim. Ale Rycerski miał wielką Moc i byliśmy wtedy tylko chłopcami, w dodatku mój brat mocno rozżościł się na Konsyliarza. Zresztą za coś, co Konsyliarz zrobił mnie. Nawet kiedy Rycerski nie był zły, zetknięcie z jego Mocą robiło wrażenie stratowania przez konia. Albo raczej zanurzenia w rwącej rzece. Dopadał cię w pośpiechu, pakował się w twój umysł, zalewał informacjami i znikał. - Książę Szczery znów przerwał i sięgnął na tacę po talerz zupy. - Byłem przekonany, że znasz tę historię. Choć niech mnie licho, jeśli wiem, skąd byś wiedział. Bo niby kto miał ci powiedzieć?

Uczepiłem się jednej tylko informacji.

- Mógłbyś mnie nauczyć posługiwania się Mocą?

- Gdybym miał na to czas. Dużo czasu. Jesteś bardzo podobny do księcia Rycerskiego i do mnie, w czasie gdy pobieraliśmy nauki. Nieobliczalny. Silny, ale bez świadomości, jak uczynić z tej siły pożytek. A Konsyliarz... myślę, że Konsyliarz poznał cię bliznami. Jesteś obwarowany murami, których nie potrafię nawet zarysować, choć przecież jestem silny. Musiałbyś się nauczyć je burzyć. To trudne zadanie. Ale mógłbym cię uczyć, tak. Gdybyśmy obaj mogli na to poświęcić rok. I tylko na to. - Odsunął talerz. - A nie możemy.

Znowu runęły moje nadzieje. Ta druga fala rozczarowania zatopiła mnie, miażdżąc o skały rozgoryczenia. Wszystkie moje wspomnienia ułożyły się na nowo i w gniewie pojąłem, co zostało mi uczynione. Gdyby nie Kowal, roztrzaskałbym się u stóp wieży. Konsyliarz próbował mnie zamordować, równie pewnie jak nożem. Poza wiernym mu kręgiem Mocy nikt by nawet nie wiedział o tym, że mnie pobił. A kiedy mu się to nie udało, odebrał mi szansę nauki władania Mocą. Okaleczył mnie, a ja... Wściekły zerwałem się na równe nogi.

- Hola! Działaj powoli i rozważnie. Masz powód do gniewu, ale nie możemy siać niezgody w zamku akurat teraz. Noś go w sobie, aż będziesz mógł wykorzystać, dyskretnie, z korzyścią dla króla. - Pochyliłem czoło przed mądrością jego rady. Uniósł pokrywę z półmiska, na którym czekał nieduży pieczony kogut, opuścił ją ponownie. - Swoją drogą, dlaczego chcesz się uczyć władania Mocą? To marna umiejętność. Zajęcie niegodne mężczyzny.

- Chcę ci pomóc - rzekłem bez namysłu i w tej samej chwili zrozumiałem, że to prawda. Kiedyś potrzebowałem tej umiejętności, by udowodnić sobie, że jestem prawdziwym synem księcia Rycerskiego wartym swego ojca, by zrobić wrażenie na Brusie albo na Cierniu, by podnieść swoje znaczenie w zamku. Teraz, gdy wiedziałem, co robił książę Szczery, dzień po dniu, bez wiedzy podwładnych, bez ich wdzięczności, zdałem sobie sprawę, że chcę jedynie mu pomóc.

- Chcesz mi pomóc - powtórzył. Cichły sztormowe wiatry. Następca tronu z rezygnacją, wyczerpany, podniósł wzrok i spojrzął za okno. - Zabierz jedzenie, chłopcze. Nie mam już na nie czasu.

- Przecież musisz nabrać sił - zaprotestowałem. Czułem się winny, bo wiedziałem, że poświęcił mi czas, gdy powinien jeść i spać.

- Wiem. Ale nie mam czasu. Jedzenie wymaga energii. Dziwnie jest to sobie uświadomić. A ja nie mogę tracić energii na jedzenie. - Jego wzrok już błędził daleko, przebijając zasłonę deszczu, który właśnie zaczął słabnąć.

- Oddałbym ci moją energię, książę Szczery. Gdybym tylko mógł.

Popatrzył na mnie dziwnie.

- Jesteś pewien? Zupełnie pewien?

Nie rozumiałem nacisku w tym pytaniu, ale znałem odpowiedź.

- Oczywiście. - I ciszej: - Jestem człowiekiem króla.

- I z tej samej co ja krwi - przyznał z westchnieniem. Wyglądał na ciężko chorego. Raz jeszcze spojrzął na jedzenie, potem za okno. - Teraz jest najlepsza chwila - szepnął. - To mogłoby wystarczyć. Niech cię licho, ojczu. Czy zawsze musisz wygrywać? Podejdz tutaj, chłopcze.

Brzmiało w jego głosie jakieś napięcie, które wzbudziło we mnie strach, lecz posłuchałem. Położył mi rękę na ramieniu, jakby się chciał wesprzeć przy wstawaniu.

* * *

Patrzyłem na niego z podłogi. Pod głową miałem poduszkę i byłem przykryty kocem, który przyniosłem wcześniej. Książę Szczery stał wychylony przez okno. Drżał z wysiłku, a Moc waliła falami niemal fizycznie odczuwalnymi.

- Roztrzaskany o skały - odezwał się z głęboką satysfakcją i odwrócił od okna. Wyszczerył do mnie zęby w znajomym szalonym uśmiechu, który na mój widok powoli spelzł mu z twarzy.

- Jak cielak pod ostrzem rzeźnika - rzekł skruszony. - Powinienem był wiedzieć, że nie masz pojęcia, o czym mówisz.

- Co się ze mną stało? - zdołałem zapytać. Zęby mi dzwoniły i cały się trząsałem jak osika, choć nie było mi zimno.

- Zaoferowałeś mi swoją energię. Wziąłem ją. - Nalał kubek herbaty i przytrzymał mi go przy ustach. - Pij wolno. Spieszyłem się. Czy mówiłem wcześniej, że Moc księcia Rycerskiego była jak rozpędzony byk? Co wobec tego powinienem powiedzieć o sobie?

Znow był serdeczny i dobroduszny. To był książę Szczery, jakiego nie widziałem od miesięcy. Udało mi się przełknąć odrobinę herbaty; poczułem smak kozłka w ustach i przełyku. Drżenie ustało. Książę mimochodem także pociągnął łyk z kubka.

- W dawnych czasach - podjął tonem pogawędki - król czerpał energię ze swego kręgu Mocy. Tworzyło go sześcioro, często więcej, a wszyscy zestrojeni, potrafiący zebrać energię i ofiarować ją, gdy była potrzebna. Taki był cel istnienia kręgów Mocy. Dostarczanie energii królowi czy komuś innemu, komu służyły. Chyba Konsyliarz tego nie pojął. Jego krąg to twór całkowicie wedle jego pomysłu. Podobny do koni, wołów i osłów w jednym zaprzęgu. W niczym nie przypomina prawdziwego kręgu Mocy. Brak mu spójności.

- Wziąłeś ode mnie energię?

- Tak. Uwierz mi, chłopcze, normalnie bym tego nie zrobił. Bardzo jej potrzebowałem, a sądziłem, że wiesz, co mi ofiarujesz. Sam się nazwałeś człowiekiem króla, użyłeś słów dawnej formuły. A jesteśmy tak blisko spokrewnieni, iż nie miałem najmniejszych wątpliwości, że to będzie proste. - Głośno odstawił kubek na tacę. - Roztropny - odraza w jego głosie się pogłębiła. - On wprawia wszystko w ruch, obraca kołami, porusza wahadła. To nie przypadek, że akurat ty zostałeś wyznaczony do przynoszenia mi posiłków, chłopcze. On mi ciebie wepchnął w ręce. - Szybkim krokiem obszedł komnatę dookoła, po czym zatrzymał się nade mną. - To się już nie powtórzy.

- Nie było tak strasznie - zaprotestowałem słabo.

- Nie? To dlaczego nie wstajesz? Ani nawet nie siądziesz? Jesteś sam, chłopcze, jesteś jeden, nie jesteś kręgiem Mocy. Gdybym nie zdał sobie sprawy z twojej niewiedzy i w porę się nie wycofał, mógłbym cię zabić. Twoje serce stanęło, przestałeś oddychać. Nie będę już czerpał energii ani z ciebie, ani z nikogo innego. - Pochylił się, bez wysiłku podniósł mnie i posadził na krześle. - Posiedź chwilę. I zjedz coś. Ja teraz tego nie potrzebuję. A kiedy poczujesz się lepiej, idź do Roztropnego i przekaz mu ode mnie wiadomość. Powiedz, że mnie rozpraszasz. Od teraz posiłki ma mi przynosić jakiś kuchcik.

- Książę Szczery... - zacząłem.

- Powiedz: „panie” - poprawił mnie. - W tej sprawie jestem twoim panem i nie będę na ten temat dyskutował. Teraz jedz.

Posłusznie zjadłem, a kozłek w herbacie sprawił, że doszedłem do siebie nadspodziewanie szybko. Wkrótce mogłem wstać, zebrać talerze na tacę i podejść z nimi do drzwi. Byłem nieszczęśliwy. Uniosłem skobel.

- Bastard Rycerski Przewrotny.

Skamieniałem na dźwięk tych słów. Odwróciłem się bardzo wolno.

- Tak się nazywasz, chłopcze. Sam cię wpisałem do kroniki w dniu, kiedy cię do mnie przyprowadzono. To jeszcze jedna rzecz, o której, jak sądziłem, wiesz. Przystań myśleć o sobie jako o bękarciu, Bastardzie Rycerski Przewrotny. I nie zapomnij iść dzisiaj do Roztropnego.

- Do widzenia - powiedziałem cicho, ale on już znowu wyglądał przez okno.

I tak właśnie mijало nam lato. Cierniowi nad tabliczkami, następcy tronu przy oknie, księciu Władczemu na zalotach do księżniczki, narzeczonej brata, a mnie na skrytych zabójstwach dla mojego króla. Przedstawiciele księstw śródładowych i nadbrzeżnych zasiedli przy stołach rady sycząc i prychając na siebie jak kot na węża. A nad tym wszystkim trwał król Roztropny, podobny do pająka, dzierżący wszystkie nitki pajęczyny, gotów reagować na najslabsze jej drgnięcie. Szkarłatne okręty spadały na nas niby rekiny na świeże mięso, porywając ludzi i zarażając kuźnicą. Nieszczęśnicy stawali się udreką dla innych, żebrakami albo drapieżcami, ciężarem dla swych rodzin. Ludzie obawali się wypływać w morze na połów, bali się handlować i uprawiać ziemię w deltach rzek uchodzących do morza. A przecież trzeba było podnieść podatki, by wyżywić żołnierzy i obserwatorów, którzy zdawali się niezdolni do obrony lądu, choć ciągle rosła ich liczba. Król Roztropny niechętnie zwolnił mnie z usługiwania następcy tronu. Nie wzywał mnie ponad miesiąc, aż pewnego ranka zostałem nadspodziewanie zaproszony na śniadanie. Władca spożywał posiłek w towarzystwie starszego syna.

- To nie jest dobry czas na ożenek - tłumaczył ojcu książę Szczery.

Patrzyłem na kościstego człowieka o pożółkłej cerze, który siedział przy stole króla, i zastanawiałem się, czy to naprawdę był ten bezceremonialny, serdeczny książę, którego poznałem jako dziecko. Jego stan pogorszył się znacznie w ciągu zaledwie miesiąca. Książę Szczery bawił się kawałkiem chleba, wreszcie go odłożył. Zniknęły rumieńce z jego policzków i blask z oczu. Włosy miał matowe, mięśnie sflaczałe, białka oczu podbarwione na żółto. Gdyby był psem, Brus by mu dał środek na odrobaczenie.

- Przedwczoraj polowałem z Lwem - odezwał się nie pytany. - Przyniósł mi królika.

Książę Szczery odwrócił się do mnie, cień dawnego uśmiechu pojawił mu się na ustach.

- Zabierasz mojego starego wilczarza na króliki?

- Był bardzo zadowolony. Tęskni za tobą, panie. Przyniósł mi królika, a ja go pochwaliłem, ale moja pochwała go nie zadowolila, - Nie mogłem mu powiedzieć, jak pies spojrzal na mnie.

„Nie dla ciebie” - tak wyraźne i w spojrzeniu, i w zachowaniu.

Książę Szczery podniósł kieliszek. Ręka drżała mu lekko.

- Cieszę się, że wychodzi z tobą, chłopcze. Inaczej by musiał...

- Ślub doda ludowi ducha - przerwał mu Roztropny. - Ja się już starzeję, synu, i czasy są ciężkie. Lud nie widzi końca swojej niedoli, a ja nie śmiem mu obiecać poprawy, na którą nie mamy nadziei. Zawyspiarze się nie myślą twierdząc, że nie jesteśmy już tymi wojownikami, którzy się tu niegdyś osiedlili. Przemieniliśmy się w osadników. A takich można przerazić groźbami, z których wędrowcy i żeglarze nic sobie nie robią. I można nas groźbami zniszczyć. Osadnicy utożsamiają bezpieczeństwo z ciągłością królewskiego rodu. Podniosłem bystro wzrok. To były słowa Ciernia, mógłbym dać w zakład własną głowę. Czyżby do małżeństwa księcia Szczerego Cierń także przykładał rękę? Zacząłem słuchać uważniej, a jednocześnie zastanawiałem się, w jakim celu zostałem tu wezwany.

- Trzeba wlać wiarę w serca ludu, synu. Nie masz wdzięku Władczego, nie masz też ujmującego sposobu bycia, który Rycerskiemu pozwalał przekonać każdego, że potrafi on wszystko. To nie umniejsza twojej wartości: masz ogromny talent do Mocy; podobnego nigdy nie widziałem. W wielu wypadkach twoja znajomość żołnierskiej taktyki okazywała się ważniejsza niż dyplomacja Rycerskiego.

Moim zdaniem brzmiało to odrobinę nieszczerze. Król Roztropny przerwał. Nałożył na kromkę chleba ser oraz konfitury i w zamyśleniu odgryzł kęs. Księżę w milczeniu obserwował ojca. Wydawał się jednocześnie uważny i znudzony. Jak człowiek rozpaczliwie próbujący nie zasnąć, gdy jedynym jego pragnieniem jest złożyć gdzieś głowę i zamknąć oczy. Moje krótkie doświadczenia z Mocą, świadomość, że trzeba ogromnego skupienia, by się oprzeć niebezpiecznej rozkoszy, a jednocześnie naginać czyjaś wolę, kazała mi się zastanowić nad możliwościami księcia Szczerego do ciągłej walki, dzień po dniu.

Król Roztropny przeniósł wzrok z księcia Szczerego na mnie i z powrotem na twarz syna.

- Mówiąc najprościej, powinieneś się ożenić. Więcej, powinieneś spłodzić potomka. Takie zmiany tchną w lud nowego ducha. Ludzie powiedzą: „Nie może być zupełnie źle, jeśli nasz księżę nie obawia się żenić i mieć dziecko. Na pewno by tego nie zrobił, gdyby królestwo stało nad brzegiem przepaści”.

- Ale my przecież będziemy wiedzieli lepiej, prawda, ojcze? - w głosie następcy tronu zabrzmiała nutka bezradności i goryczy, której nigdy przedtem u niego nie słyszałem.

- Szczery... - zaczął Roztropny, ale syn mu przerwał.

- Królu mój - odezwał się oficjalnie. - Zarówno ty, jak i ja dobrze wiemy, że znajdujemy się o krok od zagłady. Nie możemy sobie pozwolić na najmniejsze osłabienie czujności. Nie mam czasu na zaloty i umizgi, a tym bardziej na trudniejsze negocjacje i szukanie narzeczonej. Przy sprzyjającej pogodzie szkarłatne okręty będą atakowały. Kiedy pogoda się zmieni, kiedy burze zagnają ich statki z powrotem do portów, będziemy musieli zająć się fortyfikowaniem wybrzeża i ćwiczeniem załóg do obsadzenia własnych okrętów. To właśnie chcę z tobą omówić. Zbudujmy flotę wojenną, nie ciężkie statki handlowe, które kołyszą się na wodzie jak kaczki, kusząc tylko najeźdźców, ale smukłe okręty, jakie ciągle jeszcze potrafią zbudować nasi najstarsi skutnicy. I zawieźmy tę wojnę Zawyspiarzom na ich terytorium, tak, nawet przez zimowe sztormy. Mieliśmy kiedyś takich żeglarzy i wojowników. Jeśli zaczniemy budowę i ćwiczenia już teraz, do przyszłej wiosny będziemy mogli przynajmniej utrzymać piratów z dala od naszych wybrzeży. Może zimą...

- To wszystko kosztuje. A od ludzi przerażonych pieniądze nie popłyną szybciej. Żeby zdobyć potrzebne fundusze, trzeba nam, by kupcy handlowali, chłopci nie mogą się bać wypasania trzód na nadbrzeżnych łąkach i polach. Wszystko to prowadzi z powrotem do twojego małżeństwa, synu.

Księżę Szczery, tak ożywiony gdy mówił o okrętach wojennych, zapadł się w siebie, jakby ktoś zburzył podtrzymującą go wewnętrzną konstrukcję. Prawie oczekiwałem, że osunie się na ziemię.

- Jak sobie życzysz, mój królu - rzekł, ale wymawiając te słowa pokręcił głową, przecząc samemu sobie. - Zrobię to, co uważasz za właściwe. Taki jest obowiązek księcia w stosunku

do króla i królestwa. Ale jeśli mam przemawiać jak mężczyzna, ojczy, to powiem, że gorzkim i próżnym uczynkiem jest dla mnie brać za żonę kobietę wybraną mi przez młodszego brata. Wiele dam w zakład, że ona, poznawszy najpierw księcia Władczego, gdy potem stanie obok mnie, nie uzna takiego obrotu spraw za szczęśliwe zrządzenie losu. - Książę Szczęry opuścił wzrok na swoje dłonie, zniszczone walką i pracą, poznaczone bliznami, bardzo teraz widocznymi na bladej skórze. Tak jak nakazywało mu imię, mówił szczerze: - Zawsze byłem twoim drugim synem. Za Rycerskim, pięknym, silnym i mądrym. A teraz za księciem Władczym, rozsądnym, pełnym wdzięku i obytym. Wiem, uważasz, iż byłby lepszym następcą tronu niż ja. Czasami się z tobą zgadzam. Urodziłem się drugi i na drugiego byłem wychowywany. Zawsze wierzyłem, że moje miejsce będzie za tronem, a nie na nim. I kiedy sądziłem, że Rycerski będzie twoim następcą na tym zaszczytnym miejscu, nie miałem nic przeciwko. Wiele mi ofiarował mój starszy brat. Obdarzył zaufaniem, co poczytałem sobie za prawdziwy zaszczyt. Być prawą ręką takiego króla to lepiej, niż być królem wielu pomniejszych ziem. Wierzyłem w niego równie mocno, jak on wierzył we mnie. Ale Rycerskiego zabrakło. I nie zaskoczę cię, jeśli powiem, że nie ma podobnej więzi pomiędzy księciem Władczym a mną. Może dzieli nas różnica wieku, może Rycerski i ja byliśmy tak blisko ze sobą związani, że nie zostawiliśmy miejsca dla trzeciego. Ale naprawdę nie sądzę, że potrafi znaleźć kobietę, która by mnie mogła pokochać, która...

- Wybierze ci królową! - przerwał król Roztropny ostro. Zorientowałem się, że nie pierwszy raz sprzeczał się w tej sprawie; król był wyraźnie rozgniewany moją obecnością przy tych słowach. - Książę Władczy wybierze kobietę nie dla ciebie ani dla siebie, nie będzie się kierował podobnie płytkimi względami. Wybierze kobietę, która zostanie panią tej ziemi, Królestwa Sześciu Księstw. Kobietę, która może wnieść nam w posagu bogactwo i wojsko, a także kontrakty handlowe, niezbędne nam, jeśli mamy przetrwać ataki szkarłatnych okrętów. Delikatne dłonie i słodkie zapachy nie zbudują twoich okrętów, książę Szczęry. Musisz odsunąć na bok zazdrość o brata; nie pobijesz wroga, jeśli nie masz zaufania do tych, którzy stoją przy tobie.

- Zgadzam się najzupełniej - rzekł książę Szczęry spokojnie. Odsunął się od stołu.

- Dokąd idziesz? - spytał król zirytowany.

- Wracam do obowiązków - odparł książę Szczęry krótko. - Gdzież by indziej?

Przez moment król Roztropny był zaskoczony.

- Prawie nic nie zjadłeś... - zająknął się.

- Głód Mocy zabija wszelkie inne. Wiesz o tym.

- Tak... i wiem także, równie dobrze jak ty, że kiedy tak się dzieje, człowiek jest bliski swego końca. Głód Mocy pożera człowieka, a nie żywi.

Obaj wyraźnie o mnie zapomnieli. Małuczki i nieważny skubałem biskopt, cichy jak mysz pod miotłą.

- Czy ma znaczenie strata jednego człowieka, jeśli stawką jest królestwo? - Książę nawet nie próbował ukryć goryczy w głosie i stało się dla mnie jasne, że mówi nie tylko o Mocy. - Poza tym - dodał z rozmyślnym sarkazmem - masz jeszcze jednego syna, który może po tobie wstąpić na tron i włożyć koronę. I on nie jest skażony ciemną stroną Mocy. Może się ożenić, kiedy zechce.

- Książę Władczy nie ponosi winy za to, że nie ma talentu do władania Mocą. Był chorowitym dzieckiem, zbyt chorowitym, żeby go oddać na naukę u Konsyliarza. A kto mógł przewidzieć, że dwóch książąt obdarzonych Mocą nie wystarczy? - zaprotestował król Roztropny. Podniósł się gwałtownie i długimi krokami przemierzył komnatę. Wyjrzał przez okno na morze. - Robię, co mogę, synu - dodał ciszej. - Czy sądzisz, że jestem bez serca? Że nie widzę, jak marniejesz?

Książę Szczęry westchnął ciężko.

- Przemawia przeze mnie znużenie Mocą. Przynajmniej jeden z nas musi zachować jasny umysł i pojąć wszystko. Dla mnie nie istnieje nic poza wynajdywaniem nawigatora pośród wioślarzy, znalezieniem sekretnych łąk, które Moc może wyolbrzymić. Chcę odkryć przeleknionego wśród załogi i dopaść ofiarę. Kiedy śpię, śnię o nich, kiedy próbuję jeść, stają mi kością w gardle. Wiesz dobrze, że nigdy nie miałem do tego upodobania, ojczu. Nigdy nie uważałem takiej formy walki za godną wojownika - nie lubię czaić się i szpiegować w ludzkich umysłach. Daj mi miecz, a z ochotą pójdę wypruwać wrogowi flaki. Wolałbym walczyć z ostrzem w dłoni, niż potajemnie myszkować w cudzych myślach.

- Wiem, wiem - rzeki król łagodnie, ale ja wątpię, czy naprawdę wie.

Rozumiałem niechęć księcia Szczerego do tego niewdzięcznego zadania. Musiałem przyznać, że ją podzielałem i czułem, iż księżę jest przez te czyny w jakiś sposób zbrukany. Ale kiedy spojrział na mnie, moja twarz i oczy wolne były od wszelkiego osądu. Gdzieś głęboko w serce zakradło mi się poczucie winy, że poniosłem klęskę w nauce posługiwania się Mocą i w tym trudnym czasie nie potrafiłem być użyteczny dla stryja. Zastanawiałem się, czy myślał o tym, by znowu zaczerpnąć ode mnie energię. Była to myśl przerażająca, lecz przygotowałem się na tę prośbę. On jedynie uśmiechnął się do mnie, uśmiechem trochę nieobecny, jakby podobna myśl nigdy nie powstała mu w głowie. Przechodząc za moim krzesłem, zmierzwił mi włosy, jak gdybym był Lwem.

- Zabieraj mojego psa na polowanie, nawet jeśli tylko na króliki. Przykro mi zostawiać Lwa samego, ale jego żalosne skamlenie bardzo mnie rozprasza.

Kiwnąłem głową, zdumiony, że wyczułem od księcia cień takiego samego bólu, jaki dręczył mnie, gdy straciłem psa.

- Szczery!

Odwrócił się na głos króla Roztropnego.

- Prawie zapomniałem, dlaczego cię tu wezwałem. Chodzi oczywiście o tę księżniczkę z gór. Na imię ma chyba Ketkin...

- Ketriken. Mógłbyś zapamiętać chociaż tyle. Ostatnim razem, kiedy ją widziałem, była chuderlawym dzieciakiem. Więc to ją wybraliście?

- Tak. Ze wszystkich powodów, o których już rozmawialiśmy. I została ustalona data. Dziesięć dni przed Świętem Żniw. Będziesz musiał stąd wyjechać w początkach Czasu Zbiorów. Tam, przed jej ludem, odbędzie się ceremonia zaślubin, która was połączy i przypieczętuje wszelkie poczynione ustalenia, a oficjalny ślub będzie miał miejsce później, kiedy już tu z nią wrócisz. Księżę Władczy przysłał umyślnego z wieścią, że musisz...

Księżę Szczery zatrzymał się w pół kroku, jego twarz pociemniała z gniewu.

- Nie mogę. Dobrze wiesz, że nie mogę. Jeśli w Czasie Zbiorów przestanę walczyć ze szkarłatnymi okrętami, nie będę miał do czego wracać z narzeczoną. Zawyspiarze zawsze byli najbardziej chciwi w ostatnim ciepłym miesiącu, zanim zimowe sztormy zagnają ich z powrotem na nędzne wybrzeża Wysp Zewnętrznych. Myślisz, że w tym roku będzie inaczej? Nie zamierzam wracać tu z Ketriken tylko po to, by zastać wrogów uczujących w Koziej Twierdzy i zobaczyć twoją głowę zatkniętą na włóczni na moje powitanie!

Król Roztropny wyglądał straszliwie, ale powstrzymał gniew.

- Czy naprawdę sądzisz, że aż tak dadzą nam się we znaki, jeśli przerwiesz swoje wysiłki na jakieś dwadzieścia dni?

- Wiem na pewno - rzekł księżę Szczery znużonym tonem. - Wiem też, że teraz powinienem być na posterunku, zamiast tutaj klócić się z tobą. Ojczu, powiedz im, że trzeba przełożyć ceremonię. Pojadę po narzeczoną, jak tylko śnieg przykryje ziemię, a błogostawione huragany zapędzą statki do portów.

- To niemożliwe - oznajmił Roztropny z zalem. - Lud z gór ma swoje wierzenia. Ślub w zimie sprowadzi nieurodzaj latem. Musisz się ożenić jesienią, kiedy ziemia rodzi, albo późną wiosną, gdy obsiewają ziarnem swoje poletka.

- Nie mogę. Zanim w górach zacznie się wiosna, tutaj jest już piękna pogoda, a bandyci ze szkarłatnych okrętów stoją nam na progu. Przecież górale muszą to zrozumieć! - Książę Szczery potrząsnął głową, jak niespokojny koń na krótkich wodzach.

Nie chciał być tutaj. Czuł wstręt do swojej pracy z Mocą, jednak ona go wzywała. Chciał już do niej wrócić, pragnął tego w sposób, który nie miał nic wspólnego z obroną królestwa. Zastanawiałem się, czy król Roztropny o tym wiedział. Zastanawiałem się, czy wiedział książę Szczery.

- Zrozumienie to jedno - tłumaczył król - a wymaganie, by porzucili odwieczne tradycje, to zupełnie co innego. Synu, musi tak być, trzeba to zrobić teraz. - Potarł czoło, jakby bolała go głowa. - Potrzebujemy tego związku. Potrzebujemy żołnierzy Ketriken, podarunków ślubnych i poparcia jej ojca. Nie można z tym zwlekać. Jedź w lektyce. Będiesz mógł używać Mocy w czasie podróży. Nawet dobrze ci zrobi zmiana miejsca, trochę świeżego powietrza i...

- Nie! - wybuchnął książę.

Król Roztropny odwrócił się raptownie, niczym wierzchowiec spięty ostrogą. Książę Szczery walnął pięścią w stół. Nigdy nie widziałem go tak rozgniewanego.

- Nie, nie i jeszcze raz nie! Nie mogę się skupić nad tak poważnym zadaniem w trzęsącej się lektyce. I nie pojedę po narzeczoną, którą dla mnie wybraliście, po tę kobietę, którą ledwie pamiętam, w lektyce niczym inwalida albo obłożnie chory. Nie pozwolę, by mnie tak ujrzała, nie pozwolę też, by moi ludzie wyśmiewali się ze mnie za moimi plecami „Oto dzielny książę Szczery! Podróżuje jak sparaliżowany starzec. Stręcony kobiecie, jakby był zawyspiarską ladacznicą”. Gdzie macie rozum, ty, ojcze, i Władczy, że możecie snuć takie niedorzeczne plany? Byliście między ludźmi z gór, znacie ich obyczaje. Sądzisz, że ich kobieta zaakceptowałaby mężczyznę, który zjawia się po nią w taki sposób? U nich nawet królowie pozbywają się dziecka, jeśli urodziło się chore. Zniweczyłbyś własny plan i w tym samym czasie wystawił Sześć Księstw na łaskę najeźdźców.

- Więc może...

- Więc może akurat teraz jest niedaleko szkarłatny okręt, którego nie widać z Wyspy Łęgowej, i jego kapitan już nie daje wiary złym przeczuciom, jakie miał zeszłej nocy, a nawigator poprawia kurs, zastanawiając się, jak mógł tak bardzo pomylić charakterystyczne punkty naszego wybrzeża. Już cała praca, jaką wykonałem, kiedy ty spałeś, a książę Władczy tańczył i pił ze swoimi dworzanami, poszła na marne, bo stoimy tutaj i prawimy o niczym. Ojcze, władaj, podejmuj decyzje, wydawaj rozkazy. Zrób tak, jak sobie życzysz i sądzisz, że będzie najlepiej, a ja się podporządkuję, jak długo nie będzie to ode mnie wymagało porzucenia korzystania z Mocy, gdy piękna pogoda gnębi nasze wybrzeża. - Książę Szczery mówiąc szedł w stronę wyjścia i trzaśnięcie drzwiami niemal ucięło jego ostatnie słowa.

Przez kilka chwil król Roztropny patrzył za nim. Przetarł dłonią oczy, ale czy to ze zmęczenia, czy z powodu łez, czy jedynie przez drobinę kurzu, nie potrafię powiedzieć. Rozejrzał się po komnacie i kiedy mnie spostrzegł, zmarszczył brwi, jak gdybym był przedmiotem umieszczonym na niewłaściwym miejscu. Potem, przypomniawszy sobie, dlaczego się tu znalazłem, zauważył oschle:

- Cóż, dobrze poszło, nie uważasz? Tak czy inaczej trzeba znaleźć jakieś wyjście. Kiedy książę Szczery uda się po swoją narzeczoną, pojedziesz z nim.

- Jak sobie życzysz, panie - rzekłem cicho.

- Tak sobie życzę. - Odchrząknął, znowu popatrzył za okno. - Księżniczka ma jednego tylko krewnego, starszego brata. Jest niezdrow. Tak, kiedyś był silny, ale pewnego razu na Lodowych Polach został raniony w pierś. Strzała przeszła czysto, tak powiedziano księciu Władczemu. Rany na piersi i na plecach się zagoiły. Ale zimą ten młody człowiek odkasłuje krwią, a latem nie może siedzieć na koniu ani musztrować żołnierzy dłużej niż pół ranka. Znając lud górski należy się dziwić, że jest on ich następcą tronu.

Przez jakiś czas rozmyślałem w milczeniu.

- Wśród ludzi gór panuje ten sam zwyczaj co u nas. Potomkowie, bez względu na płeć, dziedziczą w kolejności starszeństwa.
 - Tak. Tak właśnie jest - rzekł król Roztropny cicho i wiedziałem już, że myślał, iż siedem księstw może być silniejsze niż sześć.
 - A ojciec księżniczki Ketricken? - spytałem. - Jak jego zdrowie?
 - Stary król jest krzepki i silny, więcej nie można sobie życzyć w jego wieku. Jestem pewien, iż będzie rządził długo i mądrze jeszcze najmniej dziesięć lat, po czym przekaże bogate i kwitnące królestwo prawowitemu dziedzicowi.
 - Do tego czasu nasze kłopoty ze szkarłatnymi okrętami dawno już się skończą. Książę Szczery będzie mógł odwrócić swój umysł ku innym sprawom.
 - Prawdopodobnie - zgodził się spokojnie król Roztropny. - Kiedy książę Szczery uda się po narzeczoną, pojedziesz z nim - powtórzył. - Rozumiesz, na czym będą polegały twoje obowiązki? Ufam twojej dyskrecji.
- Pochyliłem przed nim głowę.
- Wedle twego życzenia, panie.

19

PODRÓŻ

Mówienie o Królestwie Górskim jako o królestwie dowodzi braku znajomości podstaw funkcjonowania tej społeczności. Równie niewłaściwe jest nazywanie go krainą Chyurdów, choć rzeczywiście stanowią oni tam bezsprzeczną większość. Królestwo Górskie nie jest jednolitym państwem, lecz zbitką wiosek uczeplonych górskich stoków, dolinek ornej ziemi, osad kupieckich rozrzuconych wzdłuż stromych dróg prowadzących do przejść, a także rodzin wędrownych pasterzy i myśliwych, którzy dzielą między siebie niegościnną ziemię. Ludzi tak różnych nie da się zjednoczyć w spójną całość, ponieważ ich interesy często bywają sprzeczne. Zadziwiająca, lecz jedyną więzią silniejszą niż poczucie niezależności i odrębności każdej grupy jest dla nich lojalność wobec króla.

Dawne podania prawią, iż obecna linia królewska została zapoczątkowana przez proroka i sędziego, kobietę, która nie tylko zadziwiała mądrością, lecz także miała naturę filozofa. Zbudowała ona teorię władzy zasadzającej się na założeniu, iż panujący jest całkowicie bezinteresownym poddanym swego ludu. Nie sposób określić konkretnego momentu, gdy funkcja sędziego przekształciła się w majestat królewski; była to raczej długotrwała ewolucja, postępująca w miarę, jak rozchodziły się wieści o nieposzlakowanej uczciwości i mądrości świętej ze Stromego. Im więcej ludzi chciało otrzymać od niej radę i podporządkowywało się jej decyzjom, tym więcej zwolenników, naturalną kolejną rzeczą, głoszone przez nią prawa znajdowały w całych górach. I tak z wolna sędziowie przemienili się w królów, lecz - co zadziwiające - utrzymali nałożone na siebie zobowiązanie, by zawsze na pierwszym miejscu stawiać dobro poddanych. Historia Królestwa Górskiego bogata jest w przykłady najrozmaitszych czynów królów i królowych, którzy poświęcali się dla dobra swego ludu, poczynając od odpędzania dzikich zwierząt od pasących owce dzieci, po oferowanie siebie w zamian za innych zakładników w czasach wojny.

Niewiarygodne legendy opowiada się o dzikości górskiego ludu. Rzeczywiście, ziemia, na której on żyje, nie zna kompromisów, a obowiązujące tam prawa są zwierciadlanym odbiciem warunków życia. To prawda, że mieszkańcy gór pozbywają się zdeformowanych niemowląt; topią je albo trują. Starzy ludzie często decydują się na opuszczenie ludzkich siedzib -

samotnie wyruszają ku najwyższym szczytom, a w drodze zimno i głód kładą kres ich niedoleżeniu. Człowiek, który łamie dane słowo, może mieć wyrwany język lub musi zapłacić sumę dwa razy większą niż zawarta w umowie. Podobne zwyczaje mogą się wydawać barbarzyńskie bardziej osiadłym mieszkańcom Królestwa Sześciu Księstw, lecz osobiście pasują do świata Królestwa Górskiego.

* * *

W końcu książę Szczery postawił na swoim. Nie zaznał słodczy zwycięstwa, jestem tego pewien; musiał się skupić na swoim zadaniu, gdyż nagle znacznie wzrosła częstotliwość najazdów. W ciągu jednego tylko miesiąca spłonęły dwie osady, a wszyscy mieszkańcy - było ich trzydziestu dwóch - zostali pojmani. Dziewiętnaścioro najwyraźniej zaopatrzyło się wcześniej w popularne teraz ampułki z trucizną i wybrało śmierć. Trzecia osada, nieco większa; została obroniona, lecz nie przez wojska królewskie, ale przez najemników, wyuczonych i wynajętych na koszt samych mieszkańców. Niejako za sprawą ironii losu, wielu pośród walczących było imigrantami z Wysp Zewnętrznych. Zarabiali oni na chleb robiąc mieczem - nic innego nie potrafili. Coraz głośniej brzmiały wyrzekania na wyraźną bezczynność króla.

Niewiele by dało objaśnianie poddanym roli, jaką spełniał książę Szczery i jego krąg Mocy. Lud chciał mieć okręty wojenne broniące wybrzeża. Lecz na budowę statków trzeba czasu, a przebudowane jednostki handlowe, już puszczane na wodę, były ciężkie i niezdarne w porównaniu ze smukłymi szkarłatnymi okrętami, które nas nękały. Obietnica zwodowania okrętów wojennych na wiosnę niewielkie dawała pocieszenie chłopom i pasterzom którzy próbowali ochronić swoje stada i tegoroczne zbiory. Księstwa śródlądowe coraz głośniej burzyły się przeciwko płaceniu po datków coraz to zwiększanych, by budować okręty do ochrony wybrzeża, do którego nie miały bezpośredniego dostępu. Władcy księstw nadbrzeżnych zaś pytali sarkastycznie, jak sobie poradzą mieszkańcy wnętrza kraju bez portów morskich i statków handlowych, które transportowały ich towary dalej w świat. Przynajmniej raz, podczas spotkania Wysokiej Rady, miała miejsce hałaśliwa sprzeczka. Książę Dziarski z Księstwa Rolnego zaproponował, by scedować na rzecz najeźdźców ze szkarłatnych okrętów Wyspy Pobliskie oraz Cypel Futrzany, jeśli to powstrzyma ich ataki, oraz wyraził opinię, że taka transakcja nie powinna stanowić dla nas wielkiej straty. Książę Krzepki z Księstwa Niedźwiedziego zagroził, że zatrzyma cały ruch kupiecki wzdłuż Rzeki Niedźwiedziej i przekona się, czy Księstwo Rolne oceni to jako niewielką stratę. Król Roztropny zdołał zarządzić przerwę w obradach, nim doszło do rękoczynów, ale jeszcze władca Księstwa Trzody oznajmił dobitnie, że popiera Księstwo Rolne. Linie podziałów zarysowywały się coraz wyraźniej, z każdym miesiącem i z każdym podwyższeniem podatków. Potrzebowaliśmy jakiegoś czynnika, który by odbudował jedność królestwa. Król Roztropny był przekonany, że tym czynnikiem jest ożenek następcy tronu.

I tak książę Władczy tańczył swój dyplomatyczny taniec. Uzgodniono, że księżniczka Ketricken złoży przed swoim ludem przysięgę właśnie jemu, a on przekaze jej słowo następcy tronu. Przewidziano też drugą ceremonię, oczywiście w Koziej Twierdzy, w obecności odpowiednich reprezentantów ludu Ketricken jako świadków. Książę Władczy pozostawał cały czas w stolicy Królestwa Górskiego, Stromym. Powodowało to regularny przepływ emisariuszy, upominków i zaopatrzenia pomiędzy Stromym i naszą stolicą. Rzadko zdarzał się tydzień bez przybycia lub odjazdu jakiejś kawalkady. W Koziej Twierdzy trwało nieustanne poruszenie.

Mnie taki sposób zawierania małżeństwa wydawał się niezręczny i bezsensowny. Każde z narzeczonych miało złożyć przysięgę prawie miesiąc przed tym, nim będą mogli choćby

rzucić na siebie okiem. Polityczne korzyści były jednak ważniejsze niż uczucia władców; dlatego zaplanowano dwie osobne uroczystości.

Dawno już doszedłem do siebie po tym, jak książę Szczery zaczerpnął ze mnie energii. O wiele więcej czasu zabrało mi uświadomienie sobie w pełni wszystkich skutków otumanienia mojego umysłu, spowodowanego przez Konsyliarza. Sądzę, że dążyłbym do konfrontacji z nim, mimo rady księcia Szczerego, gdyby Konsyliarz nie opuścił Koziej Twierdzy. Wyjechał z kawalkadą podążającą do Stromeego, ale jechał z nią tylko do Księstwa Trzody, do krewnych, których zamierzał tam odwiedzić. Zanim wrócił, ja z kolei byłem w drodze do Stromeego, i tak Konsyliarz pozostawał dla mnie nieosiągalny.

Znowu miałem za dużo wolnego czasu. Opiekowałem się Lwem, ale zajmowało mi to godzinę, najwyżej dwie dziennie. Nie potrafiłem odkryć nic nowego w sprawie ataku na Brusa, a sam Brus nie dawał mi żadnego znaku przebaczenia, tak więc wciąż nie miałem wstępu do stajni. Raz wybrałem się na wycieczkę do miasta, ale kiedy przypadkiem zawędrowałem w pobliże sklepiku ze świecami, zastałem drzwi zamknięte na głucho. Wypytywanie w sąsiednim sklepie zaowocowało informacją, że nie ma tam żywego ducha od jakichś dziesięciu dni, po czym usłyszałem, że jeśli nie zamierzam kupować skórzanej uprzęży, to mam sobie pójść gdzieś indziej i nie przeszkadzać. Pomyślałem z goryczą o młodym marynarzu, którego ostatnim razem widziałem z Sikorką.

Ponieważ byłem samotny, zatęskniłem za błaznem. Nigdy wcześniej nie próbowałem zainicjować spotkania. Kilka godzin włóczyłem się po twierdzy, mając nadzieję go spotkać, aż wreszcie nabrałem odwagi, by pójść do jego komnaty. Od lat wiedziałem, gdzie błazen mieszka, lecz nigdy tam nie byłem. Nie zachęcał do poufałości, tolerował tylko tyle, ile sam zechciał zaoferować, i jedynie wówczas, gdy sobie tego życzył. Jego komnata znajdowała się na szczycie jednej z wież. Krzewiciel powiedział mi, że niegdyś było to pomieszczenie przeznaczone do rysowania map, gdyż z jego okien otwierała się panorama ziem otaczających Kozią Twierdzę. Jednak w trakcie późniejszej rozbudowy warowni tę wieżę przerosły inne i przesłoniły rozległy widok. Przestała być potrzebna, nadawała się tylko na mieszkanie dla błazna.

Wspiąłem się tam pewnego dnia w początkach zniw. Dzień był już gorący i duszny. W ścianach wieży znajdowały się wąskie strzelnice, przepuszczające niewiele światła; tyle tylko, by zawirował w nim kurz podnoszony moimi stopami. Z początku ciemne wnętrze wydało mi się chłodniejsze niż duchota na zewnątrz, ale w miarę jak się wspinałem coraz wyżej, robiło się coraz goręcej, aż gdy dotarłem do ostatniego podestu, z trudem łapałem oddech. Znużony podniosłem pięść i uderzyłem w tęgie odrzwia.

- To ja, Bastard! - zawołałem, ale nieruchome, nagrzane powietrze stłumiło mój głos jak wilgotny koc tłumi płomienie.

Czy powinienem wykorzystać to jako pretekst? Czy powinienem powiedzieć, że sądziłem, iż może mnie nie dosłyszał, więc wszedłem, by sprawdzić, czy jest? Czy powinienem powiedzieć, że byłem tak zgrzany i spragniony, iż wszedłem sprawdzić, czy w jego komnacie znajdę odrobinę powietrza i wody? Cóż, to chyba nie ma znaczenia.

- Błaznie! - zawołałem, ale czułem, że go tam nie ma. Nie tak jak zazwyczaj czułem obecność lub nieobecność ludzi, ale przez martwość, która wyszła mi na spotkanie. A jednak stałem w drzwiach i głupio gapiłem się na odzwierciedlenie obnażonej duszy.

Było tu jasno; kwiaty i feeria barw. W kącie stały krosna i koszyki z cieniutką przedzą w jaskrawych kolorach. Wełniana narzuta na łożu i kotary w otwartych oknach niepodobne były do niczego, co kiedykolwiek widziałem, tkane w geometryczne wzory, przypominające pola i łąki pod błękitnym niebem. W wielkiej ceramicznej misie rosły wodne kwiaty, a przy łądygach, na tle jasnych kamyków, pływał smukły srebrzysty pstrąg. Próbowałem sobie wyobrazić pozbawionego kolorów cynicznego błazna w otoczeniu tylu barw i pięknych

przedmiotów. Postąpiłem krok naprzód i ujrzałem coś, przez co serce omal nie wyskoczyło mi z piersi.

Wiklinowy kosz, a w nim - dziecko. Takie wrażenie odniosłem w pierwszej chwili. Bez namysłu postąpiłem dwa następne kroki i ukląknąłem obok koszyka. To nie było żywe dziecko, lecz lalka, stworzona z tak niewiarygodnym artyzmem, że prawie się spodziewałem zobaczyć, jak pierś unosi się poruszana oddechem. Wyciągnąłem rękę do bladej delikatnej twarzyczki, lecz nie śmiałem jej dotknąć. Łuki brwi, zamknięte powieki, lekki rumieniec, który barwił policzki, nawet drobna dłoń spoczywająca na przykryciu - wszystko było doskonałe. Nie wierzyłem, że może to być rzecz stworzona ludzką ręką. Nie potrafiłem odgadnąć, z jakiego materiału została ulepiona ta lalka ani kto namalował delikatne rzęsy, które zawijały się na dziecięcym policzku. Cienka kołderka haftowana była w bratki, poduszkę uszyto z atlasu. Nie wiem, jak długo tam klęczałem, cicho, jakby to rzeczywiście było śpiące dziecko. Wreszcie się podniosłem i wyszedłem z komnaty błazna, ostrożnie zamykając za sobą drzwi. Wolno zszedłem po niezliczonych stopniach, przytłoczony obawą, że mógłbym spotkać błazna teraz, i obciążony brzemieniem świadomości, że oto odkryłem w zamku mieszkańca co najmniej tak bardzo samotnego jak ja.

Tej nocy wezwał mnie Cierń, ale kiedy wszedłem na górę, odniosłem wrażenie, że nie tyle miał dla mnie jakieś zadanie, ile chciał się ze mną zobaczyć. Siedzieliśmy prawie bez słowa przed czarnym paleniskiem i myślałem, że Cierń się ostatnio postarzał. Coś go zżerało, podobnie jak księcia Szczerego. Kościste dłonie zdawały się niemal całkiem wyschnięte, a białka oczu podeszły krwią. Potrzebował snu, ale zamiast spać, przywołał mnie do siebie. A teraz siedział, cichy i nieruchomy, ledwo skubiąc jedzenie, które przed nami postawił. W końcu zdecydowałem się mu pomóc.

- Obawiasz się, że nie będę potrafił tego zrobić? - zapytałem cicho.

- Czego? - spytał nieobecny duchem.

- Zabić górskiego księcia. Ruriska.

Cierń odwrócił do mnie twarz. Przez długą chwilę trwała cisza.

- Nie wiedziałeś - zająknąłem się - że król Roztropny obarczył mnie tym zadaniem.

Powoli odwrócił się znów do pustego paleniska i wpatrywał się w nie z nateżoną uwagą, jakby czytał w nie istniejących płomieniach.

- Ja tylko daję mu narzędzie do ręki - powiedział w końcu spokojnie. - On korzysta z tego, co zrobiłem.

- Uważasz, że to złe... zadanie? Niewłaściwe? - Odetchnąłem głęboko. - Jak mi powiedziano, ten człowiek i tak nie ma już przed sobą długiego życia. Może to być nieomal gest miłosierdzia, jeśli śmierć przyjdzie spokojnie, nocą, zamiast...

- Chłopcze, nigdy sobie nie wyobrażaj zbyt wiele na temat naszej roli - zauważył spokojnie. -

Jesteśmy skrytobójcami. Nie miłosiernymi posłańcami mądrego króla. Jesteśmy skrytobójcami, którzy rozdzielają śmierć przydatną naszemu monarsze. Oto kim jesteśmy.

Teraz przyszła moja kolej na badanie duchów płomieni.

- Kiedy tak mówisz, staje się to dla mnie jeszcze trudniejsze. Dlaczego... Dlaczego uczyniłeś ze mnie tego, kim jestem, jeśli teraz próbujesz obudzić we mnie śmiałość... ? - pytanie ucichło, nie dokończone.

- Chyba... Nieważne. Może przemawia przeze mnie zazdrość, chłopcze. Może się obawiam, że nie jestem mu już potrzebny. Może teraz, kiedy ciebie znam, żałuję, że uczyniłem z ciebie... - Teraz z kolei Cierń zamilkł, a jego myśli oddaliły się tam, gdzie nie mogły dogonić ich słowa.

Siedzieliśmy dumając nad moim zadaniem. To nie było działanie w służbie królewskiej sprawiedliwości. To nie był wyrok śmierci za zbrodnię. To było po prostu usunięcie człowieka, który stanowił przeszkodę na drodze do większej władzy. Siedzieliśmy nieruchomo, aż zacząłem się zastanawiać, czy powinienem tej zbrodni dokonać. Potem podniosłem wzrok

na srebrny nożyk do owoców wbity głęboko w drewnianą półkę nad paleniskiem Ciernia i zorientowałem się, że znam odpowiedź.

- Szczery złożył skargę w twoim imieniu - odezwał się nagle Cierń.

- Skargę? - powtórzyłem słabo.

- Do Roztropnego. Przede wszystkim, że Konsyliarz źle cię traktował i że cię oszukał. Tę skargę złożył oficjalnie. Twierdził, że Konsyliarz pozbawił królestwo twojej Mocy w czasie, gdy jest najbardziej potrzebna. Nieoficjalnie zasugerował Roztropnemu, by się rozprawił z Konsyliarzem, zanim ty weźmiesz sprawy w swoje ręce.

Patrzyłem w twarz Ciernia i widziałem, że była mu znana treść mojej dyskusji z księciem Szczerym. Nie byłem pewien, czy jestem zadowolony.

- Nie zrobiłbym tego, nie zemściłbym się na Konsyliarzu. Księżę Szczery mi poradził, bym tego nie robił.

Cierń zmierzył mnie spojrzeniem pełnym spokojnej aprobaty.

- Tak też powiedziałem Roztropnemu. Ale polecił ci przekazać, iż sam się tym zajmie. Tym razem król osobiście wymierzy sprawiedliwość. Masz czekać i to musi ci wystarczyć.

- Co król zamierza?

- Tego nie wiem. Nie sądzę, by Roztropny sam już wiedział. Konsyliarz musi zostać ukarany. Trzeba też jednak pamiętać, że jeśli mają powstać nowe kręgi Mocy, nie może się on poczuć ukarany niesłusznie lub zbyt mocno. - Cierń odchrząknął i dodał spokojniej: - Szczery przedstawił królowi jeszcze jedną skargę. Obwinił Roztropnego i mnie, zupełnie otwarcie, o zamiar poświęcenia twojego życia dla dobra królestwa.

Nagle zrozumiałem, dlaczego Cierń wezwał mnie tej nocy. Milczałem.

- Roztropny oznajmił, że nawet o tym nie pomyślał - ciągnął Cierń wolniej. - Jeśli chodzi o mnie, nie miałem pojęcia, że coś takiego jest w ogóle możliwe. - Westchnął ponownie. - Roztropny jest królem, chłopcze. Jego najważniejszą troską musi być zawsze królestwo. - Wiele go kosztowały te słowa.

Cisza trwała długo.

- Mówisz, że on by poświęcił moje życie. Bez skrupułów. Nie odrywał wzroku od paleniska.

- Twoje. Moje. Nawet Szczerego, jeśliby sądził, że to konieczne dla przetrwania królestwa. - Wreszcie na mnie spojrzał. - Nigdy o tym nie zapominaj - rzekł.

* * *

W noc poprzedzającą dzień, gdy ślubny orszak miał opuścić Kozią Twierdzę, zapukała do moich drzwi Lamówka. Oznajmiła, że księżna Cierpliwa chce się ze mną widzieć. Było już późno, zapewne dlatego głupio zapytałem:

- Teraz?

- Jutro wyjeżdżasz - zauważyła Lamówka, a ja posłusznie poszedłem za nią, jakby to miało jakikolwiek sens.

Zastałem księżną siedzącą w krześle obłożonym poduszkami, ubraną w ekstrawagancko haftowaną podomkę zarzuconą na nocną koszulę. Rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona i kiedy usiadłem na wskazanym miejscu, Lamówka wróciła do ich szczotkowania.

- Czekałam, kiedy przyjdiesz mnie przeprosić - zauważyła księżna.

Natychmiast otworzyłem usta, by to uczynić, ale ona zirytowanym gestem nakazała mi ciszę.

- Dzisiaj omówiłam to z Lamówką i zorientowałam się, że już ci wybaczyłam. Zdecydowałam, że chłopcy po prostu mają w sobie pewien zapas bezczelności, który muszą zużyć. Zdecydowałam, że nie zamierzałeś zrobić nic złego, a co za tym idzie, nie musisz przeproszać.

- Naprawdę jest mi przykro - zaprotestowałem. - Po prostu nie wiedziałem, jak to powiedzieć...

- Za późno na przeprosiny, już ci wybaczyłam - rzekła żywo. - Zresztą nie ma na to czasu. Powinieneś już spać. Lecz skoro właśnie wchodzisz w dworskie życie towarzyskie, chciałam ci coś podarować przed wyjazdem.

Otworzyłem usta, i zaraz zamknąłem je z powrotem. Wyraźnie chciała uważać jutrzejszy wyjazd za moje pierwsze wejście w dworskie życie towarzyskie, mimo że podróżowałem przecież do Strażnicy Zatoki. Nie zamierzałem się sprzeczać.

- Usiądź tutaj - nakazała mi władczym tonem i wskazała miejsce u swoich stóp.

Usiadłem posłusznie. Dopiero teraz zauważyłem niewielką szkatułkę na jej kolanach. Zrobiona była z ciemnego drzewa, a na wieczku miała płaskorzeźbę przedstawiającą kozła. Kiedy księżna Cierpliwa ją otworzyła, poczułem woń aromatycznego drzewa. Wyjęła ze środka kolczyk na sztyfcie i przyłożyła mi go do ucha.

- Za mały - mruknęła. - Jaki sens ma noszenie biżuterii, jeśli jej nie widać?

Wyjęła jeszcze kilka innych i odkładała je z podobnymi komentarzami. Wreszcie wzięła do ręki jeden, który wyglądał jak kawałek srebrnej sieci ze złowionym węń błękitnym kamieniem. Skrzywiła się nad nim kilka razy, wreszcie z ociąganiem pokiwała głową.

- Twórca tego drobiazgu ma gust. Inne jego cechy pozostawiają wiele do życzenia, ale ma gust.

Przyłożyła kolczyk do mojego ucha i bez żadnego ostrzeżenia przebiła płatek. Wypląnęła kropelka krwi.

Zawyłem i chwyciłem się ręką za bolące miejsce, ale ona szorstko odtrąciła moją dłoń.

- Nie bądź dzieckiem. Tylko przez chwilę zakłuło. - Zamknęła zapieczęcie. - No proszę. Lamówko, nie uważasz, że bardzo mu z tym do twarzy?

Lamówka przytaknęła znad swojej robótki, a księżna Cierpliwa odprawiła mnie gestem. Kiedy wstałem, odezwała się jeszcze:

- Pamiętaj, Bastardzie, bez względu na to, czy możesz się posługiwać Mocą, czy nie, czy nosisz imię księcia Rycerskiego, czy nie, jesteś jego synem. Zachowuj się, jak na syna księcia przystało. Teraz idź spać.

- Z takim uchem? - zapytałem, pokazując krew na palcach.

- Nie pomyślałam o tym. Przepraszam... - zaczęła, ale jej przerwałem:

- Za późno na przeprosiny. Już ci wybaczyłem, pani. I dziękuję.

Byłem daleko za drzwiami, a Lamówka ciągle chichotała.

Następnego ranka wstałem wcześniej, by zająć swoje miejsce w orszaku ślubnym. Na znak nowej więzi pomiędzy rodami zabieraliśmy ze sobą liczne i bogate podarunki. Dla samej księżniczki Ketriken klacz pełnej krwi, biżuterię, tkaniny, służbę i rzadkie perfumy. Były także podarunki dla jej rodziny i poddanych. Oczywiście konie, sokoły i złoto dla ojca oraz dla brata, ale ważniejsze były podarunki, które miały zostać ofiarowane królestwu, gdyż zgodnie z tradycją Stromeego, księżniczka należała bardziej do swojego ludu niż do rodziny. Wieźliśmy więc: zapasy paszy, bydło, owce, konie i ptactwo, mocne cisowe łuki, jakich nie miał lud górski, narzędzia do obrabiania metalu, zrobione z dobrego żelaza pochodzącego z Kuźni, oraz inne podarunki, o których sądzono, że wywrą wrażenie na mieszkańcach gór. Zawoziliśmy im także wiedzę w postaci kilku najstaranniej ilustrowanych zielników Krzewiciela, tabliczek traktujących o lekach, a także zwoju na temat sokolnictwa, kopii tego, który stworzył sam Sokolnik. Te ostatnie podarunki były, przynajmniej oficjalnie, przyczyną mojego udziału w orszaku.

Znajdowały się one pod moją opieką, a obok nich bogaty wybór ziół i korzeni wymienionych w zielnikach, wraz z nasionami do wyhodowania roślin, które nie zniosłyby podróży. Nie był to błahy podarunek, a ja byłem odpowiedzialny za to, by został dostarczony w należyтым stanie - odpowiedzialny w tym samym stopniu co za swoją drugą misję. Wszystko sam troskliwie opakowałem i umieściłem w rzeźbionej cedrowej skrzyni. Właśnie sprawdzałem

stan bagażu po raz ostatni przed zniesieniem skrzyni na podwórze, gdy usłyszałem za sobą głos błazna.

- Przyniosłem coś.

Odwrociłem się i ujrzałem go stojącego tuż za progiem mojej komnaty. Nie słyszałem otwierania drzwi. Ofiarowywał mi skórzany woreczek ściągnięty rzemieniem.

- Co to jest? - spytałem, dokładając wszelkich starań; by nie dosłyszał w moim głosie wiedzy o kwiatach i lalce.

- Środek przeczyszczający. Uniosłem brwi.

- Środek przeczyszczający? W prezencie ślubnym? Zapewne wielu uznałoby taki podarunek za właściwy, ale zabieram ze sobą zioła działające w ten sposób, mogące być z powodzeniem uprawiane w górach. Nie sędzę...

- To nie jest prezent ślubny. To dla ciebie.

Z mieszanymi uczuciami przyjąłem woreczek i zajrzałem do środka. Był to wyjątkowo silny specyfik.

- Dziękuję, że o mnie pomyślałeś, ale zazwyczaj kiedy jestem w podróży nie jadam dużo i...

- Zazwyczaj kiedy jesteś w podróży nie grozi ci otrucie.

- Czy chciałbyś mi coś powiedzieć? - próbowałem mówić tonem lekkim i żartobliwym. Błazen był zastanawiająco poważny, brakowało mi jego zwykłych kpin.

- Tylko tyle, że mądrze zrobisz, jeśli będziesz jadł niewiele lub wcale, chyba że sam przygotujesz sobie posiłek.

- Na wszystkich ucztach i przyjęciach?

- Nie. Tylko na tych, które chcesz przeżyć. - Odwrócił się do wyjścia.

- Błaznie, proszę, wybac mi - wyrzuciłem z siebie. - Nie chciałem się okazać intruzem. Szukałem ciebie, chciało mi się pić, drzwi nie były zamknięte, więc wszedłem. Nie miałem zamiaru być wścibski.

Nadal stał plecami do mnie.

- I co, dobrze się bawiłeś?

- Ja... - nie wiedziałem, co powiedzieć, jak go zapewnić, że to co widziałem, zatrzymałem wyłącznie dla siebie.

Postąpił dwa kroki naprzód i zaczął zamykać za sobą drzwi.

- Kiedy to zobaczyłem - wybuchnąłem - zacząłem żałować, że nie ma miejsca tak bardzo mojego, jak tamto jest twoje. Miejsca, które mógłbym utrzymać w sekrecie.

Drzwi zatrzymały się uchylone na szerokość dłoni.

- Pamiętaj o mojej radzie, a może przeżyjesz tę wyprawę. Gdy rozważasz motywy działania człowieka, nie zapominaj, że nie wolno ci go mierzyć własną miarą.

Drzwi się domknęły. Ostatnie słowa błazna miały taki znajomy wydźwięk: tajemne i niezrozumiałe. Pomyślałem, iż może wybaczył mi najście.

Wetknąłem woreczek w kieszeń kaftana. Niechętnie zabierałem ten lek, ale też nie miałem śmiałości go zostawić. Rozejrzałem się po swojej komnacie. Wnętrze nagie i funkcjonalne.

Mistrzynie Ściegu, nie dowierzając mi w kwestii nowych ubrań, dopilnowała mojego pakowania. Zauważyłem już wcześniej, że przekreślony kozioł na piersi moich koszul został zastąpiony kozłem z rogami opuszczonymi do ataku.

- Na rozkaz księcia Szczerego - tylko tyle mi powiedziała, gdy zapytałem. - Mnie się podoba bardziej niż przekreślony kozioł, tobie nie?

- Chyba tak - odparłem i na tym się skończyło. Tak więc miałem miano i herb.

Pokiwałem głową, wziąłem skrzynię oraz zwój i ruszyłem na dół, by dołączyć do orszaku.

Na schodach spotkałem jakiegoś starca, idącego z trudem w przeciwną stronę, w górę. Usunąłem się z drogi, chciałem go przepuścić. Dopiero gdy na mnie spojrział, poznałem księcia Szczerego. Dziwnie jest człowieka niegdyś znajomego spotkać jak obcą osobę. Zauważyłem, że ubranie na nim wisi, a rozwichrzone ciemne włosy przyprószyła siwizna.

Uśmiechnął się nieobecny uśmiechem, a potem zatrzymał mnie, jak gdyby nagle coś przyszło mu do głowy.

- Wyjeżdżasz do Królestwa Górskiego, prawda? Na ceremonię ślubną?

- Tak.

- Wyświadczysz mi przysługę, chłopcze?

- Oczywiście - odrzekłem, zdumiony nagłym wahaniem w jego głosie.

- Odmaluj mnie dobrze w jej oczach. Ale prawdziwie, nie proszę o kłamstwa. Mów o mnie dobrze. Zawsze uważałem, że dobrze o mnie myślisz.

- To prawda - rzekłem, a on już szedł dalej. - Zrobię tak, panie. - Nie odwrócił się, żeby mi odpowiedzieć, i poczułem się podobnie jak wtedy, gdy opuszczał mnie błazen.

Na podwórku było tłoczno od ludzi i zwierząt. Tym razem nie podróżowano karetami, zrezygnowano też z wozów bagażowych; pojazdy kołowe z trudem pokonują górskie drogi, więc zdecydowano, że lepiej z nich zrezygnować na rzecz znacznie szybszych wierzchowców i zwierząt jucznych. Nie mogliśmy się spóźnić na ślub; wystarczyło już, że pan młody nie podążał z orszakami.

Trzoda ruszyła przodem nieco wcześniej. Przewidywano, że dotrze na miejsce przeznaczenia za trzy tygodnie, podczas gdy nasza podróż miała trwać dwa. Dopilnowałem przytracania cedrowej skrzyni do muła, a potem stałem obok Sadzy i czekałem. Było gorąco. Nawet tu, na brukowanym dziedzińcu unosił się kurz. Pomimo starannych przygotowań karawana wydawała się chaotyczna. Kątem oka dostrzegłem Sarkazma, ulubionego kamerdynera księcia Władczego. Został przysłany do Koziej Twierdzy miesiąc temu, ze szczegółowymi instrukcjami dotyczącymi ubrań, jakie jego pan życzył sobie mieć uszyte na okazję zaślubin. Sarkazm szedł za Pomocnikiem, denerwując się i czyniąc mu o coś wymówki, Pomocnik wyglądał, jakby miał wszystkiego serdecznie dosyć. Mistrzynie Ściegu, dając mi ostatnie instrukcje, jak dbać o nowe ubrania, wspomniała, że Sarkazm bierze tak wiele nowych strojów, kapeluszy i ozdób dla księcia Władczego, iż potrzeba było trzech dodatkowych mułów, by wszystko zabrać. Opieka nad nimi spadła zapewne na Pomocnika, gdyż Sarkazm był doskonałym kamerdynierem, lecz obawiał się większych zwierząt. Arogant, zaufany służący księcia Władczego, włókł się ciężko za nimi dwoma, zły i zniecierpliwiony. Na ramieniu niósł jeszcze jeden kufer. Może właśnie załadowanie tego dodatkowego bagażu tak rozdrażniło Sarkazma. Wkrótce straciłem ich z oczu, zagubili się w dumie.

Ze zdumieniem zauważyłem Brusę sprawdzającego liny, na których miały być prowadzone rumaki ofiarowywane w ślubnym podarunku, a w szczególności klacz dla księżniczki.

Przecież z pewnością mógł się tym zająć ktoś inny - pomyślałem.

W tej samej chwili zobaczyłem, jak Brus wsiada na konia, i zdałem sobie sprawę, że on także wyrusza w drogę. Rozejrzałem się, chcąc sprawdzić, kto miał mu pomagać, ale nie wypatrzyłem żadnego chłopca stajennego poza Pomocnikiem. Gruzeł był już w Stromym z księciem Władczym. Tak więc Brus wziął wszystko na siebie. Wcale mnie to nie dziwiło.

Dostrzegłem także Dostojnego; stał obok pięknej gniadej klaczy i czekał z nadludzką cierpliwością. Praca w kręgu Mocy już go zmieniła. Niegdyś był pucołowatym młodzieniaszkiem, cichym, lecz miłym. Miał tak samo gęste i nieujarzmione włosy jak księżę Szczery i słyszałem, że przypominał swojego kuzyna z lat chłopięcych. Doszedłem do wniosku, że gdy jego obowiązki w korzystaniu z Mocy wzrosną, jeszcze bardziej upodobni się do księcia Szczerego. Miał być obecny na ceremonii zaślubin jako swoiste oko następcy tronu, gdy księżę Władczy złoży w imieniu brata przysięgę.

„Głosem będzie księżę Władczy, oczyma Dostojny...” - zamyśliłem się melancholijnie. A czym ja miałem być? Sztyletem?

Wsiadłem na Sadzę; chciałem się znaleźć ponad ludzką ciżbę, gdzie wymieniano słowa pożegnań i ostatnie napomnienia. Błagałem Eda, byśmy nareszcie ruszyli w drogę. Bez końca zdawała się formować linia pochodu, poprawianie sznurów i rzemieni, przytracanie jeszcze

jednego tobołka... A potem, dosyć gwałtownie, podniosły się sztandary, zadęto w rogi i kolejka koni, obładowanych zwierząt jucznych i ludzi zaczęła ruszać w drogę.

Raz podniosłem wzrok i ujrzałem księcia Szczerego, stojącego na szczycie wieży. Pomachałem do niego, ale wątpię, by mnie rozpoznał w tym tłumie. Minęliśmy bramy i ścieżką prowadzącą zakolami po zboczu wzgórza zaczęliśmy się oddalać od Koziej Twierdzy na zachód.

Droga prowadziła nas brzegiem Rzeki Koziej, którą przekroczyliśmy na szerokiej płyciźnie w pobliżu miejsca, gdzie stykały się granice Księstwa Koziego z Księstwem Trzody. Dalej przemierzaliśmy szerokie równiny w niewiarygodnej wprost spiekocie, aż dotarliśmy do Jeziora Błękitnego. Od niego ciągnęliśmy wzdłuż rzeki nazwanej po prostu Chłód, która swój początek brała w Królestwie Górskim. W Zimnym Brodzie zaczynał się szlak kupiecki prowadzący w cieniu gór coraz wyżej, aż do Burzowego Przejścia i dalej ku gęstym zielonym lasom Deszczowych Ostepów. My nie mieliśmy podróżować aż tak daleko, zamierzaliśmy się zatrzymać w Stromym, w stolicy Królestwa Górskiego.

Po trzech pierwszych dniach rytm jazdy stał się monotonna rutyną, urozmaicaną jedynie przez zmienne krajobrazy. Mieszkańcy miasteczek i osiedli leżących na naszej drodze wychodzili nam naprzeciw i opóźniali marsz, składając oficjalne życzenia i gratulacje ślubne dla następcy tronu.

Kiedy dotarliśmy do rozległych nizin Księstwa Trzody, znacznie rzadziej napotykaliliśmy ludzkie siedziby. Tamtejsze bogate gospodarstwa oraz miasta żyjące z handlu znajdowały się daleko na południe od naszego szlaku, rozciągnięte wzdłuż Rzeki Winnej. Przemierzaliśmy równiny zamieszkałe głównie przez koczowników, którzy zarzucali wędrowki jedynie w miesiącach zimowych. Mijaliśmy stada owiec, kóz i koni, rzadziej niebezpieczne wędrowne świnię, nazywane przez nich chrumami, ale nasz kontakt z ludem tej okolicy ograniczał się zazwyczaj do widoku stożkowatych namiotów w oddali albo nielicznych pasterzy. Ten i ów stawał w siodle i pozdrawiał nas uniesionym wysoko ramieniem.

Pomocnik i ja odnowiliśmy dawną znajomość. Wieczeraliśmy razem przy jednym małym ognisku, a on obdarzał mnie opowieściami o Sarkazmie, o jego narzekaniach i obawach, że do jedwabnych ubrań przedostanie się kurz, robactwo zniszczy doszczętnie futrzane kołnierze, aksamit zaś podrze się na strzępy w czasie długiej podróży. Bardziej ponure były jego utyskiwania na Aroganta. Ja sam także nie miałem najlepszych doświadczeń z tym człowiekiem, a Pomocnik uważał go za bardzo trudnego towarzysza podróży, gdyż był przez niego nieustannie podejrzewany o zamiar podkradania rzeczy z bagażów księcia Władczego. Pewnego razu Arogant podszedł nawet do naszego ogniska i pracowicie wyłuszczył nam - wyjątkowo niejasno i owijając w bawełnę - ostrzeżenie, byśmy się trzymali z dala od własności jego pana. Poza tą nieprzyjemną wizytą wieczory mijały nam spokojnie.

Utrzymywała się upalna pogoda, więc za dnia sływaliśmy potem, dopiero noc przynosiła ochłodę. Spałem na kocu i nieczęsto zwracałem sobie głowę przykryciem. Co wieczór sprawdzałem zawartość kufra i robiłem co w mojej mocy, by uchronić korzenie sadzonek przed wyschnięciem, a także dbałem, by tabliczki i zwój nie uległy zniszczeniu. Jednej nocy obudziło mnie głośniejsze rzenie Sadzy i odniosłem wrażenie, że cedrowy kufer był lekko ruszony z miejsca. Krótkie przejrzanie zawartości przekonało mnie, że wszystko znajduje się w najlepszym porządku, a kiedy wspomniałem Pomocnikowi o moich podejrzeniach, zaledwie spytał, czy aby nie nabieram fatalnych nawyków Aroganta.

Mieszkańcy osad, które mijaliśmy w drodze, zazwyczaj szczerze zaopatrywali nas w świeże pożywienie, tak więc niewiele cierpieliśmy niewygód podróży. W czasie przeprawy przez Księstwo Trzody nie znajdowaliśmy zbiorników wodnych tak często, jak byśmy sobie życzyli, ale codziennie natrafialiśmy na kilka źródeł lub zakurzonych studni, więc nie było najgorzej.

Brusa widywałem bardzo rzadko. Wstawał przed wszystkimi i wyprzedzał główny orszak, żeby jego podopieczni mieli najlepsze pastwiska i najczystsza wodę. Wiedziałem, że chciał zachować konie w jak najlepszej kondycji.

Dostojny także prawie zniknął mi z oczu. W zasadzie był odpowiedzialny za naszą ekspedycję, ale zostawił kierowanie nią kapitanowi swojej gwardii honorowej. Nie potrafiłem ocenić, czy zrobił to z rozsądku, czy z lenistwa. W każdym razie trzymał się na uboczu, tylko pozwalał Sarkazmowi usługiwać sobie oraz dzielił z nim namiot i posiłki.

Dla mnie podróż ta była w pewnym sensie powrotem w czasy dzieciństwa. Obowiązki nie zajmowały mnie specjalnie, a Pomocnik był wspaniałym towarzyszem i niewielkiej potrzebował zachęty, by się pogrążyć bez reszty w opowieściach i plotkach. Niekiedy na całe dni zapomniałem, że u celu tej podróży miałem zamordować człowieka.

Posępne myśli przychodziły mi do głowy zazwyczaj, gdy się budziłem o najczarniejszej porze nocy. Niebo nad Księstwem Trzody zdawało się o wiele gęściej usiane gwiazdami niż nad Kozią Twierdzą. Wpatrywałem się w nie i w myślach próbowałem położyć koniec życiu Ruriska. Istniała jeszcze jedna skrzynka, nieduża, ukryta w worku, w którym znajdowały się moje ubrania i osobiste drobiazgi. Dobierałem jej zawartość starannie, po długim namyśle i z ogromnym niepokojem, gdyż zadanie musiało zostać wykonane perfekcyjnie. Niezawodnie i cicho, bez wzbudzenia najłżejszych nawet podejrzeń. Bardzo ważną rolę odgrywał czas. Książę nie mógł umrzeć podczas naszego pobytu w Stromym. Nic nie mogło rzucić najmniejszego cienia na zaślubiny. Nie mógł też umrzeć przed ceremonią ślubną w Koziej Twierdzy, gdyż mogłoby to zostać poczytane przez jego lud jako zły omen. Niełatwo było zaaranżować tę śmierć.

Od czasu do czasu zastanawiałem się, dlaczego powierzono to zadanie mnie, a nie Cierniowi. Czy był to jakiś sprawdzian? Czy jeśli go nie zdał, zostanie skazany na śmierć? Czy Cierń był już za stary na takie wyzwanie, czy zbyt cenny, by ryzykować jego życie? Czy po prostu nie mogło go zabraknąć przy boku księcia Szczerego? A kiedy się uwalniałem od tych pytań, zastanawiałem się z kolei, czy użyć proszku, który podrażni uszkodzone płuca Ruriska tak, że książę zakaszle się na śmierć? Może dałbym radę posypać nim jego pościel. Czy powinienem potem zaoferować mu środek uśmierzający ból, który wolno pogrąży go w nałogu, a potem w śmiertelnym śnie? Miałem tonik rozrzedzający krew. Jeśli płuca księcia już chronicznie krwawiły, mogłoby to wystarczyć, by go wyprawić w najdłuższą drogę. Miałem jedną truciznę działającą szybko i pozbawioną smaku jak woda, gdybym tylko mógł wymyślić sposób, by ją zażył w odpowiednim czasie. Żadna z tych myśli nie sprowadzała snu, a jednak świeże powietrze i całodzienna jazda zazwyczaj przewyciężały niepokój, więc następnego dnia budziłem się znowu spragniony podróży.

Gdy w końcu ujrzeliśmy Jezioro Błękitne, wydało nam się ono prawdziwym cudem połyskującym w oddali. Nie pamiętałem już lat spędzonych z dala od morza i zaskoczyło mnie odkrycie, jak miły jest mi widok wody. Każde juczne zwierzę w naszym pochodzie przepełniało moje zmysły czystym zapachem. Dzień za dniem, w miarę jak się zbliżaliśmy do wielkiego jeziora, krajobraz zieleniał i łagodniał, a my musieliśmy nocami pilnować koni, żeby się nie przejadły.

Wreszcie znaleźliśmy się nad wodą. Najprzeróżniejsze towary oferowano prosto z wielkich łodzi o żaglach pomalowanych nie tylko po to, by wieściły, co można kupić, ale także dla jakiegoś rodzaju pływają. Domy wzniesione były na palach wbitych w wodę. Zostaliśmy tam dobrze powitani i ugoszczeni słodkowodnymi rybami, które moim zdaniem miały bardzo dziwny smak. Czuję się już doświadczonego podróżnikiem. Pomocnikowi i mnie zaczynało się powoli przewracać w głowach. Pewnej nocy kilka zielonookich dziewcząt z rodu handlującego ziarnem przyszło chichocząc do naszego ogniska. Przyniosły ze sobą małe, jaskrawo pomalowane bębenki, z których każdy brzmiał odmiennie. Grały i śpiewały spe-

cialnie dla nas - aż odnalazły je matki i łajając zabrały do domów. Było to oszałamiające doświadczenie i tej nocy nie myślałem wcale o księciu Rurisku.

Dalej posuwaliśmy się na północny zachód. Przez Jezioro Błękitne przeprawiliśmy się na płaskodennych promach, którym absolutnie nie ufałem. Po drugiej stronie znaleźliśmy się nagle w lesistej krainie i upał, tak charakterystyczny dla Księstwa Trzody, zmienił się w przyjemne wspomnienie. Droga wiodła nas przez gigantyczne lasy cedrowe, urozmaicone gdzieś zagajnikami brzoź o białych pniach, czasem olchami i wierzbami. Podkowy dudniły po czarnej ziemi leśnego duktu, otaczały nas najśłodsze wonie jesieni. Widywaliśmy nieznane nam ptaki, a raz dostrzegłem wielkiego rogacza o umaszczeniu, jakiego nigdy dotąd nie widziałem. Nocny wypas zaczął nie wystarczać, więc cieszyliśmy się z ziarna, które kupiliśmy od ludzi z jeziora. Nocami rozpalaliśmy ogniska, a Pomocnik i ja sypialiśmy w namiocie.

Droga wiodła teraz stale w górę. Prowadziła nas ostrymi zakrętami pomiędzy wysokimi stokami. Pewnego popołudnia spotkaliśmy deputację Stromeego. Powitano nas i poprowadzono dalej. Po tym spotkaniu podróżowaliśmy chyba szybciej i każdego wieczoru byliśmy zabawiani występami muzyków, poetów oraz kuglarzy; ucztowaliśmy smacznie i do syta. Uczyniono wszystko co w ludzkiej mocy, by powitać nas godnie i uhonorować nasze przybycie. Dla mnie jednak ludzie ci byli dziwni i niemal przerażający w swej odmienności. Często musiałem sobie przypominać, czego zarówno Brus, jak i Cierń nauczyli mnie o dworskich obyczajach, podczas gdy biedny Pomocnik odsunął się niemal całkowicie od tego nowego towarzystwa.

Z fizycznego punktu widzenia większość tych ludzi należała do rasy Chyurdów: byli wysocy, mieli bladą cerę, jasne oczy i włosy, choć niektórym czupryny płonęły czerwienią jak futro lisa. Był to lud krzepki i muskularny. Każdy, czy to kobieta, czy mężczyzna, miał jakąś broń: łuk albo metalową kulę umocowaną rzemieniem do przegubu. Zdecydowanie lepiej czuli się pieszo niż na końskim grzbiecie. Ubierali się w wełnę i skóry, i nawet najbardziej pospolicci spośród nich nosili wspaniałe futra. Jechali razem z nami, wsiadali na konie wtedy, gdy my to czyniliśmy, i najwyraźniej nie sprawiało im żadnej trudności pozostawanie w siodle przez cały dzień. W drodze śpiewali długie pieśni w jakimś dawnym języku, które brzmiały niemal żałobnie, ale przerywane były okrzykami zwycięstwa lub radości. Później dowiedziałem się, że wyśpiewywali nam swoją historię, byśmy mogli lepiej poznać lud, stając się naszymi krajanami za sprawą małżeństwa księcia. Odgadywałem, że byli w większości minstrelami i poetami „gościnnymi”, jak nam to przełożył ich tłumacz, tradycyjnie wysyłanymi na powitanie oczekiwanych przybyszów, mającymi wprawić ich w radosny nastrój jeszcze przed dotarciem na miejsce.

Po upływie kolejnych dwóch dni droga wyraźnie się poszerzyła, gdyż dołączyły do niej inne ścieżki i szlaki. Wreszcie przerodziła się w szeroki trakt, miejscami wykładany tłuczonym białym kamieniem. A im bliżej Stromeego, tym bardziej ogromniał nasz orszak, powiększany przez grupy mieszkańców osad i wiosek z dalszych zakątków Królestwa Górskiego. Wszyscy pragnęli ujrzeć, jak ich księżniczka składa przysięgę mocarnemu księciu z nizin. Wkrótce wraz z psami, końmi i zwierzętami podobnymi do kóz, które tubylcy wykorzystywali jako zwierzęta juczne, z wozami pełnymi podarunków i otoczeni ludźmi najróżniejszych zawodów i urodzenia - przybyliśmy do Stromeego.

STROME

„... i tak pozwólcie mu wejść, ludowi, z którego się wywodzę, a kiedy dotrą do miasta, sprawcie, by mogli rzec: »To jest nasze miasto i nasz dom tak długo, jak długo zechcemy tu pozostać«. Niech zawsze znajdą tu miejsce dla siebie, niech (stówa zatarte) stad bydła. A wówczas nie będzie obcych w Stromym, lecz tylko sąsiedzi i przyjaciele, przybywający i odchodzący zgodnie z własną wolą”. I wola króla została wypełniona z równą starannością jak zawsze.

* * *

Przeczytałem to wiele lat później, na fragmencie świętej tabliczki Chyurdów, i wówczas nareszcie zrozumiałem Strome. Wtedy jednak, gdy wjeżdżaliśmy na wzgórze, byłem jednocześnie rozczarowany i zdumiony.

Świątynie, pałace i budynki publiczne przypominały mi z kształtu i z koloru ogromne pąki tulipanów. Kształt wzięły od tradycyjnych stożkowatych namiotów koczowników, którzy założyli miasto. Kolory odzwierciedlały zamięłowanie górskiego ludu do barwienia wszystkiego, co się zabarwić dało. Każdy budynek był przygotowany na nasze przybycie oraz na święto zaślubin księżniczki - a więc świeżo pomalowany. Dominowały chyba jaskrawe odcienie fioletołu przeplatane żółcią, ale w zasadzie widać było wszystkie barwy tęczy. Najlepiej chyba przyrównać wrażenie, jakie to miasto robiło, do wejścia na ścieżkę prowadzącą między krokusami wyrastającymi ze śniegu i czarnej ziemi, bo gołe kamienie górskie i ciemne drzewa iglaste podkreślały wyrazistość jasnych farb. W dodatku miasto zostało pobudowane na stoku równie stromym jak ten, na którym leży Kozia Twierdza, więc jeśli spogląda się na nie z dołu, kolory i kształty ukazują się warstwami, niczym przemysłnie ułożone w koszyku kwiaty.

Gdy podjechaliśmy bliżej, ujrzelśmy, że pomiędzy wielkimi budynkami znajdują się namioty i baraki oraz inne lekkie schronienia wszelkiego rodzaju. W Stromym tylko budynki publiczne oraz dom królewski są stałe. Wszystko inne zależy od napływów i odpływów ludności, która przybywa do stolicy, by poprosić o sąd Poświęcenie, jak nazywają swego władcę, odwiedzić skarbnice wiedzy lub po prostu sprzedać coś czy kupić albo złożyć wizytę innym koczownikom. Plemiona przychodzą i odchodzą - namioty tętnią życiem, a po miesiącu, dwóch, pewnego ranka zostaje tylko goła ziemia, dopóki nie przybędzie w to miejsce inna grupa. Lecz mimo wszystko jest to miasto uporządkowane, gdyż istnieją wytyczone ulice, w bardziej stromych miejscach poprzecinane kamiennymi stopniami. Studnie, łaźnie i sauny usytuowano w wielu punktach miasta, a w kwestii śmieci i odpadków przestrzega się najostrzejszych reguł. Jest to także miasto uderzająco zielone, gdyż na jego skrajach wyznaczono dla przybyszów pastwiska oraz tereny na rozbicie namiotów, pod drzewami, w pobliżu wody. W granicach samego miasta są ogrody, klomby i rosną specjalnie przycinane drzewa, utrzymane nieprawdopodobnie pięknie. Ludzie, którzy odwiedzają stolicę, pozostawiają w ogrodach własne prace, a mogą zabrać jakąś kamienną lub drewnianą rzeźbę czy jaskrawo pomalowanego twora z gliny. W pewnym sensie przypominało mi to miasto komnatę błazna, bo i tu, i tu wyszukane kolory i kształty miały na celu po prostu uciechę dla oka.

Za przewodnikami dotarliśmy na specjalnie dla nas przeznaczone pastwisko opodal miasta. Po kilku chwilach stało się jasne, iż spodziewali się, że zostawimy tutaj konie i muły, a dalej podążymy pieszo. Dostojny, który był nominalnym dowódcą orszaku, podszedł do sprawy nieszczęśliwie dyplomatycznie. Skrzywiłem się, gdy niemal gniewnym tonem oznajmił, iż zabraliśmy ze sobą wiele bagaży i nie zdołamy zanieść ich do miasta na własnych grzbietach,

a w dodatku jesteśmy zbyt znużeni podróżą, by się rozkoszować myślą o spacerze pod górę. Zagryzłem wargi i stałem spokojnie - niemy świadek zmieszania naszych gospodarzy. Książę Władczy z pewnością wiedział o tym obyczaju. Dlaczego nas nie uprzedził?

Gościnnie lud gór szybko sprostał krępującej sytuacji. Poprosił nas, byśmy zechcieli być cierpliwi i nieco odpoczęli. Przez jakiś czas staliśmy wszyscy, na próżno usiłując wyglądać na zadowolonych. Arogant i Sarkazm podeszli do Pomocnika i do mnie. Pomocnik miał jeszcze kilka łyków wina, więc się nim podzieliliśmy, podczas gdy Arogant niechętnie zrewanżował się wędzonym mięsem. Rozmawialiśmy, ale przyznaję, nie byłem specjalnie uważny. Nie miałem odwagi iść do Dostojnego i błagać, by zechciał się nagiąć do tradycji gospodarzy. Byliśmy ich gośćmi, a sytuacja wyglądała już wystarczająco źle przez to, że narzeczony nie przybył osobiście po swoją panią. Patrzyłem z dala, jak Dostojny konsultuje się z kilkoma ważniejszymi szlachcicami, ale z ich gestykulacji wydedukowałem, że i oni się z nim zgadzają.

Kilka chwil później ukazała się na drodze nad nami grupka krzepkich kawalerów i panien. A więc wezwano tragarzy, by pomogli nam przenieść bagaże do miasta. Skądś pojawiły się jaskrawe namioty dla tych ze służby, którzy mieli zostać tutaj, by roztoczyć opiekę nad końmi i mułami. Z przykrością dowiedziałem się, że Pomocnik był jednym z nich. Powierzyłem mu Sadzę. Potem wziąłem cedrową skrzynkę, zarzuciłem na ramię worek z rzeczami osobistymi i ruszyliśmy do miasta. Wkrótce poczułem zapach skwierczącego na ogniu mięsiwa i gotowanych trufli. Zobaczyłem, że nasi gospodarze rozstawiali pawilon bez ścian i pod nim szykowali stoły.

Pomocnikowi nie będzie źle - pomyślałem. Prawie żałowałem, że nie mogę zostać z nim, opiekować się zwierzętami i poznawać tego miasta.

Nie zaszliśmy zbyt daleko krętymi ulicami, gdy napotkaliśmy lektyki niesione przez wysokie kobiety. Zostaliśmy serdecznie poproszeni o zajęcie miejsc. Usłyszeliśmy także wiele wyrazów współczucia. Dostojnego, Sarkazma, starszych szlachciców oraz większość dam z naszego orszaku propozycja ta uszczęśliwiła, ale dla mnie była niewyobrażalnie poniżająca. Nie znalazłem jednak sposobu, by ją grzecznie odrzucić, więc oddałem swój kufer chłopcu młodszemu ode mnie i wsiadłem do lektyki niesionej przez kobiety, które pewnie mogłyby być moimi babkami. Płonałem rumieńcem, gdyż na nasz widok ludzie zatrzymywali się zdumieni i gapili jak na jakieś dziwo. Niewiele widziałem innych lektyk, a te, które dostrzegłem, unosiły ludzi chorych lub bardzo starych. Zaciśnąłem zęby i usiłowałem nie myśleć o tym, co czułby książę Szczery, widząc taki popis arogancji. Próbowałem patrzeć na mijanych ludzi z zadowoloną miną i przyoblec na twarz wyraz zachwytu, jaki rzeczywiście mnie ogarniał na widok miejskich ogrodów i pełnych wdzięku budowli.

Najwyraźniej mi się to udało, gdyż moja lektyka zaczęła posuwać się naprzód nieco wolniej, przez co zyskałem więcej czasu na oglądanie okolicy, a niosące mnie kobiety wskazywały to, co ich zdaniem przeoczyłem. Mówiły do mnie po chyrdańsku i byłem uszczęśliwiony przekonawszy się, że posiadam podstawową znajomość ich języka. Cierń nauczył mnie tego, co sam umiał, lecz nie przygotował mnie na melodyjność tej mowy. Wkrótce się przekonałem, że wysokość tonu była równie ważna jak wymowa słów. Na szczęście miałem smykałkę do języków, tak więc odważnie wdałem się w rozmowę z tragarzami, postanawiając, że zanim zacznę rozmawiać z ważniejszymi od siebie, będę już umiał sklecić ze dwa sensowne zdania. Jedna z kobiet opowiadała mi o wszystkim, co mijaliśmy. Na imię miała Jonki, a kiedy powiedziałem jej, że nazywam się Bastard Rycerski, kilkakrotnie cicho powtórzyła te słowa, jak gdyby się chciała nauczyć ich na pamięć.

Z ogromnym trudem przekonałem kobiety, by się raz zatrzymały i pozwoliły mi wysiąść; zapragnąłem obejrzeć pewien skwer. Nie chodziło mi o barwne kwiaty, lecz o drzewo, które wyglądało mi na jakiś gatunek wierzby, lecz rosło wijąc się spiralami. Przesunąłem palcami po gładkiej korze gałązki. Byłem pewien, że gdybym ją odpowiednio odciął, puściłaby młode

pędy, ale nie śmiałem uszczknąć ani kawałka, w obawie, by nie zachować się niegrzecznie. Jedna z kobiet pochyliła się obok mnie, wyszczerzyła zęby w uśmiechu i przesunęła dłonią po czubkach nisko rosnących ziół o drobnych listkach. Zapach, jaki się z nich unióśł, był absolutnie zdumiewający, a ona roześmiała się głośno, widząc zachwyt na mojej twarzy. Chętnie bym zwlekał dłużej, lecz nalegano na mnie, byśmy się pośpieszyli i dogonili pozostałych, nim dotrą do pałacu. Zrozumiałem, że ma się tam odbyć oficjalne powitanie, którego nie powinienem opuścić.

Procesja sunęła coraz wyżej ulicą ukształtowaną w tarasy, a wreszcie lektyki postawiono przed pałacem, który wyglądał niczym bukiet jasnych pąków. Główny budynek, fioletowy z białym szczytem, przywoływał na myśl przydrożny łubin albo kwiaty pachnącego groszku znane mi z Koziej Twierdzy. Stałem obok swojej lektyki, przyglądając się pałacowi, a kiedy odwróciłem się do moich towarzyszek, by okazać im, jaką przyjemność sprawiał mi ten widok, zorientowałem się, że odeszły. Wkrótce zjawily się ponownie, odziane w barwy lazuru i szafranu, brzoskwini i róż; inne kobiety niosące lektyki wyglądały podobnie i wmieszały się pomiędzy nas, podając misy z perfumowaną wodą oraz miękkie ręczniki, byśmy mogli zmyć kurz i znużenie z twarzy i z karków. Chłopcy i młodzi mężczyźni, ubrani w przepasane błękitne tuniki, roznosili wino oraz małe miodowe ciasteczka. Gdy już wszyscy goście obmyli się, a potem spróbowali wina i ciasteczek, zostaliśmy zaproszeni do środka.

Wnętrze pałacu wywarło na mnie równie niesamowite wrażenie jak reszta Stromeo. Wielki centralny słup, podtrzymujący budowlę, przy bliższych oględzinach okazał się gigantycznym pniem drzewa, którego korzenie najwyraźniej znajdowały się pod kamieniami posadzki. Podporami wdzięcznie zaokrąglonych ścian także były drzewa. Dużo później dowiedziałem się, że pałac „rósł” prawie sto lat. Najpierw wybrano centralne drzewo, oczyszczono ziemię wokół niego, potem zasadzono w okręgu drzewa podtrzymujące ściany i w odpowiednim czasie korygowano ich kształt za pomocą lin i przycinania, w taki sposób że wszystkie pochylały się ku temu jednemu, rosnącemu pośrodku. W którymś momencie poobcinano zbędne gałęzie, a czubki drzew spleciono w kształt korony. Potem rozpięto ściany z cienko tkanej materii, która została polakierowana, żeby stwardniała; następnie, warstwa za warstwą, obłożona mocną tkaniną z łyka. Całość wzmocniono szczególnym rodzajem miejscowej gliny, wreszcie ozdobiono warstwami jaskrawej żywicznej farby. Nigdy się nie dowiedziałem, czy każdy budynek w mieście został stworzony w ten pracowity sposób, ale „rośnięcie” pałacu pozwoliło jego twórcom obdarzyć tę budowlę specyficznym żywym wdziękiem, którego kamień nigdy nie mógłby naśladować.

Wnętrze było ogromne, podobnie jak sala biesiadna w Koziej Twierdzy, z porównywalną liczbą palenisk. Były tam stoły oraz miejsce służące do gotowania, a także inne, gdzie tkano i przędzono, i następne, gdzie robiono przetwory. Rolę komnat pełniły tutaj przesłonięte kotarami alkowy lub pokoje podobne do małych namiotów ustawionych pod zewnętrzną ścianą. Było także kilka pomieszczeń, do których wchodziło się po lekkich drewnianych schodach. Przypominały mi one namioty na szczudłach. Palami podtrzymującymi owe pokoje były, naturalnie, pnie drzew. Serce mi zadrżało, gdy zdałem sobie sprawę, jak niewiele prywatności będę miał tutaj, gdzie musiałem wykonać tak dyskretne zadanie.

Wkrótce zostałem zaprowadzony do pokoju, czyli namiotu. W jego wnętrzu znalazłem swoją cedrową skrzynię i worek z ubraniami, a także znów ciepłą pachnącą wodę oraz talerz owoców. Przebrałem się szybko z zakurzonych ubrań podróżnych w haftowaną tunikę z pękniętymi rękawami oraz zielone obcisłe spodnie, które mistrzyni Ściegu uznała za odpowiednie na taką okazję. Raz jeszcze zadumałem się nad wyhaftowanym na tunice groźnym rogaczem, a potem wyrzuciłem go ze swoich myśli. Może książę Szczery sądził, że owo zmienione godło było mniej poniżające niż poprzednie, które tak otwarcie głosiło moje nieprawie poczucie.

Z wielkiego centralnego pomieszczenia dobiegł mnie dźwięk dzwonek i bębenków. Pośpiesznie opuściłem pokój, chcąc się przekonać, co się dzieje na dole.

Na podium wzniesionym przy wielkim pniu, udekorowanym kwiatami oraz gałęziami choiny, Dostojny i książę Władczy stali przed starym człowiekiem, który po bokach miał dwoje służby w prostych białych tunikach. Tłum zebrał się wokół podwyższenia wielkim kołem, a ja szybko do niego dołączyłem. Jedna z kobiet, które niosły moją lektykę, teraz ubrana w suknię z różowej draperii, z wieńcem z bluszczu na głowie, wkrótce pojawiła się u mego boku. Uśmiechnęła się do mnie.

- Co to za uroczystość? - ośmieliłem się spytać.

- Poświęcenie... to znaczy... król Eyoda będzie was witał. Przedstawi córkę, która zostanie waszym Poświęceniem... to znaczy... królową. I syna, który będzie za nią panował tutaj. - Starła się mówić wolno i wyraźnie.

Wyjaśniła mi, że kobieta stojąca obok króla Eyoda była jej bratanicą, a ja skwapliwie znalazłem się z komplementem, że wygląda na zdrową i silną. W danym momencie wydawało mi się to najuprzejmiejszą grzecznością, jaką mogłem obdarzyć tę imponującą kobietę stojącą tak pewnie u boku króla. Miała ona gęstwę złotych włosów - do tego zaczynałem się już tutaj przyzwyczajać z czego część była zapleciona i upięta wokół głowy, a część spływała luźno na plecy. Twarz tej młodej kobiety wyrażała powagę, nagie ramiona odznaczały się mocną budową. Mężczyzna stojący z drugiej strony króla Eyoda był starszy, ale podobny do niej niczym brat bliźniak, tyle że włosy obcięto mu równo na wysokości karku. Oboje mieli takie same szmaragdowe oczy, proste nosy i dumne usta. Gdy zdołałem spytać starą kobietę, czy on także jest jej krewnym, uśmiechnęła się, jak gdybym był niezbyt rozgarnięty, i odparła, że jest on, oczywiście, jej bratankiem. Potem uciszyła mnie, podobnie jak się ucisza niesforne dziecko, gdyż zaczął przemawiać król Eyoda.

Mówił wolno, wyraźnie wypowiadał słowa, a mimo to byłem bardzo zadowolony z konwersacji z kobietami, które niosły moją lektykę, gdyż tylko dzięki temu zrozumiałem większą część wystąpienia. Król powitał oficjalnie nas wszystkich, łącznie z księciem Władczym, gdyż, jak powiedział, poprzednio przyjął go jedynie jako wysłannika króla Roztropnego, a teraz gości u siebie jako symbol obecności następcy tronu Królestwa Sześciu Księstw. W mowie powitalnej wspomniał również Dostojnego, po czym przed obydwojma złożono przeznaczone dla nich dary powitalne: sztylet wysadzany szlachetnymi kamieniami, drogocenne wonne olejki i bogate płaszcze z futer. Gdy założono im płaszcze na ramiona, obaj wyglądali, co uświadomiłem sobie z goryczą, bardziej jak niegustowne dekoracje niż książęta, gdyż w przeciwieństwie do prostych strojów króla Eyoda oraz jego służących, książę Władczy i Dostojny mieli na głowach ozdobne obręcze wysadzone drogimi kamieniami, na palcach pierścienie, a ich ubrania zostały uszyte z ekstrawagancko bogatych tkanin i skrojone bez oglądania się na oszczędność materii ani zwracania uwagi na użyteczność ubioru. Moim zdaniem obaj wyglądali na próżnych fircyków, ale miałem nadzieję, że nasi gospodarze przyjmą, iż taki wygląd jest dziwaczny tylko dla nich, nie obeznanych z naszymi obyczajami.

A potem, ku memu upokorzeniu, król przedstawił nam mężczyznę w białej szacie jako księcia Ruriska. Kobieta była, oczywiście, księżniczką Ketriken i narzeczoną naszego następcy tronu. I jeszcze na koniec uświadomiłem sobie, że wszyscy ci, którzy nieśli nasze lektyki i witali nas ciastkami oraz winem, nie są służbą, lecz członkami rodu królewskiego; ciotkami i kuzynami narzeczonej księcia Szczerego. Wszyscy byli posłuszni tradycji Królestwa Górskiego, która nakazywała im usługiwać ludowi. Zadrzałem, że rozmawiałem z nimi tak poufale, i raz jeszcze w myślach przekląłem księcia Władczego, że nie przypilnował, by przesłać nam więcej informacji o tutejszych zwyczajach, w miejsce długiej listy ubrań i biżuterii, które kazał sobie przywieźć. Starsza kobieta stojąca przy mnie była więc siostrą samego króla. Myślę, że

musiała wyczuć moje zmieszanie, bo poklepała mnie lekko po ramieniu i uśmiechnęła się na widok moich rumieńców, kiedy usiłowałem wydukać przeprosiny.

- Przecież nie zrobiłeś nic, czego byś miał się wstydić - oznajmiła, a potem kazała mi przestać nazywać ją „panią”.

Dostojny zaczął prezentować księżniczce biżuterię, którą wybrał dla niej narzeczony. Była tam cieniutka srebrna siateczka na włosy, w którą wpleciono czerwone klejnoty, był srebrny kołnierz z większymi czerwonymi kamieniami. Była srebrna obręcz, kuta na kształt winorośli, a na niej mnóstwo dźwięczących kluczy, które, jak wyjaśnił Dostojny, miały symbolizować klucze do bram Koziej Twierdzy, było także osiem srebrnych pierścieni. Księżniczka stała zupełnie nieruchomo, a księżę Władczy ją dekorował. Pomyślałem sobie, że srebro z czerwonymi kamieniami lepiej by wyglądało na kobiecie o ciemniejszym typie urody, ale dziewczęcy zachwyt Ketricken olśniewał w jej szczerym uśmiechu, a ludzie dookoła mnie, widząc swoją księżniczkę tak upiękzoną, odwracali się i szeptali z aprobatą jeden do drugiego. Może spodobały się im nasze ubiory i ozdoby.

Wdzięczny byłem królowi Eyodowi za zwięzłość. Dodał jedynie, że jesteśmy mile widziani, zaprosił nas do wypoczynku i radowania się miastem. Jeśli mielibyśmy jakiegokolwiek potrzeby, wystarczy, byśmy zapytali kogokolwiek, kogo napotkamy, a uzyskamy pomoc. Następnego dnia w południe rozpocznie się trzydniowa ceremonia zaślubin i król miał nadzieję, że wszyscy będziemy wypoczęci, by móc się nią cieszyć.

Rzekłszy to, on oraz jego dzieci zeszli z podwyższenia i swobodnie wstąpili pomiędzy poddanych, jakbyśmy wszyscy byli żołnierzami z tej samej warty.

Jonki najwyraźniej postanowiła mi towarzyszyć, a że nie było grzecznego sposobu uwolnienia się od jej towarzystwa, postanowiłem skorzystać i możliwie szybko nauczyć się jak najwięcej o tutejszych obyczajach. Nie zdążyłem wprowadzić zamiaru w czyn, bo od razu przedstawiła mnie księciu i księżniczce. Stali wraz z Dostojnym, który najwyraźniej próbował im wyjaśnić, w jaki sposób, za jego pośrednictwem, księżę Szczery będzie mógł być świadkiem swoich zaślubin. Mówił bardzo głośno, jakby mogło im to ułatwić zrozumienie. Jonki słuchała przez chwilę, po czym najwyraźniej zdecydowała, że Dostojny już skończył. Odezwała się tonem, jakim mówią rodzice do dzieci obdzielonych słodkimi ciasteczkami.

- Rurisku, Ketricken, ten młody człowiek jest bardzo zainteresowany naszymi ogrodami. Może później będziemy mogli mu zorganizować spotkanie z ogrodnikami. - Zdawało mi się, że zwróciła się bardziej do Ketricken, kiedy dodała: - Nazywa się Bastard Rycerski.

Dostojny zmarszczył brwi.

- Nie, po prostu Bastard - poprawił. - Bękart.

Ketricken wyglądała na zaszokowaną tym przydomkiem, a jasna twarz Ruriska cokolwiek pociemniała. Od niechcienia zwrócił się ku mnie, zostawiając Dostojnego za plecami. Gest zrozumiały w każdym języku.

- Twój ojciec mówił mi o tobie, gdy go widziałem po raz ostatni - rzekł, przechodząc na chyburdański. - Bardzo mnie zasmuciła wiadomość o jego śmierci. Wiele zrobił, by przygotować zadzierzgnięcie więzi pomiędzy naszymi narodami.

- Znałeś mojego ojca, panie? - zapytałem głupio.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się do mnie. - Na północ stąd, w Księżycowym Oku, układaliśmy się właśnie w kwestii Przejścia Błękitnych Skał, kiedy po raz pierwszy usłyszał o tobie. Gdy minął dla nas czas rozmów o traktach i handlu, siedliśmy razem do posiłku i rozważaliśmy jak mężczyźni, co powinien zrobić. Przyznam, że nadal nie rozumiem, dlaczego czuł, że nie może zostać królem. Zwyczaj jednego narodu różni się od obyczajów drugiego. A jednak, wraz z tym ślubem, połączymy się, by stworzyć jeden lud. Sądzisz, że jemu by się to podobało?

Rurisk poświęcał mi całą uwagę, a fakt, że używał rodzimego języka, wykluczył z rozmowy Dostojnego. Ketricken wydawała się zafascynowana. Twarz Dostojnego, którą widziałem nad

ramieniem Ruriska, zmieniła się w kamienną maskę. Potem, z ponurym uśmiechem najczystszej nienawiści, Dostojny odwrócił się i podszedł do grupy otaczającej księcia Władczego, który rozmawiał z królem Eyodem. Trudno mi było dociec z jakiego powodu, ale cieszyłem się całkowitym zainteresowaniem Ruriska i Ketriken.

- Nie znałem dobrze ojca, ale sądzę, że byłby szczęśliwy, widząc... - zacząłem, lecz w tym momencie księżniczka Ketriken uśmiechnęła się do mnie olśniewająco.

- Ależ oczywiście! Jak mogłam być taka głupia? To przecież ciebie nazywają Bastardem. Czy to nie ty podróżujesz zazwyczaj z wielmożną panią Tymianek, trucicielką na usługach króla Roztropnego? Zdaje się, że jesteś u niej czeladnikiem? Książę Władczy opowiadał mi o tobie.

- Jak to miło z jego strony - powiedziałem bezmyślnie i nie miałem pojęcia, co dalej do mnie mówiono ani co odpowiadałem. Mogłem tylko być szczęśliwy, że nie padłem na miejscu trupem. I po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że moje uczucia wobec księcia Władczego przekroczyły wszelką odrazę. Rurisk po bratersku zganił Ketriken, a potem odwrócił się, by porozmawiać ze służącym, pilnie proszącym o jakieś instrukcje. Dookoła mnie ludzie prowadzili niezobowiązujące rozmowy pośród kolorów i zapachów lata, a ja czułem, że zamiast wnętrzości mam bryłę lodu.

Wróciłem do rzeczywistości, gdy Ketriken pociągnęła mnie za rękaw.

- Są tam - poinformowała mnie. - A może jesteś zbyt zmęczony, żeby się nimi cieszyć teraz? Jeśli wolisz pójść odpocząć, nikogo to nie urazi. Słyszałam, że wielu spośród was było zbyt zmęczonych, żeby chociaż dojść do miasta o własnych siłach.

- Ale innym sprawiłaby ogromną przyjemność wolna przechadzka przez Strome. Mówiono mi o Błękitnych Fontannach, nie mogę się doczekać, kiedy je zobaczę. - Zająknąłem się lekko i miałem nadzieję, że miało to jakiś związek z tym, co do mnie wcześniej mówiła. W każdym razie nie miało nic wspólnego z truciznami.

- Upewnię się, żeby cię do nich zaprowadzono, może dziś wieczór. Na razie chodź tędy.

I bez jednego więcej słowa, bez żadnych formalności powiodła mnie do wyjścia. Dostojny odprowadzał nas wzrokiem. Widziałem, jak książę Władczy mówi coś na boku do Aroganta. Król Eyod wyszedł z tłumu i stojąc na podwyższeniu wodził po wszystkich łagodnym spojrzeniem. Zastanowiło mnie, dlaczego Arogant nie został z końmi i innymi służącymi, ale już Ketriken odsunęła na bok barwny ekran przesłaniający wejście i opuściliśmy pałac.

Znaleźliśmy się na ścieżce wyłożonej kamieniami, biegnącej pod łukowatym sklepieniem drzew. Były to wierzby: ich żywe gałęzie spleciono i utkano na kształt zielonego baldachimu broniącego dostępu południowemu słońcu.

- Przed deszczem także chronią - rzekła Ketriken, spostrzegłszy moje zainteresowanie. - Ta ścieżka prowadzi do cienistych ogrodów. To moje ulubione miejsce. A może byś wolął najpierw obejrzeć herbarium?

- Chciałbym obejrzeć wszystkie ogrody, pani - odparłem; w końcu udało mi się powiedzieć prawdę.

Tutaj, z dala od tłumu, miałem większe szansę uporządkować myśli i zastanowić się nad swoją sytuacją. Przyszło mi na myśl z niejakim opóźnieniem, że książę Rurisk nie wyglądał na rannego ani chorego, jak twierdził książę Władczy. Musiałem spojrzeć na całą sytuację z boku i ponownie wszystko rozważyć. Działo się więcej, o wiele więcej, niż oczekiwałem.

Z pewnym wysiłkiem odsunąłem myśli od własnych dylematów i skupiłem uwagę na słowach księżniczki. Mówiła wyraźnie i przekonałem się, że znacznie łatwiej mi ją zrozumieć tutaj niż na tle szumu panującego w sali biesiadnej. Odniosłem wrażenie, że dużo wie o ogrodach. Wyjaśniła mi, iż po niej, jako po księżniczce, spodziewano się solidnej wiedzy, a nie błahaego powierzchownego zainteresowania.

Kiedy tak szliśmy i rozmawialiśmy, stale musiałem sobie przypominać, że jest księżniczką i narzeczoną księcia Szczerego. Nigdy przedtem nie spotkałem podobnej kobiety. Ubierała się z wyważoną elegancją i niczym nie podkreślała wagi swego stanowiska, zupełnie odwrotnie

niż inni znani mi ludzie urodzeni lepiej niż ja. Nie wahała się uśmiechnąć, okazać entuzjazm lub pogrzebać w ziemi wokół rośliny i pokazać mi szczególny typ korzenia, o którym opowiadała. Oczyściła go z ziemi, po czym wycięła nożem zawieszonym u pasa kawałek bulwy, bym mógł spróbować, jak smakuje. Pokazała mi zioła wyostrajające umysł, inne do doprawiania mięsa i nalegała, bym spróbował po kawałku liścia z trzech różnych roślin, które, choć bardzo do siebie podobne, smakowały odmiennie. W pewnym sensie przypominała mi księżnę Cierpliwą, lecz była spokojniejsza. W innym sensie kojarzyła mi się z Sikorką, ale nie miała gruboskórności, którą tamta musiała w sobie wykształcić, by przeżyć. Zupełnie jak ona, mówiła do mnie bezpośrednio i szczerze, jakbyśmy byli sobie równi. Zorientowałem się w pewnej chwili, że rozmyślam o tym, iż księżę Szczery mógłby uznać tę kobietę za bliską swego ideału.

Mimo wszystko pozostawałem w niepewności, czy księciu spodoba się taka narzeczona. Jego gust w kwestii kobiet był dobrze znany każdemu, kto z nim przebywał. Następca tronu uśmiechał się do dziewcząt niskich, krągłych i o ciemnej karnacji, z kręconymi włosami oraz drobnymi delikatnymi dłońmi. Jak mu się spodoba ta wysoka blada kobieta, która ubierała się z prostotą służącej i twierdziła, że wiele przyjemności sprawia jej praca w ogrodach?

Księżniczka potrafiła rozprawiać o sokolnictwie i koniach z równą swobodą co koniuszy. A kiedy zapytałem, co robi w wolnych chwilach, dla własnej przyjemności, opowiedziała mi o małej kuźni i narzędziach do kucia metalu, a potem odgarnęła włosy, by mi pokazać kolczyki, które sama robiła. Były to starannie wykute srebrne płatki kwiatu; na każdym lśnił klejnot niczym kropelka rosy. Kiedyś powiedziałem Sikorce, że księżę Szczery zasługuje na żonę, która by lubiła i potrafiła robić coś pożytecznego, a teraz się zastanawiałem, czy Ketriken go oczaruje. Będzie ją szanował, tego byłem pewien. Tylko czy szacunek wystarczy pomiędzy królem i królową?

Postanowiłem nie tworzyć problemów, ale raczej dotrzymać słowa danego memu księciu. Zapytałem księżniczkę, czy dużo wie o przyszłym mężu, a ona nagle ucichła. Czuję, jak zbiera siły, nim odpowiedziała, że ma świadomość, iż musi on stawiać czoło wielu problemom swego królestwa. Narzeczony jest dużo od niej starszy, jest człowiekiem prostym, który może nie być nią w ogóle zainteresowany. Księżę Władczy przyrzekł być zawsze u jej boku, pomagać i robić co w jego mocy, by dwór Królestwa Sześciu Księżstw nie stał się dla niej miejscem odosobnienia. Tak więc była przygotowana...

- Ile masz lat, pani? - zapytałem impulsywnie.

- Osiemnaście - odparła i uśmiechnęła się na widok mojego zdziwienia. - Jestem wysoka, dlatego twój lud uważa mnie za starszą.

- Cóż, jesteś wobec tego rzeczywiście sporo młodsza od narzeczonego. Ale podobna różnica wieku nie tak rzadko zdarza się między mężem a żoną. Księżę Szczery skończy tej wiosny trzydzieści trzy lata.

- Sądziłam, że jest znacznie starszy - rzekła z namysłem. - Księżę Władczy powiedział, że są braćmi przyrodnymi, mają wspólnego tylko ojca.

- To prawda, król Roztropny miał z pierwszą żoną dwóch synów: księcia Rycerskiego i księcia Szczerego. Między nimi a księciem Władczym nie ma jednak dużej różnicy wieku. - Umilkłem. - Księżę Szczery, jeśli nie przytłaczają go problemy królestwa, nie jest surowy ani srogi. Wie, co to radość i śmiech.

Obrzuciła mnie spojrzeniem spod oka, jak gdyby chciała sprawdzić, czy nie próbuję przedstawić jej narzeczonego lepiej, niż na to zasługiwał.

- To prawda, księżniczko. Widziałem, jak śmiał się niczym dziecko na przedstawieniach teatrów lalkowych w czasie wiosennego Święta Radości. A kiedy wszyscy na dobrą wróżbę przyłączają się do prasy owocowej, by robić jesienne wino, on także nie pozostaje w tyle. Ale jego największą przyjemnością było zawsze polowanie. Ma wilczarza o imieniu Lew, którego traktuje lepiej, niż niektórzy ludzie traktują własne dzieci.

- Ale przecież - przerwała mi Ketriken - wszystko, o czym mi prawisz, to przeszłość. Książę Władczy mówi o nim jak o człowieku ponad wiek postarzałym, przygniecionym troską o swój lud.

- Jest jak drzewo przywalone śniegiem, które z nadejściem wiosny znowu się wyprostuje. W ostatnich słowach, jakie do mnie skierował, zanim wyjechałem, księżniczko, wyraził życzenie, bym ci o nim opowiedział w serdecznych wyrazach.

Szybko spuściła wzrok, skrywając nagle drgnienie serca.

- Gdy ty o nim opowiadasz, widzę zupełnie innego człowieka.

- Zamilkła na chwilę, po czym mocno zacisnęła usta, wzbraniając sobie prośby, którą i tak już usłyszałem.

- Zawsze uważałem go za miłego. Na tyle, na ile może być miły człowiek dźwigający ogromną odpowiedzialność. Traktuje swoje obowiązki bardzo poważnie i nie oszczędza siebie, jeśli tego wymaga dobro ludu. Dlatego nie mógł przyjechać po ciebie, pani. Jest zaangażowany w batalię z najeźdźcami ze szkarłatnych okrętów, której nie mógłby prowadzić stąd. Podporządkowuje swoje osobiste interesy wypełnianiu obowiązków księcia. Ma gorące serce i żywe usposobienie. Zerknęła na mnie z ukosa, hamując uśmiech, jak gdybym opowiadał jej słodkie bajki, w które księżniczka nie powinna wierzyć.

- Jest wyższy ode mnie, choć niewiele. Ma bardzo ciemne włosy i brodę, jeśli pozwoli jej urosnąć. A oczy ma jeszcze czarniejsze i kiedy jest rozradowany, lśnią w nich wesołe iskry. To prawda, że teraz połyskują w jego włosach nitki siwizny, choć nie było ich jeszcze rok temu. Prawda także, że jego zadanie zatrzymało go z dala od słońca i wiatru, więc mięśnie jego ramion już nie rozsadzają koszuli w szwach. Ale mój stryj nadal jest silnym mężczyzną i wierzę, że kiedy niebezpieczeństwo szkarłatnych okrętów oddali się od naszych wybrzeży, będzie jeszcze jeździł konno, śmiał się w głos i polował ze swoim psem.

- Napawasz mnie otuchą - szepnęła, a potem podniosła dumnie głowę, jak gdyby się właśnie przyznała do jakiejś słabości. - Dlaczego książę Władczy nie mówi o swoim bracie w ten sposób? Sądziłam, że jadę do starego człowieka o drżących dłoniach, zbyt przytłoczonego obowiązkami, by widzieć swoją żonę inaczej niż tylko jako jeszcze jeden obowiązek.

Milczałem, gdyż nie potrafiłem znaleźć uprzejmego sposobu wyjaśnienia, że książę Władczy często mijał się z prawdą, jeśli miało go to zaprowadzić do celu.

Na moją własną głowę - nie miałem pojęcia, jaki cel mógłby mieć w tym, by Ketriken obawiała się księcia Szczerego.

- Być może... - zastanowiła się głośno Ketriken - książę Władczy... mylił się także w innych sprawach. - Coś ją najwyraźniej zaniepokoiło. Wzięła głęboki oddech i odezwała się niespodziewanie szczerze: - Pewnego wieczoru rozmawialiśmy w cztery oczy i książę Władczy wypił chyba odrobinę zbyt dużo wina. Opowiadał mi wtedy o tobie, mówiąc, że byłeś ponurym rozpuszczonym dzieciakiem, zbyt ambitnym jak na swoje urodzenie, a od kiedy król uczynił cię trucicielem na swoich usługach, wydajesz się zadowolony ze swojej profesji. Powiedział, że najwyraźniej ci to odpowiada, gdyż nawet jako mały chłopiec lubowałeś się w podsłuchiowaniu, śledzeniu i innych sekretnych działaniach. Widzisz, nie mówię ci tego przez złośliwość, tylko byś pojął, za jakiego cię miałam. Następnego dnia książę Władczy błagał mnie, bym uwierzyła, że wszystko to były fantazje zrodzone z wina, nie fakty. Ale jedna rzecz, którą powiedział tamtej nocy, przepelniła mnie zbyt lodowatym strachem, bym mogła o niej zapomnieć. Powiedział, że jeśli król przyśle tu ciebie albo wielmożną panią Tymianek, zrobi to, by otruć mojego brata, bym ja została jedyną dziedziczką Królestwa Górskiego.

- Mówisz zbyt szybko. - Miałem nadzieję, że mój uśmiech nie zdradzał, iż zakręciło mi się w głowie ani że nagle poczułem się chory. - Nie wszystko rozumiałem. - Desperacko szukałem wyjścia. Nawet tak wprawny kłamca jak ja znajdował równie bezpośrednią konfrontację bardzo niewygodną.

- Przepraszam. Władasz naszym językiem tak dobrze, zupełnie jakby to była twoja mowa ojczysta. Prawie jakbyś ją sobie przypominał, a nie dopiero się uczył. Powtórzę wolniej. Kilka tygodni... nie, trochę ponad miesiąc temu książe Władczy przyszedł do mojego pokoju. Zapytał, czy mógłby zjeść ze mną kolację sam na sam, żebyśmy mogli się lepiej poznać i...

- Ketriken! - Rurisk wołał siostrę, szukając nas w ogrodzie. - Książe Władczy prosi, żebyś przyszła powitać szlachtę, przybyłą z tak daleka, by uczestniczyć w ceremonii twoich zaślubin.

Ogarnęła mnie druga fala zawrotów głowy.

Tuż za Ruriskiem śpieszyła Jonki. Wyglądała na osobę wyjątkowo dobrze zorientowaną. A potem się zastanowiłem, co by zrobił Cierń, gdyby ktoś przysłał na nasz dwór truciciela, który by miał wyeliminować księcia Szczerego? Wszystko było aż nazbyt jasne.

- Może Bastard Rycerski chciałby teraz obejrzeć Błękitne Fontanny? - zaproponowała nagle Jonki.

- Raczej później, po południu - zdołałem powiedzieć. - Jestem zmęczony. Chyba pójdę do pokoju.

Żadne z nich nie wyglądało na zaskoczone.

- Może przysłać ci trochę wina? - zapytała Jonki uprzejmie. - Albo zupy? Niedługo zacnie się ucztą powitalną, ale jeśli chcesz, możesz dostać jadło w pokoju.

Lata ćwiczeń przyniosły rezultaty. Trzymałem się prosto, choć żołądek palił mnie żywym ogniem.

- Byłbym wdzięczny - wydusiłem z siebie. Krótki ukłon, do którego się zmusiłem, wydał mi się wyrefinowaną torturą. - Jestem pewien, że niedługo znowu do was dołączę.

Nie pobiegłem ani nie zwinąłem się w kłębek, ani nie wyłem, choć bardzo chciałem. Szedłem z powrotem przez ogród, do sali biesiadnej, podziwiając po drodze rośliny. A oni troje patrzyli, jak odchodzę, i rozmawiali cicho na temat znany nam wszystkim.

Został mi tylko jeden ratunek i nikła nadzieja, że okaże się on skuteczny. Znalazłszy się w pokoju, wyjąłem środek na przeczyszczenie, który dał mi błazen. Ile czasu minęło, od kiedy zjadłem miódowe ciasteczka? Rozpaczliwie zdecydowałem, że muszę zawierzyć wodzie, którą miałem w dzbanie. Zdawałem sobie sprawę, że to czyste szaleństwo, ale wstrząsnęły mną kolejne fale dreszczy, a zawroty głowy groziły utratą przytomności. Nie byłem zdolny do jakiegokolwiek dalszej myśli. Drżącymi rękoma pokruszyłem lekarstwo do naczynia z wodą. Suche liście nasiąkły szybko i zmieniły się w zielony sztywny wałek. Zmusiłem się, żeby go przełknąć. Wiedziałem, że opróżni mój żołądek i jelita. Pozostawało tylko pytanie, czy odbędzie się to wystarczająco szybko, czy też trucizna zdąży się przedtem rozpląnąć wraz z krwią po moim ciele.

Spędziłem żalorny wieczór, o którym nie będę opowiadał. Nikt mi nie przyniósł zupy ani wina. W chwilach gdy umysł miałem jaśniejszy, domyśliłem się, że nie przyjdzie do mojego pokoju nikt, dopóki nie będzie pewne, iż trucizna dokonała dzieła. Najprawdopodobniej dopiero rano przyślą służącego, żeby mnie obudził, a on odkryje moją śmierć. Miałem czas do rana.

Minęła północ, gdy zdołałem stanąć na drżących nogach. Wyszedłem z pokoju jak najciszej i powlokłem się do ogrodu. Znalazłem tam zbiornik z wodą i piłem tak długo, aż miałem wrażenie, że pęknę. Wszedłem głębiej do ogrodu, poruszając się wolno i ostrożnie, gdyż byłem obolały jak po ciężkim pobiciu, a w głowie coś mi się tłukło przy każdym kroku. W końcu dotarłem do miejsca, gdzie rosły drzewa zasadzone szpalerem wzdłuż muru. Tak jak miałem nadzieję, gałęzie ugiwały się od owoców. Napełniłem nimi zawiniętą koszulę. Zamierzałem ukryć ten plon w pokoju, by mieć pożywienie na później. Jutro w ciągu dnia znajdę jakiś pretekst, zejść na dół ku krańcom miasta i znajdę Sadzę. W torbach przy siodle zostało trochę suszonego mięsa i czerstwego chleba. Miałem nadzieję, że prowiantu wystarczy, bym przetrwał tę wizytę.

I dopiero gdy wracałem do pokoju, zastanowiłem się, czego spróbują następnym razem - gdy się zorientują, że trucizna nie spełniła swej roli.

21

KSIEŻNICZKA

Istnieje pewne chyrdańskie przysłowie, traktujące o ich ziele, karime: „Jeden liść na sen, dwa na uśmierzenie bólu, trzy na litościwy pogrzeb”.

* * *

Przed świtem w końcu usnąłem, lecz zaraz obudził mnie książę Rurisk, który gwałtownie odsunął ekran pełniący rolę drzwi do mojego pokoju. Wpadł do wnętrza, wywijając karafką z jakimś płynem. Miał na sobie luźny strój, który uznałem za koszulę nocną. Przetoczyłem się po materacu i zdołałem wstać, czyniąc z łóżka barierę między nami. Byłem przyparty do muru, chory i praktycznie bezbronny, gdyż miałem jedynie nóż.

- Żyjesz jeszcze! - wykrzyknął w zdumieniu, po czym ruszył ku mnie z butelką. - Pij to, szybko. Postąpiłem krok do tyłu. Zatrzymał się, widząc moją bojaźń.

- Zostałeś otruty - powiedział, starannie wymawiając słowa. - Prawdziwy cud Chranzuli, że jeszcze żyjesz. Mam w tej karafce środek, który oczyści twoje wnętrze z trucizny. Wypij, a może uda ci się przeżyć.

- Moich wnętrze nie ma już z czego oczyszczać - rzekłem szczerze, a potem przytrzymałem się stołu, bo opanowały mnie dreszcze. - Gdy opuściłem wasze towarzystwo wczoraj wieczór, zorientowałem się, że zostałem otruty.

- I nic mi nie powiedziałaś? - spytał z niedowierzaniem. Odwrócił się ku drzwiom, przez które właśnie zajrzała niepewnie Ketricken. Włosy miała zaplecione w warkocz, ale w nieładzie, a oczy zaczerwienione od płaczu. - Niebezpieczeństwo zażegnane, lecz nie dzięki tobie - odezwał się jej brat surowo. - Idź, przygotuj słony rosół na mięsie. I przynieś ciasto. Tyle by starczyło dla nas obu. I herbaty. No idź już, głupia dziewucho!

Ketricken uciekła niczym przestraszone dziecko. Rurisk wskazał mi gestem łóżko.

- Zaufaj mi chociaż na tyle, by usiąść. Zanim zaczniesz się trząść tak mocno, że popsujesz stolik. Będę z tobą zupełnie szczerzy. Bastardzie Rycerski, nie mamy czasu na nieufność. Musimy porozmawiać.

Usiadłem, ale nie dlatego, że nabrałem zaufania, lecz ze strachu, że w przeciwnym razie upadnę. Rurisk bez zbędnych formalności przysiadł na drugim końcu łóżka.

- Moja siostra jest bardzo porywczą - odezwał się z powagą. - Biedny książę Szczery, będzie miał za żonę bardziej dziecko niż kobietę, a to w dużej mierze moja wina, bo ja tę dziewczynę tak rozpuściłem. Choć to wyjaśnia jej uczucia do mnie, jednak nie stanowi żadnego usprawiedliwienia dla otrucia gościa. Szczególnie w przeddzień zaślubin z jego stryjem.

- Chyba miałbym do tej sprawy zawsze identyczne podejście, niezależnie od czasu - powiedziałem, a Rurisk odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się głośno.

- Wiele masz w sobie z ojca. Z pewnością rzekłby to samo. Muszę ci coś wyjaśnić. Ketricken przysłała do mnie kilka dni temu i powiedziała, że przybywasz, by położyć kres moim dniom. Odrzekłem wtedy, że to nie jej sprawa i że sam się zajmę tą kwestią. Niestety, jak już mówiłem, moja siostra jest osobą porywczą. Wczoraj zwietryła okazję i skwapliwie z niej skorzystała. Nie bacząc, że śmierć gościa mogłaby zniweczyć starannie zaaranżowane

małżeństwo. Myślała tylko o tym, by się ciebie pozbyć, zanim przysięgi ją zwiążą z Królestwem Sześciu Księstw i uczynią taki akt nie do pomyślenia. Powinienem był się czegoś domyślić, kiedy tak ochoczo zabrała cię do ogrodów.

- Ziola?

Kiwnął głową, a ja poczułem się jak ostatni głupiec.

- Po tym, gdy już je zjadłeś, rozmawiałeś z nią tak szczerze, że zasiałeś w niej zwątpienie, czy aby na pewno przybyłeś mnie otruć. Dlatego cię o to spytała, ale ty zbyłeś pytanie udając, że nie rozumiesz. Z kolei więc w ciebie zwątpiła. Tak czy inaczej, nie powinna była czekać całą noc, zanim przysłała do mnie z opowieścią o tym, co zrobiła, i wątpliwościami, czy było to rozsądne posunięcie. Za to ogromnie cię przepraszam.

- Za późno na przeprosiny - usłyszałem własny głos. - Już ci wybaczyłem, książę.

Rurisk spojrział na mnie zaskoczony.

- To także słowa twojego ojca. - Przeniósł wzrok na wejście, bo pojawiła się w nim Ketriken. Zasunął za nią ekran i odebrał tacę. - Siadaj - nakazał krótko. - I przyglądaj się, jak można inaczej postąpić ze skrytobójcą. - Podniósł z tacy ciężki kubek i pociągnął z niego długi łyk, dopiero potem podał mi naczynie. Obrzucił Ketriken ciężkim spojrzeniem. - Jeśli to było zatrute, właśnie zabiłaś rodzony brata. - Podzielił ciasto na trzy części. - Wybierz jedną - rzekł do mnie, a potem wziął ją sam, następną, którą wybrałem, podał Ketriken. - Możesz teraz być pewien, że jedzenie jest bezpieczne.

- Nie widzę powodu, byś miał mi podawać truciznę dziś rano, skoro właśnie przyszedłeś mi powiedzieć, że zostałem otruty wczoraj wieczór - przyznałem. Mimo to ostrożnie badałem ciasto na języku, szukając najłżejszego przekłamania smaku. Nie znalazłem. Jadłem kruche ciasto nadziewane dojrzałymi jabłkami z przyprawami. Smakowałoby wyśmienicie, nawet gdybym nie miał tak pustego żołądka.

- Właśnie - mruknął Rurisk. - Gdybyś naprawdę był skrytobójcą - jednym spojrzeniem uciszył Ketriken - sprawa miałaby się podobnie. Czasami zgon spowodowany rozmyślnie ma sens jedynie wówczas, gdy nikt nie wie, że jest wynikiem morderstwa. Na przykład moja śmierć. Gdybym umarł - teraz czy w ciągu pół roku od waszej wizyty - Ketriken i Jonki krzyczałyby pod niebiosa, że zostałem zamordowany. Niezbyt to odpowiedni fundament pod sprzymierzenie narodów, zgadzasz się ze mną?

Zdołałem skinąć głową. Gorący wywar z kubka uspokoił drżenie mego ciała, a słodkie ciasto najwyraźniej także dobrze mi zrobiło.

- Tak. Zgadząmy się więc, że gdybyś był zabójcą, mordując mnie nie odniósłbyś żadnej korzyści. Odwrotnie nawet, moja śmierć byłaby dla was wielką stratą, gdyż mój ojciec nie patrzy na związek mojej siostry równie łaskawym okiem jak ja. Rozumie, oczywiście, że to rozsądne wyjście. Ale ja dostrzegam w tym małżeństwie znacznie więcej. Ja je widzę jako absolutną konieczność. Powiedz o tym królowi Roztropnemu. Jest nas w górach coraz więcej, ale nie przybywa ziemi pod uprawę. Dziką zwierzyną również nie da się wyżywić tak wielu. Zawsze kiedyś przychodzi czas, gdy kraj musi się otworzyć dla handlu, szczególnie kraj tak górzysty i nieurodzajny jak nasz. Słyszałeś chyba, że tutaj władca jest sługą swego ludu? Cóż, służę ludziom swoim rozumem. Wydaję ukochaną siostrę za męża, w nadziei na otrzymanie ziarna i otwarcie traktów handlowych, na dostęp do dobrodziejstw nizinnej ziemi i prawo wypasania bydła na waszych łąkach, gdy zimą nasze pastwiska pokrywa śnieg. Jestem gotów dać wam drewno. Wielkie proste pnie, których książę Szczery będzie potrzebował na budowę okrętów wojennych. W naszych górach rośnie biały dąb, drzewo, jakiego nie widzieliście. Mój ojciec sam nigdy by nie dał zgody na wyrąb. Ma tradycyjne poglądy na temat cięcia żywych drzew. Wasze wybrzeże jest w odczuciu mego ojca - podobnie jak zdaniem księcia Władczego - trudnym zobowiązaniem, a ocean wielką barierą. Ja patrzę na to tak jak twój ojciec - ocean jest szeroką drogą prowadzącą we wszystkie strony świata, a wasze wybrzeże

może nam dać do niej dostęp. I nie widzę przeszkody, by wykorzystywać w skutnictwie drzewa obalane przez coroczne powodzie i wichury.

Wstrzymałem oddech. To była ważna decyzja. Uświadomiłem sobie, że kiwam potakująco głową.

- Czy zawieziesz moje słowa do króla Roztropnego i powiesz mu, że lepiej mieć we mnie żywego przyjaciela?

Nie przyszedł mi do głowy żaden powód, dla którego miałbym na to nie przystać.

- Nie zapytasz go, czy miał zamiar cię otruć? - zdziwiła się Ketriken.

- Gdyby odpowiedział twierdząco, nigdy byś mu nie zaufała. Gdyby zaprzeczył, prawdopodobnie byś mu nie uwierzyła i miała go nie tylko za skrytobójcę, lecz także za kłamcę. A czy jeden niewątpliwy truciciel w tym pokoju to mało?

Ketriken oblała się rumieńcem.

- Chodź. - Rurisk wyciągnął do siostry dłoń na zgodę. - Nasz gość powinien spróbować chociaż trochę odpocząć przed dzisiejszymi uroczystościami. A my musimy wrócić do pokoi, zanim wszyscy zaczną zachodzić w głowę, gdzie się podziewamy odziani w nocne koszule.

Wyszli, a ja się położyłem i pograżyłem w rozmyślaniach. Cóż to byli za ludzie? Czy mogłem wierzyć w ich szczerłość, czy też były to tylko pozory, gra, prowadząca do nie znanego mi celu? Żałowałem, że nie ma tutaj Ciernia. Nabierałem coraz większego przekonania, że nic tu nie jest naprawdę takie, na jakie wygląda.

Nie ośmieliłem się zasnąć, bo wiedziałem, że wówczas nic by mnie nie obudziło przed wieczorem. Wkrótce pojawiła się służba z dzbanami ciepłej i zimnej wody oraz owocami i serem na paterze. Pamiętając o tym, że „służbą” są, być może, ludzie lepiej urodzeni ode mnie, traktowałem ich z wielką kurtuazją. Później przyszło mi do głowy, czy aby nie na tym polega sekret tutejszej harmonii, że służba i członkowie rodu królewskiego odnoszą się do siebie równie uprzejmie.

Zaczął się dzień wielkiego świętowania. Pałac stał otwarty na oścież; z każdej doliny, z każdej kotliny Królestwa Górskiego przybywali ludzie. Poeci i minstrele popisywali się swoimi umiejętnościami, doszło do wymiany kolejnych podarunków, wliczając w to oficjalną prezentację zielników i zbiorów roślin. Zapasy paszy wysłane z Królestwa Sześciu Księstw zostały pokazane wszystkim, a następnie rozdzielone pomiędzy tych, którzy najbardziej ich potrzebowali. Baran i owca czy dwie albo byk z krową stanowiły prezent dla całej osady. Wszystkie podarunki: ptactwo, bydło, ziarno czy metal znalazły się pod dachem pałacu, by każdy mógł je podziwiać.

Po raz pierwszy od kilku dni zobaczyłem Brusa. Na pewno wstał przed wschodem słońca, by tak błyskotliwie wywiązać się ze swego zadania. Każde kopyto lśniło wysmarowane świeżo oliwą, każda grzywa i ogon zaplecione były w warkoczyki ozdobione jaskrawymi wstążkami i dzwoneczkami. Klacz, która miała zostać ofiarowana Ketriken, stała pod siodłem i miała uprzęż z najdelikatniejszej skóry, a jej grzywa i ogon obwieszane były tyloma srebrnymi dzwoneczkami, że każdy ruch budził chór jasnych nutek. Nasze konie różniły się znacznie od małych włochatych koników górskiego ludu, więc skupiły wokół siebie okazały tłumek ciekawskich. Brus wyglądał na zmęczonego, lecz jednocześnie dumnego, a konie stały pośród zgiewku zupełnie spokojnie. Ketriken na dłuższy czas pograżyła się w szczerych zachwytach nad klaczą; zauważyłem, że wobec uprzejmości i szacunku dziewczyny rezerwa Brusa topniała niczym lód w ogniu. Podeszedłszy bliżej, ze zdumieniem usłyszałem Brusa mówiącego niezbyt pewnie, ale poprawnie po chyrdańsku.

Tego dnia czekała mnie jeszcze większa niespodzianka. Otóż gdy na długich stołach ustawiono jedzenie, wówczas wszyscy, zarówno mieszkańcy pałacu, jak i goście zasiedli do nich pospołu. Wielu biesiadników wyszło z pałacowej kuchni, ale jeszcze ich więcej wywodziło się spośród prostego górskiego ludu. Wchodzili do pałacu bez żadnego wahania, kładli na stole wielkie kręgi sera, bochny ciemnego chleba, suszone i wędzone mięso albo

marynaty, stawiali misy owoców i ucztowali. Gdybym nie miał tak mocno podrażnionego żołądka, byłaby to i dla mnie pokusa nie do odparcia. Z niekłamanym zdumieniem patrzyłem, jak jadło krąży pomiędzy rodem królewskim a poddanymi. Zwróciłem także uwagę, że nie było przy drzwiach żadnej straży czy warty. Na dodatek wszyscy goście swobodnie zmieniali miejsca przy stole i z każdym rozmawiali jak równy z równym.

Dokładnie w południe spadła na tłum ogromna cisza. To księżniczka Ketriken samotnie wstąpiła na podwyższenie. W prostych słowach oznajmiła wszystkim, że teraz będzie należała do Królestwa Sześciu Księstw i ma nadzieję dobrze służyć tej ziemi. Podziękowała swojemu krajowi za wszystko, co dla niej uczynił: za jadło, za wodę z jego śniegów i rzek, za kryształowe górskie powietrze. Przypomniała wszystkim, że odchodzi od nich nie dlatego, że wygasła w niej miłość do ojczyzny, ale raczej w nadziei, iż jej zamażpójście przyniesie korzyści obu krajom. W czasie tej przemowy trwała absolutna cisza. Dopiero kiedy księżniczka zeszała z podwyższenia, wrócił gwar radosnych głosów.

Podszedł do mnie książę Rurisk i spytał, jak się czuję. Zapewniłem go, że całkiem już wydobrzałem. Tak naprawdę jedynie ogromnie chciało mi się spać. Odzienie, które mistrzyni Ściegu wybrała dla mnie specjalnie na tę uroczystość, miało krój zgodny z najnowszą modą dworską, a więc bardzo niewygodne rękawy, mnóstwo wstążek, które zaczepiały o wszystko i wpadały do jedzenia, oraz obcisłą talię. Pragnąłem wydostać się z ludzkiej ciżby, uwolnić od koronek i pozbyć kołnierza, ale wiedziałem, że gdybym teraz wyszedł, postąpiłbym wbrew woli Ciernia, który będzie chciał wiedzieć o wszystkim, co się działo. Rurisk wyczuł, jak sędzę, moją potrzebę odrobiny spokoju, bo nagle zaproponował mi spacer do psiarni.

Opuściliśmy pałac i wąską ścieżką poszliśmy ku długiemu drewnianemu budynkowi. Świeże powietrze oczyściło mi głowę i podniosło na duchu. W psiarni Rurisk zaprowadził mnie do małego boksu, gdzie królowała suka z miotem rudych szczeniaków. Były silne, zdrowe, miały błyszczącą sierść i beztrudnie baraszkowały w słomie. Zobaczywszy nas, przybiegły bez najmniejszej obawy.

- Ich ród wywodzi się z Koziej Twierdzy. Potrafią utrzymać ślad nawet w gęstej ulewie - oznajmił z dumą.

Pokazał mi jeszcze inne mioty, a także jednego małego psa na sztywnych łapach, który ponoć umiał się wspinać za zwierzyną na drzewo.

Opuściliśmy psiarnię i wyszliśmy na słońce, gdzie jakiś stary pies drzemał leniwie na stercie siana.

- Spij, staruchu, spij - odezwał się do niego Rurisk ciepło. - Spłodziłeś tyle szczeniaków, że nie musisz już nigdy polować, jeśli nie będziesz miał ochoty.

Na dźwięk głosu pana stary ogar dzwignął się, podszedł do Ruriska i przywarł do niego z oddaniem.

To był Gagatek.

Patrzyłem na niego, a jego oczy o kolorze rudy miedzi odwzajemniały moje spojrzenie. Sięgnąłem miękko do jego umysłu i przez chwilę wyczuwałem tam tylko zdziwienie. A potem nadeszła fala ciepła, wspomnienie dawnego uczucia. Bez wątpienia jego panem teraz był książę Rurisk; zniknęła więź, która nas niegdyś łączyła. Ale mnie darzył ogromną sympatią, budziłem w nim jasne wspomnienia czasu, gdy obaj byliśmy nierozłączni, mały chłopiec i szczeniak. Przykląkłem, zajrzałem w oczy, które zaczynała przesłaniać mgielka starości, i zmierzwiłem rudą sierść, stwardniałą z upływem lat. Wraz z tym dotykiem na jedną krótką chwilę wróciła dawna więź między nami. Wiedziałem, że pies cieszy się drzemką w słońcu, ale mogłem go bez większego zachodu przekonać do wypadu na polowanie. Szczególnie gdyby Rurisk także się z nami wybrał. Poklepałem starego przyjaciela po grzbiecie i wycofałem się z jego umysłu. Książę patrzył na mnie zdziwiony.

- Znałem go, gdy był jeszcze szczeniakiem - wyjaśniłem.

- Wiele lat temu Brus przysłał mi go przez wędrownego skrybę - rzekł Rurisk. - Ten pies wniósł w moje życie wiele radości, a przy polowaniu był nieoceniony.

- Dobrze mu z tobą - rzekłem.

Wolnym krokiem wróciliśmy do pałacu i gdy zostałem sam, poszedłem prosto do Brusa. Właśnie w tej chwili otrzymał pozwolenie wyprowadzenia koni; nawet najspokojniejsze zwierzęta zachowują się lękliwie w zamkniętym pomieszczeniu, otoczone przez obcych. Wyczuwałem jego rozterkę: jeśli się sam zajmie wyprowadzaniem koni, te, które będą czekały na swoją kolej, pozostaną bez opieki. Podszedłem do niego.

- Pomogę ci je wyprowadzać - zaofiarowałem się. Twarz Brusa pozostała uprzejma i bez wyrazu. Zanim zdążył otworzyć usta, za moimi plecami odezwał się inny głos.

- To mój obowiązek, panie. Ty mógłbyś pobrudzić sobie rękawy albo zmęczyć się pracą przy zwierzętach.

Odwróciłem się bardzo wolno, zakłopotany jadem w głosie Gruzła. Brus się nie odezwał. Utkwiłem spojrzenie w oczach królewskiego koniuszego.

- Pójdę z tobą, jeśli pozwolisz, ponieważ muszę z tobą pomówić. - Rozmyślnie odezwałem się dosyć formalnie. Brus przez chwilę namyślał się w milczeniu.

- Weź klacz księżniczki - powiedział w końcu. - I tę źrebicę. Ja poprowadzę siwki. Gruzła, zaopiekuj się pozostałymi. Niedługo wrócę.

Ująłem wodze klaczy oraz postronek źrebaka i poszedłem za Brusem, który przez dum poprowadził konie ku wyjściu.

- Tędy do padoku - rzekł i nie odezwał się więcej.

Jakiś czas szliśmy w zupełnej ciszy. Gdy tylko oddaliliśmy się od pałacu, tłum się przerzedził. Końskie kopyta dudniły znajomo o twardą ziemię. Dotarliśmy do padoku przed niewielką szopą, w której naprawiano uprzęże. W tamtym jednym momencie praca u boku Brusa wydawała mi się zajęciem tak cudownie naturalnym. Zdjąłem z klaczy siodło i wytarłem ją z potu. On w tym czasie sypał obrok do żłoba. Kiedy skończyłem, stanął obok mnie.

- Piękna - powiedziałem zachwycony. - Z linii od hrabiego Wojowniczego?

- Tak. - Brus uciął temat. - Chciałeś ze mną rozmawiać. Odetchnąłem głęboko.

- Właśnie widziałem Gagatka - powiedziałem po prostu. - Dobrze mu się wiedzie. Już się postarzał, ale jest szczęśliwy. Brus, przez te wszystkie lata wierzyłem, że tamtej nocy go zabiłeś. Roztrzaskałeś mu łeb, poderżnąłeś gardło, udusiłeś go... wyobrażałem to sobie na dziesiątki, na tysiące sposobów. Przez wszystkie te lata.

Patrzył na mnie z niedowierzaniem.

- Wierzyłeś, że zabiłem psa, za to co zrobiłeś ty?

- Wiedziałem tylko, że zniknął. Nie potrafiłem sobie wyobrazić niczego innego. Sądziłem, że w ten sposób mnie ukarałeś.

Przez długą chwilę nawet się nie poruszył. Kiedy w końcu znowu spojrzął na mnie, widziałem jego wzburzenie.

- Musiałeś mnie nienawidzić.

- I bałem się ciebie.

- Przez te wszystkie lata? I nigdy się nie nauczyłeś, jaki jestem naprawdę? Nigdy nie pomyślałeś: „on by tego nie zrobił”? Wolno pokręciłem głową.

- Och, Bastardzie - westchnął smutno. Jeden z koni trącił Brusa łbem, koniuszy poklepał go odruchowo. - Miałem cię za upartego ponuraka. Żle cię osądziłem. Nic dziwnego, że nie mogliśmy się porozumieć.

- Można to zmienić - zaproponowałem cicho. - Tęskniłem za tobą, wiesz przecież. Tęskniłem dotkliwie, mimo wszystkich różnic, jakie nas dzieliły.

Zastanawiał się i przez pewien czas sądziłem, że w końcu się rozchmurzy i każe przyprowadzić pozostałe konie. Ale jego twarz pozostała zamknięta i bez wyrazu.

- Nic cię jednak nie powstrzymało. Wierzyłeś, że potrafię zabić każde zwierzę, z którym połączy cię Rozumienie. A mimo to nie zaprzestałeś tych praktyk.

- Patrz na to zupełnie inaczej niż ty - zacząłem, ale on potrząsnął głową.

- Nie powinniśmy mieć ze sobą nic wspólnego, chłopcze. Tak będzie lepiej dla nas obu. Brak nieporozumień tam, gdzie ludzie trzymają się z dala od siebie. Nigdy się nie pogodzę z tym, co robisz. Nigdy. Przyjdź do mnie, kiedy będziesz mógł powiedzieć, że więcej do tego nie wrócisz. Wezmę cię za słowo, bo nigdy nie złamałeś danej mi obietnicy. A jeśli nie - nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

Zostawił mnie na padoku i wrócił po inne konie. Stałem tam bardzo długo. Czuję się chory i zmęczony, i powodem nie była tylko trucizna. W końcu wróciłem do pałacu. Przechadzałem się między ludźmi i rozmawiałem z nimi, jadłem i nawet znosiłem w spokoju drwiące, triumfujące spojrzenia, jakimi obrzucał mnie Gruzeł.

Dzień był bogatszy w doświadczenia od każdego z dwóch innych dni mojego życia. Gdyby nie płonący i bulgoczący żołądek, byłby to dzień bardzo przyjemny. Po południu i wczesnym wieczorem odbyły się widowiskowe konkursy: łuczniczy, zapaśniczy oraz biegi. W każdym z nich stawali w szranki zarówno młodzi, jak i starzy, mężczyźni i kobiety. Odniosłem wrażenie, że zgodnie z miejscową tradycją zwycięzcy zawodów organizowanych z okazji tak radosnego święta miał sprzyjać los przez okrągły rok. Na stołach pojawiała się coraz więcej jadła, rozlegały się śpiewy, tancerze i tancerki zabawiali gości, a prócz nich występowała także trupa podobna do teatryku lalkowego, tyle że ich postaci przedstawiane były przez cienie rzucane na jedwabny ekran. Nim goście zaczęli udawać się na spoczynek, ja nieomal spałem na stojąco. Z niewyobrażalną ulgą zasunąłem za sobą ekran w wejściu do pokoju. Właśnie zdejmowałem nieznośnie irytującą koszulę i pogrążałem się w refleksjach nad tym dziwnym dniem, gdy rozległo się pukanie.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Sarkazm odsunął ekran i wsunął głowę do środka.

- Książę Władczy chce cię widzieć - oznajmił.

- Teraz? - spytałem nieprzytomnie.

- A po co by mnie teraz przysyłał?

Z ogromnym znużeniem naciągnąłem ponownie koszulę i poszedłem za Sarkazmem.

Pokoje księcia Władczego znajdowały się na drewnianym tarasie zbudowanym po jednej stronie sali biesiadnej. Rolę ścian pełniły tam ekrany, a z przodu znajdował się rodzaj balkoniku, gdzie można było stanąć i popatrzeć na parter. Wnętrza, które zajmował książę Władczy, były urządzone o wiele wystawniej niż inne. Tylko niektóre przedmioty nosiły wyraźnie ślady kultury chyrdańskiej: jasne ptaki malowane na jedwabnych płachtach czy figurki rzeźbione w bursztynie. Większość gobelinów, rzeźb i kotar wyglądała, moim zdaniem, na rzeczy ściągnięte tu z Koziej Twierdzy.

Czekałem w przedpokoju, aż książę wyjdzie z kąpieli. Zanim się pojawił, przebrany w nocną koszulę, mnie stać było już tylko na pilnowanie, by mi się nie zamknęły oczy.

- I cóż? - zapytał.

Patrzyłem na niego tępym wzrokiem.

- Wezwał cię, książę panie - przypomniałem w końcu.

- Tak. Wezwał. Chciałbym wiedzieć, dlaczego w ogóle było to konieczne. Sądziłem, że odebrałeś odpowiednie przeszkolenie w tej materii. Jak długo jeszcze mam czekać na twoje sprawozdanie?

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nigdy nawet nie rozważałem możliwości, że będę zdawał raporty księciu Władczemu. Królowi, Cierniowi - oczywiście. I następcy tronu. Ale księciu Władczemu?

- Czy muszę ci przypominać o twoich obowiązkach? Słucham. Pośpiesznie zebrałem myśli.

- Czy chcesz usłyszeć o moich obserwacjach na temat Chyrudów jako narodu? Czy o ich ziołach? Czy...

- Chcę wiedzieć, co zdziałałeś w sprawie... poruczonego ci zadania. Czy już je wykonałeś? Czy obmyśliłeś plan? Kiedy możemy się spodziewać rezultatów i jakich? Nie bardzo mi się uśmiecha, by Rurisk padł martwy u moich stóp, gdy będę się tego najmniej spodziewał.

Nie wierzyłem własnym uszom. Król Roztropny nigdy nie wyrażał się tak otwarcie o mojej pracy. Nawet gdy byliśmy zupełnie sami, mówił opłótkami, pozostawiając mi wyciągnięcie wniosków. Przed chwilą widziałem, że Sarkazm wchodził do sąsiedniego pokoju, ale nie miałem pojęcia, gdzie jest teraz; nie wiedziałem również, na ile swobodnie dźwięk rozchodził się w tym wnętrzu. A księżę Władczy mówił tak, jakbyśmy rozmawiali o podkuwaniu konia.

- Czy jesteś głupi, czy dostałeś udaru słonecznego? - zapytał.

- Ani to, ani to - odparłem najgrzeczniej, jak potrafiłem. - Jestem ostrożny, księżę. - Ostatnie słowo dodałem w nadziei na przeniesienie naszej rozmowy na bardziej oficjalną płaszczyznę.

- Jesteś idiotycznie ostrożny. Ufam swojemu kamerdynerowi, a nikogo innego tutaj nie ma. Więc mów, bękarcie skrytobójco. - Ostatnie słowa wypowiedział takim tonem, jakby sądził, że ociekają wyjątkowo przemyślną ironią.

Wzięłem głęboki oddech i napomniałem siebie, że jestem człowiekiem króla. A tutaj i teraz sprawy miały zajść tak daleko i tak blisko króla, jak ja im pozwolę. Ostrożnie dobieierałem słowa.

- Wczoraj w ogrodzie księżniczka Ketricken zdradziła mi, że nazwałeś mnie trucicielem, a jako mój cel przedstawiłeś jej brata, Ruriska.

- To kłamstwo - stwierdził księżę Władczy stanowczo. - Nic takiego nie mówiłem. Albo sam się głupio zdradziłeś, albo strzelała na ślepo. Mam nadzieję, że nie zmarnowałeś wszystkiego i nie odsłoniłeś się przed nią.

Potrafiłem kłamać znacznie lepiej niż on. Puściłem jego uwagi mimo uszu i ciągnąłem dalej. Zdałem mu pełne sprawozdanie z mojego otrucia oraz wczesnoporannej wizyty Ruriska i Ketricken. Powtórzyłem naszą rozmowę słowo w słowo. Kiedy skończyłem, księżę Władczy spędził kilka minut na przyglądaniu się swoim paznokciom.

- Zdecydowałeś się już na konkretną metodę i czas? - zapytał w końcu.

Nie próbowałem ukryć zaskoczenia.

- W tych okolicznościach oceniłem, że lepiej będzie odstąpić od wykonania zadania.

- Brak ci nerwu - zauważył księżę Władczy z niesmakiem. - Prosiłem ojca, żeby przysłał tę starą babę Tymianek. Ona by się z nim już dawno rozprawiła.

- Słucham, panie? - Wspomniał o wielmożnej pani Tymianek, więc o niczym nie miał pojęcia. Podejrzewał coś, oczywiście, ale dzielenie się z nim informacjami na temat Ciernia zdecydowanie nie leżało w moich zamiarach.

- Słucham, panie? - Przedrzeźniał mnie księżę Władczy. Wtedy dopiero zdałem sobie sprawę, że nie jest trzeźwy. Wcześniej nie dostrzegłem żadnych objawów. Nie czuć było od niego wina, zdawał się jedynie bardziej złośliwy niż zwykle. Westchnął ciężko, jakby mu zbrakło słów, i zwałił się na leżankę zarzuconą kocami i poduszkami. - Nic się nie zmieniło - rzekł. - Powierzono ci zadanie i masz je wykonać. Jeśli jesteś mądry, zdołasz zrobić to tak, by wyglądało na wypadek. Skoro już byłeś na tyle naiwny, by szczerze mówić z Ketricken i Ruriskiem, nikt się nie będzie po tobie spodziewał takiego czynu. Ale masz to wykonać. Przed jutrzejszym wieczorem.

- Przed zaślubinami? - spytałem z niedowierzaniem. - Czy nie uważasz, że śmierć brata narzeczonej może spowodować odwołanie ślubu?

- Nawet jeżeli, to tylko na jakiś czas. Mam ją w ręku, chłopcze. Nietrudno było ją zaślepić. To już moja sprawa. Ty masz się pozbyć jej brata. No, jak zamierzasz to zrobić?

- Nie wiem. - Wydało mi się to lepszą odpowiedzią niż stwierdzenie, że nie mam takiego zamiaru. Po powrocie do Koziej Twierdzy opowiem wszystko królowi Roztropnemu i Cierniowi. Jeśli stwierdzą, że podjąłem błędną decyzję, będą mogli postąpić ze mną wedle swojej woli. Miałem w pamięci głos księcia Władczego, gdy w dawnych czasach zacytował

ojca: „Nie rób kroku, którego nie możesz cofnąć, dopóki nie rozważysz, czego nie będziesz mógł zrobić, gdy go już uczynisz”.

- Kiedy będziesz wiedział? - zapytał ironicznie.

- Prawdopodobnie wkrótce - wykręciłem się. - Takich działań nie można podejmować lekkomyślnie ani nieudolnie. Muszę się wiele dowiedzieć o danym człowieku i jego zwyczajach, zbadać jego pokoje i nauczyć się przyzwyczajzeń jego służby. Muszę znaleźć sposób...

- Ślub jest za dwa dni - przerwał mi książę Władczy. Spojrzenie miał nieobecne. - Wiem wszystko, czego twoim zdaniem musisz się dowiedzieć. Więc najłatwiej będzie, jeśli zaplanuję to za ciebie. Przyjdź tu jutro wieczorem, wydam ci rozkazy. I nie rób nic, dopóki mi nie powiesz, co masz zamiar zrobić. Nie lubię niespodzianek. Mogłyby się dla ciebie okazać śmiertelnie niebezpieczne.

- Podniósł na mnie wzrok, ale moja twarz nie wyrażała nic. - Możesz odejść - oznajmił wyniośle. - Staw się jutro wieczorem, o tej samej porze. Nie każ mi wysyłać po ciebie Sarkazma. Mam dla niego ważniejsze zajęcia. I niech ci się nie wydaje, że mój ojciec nie będzie wiedział o twoim niedbalstwie. Pożałuje, że nie wysłał Tymianek, ona by się już dawno uwinęła z taką drobnostką. - Opadł ciężko na poduszki i ziewnął, a ja poczułem lekką woń wina i subtelny zapach dymu. Zastanowiłem się, czy aby książę Władczy nie nabiera nawyków matki.

Wróciłem do pokoju. Zamierzałem rozważyć wszystkie możliwości i opracować jakiś plan. Byłem jednak tak ogromnie znużony, że zasnąłem, gdy tylko głową dotknąłem poduszki.

22

ROZTERKA

We śnie Blazen stał przy moim łóżku. Patrzył na mnie i potrząsał głową.

- Dlaczego nie potrafisz mówić jasno? Bo ty wszystko gmatwasz. Widzę rozstaje dróg we mgle i kto zwykle na nich stoi? Ty. Myślisz, że dbam o twoje życie, bo jestem tobą taki zachwycony? Nie. Robię to, ponieważ stwarzasz tak wiele ewentualności. Dopóki żyjesz, dajesz nam możliwość większego wyboru. Im większy wybór, tym większa szansa wypłynięcia na spokojniejsze wody. Więc nie dla twojego dobra, ale dla dobra Królestwa Sześciu Księstw dbam o twoje życie. I ty masz taki sam obowiązek. Musisz żyć, by nadal tworzyć nowe możliwości.

* * *

Obudziłem się i wciąż nie miałem pojęcia, co zrobić. Leżałem w łóżku, słuchałem przyciszonych odgłosów budzącego się pałacu. Musiałem porozmawiać z Cierniem. To było niemożliwe. Przymknąłem oczy i próbowałem myśleć tak, jak mnie nauczył.

„Co wiesz na pewno?” - zapytałby mnie Cierń, a potem: „Co podejrzewasz?”

Książę Władczy okłamał króla Roztropnego w kwestii zdrowia Ruriska i jego stosunku do Królestwa Sześciu Księstw. Albo król Roztropny okłamał mnie, mówiąc o tym, czego się dowiedział od księcia Władczego. Albo książę Rurisk kłamał opowiadając o swoich zamiarach względem naszego kraju. Rozważałem wszystko przez jakiś czas i zdecydowałem się uznać za właściwy pierwszy wniosek. Król Roztropny nigdy mnie dotąd nie okłamał, tego

byłem pewien, a Rurisk mógł po prostu pozwolić mi umrzeć, zamiast wtargnąć do mojego pokoju.

Więc książę Władczy chciał śmierci księcia Ruriska. Czy na pewno? Gdyby chciał śmierci księcia Ruriska, dlaczego miałby mnie zdradzać przed księżniczką Ketriken? Chyba że ona skłamała mówiąc mi o tym. Przemyślałem to. Raczej nie. Mogła się zastanawiać, czy król Roztropny przyśle skrytobójcę, ale dlaczego miałaby brać za niego akurat mnie? Nie. Rozpoznała moje imię. I wiedziała także o wielmożnej pani Tymianek.

Zeszłej nocy książę Władczy dwukrotnie powiedział, że prosił ojca o przysłanie wielmożnej pani Tymianek. Jej imię także zdradził księżniczce Ketriken. Czyjej śmierci chciał książę Władczy? Księcia Ruriska? Wielmożnej pani Tymianek? Czy mojej, gdyby odkryto próbę zabójstwa? I jaką miałby z tego korzyść? Dlaczego nalegał, bym zabił księcia Ruriska, podczas gdy wszystkie polityczne przesłanki przemawiały za tym, by książę górskiego ludu żył?

Musiałem porozmawiać z Cierniem. Nie mogłem. Musiałem podjąć jakąś decyzję. Sam.

Służący ponownie przynieśli wodę i owoce. Wstałem, ubrałem się znowu w irytująco niewygodny strój, zjadłem i wyszedłem z pokoju. Ten dzień w dużym stopniu przypominał poprzedni. Świąteczna atmosfera zaczynała mnie nużyć. Starłem się dobrze wykorzystać czas, poszerzyć wiedzę o pałacu, panujących w nim zwyczajach i jego rozkładzie. Znalazłem pokoje króla Eyoda, księżniczki Ketriken i księcia Ruriska. Dokładnie obejrzałem schody i podpory pokoi księcia Władczego. Odkryłem, że Gruzeł sypiał w stajniach, podobnie jak Brus. Po Brusie tego właśnie się spodziewałem - dopóki byliśmy w Stromym, na pewno nikomu nie powierzyłyby opieki nad końmi z Koziej Twierdzy - ale dlaczego spał tam Gruzeł? Żeby zrobić na Brusie korzystne wrażenie, czy żeby mieć na niego oko? Sarkazm i Arogant nocowali w przedpokoju księcia Władczego, mimo że w pałacu było wiele wolnych pokoi. Próbowałem się zorientować w zmianach warty i straży, ale nie mogłem się dopatrzeć żadnej reguły. I cały czas szukałem Dostojnego. Spotkałem go w spokojniejszym otoczeniu, dopiero gdy rano przeradzał się w południe.

- Muszę z tobą porozmawiać - rzekłem. - Na osobności. Wyglądał na rozdrażnionego i rozejrzał się dookoła, czy nikt nas nie widzi.

- Nie tutaj, Bastardzie. Może jak wrócimy do Koziej Twierdzy. Jestem obarczony oficjalnymi obowiązkami i...

Byłem na to przygotowany. Otworzyłem dłoń i pokazałem mu broszę, którą król dał mi wiele lat temu.

- Dostałem ją od króla Roztropnego. Razem z przyrzeczeniem, iż jeśli kiedykolwiek będę potrzebował z nim mówić, wystarczy, że ją pokażę, a zostanę wpuszczony do jego komnat.

- Wzruszające - zauważył Dostojny cynicznie. - Czy masz jakiś powód, by mi opowiadać tę historyjkę? Może chcesz zrobić na mnie wrażenie, bo król obdarzył cię takim zaufaniem?

- Muszę z królem porozmawiać. Teraz.

- Nie ma go tutaj - zauważył Dostojny. Odwrócił się, by odejść. Chwyciłem go za ramię.

- Możesz go sięgnąć Mocą.

Rozeźlony strząsnął moją dłoń z ramienia i rozejrzał się ponownie.

- Prawie na pewno nie mogę. A nawet gdybym mógł, tobym nie chciał. Wydaje ci się, że każdy, kto potrafi korzystać z Mocy, może się naprzykrzać królowi?

- Pokazałem ci broszę. Król nie odbierze tego jako naprzykrzanie.

- Nie mogę.

- Więc z księciem Szczerym.

- Nie będę sięgał ku następcy tronu, jeśli on nie sięgnie do mnie pierwszy. Bękartie, ty nic nie rozumiesz. Uczyłeś się, poniosłeś klęskę i naprawdę nie masz najmniejszego pojęcia, czym jest Moc. To nie to samo co zawołać przyjaciela, który stoi na sąsiednim pagórku. Tę umiejętność można wykorzystywać tylko do ważnych celów. - Znow zamierzał odejść.

- Wróć tutaj, Dostojny, albo długo będziesz żałował. - Była to pusta groźba. Nie miałem żadnego sposobu, by naprawdę dać mu się we znaki, mogłem co najwyżej złożyć skargę u króla. - Nie wolno ci zlekceważyć symbolu władcy naszego państwa.

Dostojny powoli odwrócił się do mnie. Zmierzył mnie wzrokiem.

- Dobrze więc. Zrobię to, ale musisz przysiąc, że całą winę weźmiesz na siebie.

- Wezmę. Czy wobec tego pójdziesz do mojego pokoju i użyjesz dla mnie Mocy?

- Nie ma innego miejsca?

- Twój pokój? - zaproponowałem.

- Nie, nie, jeszcze gorzej. Nie zrozum mnie źle, bękarcie, ale nie życzę sobie, by nas ze sobą kojarzono.

- Nie zrozum mnie źle, paniczyku, ale to samo czuję względem ciebie.

W końcu znaleźliśmy się na kamiennej ławce, w spokojnej części herbarium Ketriken.

Dostojny zamknął oczy.

- Jaką wiadomość chcesz przekazać królowi Roztropnemu? Zastanowiłem się. Jeśli Dostojny miał pozostać nieświadomy mojego prawdziwego problemu, musiał to być rodzaj rebusu.

- Powiedz mu, że brat narzeczonej jest w doskonałym zdrowiu i możemy mieć nadzieję, iż dożyje sędziwego wieku. Książę Władczy nadal życzy sobie obdarować księcia uzgodnionym podarunkiem, ale ja nie uważam go za odpowiedni.

Dostojny otworzył oczy.

- Korzystanie z Mocy to poważne...

- Wiem. Powiedz królowi.

I tak Dostojny odetchnął kilkakrotnie, po czym zamknął oczy. Po kilku chwilach je otworzył.

- Kazał słuchać księcia Władczego.

- To wszystko?

- Był zajęty. I bardzo zirytowany. Zostaw mnie już. Obawiam się, że zrobiłeś ze mnie głupca przed królem.

Istniały dziesiątki zmyślnych odpowiedzi na takie stwierdzenie. Ale pozwoliłem mu odejść. Ciekaw byłem, czy w ogóle sięgnął Mocą do króla Roztropnego. Siedziałem na kamiennej ławce i rozmyślałem nad tym, że nic mi to wszystko nie dało, a straciłem sporo czasu. Naszła mnie pokusa i nie potrafiłem się jej oprzeć. Zamknąłem oczy, odetchnąłem głęboko kilka razy, skupiłem się, otworzyłem umysł.

„Roztropny, mój królu”.

Nic. Żadnej odpowiedzi. Wątpiłem, czy w ogóle posłużyłem się Mocą. Wstałem i poszedłem z powrotem do pałacu.

Tego dnia w południe Ketriken ponownie weszła na podwyższenie. Jej słowa były tak samo proste jak poprzednio. Oznajmiała, że wiąże się z ludem Sześciu Księstw. Od tej chwili będzie dla niego Poświęceniem we wszystkim, w każdej sytuacji, kiedy tego od niej zażądamy. Potem podziękowała własnemu ludowi, tym, którzy wychowywali ją i o nią dbali, i przypomniała, że nie opuszcza ich z powodu zmiany uczuć dla ojczyzny, ale w nadziei, że będzie to z korzyścią dla obu narodów. Gdy schodziła ze stopni, ciągle jeszcze trwała cisza. Jutro księżniczka Ketriken zostanie poślubiona naszemu następcy tronu. Książę Władczy i Dostojny mieli stanąć przy niej w zastępstwie pana młodego, a Dostojny miał nawiązać kontakt dzięki dotknięciu Mocą, by książę Szczery mógł widzieć, jak narzeczonej składa mu przysięgę małżeńską.

Dzień dłużył mi się niemiłosiernie. Jonki zabrała mnie do Błękitnych Fontann. Robiłem co w mojej mocy, by okazywać uprzejme zainteresowanie. Po powrocie do pałacu zastałem w nim jeszcze więcej minstreli, a także gości popisujących się swoimi umiejętnościami. Żonglerzy i akrobaci zabawiali publikę, psy pokazywały rozmaite sztuczki, a żołnierze przechwalali się swoją śmiałością w pojedynkach na arenie. Wszędzie unosił się sinawy dym. Wielu obecnych podczas rozmów i zabaw kołysało przed sobą małymi kadzielnicami. Zrozumiałem, że dym

ten dawał im to samo, co nam ciasto z nasionami kopytnika; świąteczne odurzenie. Staralem się unikać błękitnawych smużek dymu. Musiałem mieć jasny umysł. Cierń wyposażył mnie w napój, który oczyszczał głowę z oparów wina, ale nie potrafiłem zlikwidować skutków odurzenia dymem. W dodatku nic o nim nie wiedziałem i nie byłem do niego przyzwyczajony. Znalazłem sobie mniej zadymiony kąć i stanąłem, pozornie zasluchany w pieśń minstrela, lecz ponad jego ramieniem obserwowałem księcia Władczego.

Siedział przy stole, po obu jego bokach stały miedziane kadzielnice. Dostojny, wyjątkowo powściągliwy, usiadł nieco dalej. Od czasu do czasu zamieniali kilka słów; Dostojny mówił poważnie, książę beztrudnie. Byłem za daleko, by słyszeć, ale odczytałem swoje imię i słowo „Moc” z ruchu warg Dostojnego. Widziałem, jak Ketricken zbliża się do księcia Władczego, i zauważyłem, że księżniczka także unika dymu. Książę Władczy mówił do niej długo, uśmiechnięty i ościęzły, a raz wyciągnął rękę, by dotknąć jej dłoni ozdobionej srebrnymi pierścieniami. Dym uczynił go rozmownym i pyszałkowatym. Ona - ruchliwa niczym ptaszek na gałęzi - raz była bliżej niego, serdeczna, raz dalej, chłodniejsza. Potem zjawił się książę Rurisk, stanął za swoją siostrą. Przemówił do księcia Władczego krótko, po czym, ująwszy księżniczkę Ketricken pod tamie, zabrał ją ze sobą. Pojawił się Sarkazm. Uzpełnił zawartość kadzielnic po bokach księcia Władczego. Książę nagroził go głupawym uśmiechem i powiedział coś, obejmując gestem całe wnętrze. Sarkazm roześmiał się, odszedł. Niedługo potem pojawili się Gruzł oraz Arogant. Dostojny podniósł się sztywno. Odszedł urażony. Książę Władczy myślał przez chwilę, wreszcie posłał Gruzła, by go sprowadził z powrotem. Dostojny niechętnie zawrócił. Książę go zganił, a Dostojny patrzył wilkiem, po czym spuścił wzrok. Przytaknął. Ogromnie żałowałem, że nie mogłem ich słyszeć. Działo się coś złego. Oczywiście, mogło to nie mieć najmniejszego związku ze mną ani z moim zadaniem. Sądziłem jednak inaczej.

Przemyślałem raz jeszcze nieliczne znane mi fakty, przekonany, że przeoczyłem coś ważnego. Nie miałem wszakże pewności, czy się nie oszukuję. Może nadawałem wszystkim wydarzeniom zbyt duże znaczenie. Może powinienem był po prostu zrobić to, co nakazał mi książę Władczy, a odpowiedzialność zrzucić na niego. Może powinienem był oszczędzić mu czasu i poderżnąć sobie gardło.

Mogłem, oczywiście, iść do Ruriska i powiedzieć mu, że mimo moich wysiłków książę Władczy nadal chce jego śmierci, a następnie błagać o schronienie. W końcu przecież któż by nie chciał wyszkolonego skrytobójcy, który opuścił swego pana?

Mogłem powiedzieć księciu Władczemu, że zabiję księcia Ruriska, a potem zwyczajnie tego nie zrobić. Przemyślałem to starannie.

Mogłem powiedzieć księciu Władczemu, że zabiję księcia Ruriska, a potem zabić księcia Władczego.

Dym - pomyślałem. Tylko pod wpływem dymu mogło mi się to wydać rozsądne.

Mogłem pójść do Brusa, powiedzieć mu, że jestem skrytobójcą, i poprosić go o radę.

Mogłem wziąć klacz księżniczki i pojechać w góry.

- Dobrze się bawisz? - spytała Jonki ujmując mnie pod ramię. Zorientowałem się, że oglądam występ człowieka żonglującego nożami i pochodniami.

- Długo tego nie zapomnę - odparłem. A potem zaproponowałem spacer po chłodnych ogrodach. Wiedziałem, że dym zaczyna wywierać na mnie wpływ.

Później tego wieczoru stawiłem się w pokojach księcia Władczego. Tym razem przyjął mnie Arogant, promiennie uśmiechnięty.

- Dobry wieczór - powitał mnie i wprowadził do jaskini lwa. Powietrze w pokoju było błękitne od dymu i to on właśnie zdawał się źródłem pogodnego nastroju Aroganta. Także i tym razem książę Władczy kazał mi na siebie czekać. Choć oparłem brodę na piersi i oddychałem płytko, wiedziałem, że dym coraz bardziej mąci mi umysł.

„Tylko spokojnie” - napomniałem siebie i próbowałem opanować zawroty głowy. Wreszcie nie kryjąc się zasłoniłem dłonią usta i nos. Niewiele to dało.

Gdy przesunął się ekran zagradzający wejście do dalszych pokojów, podniosłem wzrok, ale to był tylko Sarkazm. Rzucił okiem na Aroganta, potem podszedł do mnie i usiadł obok.

- Czy księżę Władczy przyjmie mnie teraz? - zapytałem po chwili ciszy.

Sarkazm potrząsnął głową.

- Jest... w towarzystwie. Ale zawierzył mi we wszystkim, co powinieneś wiedzieć. - Otworzył dłoń opartą na ławie między nami i pokazał mi malutki papierowy zwitek. - Zdobył to dla ciebie. Ufa, że się z nim zgodzisz. Odrobina tego specyfiku zmieszana z winem spowoduje śmierć, ale nie natychmiastową. Przez kilka tygodni nie będzie nawet objawów choroby, a potem pojawi się stopniowo narastający letarg. Ofiara nie cierpi - dodał, jakby to było przedmiotem mojej największej troski.

Poszukałem w myślach.

- Czy to szczywół plamisty? - Słyszałem o tej truciznie, lecz nigdy jej nie widziałem. Jeśli księżę Władczy miał do niej dostęp, Cierń na pewno chciałby o tym wiedzieć.

- Nie znam nazwy, zresztą to bez znaczenia. Księżę każe ci zrobić z tego użytek dziś w nocy. Sam znajdziesz pretekst.

- Czego księżę się po mnie spodziewa? Mam pójść do pokojów księcia Ruriska, zapukać i wejść z zatrutym winem? Czy w nikim nie wzbudziłbym podejrzeń?

- W ten sposób rzecz ujmując, oczywiście tak. Ale twoje szkolenie z pewnością nauczyło cię stwarzania okazji...

- Moje szkolenie nauczyło mnie, że o podobnych sprawach nie dyskutuje się z kamerdynerem. Albo usłyszę to od księcia Władczego, albo nic nie zrobię.

Sarkazm westchnął.

- Mój pan to przewidział. Powtórzyłem ci jego słowa. Na broszkę, którą nosisz, i kozła na twojej piersi, rozkazuje ci tak uczynić. Jeśli odmówisz, sprzeciwisz się woli króla. Będziesz sądzony za zdradę, a księżę dopilnuje, żebyś wisiał.

- Ale...

- Weź to i odejdz. Im dłużej zwlekasz, tym późniejsza pora i tym trudniej będzie ci znaleźć powód wizyty w pokojach księcia.

Sarkazm podniósł się gwałtownie i odszedł. Arogant tkwił w kącie jak kamień, gapiąc się na mnie z uśmiechem. Przed powrotem do Koziej Twierdzy powinienem zabić ich obu i w ten sposób udowodnić swoją wartość jako skrytobójcy. Zastanowiłem się, czy o tym wiedzieli. Uśmiechnąłem się do Aroganta, smakując dym na dnie gardła. Wziąłem truciznę i wyszedłem.

U podnóża schodów prowadzących do pokojów księcia Władczego wycofałem się pod ścianę, gdzie było najciemniej, i wspiałem się po jednej z podpór. Wczołgałem się na bale pod podłogą. Czekałem. Długo. Aż pośród oparów dymu snujących się po mojej głowie, osłabiony przez własne zmęczenie i opóźnione efekty działania ziela Ketricken, zacząłem się zastanawiać, czy mi się to wszystko nie przyśniło. Czy mój nieudolny podstęp cokolwiek da? Przypomniały mi się słowa księcia Władczego, że żądał przybycia wielmożnej pani Tymianek. Król Roztropny wysłał jednak mnie. Cierń był tym zdziwiony. I w końcu przyszły mi na myśl gorzkie słowa mojego nauczyciela. Czy król poświęcił mnie dla księcia Władczego? A jeśli tak, czy byłem winien lojalność któremukolwiek z nich?

W końcu Arogant wyszedł i po jakimś czasie, który wydawał mi się wiecznością, wrócił z Gruzłem.

Niewiele mogłem usłyszeć przez podłogę, ale rozpoznałem głos księcia Władczego. Plan mojego wieczoru został przedstawiony Gruzłowi. Kiedy byłem już pewien swego, wyostałem się z kryjówki i wycofałem do pokoju. Tam zaopatrzyłem się w pewien szczególny przedmiot. Powtórzyłem sobie niewzruszenie, że jestem człowiekiem króla. Tak

powiedziałem księciu Szczeremu. Ruszyłem cicho przez pałac. W sali biesiadnej ludzie spali na matach na podłodze, ułożeni w kręgach wokół podwyższenia, by następnego dnia rano mieć jak najlepszy widok na ślubowanie księżniczki. Przeszedłem między nimi i nikt się nawet nie poruszył.

Tyle ufności - pomyślałem. - Tak fatalnie ulokowanej.

Pokoje rodziny królewskiej znajdowały się na samym tyle pałacu, najdalej od głównego wejścia. Nie było żadnej straży. Minałem wejście prowadzące do sypialni króla, minąłem sypialnię księcia Ruriska i doszedłem do sypialni księżniczki Ketricken. Na ekranie wymalowano kolibry i egzotyczne kwiaty. Przyszło mi do głowy, że błazen byłby zachwycony. Zapukałem lekko i czekałem. Minęło kilka chwil. Zapukałem ponownie.

Usłyszałem szuranie bosych stóp na drewnianej podłodze i malowany ekran został odsunięty. Ketricken miała włosy niedawno zaplecione, ale cienkie pasma wokół twarzy już się wyswobodziły z warkoczy. Długa biała koszula nocna podkreślała jasną cerę do tego stopnia, że księżniczka wydała mi się blada na podobieństwo Błazna.

- Czy potrzebujesz czegoś? - spytała rozespana.

- Tylko odpowiedzi na jedno pytanie. - Dym ciągle przeszkadzał mi myśleć. Chciałem się uśmiechnąć, wyglądać w jej oczach na mądrego i rozsądnego.

„Błada piękność” - przyszło mi do głowy. Odepchnąłem tę myśl. Księżniczka czekała.

- Gdybym dziś w nocy zabił twojego brata - uważnie dobierałem słowa - co byś zrobiła?

Nawet się ode mnie nie odsunęła.

- Zabiłabym ciebie, oczywiście. W każdym razie żądałabym twojej śmierci, by sprawiedliwości stało się zadość. Gdy zostaniemy członkami jednej rodziny, nie będę mogła sama upuścić twojej krwi.

- Ale ślub się odbędzie mimo wszystko? Tak czy inaczej poślubisz księcia Szczerego?

- Wejdiesz?

- Nie mam czasu. Poślubisz księcia Szczerego?

- Jestem przyrzeczona Królestwu Sześciu Księstw jako przyszła władczyni. Przyrzeczona waszemu ludowi. Jutro będę przysięgała następcy tronu. Nie człowiekowi o imieniu Szczery. A nawet gdyby było inaczej, zapytaj siebie samego, jakie wyjście jest konieczne. Ja już jestem związana. Nie własną przysięgą, lecz słowem mojego ojca. I brata. Nie chciałabym wyjść za mąż za człowieka, który by rozkazał uśmiercić mojego brata. Ale nie jemu będę przysięgała. Nie jemu, lecz Królestwu Sześciu Księstw. Jemu jestem przeznaczona na władczynię, w nadziei na korzyści dla mojego ludu. Tak muszę postąpić.

Pokiwałem głową.

- Dziękuję, pani. Wybacz, że przerwałem ci odpoczynek.

- Dokąd idziesz teraz?

- Do twojego brata, pani.

Nadal stała w progu, podczas gdy ja odwróciłem się i poszedłem ku sypialni jej brata. Zapukałem. Książę Rurisk musiał być niespokojny i jeszcze nie spał, bo ukazał się natychmiast.

- Mogę wejść?

- Oczywiście. - Serdeczny, tak jak się spodziewałem. Cień uśmiechu zagościł mi na ustach na myśl o rozwiązaniu, które obmyśliłem.

„Cierń nie byłby teraz z ciebie dumny” - zgañiłem siebie w duszy.

Wszedłem, a książę zasunął za mną ekran.

- Możemy się napić wina? - spytałem.

- Jeśli sobie życzysz - odparł zdziwiony, ale uprzejmy.

Usiadłem na krześle, a on odkorkował karafkę i nalał dla nas obu. Na jego stole stała kadzielnica, jeszcze ciepła. Nie widziałem, żeby odurzał się wcześniej. Prawdopodobnie uważał, iż bezpieczniej będzie to zrobić w samotności. Ale człowiek nigdy nie wie, kiedy

zajrzy do niego skrytobójca ze śmiercią w dłoni. Zmusiłem się do głupiego uśmiešku. Książę napelnił dwa kieliszki. Pochyliłem się i pokazałem mu zwitek papieru. Starannie wytrząsałem zawartość do jego kielicha, uniosłem szkło i zakręciłem nim, żeby sprawdzić, czy proszek dobrze się rozpuścił. Podałem księciu naczynie.

- Jak widzisz, przyszedłem cię otruć. Umierasz. Ketricken mnie zabija. Potem wychodzi za mąż za następcę tronu Królestwa Sześciu Księstw. - Podniosłem swój kieliszek i upiłem z niego łyk. Jabłecznik. Domyśliłem się, że z Księstwa Trzody. Prawdopodobnie prezent ślubny. - Co na tym zyskuje książę Władczy?

Książę Rurisk popatrzył na swoje wino z niesmakiem i odstawił je na bok. Wziął kieliszek z mojej ręki. Napił się z niego.

- Pozbywa się ciebie - w jego głosie nie było zaskoczenia. - Zgaduję, że nie ceni sobie twojego towarzystwa. Dla mnie był bardzo łaskawy, obdarował wieloma prezentami zarówno mnie, jak i moje królestwo. Ale gdybym ja umarł, Ketricken zostałyby jedyną dziedziczką naszych ziem. To byłaby bezsprzeczna korzyść dla Królestwa Sześciu Księstw, prawda?

- Nie potrafimy obronić tego, co już mamy. Poza tym myślę, że książę Władczy widziałby to raczej jako korzyść dla następcy tronu, a nie dla królestwa. - Usłyszałem wyraźny szmer. - To pewnie Gruzeł, który mnie złapie tuż po popełnieniu zbrodni. - Wstałem i podszedłem do wejścia. Ketricken przepchnęła się obok mnie. Szybko zasunąłem za nią ekran.

- On przyszedł cię otruć - ostrzegła Ruriska.

- Wiem - rzekł książę poważnie. - Wsypał mi truciznę do wina. Dlatego piję z jego kielicha. - Dolał trunku i podał naczynie siostrze. Ketricken pokręciła głową. - Jabłecznik - kusił ją brat bezskutecznie, z uśmiechem na ustach.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego - prychnęła. Książę i ja spojrzeliśmy na siebie i wyszczerzyliśmy zęby w uśmiechu. Dym.

Rurisk uśmiechnął się do siostry.

- Bo to, widzisz, jest tak: Bastard Rycerski właśnie się zorientował, że jest martwy. Zbyt wielu osobom powiedziano, iż jest skrytobójcą. Jeśli mnie zabije, ty zabijesz jego. Jeśli mnie nie zabije, jak ma wrócić do domu i stanąć przed swoim królem? Jeśli nawet król mu wybaczy, połowa dworu będzie wiedziała, kim jest. A więc stanie się bezużyteczny. Bezużyteczne bękarty to duży kłopot dla rodziny królewskiej. - Książę Rurisk skończył swój wykład wychylając kielich do dna.

- Ketricken powiedziała mi, że nawet gdybym cię dzisiaj zabił, ona jutro i tak przysięgłaby naszemu następcy tronu. Znowu nie był zdziwiony.

- Co by zyskała, gdyby tego nie zrobiła? Jedyne wrogość Królestwa Sześciu Księstw. Złamałaby słowo dane twojemu ludowi, przynosząc ogromny wstyd naszemu. Stałaby się nikomu niepotrzebnym wyrzutkiem. A mnie by to nie przywróciło życia.

- Czy wasz lud by się nie zbuntował przeciwko oddaniu jej takiemu człowiekowi?

- Dopilnowalibyśmy, żeby nikt się o tym nie dowiedział. To znaczy - poprawił się - oni by dopilnowali: Eyod i moja siostra. Czy całe królestwo ma się pogrążyć w koszmarze wojny z powodu śmierci jednego człowieka? Pamiętaj, tutaj władca jest Poświęceniem. Żyje dla swojego ludu.

Po raz pierwszy zacząłem mieć mgliste pojęcie, co to oznaczają

- Wkrótce mogę się stać dla ciebie kłopotliwy - uprzedziłem go. - Powiedziano mi, że to trucizna działająca bardzo wolno. Nieprawda. To zwykły wyciąg z korzenia śmierci i w rzeczywistości działa dosyć szybko, jeśli go podać w odpowiedniej dawce. Najpierw powoduje dreszcze. - Rurisk położył dłonie na stole. Drżały. Ketricken mierzyła nas obu wściekłym spojrzeniem. - Zgon następuje stosunkowo szybko. Podejrzewam, że mam zostać schwyty na gorącym uczynku i uśmiercony. Zamierzają się mnie pozbyć równocześnie z tobą.

Rurisk chwycił się za gardło, pozwolił głowie opaść na piersi.

- Zostałem otruty! - zaintonował afektowanym głosem.

- Mam tego dosyć - syknęła Ketricken, dokładnie w tym samym momencie gdy Gruzeł gwałtownym ruchem odsunął ekran.

- Zdrada! Zdrada! - krzyknął. Na widok Ketricken krew odpłynęła mu z twarzy. - Księżniczko moja, powiedz, że nie piłaś tego wina! Ten zdradziecki bękart je zatrul!

Myślę, że jego przedstawienie zostało obrócone wniwecz przez brak odpowiedzi. Ketricken i ja wymieniliśmy spojrzenia. Rurisk sturlał się z krzesła na podłogę.

- Och, przestań wreszcie! - syknęła Ketricken.

- Nasypałem trucizny do wina - poinformowałem Gruzła wesoło. - Tak jak mi kazano.

A potem pierwsza konwulsja wygięła w łuk ciało Ruriska.

Jakbym dostał obuchem po łbie; w jednej chwili pojąłem: zostałem wystrychnięty na dudka. Trucizna w winie. Podarunek z Księstwa Trzody, prawdopodobnie ofiarowany właśnie tego wieczoru. Książę Władczy nie mógł liczyć, że ja je tutaj przyniosę, ale dostarczenie trunku do pokojów syna władcy nie było trudne w miejscu tak źle strzeżonym. Rurisk znów wyprężył się w łuk. Nie mogłem mu pomóc. Sam czułem coraz większe odrętwienie języka. Zastanowiłem się, chyba niepotrzebnie, jak silna była dawka. Ja wypilem tylko łyk. Czy umrę tutaj, czy na szafocie?

W następnej chwili Ketricken także pojęła, że jej brat umiera naprawdę.

- Ty draniu! - smagnęła mnie wściekłością i opadła u boku Ruriska. - Uspiełeś jego podejrzenia żartami i dymem, uśmiechałeś się do niego wiedząc, że umiera! - Przeskoczyła wzrokiem na Gruzła. - Żądam śmierci mordercy! Powiedz księciu Władczemu, by tu przyszedł, natychmiast!

Ruszyłem do drzwi, ale Gruzeł był szybszy. Oczywiście. Dziś wieczorem trzymał się z daleka od dymu. Był szybszy niż ja i silniejszy, i miał lżejszą głowę. Jego ramiona zamknęły się wokół mnie niczym stalowa obręcz. Powalił mnie na podłogę, wbił mi pięść w żołądek. Znałem jego oddech, zapach jego potu. Kował je czuł, zanim umarł. Miałem w rękawie nóż, bardzo ostry i nasączony najszybszą trucizną, jaką znał Cierń. Ugodziłem Gruzła. Zdołał mnie uderzyć jeszcze dwa razy, mocno. Wreszcie przewrócił się na wznak, wstrząsany agonią. Zegnaj, Gruzeł. Kiedy upadł, nagle zobaczyłem piegowatego chłopca stajennego, który mówił „Chodźmy razem, tam znajdziemy ciekawe towarzystwo”. Mogło się zdarzyć tak różnie. Znałem tego człowieka tyle lat. Zabijając go, zabiłem część własnego życia.

Brus będzie się na mnie bardzo gniewał.

Wszystkie te myśli przemknęły mi przez głowę w ułamku sekundy. Dłoń Gruzła nie opadła jeszcze na podłogę, a ja już znajdowałem się w drodze do drzwi.

Ketricken była jeszcze szybsza. Myślę, że chwyciła miedziany dzban na wodę. Zobaczyłem białą fontannę światła...

Kiedy odzyskałem przytomność, wszystko mnie bolało. Najgorszy ból umiejscowił się w nadgarstkach, bo sznur, którym związano mi ręce za plecami, zaciśnięty był nieznośnie mocno. Niesiono mnie. Ani Arogant, ani Sarkazm nie przykładali specjalnej wagi do tego, czy doniosą mnie w całości. Był też książę Władczy z pochodnią i jakiś nie znany mi Chyruda, który wskazywał drogę. Nie wiedziałem, gdzie jestem, poza tym że na pewno znajdowałem się poza pałacem.

- Nie ma jakiegoś innego miejsca? Strzeżonego? - pytał książę Władczy. Otrzymał niegłośną odpowiedź. - Nie, masz rację. Nie chcemy teraz wielkiej wrzawy. Najwcześniej jutro. Choć nie sądzę, żeby dożył jutra.

Otwarto jakieś drzwi i zostałem rzucony na twardą ziemię, ledwie przyprószoną słomą. Wdychałem kurz i plewy. Nie mogłem odkaslnąć. Książę Władczy machnął pochodnią.

- Idź do księżniczki - nakazał Sarkazmowi. - Powiedz jej, że zaraz przyjdę. Spytaj, czy możemy zrobić coś, by ulżyć księciu. Ty, Arogant, wezwij Dostojnego. Będziemy go potrzebowali, żeby użył Mocy i powiadomił króla Roztropnego, jaką zmiję wyhodował na

własnej piersi. Będę potrzebował zgody króla na śmierć bękarta. Jeśli będzie żył na tyle długo, by doczekać wyroku skazującego. Idźcie już. Idźcie.

Poszli, a Chyrda oświecił im drogę. Książę Władczy został. Odczekał, aż ich kroki zginęły w oddali, a wtedy z całej siły kopnął mnie w żebra. Krzyknąłem bez słów, gdyż usta i gardło miałem całkowicie odrętwiałe.

- To chyba kiedyś już było, nie wydaje ci się? Ty poniewierałeś się w słomie, a ja patrzyłem na ciebie i myślałem, ile nieszczęść wprowadzisz w moje życie. Dziwne, tak wiele historii kończy się podobnie, jak zaczyna. I sprawiedliwość także kołem się toczy. Sam przyznaj, wszak padłeś ofiarą zdrady i trucizny, podobnie jak moja matka. Ach, drgnąłeś. Sądziłeś, że nie wiedziałem? Wiedziałem. Wiem o wielu sekretnych sprawach. Wiem wszystko, poczynając od cuchnącej suki Tymianek, aż po tę historię jak utraciłeś Moc, gdy już nie mogłeś korzystać z energii Brusa. Szybko się ciebie pozbył, kiedy zrozumiał, że w przeciwnym wypadku może zapłacić życiem.

Wstrząsnął mną dreszcz. Książę Władczy roześmiał się głośno. Potem westchnął.

- Szkoda, że nie mogę zostać i popatrzeć. Muszę pocieszyć księżniczkę. Biedna mała, przyrzeczona człowiekowi, którego już nienawidzi.

Czy książę Władczy odszedł wtedy od razu, czy nie, tego nie wiem. Miałem wrażenie, że otworzyły się niebiosa i uniosłem się w bezkresną przestrzeń.

„Być otwartym - powiedział książę Szczery - to po prostu nie być zamkniętym”.

Śniłem chyba o błaznie. I o następcy tronu, śpiącym z rękoma splecionymi na głowie, jak gdyby chciał utrzymać w niej myśli. I o głosie Konsyliarza, odbijającym się echem w ciemnym, zimnym pokoju.

- Lepiej jutro. Gdy używa Mocy, ledwie pamięta, gdzie się w ogóle znajduje. Nie mam dostatecznie silnej więzi, żeby to zrobić na odległość. Będzie potrzebny fizyczny kontakt.

W ciemności rozległ się nieprzyjemny mysz pisk, głos z umysłu, którego nie znałem.

- Zrób to teraz - nalegał.

- Nie bądź głupi - zganił Konsyliarz. - Czy mamy wszystko stracić z powodu głupiego pośpiechu? Jutro w zupełności wystarczy. Pozwól mi się martwić o tę część planu. Ty musisz uporządkować sprawy tam. Arogant i Sarkazm wiedzą za dużo. I koniuszy wadzi nam już zbyt długo.

- Każesz mi brodzić we krwi - zapiszczała mysz rozzłoszczona.

- Przejdź przez nią do tronu.

- Gruzeł nie żyje. Kto zadba o moje konie?

- Więc zostaw koniuszego - zdecydował Konsyliarz z obrzydzeniem. A potem dodał z namysłem: - Poradzę sobie z nim sam, gdy wrócicie do domu. W niczym to nie przeszkodzi. Ale z tamtymi trzeba skończyć szybko. Może bękart zatruł jeszcze inne wino w waszych kwaterach. Wielka szkoda, że służba się nim uraczyła.

- Wielka szkoda. Musisz mi znaleźć nowego kamerdynera.

- Twoim kamerdynerem będzie żona. Powinieneś teraz być z nią. Właśnie straciła brata. Jesteś przerażony tym, co się stało. Próbuji winić raczej bękarta niż Szczerego. Ale nie nazbyt intensywnie. A jutro, kiedy będziemy pogrążeni w żałobie równie głęboko jak ona, cóż, wtedy zobaczymy, do czego wiedzie uczucie odwzajemnionej sympatii.

- Ona jest wielka jak krowa i blada jak ryba.

- Ale razem z jej górskimi ziemiami będziesz miał łatwe do obrony królestwo śródlądowe. Wiesz przecież, że księstwa nadbrzeżne nie opowiedzą się za tobą, Księstwo Trzody zaś i Rolne nie przetrwają samotnie pomiędzy górami a księstwami nadbrzeżnymi. Poza tym nie ma potrzeby, żeby żyła długo po urodzeniu dziecka.

- Bastard Rycerski Przezorny - wymamrotał książę Szczery przez sen.

Król Roztropny i Cierń grali w kości. Księżna Cierpliwa poruszyła się we śnie.

- Rycerski? - spytała miękko. - To ty?

- Nie - powiedziałem. - To nikt. Zupełnie nikt.

Skinęła głową i usnęła ponownie.

Kiedy znów udało mi się skupić wzrok, leżałem samotnie w ciemności. Szczekałem zębami, a brodę i cały przód koszuli miałem zupełnie mokre od śliny. Odrętwienie wydało mi się nieco mniejsze. Czy to oznaczało, że trucizna mnie nie zabije? Jeśli nawet, cóż z tego? Niewielkie miałem szansę przemówić we własnej obronie. Ręce tak mi ścierpły, że straciłem w nich czucie. Przynajmniej już nie bolały. Przeróżnie chciało mi się pić. Zastanawiałem się, czy książkę Rurisk już umarł. Wypił o wiele więcej wina niż ja. A Cierń powiedział, że ta trucizna działa szybko.

Jakby w odpowiedzi na moje pytanie przeszywający płacz najczystszy bólu wzniósł się do księżycy. Zawodzenie zawisło tam, a potem wyrwało mi serce i poszybowało wyżej. Gagatek stracił pana.

Sięgnąłem ku niemu, otuliłem go Rozumieniem.

„Wiem, wiem”.

Razem drżeliśmy, bo ten, którego kochaliśmy, odszedł na zawsze. Ogarnęła nas niewysłowiona samotność.

„Chłopiec?” - usłyszałem. Słabo, ale naprawdę usłyszałem.

Łapa, potem pysk, drzwi się uchyliły. Pies podszedł do mnie cicho. Jego nos powiedział mi, jak fatalnie było mnie czuć. Dymem, krwią i potem zrodzonym ze strachu. Położył się obok mnie i oparł łeb na moich plecach. Wróciła więc. Silniejsza teraz, kiedy zabrakło Ruriska.

„Zostawił mnie. Boli”.

„Wiem”.

Minęło dużo czasu.

„Uwolnisz mnie?”

Stary pies podniósł łeb. Ludzie nie potrafią cierpieć tak jak psy. Powinniśmy być za to wdzięczni naturze. Wydobył się jednak z otchłani udręczenia i startymi siekaczami zaczął przegryzać moje więzy. Czuję, jak puszczają, nitka po nitce, ale nie miałem siły nawet ich naciągnąć. Gagatek odwrócił łeb i wziął pęta między zęby trzonowe.

W końcu sznury puściły. Wyciągnąłem ramiona do przodu. Wtedy wszystko zabolowało inaczej. Nadal nie czułem rąk, ale mogłem się przetoczyć na plecy i wydobyć twarz ze słomy. Obaj westchnęliśmy ciężko. Gagatek położył mi łeb na piersiach, a ja objąłem go zeszywniałym ramieniem. Wstrząsnął mną kolejny dreszcz. Opanowały mnie tak gwałtowne skurcze, że z bólu aż pojawiły mi się jasne plamki przed oczyma. Długo to trwało, lecz wreszcie minęło, a ja ciągle oddychałem.

Ponownie otworzyłem oczy. Oślepiło mnie światło, ale nie miałem pewności, czy było rzeczywiste. Gagatek, leżący obok mnie, zadudnił ogonem w słomę. Brus wolno pochylił się nad nami. Delikatnie położył rękę na grzbiecie psa. Kiedy zdołałem skoncentrować wzrok na twarzy koniuszego, ujrzałem w niej smutek.

- Umierasz? - zapytał głosem bez wyrazu.

- Nie wiem. - Tylko tyle zdołałem powiedzieć. W dalszym ciągu nie miałem czucia w twarzy. Brus wyprostował się i odszedł. Zabrał ze sobą latarnię. Leżałem samotny w ciemnościach.

Światło wróciło, a z nim Brus z czerpakiem pełnym wody. Podniósł mi głowę i wlał trochę wody do ust.

- Nie połykaj, wypluj - przestrzegł mnie, ale ja i tak nie mogłem poruszyć grdyką.

Przeplukał mi usta jeszcze dwukrotnie, a potem o mało mnie nie utopił, próbując napić. Odsunąłem czerpak drewnianą ręką.

- Nie - zdołałem jęknąć.

Po jakimś czasie przejaśniło mi się w głowie. Przesunąłem językiem po zębach.

- Zabiłem Gruzła - powiedziałem.

- Wiem. Przynieśli jego ciało do stajni. Nikt nie chciał mi nic powiedzieć.

- Jak mnie znalazłeś? Westchnął.
- Miałem przeczucie.
- Słyszałeś Gagatka.
- Tak. Słyszałem jego wycie.
- Nie o to mi chodzi. Długo milczał.
- Pojmować Rozumienie to nie to samo, co go używać. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Odezwałem się dopiero po długiej chwili.
- To Gruzeł zaatakował cię wtedy na schodach.
- On? - Brus się zastanowił. - Nie mogłem zrozumieć, dlaczego psy nie czekały. Znały go. Tylko Kowal zareagował.
Moje ręce raptownie wróciły do życia. Przycisnąłem je do piersi i przetoczyłem się na brzuch. Gagatki zaskowyczały.
- Przestań - syknął Brus.
- Nic nie poradzę - wydusiłem z siebie. - Strasznie boli, on to czuje.
Brus milczał.
- Pomożesz mi? - spytałem w końcu.
- Nie wiem - odrzekł cicho, a potem dodał niemal błagalnym tonem: - Bastardzie, kim ty jesteś? Kim się stałeś?
- Jestem rym, kim jestem - odparłem szczerze. - Człowiekiem króla. Brus, chcą zabić księcia Szczerego. Jeśli to zrobią, księżę Władczy zostanie następcą tronu.
- O czym ty mówisz?
- Jeśli zostaniemy tutaj, aż ci wszystko opowiem, będzie za późno. Pomóż mi się stąd wydostać.
Wydawało mi się, że myślał nad tym bardzo długo. W końcu jednak pomógł mi wstać, a ja zawisłem na jego ramieniu i niepewnie pokuśtykałem przez stajnię w ciemną noc.

23

ZAŚLUBINY

Sztuka dyplomacji polega na tym, by mieć szczęście poznać więcej sekretów twojego rywala niż on twoich. Zawsze występować z pozycji siły. Takimi maksymami kierował się król Roztropny. Księżę Szczery także je uznawał.

* * *

- Musisz znaleźć Dostojnego. On jest jedyną nadzieją księcia Szczerego.
Siedzieliśmy w szarości przedświt na zboczu wzgórza ponad pałacem. Nie zaszliśmy daleko. Teren był stromy, a ja nie miałem siły wędrować. Zaczynałem podejrzewać, że kopniak księcia Władczego odnowił mi obrażenia żeber. Kłujący ból odzywał się przy każdym głębszym oddechu. Trucizna w dalszym ciągu przyprawiała mnie o drgawki, nogi się pod mną załamywały. Nie potrafiłem ustać o własnych siłach. Nie mogłem nawet przyłgnąć do drzewa. Dookoła nas budziły się leśne ptaki; śpiewały, ćwierkały, zbierały zapasy na zimę. Grały koniki polne. A ja, w samym środku tego ożywienia, rozmyślałem, które skutki działania trucizny okażą się trwałe. Czy minęły już dni mojej młodości i siły? Czy nie pozostało mi nic poza drzeniem i słabością? Próbowałem zapomnieć o tych pytaniach, skoncentrować się na ważniejszych problemach, dotyczących Królestwa Sześciu Księżt.

Wyciszyłem siebie, tak jak uczył mnie Cierń. Otaczały nas ogromne, przepelnione spokojem drzewa. Zrozumiałem, dlaczego Eyod nie chciał ich ścinać. Igły ścieliły się miękko pod nami, łagodna żywiczna woń uspokajała. Chciałbym po prostu położyć się i usnąć, jak Gagateg u mojego boku. Obaj cierpieliśmy, ale on przynajmniej mógł uciec w sen.

- Dlaczego sądzisz, że Dostojny nam pomoże? - zapytał Brus. - Zakładając, że zdołam go tu przyprowadzić. Wróciłem myślami do naszych problemów.

- Wydaje mi się, że nie jest w to wszystko zaangażowany. Chyba nadal służy wiernie królowi. Przedstawiłem Brusowi tę informację w formie własnej, ostrożnej konkluzji, gdyż jego by nie przekonały widmowe głosy przemawiające w mojej głowie. Dlatego nie mogłem mu powiedzieć, że Konsyliarz nie myślał zabijać Dostojnego, a co za tym idzie, Dostojny najprawdopodobniej nic o całym spisku nie wie. Nadal nie byłem pewien, czego właściwie doświadczyłem. Przecież księżę Władczy nie potrafił posługiwać się Mocą. A gdyby nawet, jak to możliwe, że podsłuchałem rozmowę prowadzoną za pośrednictwem Mocy przez dwóch innych ludzi? Nie, to musiało być coś innego, jakiś inny rodzaj magii. Wymyślony przez Konsyliarza? Czy był zdolny do tak silnej magii? Nie wiedziałem. Tak wiele nie wiedziałem. Zmusiłem się do zaniechania tych rozważań. Na razie podsłuchana mimowolnie rozmowa pasowała do faktów, które znałem, lepiej niż każda teoria, jaką mógłbym wysnuć.

- Jest wierny królowi, ale nie podejrzewa księcia Władczego, więc jemu jest wierny także - podkreślił Brus, jakbym był niespełna rozumu.

- Zatem będzie trzeba go jakoś zmusić. Musimy ostrzec następcę tronu.

- Oczywiście. Po prostu wejdę do pałacu, przyłożę Dostojnemu nóż do pleców i przyprowadzę go tutaj. Nikt nam nie przeszkodzi.

Próbowałem coś wymyślić.

- Możesz kogoś przekupić, żeby go wyprowadził z pałacu. Dalej dasz sobie radę.

- Nawet gdybym znał kogoś przekupnego, to co miałbym mu dać?

- To. - Dotknąłem kolczyka.

Brus spojrzał nań i prawie podskoczył.

- Skąd go masz?

- Księżna Cierpliwa mi podarowała. Tuż przed wyjazdem.

- Nie miała prawa! - A potem spokojniej: - Myślałem, że znalazł się z nim w grobie. Milczałem i czekałem. Brus spojrzał w bok.

- Należał do twojego ojca. Ja mu go dałem - powiedział cicho.

- Dlaczego?

- Dlatego że chciałem. - Zamknął temat. Zacząłem odpinać kolczyk.

- Nie - wykrztusił Brus ochryple. - Zostaw. Ale to nie jest rzecz, którą można zmarnować na przekupstwo. Zresztą tych Chyurdów nie sposób przekupić.

Miał rację. Próbowałem wymyślić coś innego. Słońce wspięło się wyżej na niebo. Ranek czynu Konsyliarza. Być może, mistrz Mocy już zrobił swoje. Chciałbym wiedzieć, co się teraz dzieje w pałacu. Czy już wiedzą, że zniknąłem? Czy Ketricken już się przygotowała do poślubienia człowieka, którego zawsze będzie nienawidziła? Czy Sarkazm i Arogant byli już martwi? A jeśli nie, to czy mógłbym obrócić ich przeciwko księciu Władczemu, ostrzegając przed zagrożeniem?

- Ktoś idzie! - Brus leżał płasko na ziemi. Ja leżałem spokojnie, zrezygnowany i gotowy na wszystko. Nie zostało we mnie woli walki.

- Znasz ją? - tchnął Brus w moje ucho.

Obróciłem głowę. Jonki szła prowadzona przez małego psiaka, który już nigdy nie miał się wdrapywać na drzewa dla księcia Ruriska.

- To siostra króla - nawet nie próbowałem szeptać. Jonki niosła jedną z moich nocnych koszul i w następnej chwili psiak radośnie podskakiwał wokół nas. Zapraszał Gagatka do zabawy, ale stary ogar tylko spojrzał na niego żałośnie. Zaraz potem zjawiała się przy nas Jonki.

- Musisz wracać - oznajmiła bez żadnych wstępów. - I to szybko.

- Trudno mi się śpieszyć na własny pogrzeb - odparłem. Spoglądałem w las za jej plecami, oczekując kolejnych tropicieli. Brus wstał i ustawił się przede mną w pozycji obronnej.

- Nie po śmierć - rzekła spokojnie. - Ketriken ci wybaczyła. Rozmawialiśmy całą noc, dopiero przed chwilą dała się przekonać. Skorzystała z prawa, by wybaczyć krewnemu krzywdę uczynioną krewnemu. Według naszego prawa, jeśli krewny wybaczy krewnemu, nikt inny nie może się domagać kary. Twój książę Władczy próbował zmienić tę decyzję, ale tylko rozzłościł Ketriken. „Tutaj - powiedziała - dopóki jestem w tym pałacu, mogę postępować zgodnie z prawem górskiego ludu”. Król Eyod pogodził się z jej postanowieniem. Rozpacza po śmierci Ruriska, ale wie, że siła i mądrość praw muszą być respektowane przez wszystkich. Przez ciebie także. Więc musisz wrócić.

Zastanowiłem się.

- A czy ty mi wybaczyłaś?

- Nie - burknęła. - Nie mogę ci wybaczyć tego, czego nie zrobiłeś. Nie piłyś wina, które sam zatrąłeś. Nawet łyka. Ci, którzy znają działanie trucizny, najmniej chętnie doświadczają go na sobie. Mogłeś po prostu udawać, że pijesz. Nie, to nie twoje dzieło. Zabił Ruriska ktoś, kto ma siebie za bardzo przebiegłego, a innych za kompletnych głupców.

Poczułem raczej, niż dostrzegłem, że Brus się rozluźnił. Ja nie potrafiłem.

- Dlaczego Ketriken nie może mi po prostu wybaczyć i pozwolić odejść? Dlaczego muszę wracać?

- Nie mamy czasu! - syknęła Jonki i nigdy więcej nie widziałem u Chyurdów nic, co by bardziej przypominało złość. - Mam ci przez miesiące i lata tłumaczyć wszystko, co wiem o równowadze? O pchnięciu i pociągnięciu, wdechu i wydechu? Twoim zdaniem nikt nie czuje, jak władza obraca się i kołysze? Księżniczka musi się pogodzić z faktem, że jest stąd wyprowadzana jak cielę na rzeź. Ale moja bratanica nie jest kamieniem w grze w kości. Morderca mojego bratanka najwyraźniej chciał także twojej śmierci. Czy mam mu pozwolić wygrać ten rzut? Nie. Nie wiem, komu życzę zwycięstwa, ale dopóki się nie dowiem, nie pozwolę na wyeliminowanie żadnego gracza.

- To rozumiem - uznał Brus. Schylił się i dźwignął mnie na nogi.

Świat ostrzegawczo zawirował mi przed oczyma. Jonki wzięła mnie pod drugie ramię. Szli, a ja między nimi stawałem nogi niczym marionetka. Gagatek dźwignął się i poszedł za nami. I tak wróciliśmy do pałacu w Stromym.

Brus i Jonki poprowadzili mnie przez coraz gęściejszy tłum na dziedzińcu i w samym pałacu do mojego pokoju. Wzbudzałem niewielkie zainteresowanie. Jeszcze jeden obcy, który wypił za dużo wina i nawdychał się zbyt wiele dymu ostatniej nocy. Ludzie byli zaabsorbowani wyszukiwaniem miejsc z dobrym widokiem na podwyższenie, nikt nie przejmował się moją osobą. Panował nastrój radosnego podniecenia, więc doszedłem do wniosku, że śmierć księcia Ruriska utrzymano w tajemnicy. Kiedy wreszcie znaleźliśmy się w moim pokoju, jasna twarz Jonki pociemniała.

- Ja tego nie zrobiłam! Ja tylko wzięłam koszulę, żeby Ruta złapała ślad.

„To” było straszliwym bałaganem panującym w moim pokoju. Został uczyniony niezbyt dyskretnie, za to bardzo konsekwentnie. Jonki natychmiast wzięła się do robienia porządków, a Brus przyłączył się po chwili. Ja siedziałem na krześle i próbowałem cokolwiek zrozumieć. Gagatek, przez nikogo nie zauważony, zwinął się w kącie. Odruchowo przesłałem mu Rozumieniem odczucie uspokojenia. Brus natychmiast obrzucił mnie ostrym wzrokiem, potem spojrzął na nieszczęsnego psa. Odwrócił oczy. Po jakimś czasie Jonki wyszła po wodę do mycia i jedzenia.

- Czy znalazłeś małą drewnianą szkatułkę? - spytałem Brusa. - Rzeźbioną w żółędzie.

Pokręcił głową. Tak więc zabrali mój warsztat pracy. Oczywiście. Mógłbym przecież sprepować następny sztylet albo przygotować inną broń. Brus nie będzie mnie chronił

wiecznie, a ja sam, w obecnym stanie, nie mogłem się obronić przed żadnym napastnikiem ani nawet uciec. A teraz moje narzędzia zniknęły. Pozostawało mi mieć nadzieję, że nie będę ich potrzebował. Podejrzywałem, że nieproszonym gościem w moim pokoju był Arogant. Takie miał ostatnie zadanie.

Jonki wróciła z wodą i jedzeniem, a potem przeprosiła nas i zostawiła samych. Umyliśmy się obaj, Brus pomógł mi się przebrać w czyste, proste ubranie. Sięgnął po jabłko. Mój żołądek kurczył się na samą myśl o jedzeniu, ale wypilem zimnej wody z dzbana, który przyniosła Jonki. Przetłokanie ciągle wymagało dużego wysiłku. Podejrzywałem jednak, że woda powinna mi dobrze zrobić.

Czas gęstniał wokół mnie, a ja nie wiedziałem, kiedy Konsyliarz uczyni swój ruch.

Ekran przesunął się na bok. Podniosłem wzrok, spodziewając się ponownie Jonki, ale to był Dostojny, promieniujący wzgardą. Przemówił natychmiast, chcąc jak najszybciej wykonać polecenie i wyjść.

- Nie przychodzę tutaj z własnej woli. Przychodzę na życzenie następcy tronu, księcia Szczerego, by powtórzyć jego słowa. Oto one: „Pogrążyłem się w żałobie, usłyszawszy”...

- Rozmawiałeś z nim? Dzisiaj? Jak on się czuje? Dostojny zawrzał oburzeniem, ale się opanował.

- Nie najlepiej. Pogrążył się w żałobie na wieść o śmierci księcia Ruriska i twojej zdradzie. Masz zebrać siły, a także poszukać wsparcia lojalnych ci ludzi, bo będziesz tego potrzebował.

- Czy to wszystko?

- Od następcy tronu, księcia Szczerego, tak. Książę Władczy każe ci się stawić u niego na posługi, i to szybko, bo do ceremonii zostało zaledwie kilka godzin, a on musi być odpowiednio ubrany. A twoja podła trucizna, bez wątpienia przeznaczona dla księcia Władczego, dosięgła biednego Sarkazma i Aroganta. Teraz książę Władczy musi sobie dawać radę z nie przyuczonym kamerdynerem. Będzie się dłużej ubierał. Więc nie każ mu czekać. Jest w łaźni, próbuje dojść do siebie po przeżytych wstrząsach. Tam go znajdziesz.

- Nie przyuczony kamerdyner - odezwał się Brus zjadliwie. - To straszne.

Dostojny nadął się jak ropucha.

- Nie ma w tym nic śmiesznego. Czyż ty nie straciłeś Gruzła przez tego łajdaka? Jak możesz mu teraz pomagać?

- Gdyby cię nie chroniła twoja nieświadomość, Dostojny, byłbym ci to wyjaśnił. - Brus wstał; wyglądał groźnie.

- Ty także będziesz odpowiadał za swoje uczynki - odparował Dostojny cofając się z lękiem. - Mam ci powiedzieć, Brusie, że następca tronu, książę Szczery, wie o tym, jak ośmieliłeś się pomóc bękartowi w ucieczce, usługując mu, jakby to on, a nie książę Szczery był twoim panem. Zostaniesz za to osądzony.

- Książę Szczery tak powiedział? - spytał Brus z zainteresowaniem.

- Tak powiedział. Powiedział, że byłeś niegdyś jednym z najlepszych spośród ludzi księcia Rycerskiego, ale najwyraźniej zapomniałeś, jak wspierać tych, którzy prawdziwie służą królowi. Zapamiętaj sobie, on nakazuje ci posłuszeństwo i upewnia cię o swoim wielkim gniewie, jeśli nie wrócisz, by stanąć przed nim i otrzymać to, na co zasłużyłeś swoimi uczynkami.

- Na pewno nie zapomnę. Zaprowadzę Bastarda do księcia Władczego.

- Teraz?

- Jak tylko zje.

Dostojny obrzucił go złym spojrzeniem i wyszedł. Ekranem nie da się skutecznie trzasnąć, ale spróbował.

- Nie mogę się zmusić do jedzenia - zaprotestowałem słabo.

- Domyślam się. Potrzeba nam czasu. Pojąłem ze słów księcia Szczerego więcej niż Dostojny.

A ty?

Pokiwałem głową, czułem się pokonany.

- Ja także zrozumiałem. Tyle że nie potrafię tego uczynić.

- Jesteś pewien? Książę Szczery sądzi inaczej, a on się na tym zna. Powiedziałeś mi, że z tego właśnie powodu Gruzel próbował mnie zabić. Konsyliarz także wierzy, że potrafisz to zrobić. Podejrzewali, że korzystasz z mojej energii. - Brus podszedł do mnie i ukląkł sztywno na jednym kolanie. Druga noga sterczała za nim dziwnie. Ujął moją bezwładną rękę i położył ją sobie na ramieniu. - Byłem człowiekiem księcia Rycerskiego - rzekł cicho. - Nasz następca tronu o tym wiedział. Nie mam w sobie Mocy, ale książę Rycerski nauczył mnie, że do takiego przejścia energii ważniejsze są więzy przyjaźni. Jestem silny. Kilka razy się zdarzyło, że mój pan potrzebował wsparcia, a ja chętnie mu je dawałem. Przechodziłem przez to już kiedyś, w gorszych okolicznościach. Spróbuj, chłopcze. Może nam się nie udać, ale przynajmniej spróbujmy.

- Nie wiem, jak to zrobić. Nie umiem posługiwać się Mocą i nie wiem, jak skorzystać z cudzej energii, by to zrobić. A nawet gdyby mi się powiodło, mógłbym cię zabić.

- Jeśli ci się uda, możesz uratować życie króla. Ja mu przysięgałem. A ty? - W jego słowach wszystko było takie proste.

Spróbowałem więc. Otworzyłem umysł, sięgnąłem ku następcy tronu. Próbowałem, nie mając pojęcia jak powinienem to robić, jak skorzystać z energii Brusa. Niestety, słyszałem tylko śpiew ptaków za ścianami pałacu, a ramię Brusa było jedynie miejscem, gdzie spoczywała moja dłoń. Otworzyłem oczy. Nie musiałem mu mówić, że mi się nie udało. Wiedział. Westchnął ciężko.

- No tak. Chyba zaprowadzę cię do księcia Władczego - powiedział.

- Jeśli nie pójdziemy, do końca życia będziemy się zastanawiali, czego od nas chciał.

Brus się nie uśmiechnął.

- Jesteś niespełna rozumu - powiedział. - Czasami mówisz jak błazen.

- Błazen rozmawia z tobą? - spytałem z ciekawioną.

- Czasami - rzekł i ujął mnie pod ramię, pomagając wstać.

- Najwyraźniej im bliżej śmierci, tym wszystko wydaje się zabawniejsze.

- Może tobie - zaoponował. - Ciekaw jestem, czego on chce.

- Ugody. Niczego innego. A jeśli chce się targować, może zdołamy coś wygrać.

- Mówisz tak, jakby książę Władczy przestrzegał tych samych reguł zdrowego rozsądku co wszyscy. Nienawidzę dworskich intryg - poskarżył się Brus. - Wolałbym już czyścić stajnie.

Jeśli kiedykolwiek się zastanawiałem, jaki wpływ ma korzeń śmierci na swoją ofiarę, teraz już wiedziałem. Nie sądziłem, żeby jeszcze teraz miał mnie uśmiercić. Ale też nie wiedziałem, ile życia we mnie zostawi. Nogi pode mną drżały, chwyt miałem niepewny. Co chwila łapały mnie skurcze. Oddech mi się rwał, serce biło nierównomiernie. Bardzo chciałem zaszyć się gdzieś w kącie, wsłuchać w siebie i zrozumieć, co się dzieje z moim własnym ciałem. Ale Brus cierpliwie kierował moimi krokami, a Gagatki szedł za nami trop w trop.

W przeciwieństwie do Brusa, nie byłem jeszcze w tutejszej łaźni. Osobny pęk tulipana krył wzburzone bańkami gorące źródło, spiętrzone tak, by można w nim było brać kąpiel. Przed wejściem stał jakiś Chyrda; rozpoznałem w nim człowieka, który poprzedniej nocy niósł pochodnię. Jeżeli mój stan go zdziwił, nic po sobie nie pokazał. Odstąpił na bok, jak gdyby się nas spodziewał, i Brus pociągnął mnie po schodach do wejścia.

W powietrzu kłębiły się chmury pary przesycone wonią minerałów. Minęliśmy jakąś kamienną ławkę, potem drugą. Brus stąpał ostrożnie po gładkiej podłodze wyłożonej kafelkami. Zbliżyliśmy się do źródła pary. Woda z głównego strumienia podnosiła się i wypełniała murowany basen. Stamtąd rynnami przepływała ku dalszym, mniejszym basenom, coraz chłodniejszym i o różnej głębokości. Para przesłaniała wszystko, hałas ogłuszał. Nie podobało mi się tutaj. Ledwie miałem czym oddychać. Kiedy wzrok przyzwyczaił mi się do

tej dziwnej mgły, zobaczyłem księcia Władczego, zanurzonego w jednym z większych zbiorników.

- Ach! - zakrzyknął niby to ogromnie zadowolony. - Dostojny mi powiedział, że Brus cię przyprowadzi. No dobrze. Chyba wiesz, że księżniczka wybaczyła ci zamordowanie brata? I czyniąc to uchroniła cię przed sprawiedliwością? Przynajmniej tutaj. Ja uważam to za stratę czasu, ale należy honorować lokalne obyczaje. Powiedziała, że uważa cię teraz za swojego krewnego, więc i ja mam cię traktować w ten sposób. Ona po prostu nie rozumie, że nie zostałeś zrodzony z prawowitego związku i co za tym idzie, nie masz żadnych praw nazywać się jej powinowatym. Ach, cóż. Odpraw Brusa i wykup się ze mną. Może poczujesz się lepiej? Wyglądasz, jakby ci było bardzo niewygodnie wisieć niczym koszula na sznurze do bielizny.

- Mówił swobodnie, wesołym tonem. Czyżby nie był świadom mojej nienawiści?

- Co chcesz mi powiedzieć? - zadbałem, żeby mówić beznamiętnie.

- Nie odeślesz Brusa?

- Nie jestem szalony.

- Z tym akurat można by się sprzeczać, ale jak sobie życzysz. W tej sytuacji będę zmuszony sam się go pozbyć.

Para i szum wody skryły Chyurdę. Był wyższy od koniuszego. Pałka już świsnęła, kiedy Brus się odwrócił. Gdyby mnie nie podtrzymawał, może by się zdążył uchylić. Odskoczył, ale pałka już dosięgła czaszki, z przerażającym trzaskiem, jaki wydaje siekiera wbijana w drewno. Brus upadł, a ja razem z nim. Wpadłem do jednego z mniejszych basenów. Nie zostałem poparzony, choć niewiele brakowało. Zdołałem się wydobyć z wody, lecz nie mogłem stanąć. Nogi mnie nie słuchały. Brus leżał zupełnie nieruchomo. Wyciągnąłem rękę w jego kierunku, ale nie sięgałem, nie mogłem go dotknąć.

Książę Władczy wstał.

- Martwy? - zapytał.

Chyurda chwycił Brusa za stopę, potrząsnął nią, potem krótko skinął głową.

- Dobrze. - Książę Władczy był zadowolony. - Zaciągnij go za tamten głęboki zbiornik w kącie. Potem możesz iść. - A do mnie rzekł: - Mało prawdopodobne, by przed ceremonią ktoś się tutaj zjawiał. Każdy pilnuje swojego miejsca. A w tamtym kącie... cóż, wątpię, by ktoś go odkrył, nim odnajdą ciebie.

Nie potrafiłem się zdobyć na odpowiedź. Chyurda pochylił się i chwycił Brusa za kostki u nóg. Kiedy go ciągnął, ciemne pasemko włosów rysowało na kafelkach krwawy ślad. Trucizna w moich żyłach zawrzała podsycona nienawiścią i rozpaczą. Pozostał mi już tylko jeden cel. Zbliżała się moja ostatnia chwila, ale to nie wydawało się ważne. Musiałem ostrzec księcia Szczerego. I pomścić Brusa. Nie miałem żadnego planu, żadnej broni, żadnych możliwości. Musiałem więc grać na zwłokę. Tak by mi poradził Cierń. Im więcej czasu zdobędziesz, tym większą będziesz miał szansę, że coś się wydarzy. Opóźniaj. Może ktoś przyjdzie zobaczyć, dlaczego książę jeszcze się nie ubiera na uroczystość zaślubin. Może ktoś inny będzie chciał skorzystać z łaźni przed ceremonią. Zajmij go czymś.

- Księżniczka... - zacząłem.

- To żaden kłopot - skończył za mnie książę Władczy. - Nie objęła swoim miłosierdziem Brusa, tylko ciebie. Co zrobiłem z nim, pozostaje moją sprawą. Zdrajca musiał zapłacić za swoje czyny. A człowiek, który się go pozbył, szczerze kochał swojego księcia, Ruriska. Gorąco pragnie twojej śmierci.

Chyurda wyszedł z łaźni, nie oglądając się za siebie. Macałem po gładkich kafelkach, ale nic tam nie było. Książę Władczy wycierał się starannie. Kiedy Chyurda zniknął, stanął nade mną.

- Będziesz wzywał pomocy? - zapytał rozpromieniony. Wzięłem głęboki oddech, splukałem nim strach. Wylałem na księcia Władczego całą swoją pogardę.

- Kto mnie usłyszy?

- Ach tak, więc oszczędzasz siły. To rozsądne. Bezcelowe, ale rozsądne.

- Sądzisz, że Ketricken nie będzie wiedziała, co się tutaj stało?

- Dowie się, że poszedłeś do łaźni, co w twoim stanie było bardzo nierozsądne. I wpadłeś do gorącej wody. Jaka szkoda.

- To szaleństwo. Ile trupów można zostawić za sobą? Jak wytłumaczysz śmierć Brusa?

- Jeśli chodzi o twoje pierwsze pytanie, to owszem, niemało, dopóki są to ludzie bez znaczenia. - Pochylił się nade mną i chwycił za koszulę. Pociągnął mnie za sobą, a ja szamotałem się słabo, jak ryba wyciągnięta z wody. - A w kwestii drugiego, cóż, bez kłopotu. Jak myślisz, ile będzie zamieszania z powodu trupa koniuszego? Jesteś tak zaślepiiony plebejskim przekonaniem o własnej ważności, że rozciągasz je nawet na służbę. - Porzucił mnie beztrzesko, wspartego o Brusa. Ciało było jeszcze ciepłe, leżało twarzą do podłogi. Krew krzepła na kafelkach wokół twarzy i ciągle jeszcze kapłała z nosa. Na wargach wolno uformował się bąbelek i pękł, unicestwiony słabym oddechem. Brus żył jeszcze. Podciągnąłem się, żeby ukryć to przed księciem Władczym. Gdyby mi się udało przeżyć, Brus także miałby jakąś szansę.

Księżę Władczy nic nie zauważył. Ściągnął mi buty i odstawił je na bok.

- Widzisz, bękarcie, okrucieństwo tworzy własne prawa. Matka mnie tego nauczyła. Ludzie boją się człowieka, który działa tak, jakby się nie obawiał konsekwencji. Zachowuj się, jakby nic nie mogło cię zranić, a nikt się nie odważy cię tknąć. Rozważ sytuację. Twoja śmierć rozgniewa kilka osób, to prawda. Ale czy tak bardzo, by podjęli działania, które by mogły zaszkodzić bezpieczeństwu Królestwa Sześciu Księstw? Nie sądzę. Zresztą zostanie przyćmiona przez inne wydarzenia. Byłbym ostatnim głupcem, gdybym nie skorzystał z takiej okazji, żeby się ciebie pozbyć.

Księżę Władczy był tak przerażająco spokojny i opanowany. Wyrывałem mu się, ale był zdumiewająco silny, biorąc pod uwagę jego leniwy tryb życia. Czuję się niczym nieporadny kociak, kiedy wytrząsał mnie z koszuli. Starannie poskładał moje ubranie i ułożył je na podłodze.

- Gdybym uczynił jakiś wysiłek, by dowodzić swojej niewinności, ludzie mogliby pomyśleć, że mi na tym zależy. Tak więc ja o niczym nie wiem. Mój człowiek widział, jak się tu zjawiłeś z Brusem, już po moim wyjściu. A teraz idę powiedzieć Dostojnemu, że nie przyszedłeś porozmawiać ze mną, więc nie mogłem ci oznajmić, że ci wybaczyłem, tak jak przyrzekłem księżniczce Ketricken. Udzielę Dostojnemu surowej reprimendy, że sam cię nie przyprowadził. - Rozejrzał się dookoła. - Zobaczmy. Jakiś głęboki i gorący. Ten.

Chwyciłem go za gardło, kiedy prznosił mnie nad brzegiem basenu, ale uwolnił się z łatwością.

- Żegnaj, bękarcie - rzekł spokojnie. - Wybacz mi pośpiech, ale już i tak jestem przez ciebie spóźniony. Będę musiał się przedko ubierać, żeby zdążyć na zaślubiny.

Zepchnął mnie do basenu.

Był głęboki. Wysoki Chyurda mógł się w nim na stojąco zanurzyć po szyję. I przerażająco gorący, szczególnie dla ciała nie przygotowanego na tak wysoką temperaturę. Szok wyssał mi powietrze z płuc; zalała mnie woda. Odepchnąłem się słabo od dna i zdołałem wystawić twarz nad powierzchnię.

- Brus! - Zmarnowałem oddech na krzyk do człowieka, który nie mógł mi pomóc.

Woda znowu zamknęła się nade mną. Ręce i nogi nie chciały mnie słuchać. Obiłem się o ścianę i poszedłem w dół, nim zdołałem wydobyć się na powierzchnię i chwycić odrobinę powietrza. Gorąca woda rozluźniała moje zwiotczałe mięśnie. Myślę, że gdyby sięgała mi zaledwie kolan, i tak miałem szansę się utopić.

Straciłem rachubę, ile razy zdołałem zaczerpnąć powietrza. Ściany z gładkiego kamienia nie dawały oparcia, a żebra paliły mnie koszmarnym bólem za każdym razem, gdy próbowałem

wziąć głębszy oddech. Siły mnie opuszczały, napływało znużenie. Było tu tak gorąco, tak głęboko.

Utopiony niczym szczeniak - pomyślałem, i poczułem, jak ciemności zamykają się nade mną. „Chłopiec?” - odezwał się ktoś, ale wszystko było czarne.

Tyle wody, taka gorąca i taka głęboka. Nie potrafiłem znaleźć dna, a co dopiero ściany. Walczyłem jeszcze słabo, ale nie znajdowałem oparcia. Nie było góry ani dołu. Nie było sensu walczyć o iskrę życia pozostałą w moim ciele. Nie miałem już czego chronić.

Puść tę ścianę i sprawdź, czy możesz oddać jeszcze jedną, ostatnią przysługę swojemu królowi - pomyślałem leniwie.

Granice mojego świata odsunęły się ode mnie i popędziłem naprzód, jak strzała nareszcie zwolniona z łuku. Konsyliarz miał rację. Dla Mocy nie istnieje odległość, dystans jest zupełnie nieważny. Kozia Twierdza była dokładnie tutaj i...

„Roztropny!” - krzyknąłem rozpaczliwie.

Ale mój król był zajęty czymś innym. Był dla mnie zamknięty i obwarowany, bez względu na to, jak mocno nacierałem. Tutaj nie znajdę pomocy.

Opuszczały mnie siły. Tonąłem. Moje ciało przestawało żyć, bałem się tylko trochę. Jedna, ostatnia szansa.

„Szczery, Szczery!” - krzyknąłem.

Znalazłem go, dobijałem się, ale nie potrafiłem znaleźć wejścia. Był otwarty dla kogoś innego, dla mnie zamknięty.

„Szczery!” - zawyłem tonąc w rozpacz. I nagle mocna dłoń chwyciła mnie, gdy już zjeżdżałem po stromym klifie. Chwyciła i trzymała mocno, żebym się nie ześlizgnął.

„Rycerski? Nie, niemożliwe... to ty, chłopcze? Bastard Rycerski!”

„Wydaje ci się, książę. Nikogo tutaj nie ma. Zajmijmy się tym, co trzeba”.

Konsyliarz, spokojny i podstępny jak trucizna, odepchnął mnie na bok. Nie mogłem mu dać rady, był dużo silniejszy ode mnie.

„Bastard Rycerski?” - Teraz, kiedy słabłem, książę Szczery nie miał pewności.

Nie wiem, skąd wzięłem energię. Coś otworzyło mi drogę i nagle byłem silny. Wczepiłem się w umysł następcy tronu niczym sokół w nadgarstek sokolnika. Widziałem jego oczyma: specjalnie przyozdobiona komnata tronowa, na wielkim stole Księga Zdarzeń, otwarta na odpowiedniej stronie, by przyjąć zapis o małżeństwie księcia. Dookoła wystrojeni z najwyższą elegancją i przybrani w najkosztowniejsze ozdoby nieliczni wielmoże, uhonorowani zaproszeniem, by świadczyć, jak książę Szczery odbiera przysięgę swojej żony, oglądanej oczyma Dostojnego. I Konsyliarz, po którym się spodziewano, że ofiaruje swoją energię, jako człowiek króla, trwał w gotowości pół kroku za księciem, czekając na odpowiednią chwilę, by go pozbawić energii do cna. I król Roztropny na tronie, odziany w królewskie szaty, w koronie na głowie, niedostępny i zbyt dumny, by przyznać, że zaprzepaścił swą Moc przez lata zaniedbania.

Niczym odbicie w lustrze ujrzałem oczyma Dostojnego księżniczkę Ketricken bładą jak świeca woskowa, stojącą na podwyższeniu przed swoim ludem. Mówiła im, w prostych słowach, że zeszłej nocy Rurisk przegrał walkę z raną od strzały, którą dostał na Lodowych Polach. Miała nadzieję uczcić jego pamięć przez wstąpienie w związek małżeński z następcą tronu Królestwa Sześciu Księstw, gdyż jej brat to małżeństwo zaaranżował. Odwróciła się do księcia Władczego.

W Koziej Twierdzy szponiasta dłoń Konsyliarza spoczęła na ramieniu księcia Szczerego.

Wdarłem się między nich, odepchnąłem go na bok.

„Strzeż się Konsyliarza, Szczery. Strzeż się zdrajcy, który czyha na twoją siłę. Nie dotykaj go”.

Dłoń Konsyliarza mocniej ścisnęła ramię następcy tronu. Nagle stała się ssącym wirem, próbującym odebrać księciu Szczeremu wszystko. A niewiele zostało do zabrania. Moc

księcia zdziałała wiele, gdyż pozwolił jej w krótkim czasie wziąć z siebie prawie wszystko. Innemu człowiekowi instynkt samozachowawczy nakazałby zatrzymać więcej własnej życiowej energii. A książę Szczery, broniąc naszych wybrzeży przed szkarłatnymi okrętami, korzystał z niej bezustannie, każdego dnia. Tak niewiele zostało teraz na tę ceremonię, a i tę resztę pochłaniał Konyliarz. I czyniąc to rósł w siłę. Przywarłem do następcy tronu, desperacko próbując pomniejszyć jego straty.

„Szczery! - krzyknąłem. - Mój książę!”

Wyczułem w nim słaby opór, ale już pociemniało mu przed oczyma, już opadł na jedno kolano. Słyszałem alarmujące poruszenie, kiedy się zachwiał i uchwycił stołu. Wiarołomny Konyliarz ścisnął go za ramię. Pochylił się nad swą ofiarą.

- Panie mój? - wyszeptał zatroskanym głosem. - Nic ci nie jest?

Rzuciłem księciu całą moją siłę, rezerwy, jakich w sobie nawet nie podejrzewałem. Otworzyłem się i wyrzuciłem je z siebie, tak samo jak czynił on, gdy używał Mocy. Nie wiedziałem, że miałem tyle do ofiarowania.

„Weź wszystko. Ja i tak umieram. A ty zawsze byłeś dla mnie dobry”. - Usłyszałem te słowa tak wyraźnie, jakbym je wypowiedział na głos. Poczulem, że w miarę jak moje siły odpływają do księcia, nikiem w śmiertelnej otchłani.

Postawił się hardo, nagle silny, mocny jak zwierzę - i wściekły. Podniósł rękę, chwycił dłoń Konyliarza. Otworzył oczy.

- Nic mi nie będzie - powiedział głośno. Rozejrzał się po komnacie i wstał. - O ciebie się martwię. Ty chyba drzysz. Czy jesteś pewien, że starczy ci sił? Nie powinieneś porywać się na zadanie, które cię przerasta. Pomyśl tylko, co może się stać. - I tak jak ogrodnik wyrывa z ziemi chwast, książę Szczery wyrwał ze zdrajcy całą jego energię.

Konyliarz chwycił się za pierś, upadł. Był już tylko pustą cielesną powłoką. Zgromadzeni ruszyli mu na pomoc. Jeden książę Szczery, teraz pełen siły, podniósł oczy ku oknom i skupił swój umysł na jakiejś dali.

„Dostojny, słuchaj mnie uważnie. Uprzedź księcia Władczego, że jego przyrodni brat nie żyje. - Natarł niczym morskie bałwany, a ja poczułem, jak Dostojny zadrżał pod naporem Mocy. - Konyliarz był zbyt ambitny. Próbował dokonać czynu, który go przerastał. Szkoda, że bękart królowej nie potrafił się zadowolić pozycją, jaką mu dała matka. Szkoda, że mój młodszy brat nie zdołał odwieść go od fałszywie pojętych aspiracji. Konyliarz pozwolił sobie na zbyt wiele. Mój młodszy brat powinien mieć na względzie, co za sobą pociąga podobna lekkomyślność. I upewnij się, Dostojny, że rozmawiasz z księciem Władczym na osobności. Niewielu wie, że Konyliarz był bękartem królowej i jego przyrodnim bratem. Jestem pewien, że książę nie chciałby brukać ani imienia zmarłej królowej, ani swojego. Takie sekrety rodzinne powinny być dobrze strzeżone”.

A potem, z siłą, która Dostojnego rzuciła na kolana, następcą tronu przepchnął się poprzez niego do umysłu księżniczki Ketryken. Czułem jego staranie, by być delikatnym.

„Oczekuję ciebie, moja królowo. I na moje imię przysięgam ci, że nie miałem nic wspólnego ze śmiercią twego brata. Nic o niej nie wiedziałem i jestem wraz z tobą pogrążony w żalobie. Nie chcę, byś tu przybywała przekonana, że mam jego krew na rękach”.

Na podobieństwo płomienia najdroższych klejnotów zalśnił blask z serca księcia Szczerego, które przed nią otworzył, by wiedziała, że nie została oddana mordercy. Odsłonił się przed nią; zaufał, by zyskać zaufanie. Zachwiała się, lecz nie upadła. Dostojny zemdłał. Kontakt został przerwany.

A potem książę Szczery wpełznął się do mojego mózgu.

„Wracaj Bastardzie Rycerski, wracaj. Twoja śmierć to już za wiele. Wracaj, rozkazuję!”

Zdusił mnie w niedźwiedzim uścisku i znów się znalazłem w swoim słabym, ślepych ciele.

24

POKŁOSIE

W Bibliotece Wielkiej Stromeo wisi gobelin, który - jak niesie plotka - zawiera ukryty rysunek przejścia przez góry do Deszczowych Ostępów. Podobnie jak wiele innych map i książek ze Stromeo, również ta informacja została uznana za tak cenną, że ukryto ją pod postacią zagadek i rebusów. Pomiędzy wieloma scenami przedstawionymi na gobelinie znajduje się postać ciemnowłosego mężczyzny o ogorzałej cerze, krzepkiego i muskularnego, z czerwoną tarczą w dłoniach, a w przeciwnym rogu widnieje istota o złotej skórze. Wizerunek owej istoty padł ofiarą moli i upływu czasu, ale nadal można dostrzec, że jest o wiele większa niż człowiek i prawdopodobnie uskrzydłona. Legenda znana w Koziej Twierdzy prawi, że król Mądry odnalazł ziemię rodzinną Najstarszych, do której wiedzie sekretna ścieżka przez Królestwo Górskie. Czy te postacie przedstawiają któregoś z Najstarszych oraz króla Mądrego? Czy gobelin zawiera informację o ścieżce prowadzącej przez Górskie Królestwo do ziemi rodzinnej Najstarszych, gdzieś w Deszczowych Ostępach?

* * *

Znacznie później dowiedziałem się, jak mnie znaleźli, leżącego na Brusie, na podłodze w łaźni. Trząsałem się niczym w febrze i byłem nieprzytomny. Odkryła nas Jonki, ale skąd wiedziała, że należy nas szukać właśnie tam, tego się nigdy nie dowiem. Zawsze podejrzewałem, że była dla Eyoda tym, kim Cierń dla Roztropnego; może nie skrytobójcą, ale kimś, kto wie prawie o wszystkim, co się dzieje w pałacu. Brus i ja zostaliśmy odizolowani w pokoju poza pałacem i chyba przez jakiś czas nikt spośród przybyszów z Koziej Twierdzy nie wiedział, gdzie jesteśmy ani nawet czy żyjemy. Opiekowała się nami sama, z pomocą jednego tylko starego służącego.

Odzyskałem przytomność jakieś dwa dni po zaślubinach. Cztery najbardziej żałosne dni mojego życia spędziłem leżąc w łóżku i podrygując targany skurczami. Często zapadałem w niespokojną drzemkę niczym w przedśmierć i śniłem o księciu Szczerym. Niekiedy wyczuwałem, że próbuje mnie dosięgnąć Mocą. sny naznaczone jego dotykiem nie miały dla mnie większego sensu, poza tym że wiedziałem, iż mój pan się o mnie troska. Wychwytywałem z nich jedynie oderwane fragmenty rzeczywistości, takie jak barwa kotar w komnacie, w której się znajdował, albo kształt pierścienia, który bezwiednie obracał na palcu. Kolejne kurcze mięśni budziły mnie z drzemki, a potem gwałtowne spazmy dręczyły tak długo, aż wyczerpany przysypiałem ponownie.

Okresy, gdy odzyskiwałem świadomość, również nie przynosiły mi ukojenia. Brus leżący na sąsiedniej pryczy twarz miał tak opuchniętą i pozbawioną kolorów, aż trudno go było rozpoznać, a jedyną oznaką, że żyje, był chrapliwy oddech. Z początku Jonki dawała mu niewielkie szanse: wątpiła, czy w ogóle przeżyje, a jeśli tak, to czy odzyska w pełni władze umysłowe.

Ale Brus już wiedział, jak oszukać śmierć. Opuchlizna z wolna ustępowała, fioletowy obrzęk schodził, i kiedy królewski koniuszy odzyskał przytomność, zaczął szybko wracać do zdrowia. Nie pamiętał, co się wydarzyło po tym, jak zabrał mnie ze stajni. Powiedziałem mu tylko tyle, ile musiał wiedzieć. I tak było to za dużo - przez wzgląd na jego bezpieczeństwo - lecz tyle byłem mu winien. Zaczął wstawać i chodzić, jeszcze zanim mnie się to udało, choć z początku miewał okresy zawrotów i bólów głowy. Nie upłynęło jednak wiele czasu, gdy

zaczął zwiedzać Strome i zaglądać do stajni. Wracał wieczorami i wówczas prowadziliśmy długie ciche rozmowy. Obaj unikaliśmy tematów, które zrodziły między nami różnice. Tak więc najczęściej rozmawialiśmy o psach i koniach, a czasami Brus wspominał dawne dni, gdy jeszcze był z księciem Rycerskim. Pewnego razu opowiedziałem mu o Sikorce. Przez jakiś czas milczał, a potem powiedział, że słyszał, iż właściciel sklepiku ze świecami zmarł w długach, a jego córka, po której się spodziewano ich spłaty, wyjechała do krewnych w innym mieście. Nie pamiętał nazwy miasta, ale znał kogoś, od kogo można się było tego dowiedzieć. Nie naigrawał się ze mnie. Zupełnie poważnie mi poradził, że powinienem poznać swoje własne zamiary, zanim się do niej wybiorę.

Dostojny nigdy już nie użył Mocy. Tamtego dnia został zniesiony z podwyższenia, lecz kiedy tylko się ocknął, zażądał rozmowy z księciem Władczym. Zapewne wtedy przekazał mu wiadomość od następcy tronu. Książę Władczy ani razu nie przyszedł odwiedzić Brusa ani mnie w czasie naszej długiej rekonwalescencji. Księżniczka Ketriken przyszła i wspomniała, że księciu bardzo zależy na tym, byśmy po wypadku szybko wyzdrowieli, gdyż zgodnie z tym, co jej przyrzekł, wybaczył mi wszystko. Opowiedziała mi, jak Brus się poślizgnął i uderzył w głowę, próbując mnie wyciągnąć z basenu, w którym dostałem ataku choroby. Nie wiem, kto wymyślił tę bajkę. Może Jonki. Wątpię, by sam Cierń wydumał lepszą. Tak czy inaczej wiadomość księcia Szczerego zakończyła karierę Dostojnego jako przywódcy kręgu, a także, o ile mi wiadomo, była gwoździem do trumny jego władania Mocą. Nie wiem, czy po wypadkach tamtego dnia Dostojny za bardzo się bał, czy może siła przekazu zdmuchnęła płomyk jego talentu. Opuścił dwór i wyjechał do Białego Gaju, gdzie niegdyś panowali książę Rycerski z księżną Cierpliwą. Wierzę, że zmądrzał.

Księżniczka Ketriken zaraz po ślubie przywdziała na miesiąc żałobę po bracie; wraz z nią pograżyło się w żalu całe Królestwo Górskie. Do mego łóża bóleści docierało smutne bicie dzwonów, rozdzierające serce pieśni oraz wszechobecna woń kadzideł. Wszystkie przedmioty należące do Ruriska zostały rozdane. Sam król Eyod przyniósł mi prosty srebrny pierścień, który nosił jego syn. Oraz grot strzały, która przebiła jego pierś. Nie mówił wiele, objaśnił mi tylko, co to są za przedmioty, i poprosił, bym dbał o pamiątki po wyjątkowym człowieku. Zdumiałem się, czemu zostały przekazane akurat mnie.

Po miesiącu córka króla zakończyła żałobę. Przyszła życzyć Brusowi oraz mnie szybkiego powrotu do zdrowia i pożegnała nas do czasu spotkania w Koziej Twierdzy. Tamta krótka chwila, gdy książę Szczery sięgnął ku niej swoją Mocą, stopiła wszelką rezerwę księżniczki w stosunku do niego. Księżna Ketriken mówiła o swoim mężu z dumą i jechała do Koziej Twierdzy chętnie, wiedząc, że została oddana człowiekowi prawemu.

Nie ja podążałem u jej boku na czele orszaku zdążającego do domu, nie ja pojawiłem się w Koziej Twierdzy poprzedzany grą rogów i bębenków oraz dźwięczeniem dzwoneczków w rączkach dzieci. To miejsce zajął książę Władczy i doskonale się wywiązał ze swego obowiązku. Najwyraźniej wziął sobie do serca ostrzeżenie następcy tronu. Sądzę, że książę Szczery nigdy mu do końca nie przebaczył, ale rozprawił się z jego intrygami, jakby to były głupie chłopiące psoty, i takie traktowanie ubodło księcia Władczego chyba znacznie bardziej niż najsurowsza reprimenda. Ci, którzy wiedzieli o otruciu Ruriska, obwinili o ten czyn Aroganta i Sarkazma. W rzeczy samej, to właśnie Sarkazm zdobył truciznę, a Arogant dostarczył prezent w postaci jabłecznika. Księżniczka Ketriken udawała, że jest przekonana, iż była to kwestia wygórowanych ambicji jakiegoś szlachcica, w którego imieniu działali służący. Oficjalnie nigdy nie przyznano, że książę Rurisk zmarł otruty. Ani też ja nie zostałem publicznie ujawniony jako skrytobójca. Bez względu na to, co się działo w sercu księcia Władczego, zachowywał się on dokładnie tak, jak się powinien zachowywać młodszy brat następcy tronu, wytwornie wiodący do domu jego świeżo poślubioną małżonkę.

Długo wracałem do zdrowia. Jonki traktowała mnie ziołami. Próbowałem zdobywać wiedzę o jej metodach leczenia, ale nie panowałem nad własnym umysłem, podobnie jak nad dłońmi.

Niewiele pamiętam z tamtego okresu. Skutki działania trucizny ustępowały rozpaczliwie wolno. Jonki próbowała mnie rozerwać organizując mi lektury w Wielkiej Bibliotece, ale oczy szybko mi się męczyły i były równie bezużyteczne jak ręce. Większość dnia spędzałem w łóżku. Rozmyślałem. Niekiedy zastanawiałem się, czy chcę wracać do Koziej Twierdzy. Nie byłem pewien, czy zdołam być skrytobójcą króla Roztropnego. Wiedziałem, że jeśli wrócę, będę musiał siedzieć z księciem Władczym przy tym samym stole i patrzeć, jak zajmuje on honorowe miejsce po lewej ręce mojego króla. Będę go musiał traktować, jak gdyby nigdy nie próbował mnie zabić ani nie wykorzystał mnie do otrucia człowieka, którego pokochałem. Pewnego wieczoru zwierzyłem się z tego Brusowi. Siedział i słuchał w skupieniu.

- Nie sądzę, żeby dla księżnej Ketriken było to łatwiejsze niż dla ciebie - rzekł. - I mnie też nie będzie łatwo do człowieka, który dwukrotnie próbował mnie zabić, zwracać się „mój książę”. Musisz podjąć decyzję. Ja nie zniósłbym myśli, że książę Władczy mógłby odnieść wrażenie, iż nas wystraszył. Ale jeśli zdecydujesz się pojechać gdzie indziej, tak zrobimy.

Chyba wtedy właśnie nareszcie się domyśliłem, co oznaczał kolczyk.

Gdy opuściliśmy góry, nastąpiła już zima. Podróż zabrała nam wiele czasu. Łatwo się męczyłem i nie mogłem liczyć na własne siły. Niekiedy zwałłem się z konia jak worek obroku. Brus i Pomocnik zsiadali, pomagali mi wsiąść, a ja zmuszałem się do dalszej drogi. Niejednej nocy budziłem się wstrząsany dreszczami, nie mając siły nawet zawołać o pomoc. Ataki miały bardzo powoli. Najgorsze jednak były noce, kiedy nie mogłem się obudzić, a śniłem, że tonę. W jednym z takich snów stanął nade mną książę Szczery.

- Obudziłbyś umarłego - odezwał się wesoło. - Musimy ci znaleźć jakiegoś mistrza, choćby po to, by nauczył cię panowania nad Mocą. Ketriken zaczyna się dziwić, że tak często śnię o tonięciu. Jakie to szczęście, że przynajmniej w moją noc poślubną spałeś spokojnie.

- Książę Szczery? - wymamrotałem nieprzytomnie.

- Śpij - powiedział. - Konsyliarz nie żyje, a Władczy musi mi być posłuszny. Nie masz się czego bać. Śpij i przestań tak głośno śnić.

- Jeszcze chwila, książę! - Ale mój krzyk zerwał delikatną nić Mocy i nie pozostało mi nic innego, jak posłuchać rady.

Podróżowaliśmy w coraz gorszej pogodzie. Wszyscy z utęsknieniem wyglądaliśmy powrotu do domu. Sądzę, że w czasie tej drogi Brus zyskał okazję, by ocenić umiejętności Pomocnika. Chłopak miał odpowiednie uzdolnienia i wewnętrzny spokój, który wzbudzał zaufanie w zwierzętach. W końcu bez najmniejszego trudu zastąpił i mnie, i Gruzła w stajniach Koziej Twierdzy, a przyjaźń, która rozkwitała między nim a Brussem, powodowała, że ostrzej uświadamiałem sobie własną samotność.

Śmierć Konsyliarza uznana została na dworze królewskim za wydarzenie tragiczne. Ci, którzy znali go mniej, mówili o nim w serdecznych słowach. Przyjęto, że musiał dać z siebie zbyt wiele, skoro serce odmówiło mu posłuszeństwa. Przez jakiś czas rozważano nazwanie jego imieniem okrętu, zupełnie jakby był zmarłym bohaterem, ale książę Szczery się na to nie zgodził. Ciało Konsyliarza zostało wysłane do Księstwa Trzody, gdzie je pochowano z wszelkimi honorami. Jeżeli król Roztropny domyślał się wypadków, jakie zaszły między księciem Szczerym a Konsyliarzem, doskonale to ukrywał. Ani on, ani Cierń nigdy przy mnie nie wspomnieli o nich nawet słowem. Strata mistrza Mocy w sytuacji, gdy nie pozostawił on po sobie nawet czeladnika, nie była rzeczą błahą, szczególnie że groźba szkarłatnych okrętów wciąż wisiała nam nad głowami. Dyskutowano o tym powszechnie, ale książę Szczery nie zgodził się mianować Pogodnej ani żadnego innego ucznia Konsyliarza na mistrza.

Nigdy się nie dowiedziałem, czy król Roztropny oddał moje życie w ręce księciu Władczemu. Nigdy go o to nie zapytałem, Cierniowi także nawet nie wspominałem o swoich podejrzeniach. Chyba nie chciałem wiedzieć. Nie chciałem, żeby taka wiedza wywarła wpływ na moją lojalność. Ale w głębi serca uznawałem za swego władcę księcia Szczerego.

Drzewa, które przyrzekł nam Rurisk, dotarły wkrótce do Koziej Twierdzy. Trzeba je było ciągnąć do Rzeki Winnej, nią dopiero spławić do Jeziora Smolnego, a potem Rzeką Kozią do stolicy. Otrzymaliśmy je w środku zimy. Pierwszy okręt wojenny został nazwany imieniem Ruriska. Myślę, że książę zrozumiałby ideę tego hołdu, choć pewnie by się z nim nie zgodził. Plan króla Roztropnego powiódł się w pełni. Od dawna już w Koziej Twierdzy nie było władczyni, więc przyjazd księżnej Ketriken ożywił cały dwór. Wieści o tragicznej śmierci księcia Ruriska w przeddzień ślubu siostry oraz dzielnym zachowaniu księżniczki pobudzały wyobraźnię ludu. Jej szczere uczucie do męża uczyniło z następcy tronu bohatera romantycznego. Byli uderzająco piękną parą; jasna uroda księżnej olśniewała blaskiem na de spokojnej siły księcia Szczerego. Król Roztropny pokazywał ich wszystkim na rozlicznych balach, które przyciągnęły nawet najmniejszego szlachcinę z najdalszego zakątka Królestwa Sześciu Księstw. Księżna Ketriken, wspaniale dobierając słowa, mówiła o potrzebie łączenia się w obliczu zagrożenia ze strony najeźdźców ze szkarłatnych okrętów. Król Roztropny okazał swoją hojność, więc jeszcze pośród zimowych sztormów zaczęło się zbrojenie Sześciu Księstw. Budowano wiele wież i twierdz, a ludzie chętnie je obsadzali. Budowniczo wie statków współzawodniczyli o honor pracy dla ojczyzny, a Kozia Twierdza puchła od ochotników pragnących się zaokrętować. Przez krótki czas zimy ludzie uwierzyli w legendy, które sami stworzyli, a wówczas wydawało się, że najeźdźcy ze szkarłatnych okrętów mogą zostać pokonani samą tylko silną wolą. Ja nie dowierzałem tym nastrojom, ale obserwowałem, jak król Roztropny je podsycy, i zastanawiałem się, w jaki sposób będzie je podtrzymywał, gdy powróci twarda rzeczywistość wraz z groźbą kuźnicy. Muszę powiedzieć jeszcze o kimś, kto się wplątał w ten konflikt i polityczne intrygi wyłącznie przez lojalność dla mnie. Do końca swoich dni będę nosił blizny po ranach, jakie mi zadał. Kilka razy głęboko zatopił starte zęby w mojej ręce, zanim wyciągnął mnie z basenu. Jak tego dokonał, nigdy nie będę wiedział. Kiedy nas znaleziono, leżał z łbem opartym na mojej piersi. Jego więzi ze światem śmiertelnych zostały zerwane. Gagatek był martwy. Wierzę, że oddał życie pamiętając, iż w szczenięcych latach byliśmy przyjaciółmi. Ludzie nie potrafią cierpieć tak jak psy. Ale cierpią przez wiele lat.

EPILOG

- Jesteś zmęczony - mówi mój uczeń.

Stoi za moim łokciem, a ja nawet nie wiem, od jak dawna. Powoli wyciąga rękę i wyjmuję pióro z mojej niezdarnej dłoni. Znużonym wzrokiem przyglądam się nierównej linii na karcie papieru. Widziałem już ten kształt, tak mi się wydaje, chociaż wówczas to nie był atrament. Strumyczek krwi zasychającej na pokładzie szkarłatnego okrętu, przelanej moją ręką? Czy dym znaczący czarnym śladem błękitne niebo, kiedy spóźniony pojawiłem się ostrzec osadę przed napaścią? Czy wirująca trucizna, mieszająca się z wodą w prostym kielichu, który podałem komuś z uśmiechem? Czy kobiecy włos zostawiony na mojej poduszce? Czy ślad obcasów wyrysowany w piasku, gdy wyciągaliśmy ciała z dogasającej wieży w Zatoce Pieczęci? Czy ślad łzy na policzku matki, która przytula zarazone kuźnicą dziecko mimo jego wściekłych krzyków? Wspomnienia, podobnie jak najeźdźcy ze szkarłatnych okrętów, pojawiają się bez ostrzeżenia i są bezlitosne.

- Powinieneś odpocząć - mówi chłopiec.

Uświadamiam sobie, że siedzę zapatrzony w atramentową ścieżkę. To nie ma sensu. Jeszcze jedna stronica na nic, jeszcze jeden wysiłek zmarnowany.

- Odlóż ją - mówię i nie protestuję, kiedy uczeń zbiera wszystkie karty i składa je razem, w przypadkowej kolejności. Zielnik i kronika, mapy i nuty, wszystko miesza się w jego dłoniach, podobnie jak w moim umyśle. Nie przypominam już sobie, co zamierzałem zrobić.

Ból znowu wrócił, a tak łatwo byłoby go ukoić. Nie. Na tej drodze czyha szaleństwo, dowiodło tego już wielu. Więc tylko wysyłam chłopca, żeby mi zrobił napar z dwóch liści karime, mięty i korzenia imbiru. Czy pewnego dnia poproszę go, żeby przyniósł mi trzy liście tego chyrdańskiego zioła?

Gdzieś daleko jakiś przyjazny głos mówi cicho: „Nie”.